

Ł U K A S Z
MALINOWSKI

Skald

WĘŻOWY JĘZYK TOM 2

Ł U K A S Z
M A L I N O W S K I

Skald

WĘŻOWY JĘZYK TOM 2

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Podziękowania

Opowieść o miłości 5

Księga IV: Panna pieśni

Opowieść o miłości 6

Księga V: Gello

Opowieść o miłości 7

Księga VI: Złoto Krety

Opowieść o miłości 8

Księga VII: Dótturtorrek

Epilog

Słowo od historyka

Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych wyrażeń

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: JACEK RING
Mapy: MICHAŁ SZWAGULIŃSKI
Projekt okładki: MARIUSZ KULA
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

Copyright © by Łukasz Malinowski, 2017
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65310-84-2

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
Oficjalny sklep www.tetraErica.pl
facebook.com/iwerica

Odwiedź Ainara Skalda w sieci:
ainarskald.pl
facebook.com/AinarSkald

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dotychczas w cyklu „Skald” ukazały się książki:

„Skald. Karmiciel kruków”

„Skald. Kowal słów, tom 1”

„Skald. Kowal słów, tom 2”

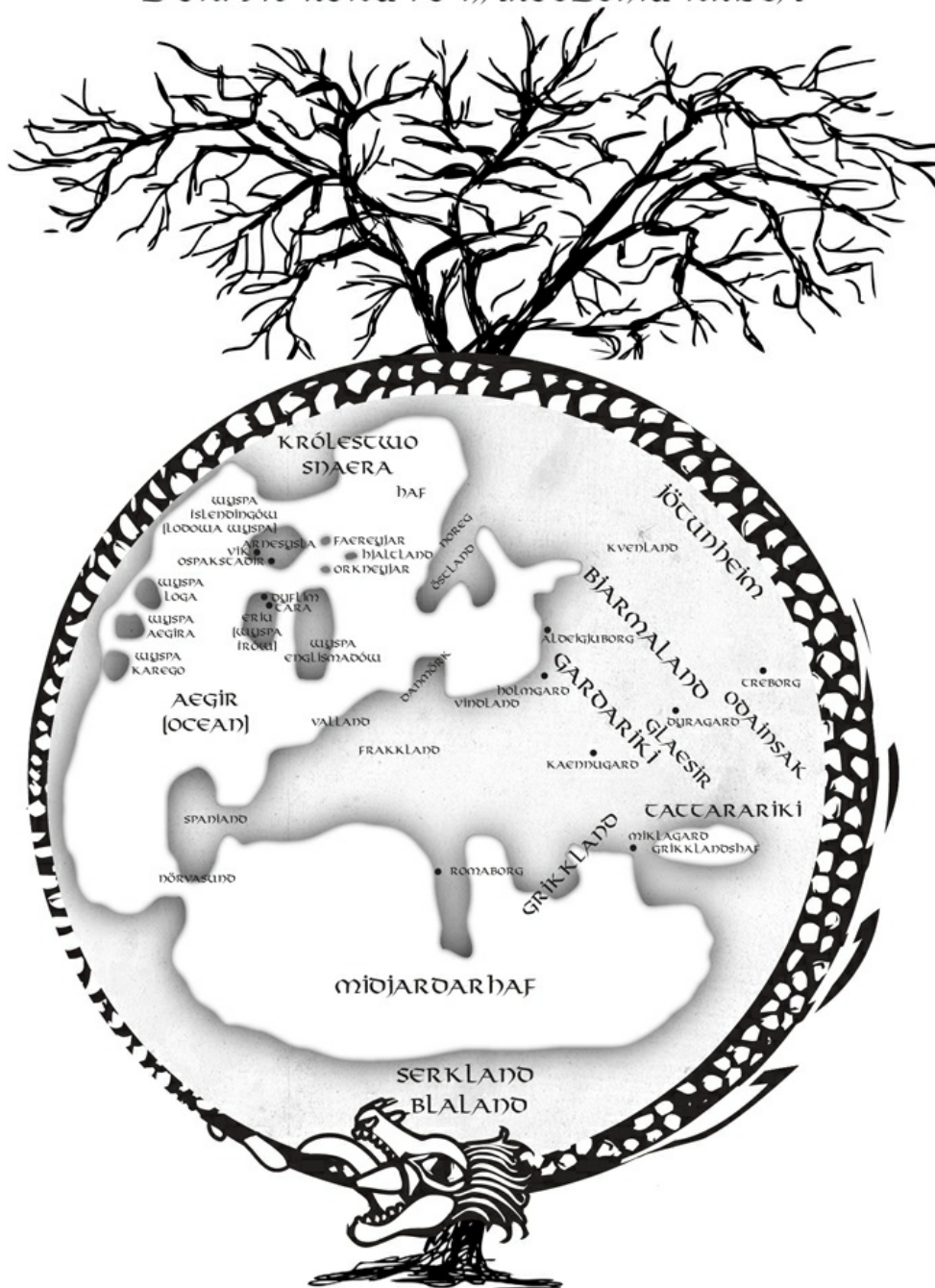
„Skald. Wężowy język, tom 1”

„Skald. Wężowy język, tom 2”

W przygotowaniu ostatni tom cyklu:

„Skald. Pasterz pieśni”

MAPA AINARA SKALDA Z OK. 940 ROKU PO NARODZENIU KRISTA





Romania i jej sąsiedzi w 6467 roku po stworzeniu świata (959 rok AD).
Mapa z archiwów basileusa Konstantyna

Podziękowania

Trud napisania powieści spada w głównej mierze na autora, ale byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie wspomniał o trzech osobach, na które zawsze mogłem liczyć. Na pierwszy ogień idzie Artur Szrejter, znawca i miłośnik wikingów, który przy *Karmicielu kruków* był po prostu moim redaktorem, ale bardzo szybko został serdecznym przyjacielem, który nie waha się ganić moich pomysłów (choć częściej je chwali), a na podorędziu zawsze ma cenne rady. Na świeczniku nie może zabraknąć miejsca dla Łukasza Narolskiego, niezrównanego piarowca, społecznika i organizatora! Powiedzieć, że dla *Skalda* zrobił wiele, to jak o Mount Evereście rzec, że to wysoka góra. Nikt inny, nawet sam autor, nie zaangażował się tak mocno jak Łukasz w promocję *Ainara*. No i na końcu należą się słowa uznania dla mojej żony, Ilony, która zawsze okazywała mi wsparcie i cierpliwość.

Dziękuję Wam bardzo serdecznie i po skaldowemu – bezczelnie oraz samolubnie – proszę o jeszcze więcej życzliwości i pomocy przy moich kolejnych projektach.

Łukasz Malinowski

Opowieść o miłości 5

Finlog czuł miłość Krista tak mocno jak nigdy przedtem. Nawet gdy siedział na słupie, umartwiając się i pokutując, nie spłynęła na niego łaska bożej bliskości – dopiero teraz, gdy znalazł się w towarzystwie grzeszników i pogan, Jedyny objawił mu swoją wielkość i mądrość. Dziękował Bogu za dar życia, choć sam nie okazałby sobie miłosierdzia. Był przecież jak Judasz zdradzający przyjaciela, a zrobił to nie dla trzydziestu srebrników, lecz z powodu chuci własnej i miłości do kobiety. Wybaczenie przyszło z najmniej oczekiwanej strony, od Ainara, który nigdy wcześniej nie okazywał litości, a karał winowajców z surową sprawiedliwością Boga Abrahama i Izaaka.

Zaiste prawdę napisał Eriugena, że cała przyroda od Boga pochodzi i kiedyś znów się z nim złączy, albowiem proces *exitus–reditus* jest nadrzędnym mechanizmem rządzącym światem. Finlog był o tym przekonany zwłaszcza teraz, idąc ciemną doliną, nie miał zaś na myśli tylko stanu swego serca, ale przyrodę właśnie, bo droga wiodła między wzgórzami. Wędrowali nocą, a gwiazdy przypominały, że Jedyny nie zapomniał o swoich licznych dzieciach i już wkrótce stworzy świat na nowo, zsyłając swój świetlisty majestat. W sercu Irskmada też zagościł promyk nadziei, jeszcze słaby, lecz podtrzymujący ogień miłości, Skald bowiem obiecał mu pomoc w odnalezieniu Hvity. Z piekła, w jakim były mnich przebywał minionego wieczoru, trafił do przedsionku nieba.

Poczuł żar, gdy pochodnia znalazła się zbyt blisko jego twarzy, co przypomniało mu, że konung nie jest człkiem wielkiej łagodności.

Szli w szóstkę. Prowadziło dwóch vaerińskich żołnierzy i Slavomirus, a za nimi wędrowali Finlog, Ali i Skald. Ten ostatni trzymał się środka pochodu, kroczył bardzo powoli i dokładnie oświetlał kamienisty trakt pod

swoimi stopami, jakby niedowidział w ciemnościach.

– Obiecałeś mi opowieść, mnichu. – Skald po raz kolejny zamachał żagwią.

– Wybacz, poeto. Musiałem wszystko poukładać w myślach, by niczego nie pominąć, a saga była klarowna. Wiem, że przede wszystkim chcesz słuchać o swojej córce, ale żebyś zrozumiał jej poczynania, muszę najpierw zdradzić ci wyroki Opatrzności względem mojej osoby, bo mój los splótł się z żywotem Seli.

– Mamy czas.

– Dobrze. Kiedy piętnaście lat temu opuściłeś mój klasztor, ja także nie mogłem pozostać w nim dłużej. I bynajmniej nie dlatego, że odchodząc, spaliłeś sporą jego część.

– Rozpaliłem tylko jedno ognisko i upiekłem jednego opata.

– Ale roznieciłeś przy tym pożar, który strawił to miejsce do kamieni. I słusznie się stało, monastyr został bowiem splugawiony przez princepsa Maelruaina, który wypaczył słowa Eriugeny i źle pojmując naukę Krista, sprowadził wielki grzech na całą naszą wspólnotę. Porzuciłem więc swoich ojców i braci, bo ja, człek grzeszny, zrozumiałem, że odosobnienie nie jest tym, czego Bóg ode mnie oczekuje... a przynajmniej do czasu, aż zasmakuję życia tułacza i dobrowolnie zechcę z niego zrezygnować. Co to bowiem za poświęcenie, gdy porzuca się coś, czego się nie zna? Ruszyłem zatem w poszukiwaniu niebezpieczeństw, a skierowałem swe sandały najpierw w ślad za Hvitą, w której rozmiłowało się moje serce.

– Też często zmagam się z tym problemem, choć ja inaczej nazywam zawartość moich spodni. A tak w ogóle, myślałem, że od siedzenia w lodowatej wodzie paparzy stają się niczym te eunuchy, które cienkimi głosikami wielbią swojego Boga.

– Bóg zsyła nam pożądanie, by tym większa była nasza zasługa w jego poskramianiu. Ja jednak okazałem się słaby w dniu próby, choć teraz nie uważam, by moja miłość była ułomnością, albowiem pomogła mi zrozumieć Boga, który troszczy się o swoje ukochane dzieci.

– A przy tym spróbowałeś trochę miodu ze źródła. Ja też lubię mądrzeć w ten sposób.

– Drwij sobie do woli, ale rozważ, by rzadziej mi przerywać, bo nigdy nie skończę opowieści.

– To mów zwięźle, zamiast uprawiać wszechmiłość do świata.

Finlog przeżegnał się, prosząc świętego Columbana o cierpliwość.

– Dobrze. Wyruszyłem za Hvitą, a choć nie miałem umiejętności tropiciela, znalazłem ją po dwunastu dniach wędrówki, wypytując w okolicznych siołach o samotnie podróżującą niewiastę. Z początku nie ucieszyła się na mój widok, byłem przecież młodszy od niej, nie znałem życia poza klasztorem ani smaku kobiety, więc nie wiedziałem, jak uczynić radość w jej sercu.

– Sam się prosisz o drwinę. Wolałem cię na słupie, kiedy przytaczałeś pieśni tego skalda sprzed wieków.

– Wtedy wino dodało odwagi memu językowi.

Składacz strof podał byłemu mnichowi w połowie pusty dzban, a ten po chwili wahania wypił dwa łyki, po czym wrócił do opowieści.

– Wytrwałością i opieką, którą roztaczałem nad Hvitą, zyskałem sobie z czasem jej szacunek, przyjaźń, a w końcu również miłość. I tak – uprzedził najemnika, który już otwierał usta – zaznałem od niej rozkoszy, bo po to Bóg stworzył kobietę i mężczyznę, byśmy mogli cieszyć się swoimi ciałami. Ująłem ją też tym, że potrafiłem zapewnić nam godziwy byt. Wracać w rodzinne strony nie miałem po co, bo moja rodzina jest biedna, ale nie zapomniałem odebranych w klasztorze nauk. Znałem pięć języków, a w czterech z nich umiałem pisać.

– Nawet bez palców?

Finlog uniósł okaleczoną dłoń, w której brakowało trzech kompanów do pisania. Rany dawno się zabiły, ale czasem odczuwał szarpący ból. Cierpienie przypominało o utraczonej szansie na kopiowanie najcenniejszych kodeksów na świecie. Niegdyś wszyscy chwalili jego prace, a zwłaszcza malowidła, którymi ozdabiał karty manuskryptów.

– W prawej ręce nie potrafię utrzymać pióra, przez co ścieżka kopisty na zawsze pozostaje dla mnie zamknięta. Ale po krótkich wprawkach nauczyłem się pisać lewą ręką. I choć litery, które teraz wychodzą spod mojego pióra, nie mają już tej gracji co niegdyś, są jednak czytelne i staranne. W Eriu i u Englismadów wciąż niewiele ludzi zna sekrety sztuki stawiania znaków na pergaminie, więc łatwo znajdowałem pracę jako sądowy pisarz lub skryba na dworach władców. Wybrałem zatem życie wędrowca i przemieszczałem się od osady do osady, gdyż wszędzie potrzebowano kogoś do sporządzenia dokumentu lub dwóch. Żyło się nam dostatnio i podróżowaliśmy daleko niczym Orozjusz, a ja nie tylko pisałem, ale też zbierałem opowieści o naszych bohaterach z przeszłości, zapamiętując dzieje Cuchulainna, Fionna mac Cumhailla, Tristana czy nawet konunga Geatów o imieniu Beowulf. Spotykałem na swojej drodze starych bardów i filidów, a oni zdradzali mi tajniki poezji Eriu oraz nauczyli składać strofy w *lingua latina*. Z czasem i mnie zaczęto nazywać bardem. Godząc się z tą rolą, wziąłem do ręki sękaty kij i już nie tylko spisywałem dokumenty, ale też nauczałem ludzi o Kristosie i bawiłem ich mądrymi opowieściami z wieków minionych.

– Jeśli bawili się przy tym, tak jak ja teraz, musiałeś przymierać głodem. Przejdiesz w końcu do Seli?

– Do tego zmierzam. Pewnego razu przywędrowaliśmy z Hwitą do miasta Dyflin. I wówczas zobaczyłem zjawę, a przynajmniej tak mi się wydawało, gdy ujrzałem brudną dziesięcioletkę w potarganej koszuli i z rozczochranymi włosami, która podkraśla się do nas niczym duch i zwędziła sakiewkę. Ruszyłem za nią w pościg i tak dotarłem do domu pewnego kupca z Noregu.

Na wspomnienie kupca pieśniarz wyraźnie się ożywił, choć próbował to ukryć, robiąc jedną ze swoich denerwujących min. Tym razem padło na podrygiwanie lewej brwi.

– Dopiero tam ją ostatecznie rozpoznałem – ciągnął, obserwując ukradkiem Ainara – a ona rozpoznała mnie. Rzuciła mi się na szyję, nazwała swoim najulubieńszym wujkiem i oddała sakiewkę. Przeprosiła,

choć przemilczała, że już brakowało trzech peningów. Opiekun Seli chciał złać ją za kradzież, ale ubłagałem go, by tego nie robił. Dziewczyna okazała wielkie przywiązanie także Hvicie, wzbudzając w niej matczyne uczucia, tym silniejsze, że nas Święta Rodzicielka nie obdarzyła własnym potomstwem. Gdy dziewczynka usłyszała, że wędrujemy po świecie, od razu chciała z nami pójść, ale nie zgodziłem się, bo lepsze życie miała u kupca, choć ten – jak się zdaje – regularnie ćwiczył małą kijem ze względu na jej psoty. By nie wzbudzać w Seli nadziei, odeszliśmy ukradkiem jeszcze tej samej nocy.

– Uciekłeś od tej malutkiej walkirii? Zawsze wiedziałem, że paparzy na wyrost nazywają się ojcami.

Finlog zmierzył pieśniarza badawczym spojrzeniem. Czy ten dumny Vaering naprawdę widział w jego oku drzazgę, a w swoim nie potrafił dostrzec belki? Czy mały występki w równym stopniu rani Kristosa, jak grzech śmiertelny?

– Ja nie okłamuję samego siebie. Szybko zdałem sobie sprawę, że postąpiłem tak dla wygody własnej, a nie z troski o dziecko. Gdybym tylko wcześniej wiedział, że ją porzuciłeś, pojechałbym do niej zaraz po wyjściu z klasztoru i może wtedy Bóg oszczędziłby nam tego całego bólu i zniszczenia. Na szczęście święty Józef zesłał mi kolejną szansę, bym podążył jego śladem. Sela dogoniła nas po dwóch dniach i powiedziała, że albo weźmiemy ją ze sobą, albo będzie się za nami włóczyć i rozpowiadać, że jest naszym porzuconym dzieckiem. Rzekła też, że nie możemy jej odesłać, bo na odchodne pocięła nożem wszystkie tkaniny w składzie kupca i jeszcze nasiusiła do garnców ze zbożem, tak by jej opiekun nigdy nie zechciał przyjąć jej z powrotem.

– Moja krew.

– Nie raz się o tym przekonałem. Zgodziliśmy się na jej towarzystwo i szczerze ją pokochaliśmy, bo choć było z niej psotne szczenię, to jednak kochane i o dobrym sercu.

Księga IV
Panna
Pieśni

Marzec,
6467 rok po stworzeniu świata
wedle rachuby Grikkmadów

23

Morze wciąż było niespokojne. Bałwany rozbijały się o klify, fale igrały ze sobą niczym niesforne kocięta, a prądy wyrzucały na brzeg dary, którymi wzgardzili Aegir i Ran. Boscyc opiekunowie mórz nieustannie otrzymywali jednak nowe podarunki, ponieważ jak świat długi i szeroki ludzie składali im ofiary, nucąc przy tym kołysanki i próbując wprowadzić morskich małżonków w spokojniejszy wiosenny nastrój. Do stosu łupów dorzucał się również władający wiatrami olbrzym Kari, choć nikt nie potrafiłby stwierdzić, jaki miał w tym cel. Dla zabawy, a może z czystej złośliwości wyrывał przybrzeżne drzewa, zdmuchiwał do wody połączone kamienistych plaż, pomosty i dachy chat rybackich. Podwodne skarbcze pękały już w szwach, ale chciwość morskich bogów nie została zaspokojona. Mimo iż śniegi stopniały w górach, a trawa zaczęła się zielenić, zimowe sztormy nie chciały ustąpić.

„Tylko szalenieć pływałby w taką pogodę” – mówili wyspiarze, przepijali do siebie kubkami wina i odkładali do przyszłego tygodnia plany zwodowania łodzi rybackich. Czuli się bezpiecznie i nie wysyłali nawet obserwatorów na klify i wzgórza, by ci wypatrywali sarakeńskich łupieżców. „Niech próbują przypłynąć. Morze lepiej sobie z nimi poradzi niż nasz basileus” – dodawali, czując odwagę wzmocnioną winem. Właśnie z powodu tych zaniedbań nikt nie dostrzegł niewielkiego statku, który pewnego popołudnia zbliżył się do plaży na północ od Górnej Arkadii.

Sela Ainarsdottir czułaby się pewniej, gdyby miała pod sobą pokład snekkji, a nie deski kruchego i nedorzecznego pękatego grikklandzkiego stateczku, a właściwie przerośniętej łodzi z pojedynczym żaglem i sześcioma parami wiosł. Jeszcze bardziej niezadowoleni byli jej ludzie,

którzy z bojaźni przed falami uszczuplili swoją niedawno wypłaconą roge o kilka monet i dorzucili je do pobieranego przez Aegira myta. Nie mogli jednak popłynąć na rzucającym się w oczy okręcie z Północy, gdyż ich zadanie wymagało wdzięku wilka zakradającego się na pastwisko. Po tym, co uczynili w Miklagardzie, nie byłoby mądrze otwarcie pokazywać się na Therze, wyspie zarządzanej przez ludzi jej kochanego tatusia, zdrajcy i opoja Ainara Skalda. Dlatego snekkja Diarfa Nawlekacza została na sąsiedniej wyspie, a Sela z garstką wojów płynęła łodzią zdobytą na rybakach, którzy mieli pecha spotkać Vaeringów na swojej drodze.

Skaldmaer poczuła ulgę, gdy poszycie łodzi zaszurało o dno.

– Do wody!

Posłuchano jej bez szemrania. Sześciu wojów przeskoczyło niskie burty i wylądowało po pas w wodzie. Mężczyźni chwycili dwie cumy i zaczęli wciągać stateczek na brzeg. Wkrótce do wody zeskoczyli też pozostali najemnicy, którzy jęli pchać rufę łodzi rybackiej. Na pokładzie została sama Skaldmaer – Panna Pieśni, która stanęła przy maszcie, objęła go i wygłosiła zgrabny lausavis, mający zachęcić ludzi do wyteżonej pracy.

Ciągną, ciągną

konopne cumy

ramiona rębaczy.

Wyciągają, wyrywają

wrogów jelita

ramiona rębaczy.

Sela wiedziała, że drengowie to proste chłopcy, których nieustannie trzeba chwalić, nawet za zrobienie rzeczy najłatwiejszej, takiej jak trafienie małym kołkiem do zroszonej namiętnością dziurki. Pomruk zadowolenia mężczyzn, nagłe wyprostowanie przez nich zgiętych podczas roboty pleców i mocniejsze szarpnięcie statku pod jej stopami utwierdziły dziewczynę w przekonaniu, że wojacy poczuli się docenieni jej błyskotliwymi

wersami.

Gdy łódź rybacka stanęła w miejscu, Sela przespacerowała się po bakburcie, stanęła na dziobie i zeskoczyła na suche kamienie.

– Jesteś ranna, pani? – Pytającym był kędzierzawy dreng z Gardariki o wyraźnie vindmadzkich rysach twarzy, który nieznośnie zmiękczał mowę Pólnocy.

Uśmiechnęła się i przywdziała lekko drwiącą maskę, choć nie miała pojęcia, co chodzi po głowie zuchwalcowi.

– Wasza meykong jest tak zwinna, że żaden dreng nie potrafi jej porządnie skaleczyć. Choć niejeden próbował.

Odpowiedział jej gromki śmiech, choć niektórzy najemnicy zaczęli się jej dziwnie przyglądać, a w oczach jednego z nich zobaczyła coś, czego do cna nie znosiła: lekceważenie.

– Ale twoja noga, pani. Jest czerwona od krwi!

W ostatniej chwili powstrzymała się, by nie spojrzeć w dół i tym samym przyznać, że jest zaskoczona. Nie musiała zresztą patrzeć, gdyż już wiedziała, czym jest lepka wilgoć na udach. Czuła ją od jakiegoś czasu, ale nie zwracała na to uwagi. Ubrana była po męsku, w obcisłe lniane spodnie i dopasowaną koszulę, szkoda tylko, że odziała się w błękit – na nim widać każdą plamę. Przekląła w myślach Gefnę, która obdarzyła ją tarczą, a nie mieczem i uczyniła z jej krocza cel, a nie narzędzie czynu. Za wątpliwy dar władzy nad męskim orężem trzeba było co miesiąc płacić okup z własnej krwi. Wściekła się też na siebie, że zlekceważyła tak jasne przecież objawy. Brzuch bolał ją od rana, ale uznała, że to zemsta kołyszącego statkiem Aegira, który nie mógł znieść kobiety dowodzącej statkiem. „Wszyscy mężczyźni dąsają się, gdy jest nad nimi kobieta” – mawiała jej prababka.

– Jaki spostrzegawczy...

Znów się uśmiechnęła, ale już nie drwiąco, tylko zalotnie. Ćwiczyła ten grymas na wielu żonatych i jeszcze nie znalazł się taki dreng, który oparłby się temu dziewczęcemu promykowi szczęścia. Kędzierzawy żeglarz nie

różnił się od innych. Spuścił powoli wzrok i nawet lekko się zarumienił. Ale czarowanie wdziękami, choć pomocne, nie mogło być jedynym sposobem trzymania krwiożerczych Vaeringów za mordy. Trzeba było z nimi postępować jak z ogarami. Czasem ułagodzić dobrym słowem, pogłaskać i napić, ale w razie potrzeby krzyknąć i smagnąć batem. Ponad wszystko zaś nie wolno było okazywać słabości, bo gdy wygłodniałe psy wyniuchają strach pana, zaspokoją swój głód na jego ciele.

– Tak, to moja krew, którą sama sobie upuściłam! Każdy tutejszy lekarz wam powie, że taka praktyka służy zdrowiu i pomaga w myśleniu! Wam też by nie zaszkodziła, zwłaszcza jeśli ciachalibyście się w krocze! Zobaczcie, do czego dochodzą tutaj eunuchowie, którym krew w ogóle nie gromadzi się w członku! – Zaśmiała się szyderczo, widząc ich niepewne miny, ale zaraz się powstrzymała, bo niebezpiecznie było naigrywać się z męskiego przyrodzenia. Przybrała gniewną minę i ciągnęła: – Na szczęście ja tu jestem od pomysłu, a wy od męznego stawania w boju. Dajcie miodu, by Mimir natchnął mnie dobrą radą, moją tarczę zaś nawilżył słodyczą!

Odpowiedział jej rubaszny śmiech, a jeden z karmicieli kruków wyciągnął ku niej dzban z trunkiem. Wymyślonymi na poczekaniu mądrościami uratowała sytuację. Nauki, które w dzieciństwie kładł jej do głowy wujek Finlog, czasem się przydawały, zwłaszcza jeśli umiało się je przeinaczać i wykorzystywać do mamienia głupców.

– I będę potrzebowała jednego z was, bo czymś trzeba zatkać tę krwawiącą dziurę – powiedziała i wzięła duży łyk miodu. – Ktoś chętny na zawarcie przymierza krwi?

Pytanie zadziało lepiej niż rozkaz zachowania ciszy. Nie czuła się rozczarowana brakiem ochotnika, bo znała przyczynę ich tchórzostwa – gdy poprzednio zadała podobne pytanie, złała do nieprzytomności pierwszego, który wyraził chęć zaspokojenia jej potrzeb. Tylko ona mogła wybierać, bo nie była klaczą, by poddawać się wyrokowi uzgodnionemu między ogierami.

– Strach was obleciał na widok krwi? Ty, kędzierzawy, pójdiesz ze mną! Erp i Bui udacie się do domu, który opisał Diarf, i przyprowadzicie

gospodarza. Całego i zdrowego. Tak – uprzedziła pytanie – jego żona oraz dobytek też mają pozostać nienaruszone. Reszta niech zabezpieczy statek i siedzi cicho.

Woj z Gardariki o dziwacznym i trudnym do wymówienia imieniu Mscislav był najmłodszy z całego oddziału, a do tego miał najprzystojniejszą, nienaznaczoną jeszcze żelazem twarz. Sela nie wybrała go przypadkowo. Już wcześniej zauważyła, że dreng często się jej przygląda, a w jego pytaniu o ranę znać było prawdziwą troskę, czego akurat u mężczyzny nienawidziła, bo sama potrafiła o siebie zadbać. Czasem jednak i chłop potrafił się na coś przydać, tak jak teraz, kiedy nasza ją chcica. Podejrzewała, że to jedna z rzeczy, które odziedzyczyła po swoim sławetnym i pyszałkowskim ojcu, choć to ciotka Hvita ją nauczyła, że miód i cielesna rozkosz najlepiej łagodzą bóle miesięcznej krwi.

Weszli na ścieżkę pnącą się między głazami i skręcili za skalną basztę. Przystanęli przy skrawku ziemi pokrytej rzadką, jeszcze zeszłoroczną trawą. Przez chwilę Mscislav stał nieporadnie, jakby jeszcze nigdy nie dosiadał dzierlatki, aż w końcu spróbował ją objąć. Skaldmaer z uśmiechem na ustach wywinęła się z jego ramion, po czym walnęła wojownika pięścią w brzuch, aż się jej uklonił. Zwykle celowała niżej, ale teraz nie chciała uszkodzić różdżki, której zamierzała użyć.

– Na przytulanki ci się zbiera? Może cię jeszcze do piersi dostawić i nakarmić?! Ściągaj portki i kładź się.

Obolały dreng wyprostował się, spojrzał na nią nieufnie, ale posłuchał, choć nie do końca, bo opuścił spodnie tylko do kolan. Sela przymknęła oko na nieposłuszeństwo, bo jak mawiała jej prababka: „pozwalaj mężowi wygrywać w potyczkach, by zwyciężać w bitwach”. Sama też ściągnęła spodnie wraz z butami, co chwilę trwało, bo musiała rozwiązać spjory, które ścisnęły nogawki na wysokości łydek. Pasy z bydlęcej skóry stawiały opór, jakby chciały się zemścić za znieważenie męskiego stroju przez kobietę, która włożyła portki na swoje długie dziewczęce nogi. W końcu jednak wiązania dały za wygraną i Sela mogła stanąć nad kochankiem w samej tylko koszuli.

Usiadła na nim okrakiem, ale chłopak wciąż nie był gotowy do boju. Wprowadziła jego dłoń pod swoją koszulę, bo choć nie lubiła być macana, to nie zamierzała czekać, aż kędzierzawy najemnik sam stanie na wysokości zadania. Cierpliwie znosiła niezdarne miętolenie piersi, które wychowany w gospodarstwie dreng traktował niczym krowie wymiona. Sięgnęła po leżący obok dzban, napiła się miodu, po czym wiedzioną nagłym przyływem łaskawości przechyliła naczynie i wlała drengowi nieco trunku do ust. To pomogło mu się rozluźnić oraz stwardnieć tam, gdzie trzeba.

Ujęła gotowy do boju oręż i przebiła się nim, składając się w ofierze dla rozkoszy własnej. Zabolało, ale nie zamierzała narzekać, gdyż taka była cena późniejszej ulgi. Po chwili zrobiło się całkiem przyjemnie, mimo iż dziura sponiewierana oszczepem zaczęła mocniej krwawić. Nalała sobie miodu na dłoń i wtarła go w podbrzusze mężczyzny, rozmazując trunek z wypływającą z niej czerwienią. Wtedy nastąpił bunt – Mscislav ujął ją za tyłek i próbował obrócić na plecy. Jak każdy chłop chciał uczynić z niej swoją kobyłkę, rządzić nią, konungować jej i popisywać się swoją wątpliwą sprawnością. Nie mogła na to pozwolić, bo była przecież meykong tak na wojnie, jak i w miłości, a poza tym nic tak nie psuło radości z kochania, jak kamienie wrzynające się w dupę. Wolną ręką sięgnęła po swój zawieszony na szyi kozik do rzeźbienia i przyłożyła jego ostrze do gardła drenga.

– Leż, mój ogierze, gdy twa pani dowodzi! – powiedziała łagodnie, ale stanowczo. – I zabierz łapy, zanim każę ci je urznąć przy samych łokciach.

Posłuchał. Ludzie wiedzieli już, na co ją stać, podobnie jak zdawali sobie sprawę, że Diarf uważnie słucha jej skarg i spełnia każdy kaprys pieśniarki. Nagrodziła posłuszeństwo, zdejmując nóż z gardła Mscislava. Przystawiła ostrze do własnego ucha i lekko nakłuła płatek. Pożongłowała nożykiem między palcami, po czym pomasowała zranione miejsce.

Przyspieszyła, zwolniła i znów pogalopowała. Unosiła się i opuszczała, pchała do przodu i do tyłu, kołysała się na boki, a czasem kręciła się i przeżyła niczym głaskana po grzbiecie kocica.

Poczuła, jak wypełniający ją pal pęcznieje, co w połączeniu z coraz

głośniejszym sapaniem zwiastowało wybuch męskiej próżności i koniec igraszek, bo każdy jednooki wojownik był niczym berserk, który po przeminięciu szału staje się senny i bezużyteczny. Nie zamierzała do tego dopuścić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Wstrzymała jazdę, machnęła nożem przed oczami mężczyzny, a potem cofnęła rękę i wbiła ostrze w jego brzuch, tuż poniżej pępka. Kozik ledwo przeciął skórę, ale to wystarczyło, by Mscislav syknął z bólu, pewnie też trochę z obawy, że ostrze znalazło się blisko przyrodzenia. Podziałało. Gdy poczuła, że ma w środku więcej luzu, znów spięła konia udami i powoli ruszyła do przodu. Równocześnie przesunęła nożem w dół i wyrzeźbiła na ciele kochanka znak zaczerpnięty z *lingua latina* – literę „S”. Nie była jak jej przemądrzały ojciec, który mienił się przyjacielem Mimira, a nawet swojego imienia nie potrafił zapisać. Sela korzystała z każdej sposobności, by poćwiczyć sztukę stawiania znaków, choć pewnie jej świętoszkowaty wujek Finlog do cna by wyłysiał, wiedząc, jakiego dziś użyła pergaminu.

Jeździec dostosował się do rytmu wierzchowca, co dało spodziewaną korzyść – zgranie w czasie. Rumak napiął szyję, zarżał i począł toczyć pianę z pyska, na co jeździec jeszcze mocniej zacisnął uda, czym zmusił ogiera do ostatniego morderczego cwału. Sela jęknęła, ciesząc się szybką jazdą, potem zaś zawyła z rozkoszy, gdy wierzchowiec skoczył i cały schował się w pieczarze.

Zsunęła się z Mscislava. Widziała, jak jego żrebak padł bez życia, pomyślała więc, bawiąc się nożem, że litościwie byłoby dobić zajeżdżonego rumaka. Uśmiechnęła się. Vaering był naprawdę porządnym najemnikiem, a wobec niej zachowywał się całkiem miło. Jakaś niezrozumiała siła pchała ją, by wtuliła się w szeroką pierś mężczyzny, potarosiła jego brodę i złożyła pocałunek na ślicznych ustach, ale przemogła to pragnienie trzema łykami miodu. Nie mogła okazać uległości podwładnemu, choć nic nie wadziło, by wzięła sobie od niego pamiątkę, która przyda jej się później. Zbliżyła nóż do krocza mężczyzny, chwyciła w rękę koszulę i wycięła kawałek materiału. Uniosła skrawek, schowała go w swoim rękawie i oznajmiła sucho:

– Możesz odejść.

Poczekala, az mężczyzna się ubierze i zniknie za skałami, po czym zebrała swoje ubrania i poszła w przeciwną stronę.

Było już późne popołudnie, mimo to słońce nadal mocno świeciło, korzystając z uprzejmości wiatru, który rozgonił poranne chmury burzowe. Czuć było wiosnę. Na łączce trawa się zieleniła i kwitły białe oraz czerwone kwiatki, których nazw Sela nie znała, bo nie zaprzętała sobie głowy takimi błahostkami. Potrafiła jednak docenić urok wyspy, a dużą przyjemność sprawiało jej spoglądanie w dół, na fale uderzające o ściany klifów i na wodę kotłującą się w skalnych zatoczkach.

Po chwili znalazła to, czego szukała – ścieżkę prowadzącą ku niewielkiej, osłoniętej skałami plaży. Zeszła tam, rzuciła na żwir niesione w rękach spodnie i buty, a potem weszła do wody. Zimnej, ale do wytrzymania. Meykong wyciągnęła uciętą z koszuli Mscislava szmatkę i się nią wymyła. Przed swoimi ludźmi musiała udawać twardą walkirię, ale z dala od ich oczu mogła zadbać o swoją kobiecość.

Ktoś ją ukradkiem obserwował. Wiedziała o tym, choć nie był to wynik żadnych nadzwyczajnych umiejętności – po prostu usłyszała beczenie kozy, a potem świst bata. Nie zareagowała jednak, tylko dokończyła mycie i dopiero wtedy wyszła z wody. Ubrała się spokojnie, po czym ruszyła w kierunku ścieżki, którą wcześniej schodziła. Drogę zastąpił jej posiwiasty starzec. Wyszedł zza pobliskich krzewów, popędzając przed sobą dwie kozy.

– Zgubiłaś się, moje dziecko? – zapytał w mowie Grikkmadów.

Skaldmaer od kołyski lubiła się przedrzeźniać i w dorosłym życiu chętnie korzystała z wyuczonych w dzieciństwie sztuczek. Zrobiła niewinną minę i sprawiła, że pod długimi rzęsami zakręciła się łza, choć w środku aż trzęsała się na widok zatroskanego starca, który pozerął ją wzrokiem.

– Nie, panie – odpowiedziała w tutejszej mowie i pociągnęła nosem. – Mieszkam tam, za wzgórzami.

– Tak daleko od domu? Sama? Czy coś się stało?

– Nie, nic... To znaczy... Nie chcę o tym mówić.

– Staremu Symeonowi można powiedzieć wszystko. I tak już nie dosłyszę, a wieczorem zapominam to, czego dowiedziałem się rano. Ktoś zrobił ci krzywdę?

Pokiwała głową i wskazała palcem w kierunku Górnej Arkadii.

– Ci podli Vaeringowie, oni, oni... złapali mnie, zdarli ze mnie sukienkę i... nic więcej nie powiem.

Mogła się jeszcze rozpłakać, ale wiedziała, że choć mężczyźni lubią kobiety smutne i bezbronne, nad którymi trzeba roztoczyć opiekę, to już niekoniecznie patrzą przychylnie na te, które ryczą bez opamiętania.

– Już dobrze, moje dziecko, nie musisz mi nic więcej mówić. Domyślam się, skąd na tobie ten dziwaczny strój: niecnoty z Północy kazały ci po wszystkim przywdziać ła chy, których nie godzi się nosić kobiecie.

Kiwnęła głową.

– Nie powinnaś sama włóczyć się po okolicy. Zbliża się wieczór... Nie wiesz, że wtedy grasują kallikantzary?

– Kto?

– Uderzyli cię też w głowę, dziecko? Kallikantzary – diabły o małpich ogonach, psich pyskach i kocich łapach. Niby wierzymy w nie od dziada pradziada, ale te dziwnym trafem szczekają w mowie najemników. Te potwory tak mocno załazy nam za skórę, że już nawet Vaeringowie zaczęli na nie polować, przez co w okolicy łatwo natknąć się i na tych łotrów. Lepiej nie stójmy jak leniwe kozy, tylko chodźmy do mojej chaty. Przenocuję cię.

– Wspaniale! Dziękuję! – Sela zatrzepotała rzęsami, ale zaraz uniosła lewą brew, nadając twarzy wyraz niepewności. – Ale chyba nie chcesz... nie chcesz ze mną robić tego, co Vaeringowie?

Starzec zaśmiał się, jakby powiedziała coś niedorzecznego, ale nie potrafił ukryć błysku pożądania w oku.

– Za stary już jestem, by myśleć o takich głupstwach. Ze mną będziesz bezpieczna.

– To dobrze... choć trochę szkoda, bo całkiem mi się podobały rzeczy, które robili ze mną żołnierze. Mieli takie silne ramiona...

Grikklandzki pastuch rozdziawił gębę.

– Jak... jak to? Podobało ci się? Prawiłaś przecie, że cię skrzywdzono.

– Skrzywdzono, bo te podłe psy mi nie zapłaciły! A umówiliśmy się na złotą nomismę! Widzisz, zbieram na wyjazd do Byzantionu, by tam nająć się na służbę w jakimś zacnym mastropeionie. Wiesz, jak godziwie mogą tam żyć ładne pornaski? Jak same Porfirogenetki! A te skąpe dranie wzięły, co im dałam, i nic nie zostawiły w zamian! Łajdacy mówili jeszcze, że to moja wina, moja, bo mam za małe piersi. Za małe piersi! Uwierzysz? Czy one są małe?

Rozbawiona Sela uniosła koszulę. Starzec wypuścił z ręki bat i gapił się jak mnich na kielbasę w Wielkim Poście.

– Jeśli zapłacisz, przypomnę ci, jak to jest być młodym. W zamian wezmę tę kózkę!

– Moją Afrodytę? Ona i Hera jest wszystkim, co mam. To za dużo.

Skaldmaer tylko drwiła, ale i tak ukłuły ją słowa mężczyzny. Za jej nagość płacono już przecież złotymi naszyjnikami.

– Jesteś taki sam jak pozostali, ty skąpy kozojebcu – rzekła ze złością i wyjęła kozik z wiszącej na szyi pochewki.

W oczach starca dostrzegła strach walczący z pożądaniem. Wzięła zamach i uderzyła rękojeścią noża w skroń pastucha. Padł bez przytomności pod kopyta swoich kóz, które skwitowały to obojętnym meceniem. Rozsądniej byłoby zabić mężczyznę, ale całe zdarzenie mocno rozbawiło Selę, a poza tym nie sądziła, by ktokolwiek uwierzył w bajdurzenie starca o wyłaniającej się z morza pięknej dziewczeczce, która obnażyła się przed nim, a potem go pobiła.

Podniosła z ziemi bat, zrobiła na jego końcu pętelkę i założyła ją na szyję Afrodyty. Ruszyła w stronę łodzi, ciągnąc kozę.

* * *

– Świetna robota – pochwaliła swoich ludzi, gdy dotarła na miejsce.

Łódź została wyciągnięta daleko od morza, nikt nie zdążył się jeszcze upić, rozmowy były prowadzone półgłosem, a więzień już na nią czekał.

– Nasza meykong nie próżnowała – przywitał ją rudobrody Kalf, jeden z zaufanych druzynników Diarfa. – Przyprowadziła kolację.

– Ma na imię Afrodyta i na razie będzie się nam przysłuchiwać. Później ocenię, czy zasłużyliście na kozłinę. A co z naszym gościem. Mówił coś?

– Coś tam gadał po swojemu, ale nic nie zrozumieliśmy.

– Stawiał opór?

– Nam? – Bui wykrzywił gębę w uśmiechu. U góry brakowało mu przednich zębów, wszystkich między kłami. – Gdy tylko weszliśmy do jego chaty, schował się w kącie i na kolanach błagał, byśmy go nie tknęli.

– A tknęliście?

– Nie, bo zakazałaś! To znaczy, tylko Erp lekko szturchnął go pięścią w brzuch, bo tchórz nie chciał z nami iść. No i potem Erp pokazał mu swój topór, by trochę zmiękczyć chłopinę przed twoim przybyciem.

Ainarsdottir pokręciła głową, ale nie zgańiła swoich ludzi. Psa nie da się oduczyć szczekania. Wskoczyła na łódź, wyciągnęła własny worek podróżny i wyjęła z niego sakiewkę. Podrzuciła ją i złapała, udając, że jest o wiele cięższa, niż była w rzeczywistości. Podeszła do jeńca i wręczyła mu wydobytą ze skórzanego woreczka złotą monetę zwaną tutaj nomismą.

Grikkmad był w średnim wieku, pośledniego wzrostu i przeciętnej urody. Na jego ciemnej skórze wyraźnie odznaczały się strużki potu, a czarne, kręcone włosy lśniły od tłuszczu. Nie był związany, a teraz z wyrazem niezrozumienia na twarzy przyglądał się monecie trzymanej przez Selę.

– Jesteś Kyriakos, czyż nie? – zapytała w mowie mieszkańców Thery. – Dostaniesz ich więcej, gdy odpowiesz na moje pytania. I nie lękaj się. Jesteś wśród przyjaciół.

– Przyjaciół, pani?

– No przecie, że nie wrogów. Pamiętasz Diarfa Nawlekacza?

– Tego najemnika, który wcześniej tu rządził?

– Nie innego. Jesteśmy jego ludźmi i wiemy, że zawarłeś z nim umowę. Miałeś obserwować, co dzieje się na wyspie, i o wszystkim mu donosić.

Przemilczała, że pomysł znalezienia grikklandzkiego gołębiarza wcale nie wyszedł od Diarfa. Co więcej, Nawlekacz w ogóle nie rozumiał, po co im wiadomości od Grikkmada, skoro na Therze i tak nie za wiele się działo. Sela musiała się sporo natrudzić, by wytłumaczyć najemnikowi, że poznanie poczynąń Ainara będzie konieczne, jeśli mieli doprowadzić do jego zhańbienia, upadku, a w końcu i śmierci. I miała rację, bo wcześniej to właśnie Kyriakos powiadomił Diarfa o planach odpłynięcia Skalda i o wyprawie jego wojów na Krete, dzięki czemu udało się pojmać Ainara i zorganizować serklandzki atak na Therę.

– Tak też robiłem, pani. Dostałem od niego pięć gołębi z Krety i stale wysyłałem je z wiadomościami. Dobrze wybrał, bo tylko ja w osadzie umiem pisać. Ostatniego ptaka wypuściłem przed trzema tygodniami. Wiadomość dotarła?

– Gołąb przyleciał, ale zgubił po drodze pergamin – skłamała. To rozwiązanie świetnie się sprawdzało, dopóki Nawlekacz przebywał na wyspie kussarów, jednak w zimie, gdy stacjonował w Miklagardzie, żadna wiadomość nie mogła do niego dotrzeć, bo kreteńskie gołębie potrafiły dolecieć jedynie na swoją ojczystą wyspę. – Opowiedz więc dokładnie, co działo się zimą na Therze.

– Nic szczególnego, pani. Sztormy były, więc ludzie siedzieli w domach i czekali nadejścia wiosny. Nieduże trzęsienie ziemi uszkodziło jedną z cystern na wodę, ale już ją naprawiono. Mieliśmy też złodzieja kóz, ale został...

– To mnie nie ciekawi. Wiesz, co działo się w obozie Vaeringów?

– Wiem, pani! – powiedział z dumą mężczyzna. – Nie na darmo Diarf najął właśnie mnie. Już gdy on tutaj dowodził, pracowałem przy budowie przystani w Górnej Arkadii. Znam się na tym jak nikt na wyspie. Gyrgir też mnie najął do budowy obozu, a potem powierzył mi zadanie dbania o wszelkie umocnienia, albowiem zimowe deszcze i wiatry osłabić mogą każdy wał. Byłem blisko najemników, a jeszcze bliżej ludzi Gyrgira

i niejednej rozmowie się przysłuchiwałam.

– I co usłyszałaś?

– No, chyba nic ważnego.

Sela czuła rosnące rozdrażnienie, ale potrafiła się opanować. Tym różniła się od większości mężczyzn, że swój gniew umiała odłożyć w czasie.

– To co się działo w obozie?

– Właściwie nic. Sztormy były, to nikt nie wypływał. Vaeringowie grali więc w kości i naprzykrzali się miejscowym. Ale na szczęście Gyrgir i nasz praitor Olympiodoros sprawiedliwie wynagradzali nasze krzywdy, płacąc nam monetami basileusa. Kristos niech błogosławi naszego ukochanego autokratora.

– Ten Gyrgir, o którym tak dużo mówisz, to ktoś znaczny?

– Przecież pisałem o tym jeszcze w lecie! To znakomity dowódca i nasz dobrodziej, który rządzi Vaeringami. Choć im wydaje się, że władzę nad nimi ma Magnolf Krwawa Siekiera.

– A nie ma?

– Pani, a czy to pies rządzi stadem owiec, czy człowiek, który tego psa karmi? Magnolf służy dla monet, którymi rozporządza Gyrgir – i to cała przewaga, jakiej potrzebuje eunuch, by górować nad najemnikami.

Sela uważniej przyjrzała się budowniczemu. Pod warstwą usłużności i powierzchownej tępoty krył się zdrowy rozsądek. Była gotowa przyznać, że Diarf dobrze wybrał szpiega.

– Od dawna znasz naszą mowę? – Skaldmaer przemówiła w języku Noregu i po oczach rozmówcy poznała, że ten dobrze ją zrozumiał.

Kyriakos milczał chwilę, jakby się zastanawiał, czy warto się zdradzić.

– Szybko chwytam nowe słówka – odpowiedział w końcu po vaerińsku, czym wywołał poruszenie w szeregach najemników. – Od późnego lata zacząłem was rozumieć, w połowie zimy nauczyłem się z wami porozumiewać.

– A co z nastrojami na wyspie? – zapytała w mowie, którą mogli

zrozumieć wszyscy obecni. – Miejscowi znoszą wybryki Vaeringów?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A co my mamy do gadania? Żołnierze a to zniszczą coś po pijaku, a to zbałamucą jakąś dziewczkę – jak to wojacy. Śmieją się z byle powodu, są głośni, szydzą z miejscowych zwyczajów i zachowują się tak, jakby nie znali jeszcze Kristosa. Słyszałem nawet głosy, że najemnicy jakimiś tajemnymi rytuałami oddają cześć pogańskim bogom. Ale nikt głośno się nie skarży, bo ludzie pamiętają, co stało się jesienią. Vaeringowie obronili wyspę przed Sarakenami z Krety. A wiadomo, że lepszy nieokrzesany obcy w służbie basileusa niż sąsiad, który chce twojej śmierci.

– Dobrze się spisałeś. – Odkopła uśmiechem wilcze doły na policzkach, w które złapała już niejednego drapieżnika, a następnie sięgnęła do sakiewki. Wyjęła trzy złote monety i położyła je na dłoni budowniczego. – Masz coś do dodania?

– Dziękuję i niech błogosławi ci Święta Panienska! Rzekłem już chyba wszystko.

– A co z waszymi kallikantzarami?

– To macie z nimi problemy też na Krecie?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Dziękujcie więc świętemu Sabbasowi, który odgania złe moce. U nas rzeczywiście się ich napleniło, ale milczałem, gdyż nie sądziłem, że będą cię ciekawić miejscowe opowieści. Jak przed świętem narodzenia Krista wylazły spod ziemi, tak nie chcą do niej wrócić, choć w poprzednich latach zawsze uciekały przed potęgą Dzieciątka Jezus. Dlatego niektórzy bajdurzą, że to wcale nie nasze kallikantzary, tylko jakieś stwory, które przybyły tu z Północy za Vaeringami. Ja tam nie wiem, choć od czasu do czasu najemnicy polują na te stworzenia, mówiąc, że chcą nas chronić. Słabo im to jednak wychodzi, bo bestie zabijają kozy, wykradają wino z piwnic i sikają na progi domów. Na szczęście przestali znikać nasi chłopcy, bo jeszcze wczesną zimą zaginęło kilkoro podrostków. Za to parę razy widziałem rozszarpane ciała żołnierzy, którzy niby to mieli spaść z urwiska albo pobić się o dziewczynę.

– Coś jeszcze mi powiesz o tych stworach?

– Niewiele, pani. Ludzie dużo o nich gadają, ale mnie się zdaje, że to mogą być wymysły znudzonych zimową bezczynnością rybaków. W obozie zasłyszałem też, że kilku Vaeringów zostało wygnanych z Arkadii. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że kallikantzary to wymysł najemników, dzięki któremu mogą bezkarnie kraść nasze kozy.

Skaldmaer wręczyła mężczyźnie kolejną monetę, za co próbował pocałować ją w rękę. Na szczęście udało jej się cofnąć dłoń.

– Możesz już odejść, ale miej uszy nastroszone niczym myśliwski ogar, bo mogę cię jeszcze odwiedzić. Nie lękaj się, jeśli we śnie ujrysz nagą kobietę lub gołego mężczyznę wskazujących dłonią twoje usta. W ten sposób poproszą cię, byś wszystko mi opowiedział. Zrób to, a nagroda z pewnością cię nie minie.

Sela była przekonana, że nic nie pojął z jej ostatniej prośby, choć gorliwie przytaknął i przyrzekł wierną służbę. Miała nadzieję, że gdy Grikkmad wyśni to, o czym go uprzedziła, wszystko sobie przypomni i zrobi, co należy. Chwilowo nie miała pod ręką żadnej seidkony ani seidmada, ale wiedziała, gdzie można znaleźć jedną śniącą.

Gdy mężczyzna odszedł, zajęła się swoimi świeżo umyтыми blond włosami. Wyczesła je grzebieniem z kości wieloryba i za pomocą rzemienia zawiązała w kucyk na czubku głowy. Lubiła to uczesanie, bo dzięki niemu wydawała się wyższa. Podwładni wiedzieli już, że nie cierpi, gdy przerywa się jej zabiegi upiększające, milczeli więc, by owo niecierpienie przywódczyni nie przerodziło się w cierpienie któregoś z nich. Dopiero gdy sięgnęła po drewnienko i nożyk do rzeźbienia, jeden z drengów otworzył usta:

– Czy już wiesz wszystko, co chciałaś? Możemy teraz upiec kożę, a rano wypłynąć?

– Tak, nie, nie.

Zawiedzeni żeglarze mruknęli.

– Jaki jest zatem plan?

– Odpocznijcie. Po zmroku trzech z was wyruszy do Dolnej Arkadii. Powiecie, że wasz statek zatonął na morzu i jako jedyni zdołaliście dopłynąć do brzegu. I natychmiast poprosicie o spotkanie z Magnolfem Krwawą Siekierą. Jest bardzo niezadowolony ze służby u basileusa, więc chętnie wysłucha waszej propozycji. A rzekniecie, że jego konung popadł w niełaskę władcy Miklagardu i zaproponujecie mu służbę u Diarfa Nawlekacza. Obiecujecie dwa razy tyle złota, ile płaci Gyrgir, i trzy razy więcej walki, niż zapewnia Skald. Pojmujecie?

– Tak – odpowiedzieli zgodnie jak chór eunuchów.

– A pozostali, pani? – dopytał Mscislav.

– Ty wraz z czterema drengami zostaniesz pilnować naszego stateczku, a reszta wyruszy ze mną w głąb wyspy. Wtedy dowiecie się więcej. I pamiętajcie: wyruszamy skoro świt, więc jeśli któryś się nie zjawi, uznam go za trupa.

Dalszych pytań nie było. Sela wzięła się do rzeźbienia, które zawsze ją odprężało. Po chwili trzymała w rękach drewniany wizerunek ludzkiego ucha. Wyglądało jak prawdziwe. Od dzieciństwa lubiła bawić się uszami.

* * *

Gaupa i Hedin przeciągnęli się po popołudniowej drzemce i mruknęli z zadowolenia. Nienawidzili skalistej wyspy, gdyż nie było na niej lasów, bagien, strumyków, wykrotów ani nawet porządnej czarnej, usłanej igłami ziemi, w której można byłoby się wytarzać. Wszystko śmierdziało rybą i morską wodą, a kamieniste podłoże wciąż kaleczyło ich bose ludzkie łapy. Bytowanie na Therze miało jednak i dobrą stronę – ciepło. Wiosenne słońeczko przyjemnie grzało ich kark, gdy leżeli na konarze drzewa oliwnego, które zaczęło już puszczać pierwsze liście. Aż szkoda było się budzić, jednak wzywającego do boju niedźwiedziego ryku nie można było lekceważyć. Zresztą nie mieli takiego zamiaru, bo nie istniał lepszy sposób na uczczenie nadchodzącej nocy niż zabijanie poprzedzone zaciętą walką.

Zeskoczyli z drzewa i wylizali dłonie, które ubrudziły się podczas leżakowania.

– Sssłyszę starszego brata. Czy dziś możemy walczyć?

Ryś i Płaszcz odwrócili się i unieśli głowę. Zobaczyli Ormhedina – wisiał plecami do dołu, oplatając konar drzewa nogami i rękami. Gadzi hamramir odchylił głowę tak bardzo, że znalazła się tuż obok ludzkiego łba Gaupa i Hedina, którzy nie cierpieli, gdy ich najmłodszy brat tak się zakradał. A jeszcze bardziej nie lubili, gdy robił to bezszelestnie nawet dla ich kocich uszu.

– A czy ryś oprze się kocicy w rui? Bój was nie minie, ale znacie zasady. Musicie pozostać w ukryciu, aż morderca i kot w naszej głowie pozwolą wam wyjść.

Z rozkazu Berhedina nowo narodzony hamramir znajdował się pod opieką Rysia i Płaszcza. Co prawda ci dwaj nie znosili go niańczyć, ale dobrze wiedzieli, dlaczego przywódca sfory akurat im przydzielił ten obowiązek. Chciał zająć ich myśli, sprawić, by przestali narzekać i kopać dołki pod konungiem Ainarem. Ale to się misiowi nie udało. Już wszyscy bracia zgadzali się z ich fukaniem na lubiącego bratać się z Grikkmadami Skalda. Zrozumieli, że ten marny poeta ich zdradził. Nakazał sforze zimować beczynn timer na wyspie, a sam uciekł. Potem jego ludzie obwołali hamramirów banitami i zaczęli na nich polować.

Zmiennokształtni nie musieli wyznaczać sobie miejsca zbiórki, gdyż nie byli zwykłymi drengami, którzy gromadzą się przed każdą potyczką, by dodać sobie otuchy piwem i okrzykami. Tańczący wojownicy rozumieli się bez słów, dlatego każdy wiedział, co i gdzie ma robić. Gaupa i Hedin przyczaili się za skałą, przy krzakach porastających zbocze góry. Słyszeli sapanie Berhedina, który ukrył się pięćdziesiąt kroków przed nimi, oraz kwik Svinhedina leżącego czterdzieści kroków na prawo. Trzydzieści kroków na lewo czyhał na wrogów Ulfhedin, który zdradził swoją pozycję krótkim szcęknięciem.

Najemnicy Magnolfa przyszli, gdy już się ściemniło. Było ich dziesięciu, a wszyscy nieśli pochodnie. Gaupa i Hedin ziewnęli, bo nudziły ich nowe pomysły ludzkich drengów. Wcześniej próbowali osaczyć bestialskich wojowników za dnia, a kiedyś nawet wysłali setkę ludzi, by zagonić ich

w pułapkę i zatłuc, jak to się robiło w przypadku tępienia wilków. Hamramirzy uwielbiali takie zabawy i z łatwością wymykali się nagonce, zachodzili ją od tyłu, po czym drapali, gryźli i dźgali pojedyncze ofiary. Vaeringowie zrezygnowali potem z wielkich polowań i tylko od czasu do czasu jacyś co mężniejsi czy co bardziej upojeni winem drengowie przysięgali rozprawić się ze zmiennokształtnymi. Część napastników rzeczywiście umiała walczyć, zwłaszcza ci z wielkimi toporami. Ryś przypomniał swemu towarzyszowi, że ich ludzkie ciało piętnaście dni temu zarobiło bolesne cięcie po żebrach. Taka była kara za niezgrabność. Jeszcze gorzej oberwał ich ociężały brat Urrhedin, który do tej pory leżał zagrzebany w norze po tym, jak zadziór włóczni rozszarpał mu lewy bok. Zresztą każdy z bestialskich wojowników został już tej zimy naznaczony żelazem, a liście Göllnira, którymi zwykli obkładać jęczące się rany, zaczęły się kończyć. Z pewnością jednak potrzeba było czegoś więcej niż dziesięciu drengów z pochodniami, by doprowadzić do zguby członków sfory.

– Mówię wam, że to zadziała! – Choć najemnik starał się mówić cicho, koci słuch Rysia wychwycił te słowa. – Hamramirzy są jak dzikie zwierzęta, a każda bestia, nawet najstraszniejsza, boi się ognia. Z łatwością wejdziemy na Górę Kallikantzarów i obwołamy ich tam nidingami o zajęczych sercach.

Gaupa i Hedin prychnęli cichutko i mruknęli, jakby walkiria głaskała ich po grzbiecie. Głupcy mieli nawet rację – bestie w ich głowach rzeczywiście nie przepadały za płomieniami, ale za braci miały przecież ludzkich Hedinów, którzy potrafili ujarzmić strach przed ogniem. Poza tym światło pochodni wcale nie pomagało żołnierzom, gdyż właśnie minęli pozycje Niedźwiedzia i Dzika, ale nic nie zauważyli i pięknie weszli w zastawioną pułapkę.

– Jeszcze tej nocy potroimy nasz majątek – ucieszył się inny najemnik.

„Koteczek nie pojmuje” – odezwał się głos w ich wspólnej głowie.

„Kici, kici, leży spokojnie. O zakład idzie, bo ludzie lubią stawiać monety na swoje życie” – wyjaśnił Hedin.

„A czy człek w naszej głowie też chce się założyć?”.

Płaszcz uświadomił sobie, że rzeczywiście brakuje mu takiego męskiego współzawodnictwa, no i lubił od czasu do czasu dać swojemu koteczki pstryczka w wąs.

„A na co rysiaczek chce postawić i co będzie nagrodą?”.

„W kocim rozumku to się kotłuje, że żaden z tych dziesięciu drengów nie wróci dziś do domu i jeśli słuszność będzie po rysiej stronie, oddam ci władzę nad naszą wspólną głową, gdy następnym razem ze skóry będziemy zwierza obdzierać”.

Obydwaj lubili rozbierać krówki, owce i sarenki. Płaszcz uśmiechnął się pobłaźliwie, bo lepiej od swojego zwierzęcego brata znał się na takich ludzkich sprawach.

„Koteczka przegra, bo Berhedin nigdy nie pozwala zabijać wszystkich i woli, jak ich tylko ranimy, straszymy i odganiamy do Arkadii. Przyjmuję zakład”.

Drengowie znajdowali się już tylko kilka kroków od nich. Berhedin, Svinhedin i Ulfhedin powinni już wyjść z ukrycia i zaatakować myśliwych z dwóch stron. Dopiero potem pozostali bracia mieli uderzyć od tyłu na związanych walką najemników. Nie stało się tak jednak, a Ryś i Płaszcz zrozumieli przyczynę opieszałości trzech hamramirów, bo też poczuli słodką woń koziej krwi i surowego mięsa. Czyżby drengowie z pochodniami stanowili część większej obławy? Hedin przypomniał Gaupowi, że już wcześniej próbowano ich zwabić zwierzęcą juchą i wtedy tańczący wojownicy niemal dali się złapać w zastawione przez Magnolfa wnyki. Tym razem musieli być ostrożniejsi.

Cichy pomruk niedźwiedzia nakazywał odwrót. Nie godziło się jednak zostawiać drengów bez pożegnania, bo nikt nie mógł bezkarnie spacerować pod nosem polującego Rysia. Nie chcieli jednak znów oberwać po uszach od Berhedina, dlatego byli posłuszni, ale krnąbrni zarazem, bo nie przeszkodzili Ormhedinowi w kąsaniu. Wąż za ich plecami lekko uniół się nad ziemię i rzucił nożykiem w kierunku jednej z pochodni. Żagiew upadła na ziemię, a na nią zwałił się dreng z przebitym gardłem. Ubranie zajęło się

ogniem, powodując zamieszanie w szeregach Vaeringów. Wężowy hamramir zostanie ukarany za brak posłuszeństwa, ale taki już los najmłodszych. Zresztą nic tak nie wzmacnia grzbietu, jak cięgi od starszego rodzeństwa.

Gaupa i Hedin podkręcili węża i powoli wycofali się w ślad za pozostałymi braćmi.

* * *

Sela kropiła. Zaobserwowała ten rytuał u kristiańskich mnichów, którzy wodą wyganiaли z ludzi i przedmiotów złe duchy. Ona nie chciała jednak nikogo wygonić, tylko przyzwać dzikie bestie, dlatego zanurzała gałązkę oliwną w cebrzyku wypełnionym kozią krwią i zamaszystymi machnięciami znaczyła mijane głązy, krzewy i drzewa. Na ramionach miała świeżo ściągniętą z Afrodyty skórę, a każdy z sześciu jej ludzi niósł krwawy ochłap surowego mięsa. Drengowie nie pojowali, dlaczego musieli chodzić po nocy, trzymając kozi udziec, wątrobę czy rogaty łeb, ale Skaldmaer nie miała ochoty im niczego wyjaśniać. Sama zresztą nie potrafiłaby przekonać samej siebie, że postępuje słusznie, bo próba odnalezienia hamramirów, zwanych tu najwyraźniej kallikantzarami, wiązała się z ogromnym ryzykiem.

Zgodnie z planem trzech jej ludzi wyruszyło do obozu Vaeringów, by zjednać dla ich sprawy Magnolfa. Ten ruch rozumieli wszyscy. Diarf stracił w Miklagardzie wielu ludzi, którzy zostali podkupieni przez Ainara, więc tylko czterdziestu najbardziej zaufanych drużynników Nawlekacza wyrwało się razem ze swoim przywódcą z Basilis Polis i odpłynęło na „Czerwonej Żmii”. Diarf miał jeszcze co prawda jeden okręt z załogą, która zimowała na Krecie, ale potrzebowali nowych wojów. Przymierze z Krwawą Siekierą mogło im to zapewnić i jeszcze dodatkowo pograć wiarołomnego poetę.

– Stąpajcie cicho i nie dobywajcie broni bez mojego wyraźnego przyzwolenia – przypomniała meykong. – Możemy być obserwowani.

Na szczęście niebo było wolne od chmur, więc księżyc i usługujące mu

gwiazdy świeciły wystarczająco jasno, by wędrowcy mogli obyć się bez pochodni. Sela prowadziła tę dziwną procesję, na której widok wujek Finlog skazałby się na miesięczną głodówkę. Opiekun wiele razy przez nią pokutował, gdyż w swojej poczciwości nie miał serca karać dorastającej dziewczynki, dlatego przed Kristem brał odpowiedzialność za jej występki.

– Pani... – Wspominki przerwał jej Ingi, który z całego oddziału miał najlepsze oko. – Widać tam poświatę.

Poetka spojrzała we wskazane miejsce.

– Może ktoś tam obozuje?

– Myślę, że to ludzie z pochodniami. I chyba zbliżają się do nas. Co robimy?

– Czekamy. Może pójdą w swoją stronę. Schowajmy się za tamtymi skała...

Zamilkła i uniosła nad głowę zakrwawioną gałązkę oliwną, nakazując ciszę. Zdawało jej się, że coś usłyszała. Coś jakby syk węża i pomruk niedźwiedzia. Gadów w tych okolicach było pełno, ale żaden szanujący się miś nie zapuściłby się w ten rejon świata.

– Przychodzimy w pokoju! – krzyknęła, ale na tyle cicho, by nie usłyszeli jej ludzie z pochodniami. Nie była też pewna, czy swoimi słowami się nie wygłupi, ale tylko śmiałością kobieta mogła zdobyć uznanie wojów.

Przez kilka uderzeń serca nikt się nie odzywał. Ludzie Seli spoglądali na siebie, nie wiedząc, co robić, choć wiedziały to ich ręce, które zacisnęły się na rękojeściach mieczy i styliskach toporków.

– Czego tu szukacie? – Głos wydobywający się z ciemności był głęboki i ponury, jakby słowa wyszły z niedźwiedziego gardła.

– Nie czego, tylko kogo. Szukamy mężnych hamramirów, którym nikt nie dorównuje w boju.

– Znaleźliście. A teraz odejdźcie albo spotka was los kozy, którą niesiecie.

– Chcemy tylko porozmawiać.

– Raczej zagadać, aż wasi towarzysze z pochodniami zajdą nas od tyłu.

Hedin i jego niedźwiedzi brat nie lubią się powtarzać. Po raz ostatni radzę wam odejść! I powtórzcie swoim wodzom, że rozmówimy się jedynie z naszym konungiem Ainarem Skaldem.

– To nie są nasi ludzie. Nie jesteśmy stąd. Chcemy was nająć i obsypać złotem!

Nikt jej nie odpowiedział. Zmrużyła oczy i wpatrzyła się w głązy, zza których dobiegał głos. Nic tam nie dostrzegła.

– Popłyńcie z nami na Krete, a nikt nie będzie na was nastawał i dostaniecie pełną swobodę w plądrowaniu wyspy.

Ponownie odpowiedziała jej tylko cisza. Układy nie szły dobrze, przeklęła więc w myślach wiewiórkę Ratatosk, która uwielbiała przegryzać nici wszelkich porozumień. Jednak Sela od dziecka była uparta, zatem i teraz nie zamierzała się cofnąć.

– Będziemy tu stać, aż z nami porozmawiacie.

Nienawidziła ciszy, ale ta za nic miała sobie jej odczucia i trwała nadal. Poświata zbliżała się w ich stronę.

– Co robimy, pani?

– Trzech niech schowa się za tymi krzakami. Reszta stoi ze mną. Skoro hamramirzy milczą, rozmówimy się z ludźmi, którzy się do nas zbliżają. I pozbądźcie się tego koziego ścierwa – rozkazała, sama odrzucając skórę, niemal już pusty cebrzyk i zakrwawioną gałązkę oliwną.

Meykong i jej drengowie pierwsi dostrzegli nadchodzących wojów. Było ich dziewięciu i maszerowali tak, jakby byli pod ostrzałem wroga. Trzech szło z pochodniami w środku, a pozostała szóstka tworzyła wokół nich krąg tarcz. Na widok nieznajomych stanęli, a obronny pierścień najeżył się włóczniami i mieczami. Rozluźnili się jednak i unieśli groty, gdy spostrzegli, że naprzeciw nich stoi dziewczyna.

– Kim jesteście? – odezwał się brodac z pochodnią.

– Wypada, by to wódz przedstawiał się kobiecie, a nie na odwrót.

– Mów, dziewczko, bo przerzucę cię przez kolano i w zastępstwie ojca nauczę pokory wobec drenga.

Nie wiedziała, co ją bardziej zdenerwowało, potraktowanie jak młódki, czy wzmianka o ojcu.

– Jestem tą, która pohańbiła waszego konunga, ośmieszyła go w oczach gardskonunga Miklagardu i sprawiła, że wszyscy dowiedzieli się o jego wiarołomstwie!

– Chyba się przejęzyczyłaś, cielaczk. To on musiał pohańbić ciebie. Zrobił ci bachora? Pewnie nie tobie jedynej, bo chutliwy jest nasz konung niczym sam bóg Njörd. Masz jednak szczęście, bo nasz hojny Gyrgir chętnie płaci każdej dziewczce, która poznała twardość oręza z Północy. Z pewnością i tobie nie poskąpi.

Najemnicy Magnolfa gruchnęli śmiechem, a co gorsza poetka także za swoimi plecami usłyszała stłumione dłonią prychnięcie. Pyszniła się, że potrafi z pełnym opanowaniem przywdziewać na twarz różne maski, ale teraz przyszło jej tylko podziękować bogini Nott, która zakryła ciemnością jej poczerwieniałe policzki. Była wściekła tak bardzo, jak nie potrafi żaden mężczyzna, nawet berserk, nikt bowiem nie gniewa się równie zajadle jak obrażona kobieta. Opanowała się, choć urazę zamierzała wypiełgnować w ukryciu, po czym rzekła:

– Chętnie przygarnę trochę monet dla mojego maleństwa. Możecie mi pokazać drogę do tego Gyrgira?

Mężczyźni z pochodniami zastanawiali się chwilę, szepcząc między sobą, po czym ich brodaty dowódca oznajmił:

– Dobrze. Nie jest bezpiecznie tu przebywać, nawet z tymi trzema wojami, którzy cię pilnują. A w ogóle skąd się tutaj wzięliście?

– Jesteśmy kupcami z Noregu, którzy niedawno przybyli w te strony. To znaczy oni są – wskazała za siebie – bo ja jestem tylko córką ich sternika.

– To ciebie zapraszamy do środka. Będzie się lepiej szło, gdy poświecimy na takie ładne dziewczę. A twoi ludzie niech idą za nami.

– Zatem postanowione – zgodziła się, tupiąc nóżką w podłogę.

Ainarsdottir skorzystała z uprzejmości tarczowników, którzy zrobili jej przejście, i weszła do środka szyku. Gdy jej trzech ludzie ustawili się z tyłu

pochodu, drengowie ruszyli w drogę. Uśmiechnęła się zalotnie, gdy brodaty wódz położył jej wolną rękę na tyłku i powiedział:

– Gyrgir zapłaci też za dwóch bękartów.

Tyłek miała krągły i piękny, więc nie zdziwiła się, gdy poczuła na nim rękę drugiego wojownika, który na dodatek ją uszczypnął. Chcieli zabawić się we trójeczkę? Do takich igraszek zawsze była chętna.

– A płaci za godziwy pochówek swoich wojów?

– Co?

Pchnęła nożem, który wcześniej dobytek z zawieszanej u szyi pochwy i trzymała ukryty w rękawie. Tak małe ostrze nie miało szans prześlizgnąć się pod żebrami i sięgnąć serca, dlatego wycelowała w brzuch. Zaskoczony brodac zgiął się wpół, upuszczając pochodnię. Korzystając z zamieszania, Skaldmaer sięgnęła po rękojeść przewieszzonego przez ramię miecza. Wyszarpnęła go z pochwy i tym samym płynnym ruchem cięła na odlew.

W coś trafiła, chyba w czyjeś ramię, ale nie była pewna, bo wojownicy z pochodniami odskoczyli, wpadając na towarzyszy i ich przewracając. Za wszelką cenę musiała się wyrwać z kręgu, który stał się teraz jej więzieniem. Dała nura w powstałą lukę, depcząc po czyichś plecach. Ktoś złapał ją za nogę. Padła i odturlała się na bok, akurat w porę, by nie zostać stratowaną przez własnych ludzi. Ci, którzy zamykali pochód, uderzyli na przeciwników od tyłu, a trójka, która kryła się w krzakach, zaatakowała od przodu. Pochodnie zostały ciśnięte na ziemię i przygasły, więc Vaeringowie musieli się zadowolić światłem, którym łaskawie obdarzył ich księżyc wraz z gwiazdami. Mani nie był jednak przesadnie hojny i w blasku jego tarczy ledwo dało się dostrzec, kto wróg, a kto przyjaciel.

Sela miała w sobie wiele z wilka, a nic z zająca, więc nie miała zamiaru wylegiwać się na ziemi. Zerwała się na nogi, podniosła porzuconą przez któregoś z wojowników tarczę i ruszyła w bój, by niczym walkiria wybierać drengów do zarżnięcia.

Dzięki jej chyżości w myśleniu między walczącymi zapanowała równowaga sił. Dowódca napadniętego oddziału nie zdołał już bowiem wrócić do walki, tak jak jeden z jego przewróconych wojów, który trzymał

się za ramię i cofał ku krzakom. Siedmiu walczyło z siedmioma, ale to ludzie poetki mieli przewagę zaskoczenia. Przeciwnicy nie zdołali na powrót uformować szyku i potyczka zamieniła się w pojedynki.

Oblubieńcem walkirii został łysy wojownik uzbrojony w miecz i tarczę. Wyznała mu miłość zamaszystym cięciem, które miało go pozbawić głowy. Zasłonił się skjaldem i zaatakował, celując w jej lewy bok. Uskoczyła, po czym cięła wysoko, ale dreng zbił uderzenie i odpowiedział pchnięciem. Tym razem zblokowała tarczę, pamiętając, by nie trzymać jej w bezruchu, tylko uderzać drewnianą osłoną, wychodząc orężowi wroga na spotkanie. W ten sposób osłabiała się ciosy przeciwnika, co więcej, miało się szansę na wytrącenie mu broni z ręki. Łysol był jednak rzemieślnikiem zbyt wprawnym w bitewnych pocałunkach, by nabierać się na takie proste sztuczki.

Za plecami Skaldmaer ktoś jęknął i ciepła krew trysnęła jej na kark. Nie dała się rozproszyć, nie oderwała wzroku od wyższego o głowę przeciwnika. Dreng był od niej silniejszy, więc starała się przed nim uskakiwać, oszczędzając tarczę i lewe przedramię. Odpowiadała sporadycznymi atakami na łysy czerep. Czekwała. Rozdrażniony przedłużającą się walką wojownik rąbał coraz mocniej i coraz wścieklej, gdyż jego miecz nie był nawet w stanie porządnie ugryźć tarczy. Sela doskonale wyczuwała jego nastrój, bo podobnie zachowywał się każdy mężczyzna, gdy nie mógł zmóc kobiety. Denerwowała go więc dalej, płasząc, krążąc wokół niego i zadając szybkie ciosy w kierunku twarzy. W końcu się doczekała. Vaering zaczął wyżej trzymać skjald. Przyjęła mocarne uderzenie na *skjaldarbukl*, żelazny środek tarczy, i udając, że siła rąbnięcia ugięła pod nią nogi, przykucnęła, a następnie cięła mieczem tuż nad ziemią. Dreng przejrzał jej podstęp i opuścił drewnianą zasłonę, ale było za późno. Ostrze o szerokość dwóch palców minęło dolną krawędź skjaldu i ucięło stopę najemnika. Łysol nie miał zwinności czapli, która potrafi łapać ryby, stojąc na jednej nodze, zwałił się więc na ziemię.

Uchyliła się przed zadaniem od tyłu zdradliwym ciosem w szyję, obróciła i rąbnęła na wysokości brzucha nowego wroga. Żelazo głucho stuknęło

o tarczę obciągniętą skórą. Uderzyła ponownie, ale w ostatniej chwili wstrzymała ostrze. Zdała sobie sprawę, że walczy z własnym podwładnym, który uraczył ją przeproszającym spojrzeniem i pospieszył szukać zwady z kimś innym.

Rozejrzała się. Jej pojedynek trwał dłużej, niż się spodziewała, gdyż potyczka dobiegała już końca. Trzech jej ludzi osaczało dwóch przeciwników skutecznie broniących się włóczniami. Na jej oczach jeden z ludzi Magnolfa wbił oręż w tarczę napastnika, szarpnął i wyrwał mu osłonę z rąk, z czego skorzystał drugi osaczony, nawlekając na grot, aż po same skrzydełka, pozbawiony ochrony brzuch przeciwnika. Sela wraz z drengiem, z którym o mało się nie pozabijali, zajęli miejsce poległego. Było teraz czworo na dwóch.

– Poddajcie się, a zachowacie życie! – okazała łaskę córka Ainara.

Na jej znak podwładni przestali nacierać, choć nadal okrążali włócznie, uniemożliwiając im ucieczkę.

– Nie uwierzymy komuś, kto napadł nas zdradziecko w nocy jak najbliższy niding.

Poetka parsknęła śmiechem. Wojowie uwielbiali się obrażać, ale większość nie potrafiła toczyć słownej potyczki z kobietą. Ci tutaj zwali ją nidingiem, czyli chłopem postępującym niemęsko, jak baba.

– Mnie takie zachowanie przystoi, bo przecież kobiety znane są ze swojej podstępnej natury. Ale wam? Czyż nie przybyliście tutaj pod ukryciem ciemności, by polować na hamramirów?

– To co innego... – W głosie włócznie słychać było wahanie. – To bestie i zabijając je, nie złamiemy naszego drengskapu.

Przewróciła oczami. Ileż to już razy słyszała, jak mężczyźni zasłaniają się drengskapem, zbiorem honorowych zasad dla napuszonych głupców, lecz zapominają o nim, gdy trafiała się jakaś dzierlatka do zgwałcenia.

– Nie jest rozsądnie tak brzydko mówić o hamramirach. Mogą cię jeszcze usłyszeć.

Obaj włócznie rzucili szybkie spojrzenia na okoliczne skały.

– Dobrze. Poddamy się, ale nie tobie, boś jest dziewczka, a przed taką moja broń nigdy nie opada.

– Twoja żona przy praniu gada coś innego. Że opada całkiem często, za to nigdy nie leży spokojnie, gdy sypiasz we wspólnej sali z drużynnikami.

Jej ludzie wybuchli śmiechem, zauważyła też, że drugi z osaczonych nieznacznie się uśmiechnął.

– To jak będzie? Jeśli wolisz popisywać się włóczęgą przed jednym z moich ludzi, twoja sprawa. Spieszcie się jednak z decyzją, bo nie mam ochoty sterczeć tu przez pół nocy.

Włóczęgcy milczeli chwilę. W końcu jeden z nich kiwnął głową, a drugi oznajmił:

– Przysięgnij tylko na pierścień Jednorękiego... Albo nie. Dziewka nie będzie szanować męskich przyrzeczeń. Obiecaj na Brisngamen, że puścisz nas wolno i pozwolisz nam zabrać ze sobą rannych.

„Wolno, tylko bez uszu” – pomyślała. Lubiła mieć po pokonanych mężczyznach pamiątki, a ci dwaj zasłużyli na karę choćby za złośliwość, jaką jej właśnie czynili. Z pewnością nie mieli bowiem na myśli tego, że Brisngamen był najcenniejszym przedmiotem w zaświatach, ale to, w jaki sposób bogini miłości zdobyła ten naszyjnik. Musiała spędzić po jednej nocy z jego twórcami, a były to cztery paskudne karły.

– Przysięgam na naszyjnik bogini Gefny, że odejdziecie stąd wolni albo przez resztę życia będą mnie zaspokajać szkarady.

Odpowiedział jej ryk niedźwiedzia. Vaeringowie, zapominając o własnej walce, zaczęli się lękliwie rozglądać.

Dostrzegła cień. Jakaś zgarbiona istota pędziła ku nim koślawo, jakby kulą, choć poruszała się niemal bezszelestnie. W trzymany przy ziemi łapach połyskiwały żeleźce toporków. Sela krzyknęła ostrzegawczo i odskoczyła na bok, zasłaniając się tarczą. Przy głazach po swojej lewej stronie zobaczyła kolejny cień, większy od poprzedniego. Należał do stworza odzianego w futro i dzierżącego w łapach ogromny konar drzewa. Wymiarkowała, że musiał to być rodzaj maczugi.

Drengowie bez słowa weszli w tymczasowy sojusz i ustawili się przodem do nowego zagrożenia. Jednak nim cienie zdołały dobiec do najemników, za plecami Vaeringów pojawiło się kolejne zagrożenie.

Ainarsdottir mrugnęła raz i drugi, ale rzeczywistość nie chciała okazać się przywidzeniem. Spod ziemi wyłonił się mężczyzna w pył obleczony i zaatakował wojowników. Musiał być karłem drążącym tajne przejścia w skalistym podłożu wyspy albo mistrzem pełzania, który zakradł się tutaj, gdy ludzie Północy byli zajęci walką. Stwór uzbrojony był w dwa nożyki, niewiele większe od kozika do rzeźbienia. Wstając, ciął jednego z ludzi meykong pod kolanami. Rany nie mogły być głębokie, ale nie musiały, by okazać się śmiertelne. Vaering krzyknął z bólu i odwracając się, machnął na oślep mieczem. Trafił w tarczę jednego z ludzi Magnolfa i połamał ją, na co włócznik odpowiedział pchnięciem, uznając, że zawieszenie broni dobiegło końca. Wszyscy rzucili się sobie do gardeł. W ten kotłujący się oddział uderzyły nadbiegające cienie. Dwa kolejne oderwały się od pobliskich głazów i pospieszyły ku walczącym.

Sela trzymała się nieco z boku, nie z lęku, ale z roztropności. W takim ścisku łatwo było otrzymać cios w plecy od przyjaciela. Szybko oceniła, że jej ludzie nie mają żadnych szans na zwycięstwo w starciu z hamramirami, bo właśnie nimi musieli być napastnicy. Pomyślała, że skoro norny wyszły jej śmierć na tej skalistej wysepce, przynajmniej weźmie ze sobą jak najwięcej ludzi ojca. Obrąła za cel drenga z tarczą i włóczęnią, ostatniego stojącego o własnych siłach człowieka Magnolfa, który zdołał się jakoś wyrwać z zamieszania i uciekał w kierunku morza. Ruszyła biegiem, ale nie musiała długo go ścigać. Mężczyzna sam ku niej zawrócił, gdyż na jego drodze stanął przysadzisty hamramir z dwoma krótkimi oszczepami, którego postawa miała w sobie coś z sylwetki świni.

Skaldmaer krzyknęła, by zwrócić uwagę włócznika, i ku swojej radości rozpoznała w nim jednego z miłośników jej tyłka, który chciał pobawić się z nią w trójkę nieświętą. Początkowo wojownik próbował ją wyminąć szerokim łukiem, ale w końcu zawrócił i ruszył prosto na Selę. Musiał chyba uznać, że szanse na ucieczkę są znikome, albo też dojść do wniosku,

że czmychania przed kobietą nie da się dopasować do drengskapu.

Przyjęła postawę obronną i poczekała na pierwsze pchnięcie. Zbiła skjaldem włócznię, uważając, by grot nie wbił się w tarczę, po czym poszła do przodu z wyciągniętym przed siebie mieczem. Chciała nawlec na ostrze brzuch przeciwnika, ale dreng odskoczył i zasłonił się tarczą, więc jej sztych niegroźnie dziabnął deski. Ruszyła za ustępującym przeciwnikiem, nie pozwalając mu odzyskać przewagi odległości, jaką dawała mu długa broń. W zbliżeniu najemnik z Północy nie mógł wyprowadzać pchnięć, więc machnął włócznią w bok, grotem przy samej ziemi, zapewne w nadziei, że cios zwali lekkiego przeciwnika z nóg. Sela przeskoczyła nad drzewcem i jeszcze w powietrzu cięła w dół, celując w dłoń wojownika. Zdołał umknąć, więc pieśniarka rąbnęła ponownie, tym razem w głowę. Vaering zablokował cios tarczą, po czym odrzucił nieporęczną włócznię i dobył zawieszoną przy pasie saksa.

Teraz to Sela miała dłuższą broń, zrobiła więc krok do tyłu, jednak najemnik nie pozwolił jej na zwiększenie dystansu. Natarł z całą mocą, a na jego twarzy malowała się pewność zwycięstwa. Uderzył tarczą, równocześnie wyprowadzając zdradzieckie pchnięcie pod dolną krawędzią skjaldu. Poetka była prawie pewna, że zdołałaby się obronić, ale nie zdołała się o tym przekonać. Dreng poślizgnął się, grzmotnął plecami o ziemię i znieruchomiał. Do jego butów lepiły się kozie jelita, a z boku głowy, którą uderzył o kamień, sączyła się strużka krwi. Nie bez przyczyny skaldowie śpiewają, że norny właśnie z jelit wyszywają przeznaczenie wojownika.

Meykong rozejrzała się, gotowa stawić czoło kolejnemu przeciwnikowi. Nie było komu. Potyczka dobiegła końca, a zwycięzcy całkowicie lekceważyli pieśniarkę, ku jej wielkiemu oburzeniu. Jeden pełzał, by przystawiać ucho do ust konających drengów, drugi ocierał się plecami o skałę, trzeci tarzał się w ziemi, czwarty sikał na ciała poległych, a piąty tulił do policzka odnalezioną w krzakach kozią skórę.

Przez głowę Skaldmaer przemknęła myśl, że mogłaby się wycofać, wrócić do reszty swoich ludzi i zapomnieć o całej sprawie. Utrata szczęścia

drengów była na wojnie rzeczą błahą. Tylko że ona nienawidziła przegrywać i zawsze dostawało to, czego chciała. Wzięła głęboki wdech, po czym przywoła z pamięci pieśń Thorbjörna Hornklofięgo, której nauczył ją dziadek.

At berserkja reiðu vilk spyrja,

bergir hræsævar,

hversu es fengit

þeim's í fólk vaða

vígdjörfum verum?^[1]

– Pięknie przemawia w mowie Północy i jeszcze troszczy się o naszą zapłatę – stwierdził hamramir z maczugą.

– Nie godzi się, by tak zacnych karmicieli kruków, którzy niegdyś byli drużynnikami najznakomitszych konungów Północy, dziś tak lichy wynagradzano. Czym zawiniliście, że traktują was jak wściekłe psy?

– A czemu myśl o naszym przeznaczeniu zajmuje ten śliczny dziewczęcy łebek?

– Ponieważ norny wysłały mnie tutaj, by polepszyć wasz los. Ponawiam ofertę! Chcę was nająć do służby.

Ocierający się o skałę hamramir ryknął śmiechem. Odpowiedziało mu wesołe ujadanie, radosne kwilenie i koci chichot. Słowa odniosły jednak skutek, gdyż szaleni wojownicy oderwali się od swoich zajęć i otoczyli dziewczynę.

– Walczyłaś tej nocy jak niedźwiedzica. Dzielnie. Ale czy jesteś głucha niczym miś podczas snu zimowego? Mówiliśmy już, że nie szukamy nowego pana.

Tarczowniczką poznała po głosie, że ten sam mężczyzna przemawiał do niej wcześniej, z ciemności. Uznała, że misiopodobny mąż jest dowódcą watahy.

– Słuch mam doskonały, jak to u pieśniarki. Dlatego już w Miklagardzie dotarły do mnie wieści o konungu Vaeringów, który zdradza własnych ludzi.

Wilczy hamramir warknął na nią groźnie i pokazał zabarwione na czerwono kły. Dowódca uciszył go krótkim fuknięciem.

– Odejdź, póki możesz. Jeszcze nie mamy z tobą zwady.

– Skoro nie jesteście mi wrogami, dlaczego zaatakowaliście moich ludzi? Walczyliśmy przecież z tymi, którzy przyszli na was polować.

– Oni wszyscy – tańczący wojownik wskazał maczugą na ciała poległych – byli ludźmi naszego konunga Ainara Skalda. Nikt obcy nie może ich bezkarnie zabijać. Nawet jeśli oni sami nastawali na nasze życia.

„Ale nie spieszyliście im z pomocą” – zakpiła w myślach. Zrozumiała, że hamramirzy posłużyli się jej oddziałem, by pozbyć się problemu. A kiedy myśliwi byli martwi, szaleńcy pomścili ich, zabijając osłabionych walką zwycięzców. Mimo pokrętnego sposobu myślenia bestialscy wojownicy byli całkiem sprytni, dlatego pieśniarka jeszcze bardziej zapragnęła mieć ich po swojej stronie.

– Dlaczego zatem ja żyję? – poruszyła niewygodny temat, wbrew podszeptom zdrowego rozsądku. – Ubiłam dwóch waszych sprzymierzeńców, którzy tak po przyjacielsku chcieli was zgładzić.

Przez chwilę wszyscy stali w milczeniu. Przerwał je dopiero hamramir noszący opaskę z rysiej skóry, który bawił się dwoma niewielkimi toporkami. Dziwak głośno wciągnął nosem powietrze, wypuścił je powoli wykrzywionymi w dzióbek ustami, poruszył wąsami i oznajmił:

– Twoja krew pachnie znajomo.

Zmarszczyła czoło i uniosła jedną brew.

– Moja krew?... – I wtedy spadła jej na głowę kropla ze źródła Mimira, przynosząc olśnienie. – Pachnie jak krew waszego konunga, czyż nie?

Wódz watahy podszedł do kobiety i nie zważając na miecz, który wciąż dzierżyła w dłoni, nachylił się, powąchał szyję poetki, a potem zszedł nosem w dół, aż do krocza, które nadal było wilgotne od miesięcznej krwi.

– Tak. To chyba to – zawyrokował, choć jego głos wskazywał, że jeszcze nie jest pewny.

– Na pewno to! – krzyknął rysi wojownik i podskoczył jak kociak

z płonącym ogonem. – Ona śmierdzi jak Skald, mówi jak Skald i jest bezczelna jak Skald. Zabijmy ją, zanim nas zdradzi jak Skald.

Sela podziękowała własnej przezorności, która nie pozwoliła jej wypuścić tarczy z ręki. Teraz uniosła skjald i zasłoniła się przed rąbnięciami dwóch siekier. Drewniana osłona, nadwerężona wcześniejszymi razami, w końcu pękła. Pieśniarka cisnęła resztkami tarczy w hamramira i zamachnęła się mieczem. Mężczyzna odskoczył, ale sztych drasnął go w udo. I był to dopiero początek jego tarapatów. Wielka jak bochen chleba pięść niedźwiedziego drenga uderzyła go w pysk. Kulawy wojownik poleciał w górę i padł na ziemię kilka kroków dalej, mrużąc pod nosem przekleństwa.

– Spokój! – ryknął wódz. – A tobie, kobieto, po raz ostatni radzimy odejść.

– Bez was nie odejdę! I wiedzcie, że nie jestem taka jak Ainar Skald, choć jestem jego rodzoną córą. Wysłuchajcie chociaż wieści o swoim konungu!

Niedźwiedzi hamramir zrobił krok do przodu, położył ciężką łapę na ramieniu dziewczyny, prychnął, potrząsnął łbem najeżonym szczeciną brązowych, sterczących we wszystkie strony włosów, po czym ryknął jej prosto w twarz. Zaśmierdziało stęchłym winem i koziną, ale Sela nie cofnęła się ani nawet nie odwróciła wzroku. Widząc, że poetka nie ustąpi, naburmuszony bestialski wojownik rzucił niedbale:

– Mów.

– Ainar stracił swoją pozycję wśród Grikkmadów. Nie może się już mienić konungiem Północy, bo za zdradę gardskonunga pewnikiem został stracony. – Mogłaby na tym skończyć, ale coś w oczach hamramira powiedziało jej, że lepiej nie kłamać. Poza tym dopuszczała do siebie myśl, że jej obdarzony węzowym językiem ojciec zdołał i tym razem wyrwać głowę spod topora. – A nawet jeśli przeżył, nie zdołał zmyć z siebie hańby. Jeśli tu wróci, to tylko jako zwykły najemnik, podwładny Magnolfa albo Gyrgira. Wasz los został przesądzony i nieważne, jak dzielnie będziecie się opierać, w końcu ubiją was na tej kamienistej,

zapomnianej przez Asów wysepce. Możecie jednak popłynąć ze mną i służyć mi na Krecie, a nie zabraknie wam złota, wina, zwierzyny łownej ani okazji do walki.

– Mamy służyć kobiecie? – Pytającym był nagi wojownik z wyraźnie przykrótką włócznią między nogami.

Wiedziała, że obojętnie ile by się nagadała, każda rozmowa z mężczyznami zawsze sprowadzała się do tego samego. Dlatego przewidziała takie pytanie, miała więc gotową odpowiedź.

*Ulfheðnar heita,
þeirs í orrostum
blóðgar randir bera,
vigrar rjóða,
þás til vígs koma,
þeim's þar syst saman^[2]*

– Choć skaldowie różnie nazywają takich jak wy, zawsze działacie razem i jesteście jak bracia. Jest was garstka, ale wiecie, że w jedności siła. Potrafię docenić waszą lojalność, choć jestem tylko kobietą. Czy to samo możecie powiedzieć o Ainarze? – Poczekała trzy uderzenia serca, by sami sobie odpowiedzieli. – Tego, że jestem dziewczką, zmienić nie mogę. Ale moją panią jest Gefna, która przywdziewa strój sokoła, jeździ wozem zaprzęgniętym w koty, a czasem na oklep dosiada dzika Hildsvinięgo. Duchy zwierząt zamieszkujących wasze głowy nie są jej obce. Mam też pochodzący od Göllnira, waszego opiekuna, dar poezji. Niektórzy mówią też, że włada mną szaleństwo óðr. I pewnie dlatego chcę nająć waszą watahę.

– To bez znaczenia – powiedział dowódca watahy, ale Seli zdawało się, że słyszy w jego głosie smutek. – Trzy są przysięgi hamramirów i nie można ich złamać. Wierność Göllnirowi, wierność braciom i wierność konungowi.

– Przysięga rzecz święta. Nikt nie chce narażać się bogom. –

Rozpaczliwie szukała rozwiązania. Nie wiedziała zbyt wiele o hamramirach i szczerze ją zdziwiło, że byli tak przywiązani do Ainarą. Większość ludzi, których jej ojciec napotkał na swojej drodze, błogosławiło dzień, w którym stracili go z oczu. – Ja też wiązę się ze swoimi drużynnikami przysięgą wierności, której nie odważyłam się nigdy złamać. Pojmuję wasze rozterki i obiecuję, że nie będę was wysyłać w bój przeciw Ainarowi. Nigdy nie skrzyżujecie z nim broni, więc nie będą was mogli zwać łamaczami ugód.

– Za dużo słów – mruknął niedźwiedzi wojownik, po czym ryknął na swoich braci, którzy ruszyli w stronę pobliskich głązów.

– Zaczekajcie! – W głowie zaświtał jej pomysł. – Jak dokładnie brzmiała wasza przysięga złożona Ainarowi?

– Na krew swoją przysięgamy strzec krwi naszego konunga! – odpowiedział przywódca, jedyny hamramir, który jeszcze nie odwrócił się do niej plecami.

Skaldmaer zatańczyła brwiami i pokazała wojakowi dołeczki na swoich policzkach. Wiedziała, że właśnie założyła obrozę na szyję niedźwiedzia i teraz musiała mocno trzymać za sznur, by zdobyć się nie wyrwać.

– Jestem z krwi Ainarą. Służąc mi, nie złamiecie przysięgi! A nawet więcej – wcześniejsza przysięga zobowiązuje was do posłuszeństwa wobec mnie.

Tańczący wojownicy zawrócili i znów ją otoczyli. Dostrzegła wesołość w harmiderze ich kwików, wyc, mruknięć i syków. Nawet koci dreng, który wcześniej ją zaatakował, mrucał radośnie pod nosem, podkręcał wąsa i trząsał zadem, jakby miał ogon.

– Co powiecie, braciszku? – ryknął wódz watahy. – Pójdziemy z młodą niedźwiedzicą lędźwiami Skalda powołaną do życia?

– Byliśmy już na Krecie – powiedział nagi wojownik z krótkimi oszczepami w dłoniach. – Są tam lasy i jest błoto. Lepiej będzie nam tam niż tutaj.

– Umie walczyć mieczem i tarczą. Jak wilk – oznajmił inny, po czym

zawył do księżycyca.

– Ssspryt wyczuwam w słowach Skalda córy. Rozdwojony ma jęzor jak u źmii, ale i serce mężne jak u sssmoka. Popełzamy tam, gdzie jej stópki nas zaprowadzą. – Wężowy dziwak padł na ziemię, owinał się wokół nóg Skaldmaer, po czym wstając za jej plecami, liznął nową panią po dłoni. Meykong z trudem się powstrzymała przed zmiękczeniem mu męskości porządym kopniakiem.

– Kocica potrafi podrapać Kocurka – oznajmił ten, który dopiero co próbował usiec ją siekierką. – Nie może być gorszym panem od Skalda.

– W jedności walczymy i w jedności podejmujemy decyzje. – Dowódca podrapał się po nosie i pokiwał głową z zadowoleniem. – I ja rzeknę, że popłyniemy wraz z tobą, ale przysięgi nie zmienimy. Krwi Ainara nie godzi się nam rozlewać, choć twoje życzenia będą rozkazami naszego konunga. Zgodę musi jeszcze wyrazić nasz ranny brat Urrhedin, ale jesteśmy przekonani, że i on nie będzie miał nic przeciwko opuszczeniu tego skalistego więzienia.

– Znakomicie! Pospieszajcie po swojego brata, bo i ja mam tu coś do załatwienia.

Dwóch hamramirów pobiegło w ciemność, a trójka pozostała na miejscu i całkiem przytomnie zaczęła okradać poległych. Ainarsdottir nie pozwoliła im jednak obrabować ciał jej ludzi, bo jako ich władczyni sama przywłaszczyła sobie do tego prawo. Po krótkim spacerze w ciemnościach odnalazła też pyskatego najemnika, z którym wadziła się w boju. Mężczyzna dychał jeszcze, choć wciąż był zamroczony po tym, jak poślizgnął się na kozich jelitach i uderzył głową w kamień.

– Chciałeś mi może zrobić bękarta? Pozwól, że się odwdzięcę – rzekła niedoszłemu kochankowi.

Obróciła mężczyznę na brzuch, zdjęła mu portki i sięgnęła po leżącą obok włócznię. Mierzyła krótko, po czym wbiła grot w bruzdę. Wojownik oprzytomniał i wrzasnął, a wtedy meykong przekreśliła drzewcem i kręciła nim, dopóty nie ustały jęki gwałconego. Puściła oręż, a ten został na miejscu, wbity głęboko w ciało i w ziemię.

– Zgłoś się do Gyrgira po odszkodowanie – powiedziała i splunęła na zwłoki.

Trzech hamramirów siedziało nieopodal i z zaciekawieniem przyglądało się jej poczynaniom. Uśmiechnęła się, wskazała na trupa i pogroziła palcem. Ufała, że nowi drengowie zrozumieli ostrzeżenie. Sięgnęła do zawieszanej na szyi sakiewki i wyciągnęła z niej rzeźbione ludzkie ucho. Cisnęła je między trupy, szepcząc w noc: „By tatuś wiedział, kto zabrał mu zabawki”.

24

„Życie w niełasce bywa całkiem przyjemne” – pomyślał Ainar i sięgnął po barani udziec, duszony z zieleniną, orzechami i oliwkami. Danie było przednie, tak jak wszystko, co podstawiała mu pod nos Kallirroë zwana na co dzień Zoe.

– Zjesz więcej, mój ty dzielny Konstancjuszku?

Gospodyni poety, źródło jego radości i strapień, spoczywała wraz z nim na leżance ustawionej nieopodal niewielkiego, ale suto zastawionego stolika. Ubrana była w prostą białą suknię, w której jeszcze przed chwilą gotowała południową strawę. „To *esophorion*, a nie suknia” – wyjaśniła mu po raz dziesiąty, ale dla niego spodnia tunika bez rękawów, haftowana złotą nicią na dole i na okrągłym dekolcie, była wystarczająco dworna, by nazwać ją suknią. Jednak ubiór bladł wobec pasa dziewczyny. Wysadzany szafirami *zonarion* z czerwonej skóry wart był więcej niż cały jej dom. Pieśniarz wolał nie pytać, skąd go wzięła, by nie psuć sobie nastroju myślami o jej dawnych kochankach.

– Wystarczy to, co przygotowałaś.

Skald poklepał się po brzuchu, który ostatnio niebezpiecznie się zaokrąglił, wypychając przód czerwonego skaramangionu. Bogata szata, podarowana mu zeszłego lata przez gardskonunga, miała plamy po tłuszczu

i o wiele więcej po winie, ale nie była jeszcze w złym stanie, gdyż Zoe z zawziętością godną lepszej sprawy co tydzień ją prała.

– W takim razie pójdę się pomodlić.

– Nie musisz przede mną klękać.

– Konstantynie! – Dziewczyna zerwała się z leżanki, a w jej źrenicach, osadzonych odrobinę za blisko zadziornego noska, pojawiły się iskierki gniewu. – W mym domu się nie bluźni! Chcesz, by znowu nawiedziła mnie Kallirroe?

Pieśniarz pokręcił głową i sięgnął po kubek z winem. Nie chciał się kłócić, przynajmniej nie teraz, bo kobiece wrzaski i płacze skończyłyby się obrzędami ku czci bogini miłości, a on był bardziej głodny niż spragniony ciała dziewczyny. Nie poprawił jej więc, gdy po raz kolejny nazwała go kristiańskim imieniem, po czym z udawanym zrozumieniem spoglądał, jak pali świece przy świętych obrazkach i mówi do nich wciąż te same słowa.

Wrócił do swoich wcześniejszych rozważań.

„Niełaska gardskonunga jest znacznie lepsza niż łaska władców Północy”. Po psocie, jaką urządziła mu jego najdroższa córuchna, autokrator i jego poplecznicy zaczęli go traktować z nieufnością. Musiał im przypomnieć, że to przez samego basileusa został wysłany na Thery z poleceniem przyłączenia się do tamtejszych najemników. Współpracując z Nawlekaczem, wypełniał więc wolę samego Konstantyna Porfirogenety. Przywołując też całą swoją umiejętność przekuwania słów, skłamał, że zdrada Diarfa zaskoczyła go równie mocno jak Grikkmadów. Z kolei milczeniem zbył pogłoski, że tajemnicza pieśniarka była jego córką. W Wielkim Pałacu dano wiarę zapewnieniom Ainara, bo wszystkim były na rękę. Grikkmadowie potrzebowali jego ludzi, których wartość jeszcze wzrosła po zwycięskiej bitwie morskiej u wybrzeży Thery. Poza tym Skald dał dworakom do zrozumienia, że od jego bezpieczeństwa zależy lojalność wszystkich ludzi Północy. Mimo wszystko stracił dostęp do towarzystwa tych, którym warto było towarzyszyć, a choć nadal nazywano go konungiem Vaeringów, traktowano jak zwykłego najemnika. Nie mógł mieć im tego za

złe, bo obelżywa pieśń Seli nie była jedyną szkodą, jaką krnąbrne dziecko wyrządziło jego sławie.

Nie miał pojęcia, jakim sposobem udało jej się wszystko tak dokładnie zaplanować, ani jak zmusiła do posłuszeństwa Diarfa i jego zabijaków. Sam miał przecież problemy, by utrzymać swoich ludzi w ryzach. W każdym razie poradziła sobie świetnie nie tylko z przedstawieniem w Hipodromie, ale i z późniejszą ucieczką.

„Siła i szybkość orężem są drenga, ale to dobór właściwej chwili przynosi mu zwycięstwo” – Ainar wspomniiał słowa swojej babki, gdy jako szczeniak uczył się łapać na rękę łososie w rzekach Noregu. Dla Seli i Nawlekacza tym właściwym czasem był dzień Luperkaliów, kiedy trudno było znaleźć w mieście choć jednego trzeźwego mężczyznę. Korzystając z ogólnego pijaństwa, śpiewów, korowodu tancerzy i karczemych bójek, niepostrzeżenie wyszli poza mury miasta, udali się do dzielnicy świętego Mamasa, gdzie obozowali wszyscy Vaeringowie, i zebrali wokół siebie wiernych drengów. Tych na szczęście nie było zbyt wielu, bo Niegrzeczne Niedźwiadki przeciągnęły na stronę Skalda wielu ludzi Nawlekacza, kusząc ich obietnicą złota lub grożąc śmiercią w męczarniach. Uciekinierzy mieli już przygotowaną snekkję. Nikt nie przeszkodził im w odpłynięciu, okręty basileusa nadal bowiem zimowały na lądzie, a ludzie Ainara jeszcze nic nie wiedzieli o zdradzie, uznali zatem, że powodem rejsu jest jakiś zakład lub nieprzemyślany ślub uczyniony po pijaku. Wśród pomysłów najemników na zabicie zimowej nudy ten wcale nie byłby najgłupszy. Tymczasem pieśniarka i jej wojowie dobili do brzegu na południe od Miklagardu, złupili niewielką nadbrzeżną osadę, po czym odpłynęli na dobre, zostawiając za sobą stos trupów i spalone domy. W wiosce nie było niczego cennego, było więc jasne, że kierowali się nie chciwością, ale pragnieniem zniszczenia prestiżu Vaeringów w służbie basileusa. I to się im częściowo udało. Przybysze z Północy nigdy nie cieszyli się wielką sympatią mieszkańców Byzantionu, ale po tych wydarzeniach wprost ich znieawidzono. Pewnej nocy dwóch szwendających się po pijanemu drengów Skalda zostało zaszlachtowanych w ciemnym zaułku dzielnicy

portowej, a pieśniarz musiał zakazać swoim ludziom samotnych wypraw w obrębie murów miejskich.

Skończył posiłek, co uczcił kolejnym kubkiem wina. Jak każdego wiosennego popołudnia, o tej porze był już lekko ruszony, choć jeszcze nie pijany. Stan ten wprowadził go w nastrój do drzemki – jedyne grikklandzkiego zwyczaju, który jako urodzony węgłozerca otwarcie pochwalał. Przymknął oczy, ale w zaśnięciu przeszkodziło mu babskie zawodzenie.

Źródłem drażniącego hałasu nie była Kallirroe, gdyż jej rytmiczne modły brzmiały jak kołysanka i Skald nieraz przy nich zasypiał. Lament dobiegał z zewnątrz, więc Ainar niechętnie wstał, dowlekł się do okna i uchylił drewnianą okiennicę.

Na dole stała niebrzydka Grikklandka odziana w sposób zwyczajowy dla bogatych i zamężnych kobiet, czyli w suknię mającą ukazywać zarówno przepych, jak i skromność. Przepych objawiał się jaskrawymi kolorami odzienia – żółtym, czerwonym i jasnozielonym – oraz wzorzystością tkaniny, z której uszyty był *delmatikion*. Skromność, cechę znienawidzoną przez konunga, uwidaczniał krój stroju. Suknia sięgała kostek, miała długie, rozszerzające się ku nadgarstkom rękawy, półokrągły i płytki dekolt kończący się tuż przy szyi, a na dodatek była tak obszerna i niedopasowana, że nie dawało się pod nią dostrzec żadnych kobiecych kształtów. Na szczęście lamentująca niewiasta nie zapięła guzików u góry delmatikionu, przez co widoczna była górna część bielutkich i nabrzmiąłych od mleka piersi. Tego, że były wielkie właśnie od mleka, można się było domyślić po utrzymanym przez przybyłą niemowlaku.

Skald cofnął się w głąb izby, by kobieta go nie dostrzegła. Usiłował sobie przypomnieć, czy czasem nie spotkał jej zeszłego lata, ale uspokoił się, gdy wymiarkował, że dziecko wyglądało na zbyt duże, aby mogło być jego. Dlaczego więc Grikklandka zawodziła pod ich oknem? Jej słowa niczego nie wyjaśniły, bo wciąż przeklinała jakąś nieznaną mu niewiastę, nazywając ją „gello”. Pomyślał, że nieznanajoma pomyliła domy, ponownie więc zbliżył się do okna, uchylił okiennicę i nakazał jej się oddalić, a dla

wzmocnienia przekazu rzucił zgarniętą ze stołu baranią kością.

Nie posłuchała i nawet nie zwróciła uwagi na pocisk, który padł u jej stóp. Na widok pieśniarza zaczęła jeszcze głośniejszym lamentować i krzyknęła, by trzymał się z daleka od gello, bo inaczej demonica wysysie krew także z jego dziatwy. Chciał odpowiedzieć, że upuszczenie krwi wysłoby Seli na dobre, ale powstrzymał się, gdy kobieta uniosła niemowlaka. Potrząsnęła nim, a ten zamachał nóżkami oraz rączkami jak szmaciana lalka. Przybysz z Noregu pojął, że dziecko było martwe, i głupio mu się zrobiło z powodu rzuconej kości. Na starość robił się ckliwy, choć więc nie znał bachora, sam widok martwego malca poruszył w nim tę gorszą, niemęską stronę natury, która czasem dawała o sobie znać podczas długiego pijaństwa. Rozwahał nawet, czy nie rzucić kobiecie kilku monet na pochówek, ale pojął, że zrozpaczona rodzicielka z pewnością nie przyszła po złoto. Przedstawienie dobiegło już zresztą końca, bo przybiegł postawny mężczyzna, zarzucił niewieście płaszcz na ramiona, objął ją, utulił i pociągnął za sobą. Poszli wzdłuż ulicy i po chwili zniknęli za rogiem domu z kolumnami.

Poeta wrócił na leżankę, zwaną tutaj akkubitą, ale przeszła mu ochota na drzemkę. Zapatrzył się na Zoe, do której nie dotarło nic z całego zamieszania. Nadal mówiła do obrazu, a obraz do niej ani razu. Miała przy tym tak rozpromienioną i szczęśliwą twarz, jakby właśnie doznawała cielesnej rozkoszy albo przymierzała nową suknię. Widniały przed nią cztery święte ikony – trzy wisiały na ścianie, a jedna stała na drewnianej skrzyni, pomiędzy świeczkami, kadzidełkami i bukietami wczesnowiosennych kwiatów. Dziewczyna wznosiła modły właśnie do tego ostatniego malowidła, które przedstawiało scenkę świetnie pasującą do lamentu kobiety spod okna. Widniała na nim ubrana po grikklandzku matka trzymająca na lewym ramieniu niemowlaka i wskazująca coś prawą dłonią. Głowy obojga były ozdobione złotymi koronami przypominającymi księżycy w pełni. „To Theotokos Hodegetria, czyli Bogurodzica wskazująca drogę” – zdradziła mu kiedyś Zoe. Uwielbiała rozprawiać o swoich świętych obrazach. Handlarz, który sprzedał jej tę ikonę,

utrzymywał, że jest to tak zwany *acheiropoietos*, czyli przedstawienie nie ręką ludzką namalowane. Czyją więc, Skald nie musiał pytać, by poznać zdanie dziewczyny, choć sam był pewny, że ręka ta z pewnością należała do ludzkiego rzemieślnika – i to dość marnego. Jeśliby bowiem kristiański Bóg był choć w dziesiątej części tak wszechpotężny, jak utrzymywali Grikkmadowie, musiałby umieć lepiej malować.

– Skończyłam – oznajmiła kochanica, wstając z kolan. – Ale jeśli chcesz się pomodlić, chętnie ci potowarzyszę.

– Następnym razem – skłamał.

– Zawsze tak mówisz. – Oblicze pornaski spochmurniało. Ainar wspomniął sztorm burzący fale w fiordach Noregu i swoje rodzinne gospodarstwo, które porzucił tak dawno temu. Zrobiło mu się smutno, jakby sprawił Kallirroa zawód. Nie po raz pierwszy kobieta igrała sobie z jego humorami. – Na nic twoje nawrócenie, jeśli nie będziesz prosił o dar wiary! Dla pogan przewidziane są ognie piekielne.

Na końcu języka miał odpowiedź „lubię ciepło”, ale powstrzymał się, nie chcąc wywoływać nowej wojny o obrazy. Słyszał, że poprzednia trwała u Grikkmadów całe pokolenia.

– Piekło to nieobecność ciebie u mego boku – powiedział polubownie, bo on też miał dar władania cudzym nastrojem, zwłaszcza kobiecym, wiedział zatem, że takie rzewne, nic nieznaczące wyznania są czarodziejskimi zaklęciami do rozwierania dziewczęcych nóg.

– Znam ja te gierki! – Zmarszczyła nosek, ale wcale już nie gniewnie, tylko słodko, i pogroziła mu palcem, a w geście tym więcej było zmysłowości niż przestrogi. Może i wiedziała, jakim wężowym językiem jest Skald, ale wiedza ta wcale nie chroniła jej przed urokiem pieśniarza.

– Twoja uroda lśni blaskiem, który zabija mroczne myśli w mojej głowie. Przy tobie staję się lepszym człowiekiem.

– Bo w to uwierzę! – powiedziała z udawanym oburzeniem, ale nie potrafiła ukryć zadowolenia. Poeta dobrze wiedział, że pornaska niczego nie pragnęła mocniej niż jego szczerego nawrócenia.

Zoe przytuptała na bosaka do kochanka i zarzuciła mu ręce na szyję. Piękne w swojej nieregularności źrenice zaczęły iskrzyć od namiętności. Ainar uniósł jej sukienkę, to znaczy spodnią tunikę, położył dłoń na pośladku i ścisnął. Nie cierpiał się przytulać, więc od razu przeszedł do czynienia rzeczy rozkosznych. Pocałował dziewczynę w usta. Odpowiedziała tym samym i wskoczyła mu na ręce, oplatając tułów poety nogami. Zaniósł ją pod tę samą ścianę, na której wisiały święte obrazki, i oparł plecami o różowawe kamienie. Nie protestowała, przynajmniej teraz, bo Ainar był pewien późniejszej wojny o to, że znów przywiódł ją do złego. Jednak w tej chwili kobieta była we władaniu swojej lepszej, lubieżnej natury Kallirroe Wszechstronnej, która zagłuszyła pobożną Zoe.

Przerwało im wołanie z za okna. Tym razem nikt nie płakał, a przybysz nie pozostawiał wątpliwości, z kim chce się zobaczyć, bo wyraźnie wypowiadał imię Skalda. Konung znał ten głos. Spróbował go zlekceważyć, ale gdy przybysz nie dawał za wygraną, puścił pornaskę i sięgnął po pusty dzban po winie, żałując, że nie ma nic cięższego do rzucania.

– Cóż czynisz, najdroższy! – osadziła go w miejscu kochanka. – Przecież to twój przyjaciel. Całkiem zapomniałam, że zaprosiłam go na dzisiejsze popołudnie. Obiecał mi opowiedzieć o hagogach z wyspy, z której pochodzi.

– Wielbiciele bydła. Krowie zadki zastępują im żony, a cielęca skóra służy za materiał do pisania nudnych ksiąg – szepnął Ainar, tłumiąc złość i odstawiając naczynie na miejsce. Gdy dwa tygodnie temu poznawał pornaskę z Finlogiem Bardem, wydawało mu się to świetnym pomysłem. Miał nadzieję, że były mnich wyręczy go w wysłuchiwanie religijnych bajdurzeń. I tak rzeczywiście się stało, pieśniarz nie przewidział jednak, że zachwycona Irskmadem kobieta będzie go ciągle do siebie zapraszać, a Finlog wykaże się nadzwyczajną umiejętnością wpadania z wizytą nie w porę.

– Co rzeczesz, mój luby?

– Nic, nic – burknął. – Zejdź po gościa, bo jeszcze mu kości przewieje

ten zimny wiosenny wicher.

Grikklandka stała chwilę ze zmarszczonymi brwiami, a potem rozejrzała się po izbie, jakby dopiero co tu przybyła. Twarz jej nabrała poważnego wyrazu, a postura, choć nadal uwodzicielska, stała się jakby skromniejsza.

– Czy my... – Spojrzała najpierw na kowala słów, a potem na swoje obrazki i ze strachem w oczach przeżegnała się trzy razy. Zapewne miała ochotę paść na kolana i przeproszać święte malowidła za grzeszne myśli oraz czyny, ale gość na zewnątrz głośno dawał znać, że nadal czeka. Wymruczała więc tylko krótką modlitwę i zesłała na dół.

Po czasie, w którym Skald zdążył wypowiedzieć trzynaście przekleństw i ułożyć dziewięć kenningów mogących zastąpić w pieśni słowa „wścibski mnich”, do izby weszła Kallirroe, a zaraz po niej Finlog, zwany przez poetę Siedmiopalczystym Mnichem. Niósł dzban, który od razu postawił na stole, po czym uśmiechnął się do przyjaciela. Czerwony trunek przyjemniej zachlupotał o ścianki, a kilka drogocennych kropeł wylało się na stół.

– Z winem? Naprawdę? Dobrze pomyślane – zadrwił wódz z Północy, bo właśnie darem od Barda został podtruty kilka miesięcy temu.

– To przecież nie fouska. – Były mnich poczerwieniał i spuścił wzrok. – Myślałem, że mamy to już za sobą. Ale skoro nadal mi nie ufasz...

Uczony nalał wina do cynowego kubka Ainara i sam najpierw się napił. Nic się nie wydarzyło, więc poeta wyrwał kubek z rąk gościa i też się poczęstował. Wino było kwaśne, smaczne i chłodne, jakby dopiero zostało wyjęte z piwniczki.

– Z zasobów gardskonunga?

– To? – Finlog roześmiał się, ale zaraz spoważniał, widząc ponure spojrzenie Vaeringa. – Masz wiele umiejętności, ale smakoszem czerwonego napoju, który sam Kristus pobłogosławił w Wieczerniku, zmieniając trunek w swoją krew, to ty nie jesteś... mimo iż w pałacu nazywają cię bukłakiem na basileusowe wino. To smaczny napitek, ale kupiłem go po drodze w ergasterionie zaprzyjaźnionego kapelosa.

Konung kłopotliwy wystarczająco długo bawił w Miklagardzie, by

wiedzieć, że winny ergasterion to miejsce, gdzie można było napić się trunku lub zakupić go na później. Znał wszystkie takie winiarnie w okolicy. Dziwował się jednak, że mistrzem podniebienia mienił się ktoś, kto jeszcze kilka tygodni temu pościł na słupie. Od tego czasu były munki zdążyły pozbyć się łańców i przytyć. Dzisiaj odziany był jak dworzanie basileusa, w sięgający kolan skaramangion z krótkimi rękawami. Szata była zielona i ozdobiona wzorem złotej szachownicy. Dopełnienie stroju stanowiły żółta tunika, takiego samego koloru spodnie i skórzane pantofle z wymalowanymi na czubach złotymi krzyżykami. Przyodziewek, jak już wcześniej wyznał Bard, był podarunkiem od autokratora, który chciał się w ten sposób odwdziżyć Siedmiopalczastemu za pomoc w ukończeniu jakiejś ważnej księgi.

– Przyszedłeś prawić o winie? Bo Zoe napomknęła, że chcesz zanudzać jej śliczną główkę opowieściami o świętych mężach z twoich rodzinnych stron.

– Konstancjuszku! – Dziewka klepnęła go po ramieniu, ale tylko udawała oburzenie. W towarzystwie Finloga nigdy nie okazywała prawdziwego gniewu.

– Niemal o tym zapomniałem. Wybacz, moja pobożna przyjaciółko, ale to będzie musiało poczekać. Tym razem odwiedziłem cię w poszukiwaniu Ainara.

„Pobożna przyjaciółko”? Skald sięgnął po zawieszony na szyi nożyk do rzeźbienia i wydlubał nim kawałek baraniny spomiędzy zębów. Będzie musiał zakazać tych odwiedzin, bo przecież Irskmad już niegdyś złamał dla kobiety śluby czystości. A po tygodniach spędzonych na słupie i miesiącach rozłąki z żoną musiało go nieźle cisnąć w kroczu, tym bardziej że nie zwykł odwiedzał mastropeionów.

– Mówiłem ci już po stokroć: jeszcze za wcześnie na żeglowanie. Nie uratujemy twojej Hvity, jeśli wcześniej zatopi nas wzburzone morze.

– Ja nie o tym. Przynoszę wieści z pałacu.

Do tej pory Bard szukał towarzystwa poety głównie po to, by wypytać go o pogodę i dowiedzieć się, kiedy fale się uspokoją, a oni będą mogli

wyruszyć. Dlatego odpowiedź gościa szczerze zaskoczyła pieśniarza.

– O wszystkim donosi mi Ali. Jest teraz znaczną osobistością na dworze, a przynajmniej za taką się uważa. – Uśmiechnął się szpetnie, by pokazać, że drwi sobie z zaszczytów Czarnego Berserka, choć niepomnie go złościło, że Blamad ma w pałacu większy posłuch niż on, konung ludzi Północy.

– Właśnie Czarny Achilles mnie tu wysłał.

– No to wyduś w końcu z siebie, o co chodzi.

– Autokrator Romejów, Konstantyn siódmy tego imienia, zaniemógł minionej nocy. W pałacu mówią, że został otruty.

– A nie donosiłeś mu ostatnio wina?

– To poważna sprawa.

Śmierć władcy zawsze była pomnym wydarzeniem, które dla ludzi sprawnych i bystrych otwierało nowe możliwości. Kowal słów nie potrafił odmówić sobie jednak tej chwili wesołości i podziękował strzegącej go hamingji, że tym razem nie padło na niego. Gdy kilka miesięcy temu został potraktowany jadem, myślał, że to tutaj coś niezwykłego. Później dowiedział się, że przez okres jego bytności w Miklagardzie przynajmniej kilku możnych panów pomarło od tajemniczych brzusznych boleści. Basilis Polis w istocie było gniazdem nidingów, którzy zabijają po babsku, z ukrycia.

– Wcale nie jest mi do śmiechu – powiedział i wyszczerzył zęby. – Jeśli szukają sprawcy, mogę polecić Alego. Ma wprawę w odnajdywaniu trucicieli.

– Na razie szukają ciebie. Dostojny domestyk scholi Nikefor Fokas zaprasza cię na naradę.

– To rozumiem. – Skald rozsiadł się wygodnie na leżance z kubkiem wina w dłoni. – W końcu przypomnieli sobie o konungu kłopotliwym.

Trzy nabite na tyczki głowy zaczynały już śmierdzieć. Zapach przyciągnął muchy, które usadowiły się w uszach, wchodziły do otwartych ust, przechadzały się po zębach i z dociekliwością uczonych badały dziurki w nosie. Siedzący na pobliskiej skale sęp przyglądał się ich pracy, dając do zrozumienia, że już niebawem łby staną się jego przysmakiem. Na razie w swojej łaskawości dawał jednak owadom spokój, bo on i jego trzej pobratymcy najedli się pozostałymi częściami ciała rybaka i jego dwóch synów. Niemal do cna oczyszczone z mięsa szkielety leżały nieopodal kamiennego ogrodzenia.

Diarf Nawlekacz nie pozwalał zdjąć czerepów z kijów, gdyż, jak mawiał, „ktoś musi pilnować moich pornasek”. Najpierw były ich dwie, stara i młoda, a potem już tylko młoda, bo pierwsza, czyli żona rybaka, zmarła po dwóch dniach niedoli. Jej córka była bardziej wytrzymała i dopiero dzień jedenasty okazał się dla niej ostatnim. Leżała teraz na brzuchu, brudna i naga, z pokaleczonymi dłońmi i stopami, z porozbijanymi kolanami i z głębokimi, jątrzącymi się zadrapaniami na tyłku i plecach. U szyi miała powróż przywiązany do środkowej tyczki, z której szczytu spoglądał na dziewczynę łeb starego rybaka – jej ojca.

– Który ją zabił? – zapytał przywódca Vaeringów.

Nawlekacz wezwał na thing wszystkich najemników, jak tylko z samego rana doniesiono mu o śmierci dziewczyny. Stał teraz nad ciałem nieszczęsnej, miotając gromy na ustawionych dookoła ludzi. Był tak wysoki i chudy, że sam przypominał tyczkę, między którymi sterczał, a jego łysa głowa znajdowała się na tej samej wysokości co ucięte łby.

– Pewnie umarła zmęczona naszym męstwem – odpowiedział rudy wojownik, który chwycił dłonią ukryte w portkach przyrodzenie i wymownie nim potrząsnął.

Z gardeł kilku najemników wydobył się okrutny śmiech, który zaraz został uciszony groźnym spojrzeniem przywódcy.

– Ktoś jednak musiał jej w tym pomóc, bo na szyi ma sine pręgi, niechybny znak duszenia. Któryś z was ostro się z nią zabawił, a to bardzo, bardzo nieładnie i zupełnie nie po przyjacielsku, bo zepsuł zabawę

pozostałym. Tak mi się odwdzięczacie za okazaną wam dobroć? Nie zatrzymałem dziewczek dla siebie, do czego miałem prawo, ale zmieniłem je w pornaski i pozwoliłem z nich nieodpłatnie korzystać. Nawet nasza meykong, która ma dłuższego kutasa niż większość was, mogła się zabawić.

Tym razem Nawlekacz nie powstrzymał śmiechu drengów i utkwiał wzrok w Seli.

„On wie” – pomyślała Ainarsdottir, ale wytrzymała spojrzenie i uśmiechnęła się do wodza. To ona ukróciła cierpienia Grikklandki. Żałowała tylko, że nie zrobiła tego wcześniej. Otwarcie nie mogła jednak okazać słabości i sprzeciwić się poleceniom łysego Vaeringa, jednak ukradkiem trudno było dostać się do córki rybaka, bo nieustannie ją odwiedzano. Udało się to poetce dopiero minionej nocy. Spodziewała się dostrzec w oczach duszonej dziewczyny choćby drobny wyraz wdzięczności, ale znalazła tam wyłącznie obojętność.

– Mój miecz jest z metalu, noszę go w pochwie i wyjmuję tylko przeciw drengom w bitwie. Chude dziewczki zadowolam palcami!

Nie wszyscy w lot pojęli, do jakiego bezceństwa unosiła kielich, dlatego śmiech wybuchał falami. Tylko Diarf nie okazał wesołości, zapewne odczytując jeszcze jedno znaczenie jej słów. Nie odrywał od niej wzroku.

– Kto tej nocy pełnił straż?

– Ja pilnowałem do północy! – przyznał się jeden z wojowników. – Ale wtedy dziewczka jeszcze dychała, klnę się na Jednorękiego! Gdy odchodziłem, wiła się pod Flokim, który po mnie miał pilnować obozu.

– Zatem mamy zabójcę. To Floki.

Łysy, wytatuowany od stóp do głów wojownik z podejrzanym uśmiechem wpatrywał się w martwą dziewczynę. Dopiero usłyszawszy swoje imię, uniósł wzrok i zmarszczył brwi. Kiedy dotarło do niego, że został oskarżony, zawołał:

– Ja? Przysięgam, że nie. Nawet nie tknąłem jej szyi.

– A po tobie ktoś z nią spółkował?

– No...

– Co „no”?

– No... nie widziałem.

– Zatem albo ty ją udusiłeś, albo, co gorsza, źle stróżowałeś i jeszcze cięższa kara się ci należy. Zajmiesz miejsce tej dziewczyny. Rozebrać go.

Wszyscy stali oniemieli, a Floki przenosił tępe spojrzenie od martwej dziewczyny do Diarfa. W końcu jego dłoń powędrowała do rękojeści wiszącego mu u pasa toporka. Żaden dreng nie mógł pozwolić, by wystawiano go na taką hańbę.

Napięcie rozładował Diarf, wybuchając śmiechem.

– Ale masz minę, Floki! Zawziętą i wykrzywioną, jakby już ktoś ci włócznią tyłek przebijał!

Niedoszła ofiara gwałtu odpowiedziała wymuszonym uśmiechem. Inni nieśmiało mu zawtórowali. Niegdyś wszyscy śmialiby się do rozpuku z takiego dowcipu, ale niedawno zaczęła krążyć o ich przywódcy dziwna opowieść, która zapewne była kłamliwa, wzbudzała jednak pewne wątpliwości. Według niej Nawlekacz podczas pobytu w Byzantionie zabawiał się z eunuchami. Meykong była przekonana, że za tymi oszczerstwami stał jej ojciec, gdyż nie wierzyła, by jej ukochany mógł zhańbić się wstydliwą zbrodnią ergi.

– Żarty żartami, ale karę mieć musisz. Trzy noce z rzędu będziesz stróżował i przez trzy dni nie dostaniesz żadnego trunku. Uprzątniesz też ciało dziewczyny. No, chyba że ktoś jeszcze chce skorzystać... Podobno tyłek wychładza się na samym końcu.

Dobre samopoczucie najemników powróciło. Mężczyźni znów szczerze rechotali i zachęcali się nawzajem szturchańcami, zakładami i wyzwaniem. Nikt jednak nie kwapił się do skorzystania z ostatniej szansy. Tylko Floki, który odzyskał już pewność siebie, ukradkiem polizał kąciki ust.

Spotkanie dobiegło końca i wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Jedni udali się grać w hnefatafl lub w kości, inni chwycili za osełki, by wziąć się do ostrzenia i tak już ostrej broni, a pozostali zaczęli naprawiać kolczugi,

wyklepywać hełmy lub traktować smarem tarcze. Jednym słowem: nudzili się.

W podobny sposób przebiegały poprzednie dni. Vaeringowie przyплыли tutaj niemal przed dwoma tygodniami i już pierwszego dnia zabili lub uwięzili jedynych mieszkańców wyspy – rybaka i jego rodzinę. Nie zadając sobie trudu, by poznać nazwę małego lądu, ulokowali się w posiadłości martwego gospodarza, a Skaldmaer wysłali w zdobyczej łodzi na Thereę. Właściwie to sama chciała popłynąć, a wyprawa była jej pomysłem.

Wróciła przed ośmioma dniami. Ledwo zdążyła, bo pogoda straszliwie się popsowała i gdy tylko pieśniarka wpłynęła do ukrytej małej zatoczki, morze wzburzyło się sztormem. Przez cztery dni wysokie fale biły o postrzępione skały i zalewały kamieniste wybrzeża, a z rozświetlonego błyskawicami nieba lały się strumienie deszczu. Żeglarze zostali uwięzieni na wyspie i nie mogli, tak jak pierwotnie zakładali, udać się prosto na Kretę.

Cztery dni temu niebo znów zrobiło się niebieskie, a morze błękitne i spokojne, jak dziecko drzemiące w kołysce. Wszyscy czuli w kościach, że nastąpiła pora żeglugi, handlu i łupieży. Chmur nie było prawie wcale, zrobiło się ciepło, a drzewa wybuchły zielenią. Mimo to Nawlekacz upierał się, by jeszcze trochę zostali na wyspie. Najpierw przekonywał, że przed długą podróżą otwartym morzem na Kretę lepiej się upewnić, czy spokojne wody nie są tylko pułapką Aegira, chcącego zwabić do siebie niecierpliwych żeglarzy. Później zjednął wszystkim pomysłem, że należy skorzystać z tak dobrej kryjówki i zasadzić się na jakiś kupiecki statek. Nie wypadało się przecież pokazywać kussarom bez łupów, a na Kretę najlepiej opłacało się przywozić towary na sprzedaż. Otrzymałą od basileusa rogę zakopali wcześniej na jednej z wysepek, bo głupotą byłoby pojawić się w gnieździe złodziei z tak dużym bogactwem.

Sela siedziała oparta o skałę i rzeźbiła. Wiedziała, że Nawlekacz wezwie ją do siebie jeszcze tego samego dnia, choć na razie okazywał jej obojętność, a nawet lekceważenie. Wraz z kilkoma najemnikami pił i grał w kości w domu rybaka. Późnym popołudniem, gdy pod stopami miała już

całe stadko zwierzęcych figurek, Diarf w końcu po nią posłał.

Zastała go samego. Stał w jedynej izbie kamiennego domku i korzystając ze światła wpadającego przez otwarte okno, porównywał dwa groty do włóczni. Jeden był wąski i długi na półtorej stopy, drugi miał kształt liścia oraz skrzydełka u nasady. W pomieszczeniu znajdował się kamienny stół, piec i wielkie łoże oparte o wschodnią ścianę. Wszędzie leżały porozbijane dzbany i śmierdziało rozlanym winem.

Uśmiechnęła się zalotnie, a on odłożył żeleźce na stół i przywitał ją uderzeniem otwartej dłoni w twarz. Syknęła, ale stłumiła wściekłość, sięgając do głęboko ukrytych pokładów tak lubianej przez mężczyzn pokory. Potarła dłonią piekący policzek i dotknęła językiem pękniętej wargi.

– Zasłużyłam.

Naprawdę tak myślała. Kara należała jej się nie za to, że udusiła dziewczynę, ale za to, że nie udało jej się z tego wykpić.

– Trzeba było zostać w Noregu i tam litować się nad bezpańskimi sukami.

– Nie przez litość ją zabiłam. Skończyła się zima i nie będę dłużej znosić rozprzężenia wśród moich ludzi. Już trzy bójki wybuchły o tę dziewczkę, w tym jedna śmiertelna.

– Twoich ludzi? Nie zapominaj, że tylko dzięki mnie możesz się bawić w meykong. Jedno moje słowo i skończysz jak córka rybaka.

Wygięła usteczka do całowania i wykorzystując zawahanie Nawlekacza, doskoczyła do niego, jednocześnie wyjmując z rękawa kozik do rzeźbienia. Przyłożyła ostrze do przyrodzenia wojownika.

– Gdyby nie ja, tępaku, nadal nabijałbyś na włócznię wieśniaków w biednych północnych kraikach. Wszystko, co zdobyłeś w Grikklandzie, zawdzięczasz mojemu pomyślunkowi!

– Jesteś bezczelna jak twój ojciec.

Słowa zaboląły ją bardziej niż policzek. Co więcej, nie mogła pomścić zniewagi, bo Diarf nadal był jej niezbędny.

– Wiara we własną siłę niezbędna jest drengowi. Doceniam wszystko, co dla mnie robisz, bo czymże byłaby najtęższa głowa bez wsparcia zbrojnego ramienia?

– To czyni z nas taką świetną parę – rzekł, po czym nachylił się i pocałował ją w usta, lekceważąc żelazo przy swoim völsim.

Odpowiedziała na pocałunek, bo wciąż kochała tego przerośniętego, okrutnego głupka. Gdyby nie on, nigdy nie wyrwałaby się z Wyspy Irów i nie miałyby szansy na swoją córczyną zemstę. Włożyła mu rękę pod koszulę i pociągnęła za kępkę włosów na plecach. On chwycił za kuca zawiązanego na czubku jej głowy. Schowała nożyk i sięgnęła po völsiego, który powinien być już gotowy do składania ofiar bogom płodności, ale pozostawał leniwym bezbożnikiem. Wodzowi zdarzało się to coraz częściej. Wyrwała się więc z objęć kochanka, by oszczędzić mu wstydu, i oznajmiła:

– Nie czas na to. Musimy zaplanować dalsze działania. Proponuję wyruszyć jutro po Hvitę.

– A po co nam ta śniąca czarownica?

– Będą jej szukać. Dobrze będzie mieć ją jako zakładniczkę.

– Osiągnęłaś, co chciałaś. Zniesławiłaś Skalda i pozbawiłaś go pozycji na dworze gardskonunga. Teraz musimy już tylko zabić twojego ojca. Szkoda czasu na uganianie się za tą pornaską, bo jeśli w ciągu kilku dni nie pojawimy się na Krecie, uznają, że nadal służę Grikkmadom i nie wywiązałem się z umowy. A obiecałem im przecież, że po spędzeniu zimy w Byzantionie, gdzie miałem rozeznac się w liczebności grikklandzkiej floty, wrócę, gdy tylko ustaną sztormy.

– Możemy się rozdzielić. Wezmę łódź rybaka i wraz z kilkoma wojami popłynę po Hvitę. Ty udasz się na Kretę i tam się spotkamy.

– Nie. Mamy za mało ludzi. Poczekamy tu jeszcze dwa dni i jeśli nie pojawi się żaden kupiecki statek, udamy się na Kretę.

Miała ochotę kłócić się dalej, ale z niechęcią przyznała Nawlekaczowi rację. Przybrana matka będzie musiała poczekać kilka tygodni, zanim Sela

po nią przypływie. Wciąż miała nadzieję skłonić ją do dobrowolnej współpracy i do śledzenia poczynąń Ainara.

– Tak będzie najrozsądniej. Tylko pilnuj naszych drengów, by byli gotowi do wypłynięcia.

– Już ty mnie nie ucz, jak własnych ludzi za mordy trzymać. Lepiej zapanuj nad swoimi hamramirami, bo doniesiono mi, że znów się zgubili.

Także ją drażniło zachowanie bestialskich wojowników. Gdy osiem dni temu przywiozła ich na wyspę, nawet nie chcieli przywitać się z Nawlekaczem, tylko od razu zniknęli między skałami i drzewami. Raz dziennie jeden z nich zjawiał się przed Skaldmaer, żądał jadła i napitku dla całej watahy oraz narzekał, że jeszcze nie są na Krecie.

– Przybędą niechybnie na moje wezwanie. – Taką miała nadzieję, choć nie postawiłaby na to nawet kolczyków z brązu.

– Oby, bo słabo spisałaś się na wyprawie. Miałaś zapewnić nowych wojów, a tylko pomniejszyłaś nasze skromne siły. Wypłynęłaś z czternastoma wojami, wróciłaś z jedenastoma, w tym z sześcioma szaleńcami, nad którymi nie sposób zapanować.

– Już ci wyjaśniałam, że trzech ludzi zostało na Therze, by zjednać dla naszej sprawy Magnolfa. – Choć starała się wyglądać na przekonaną o własnej racji, także ją martwiło, że żaden z trzech posłańców nie wrócił na umówione spotkanie, przez co musiała ich zostawić na Therze. – Mogą nam zapewnić przynajmniej dwie setki wojów. A co do hamramirów... Każdy jest wart dziesięciu ludzi. Moja wyprawa zakończyła się więc pełnym zwycięstwem.

Uciszył ją gestem dłoni i pospieszył do drzwi. Ruszyła za nim, gdyż sama też usłyszała gwar oraz podniesione głosy. Gdy wyszli z domu, podszedł do nich zdyszany wojownik, którego rano wysłano do obserwacji drugiej strony wyspy.

– Dwa statki wpłynęły do zatoczki!

Sela z radością dostrzegła, że Vaering najpierw spojrział na nią, a dopiero później na Diarfa. Ludzie zaczęli już dostrzegać, kto tu jest od

rządzenia, a kto od krzyczenia i wymuszania na najemnikach posłuszeństwa.

– Grikklandzkie? – zapytała.

– Tak, nasza meykong. Zacumowały i wygląda na to, że zamierzają spędzić tu noc.

– Opisz mi je dokładnie.

– Są podobne do siebie. Długie na dwadzieścia, szerokie na sześć kroków. Kadłuby przypominają łupinę orzecha. Mają po dwa maszty z ukośną reją i trójbocznym żaglem. Na rufie mają po dwa wiosła sterowe.

– Jesteś pewny, że nie mają więcej wioseł?

– Pewny, nasza walkirio.

– A jak z zanurzeniem?

– Burty są nisko przy wodzie.

– Dobra nasza. Muszą to być statki kupieckie, najpewniej dorkony i do tego obciążone towarem.

– Szybkie są? – dopytał Nawlekacz, który wciąż miał słabe rozeznanie w rodzajach grikklandzkich łodzi.

– To najszybszy rodzaj statków, jaki pływa po tym morzu – wyjaśniła, celowo drażniąc dumę żeglarzy z Północy. Nie było lepszego sposobu, by pobudzić mężczyznę przed walką. – Ich nazwa oznacza gazelę.

– Nawet gazela nie umknie przed smokiem z Północy! – krzyknął łysy przywódca i zacisnął pięść, jakby już coś złapał. – A jak z ich obsadą?

– Dokładnie nie sposób było policzyć. Ale na pokładach kręciło się niewielu mężczyzn.

– Sześciu czy ośmiu ludzi zwykle wystarcza, by nimi żeglować – stwierdziła pieśniarka. Gdy bawiła w Miklagardzie, każdą wolną chwilę spędzała w porcie. Przyglądała się wszystkim statkom, odnajdywała ich słabe oraz mocne strony oraz uczyła się, jak wielkość i rodzaj jednostki ma się do liczebności załogi. – Nawet jeśli mają żołnierzy do pilnowania, na obu statkach łącznie nie powinno być więcej niż trzydziestu, góra czterdziestu ludzi.

– Słyszeliście, psy! Trzeźwieć i gotować się do wypłynięcia!

Większość Vaeringów przysłuchiwała się ich rozmowie, a teraz również pozostali porzucili robotę węglózców i zebrali się wokół dwojga wodzów. Wytatuowane, oszpecone bliznami lub tylko pokryte zarostem twarze wykrzywiały się w radosnym grymasie. Według tych ludzi mord i dobra zabawa powinny iść ze sobą w parze.

– Czekajcie. Niebawem się ściemni – Sela ostudziła ich zapał. – Wtedy oba statki łatwo się nam wymkną, bo ich kapitanowie prędzej wybiorą żeglugę pod gwiazdami niż walkę. A oni lepiej znają te wody i łatwiej unikną skał wystających z morza.

– Nasza Skaldmaer ma rację – poparł ją Diarf. – Popłyniemy dopiero o brzasku i zaskoczmy ich w zatoczce, nim ptaki zdążą wyfrunąć z gniazd.

– Jednak i wtedy trudno nam będzie doścignąć oba skipy – zauważyła poetka.

Nawlekacz spojrzał na nią z góry. Gdy byli sami, zawsze wysłuchiwał kochanki, ale nie lubił, jak mu się sprzeciwiała przy ludziach. Musiała na to uważać, bo jak każdy dumny mężczyzna, gotów był zawziąć się w głupocie – zazwyczaj na szkodę ich wszystkich.

– Zadowolimy się jednym.

– Mądrość chodzi twoimi ścieżkami, nasz niezrównany w boju przywódco, ale... Przypomniała mi się saga o Örvarze Oddzie, którą sam mi kiedyś opowiadałeś, a twe słowa zaległy się w mojej głowie i teraz natchnęły mnie pomysłem, jak możemy upolować obie gazy.

Łysy Vaering skinął głową, zachęcając ją do mówienia.

* * *

Woda była przyjemnie chłodna. Sela płynęła wolno trzydzieści parę kroków od linii brzegowej, walcząc z prądem, który wciągał ją w głąb morza. Pracowała samymi nogami, bo rękami trzymała rozgałęziony konar pokryty małymi wiosennymi listkami. Obok niej płynęło ośmiu ludzi, w tym trzech hamramirów – dowódca watahy wraz z Gaupahedinem i Ulfhedinem.

Wbrew obawom meykong bestialscy wojownicy nie dali się długo szukać, ale odnaleźli ją sami i pierwsi zgłosili się do walki, choć mamrocząc pod nosem, że nie lubią pływać.

– Ciszej – szepnęła, gdy po jej lewej stronie ktoś mocniej kopnął w wodę.

Byli już niedaleko grikklandzkiego statku. Niebo rozjaśniało się bliskim nadejściem słońca, które jednak wciąż chowało się za widnokretem. Na pokładzie panował spokój, ale z pewnością nie pozostawiono gazeli na noc bez opieki.

– Zatrzymać się...

Zamarła i zanurzyła głowę aż po nos, mając nadzieję, że szept został usłyszany, a rozkaz wykonany. Wydała polecenie, gdyż jeden z Grikkmadów postanowił sprawdzić, czy w nocy kotwica się nie zerwała. Zadowolony z oględzin, przeciągnął się i rozejrzał. Musiał dojrzeć dryfujące gałęzie, bo przystawił obie dłonie do czoła i przechylił się przez burzę. Po chwili obrócił się jednak i ruszył do swoich zajęć.

Pieśniarka ostrożnie popłynęła dalej. Pochwaliła się w duchu za pomysł z gałęziami, choć część wojów dziwowała się, czemu nie mogą płynąć bez nich. „Uczyłem się pływać w przeręblach Noregu. Poradzę sobie bez konaru” – chwalił się jeden z ochotników. Sela cierpliwie im wytłumaczyła, że gałęzie zapewnią dodatkową osłonę, a przy tym łatwiej będzie im zabrać broń. W końcu długie pływanie z czymś więcej niż nożem u pasa zakrawało na kpinę z bogini Ran, a pani mórz lepiej nie drażnić, by nie wzięła ich za swoich utopionych kochanków. O brzasku wypłynęli więc „Czerwoną Żmiją” na samych wiosłach, dotarli na skraj zatoki i zwodowali gałęzie razem z ich pasażerami. Nawlekacz miał czekać w ukryciu do świtu lub do czasu, kiedy usłyszy odgłosy bitwy, a potem dać im wsparcie.

Córka Ainara skierowała się teraz wraz z hamramirami ku rufie bliżej zakotwiczonego statku. Pozostała czwórka popłynęła w kierunku dziobu, by dostać się na łódź od drugiej strony, po linie kotwicznej.

Kilka łokci przed kadłubem pieśniarka ściągnęła z gałęzi pas z mieczem i przewiesiła go sobie przez ramię. Zanurkowała, by ostatnią część trasy

przemierzyć pod wodą. W ciemnej toni nie zauważyła, że za bardzo zbliżyła się do statku, uderzyła więc głową o deski.

Wynurzyła się i chwyciła za pióro wiosła sterowego. Rozejrzała się za towarzyszami, chcąc dać im znak, że mogą się wspinać. Spóźniła się. Dwaj hamramirzy byli już uczeplieni poszycia i jak wielkie pająki posuwali się w górę. Gaupahedin używał do wspinaczki toporków, Ulfhedin wyłącznie swoich twardych niczym wilcze szpony palców. Po kilku uderzeniach serca obaj znikli za burtą, po czym pojawili się znowu, rzucając towarzyszom końce sznurów. Każdy pływak zabrał linę długą na pięć łokci, bo tak rozkazała. Berhedin, który wynurzył się za jej plecami, mruknął, by ruszyła przodem. Nienawidziła być zależną od mężczyzn, więc wzgardziła liną.

Duma i uprzedzenie kosztowały ją sporo wysiłku. W połowie wspinaczki po wiosle sterowym zdążyła pożałować, że nie skorzystała z pomocy, ale w końcu udało jej się wejść na rufę. Pod bosymi stopami wyczuła wilgoć i klejącą maź. Spojrzała w dół. Jasne deski ubrudzone były ciemnopurpurową w tym świetle krwią, która nadal sączyła się z poderżniętego gardła Grikkmada, zapewne strażnika. Mężczyzna wił się na pokładzie i cicho charczał. Poszukała wzrokiem hamramirów. Niczym dobrze ułożone ogary posłusznie czekali na dalsze polecenia, nagrodziła ich więc skinięciem głowy.

Statek wyglądał dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Był to świetnie nadający się do żeglugi przybrzeżnej kupiecki dorkon, który został zbudowany do uciekania przed rabusiami, a nie do walki. Nieopodal zauważyła właz, który musiał prowadzić do skarbów ładowni, choć i pokład nie był wolny od bogactwa. Na rufie oraz przy dziobie stały skrzynie i beczki, które ze sobą powiązano, zablokowano klinami i przytwierdzono sznurami do obu burt. Między masztami oraz w części dziobowej rozbito lniane namioty. Domyśliła się, że musiała w nich spać załoga. Sela przyłożyła palec do ust, dobyła miecz z pochwy i wskazała sztychem najbliższy z namiotów.

Prośba o ciszę okazała się zbędna. Hamramirzy i tak skradali się bezgłośnie. Przeszła nad zwłokami Grikkmada, po czym zbliżyła się do

mężczyzny chrapiącego przy sterburcie. Przyklękła na jedno kolano i ostrożnie ściągnęła niedźwiedzie futro zakrywające śpiącego. Ujrzała leżącego na boku żeglarza, zapewne drugiego strażnika, który przyciskał do piersi pusty dzban po winie. Zakryła mu usta dłonią i uderzyła w skroń trójgraniastą głowicą miecza. Fale uderzające o statek zagłuszyły trzask pękającej czaszki. Żelazo zostawiło w głowie śpiocha wgłębienie na trzy palce, co uznała za odpowiednią pamiątkę po spotkaniu ze Skaldmaer, walkirią wprawną w wojów poskramianiu. Wstała, strząsnęła z rękoności lepiące się od krwi włosy i kawałki kości. Ruszyła dalej.

Siedem kroków dzieliło ich od namiotu, gdy sprawy przybrały zły obrót. Od strony dziobu nadszedł człowiek z mieczem przy pasie. Żołnierz, lecz na widok nieznajomych zachował się zupełnie nie po żołniersku. Stał w miejscu, jakby chciał zostać trzecim masztem statku. Sela była pewna, że to ona stała się głównym powodem osłupienia – w końcu nosiła obcisłe spodnie oraz cienką i teraz mokrzuteńką koszulę, która opinała ciało i ukazywała zarys stwardniałych od zimna sutek.

Mężczyzna nie zdążył krzyknąć. Rzucony przez Gaupahedina toporek trafił go prosto w czoło i rozłupał czaszkę. Wojak runął na pokład, a ciszę trafił szlag.

Skaldmaer rzuciła się ku namiotowi, równocześnie krzycząc „nie”, gdy Ulfhedin uchylał jego poły. Dopadła lin mocujących konstrukcję materiałowego schronienia do burt i masztu, po czym zaczęła rąbać je mieczem. Hamramirzy pojęli zamysł i przyszli poetce z pomocą. Po chwili lniane płachty wzmocnione bydlęcą skórą opadły na kotłującą się w środku cizbę. Dopiero wtedy napastnicy wzięli się do zabijania.

Przebicie grubego materiału okazało się niełatwe, zwłaszcza że ten był wilgotny i ugiął się pod uderzeniami. Dlatego najskuteczniejszy okazał się Berhedin, który lał pałą każdy poruszający się pod płachtą kształt, jakby młócił zborze cepem. Jednak garby napinające namiot nie pozostawały bezczynne. Wrzeszczały, przeklinały, płakały i próbowały się bronić.

W końcu grot jednej włóczni przebił namiot od środka i wyłonił się niczym pisklak rozbijający skorupkę jajka. Broń musnęła bok Gaupahedina,

a ten uderzył obuchem toporka w miejsce, gdzie winna znajdować się głowa włócznika. Ulfhedin zapamiętał rąbał mieczem, a musiał do tego używać swoich wilczych zmysłów, bo po każdym jego uderzeniu materiał zabarwiał się na czerwono.

Ktoś chwycił Selę za nogę i pociągnął. Wolną ręką przytrzymała się zwisającej z masztu liny i ciąła w dół. Miecz utknął w pokładzie tuż przy jej stopie, pozbawiając czterech palców dłoni, która cofnęła się pod dolną połę namiotu. Ainarsdottir wyszarpnęła brzeszczot i odskoczyła do tyłu, by ocenić sytuację.

Od dziobu pędziło ku nim sześciu żołnierzy, a pięciu kolejnych walczyło z czterema Vaeringami, którzy dostali się na pokład od przodu statku. Pojęła, że grikklandzcy wojowie musieli zajmować drugi namiot, i zdziwiła się, skąd na tak małym statku tylu zbrojnych.

– Atak na dziób! – krzyknęła.

Hamramirom nie trzeba było powtarzać. Porzucili okładanie mieszkańców namiotu, którzy nawet jeśli jeszcze żyli, nie stanowili już większego zagrożenia. Bestialscy wojownicy ruszyli naprzód i choć w ich szyku nie dało się dostrzec żadnego porządku, nie wchodzili sobie w drogę i wydawało się, jakby wzajemnie się rozumieli i uzupełniali.

Berhedin pierwszy dopadł nieprzyjaciela, rozpoczynając spustoszenie. Zamiast grubego futra i potężnej maczugi miał na sobie cienką koszulę, a w ręku niewielką pałkę, ale wyrwani ze snu grikklandzcy żołnierze też nie nosili zbroi, hełmów, a nawet tarcz. Niedźwiedzi wojownik chwycił przegub wojaka, który zamachnął się na niego krótkim mieczem, kopnął go w krocze i odepchnął, wyrzucając za burtę. Wilk i Ryś zaszli Grikkmadów od boków. W ruch poszły toporki, noże i krótkie miecze, a władzę na pokładzie objął chaos.

Bez skjaldu tarczowniczką czuła się naga, więc walkę w tłoku wolała zostawić mężczyznom nawykłym do siłowych pojedynków. Wskoczyła na bakburtę i ostrożnie okrążyła walczących. Tylko jeden Grikkmad zwrócił na nią uwagę, ale Ulfhedin natychmiast związał go walką.

Zeskoczyła na pokład za plecami żołnierzy i poczęła karać tchórzki,

którzy mieli czelność odwracać się do niej tyłem. Sieknęła po karku jednego zuchwalca, drugiego rąbnęła w bark. Tym przykuła uwagę pozostałych. Uchyliła się przed toporkiem, cofnęła przed krótkim mieczem i padła na plecy, unikając cięcia szablą, które miało pozbawić ją głowy. Łupnęła karkiem w beczkę, w której coś zachlupotało. Miała nadzieję, że to wino, bo przejęcie takiego ładunku przyniosłoby im górę monet.

Wstała, masując obolały kark. Nie miała już z kim walczyć, bo hamramirzy szybko wykończyli tych, którzy odważyli się podnieść na nią broń. Bój nadal trwał w części dziobowej, więc niedbale machnęła w tę stronę mieczem, dając znać bestialskim wojownikom, by dokończyli dzieła. Porządek na pokładzie będzie potrzebny, tym bardziej że zbliżał się drugi statek Grikkmadów.

W trakcie potyczki słońce zdążyło już w połowie wyłonić się zza morza, zrobiło się więc niemal całkiem jasno. W tym świetle meykong łatwo mogła ocenić, że płynący ku nim dorkon był odrobinę mniejszy od tego, który właśnie zdobyli, ale poza tym wydawał się niemal bliźniaczy. Oba miały pomalowane na niebiesko kadłuby i takiegoż koloru żagle, by trudniej je było dostrzec między falami. Na odwagę tutejszych kupców nie postawiłaby kosmyka swoich włosów, a jednak zapowiadało się, że Vaeringów czeka kolejna bitwa, i to trudniejsza, bo tym razem nie będą mieli przewagi zaskoczenia. Musieli utrzymać się wystarczająco długo, by dotarły posiłki.

„Czerwona Żmija” wypłynęła zza skarpy, gdzie się ukrywała i na wiosłach kłusowała po falach niczym rumak z Vallandu. Nawlekacz musiał być równie zdziwiony jak Sela, że dorkon nie ucieka, ale żadne z nich nie mogło się boczyć na norny za oszczędzenie im nużącego pościgu i wysłanie wrogów wprost w ich objęcia.

Wojowniczką nadepnęła na dłoń jakiegoś rannego, który próbował dosięgnąć noża. Okazała mu łaskę czystym pchnięciem w kark. Dała za to uciec kupcowi o krwawiących plecach, który wydostał się spod namiotu, wyskoczył za burtę i zaczął siłować się na rękę z Aegirem.

– Do mnie! – krzyknęła, bo potyczka na statku dobiegła końca

i hamramirzy zaczęli oddawać się swoim dziwactwom. Berhedin ocierał się plecami o burłę, Ulfhedin obsikiwał maszt, a Gaupahedin obdzierał ze skóry jednego z poległych. Oprócz nich walkę przeżyło jeszcze dwóch Vaeringów, którzy teraz grabili zabitych.

– Dobrze walczyłaś, zupełnie po hamramirsku – pochwalił ją Berhedin, kładąc jej ciężką łapę na ramieniu.

Z trudem ją strząsnęła, prychnęła lekceważąco, wskazała na leżące obok zwłoki grikklandzkiego żołnierza i pokazała na maszt. Przywódca sfory zrozumiał. Znalazł wolną linę, przewiązał ją pod pachami trupa, wolny koniec przerzucił przez reję i pociągnął. Zakrwawiony ochłap mięsa poszybował w górę, stając się chorągwią Seli i jej hamramirów. Chciała, by nadpływający żeglarze wiedzieli, co ich czeka, bo dziad ją nauczył, że złamanie ducha walki u przeciwnika to połowa zwycięstwa.

Wrogi statek był już tylko o dwadzieścia kroków, a załoga tak go nakierowała, by stanąć ze zdobytą jednostką burta w burłę. Pieśniarce wydawało się to niezwykle dziwne, bo na pokładzie drugiego dorkonu było najwyżej trzynastu żołnierzy i kilku marynarzy, którzy teraz zawzięcie ciągnęli za liny i napierali na wiosła sterowe.

Zauważyła, że na lewo od niej pewien nieszczęśnik z rozplątanym brzuchem pełził po pokładzie, ciągnąc za sobą wnętrzności. Zatrzymał się przy beczkach, jakby myślał, że tam zdoła się ukryć, po czym wyjął z rękawa krzesiwo i zaczął nim trzeć. Sela pomyślała, że w obliczu śmierci człowiek do cna głupieje, bo przecież mała iskra nie jest w stanie odegnać chłodu żelaza, które zadało śmiertelny cios, ani wyrządzić krzywdy namokniętym deskom pokładu. Żołnierzowi nie udało się zresztą wzniecić nawet jednego płomyka, bo wcześniej życie wypłynęło z niego wraz z sączącą się z brzucha krwią.

Zachowanie konającego napełniło meykong niepokojem. Przypomniała sobie beczkę, w której coś chlupotało. Wcześniej uznała, że to wino, ale bryza, która zawiąła od wschodu, przyniosła dziwny zapach. Zaśmierdziało olejem do lampy albo... Z przerażeniem spojrzała na wrogi okręt, na którym żołnierze oparli o burłę dwie długie na siedem łokci miedziane rury.

Siphony.

– Do wody! – krzyknęła. Nie patrząc na innych, odwróciła się od niebezpieczeństwa i pognąła do burty. Przeskakując przez nią, poczuła na plecach gorący podmuch. Zimne fale przyniosły ulgę. Płynęła pod wodą, ale nawet tu dopadło ją ciepło rozlewające się po morzu. Wynurzyła się kilkadziesiąt stóp od statku i dopiero wtedy ośmieliła się odwrócić. Zdobyty przez nich dorkon płonął jak dobrze naoliwiona pochodnia. Maszty z żaglami przewracały się właśnie do wody, iskry strzelały wysoko, kadłub trzeszczał, a w powietrzu latały wyrzucane kolejnymi wybuchami deski. Same płomienie z siphonów nie mogły dokonać takich zniszczeń, poetka nie miała więc już wątpliwości, że nieszczęśliwie przechwycili ładunek oleju skalnego, który Grikkmadowie woleli zniszczyć, niż oddać w ręce wrogów.

Rozejrzała się w poszukiwaniu rozbitków. Zobaczyła trzy osoby, które płynęły w kierunku brzegu, ale nie mogła dostrzec ich twarzy. Tymczasem podpalacze zręcznie ominęli płonący dorkon i skierowali swój statek ku vaerińskiej snekkji. Kolejna bitwa nie miała jednak nadejść, bo Diarf zawrócił swój skip ku otwartemu morzu. Córka Ainara przeklęła Nawlekacza, życząc mu dziury w kadłubie, ale zaraz zganiła się w myślach. Nie mogła mieć pretensji do ukochanego, że chciał chronić statek przed płomieniami.

Następny wybuch przypomniał jej, że jeszcze nie jest bezpieczna. Płomienie dotarły do ładowni, a eksplozja zgromadzonego tam ładunku ognia greckiego rozsadziła statek na pół. Wojowniczką popłynęła dalej, a po chwili musiała zanurkować, gdy niebo zapłakało płonącymi kawałkami drewna. Niedługo potem wynurzyła się po oddech i znów chciała dać nura, gdy niesiona wodą beczka uderzyła ją w głowę i plecy. Zachłysnęła się wodą. Kaszląc, uczepiła się jakiejś belki.

Selę zamroczyło.

Ktoś ją szturchnął. Usłyszała grikklandzkie przekleństwa i pokrzykiwania, których znaczenie zaczynało do niej stopniowo docierać.

– Żyje!

– To dawać go tutaj.

Puściła się belki i próbowała odpłynąć, ale zdołała wziąć tylko dwa zamachy. Spadła na nią jakaś ciężka płachta i wepchnęła pod wodę. Szarpnęła się, usiłując wypłynąć na powierzchnię, lecz zaplątała się w sznury. Zrozumiała, że plecy przytłacza jej rybacka sieć, która oplótła ją i pociągnęła do tyłu.

Znalazła się na powierzchni, a zaraz potem w powietrzu. Kaszląc, łapczywie nabrała powietrza. Przestała się wiercić i pozwoliła, by Grikmadowie wyciągnęli ją na pokład.

– To nie chłop, tylko jakaś seireina! – W głosie zdziwionego mężczyzny usłyszała strach, ale i podniecenie.

– Piersi wielkie i opływowe jak u podwodnej boginki, ale dupcia i nóżki zgrabne jak u hasającej po lasach nereidy.

– To jedna z nich, głupcy! – rzekł trzeci, a stanowczość jego wypowiedzi wskazywała, że był dowódcą. – Widziałem, jak walczyła z naszymi. Przywiążcie ją do masztu, obok tamtego łotra.

Chciała zakrzyknąć „to pomyłka, zostałam porwana, sam gardskonung zapłaci za mnie okup!” – obojętnie co, byle tylko wykpić się z tarapatów. Nie miała jednak siły, a że na razie jej życiu nic bezpośrednio nie zagrażało, pozwoliła zaciągnąć się do masztu. Obiecywała sobie przy tym w duchu, że utnie łapy żeglarzowi, który przy ciągnięciu trzymał ją za piersi.

Oparli ją plecami o słupek, wygięli ręce do tyłu i zawiązali je za masztem. Ramieniem dotykała tak samo spętanego półprzytomnego mężczyzny ze straszliwymi oparzeniami na plecach i maską zakrzepniętej krwi na twarzy. Rozpoznała w nim Gaupahedina.

26

Ali ibn Ibrahim ibn Rahin, zwany Czarnym Berserkiem, Czarnym Achillesem i Blamadem z odległego Wagadou, stał. Nie było to jednak

zwykłe stanie, a stanie zaszczytne, na rozkraczonych nogach i z dłonią na głowicy zakrzywionego saifu o imieniu Ludożerca. Ali został spathariosem – tym, który dzierży miecz – zatem jako osobisty strażnik Nikefora Fokasa tkwił za plecami naczelnego wodza Romejów.

Wojownik ubrany był z przepychem godnym władcy. Swój poprzedni, podarowany przez autokratora śnieżnobiały skaramangion, zmienił na nowy, pasujący barwą do ubioru stronników Nikefora. Strój ten również stanowił dar, tyle że od domestyka. Delikatna tkanina miała błękitny kolor, a ozdobiły ją białe koła, w które wpisano złote krzyżyki. Początkowo Ali burzył się przed przywdzieniem ubioru z kristiańskimi znakami, ale nie sposób było wymówić się od przyjęcia prawdziwie królewskiego podarunku. Uznał więc krzyżyki za zwykłe ozdoby i nosił kaftan z dumą, dołączając Kristosa do licznego szeregu bóstw, które chciały zawładnąć jego gniewnym duchem. Na prawdziwe nawrócenie berserka nikt nie naciskał, bo wiarę Sarakenów i tak uważano w grikklandzkim imperium za odłam kristiańskiej religii.

Strażnik winien stać nieruchomo, ale Blamad zaniechał tego obowiązku. Jego ranga była zresztą honorowa i sam domestyk Scholi traktował go raczej jako doradcę niż gwardzistę. Ali mógł więc wiercić się do woli i swobodnie rozglądać się po sali.

Skromne przyjęcie, które zarazem miało być kolejną naradą w sprawie wiosennych działań wojennych, odbywało się w oikosie Nikefora Fokasa, mieszczącym się w dzielnicy pałacowej, w otoczeniu alejek, żywopłotów, gajów oliwnych i stajni. Gości przyjmowano w głównej sali posiadłości. Pomieszczenie było olbrzymie, lśniło marmurami, kolumny podtrzymywały zaokrąglone sklepienie, a w centralnej części posadzki widniała mozaika, która przedstawiała niedźwiedzia pożerającego wnętrzności sarny. Wspaniałość konstrukcji budowli gryzła się jednak z wyposażeniem pałacu. W sali znajdował się jeden stół – mebel wprawdzie potężny i drewniany, jednak pozbawiony zdobień, przez co pasujący bardziej do wojskowego obozu niż pałacu. Co jeszcze dziwniejsze, rozmieszczono wokół niego nie leżanki, na których tak uwielbiali ucztować Romejowie, ale dwadzieścia

prostych stołków. Tylu właśnie zaproszono dzisiaj gości i tylu też się zjawilo, choć przyszlo z nimi o wiele więcej osobistych służących i strażników, więc w pomieszczeniu szybko zrobiło się gwarno.

Ostatni przybył gość najważniejszy. Basileus Roman, młodszy współrządzący grikklandzką Ekumeną, za którym ciągnęła świta eunuchów i gwardzistów. Był to młodzieniec o przyjemnej twarzy, pięknej mowie i dworskim zachowaniu. Lubił błyszczeć niczym panna młoda podczas zaślubin. Na spotkanie pojawił się jednak nie w jedwabiach, ale w zbroi, a dokładnie w klivanionie z połączanego żelaza. Gotowość do wojowania podkreślał przypięty do pasa miecz o złotej rękojeści wysadzanej szafirami.

Na widok basileusa wszyscy wstali i zawołali: „Wiele lat!”. Alemu przemknęło przez głowę, że życzenie długich rządów z pewnością nie ziści się, jeśli władca stanie do bitwy z tym śmiesznym błyszczącym orężem. Myśl ta spodobała się dręczącej Czarnego Achillesa hamie, która przysiadła na koronie basileusa i drażyła mu dziobem otwór w czaszce. Blamad zacisnął powieki, pomyślał o pożółkłym morzu trawy w swoim ojczystym Wagadou, a kiedy otworzył oczy, nie było już białej sowy o ludzkiej twarzy, Roman zaś witał się z gospodarzem.

Po wymianie czułości młodszy basileus zajął należne mu miejsce u szczytu stołu, dając tym samym znak do rozpoczęcia przedstawienia.

Przedstawienie nie było pomysłem Nikefora. Poważny domestyk nie lubił rozrywek i każdą chwilę spędzał bądź to na modlitwach, bądź na planowaniu wojen. Zgodnie z jego zamysłem spotkanie miało być poprzedzone nabożeństwem, ale wysłani przez Romana Porfirogenetę mandatorzy dali Fokasowi jasno do zrozumienia, że basileus chce zobaczyć taniec gocki, a za modły wystarcza mu poranna msza w kościele. Nie było więc innej rady, jak posłać po Ainara Skalda i nakazać mu przygotowanie wystąpienia.

Czarny Berserk uśmiechnął się na wspomnienie pewnego siebie poety, który w południe zjawił się w oikosie Nikefora przekonany, że oto właśnie wraca do łask. Vaering nie dał po sobie poznać zawodu, choć zapewne

kipiał z wściekłości, gdy dowiedział się, że wezwano go nie po to, by obradować o wojnie, a jedynie, by niczym kuglarz przygotował taniec gocki. Zapewniono go, że sam nie musi tańczyć, wystarczy, aby wyznaczył do tego odpowiednich ludzi. Przekorny pieśniarz oznajmił jednak, że osobiście weźmie udział w ceremonii, by w darze dla Romana – darze od konunga dla konunga – pokazać mu świetne wyszkolenie swoich ludzi.

Po widzeniu u Fokasa Skald odszukał Alego i zapytał: „Co to jest ten taniec gocki?”. Blamad też nie miał pojęcia, więc obaj udali się po radę do Finloga, który miał niejaką wiedzę o dziwacznych dworskich rytuałach. Były mnich zaprowadził ich do praipositora zajmującego się ceremoniałem pałacowym i wtedy sprawa się wyjaśniła. Otóż kilka lat temu w Hetairii, czyli w przybocznej gwardii Konstantyna Porfirogenety, służyło kilkudziesięciu Rhosów z Gardariki. Pokazali oni autokratorowi swój taniec wojenny, który władca nazwał później gockim, bo dla niego Gotami byli wszyscy najemnicy z Północy. Alemu nadal niewiele to mówiło, ale Skald po namyśle oznajmił, że musiał to być jakiś rytualny taniec hamramirów. Nie miał jednak przy sobie bestialskich wojowników, musiał więc skorzystać ze swoich ludzi i zdać się na własną pomysłowość. A tej pieśniarzowi nigdy nie brakowało.

Początek rytuału oznajmił odgłos rytmicznych kroków. Do sali wbiegli Vaeringowie w kolczugach i hełmach, którzy dzierżyli okrągłe tarcze oraz pałki. Drengowie ustawili się wzdłuż marmurowych ścian i zaczęli uderzać maczugami w obciągnięte skórą lica skjaldów, a równocześnie tupać. Powstały harmider natychmiast zagłuszył wszelkie rozmowy gości.

Dum, dum, dum, dum... dudniło w uszach Alego. Pul, pul, pul, pul... pulsowała żyłka na jego skroni. Bam, bam, bam, bam... biło jego serce i zdawało mu się, że całe ciało trzęsie się w odgrywanym przez Vaeringów rytmie wojny. Biała sowa o ludzkiej twarzy wyleciała z trzewi jednego z najemników, usiadła na łysym, wytatuowanym łbie Blamada i zaczęła go dziobać po nosie, wystukując rozbrzmiewający w sali rytm. Wertragna przypomniał sobie o swoim jeszcze nie tak dawno gorliwym czcicielu. Żelaznoboki odyniec nawiedził głowę spathariosa, szarpnął się

w żelaznych łańcuchach, zarył o mózg żelaznymi racicami i zakwiczął pieśń bitewną w rytmie podanym mu przez sowę. Ali czuł nadchodzący berserksgang, bitewny amok zwany przez Grikmadów wilczym gniewem lyssa. Jakże pragnął się w nim zanurzyć, wpaść między najemników i rozbijać ich czaszki o posadzkę. Trzask, trzask, trzask.

Ścisnął rękojeść miecza i miażdżył ją tak długo, aż pojawił się ból. Ten wzmógł ochotę na zabijanie, czarny wojownik zamknął więc oczy, przywołując w pamięci kartę manuskryptu, którą ostatnio pokazywał mu Finlog. Zaczął ją czytać – powoli, literka po literce, słowo po słowie i zdanie po zdaniu, aż szął zaczął przechodzić, ustępując miejsca zmęczeniu. Blamad otworzył oczy w porę, by obejrzeć dalszą część przedstawienia.

Do pomieszczenia tanecznym krokiem wpadło dwunastu wojów odzianych w zwierzęce skóry. Muzyka stała się jeszcze głośniejsza, a przybysze zaczęli podskakiwać, pląsać i kręcić się dookoła. Co jakiś czas odchylali głowę do tyłu i wrzeszczeli. Po kilku chwilach podzielili się na dwa równe oddziały, które rozpoczęły walkę. Potyczka była udawana, bo drengowie dzierżyli jedynie pałki lub długie kije zastępujące im miecze, topory i włócznie. Wyprowadzali pchnięcia i rąbnięcia, odskakiwali, doskakiwali, uchylali się przed cięciami, podskakiwali nad kijami, blokowali uderzenia pałkami, robili przewroty, a nawet fikali koziółki w powietrzu. Popisywali się siłą, zręcznością i wytrzymałością. Wkrótce bitwa przerodziła się w pasmo pojedynków, a wojowie po kolei padali na posadzkę, udając śmierć w boju. Kiedy ostatni zleżł w objęciach mozaikowego misia na środku pomieszczenia, zaległa cisza. Wszyscy Vaeringowie zastygli w bezruchu, nawet ci przy ścianach, jeszcze przed chwilą uderzający pałkami o tarcze. Teraz stali ze spuszczoneymi głowami.

Wśród gości pojawił się szmer niepewności, bo nie było wiadomo, czy to już koniec przedstawienia, czy może tylko przerwa, a aktorzy oczekują na zachętę od widzów. Większość uszanowała jednak ciszę i przez kilkadziesiąt uderzeń serca wszyscy trwali w oczekiwaniu.

Najpierw usłyszeli powolne kroki i stukot laski uderzającej o posadzkę,

a potem krakanie. Uchyliły się wierzeje i do sali wszedł Ainar Skald. Trudno było go poznać, albowiem ubrał się w dziwaczny sposób. Nosił niebieski kyrtil, czyli tunikę z Północy, takiegoż koloru spodnie i długi płaszcz z kapturem. Na głowie miał spiczasty kapelusz, a w prawicy trzymał włócznie, na której się wspierał. Lewą ręką ścisnął sznurki przywiązane do nóg czarnych ptaków. Były to gawrony, wrony lub małe kruki – Ali nigdy nie umiał ich rozróżniać. Szamotały się nad głową konunga, kracząc i próbując się uwolnić.

Poeta trzymał jedno oko zamknięte, a drugim łypał dookoła, unosząc przy tym brew niemal po samą linię włosów. Przespacerował się między kolumnami, dotarł na środek pomieszczenia i wypuścił ptaki. Wzbiły się pod sklepienie, obleciały salę dookoła i przysiadły na jedynej ozdobie wiszącej na ścianie naprzeciwko Blamada: zbitym z belek prostym krzyżu o rozmiarach odpowiadających narzędziu kaźni Kristosa. W przeciwieństwie do uczujących, którzy wodzili oczami za ptakami, Ainar nie zwracał na nie uwagi. Usiadł na niby poległym wojowniku, tym, który padł na mozaikę, odłożył włócznie, sięgnął pod płaszcz i wyjął zza pazuchy niewielki drewniany flecik. Przyłożył go do ust, nabrał nosem powietrza i dmuchnął.

Gniew Alego zniknął, jakby go nigdy nie było. Usłyszał smutną melodię pełną długich, nieśpiesznych dźwięków, która przypominała zawodzenie wiatru w górskich przełęczach, skomlenie wilcząt i szum ptasich skrzydeł. Melodia urwała się, znów rozbrzmiała, ale tym razem głośniejsze i bardziej zdecydowanie. Do wruszających, przeciągłych tonów dołączyły krótsze, jakby mroczniejsze oraz odrobinę bardziej gniewne. Kojarzyły się ze szcękaniem mieczy, świstem nadlatujących strzał i brzękiem toporów uderzających w zbroje. Po chwili melodia łagodnie przeszła w inną, podniosłą, majestatyczną, choć nadal smutną. Dźwięki podsunęły Czarnemu Achillesowi obraz mogił poległych wojowników, przy których starcy prawili o minionej chwale, żony opłakiwały mężów, matki wspominały synów, a dzieci lamentowały z tęsknoty za ojcami. Łza zakreśliła się w oku spathariosa, pieśń bowiem była piękna i kryła się w niej prawda o chwale

życia człeka wojny. Nie mógł uwierzyć, że coś tak urokliwego wyszło z zakłamanych ust samozwańczego władcy Vaeringów.

Ostatni dźwięk był najgłośniejszy, najdłuższy i urwał się niespodziewanie. Znowu zapanowała cisza, którą przerwał dopiero głos Skalda.

Na włócznie jam nawleczony
woj w wojnach wprawiony,
co kruki hojnie karmił.
Mrę, widząc mknącą wronę,
i milknę kojony mlaskaniem
wrony, co me oczy wykłuwa.

Pieśniarz używał mowy Pólnocy, nikt więc poza Alim nie rozumiał znaczenia wersów. Wszyscy wydawali się jednak urzeczeni głębokim głosem Ainara, który melodyjnie wypowiadał słowa, niemal je wyśpiewując. Gdy zamilkł, nikt nie śmiał wydobyć z siebie dźwięku. Nikt poza samym kowalem słów, który nachylił się do ucha leżącego pod nim woja i krzyknął coś na całe gardło.

Poległy dreng, krzykiem ożywiony, nowe życie wrzaskiem przywitał, po czym wstał, nie przestając krzyczeć. Konung kłopotliwy podszedł do kolejnego woja i także jemu wydarł się do ucha. Dreng, podobnie jak poprzedni, zerwał się na nogi, cały czas wrzeszcząc. Skald ruszył dalej i nachylał się nad każdym z dwunastu na niby poległych szalonych wojowników, a ci, podniosłym głosem natchnieni, wstawali i przyłączali się do krzyków pozostałych ożywionych. Harmider wzmocnili stojący przy ścianach wojownicy, którzy na powrót zaczęli tupać i uderzać pałkami o tarcze. Zrobiło się tak głośno, że większość Grikkmadów poczęła zatykać uszy rękoma. Wrzask w końcu ukształtował się w jeden ryk, a ten w jedno słowo, choć po trzykroć wykrzyczane:

Aaaaa... Ainar!

Ainar!

Ainar!

Wywoływany podjął z posadzki włócznię, która służyła mu za laskę, i uniósł ją, nakazując ciszę. Na ten znak wojowie zaczęli opuszczać salę. Stało się jasne, że przedstawienie dobiegło końca. Ptaki zakrakały, goście zaklaskali, a Ainar łypnął na nich po raz ostatni swoim jedynym otwartym okiem, po czym zaciągnął kapelusz na czoło i również wyszedł, postukując drzewcem włóczni.

W sali ponownie zrobiło się głośno, tym razem od zachwytów oraz pochwał wygłaszanych na cześć najemników.

– Rzeczywiście jest Orfeuszem Północy.

Nikefor Fokas pokiwał głową i przeżegnał się, jakby podejrzewał, że występ mógłby się nie spodobać Kristosowi. Miał rację, ale Ali mu nie wyjawiał, że Ainar wcielił się w boga Göllnira, który był władny wrzaskiem budzić wojów do życia lub zapraszać ich na ucztę w Gmaszysku Zarzniętych. Rzekł tylko:

– Zna się na występach, trzeba mu przyznać. Ma też pod sobą świetnie wyszkolonych ludzi, którzy znakomicie przysłużą się autokratorowi podczas nadchodzącej wiosny.

Domestyk zapatrzył się na wiszący na ścianie krzyż oraz czarne ptaki, które siedziały po obu stronach poprzecznej belki i obserwowały gości.

– Może tak być, może tak być – odpowiedział zamyślony.

Wojownik z Wagadou zamilkł, zdążył bowiem już się nauczyć, że Fokasowi nie należało przeszkadzać w rozmyślaniach ani modlitwach. Inni nie byli tak grzeczni, głośno rozmawiali o błahostkach i nowinkach z Wielkiego Pałacu. Ze względu na obecność basileusa Romana nikt nie mówił o sprawie, którą żył cały dwór: o rzekomym otruciu Konstantyna. Każdy bał się zadać nasuwające się pytanie: „Kto inny niż współrządzący najwięcej zyskałby na śmierci autokratora?”.

Rozmowy przeszły w narzekania, gdy niewolni wnieśli misy z jedzeniem, to bowiem prezentowało się mizernie. Oliwki w occie,

owoce, wędzone ryby i kilka rodzajów pieczywa, co wedle głośno wypowiedzianej opinii Romana odpowiadało potrawom, jakimi w ptocheionach karmiło się biednych i bezdomnych. Blamad bardzo wątpił, czy basileus kiedykolwiek odwiedził takie miejsce, podejrzewał wręcz, że stołujący się tam żebracy zabiliby własną matkę za podobne smakołyki. Narzekania zrobiły się jeszcze głośniejsze, gdy na stole postawiono dzbany, a goście przekonali się, że nie zawierały wina, lecz jedynie wodę i fouskę.

Domestyk zdawał się nie zauważać niezadowolenia gości. Sam nie jadł nic, tylko popijał z drewnianego kubka kwaśny napój, nadal wpatrując się w krzyż. Był znany z dziwnych zachowań, a wieść głośnia, że gardził wygodami do tego stopnia, że spał na samej niedźwiedziej skórze ułożonej na posadzce. Nosił też pod ubraniem włosiennicę, co już nie było podejrzeniem, gdyż Ali, stojąc za plecami Nikefora, mógł dostrzec wykonany z koziej sierści kilikon, którego rękaw wystawał spod błękitnego skaramangionu.

Gospodarz pozwolił, by goście zaspokoili pierwszy głód, ale nie miał zamiaru dopuszczać do obżarstwa. Na jego znak mężczyzna bez brody, który był urzędnikiem w randze logothety, uniósł dłonie, nakazując ciszę, i przemówił w imieniu Fokasa.

– Chwalmy naszych władców, apostołów Kristosa przez samego Boga ukoronowanych i na tron posadzonych. Niech autokrator Konstantyn i basileus Roman prowadzą nasze zastępy do zwycięstw!

– W chwale niech wzrasta potęga Romejów! – odpowiedział jeden z eunuchów, a za nim powtórzyli wszyscy zgromadzeni.

– Niech będzie pochwalony nasz gospodarz, domestyk Scholi, bicz na Sarakenów, umiłowany wódz armii i najwierniejszy sługa Porfirogenetów.

– Wiele lat – odpowiedziały już bardziej oziębłe głosy biesiadników.

– Niech będzie pochwalony Bardas i Leon, ojciec i brat naszego najznakomitszego Nikefora z rodu Fokasów.

– W chwale niech wzrasta potęga naszej armii.

Obaj wezwani siedzieli tuż obok Nikefora. Bardas był starcem, który

mimo że wszedł już w ósmą dziesiątkę życia, nadal był krzepki i obdarzony lotnym umysłem. Jeszcze kilka lat temu był głównodowodzącym armią Grikkmadów, dlatego syn chętnie zapraszał go na narady. Leon był młodszym bratem domestyka i dał się poznać jako zdolny wódz w wojnach z Sarakenami na wschodzie.

– Chwalmy i pozdrawiamy dostojnego Jana Tzimiskesa, gnębiela Saifa ad-Dauli i zdobywcę Samosaty.

– W chwale niech wzrasta męstwo Romejów.

Wojownik z Wagadou odniósł wrażenie, że tym razem wygłaszane przez uczujących pozdrowienie było szczere i radosne. Nie dziwił się temu, gdyż Tzimiskes był powszechnie lubiany, a przez swoich żołnierzy wręcz ubóstwiany. Ten wciąż młody, ale już doświadczony dowódca był siostrzeńcem Nikefora Fokasa i zarazem jego przeciwnikiem. Zawsze uśmiechnięty oraz skory do zabaw, potrafił pięknie mówić, czym z łatwością zjednywał sobie tak przyjaciół, jak kochanki. Niezwykle przystojny, odziewał się nie gorzej niż sam autokrator, a jego blond włosy i ruda broda zawsze były starannie przystrzyżone. Mimo niewielkiego wzrostu miał opinię dzielnego i zwinnego żołnierza, który przez cały dzień mógł walczyć u boku swoich ludzi, znakomicie posługiwał się oszczepem czy łukiem oraz potrafił skakać po grzbietach czterech biegnących obok siebie wierzchowców.

Logotheta wymienił i pochwalił jeszcze wielu grikklandzkich wojskowych, ale ważny był jeszcze tylko ten, którego nie wymienił. *Parakoimomen* Bazyli Nothos, zwany też Lekapenem, choć bezprawnie, bo mimo iż był synem panującego niegdyś w Byzantionie autokratora Romana, pozostawał jednak bękartem i eunuchem pozbawionym imienia rodowego. Nie można go było chwalić na równi z przedstawicielami wielkich rodzin, więc nie został wymieniony w ceremonialnym powitaniu. W rzeczywistości właśnie on był najpotężniejszą i najbardziej wpływową osobą na sali, nawet przed basileusem Romanem i domestykiem Nikeforem, ponieważ Nothos był głosem i wolą schorowanego augusta Konstantyna.

– *Eis to onoma tou Patros*^[3], wystarczy już tych ceremoniałów! Wszyscy

się znamy, drogi wuju – Jan Tzimiskes przerwał trzebieńcowi, gdy ten zaczął przedstawiać mniej znaczących gości i usprawiedliwiać tych, którym obowiązki nie pozwoliły stawić się na naradę. – Wyjaśnij lepiej, dlaczego nas wezwalesz. Przecież ledwie przed tygodniem ustaliliśmy plan wiosennych działań.

Nikefor milczał przez chwilę, pozwalając biesiadnikom na wyciszenie. Gdy ustały szepty, przeżegnał się i oznajmił:

– Sytuacja się zmieniła. Nasz autokrator zaniemógł i zaleca ostrożność w planowaniu naszych działań – mówił powoli i głośno, jakby wydawał rozkazy żołnierzom. Widać po nim było niezadowolenie, jakby żałował, że traci czas na gadanie. Blamad pomyślał, że ten człowiek bardziej niż do pałaców pasuje do pola bitwy lub klasztoru. Sam domestyk wyznał mu kiedyś, że jego największym marzeniem było zostanie mnichem i tylko obowiązki wobec ojczyzny i smykałka do wojaczki powstrzymywały go od pójścia tą drogą.

– Nie ostrożności zawdzięczamy ostatnie zwycięstwa, ale męstwu naszych wodzów – odezwał się jakiś mniej znaczący wojskowy, którego imienia Czarny Berserk nie pamiętał.

– Nikt temu nie zaprzecza i w tym roku również będzie wiele sposobności, by się tym męstwem wykazać. Ale wszystko po kolei. Parakoimomenie, jak zdrowie naszego autokratora?

Bazyli westchnął. Cała jego twarz była troską, choć nikt nie mógł się domyślić, czy to uczucie udawane, czy prawdziwe.

– Dziękujmy Najwyższemu i Theotokos, że ich najwierniejszy sługa zdrowieje na ciele. Medycy są dobrej myśli.

– Nasz umiłowany ojciec nie powinien tak ciężko jeść. – Na takie słowa nagany mógł sobie pozwolić tylko basileus Roman. – W tym wieku to niebezpieczne. Kazałem stracić kucharza, a nowy obiecał przygotowywać naszemu drogiemu ojcu potrawy delikatne jak dla dziecka.

– Tak – zgodził się Nothos, ale tym razem jego głos brzmiał nieco szyderczo. – Zatrucie pokarmowe już niejednego władcę Romejów wysłało na spotkanie z przodkami. Szczęście, że mamy środki przeczyszczające

i żony, które umieją je przyrządzać.

Roman Porfirogeneta miał minę odpoczywającego lwa, ale wściekły wyraz oczu przeczył udawanej obojętności. Ali nie dziwił się temu, bo słowa eunucha rzeczywiście były śmiałe, choć niewinne przy pewnej opowieści krążącej w Wielkim Pałacu, która mówiła, że autokrator rzeczywiście za dużo zjadł podczas przedwczorajszej kolacji i poprosił o wino ze środkami przeczyszczającymi. Przyniósł mu je dworzanin Niketas, po czym postawił kielich obok ikony hagiosa Jana Baptisty, a kiedy nadeszła pora, by podać wino, służący – natchniony przez świętego – trącił naczynie, wylewając większość jego zawartości. Na dnie zostało niewiele płynu, ale Porfirogeneta zadowolili się tymi kilkoma łykami i nie posłał po więcej. Udał się do swoich komnat, by w spokoju rozmyślać na nocniku. Późnym wieczorem eunuchowie znaleźli go leżącego w gorączce na posadzce. Bazyli natychmiast przesłuchał dworzanina Niketasa, a ten młodzieniec z dobrego rodu wyznał, że młodsza augusta Teofano kazała sporządzić swoim medykom miksturę, by ulżyć teściowi w cierpieniu. Nie wiadomo, co parakoimomen zrobił z tą wiedzą, ale ludzie powiadają, że następnego ranka w sypialni autokratora wybuchła głośna kłótnia, po której trzebieniec na kolanach i ze łzami w oczach wycofał się z komnaty. Po tym zdarzeniu nikt już nie próbował jawnie oczerniać przed Konstantynem jego umiłowanego syna, a sam Niketas zniknął z dworu w niejasnych okolicznościach. Wszystko to stało się przyczyną plotek, że za próbą otrucia stała córka oberżysty, czyli Teofano, która najpierw wykorzystwała do misji swojego kochanka, potem zaś go zabiła.

– Dobrze to ująłeś, eunuchu. Wszyscy medycy potwierdzili, że winne było zatrucie pokarmowe, a środek przeczyszczający uratował naszemu ojcu życie. Szkoda, że wypił go tak mało.

Młody władca uniósł kielich i napił się, jakby za zdrowie ojca. W naczyniu czerwienił się czerwony trunek, bo Roman, w pogardzie mając pobożność Nikefora, przezornie nakazał swoim służącym przynieść własne napitki.

– Szczęściem ojca jest kochający syn, który tak hojnie opłaca medyków

głoszących nam dobrą nowinę.

W purpurze urodzony dał się w końcu wyprowadzić z równowagi i lekko się zaczerwienił. Nie odpowiedział od razu, maskując powolność w myśleniu przerwą na picie wina. Widząc, co się dzieje, szybko wtrącił się Nikefor:

– Dziękuję ci, parakoimomenie, za wspaniałe wieści o polepszającym się zdrowiu autokratora, a naszemu basileusowi Romanowi składamy podziękowania za pieczołowitą troskę, jaką otoczył naszego schorowanego władcę.

Eunuch mądrze skorzystał z okazji do pojednania i pokornie skłonił głowę.

– Urodziłem się po to, by służyć władcom Romejów.

– Przejdźmy do rzeczy – rozkazał Porfirogeneta, któremu też nie zależało na drażnieniu sprawy otrucia. – Cóż takiego zmieniło się od naszego ostatniego spotkania? Ustaliliśmy już przecież, że w tym roku zdobywamy Kretę.

– Kreta jest ważna – zgodził się Bazyli, który miał zdumiewającą umiejętność zgadzania się z rozmówcą, nawet jeśli zaraz miał mu się sprzeciwić. – Tamtejsi Sarakeni zagrażają statkom kupieckim i łupią nasze wybrzeża. Autokrator od lat przygotowuje wyprawę, która ostatecznie rozprawi się z tymi morskimi rabusiami i pozwoli dołączyć Kretę do grikklandzkiej Ekumeny. Niespodziewana choroba kazała jednak koronowanemu przez Kristosa zastanowić się, czy pora ku wojnie jest najlepsza, skoro tyle trosk spadło na jego barki.

– Boi się na stare lata! – krzyknął Roman, choć takie głośnie zachowanie nie przystawało koronowanej głowie. – Po prostu się boi, że czeka go powtórka sprzed dziesięciu lat i pożegna się ze światem porażką.

Ali przypomniał sobie Ucztę Minotaura, kiedy Teofano i Roman otwarcie naśmiewali się z tamtej klęski. Później od ludzi Nikefora poznał więcej szczegółów ostatniej wyprawy na Kretę. Dowodził nią eunuch Gongylios, którego niekompetencja doprowadziła do zniszczenia grikklandzkiej armii. Inni powiadali jednak, że całe przedsięwzięcie było źle przygotowane,

a zlekniiony o bezpieczeństwo swoich ziem Konstantyn nakazał, by większa część floty pilnowała grikklandzkich wybrzeży, i tym samym przeznaczył za mało środków na potrzeby Gongyliosa.

– Mój pan będzie żył jeszcze wiele lat – spokojnie odparł Nothos.

– Wiele lat. – Podchwycili zabawę w echo inni goście.

– Niech Najwyższy obdarzy go długim życiem, ale wszyscy wiemy, że nieudana wyprawa na Kretę kładzie się cieniem na całe panowanie naszego wspaniałego ojca. Jego wolą powinno być jak najrychlejsze wysłanie floty w kierunku wielkiej wyspy.

– Starszy basileus niczego nie pragnie bardziej niż opromienienia swoich rządów kolejnym zwycięstwem nad Sarakenami. Z wiekiem przychodzi jednak rozwaga, a z rozważą ostrożność, która podpowiada, że lepiej poczekać, by odnieść miażdżące zwycięstwo, niż atakować teraz i uzyskać połowiczny triumf.

– Nasz nieoceniony parakoimomen raczy przesadzać. – Jan Tzimiskes wziął w obronę młodego Romana i z zazdrością zerknął na jego kielich z winem. – Pora na atak jest właściwa. Sarakeni nigdy nie byli tak słabi. W ubiegłym roku zadałem im straszliwe ciosy w regionie Jazira. Zdobyłem Darę, dwukrotnie rozbiłem w puch armię Saifa ad-Dauli i powiesiłem sztandar autokratora na potężnych murach Samosaty.

– Chwała naszemu młodemu wodzowi! Wszystko to jego zwycięstwa, uczynione dzięki staraniom skromnego Bazylego, który przybył mu na odsiecz, kiedy armia Saifa szykowała na niego pułapkę. – Nothos po raz kolejny zadał kłam twierdzeniu, że pozbawieni męskości eunuchowie są wolni od ambicji i gardzą grą w przechwałki.

– Śmiesz twierdzić, że bez twoich ludzi bym sobie nie poradził?

– Ta jadowita myśl nigdy nie zatrzymała mojego umysłu. Moja skromna osoba raduje się tylko, że umożliwiła wielkiemu Tzimiskesowi odniesienie tak znakomitych zwycięstw.

Blamad oddałby rok ze swego życia, byle tylko zamienić się miejscami z Ainarem Skaldem. Pieśniarz czułby się jak u siebie w tym gnieździe zmij,

gdzie nikt głośno nie mówił tego, co ma na myśli. Berserk szybko pogubiłby się w kłótniach, gdyby wcześniej dowódcy ze Scholi nie wyłożyli mu przebiegu zeszłorocznych wojen. Wiosną Jan Tzimiskes przedostał się przez góry Taurus i runął na północ regionu Jazira, gdzie górny swój bieg miała rzeka Eufrates. Zdobył i zniszczył kilka osiedli, w tym twierdzę Darę, a kiedy Saif ad-Daula zjawił się z dziesięcioletnią armią, by bronić swych ziem, Jan zadał mu straszliwą klęskę, zabijając w bitwie pięć tysięcy jego ludzi i kolejne trzy tysiące biorąc do niewoli. W lecie do wojny przyłączył się Bazyli Nothos. Przyprowadził Janowi posiłki i razem oblegli Samosatę. Udało im się zdobyć tę twierdzę, a gdy Saif zjawił się z odsieczą, pokonali go w bitwie i zmusili do ucieczki.

– Wystarczy tych przechwałek. – Nikefor był mocno rozdrażniony, co można było poznać po jego zmarszczonych, krzaczastych brwiach. – Romejowie wiele zawdzięczają wam obu, bo dobrze wypełnialiście moje rozkazy. Saif dostał nauczkę, wszyscy więc myśleliśmy, że długo będzie się po niej podnosił. Moi ludzie donieśli mi jednak, że w Aleppo znów gromadzone są wojska. Miecz Dynastii będzie chciał jeszcze tego roku odzyskać to, co stracił w poprzednim. Czeka nas nowa wojna na granicy z emiratem.

– Zatem i tę wygram dla chwały naszych basileusów – zapowiedział Jan, za co uniesionym kielichem podziękował mu Roman.

– Z pewnością zwyciężymy. Leonie, a jak sytuacja w innych regionach?

Młodszy brat Nikefora był do niego podobny, ale tylko z twarzy. Ubierał się z przepychem, mówił pogodnie i nie przesadzał z pobożnością, choć zarazem stronił od hulank lubianych przez Tzimiskesa.

– W Tracji szykuje się spokojny rok. Po tym, jak w zeszłym roku nasza armia temowa rozgromiła Ungrów, nie należy się spodziewać żadnych barbarzyńskich ataków z Północy. Gorzej mają się sprawy w Italii. Zeszłoroczny najazd Sarakenów z Sycylii na Kalabrię przyniósł wiele szkód, ale burza, którą sam Kristus zesłał, by pomścić swoich zamordowanych wyznawców, zatopiła powracającą z łupami flotę. Rozejm z Fatymidami, jaki wtedy zawarliśmy, obowiązuje i w tym roku, a strategos

Kalabrii jest pewny, że zostanie dotrzymany.

– Przyjdzie i czas na Sycylię. Przysięgam na mandylion! – Domestyk złożył obietnicę, po czym się przeżegnał. Goście powtórzyli gest i nikt nie odważył się głośno wątpić w prawdziwość tych zapewnień, albowiem starszy z braci Fokasów nigdy nie rzucił słów na wiatr. – Dziś musimy jednak zdecydować, co zrobimy z Kretą. Radźcie, byle krótko. Janie?

– Ja z twoim bratem poradzimy sobie z Saifem. Nie mógł jeszcze zbyt urosnąć w siłę. Ty, mój wuju, poprowadź wyprawę na Kretę.

– Zaczekajmy do następnego roku, aż nasz autokrator będzie na tyle silny, by samemu popłynąć z flotą. – Bazyli Lekapen zrezygnował ze służalczego tonu i przemówił jak władca, bo stała za nim wola starszego basileusa. Zazwyczaj to zamknęłoby sprawę, ale goście czuli, że tym razem należy wziąć pod uwagę wolę młodszego basileusa, który niebawem mógł stać się basileusem jedynym.

– Chętnie zwiedzę Kretę w zastępstwie mojego zmęczonego ojca – zaproponował Roman.

Ali wyczuwał, że dworscy zapaśnicy chwycili się za bary i małe były szanse, by któryś z nich szybko wziął górę nad przeciwnikiem. Chwilową ciszę przerwał najstarszy mężczyzna na sali, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowom z zamkniętymi oczyma, jakby drzemał.

– Wszyscy nie docenicie Saifa. – Mimo swojego wieku Bardas Fokas trzymał się prosto i miał mocny żołnierski głos. – To lis pustyni, który nieraz zalał nam za skórę. Sam niegdyś go zlekceważyłem, a on odebrał mi to, co ojciec ma najcenniejszego. Mojego syna Konstantyna.

Wojownik z Wagadou słyszał o tym, choć nie znał szczegółów. Kilka lat temu najmłodszy z synów Bardasa został pojmany w bitwie, a potem zginął w lochach Aleppo. Od tej pory Saif był nie tylko przeciwnikiem władców Byzantionu, ale też zniechęconym wrogiem rodu Fokasów.

– Stu Sarakenów z armii Saifa i dwóch jego kuzynów osobiście ściałem, by pomścić mego ukochanego brata. – Domestyk zacisnął pięści, ale jego niewzruszona twarz wskazywała, że była to tylko udawana złość. – Ale to za mało. Sam Saif musi za to zapłacić. Emirat Aleppo może nie jest

zasobnym krajem, lecz pamiętajmy, że ten podstępny heretyk wypowiedział nam *jihad* i wmówił pobratymcom, iż tylko pod jego wodzą mogą prowadzić swoją świętą wojnę. Moc Złego sprawiła, że do armii Miecza Dynastii ściągają wojownicy ze wszystkich sarakeńskich krajów, nawet z odległej Ifrikiji.

– To bez znaczenia! – Jan Tzimiskes był pewny siebie, a na jego przystojnej twarzy jak zwykle gościł uśmiech. – Ich zastępy i tak padną na kolana przed ikonami, które niesiemy do boju.

– Duch bitewny zamieszkuje pierś mojego siostrzeńca. Warto jednak czasem powściągnąć zapał, by lepiej zrozumieć wroga. Nie bez przyczyny przyprowadziłem na naradę mojego spathariosa zwanego Czarnym Achillesem, który osobiście poznał Saifa i wiele może nam o nim opowiedzieć.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Ali miał okazać zdziwienie i wyprężyć się z dumy, że udzielano mu zaszczytu przemawiania na naradzie wojennej. Nigdy nie umiał kłamać czy chociażby udawać, ale znał sztukę ściągania na siebie uwagi. Odslonił spiłowane zęby i podrapał wężowy łeb wytatuowany na swojej łysej głowie.

– Spotkałem go tylko raz, jedenaście lat temu, gdy odwiedziłem Halab, miasto zwane przez was Aleppo. Był wtedy człowiekiem ceniącym przyjemności ciała, otaczającym się kobietami, młodzieńcami, poetami i mędrkami. Odniosłem wrażenie, że tylko udaje religijny zapał, a w rzeczywistości to człowiek o otwartym umyśle.

– Jest zręcznym władcą – odezwał się jeden z mniej znaczących dowódców. – Powiedz nam coś, czego nie wiemy.

– Znakomicie gra w szatrandż. Rozegraliśmy jedną partię i to nie ja odszedłem od stołu jako zwycięzca. Pamiętam, że jego ulubionym sposobem gry było oddawanie przeciwnikowi mało znaczących pionów, wciąganie go w zasadzkę i atakowanie ze skrzydeł.

– Twierdzisz, że Samosata to nic nieznaczący pion? – zapytał Tzimiskes z pobłażliwym uśmiechem na twarzy.

– Zapewne jest ważną twierdzą, ale to nie o nią prowadzicie wojnę.

– Mój spatharios ma rację – rzekł Nikefor. – Po zeszłorocznych podbojach nasze przyczółki utworzyły klin na ziemiach nieprzyjaciela i jeśli będziemy się tylko bronić, armie Saifa mogą na nas uderzyć z dwóch stron. Lepiej będzie uprzedzić atak i poprzez wyrwę w sarakeńskim pasie twierdz, jaką uzyskał dla nas mój niezrównany w boju siostrzeniec, uderzyć w głąb emiratu.

– Wielka mądrość przemawia przez naszego domestyka. – Bazyli Nothos rozchylił nieproporcjonalnie długie ręce i skierował je ku górze, jakby właśnie stamtąd spłynął na Nikefora pomysłu.

– Co zatem z Kretą? – Basileus nie powinien okazywać uczuć przed poddanymi, ale Roman nie potrafił ukryć rozczarowania i złości.

– Jeśli nasze uderzenie w Jazirze ma być znaczące, właśnie tam musimy skierować większość sił – wyjaśnił spokojnie dowódca armii. – Obawiam się, że w tej chwili nie stać nas na dwie wojny. Kreta musi poczekać.

– I mamy pozwolić, by sarakeńscy rabusie nadal najeżdżali nasze wybrzeża?

– Nic nie zostanie postanowione bez zgody basileusów. Powierzono mi dowództwo nad armią, radzę więc to, co jest najlepsze dla chwały Romejów. O pozostawieniu w bezkarności Sarakenów z Krety nie może być jednak mowy i na ich zaczepki odpowiemy uderzeniem z morza. Dlatego ośmielam się prosić młodszego basileusa, by przekonał ojca do rozbudowy floty. Nie można szczędzić na nią środków. Jeśli zwyciężymy na morzu, przyszłoroczna wyprawa na Kretę będzie tylko przyjemną powinnością.

Roman pokiwał głową. Musiał zdawać sobie sprawę, że uporem więcej nie ugra, bo obojętnie jak wielkie były jego ambicje, pierwszym władcą Miklagardu wciąż pozostawał Konstantyn.

– Właśnie do tego was namawiałem. Do wojny z Sarakenami z Krety, słusznie zatem radzicie, że należy zacząć od rozgromienia floty nieprzyjaciela. Udam się z tym zaraz do naszego ojca i postaram się go przekonać.

– Ja również poprę ten znakomity pomysł naszego młodego basileusa. – Bazyl Lekapen promieniał z radości i choć w jego uśmiechu nie widać było fałszu, przyzwyczajono się nie ufać mimice wyszkolonego na dworskich knowaniach trzebieńca. – Myślę, że razem zdołamy przekonać autokratora.

Nawet wśród kłamstw, pochlebstw i półprawd Alemu udało się dostrzec cień *So day*, Jasnego Słowa, które jest prawdą najwyższą. Nikefor wspólnie z Bazylim zrećźnie zaplanowali przedstawienie, by zmienić cele przyszłorocznych zmagañ wojennych i wymóc na Romanie zgodę na to.

– Wspaniale. Jak wiecie, już w tamtym roku poczyniliśmy pewne przygotowania w tym kierunku. Nasze statki dały odpór rabusiom. Proponuję jednak wzmocnić nasz tem morski na Samos, którego wyłącznym zadaniem będzie walka z łupieżcami z Krety.

– Znakomity pomysł! – przyklasnął drungariusz floty. – Kto obejmie urząd strategosa?

– Najlepszy będzie eunuch Georgios, zwany przez żołnierzy Gyrgirem – wtrącił Lekapen, zanim ktoś zdążył go ubiec. – Sprawdził się jako zarządca Thery i zeszłej jesieni wygrał dla autokratora wspaniałą bitwę z flotą Sarakenów.

– Bardziej przydałby się ktoś, kto zna się na statkach i nie boi się samemu stawać do boju. – Nawet gdyby Jan Tzimiskes nie patrzył na Bazylego, i tak wszyscy wiedzieliby, w czyj honor uderza. – Przekłęci przez nóż kastratora rzadko bywają dobrymi żołnierzami.

– Jestem pewien, że Georgios z łatwością znajdzie dzielnych i szlachetnie urodzonych wodzów, którzy skrupulatnie wykonają jego rozkazy – odgryzł się Nothos.

– U strategosów bardziej cenimy zdolności organizacyjne niż żołnierskie – Nikefor wziął stronę parakoimomena. – Osobiście polecę Georgiosa na to stanowisko i ufam, że autokrator przychyli się do tej prośby.

– Ufajmy w niezmaconą mądrość Zrodzonego w Purpurze. – Lekapen złożył ręce jak do modlitwy i ukłonił się domestykowi. Nawet dla Alego było jasne, że przyznanie stanowiska Georgiosowi jest przesądzone.

Czarny Berserk żywił nadzieję, że rozstrzygnięcie sprawy Krety zakończy naradę. Na próżno, zaczęto bowiem teraz rozvodzić się nad ilością wojsk w temach, przydzielano stanowiska, rozliczano dowódców z zeszłorocznych działań wojennych, rozmawiano o dostawach żywności dla wojska i o wysokości rogi dla żołnierzy, planowano wymarsz poszczególnych oddziałów i omawiano trasy, jakimi miały się przemieszczać. Wszystkie te sprawy szybko znudziły Romana, który wstał, podziękował za rady i uczynił swoim zastępcą eunucha Józefa Bringasa. Gdy basileus opuścił salę, innych gości również ogarnęło znużenie. Pod różnymi wymówkami zaczęli uchylać się od dalszego uczestnictwa w naradzie, a wychodząc, zostawiali na swoich miejscach zaufanych ludzi. Domestyk szybko zdał sobie sprawę, że wszystkie szczegóły nadchodzących wojen omówić mogą między sobą niższej rangi wodzowie, zakończył więc spotkanie słowami:

– Pomódlmy się o powodzenie naszych zamierzeń. Niech Duch Święty zstąpi na nas, a hagios Andreas z Krety prowadzi nas do boju.

* * *

Kazali mu czekać, jak pierwszemu lepszemu służącemu, a wcześniej występować przed grikklandzkimi kogucikami i kapłonami, jakby był podrzędnym irskim bardem, a nie konungiem Vaeringów, mistrzem miodowych mów i hagiem biegłym w rzeźbieniu mieczem i językiem. Niegdyś bardziej by się tym przyjął, teraz zapił to winem i posadził sobie na kolanach piersiastą kuchareczkę.

Po przedstawieniu skierowano go do małej, jak na grikklandzkie warunki, sali, gdzie zwykle przyjmowano jedynie sługi co bardziej znakomitych biesiadników. Na szczęście w izbie pozwolono też zostać jego ludziom, którzy brali udział w tańcu gockim. Podano im jadło, choć skromne, a co gorsza bez wsparcia solidnego trunku, więc Ainar, jako dobry władca, sam musiał zadbać o wino. Wysłał jednego drenga po napitek do najbliższego ergasterionu, a ten wrócił z dwoma dzbanami czerwonego napoju. Od razu zrobiło się przyjemniej. Wężowy język

pomyślał też o kobiecym towarzystwie, choć tylko dla siebie, i przygruchał pracującą w kuchni dziewczkę. Była pulchna i ładna, choć daleko jej było do piękności Kallirroe, a kiedy szczypał ją w tyłek, uroczo pischiała i oblewała się rumieńcami. Jej prostota stanowiła miłą odmianę od dąsów i modlitw pobożnej kochanki. Karcił właśnie dziewczynę oliwkami i sprawdzał ciężar jej lewej piersi, gdy zabawę zepsuł mu Ali.

Berserk przybył sam, choć pieśniarz przeczuwał, że wojownikowi towarzyszyła wola przynajmniej jeszcze jednego człowieka.

– Co na to twoja żona?

– Czerń nie tylko barwi twoją skórę, ale i umysł przyciemnia. Nie mam żony.

– Zoe też jest tego zdania?

– Tyle języków zna mój uczony głupek, a nie wie, czym różni się kochanka od małżonki.

– Ta druga gotuje?

– Nie – odparł Skald, choć z pewnym niepokojem wspomniął pyszne potrawy, które przygotowywała Kallirroe. – Ta pierwsza nie rości sobie prawa do twojego miecza, choć umie się nim posługiwać lepiej od żony.

– Ty znasz się na słowach, ja wyczuwam prawdę między nimi ukrytą. Możesz ją nazywać, jak chcesz, ale to ona doi twoje krowy.

– Znów te powiedzonka z Blalandu? Nie godzi się ich powtarzać w pałacu.

– Nie masz pojęcia, co przystoi w pałacu, ale o to posprzeczamy się później. Wzywa cię Nikefor Fokas.

– To chyżo, chyżo. – Kłapsem zachęcił kuchareczkę do wstania, po czym sam podniósł się ze stołka. Strzepnął z ubrania resztki chleba i wygładził czerwony skaramangion. – Twój nowy pan nie może czekać na skromnego pieśniarza.

– Skromnego jak słowik wśród wróbli.

– Raczej orzeł wśród wron.

– Zdarza się, że i wrony osamotnionego orła zadziobią, bacz zatem, byś

po tej wizycie nadal miał stronników w pałacu. Ostrzegam jako przyjaciel, który w mordę ci przywali, jeśli w tej sprawie skrewisz.

– I ja po przyjacielsku cię w pysk zdzieję, jeśli za moimi plecami knuć coś z Grikkmadami.

– Chrońmy więc nasze piękne gęby! – Ali uśmiechnął się, odsłaniając spiłowane zęby, po czym ruszył ku drzwiom.

Skald dopił wino z kubka i ruszył jego śladem. Przeszli przez podłużną hallę i wewnętrzny dziedziniec, minęli oczko wodne z kamiennym mostkiem, przespacerowali się pod gankiem, między kolumnami i obok marmurowych rzeźb pięknych dziewczyn, zwiedzili dwie izby obwieszone świętymi obrazami, aż w końcu dotarli do sali biesiadnej, przed oblicze domestyka.

– Dziękuję, że raczyłeś poczekać, konungu Vaeringów. Siadaj, proszę.

– Miło odpocząć po ciężkich tańcach, dostojny Nikolausie Pokasie. – Przez zimę Ainar nauczył się całkiem dobrze mówić po grikklandzku, więc kaleczył tutejszą mowę z czystej złośliwości i jeszcze dla odwetu, bo Nikefor obraził go pierwszy. Grikkmad nie przywitał go na wejściu, nie wstał na jego widok i przyjął go jak podwładnego. Poeta usiadł przy stole, naprzeciwko dowódcy i Alego, który zajął miejsce za plecami domestyka.

– Może wody?

– Woleć coś kwaśniejszego.

– Zatem fouska?

– Na twoim miejscu bym się o to nie zakładał, chyba że pobożny Nikolaus Thokas znów chce przegrać, jak na wyścigach.

Blamad rzucił mu karcące spojrzenie, ale i bez niego wiedział, że wspomnianie o tym nie było rozsądne. Skalda nie nazywano by jednak konungiem kłopotliwym, gdyby grzecznie drapał władców po plecach.

– Zawsze wygrywam wojny, choć czasem kosztują mnie one więcej nomism, niż planowałem. – Domestyk nie okazywał zdenerwowania, jakby w ogóle nie zwrócił uwagi na dwukrotne przekręcenie swojego imienia. – Kilka tygodni temu przepłaciłem za konia, który miał być basileusem wśród

wierzchowców, a okazał się całkiem przeciętny. Ktoś inny zdenerwowałby się na moim miejscu, ale ja oddałem zwierzę do zaprzęgu, by przyuczono je do nowej roli. Mam nadzieję, że niebawem stanie się mocnym ogniem jakiejś kwadrygi.

Skald uniósł prawą brew, potem lewą, zatańczył nimi, złączył je, po czym odsłonił kły w wilczym uśmiechu. Fokas sprawnie sobie z niego drwił i Ainar zaczął rozważać, czy zdąży wyciągnąć zawieszony na szyi nożyk, przeskoczyć przez stół i wbić ostrze w szyję Nikefora, zanim Czarny Berserk lub inny strażnik rozłupie mu głowę mieczem. Szanse powodzenia oceniał pół na pół, gdyż był trochę pijany. Nie warto było więc ryzykować, bo jak uczyła go babka: „Mądry dreng walczy, gdy zwycięstwo jest pewne; głupiec bije się zawsze”.

– Na Północy takie ogiery się zdarzają, że nawet najbardziej wprawnemu jeźdźcowi dosiąść się nie pozwolą, a jeśli są źle traktowane, to ugryźć i kopnąć potrafią.

– Prawda to. I u nas się takie krnąbrne stworzenia rodzą. Nie posłałem jednak po Orfeusza Północy, by o koniach rozmawiać. Pomówmy o ludziach, bo ze smutkiem mi doniesiono, że konung Vaeringów nie w pełni jest zadowolony z gościny naszego autokratora. Czy mogę mu zapewnić jakieś dodatkowe wygody?

Ainar czuł, że gospodarz zapytał tylko przez grzeczność, ale dzięki dobremu wychowaniu zawsze miał gotową odpowiedź na takie pytania.

– Skrzynia ze złotem wystarczy. Wszystko inne sam kupię.

– Przedni żart, przedni – stwierdził domestyk, ale nawet się nie uśmiechnął. – Gdyby tak więcej moich ludzi umiało mnie rozweselić, przyjemniejsze byłyby narady.

– Gdyby domestyk raczył poprosić, zabawiałbym go swoim radosnym usposobieniem od samego rana.

– Świetnie się rozumiemy. Nawet język naszego basileusa z Północy coraz rzadziej się potyka na pułapkach naszej pięknej mowy. Jestem też pewien, że nasz szybko myślący konung doskonale pojmuje, dlaczego w ostatnich tygodniach autokrator pozwolił mu wypoczywać i nie trapił go

myślami o wojnie.

– Myślenie o wojnie nigdy nie przeszkadza Vaeringowi.

– Słowa godne Heraklesa. Zawsze ceniłem najemników z Północy i chętnie przyjmowałem ich na służbę, bo nie ma lepszego żołnierza nad Rhosa, Gota czy innego Tauroscyta. Jednak w obliczu niespodziewanej zdrady Diarfa Nawlekacza niektórzy w pałacu zaczęli wątpić w jego pobratymców. Dla dobra kagana Vaeringów musiałem go trzymać z daleka od dworskich błahostek i narad, które znudziłyby każdego wojownika. Nawet ja, prosty żołnierz i sługa naszego Kristosa, okrutnie się dziś wymęczyłem.

Twarz Grikkmada, zamknięta między czarnymi, krótko przyciętymi włosami a rzadką, połączoną z wąsami brodą, wskazywała na coś zupełnie innego. Ciemne, lekko zmrużone oczy oraz krzaczaste, zmarszczone brwi wyrażały skupienie, a wysokie czoło i wielki, zakrzywiony ku górze nochal dodawały mężczyźnie powagi.

– Jak wódz wodzowi zdradzę ci tajemnicę, jak łatwiej znosić nudę rządzenia. Trzeba zawsze mieć przy sobie wino, miód lub piwo. Dzięki nim czas się nie dłuży, a narzekania podwładnych stają się mniej drażniące.

– Jan Tzimiskes by temu przyklasnął, ale obaj bylibyście w błędzie. By planować wojnę, umysł musi być czysty niczym woda, i to właśnie nią należy zwilżać gardło – powiedział gospodarz i pociągnął łyk ze szczerozłotego kielicha.

Rozmowa ze świętoszkowatym wojakiem zapowiadała się na nudną, więc składacz strof postanowił przejść do rzeczy, by nie tracić swojego cennego czasu. Nudzić lubił się tylko na własnych warunkach.

– I teraz mnie poprosisz o zdobycie Krety?

– Myślisz, że byś podołał? Nie, aż o takie szaleństwo prosić cię nie chcę. W tym roku emir Kouroupes będzie się jeszcze cieszył władzą na wyspie, choć na morzu nie damy mu spokoju.

– Zatem powtórka sprzed roku? Czuję się zawiedziony.

– Nie do końca, nie do końca... Ale o tym za chwilę.

Nikefor machnął ręką, dając znak służbie do opuszczenia sali. Ucieszyło to poetę, bo eunuchowie, krzątający się między kolumnami i zgarniający ze stołu resztki potraw, przeszkadzali mu w myśleniu. Rolę sprzątających przejęły dwie wrony, które dotychczas siedziały na wiszącym na ścianie krzyżu, a teraz przysiadły przy misie z owocami. Skald sięgnął po leżący nieopodal chleb, urwał kawałek, pokruszył go i wyciągnął rękę w kierunku ptaków. Zagwizdał. Czarne żurawie pola bitewnego popatrzyły na niego, pokręciły łebkami, zakrakały i przydreptały, pomagając sobie skrzydłami. Po chwili jadły mu już z ręki.

– Z ludźmi też sobie tak dobrze radzisz? – Fokas po raz pierwszy w tej rozmowie okazał prawdziwe zainteresowanie.

Ali prychnął śmiechem, ale szybko się opanował i słowami spróbował naprawić swój brak ogłady:

– Tak dobrze radzi sobie jeszcze tylko z kobietami.

– Podziw dla mojej biegłości w zaspokajaniu dziewczek jest zrozumiała. Na posłuch podwładnych też jednak nie narzekam. Wojowie są bardzo podobni do gawronów, bo ciągle kraczą, narzekają i zabiegają, by łaskawa ręka pana dała im więcej złota.

– Znajduję mądrość w tych słowach. To bardzo dobrze, że teraz już w pełni władasz swoimi ludźmi. – Nikefor zamilkł na dwa uderzenia serca, by Skald zdążył przełknąć obelgę. Diarf uchodził przecież za jego zastępcę, więc ucieczka jego ludzi mogła być odczytana jako bunt przeciwko Ainarowi. – Posłuch przyda się konungowi tam, gdzie zamierzam go wysłać. Na Krete.

– Łupienie mamy we krwi.

– Chodzi o coś więcej. Bo widzisz, każda wojna wymaga monet. Całej góry złota, mówiąc dokładniej, a choć skarb autokratora jest zasobny, to nie jest bez dna.

– Jeśli wasza bieda ma mnie skłonić do służby, to po próżnicy strzepimy języki. Nie zgodzę się na obniżenie rogi. Sam przyznałeś, że daję ci najlepszych żołnierzy na świecie.

Zniecierpliwiony domestyk machnął ręką.

– Zgodziłbyś się na wszystko. Nie masz wyjścia i z pewnością nie zasłużyłeś na tak wysoką płacę, jaką w zeszłym roku zaproponował ci autokrator. Ale to jest mało ważne. Nie chcę zmniejszać wagi twoich kufrów, a co więcej, dam ci możliwość powiększenia dochodów.

Słowa grikklandzkiego wodza zaskoczyły konunga z Północy. Spodziewał się ostrych targów i gotów był podjąć się służby za trzy ćwiartki tego, co dostał zeszłego roku.

– Mogę posłuchać – rzucił niedbale, by jak dobry kupiec nie zdradzać zaciekawienia.

– Kreta to kolebka naszej kultury. Zasobna w ziemię, ludna, a ponad wszystko znakomicie położona. Kto nią włada, kontroluje handel w całej wschodniej części najważniejszego morza Ekumeny. Przy wyspie przecinają się szlaki z Anatolikonu do Kalabrii, z Ifrikiji do Byzantionu, z emiratu Aleppo na Peloponnesos i wiele innych. Wyspa mogłaby stać się znaczącym ośrodkiem handlowym, ale zamiast tego jest ostoją morskich łupieżców.

– Po to właśnie nas najmujecie, byśmy zwalczali kussarów.

– Zgadza się. Ale na pewno przyszło ci do głowy, że łupy Sarakenów muszą być ogromne i ukryte gdzieś na Krecie.

– Nic nie może się równać z pieśnią przesypujących się monet.

– A gdybym ci powiedział, że znam dokładne miejsce ukrycia tego skarbu i bezpieczne przejście, by się do niego dostać?

– Odpowiedziałbym, że chyba słuch mnie zawodzi. Nabożnemu domestykowi znudziło się siedzenie w świątyni i pragnie ruszyć ze mną na łupieską wyprawę?

Grikkmad spojrział na krzyż i powoli przeżegnał się trzema złączonymi palcami prawej dłoni.

– Daruj sobie drwiny. Moja wiara w Kristosa pozostaje niewzruszona i w pogardzie mam zbytki tego świata. Mądry wódz musi jednak wiedzieć, że żołnierze zwyciężają w bitwach, ale to złoto wygrywa wojny.

– Dobrze powiedziane, jednak nowa wiara, której oddałem się całym ciałem i duchem, trzyma mnie z dala od chciwości. Roga, którą mi płacicie, w zupełności wystarcza na moje skromne potrzeby, dlatego muszę odmówić.

Fokas siedział nieruchomo, badając oblicze rozmówcy. Ali nie był tak dobry w powstrzymywaniu zdziwienia – rozdziawił gębę i trzepnął głową, aż wytatuowany na jego łysym czerepie wąż zakołysał się jak w tańcu.

– Zatrzymasz dwunastą część tego, co uda ci się zdobyć.

– I po cóż mi tyle złota? Tylko bym się martwił, by mi go nie ukradziono. A ile to kopania, by schować je w ziemi.

– Dziesiątą część tego, co przywieziesz do Byzantionu. Więcej łupów nie dostaje nawet gwardia autokratora!

– Za stary się robię na takie niepewne przedsięwzięcia. Śladem waszego basileusa chcę trochę w spokoju pokonungować. Może zostanę na lato w mieście i stąd będę zarządzał ludźmi? Wyślę wici na Północ, by krewniacy przysłali mi posiłki. Tutaj na miejscu lepiej przysłużę się Grikmadom i pomogę wam wystawić nową armię.

– Więcej na tym nie ugrasz. Dziesiąta część skarbu Krety sprawi, że będziesz bogaty jak kagan i kupisz sobie ziemię, by twój tytuł rzeczywiście coś znaczył.

– A skąd pomysł, że w ogóle będę się chciał dzielić? Może wezmę wszystko?

Blamad kłapnął zębami jak smok z Wągadou. Płatki jego wielkiego, nieco spłaszczonego nosa zaczęły dygotać, grube wargi drżeć, a przekrwione oczy zabłyśły radością oprawcy, który brał się właśnie do męczenia więźnia. W odróżnieniu od berserka, domestyk nie zdjął maski, która nadal wyrażała pobożność i surowość.

– Może spróbujesz wziąć wszystko, ale myślę, że na taką kradzież jesteś za sprytny. Gdzieś uciekniesz z tym skarbem? Ziemie Sarakenów będą dla ciebie niedostępne, a gdziekolwiek indziej byś się udał, w pościg za tobą wyruszy flota basileusa. Jestem pewny, że opłaci mi się ryzyko zaufania

Orfeuszowi Północy.

W to pieśniarz nie wątpił ani przez jedno uderzenie serca. Przecież nawet jeśli uciekłyby ze złotem, gardsokonung odniesie z tego korzyść – sam nie będzie majątniejszy, ale przynajmniej jego przeciwnik zubożeje. Biedną Krete będzie łatwiej zdobyć, a zdecydowana postawa Nikefora wskazywała, że i on doskonale to rozumiał.

Ainar sięgnął po jedną z czarnych, wielkich jak śliwka oliwek, które leżały w miseczce nieopodal jego prawicy. Włożył ją do ust. Żuł powoli, a kiedy skończył, obyczajnie wypluł pestkę do otwartej dłoni i mniej grzecznie pstryknął nią palcem drugiej ręki w kolumnę wspierającą sklepienie. Ta odbiła się od marmuru i wróciła na stół, trafiając jedną z wron w łebek. Ptak zakrakał, pomachał skrzydłami i wrócił do jedzenia okruszków.

– Doceniam łaskę, jaką zostałem obdarzony, ale zmuszony jestem odmówić. Konung nie może służyć byle jakiemu wodzowi i tylko z autokratozem może zawierać sojusze, jak równy z równym.

– Niech Kristos wybaczy moją pomyłkę, bom w dobrej wierze uznał poetę za mędrca, a w swojej pysze pomyślał, że potrafię jasno przemawiać do żołnierza. Zdaje się jednak, że nie pojąłeś mojej propozycji, Araltesie.

– Ainarze.

– Wybacz. Wasze imiona są takie twarde i chropowate, że z trudem przechodzą przez gardło Romeja. A zresztą, czy warto to imię pamiętać? Tyłu przecież u was konungów, że z łatwością znajdziemy sobie nowego władcę. Zdziwiony? Podpytałem trochę Gotów, którzy służą w naszych gwardiach, co znaczy ten wasz saekonung, i dowiedziałem się, że takim morskim wodzem może obwołać się każdy, kto ma pod sobą nawet niewielką armię. Powiedzmy taki Magnolf, który nieźle sobie poczynił na Therze. Nadałby się na konunga Vaeringów?

– To bitny człek, ale powolny w myśleniu. Poza tym Vaeringowie sami obierają sobie władcę i nigdy nie przyjmą tego, kogo im narzucisz. Tym bardziej że mnie wszyscy kochają. – Z tym ostatnim trochę przesadził, ale byłby ubogim pieśniarzem, gdyby nie umiał zachwalać samego siebie. –

Wasza to jednak wola, jeśli chcecie spróbować.

„Nawet kamień wyprowadziłbyś z równowagi” – krzyczał na niego ojciec, lejąc go leszczyną po dupie. Fokas trzymał się dzielnie, ale i na niego przyszła pora. Zacisnął pięść i walnął nią w stół, aż przestraszone wrony zerwały się do lotu.

– Dość tego. Masz trzy tygodnie do namysłu. Albo weźmiesz jeden statek i wraz z moim przewodnikiem popłyniesz na Krete, albo w tym roku i w następnych latach nikt w Grikklandzie nie najmie cię na służbę. Zobaczymy, jak długo twoi ludzie pozostaną ci wierni. Teraz zejdź mi z OCZU.

– Jak sobie życzysz, Nikoulsie Kochasie.

Pieśniarz wstał, pokracznie skłonił się domestykowi i ruszył ku drzwiom. Spodziewał się usłyszeć za plecami przekleństwa, ale doszły go tylko słowa grikklandzkiej modlitwy. Było tam coś o cierpliwości.

Opowieść o miłości 6

Skald potknął się i niemal przewrócił, ale od upadku uratował go Ali, przytrzymując za ramię. Pieśniarz ze złością odepchnął czarnoskórego wojownika, a następnie pocałował dzióbek dzbana i łapczywie pociągnął wina.

Kamień, który prawie pokonał Skalda, był wielki i mimo panujących ciemności Finlog widział go z odległości dziesięciu kroków. Pomyślał, że dreng musiał być już dobrze pijany albo mieć poważne problemy ze wzrokiem, skoro nie dostrzegł głazu.

– Sela była bardzo mądrą dziewczynką – wrócił do opowieści były mnich. – Nigdy wcześniej nie spotkałem tak pojętnej osoby czy to wśród dzieci, czy wśród dorosłych. Zacząłem ją uczyć wszystkiego, co umiałem. Dzięki kupcowi, który wcześniej się nią opiekował, znała mowy Eriu, Noregu i Englismadów, ode mnie nauczyła się porozumiewać po grikklandzku i w *lingua latina*, a także pisać w tych dwóch ostatnich językach.

– Sprawiała kłopoty?

– I to jakie! Ileż to razy wyrzucano nas z wioski, bo zniszczyła komuś plony, pożyczyła konia i potem go sprzedała, pobiła miejscowego chłopca, zakradła się do czyjegoś domu i porozrzucała na klepisku gwoździe, powyrywała gęsiom pióra, tak by wyglądały na półnagie, powięzała koty ogonami albo zniszczyła pranie. Ale najgorsze były kradzieże. Dwa razy chcieli ją za to wybatożyć, musiałem więc odkupywać jej winy pracą jako sądowy pisarzyna. Miała prędkie ręczki i chętnie wyciągała je po cudze rzeczy. Nie mogliśmy jej tego oduczyć. Próbowałem naprostować charakter Seli, ale nie kijem, bo ten nic nie dawał, tylko modlitwą i nauką

o Kristosie. Nie takich bowiem łotrów zbawiał nasz Odkupiciel.

– I chciałeś, jak rozumiem, zanudzić ją opowieściami, by szybko zasypiała? Pamiętam, że przed laty też często oko mi się przymykało, jak słuchałem waszych nabożeństw.

– Zatem w tym jest od ciebie różna, bo chętnie słuchała nauk ojców, którzy miłowali mądrość i rozumem chwalili Pana. Z radością przyswajała sobie też modlitwy i iryjskie loriki. Potrafiła przez pół dnia śpiewać pieśni chwalcące Jedynego oraz zanosić do niego modlitwy, choć dopiero później zrozumiałem, że robiła tak, by mnie udobruchać i odwieść od wymierzenia kary. Myślę, że podobała jej się też forma, a także melodia tych utworów, bo już wtedy przejawiała skaldyczne umiejętności i potrafiła odpysknąć zgrabną strofą. Z czasem zacząłem ją więc wdrażać w sztukę bardów. Robiła bardzo szybkie postępy i w dwa lata stała się równie wprawna w układaniu poezji jak ja. Pieśniarstwo niezwykle ją wciągało i odganiało od psot. Wspólnie z żoną uznaliśmy, że to jest jedyna szansa, by dać jej dobre wychowanie, bo Sela zupełnie nie radziła sobie z kobiecymi sprawami, takimi jak tkanie, gotowanie czy pranie. Mówiąc szczerze, nawet ślepy ojciec Arculf z mojego dawnego zgromadzenia lepiej cerował płaszcze, niż ona radziła sobie z moją koszulą, a gdy brała się do przygotowywania strawy, wzbierała we mnie tęsknota za klasztorными postami.

– To nic. Po ślubie mąż zamknie ją w domu i wszystkiego się nauczy.

– Prędzej potnie mu wszystkie portki i otruje go zupą z muchomora. A z kim to zamążpójście planujesz? Chyba nie z Alim?

Berserk uśmiechnął się, a jego spiłowane zęby odbiły się w blasku pochodni, nadając twarzy upiorny wygląd.

– Ty zostać mój tatuś? Ja prosić o jej rączkę – wojownik zwrócił się do Ainara.

– Helviti! – przeklął pieśniarz, splunął, wypił resztki wina z dzbana i cisnął puste naczynie w noc, po czym dodał. – Wracaj do opowieści, mnichu, a ty, czarna zarazo, lepiej uważaj, byśmy cię nie zgubili w ciemnościach.

Zobaczenie przejętej twarzy pieśniarza i tego, jak drażliwie reagował na udawana zaloty Blamada, warte było tygodni spędzonych na słupie, Finlog powściągnął jednak rozbawienie.

– Dobrze słyszeć, że się o nią tak troszczysz, bo i ty jesteś dla niej ważny, nawet jeśli dziwnie to okazuje. Gdy była pod naszą opieką, często o ciebie rozpytywała i z rozdziawioną buzią chłoneła każdy okruch wiedzy na twój temat.

– Tobie więc zawdzięczam, że niezbyt za mną przepada.

– Nie śmiałybym odbierać ci zasług. Mówiłem o tobie tylko dobrze i nawet dla ciebie skłamałem. Przekonałem ją, że wyjechałeś na wyprawę w obce kraje i pewnie zobowiązania wobec władcy nie pozwalają ci wrócić. A później, kiedy przez lata nie dawałeś znaku życia, podsunąłem dziewczynie myśl, że bohatersko zginąłeś w jakiejś bitwie, bo Bóg miał wobec ciebie plan, którego może nie rozumiemy, ale z którym musimy się pogodzić. I wiesz co? Podziałało. Jej zachowanie poprawiło się i powoli wypędzaliśmy z małej ducha przekory, który sprowadzał na nią tarapaty. Nie udało się całkowicie wypłenić krnąbrności, ale poezja i sagi zaspokoily jej pęd ku przygodom, bo to w nich odnajdywała wiedzę o wielkim świecie. Powoli zaczynała wychodzić na ludzi, a nawet dała się przekonać do porzucenia chłopięcego stroju i przywdziania sukienki. Kiedy zaś w wieku czternastu lat odkryła w sobie kobietę, zaczęła spoglądać w kierunku młodzieńców. Wtedy jednak spotkaliśmy na swojej drodze tajemniczego wędrowca z Noregu... Niech przekłety będzie dzień – Bard zrobił przerwę, by się przeżegnać – w którym to się stało, bo był on skaldem, który na powrót ożywił w niej krnąbrność.

– Jak wyglądał ten człowiek? – Ainar uniósł prawą brew i zmarszczył czoło.

– Wysoki, szczupły, z rudą brodą i szramą ciągnącą się przez lewe, pokryte bielmem oko. Przedstawił się jako Gestumblindi i mówił zagadkami, choć większość z nich dotyczyła miodu oraz piwa, a zapach tych trunków nieustannie towarzyszył jego ustom. No i nie potrafił powiedzieć dwóch zdań bez domagania się napitku. Myślę, że słabował na

umyśle.

Pieśniarz stanął, wstrzymując cały pochód. Wyglądał na mocno przejętego i odruchowo podniósł rękę do ust, by napić się wina, ale że nie było tam już dzbana, zaklął pod nosem i zapytał drżącym głosem:

– Czy wiesz, kto cię odwiedził?

– No mówię przecież, że jakiś przybłęda. Zjawił się w naszym obozowisku i poprosił o miejsce przy ognisku, a ja głupi się zgodziłem, bo przecież też byłem bardem i lubiłem zbierać cudze historie. A wędrowiec umiał opowiadać jak mało kto, to trzeba mu przyznać. Najbardziej zachwycona była jednak Sela, która nie odstępowała go na krok. Nakłamał jej, że zwiedził cały świat. Opowiadał niestworzone historie oraz śpiewał stare pieśni, wypijając przy tym cały nasz zapas piwa, miodu i wina. Powinienem dostrzec niebezpieczeństwo, widząc, jak twojej córce świeciły się oczy, ale nie zdołałem powstrzymać jej przed zadaniem pytania, które miało sprowadzić na nas nieszczęście. Zapytała, czy zna Ainara Skalda.

Finlog zawiesił głos, ciesząc się niecierpliwością pieśniarza. Mała zemsta należała mu się za to, jak poeta trzymał go w niepewności na słupie. Niestety, konung nie okazał wyrozumiałości, tylko zbliżył pochodnię do twarzy Barda i rzekł:

– Noce są zimne, wiem. Jeśli skostniałeś, mogę cię trochę przypiec.

– Mój język już zaczyna tajać. – Były duchowny zaczesał długie włosy do tyłu, by płomień czasem ich nie liznął. – Wędrowiec odpowiedział, że i owszem, zna Ainara i lubi słuchać jego pieśni, choć nie ma pojęcia, gdzie poeta obecnie przebywa, za to wie, gdzie mieszka rodzina Skalda, bo przyjaźni się z jego ojcem, który nigdy nie odmawia mu miodu.

– Powiedział, że lubi moje pieśni? – Konung zatańczył brwiami, wypiął pierś i zdawało się, że urósł o dwa palce. – Mówił coś więcej?

Finlog przeżegnał się odruchowo, bo choć nie miał pojęcia, z czego rozmówca tak się cieszy, doświadczenie nauczyło go, że pieśniarz rzadko raduje się rzeczami przyzwoitymi i świętymi.

– Próbował jej jeszcze powiedzieć, gdzie mieści się posiadłość twego ojca, ale nie zdążył, bo chwyciłem za sękaty kij i pogoniłem dziada. Już wtedy przeczuwałem, że jego kłamstwa nie przyniosą niczego dobrego.

– Co... co zrobiłeś?

– No, przegoniłem go.

Tym razem to Bard się wyprężył, bo trochę go zabolalo zdziwienie wodza. Może i był człowiekiem pokoju, ale nie z takimi przybłędami radził sobie w obronie swoich kobiet.

– A on dał się tak po prostu zlać?

– Mówiąc prawdę, za bardzo się tym nie przejął. Raczej chichotał z moich razów jak pomylenieć i krzyknął jeszcze do Seli, by go odnalazła, po czym zniknął w ciemnościach niczym zły duch. Próbowałem przekonać dziewczynę, żeby zapomniała o tym wędrowcu, bo taki jak on za kubek darmowego miodu powie wszystko, co zechcesz. Hvita mi nie pomogła w przekonaniu dziewczyny, gdyż przestraszyła się zajściem i przestała się do mnie odzywać, bo podobno odganianie gości od ogniska przynosi pecha.

– A co z Selą? Jak to przyjęła?

– Nad wyraz spokojnie. Przez następny dzień zachowywała się grzecznie jak nigdy dotąd, co uspiło moją czujność. Kolejnej nocy uciekła, kradnąc przy okazji nasze sakiewki. Szukaliśmy jej potem przez wiele dni, ale na próżno. Nie widzieliśmy jej przez następne dwa długie lata.

Księga V

GELLO

Marzec-kwiecień,
6467 rok po stworzeniu świata
wedle rachuby Grikkmadów

27

Dwóch Hedinów i jeden Orm, którzy zamieszkiwali wspólną głowę, wypatrywali. Siedzieli na dziobnicy, oplatając ją rękami oraz nogami, przytulając ciepłe drewno i wisząc nad nieprzyjemnie zimną wodą. Statek unosił się, po czym opadał, a woda bryzgająca spod kilu obmywała ich nagie stopy. Lubili to miejsce nie tylko dlatego, że na dziobnicy „Czerwonej Żmii” wyrzeźbiony był wężowy łeb, który straszył nieprzyjaciół wystającymi z pyska zębami i krwistą barwą. Przede wszystkim mogli przebywać tu sami, a bestii w ich głowie przypominały się czasy, gdy uczepiona gałęzi wisiała nad stawem i wypatrywała małych rybek na pożarcie.

– Widzicie ich? – Nim padło pytanie, usłyszeli kroki Urrhedina, który słańiał się na nogach, bo wciąż był słaby po odniesionych ranach.

– Tam jest jeden.

Po kilku pociągnięciach wiosłami skip dotarł we wskazane miejsce. Topielec unosił się na wodzie, choć na powierzchnię wystawały tylko jego nagie spalone plecy. Jeden z Vaeringów obrócił go wiosłem twarzą do góry.

– To zdaje się Haeming – odezwał się jeden z najemników.

– Powinniśmy go wyłowić i pochować w kopcu – rzekł ktoś inny.

– Jego duch pije teraz wino z wodorostów i służy bogini Ran – Diarf mówił spokojnie, jakby w ogóle nie obeszła go utrata kilku ludzi. – Morskie bogi pogńiewałyby się, gdybyśmy wykradli im drużynnika. Szukajcie dalej.

Następni trzej odnalezieni topielcy okazali się Grikkmadami. Wypatrzyli ich najemnicy obserwujący morze przy burcie.

Orm i Hedinowie zrobili sobie przerwę w patrzeniu. Nastąpiło południe, chcieli się więc pomodlić. Wąż nie wiedział, dlaczego duchy bliźniaków codziennie o tej porze zamyślały się i wyginały ich wspólne usta do wypowiedzenia dziwacznych dźwięków. Hedinowie też nie potrafili tego wyjaśnić ani nawet przypomnieć sobie właściwych słów modlitwy. Nie pamiętali nawet imienia boga, któremu oddawali hołd pięć razy dziennie. O wschodzie słońca, w południe, po południu, o zachodzie słońca i wieczorem wydobywali z siebie nic nieznaczące dźwięki i rozmyślali nad miłością do swoich braci. A była ona wielka, choć czasem nienawistna, bo hamramirzy byli żabami taplającymi się w okrucieństwie, padalcami, które nękały węzowego brata. Bestialscy wojownicy zaopiekowali się nimi, mówili, co należy robić, wskazywali, gdzie można zdobyć pożywienie, pozwalali na tyle walki, ile tylko chcieli, i byli ojcami więzi, jaka połączyła bliźniaków z węzem. Orm i bliźniacze Płaszcze zrobiliby dla nich wszystko. Oddaliby za nich życie i udusiliby ich we śnie.

– Tam jest kolejny – odezwali się, przerywając modły i złorzeczenia.

Mieli najlepsze oko na statku, bo na pokładzie nie było ani Rysia, ani Wilka. Wskazali utopionego Vaeringa, ale jego Diarf również nakazał zostawić w wodzie. Potem wspólnie z najemnikami wypatrzyli jeszcze jednego drenga i dwóch Grikkmadów. Po hamramirach i Seli nie było śladu.

– Pewno utonęli – orzekł Nawlekacz. – Stawiajcie żagiel. Na nas pora.

Kilku ludzi zakreśliło się wokół masztu, wyraźnie się ciesząc, że oszczędzona im zostanie ciężka praca przy wiosłach. Chwycili za fały, liny przechodzące przez szczyt morskiej sosny, ale wstrzymali się z podniesieniem rei, widząc ludzi kotłujących się wokół ich przywódcy.

– Żyją! – Svinhedin podszedł do Diarfa, wyzywająco spojrzawszy w górę i kwiknął mu prosto w twarz. – Hamramirzy czują, gdy ginie ich brat.

– Wspaniała wiadomość! – rzekł obojętnie przywódca najemników. – W takim razie gdzie są?

Odpowiedział mu kwik i muczenie, bo Urrhedin wsparł towarzysza. Orm i Hedinowie również poczuli, że powinni coś zrobić. Zasyczeli, zsunęli się

z dziobu i podeszli do swoich braci. Razem otoczyli górującego nad nimi wzrostem Nawlekacza, ale wokół nich zacieśnił się pierścień Vaeringów, którzy nerwowo trzymali dłonie w pobliżu mieczy, noży i toporków.

– Sssłusznie radził nasz brat Urrhedin. – Mowa Północy wciąż sprawiała Ormhedinowi problemy, choć znał coraz więcej słów. – Trzeba było od razu wssspomóc naszych braci, zamiast uciekać.

– Nikt nie uciekł. Musiałem zadbać o statek.

Ludzkie wymówki podobały się Ormowi, ale bliźniacy uważali je za niegodne mężczyzny. Głosami dwa do jednego potępili więc Diarfa. Oni też chcieli walczyć, iść na pomoc braciom, wybawić ich od złego albo powieść ich ku śmierci. Obojętnie co, byle z ich udziałem. Nie mieli wątpliwości, jak nazwać zachowanie Nawlekacza, który przestraszył się płonącego statku. Była to ucieczka, choć on im wmawiał, że tylko chwilowo się wycofują i w ukryciu poczekają na sposobność, by wrócić po rozbitków. Hamramirzy sprzeciwili się temu, bo zapach krwi pieścił ich zmysły, podniecał i obiecywał dobrą zabawę. Znaleźli się o krok od kolejnej bitwy, tym razem na vaerińskiej snekkji, ale pogodził ich wąż, razem z bliźniakami, którzy przypomnieli, że hamramirzy ślubują wierność bogu, wierność przywódcy i wierność braciom. W pierwszej kolejności winni więc zadbać o ratunek dla Wilka, Rysia i Niedźwiedzia oraz dla ich ślicznej i na wężową modłę podstępnej meykong. Czekali zatem niemal do południa, aż obserwatorzy dali im znać, że plujący ogniem statek odpłynął.

– Twoja drewniana skorupa jest cała. – Urrhedin nadal był blady i ledwo mówił. – Zostaniemy tu tak długo, aż znajdziemy ślad naszych braci.

– A gdzie chcecie szukać?

– Na brzegu.

– Nikt nie wspiąłby się po tych skałach. – Nawlekacz niedbale machnął ręką w kierunku stromych ścian, które otaczały całą zatokę. – A nawet jeśli im się udało, spotkaliby naszych obserwatorów albo sami przyszli lądem do naszego obozu.

– Nie ma ściany, na jaką nie wspiąłby się Wilk i Ryś – ze słowną odsieczą przybył Svinhedin. – Podpłynmy bliżej.

– Mamy ryzykować, by podwodne skały rozorały nam poszycie?

– Znów się boisz? A może za słabym jesteś żeglarzem?

Diarf się zaśmiał.

– Nie działają na mnie takie sztuczki. Znam swoją wartość, ale niech wam będzie. Do wiosła! Przepłyniemy wzdłuż brzegu i pokażemy niedowiarkom, jak z niebezpieczeństwami radzą sobie żeglarze z Północy!

– Ciii! – wtrącili się Orm i Hedinowie. – Nie słyszycie?

Wszyscy umilkli, ale przez wrzask mew, chlupot wody i szum wiatru szarpiącego ubraniami Vaeringowie zdawali się nie słyszeć tego, co było najważniejsze.

– To wycie wilka! – krzyknął Urrhedin i zamuczał najgłośniej, jak pozwalało mu na to słabowite ciało, czyli dosyć cicho.

Z większą mocą zakwiczął Svinhedin, tak że kilku drengów zatkało sobie uszy rękoma. Orm i Hedinowie pognali na dziób i wspięli się na grzbiet drewnianego węża.

– Tam! – krzyknęli i wskazali kurs.

Posłuchano ich i snekkja zaczęła kroczyć na wiosłach. Gdy skip znalazł się pięćdziesiąt kroków od brzegu, wszyscy dostrzegli dwie postacie, które wyskoczyły z niewielkiej jamy zawieszanej kilkadziesiąt stóp nad wodą. Mężczyźni zaczęli płynąć w ich stronę i niedługo dotarli do statku. Byli to Berhedin i Ulfhedin. Żeglarze unieśli wiosła, zdjęli kilka tarcz z listwy umieszczonej przy okrężnicy i podali pływakom pomocną dłoń. Obyłoby się bez niej, bo „Czerwona Żmija” miała bardzo niskie burty, które wystawały ledwo trzy łokcie nad linię wody.

Wąż i bliźniacy o imieniu Płaszcz przywitani braci głośnym sykiem, ale nie opuścili wygodnej dziobnicy, gdzie południowe słońce mile ogrzewało ich kark. Odwrócili tylko głowę i uważnie obserwowali wszystko, co działo się na pokładzie.

Rozbitkowie zostali zamknięci w mocarnych uściskach braci. Hamramirzy przywitani się wyciem, pomrukiem, kwikiem i muczeniem, nie zwracając uwagi na niechętnie spojrzenia załogi.

– Gdzie nasz brat Gaupahedin? – zapytał Tur, pocierając pięścią głowę Ulfhedina. Wilk lekko, tak po przyjacielsku, ugryzł głaszczącą go rękę.

– Nie jesteśmy pewni – odpowiedział Niedźwiedź. – Gdy statek wybuchnął płomieniami, wskoczyliśmy do morza. Razem z Ulfhedinem popłynęliśmy ku brzegowi, przekonani, że wszyscy zrobili tak samo. Znaleźliśmy tę niewielką pieczarę i w niej czekaliśmy na wasze przybycie.

– Zatem utonął? – Svinhedin zakwicział smutno, jak wtedy gdy na Therze skończyły mu się zebrane wcześniej żołądzie.

– Nie. Czujemy, że żyje. Przed wami zatokę przeszukiwał ten drugi grikklandzki statek. Żeglarze wyławiali coś z morza, pewno swoich rozbitków. Może i naszymi nie pogardzili.

– Była wśród nich Sela? – wtrącił Diarf.

– Być może, ale za daleko siedzieliśmy, by to dostrzec.

– A wy tylko się przyglądaliście? Sela miała o was lepsze mniemanie.

Orm i Hedinowie zasyczeli. Mimo iż znajdowali się dziesięć kroków od zgromadzonych, doskonale słyszeli rozmowę. Na miejscu Berhedina plunęliby jadem w twarz Nawlekacza i przypomnieli, że to on niemal pół dnia czekał w ukryciu, jak mysz chowająca się przed zaskrońcem. Niedźwiedź był już jednak stary, wyleniały i mądry, więc nie tak łatwo dawał się wyprowadzić z równowagi. Odpowiedział spokojnie:

– Jesteśmy łowcami i wiemy, kiedy zasadzić się na zwierzynę, a kiedy lepiej poczekać na lepszą okazję. Statek był daleko i nie zdołalibyśmy go dogonić. Dogodniej było poczekać na snekkję, bo miś w naszej głowie pomrukiwał, że Nawlekacz z pewnością wróci sprawdzić, co stało się z jego umiłowaną meykong. Wspólnie możemy ścigać dorkon.

– Diarf dba o swoich ludzi! – Vaeringowie krzyknęli na zgodę, choć chyba nie tak głośno, jak oczekiwał Nawlekacz, naburmuszył się bowiem i rzekł:

– Załogę tego statku łączy *várar*. Przysięga, wedle której musimy mścić każdą krzywdę naszego towarzysza! Naszego brata! Więźniowie mogli już zostać zabici, ale my o nich nie zapomnimy. Pomścimy zarówno ich, jak

i braci, którzy tu potonęli.

– *Várar, várar, várar!* – Snekkjamadowie nie pozostawili wątpliwości, że cenią sobie przyrzeczenia. To ucieszyło też Węża i bliźniaków, bo jako hamramirzy wiedzieli, co znaczy wierność przysiędze i umiłowanie towarzyszy. Hedinowie przebąkaliwali coś jeszcze o wierności *Księdze*, ale nie potrafili wyjaśnić Ormowi, o jaki kodeks im chodziło.

– Łatwiej byłoby tego dokonać, gdybyśmy ruszyli wcześniej. Teraz go nawet nie widać. – Berhedin otrzepał się z wody jak dziki zwierz i zaczął się drapać po plecach.

– Mój niedźwiedzi przyjaciel dobrze się bije, ale na żeglowaniu się nie zna. Wiemy, że grikklandzki statek płynie południowym attem, a jego ładunkiem jest najpewniej ogień grecki. Musi zatem podążać na There, gdzie gromadzi się grikklandzka flota. Dzisiaj nie zdoła tam dopłynąć i będzie musiał zatrzymać się na noc. Szczęśliwie znamy już te wody po zeszłorocznych wyprawach i wiemy, że kapitanowie statków najczęściej wybierają małą wysepkę, na której Floki zgwałcił pulchnego mnicha, biorąc go za kobietę.

Wąż i Hedinowie nie zrozumieli, co w tym jest śmiesznego, ale załoga była bardziej wyrozumiała dla swojego przywódcy. Wielu się zaśmiało, w tym sam Floki, ale można było usłyszeć, że to wymuszona wesołość.

– Wiemy też, że na tej wyspie tylko jedna zatoczka nadaje się na spędzenie w niej nocy, a że są przy niej plaże, Grikkmadowie z pewnością wyjdą na ląd. Popłyniemy więc tam, poczekamy do zmroku i wędzemy się na ich pokład sposobem, jaki wcześniej pokazałem naszej meykong. Stawiać więc żagiel na wiatr i do wiosł! Dorkon ma nad nami ćwierć dnia przewagi.

Czterech Vaeringów szybko wciągnęło reję na maszt, a potem opuściło żagiel. Materiał zabarwiony na czerwono początkowo wisiał bezwładnie, ale najemnicy pochwycili przytwierdzone do jego dolnych rogów aktaumary i za ich pomocą nakierowali czworoboczną płachtę na wiatr. Żagiel został zbrzuchacony przez wiatr, a najemnicy zadbali, by cięża się ostała, przywiązując liny do knag przy burtach. Statek ruszył do przodu,

a po chwili przyspieszył, bo Vaeringowie wspomogli go wiosłami.

Hamramirów nikt nie poprosił o pomoc. Diarf nosił się chyba z takim zamiarem, ale gdy zobaczył Niedźwiedzia ocierającego się plecami o beczkę z wodą, Tura walącego głową o tarczę, Dzika próbującego ugryźć maszt oraz Wilka goniącego swój nieistniejący ogon, machnął ręką i wziął się do sterowania. *Stýri* był ogromnym wiosłem zamocowanym na rufie przy prawej burcie, ale Nawlekacz świetnie radził sobie sam. Naciskał i ciągnął za uchwyt drąga bez większego wysiłku, a krople potu pojawiające się na jego łysinie były raczej wynikiem dokuczliwego upału niż zmęczenia.

Po południu słońce zaczęło razić w oczy Węza i dwóch Płaszczy, postanowili więc przejść na rufę. Bezszelestnie zsunęli się z grzbietu drewnianego węża i poczołgali się po pokładzie. Najemnicy dziwnie na nich spoglądali, a niektórzy nawet splunęli w ich stronę, ale Orm i Hedinowie nie przejęli się tym, bo naturą gadów było pełzanie w błocie i pokorne znoszenie upokorzeń. Brzuchem czuli, jak kadłub drży, jak kil się ugina i jak pasy poszycia odchylają się od żeber, gdy skip wspinał się na fale, a potem z nich zjeżdżał. Słyszeli jęki staruchy, to jest drewnianego bloku, który utrzymywał maszt i rozkładał jego ciężar na cały szkielet statku. Polizali deskę pokładu, po czym powąchali swój język. Smak i zapach stały się jednym: wyczuli sosnę, morską sól, zwierzęcy łój do uszczelniania desek, a także wsiąkniętą w pokład ludzką krew oraz rozlane wino.

Przy rufie Nawlekacz rzucił im pogardliwe spojrzenie, co zbyli cichym sykiem. Wspięli się na ogon „Czerwonej Żmii”, który kończył się okazałym zawijasem. Tutaj stworzone przez Muhama, Muhamada, Allaha – nie mogli sobie przypomnieć właściwego imienia – słońce również mocno świeciło, ale już nie w oczy, choć nadal w głowę. To im jednak nie przeszkadzało, bo ludzki łeb owinęli białym materiałem, podobnie jak robili to Serklandczycy.

W porze popołudniowej modlitwy stracili z oczu wyspę, na której obozowali przez ostatnie dni. Minęli kilka mniejszych bezludnych lądów,

prześlizgnęli się między łachami piachu i kamieni. Gdyby byli na otwartym morzu, pewnie bez trudu dostrzegliby ścigany statek, ale tutaj łatwo było się schować za jakąś wysepką, na dodatek pojawiła się mgła. A może były to chmury, które chciały spróbować morskiej piany? Wąż i Hedinowie wiedzieli tylko, że widoczność została ograniczona, biała zawiesina zaś tworzyła nieprzeniknione kręgi, jakby do morza opadły podniebne wyspy.

Vaeringowie zrobili się ostrożni, bo nawet o swoje życie nie dbali tak mocno, jak o swój skip. Zawziętość nie pozwoliła im jednak zaczekać na poprawę pogody. Wpłynęli w jedną z tych chmurnych oaz, a kiedy ją opuścili, morze znów było czyste. Zobaczyli przed sobą strome wybrzeża wyspy, która według Diarfa była celem grikklandzkiego statku.

– Popłyniemy przy brzegu, by ominąć ląd od wschodu! – Nawlekacz nie odszedł od steru i krzyczał na tyle głośno, by nawet wiosłarze przy dziobie go usłyszeli. – Zatoka jest od południowej strony. Schowamy się za skałami i zaczekamy, aż zacznie szarzyć. Wtedy ruszymy po nasze łupy.

Wszyscy na to przystali, choć Orm i bliźniacy wyczuli, że zgoda do niczego nie była Diarfowi potrzebna.

Zbliżyli się do wyspy na odległość mniejszą o połowę niż strzał z łuku i wtedy zrobili zwrot na bakburtę. Nawlekacz napał na ster, a wojowie przy maszcie chwycili za lejce, szykując się do ponownych łowów na wiatr. Okręt się przechylił, więc Orm i Hedinowie mocniej ścisnęli nogami ogon „Czerwonej Żmii”, by z niego nie spaść. Po kilku uderzeniach serca snekkja odzyskała równowagę i ponownie zaczęła pruć tafle wody.

Słońce przestało razić, więc gad i bliźniacy przemieścili się z powrotem na dziób. Tym razem darowali sobie czołganie, tylko na nogach prześlizgnęli się między Vaeringami i usadowili się na dziobnicy. Gdy statek dotarł do końca wyspy i dokonał kolejnego zwrotu, tym razem na sterburtę, pierwsi dostrzegli stertę belek między skałami.

– Tam! – zawołali.

„Czerwona Żmija” podpłynęła bliżej. Wkrótce wszyscy ujrzeli rufę, która zaklinowała się między dwoma wystającymi z morza iglicami. Reszta przełamanego na pół wraku spoczywała na dnie, co łatwo było dostrzec

w niemal przezroczystych wodach. Wszędzie pływały deski, liny i kawałki podartych żagli. Fale uderzały masztem o skalistą ścianę brzegu, jakby grały na bębnie, a rytm tej muzyki zakłócał topielec, którego głowa stukotała o beczkę. Pod mężczyzną przemykały ryby, a jedna z nich, długa jak krowa i uzębiona niczym wilk, podgryzała mu nogę. Na wodzie unosiło się jeszcze pięć trupów. Szósty dryfował na platformie, która jeszcze niedawno była kawałkiem burty. Więcej ciał musiało być we wraku, bo na wystającej z morza rufie przysiadły dwa sępy, a na pobliskich skałach gromadziły się mewy. Co odważniejsze ptaki usadawiały się już na plecach dryfujących żeglarzy.

Vaeringowie spierali się, czy rozbity statek był tym, który ścigali, ale Orm i Hedinowie nie mieli żadnych wątpliwości. Allah, Aegir czy może Muhamat zatopili grikklandzki dorkon, który widzieli dziś rano.

28

Śnił o uciętej dłoni. Dłoń została odjęta mieczem i leżała na pokładzie statku. Została urąbana toporem i spoczywała między skałami. Została ucięta szablą, dryfowała na falach i obgryzały ją ryby. Dłoń cała była w tatuazach, miała białą skórę, czarną skórę, brunatną skórę. Była zaciśnięta w pięść. Kikut tryskał krwią, widniała na nim zakrzepnięta posoka, zdołała go blizna. Słyszał krzyki w mowie Sarakenów, w mowie Vaeringów i w języku Grikkmadów. Słyszał swój krzyk.

Obudził się zlany potem. Nic nie widział. Rozejrzał się i przypomniał sobie, że jest w domu Kallirro. Leżał w jej łóżku. Nic nie widział.

– Już dobrze, Konstancjuszku – usłyszał najwspanialszy głos świata. – To tylko nocna mara.

Uspokoił się. Zaczął miarowo oddychać i ujrzał słabe światło palących się świec. Spojrzał w kierunku okna, ale choć był pewny, że okiennice były otwarte, nie dostrzegł gwiazd. Skupił się, przetarł dłonią oczy, zmrużył

ślepia, ale nie ujrzał nic poza smugami światła. Wymacał piersi Zoe i wtulił się w nie. Pogłaskała go po głowie, zanuciła kołysankę.

Zasnął. Tym razem ujrzał rodzinne strony. Wody fiordu były spokojne. Fale łagodnie wdzierały się na plażę i uderzały o bele przystani oraz o kadłub rybackiego skipu. Dom z drewnianych bali stał u stóp zieleniącego się wzgórza, a na jego gontowym dachu odpoczywały wróble. Dalej ciągnęły się pastwiska i pola pachnące świeżo zaoraną ziemią. Za gospodarstwem rozpościerał się świerkowy lasy, za nim ciągnęły się knieje pełne stuletnich dębów, buków i cisów. Były tam miejsca, w których ludzka noga jeszcze nie postąpiła, mateczniki rządzone przez brunatne niedźwiedzie, szare wilki i ogromne łosie. Woń lasu zachęcała do wędrówek, bo był to zapach wiosny w pełni. Na brzozech skraplała się żywica, a na sosnach pojawiały się nowe pędy. Para dzików obdrapywała korę buku. Poranna mżawka obmywała kwiaty na łące.

– Zbudź się, Konstancjuszu!

Pnie pachniały świeżym mchem. A do tego ten widok! Promienie słońca przebijające się przez listowie, strumyczki wijące się po zboczach wzgórz, rozpadliny, skarpy, wąwozy, powalone drzewa, resztki śniegu na ocienionych stokach, pszczoły i motyle obsiadające kwitnące jarzęby.

– Obudź się wreszcie!

Ktoś go szarpał. Uchylił powieki, lecz zobaczył tylko plamy jaskrawej czerwieni. Potrząsnął głową i ujrzał słaby zarys siedzącej na nim Kallirro, która wbijała mu paznokcie w pierś oraz okazjonalnie waliła go po pysku.

– Musimy uciekać. Pali się.

Węch i słuch wciąż miał dobre. Wyczuł dym i usłyszał trzask pękającego od gorąca drewna.

– Dreng nigdy nie ucieka – powiedział już całkiem przytomnie. – Możemy jednak poszukać świeżego powietrza.

Sięgnął po miecz, który zawsze zostawiał przy łóżku, po czym wstał. Nocami jego wzrok bywał raz gorszy, raz lepszy, ale na szczęście teraz zaczął się poprawiać. Daleko mu było do dziennej sprawności, ale

przynajmniej nie był już ślepy jak kura. Ogień jeszcze nie dotarł do izby na piętrze, najpewniej jednak trawił już cały dół domu. Kłęby dymu wydobywały się przez szpary drewnianej podłogi i utrudniały oddychanie. Nie mieli wiele czasu.

Ruszył ku drzwiom, lecz Zoe podbiegła do ściany i zaczęła z nich ściągać ikony.

– Zostaw te deski!

– Bez obrazów się nie ruszę! – krzyknęła z gniewem.

Wiedział, że kłótnia była bezcelowa. Przeszło mu przez myśl, by zarzucić ją sobie na ramię i siłą wyprowadzić na zewnątrz, nie bacząc na wrzaski. Nie dowierzał jednak swoim oczom i przeczuwał, że to raczej ona będzie przewodnikiem.

– Helviti! – przeklął i ruszył jej na pomoc.

Wyrwał jej dwie ikony z rąk, a dwie pozostałe ściągnął ze ściany. Podbiegł do okna.

– Co czynisz?!

– Nic im nie będzie. To tylko drewno! – krzyknął i wyrzucił malowidła na zewnątrz.

Z piskiem rzuciła się do okna i wyjrzała sprawdzić, co z ikonami. Trzy leżały na trawie, jedna wylądowała na krzewie. Skald stwierdził, że od uderzenia obrazy nie staną się piękniejsze, ale i znaczącego ubytku na swojej religijnej wartości nie powinny odnieść.

– Teraz ty. Schody mogły się już zająć ogniem.

– Nie możemy! Na dole została mamusia.

„W końcu coś ogrzeje jej stare kości” – pomyślał i od razu poweselał, bo niedoszła teściowa nigdy go nie lubiła.

– Na pewno już uciekła.

– Nie. Ma mocny sen. Musimy po nią iść.

Mógłby chwycić Zoe i wyskoczyć razem z nią, ale wiedział, że nigdy by mu tego nie wybaczyła.

- Ty skacz, ja pójdę.
- Sam nigdy jej nie znajdziesz.
- Mam wzrok sokoła.
- Raczej jego pisklaka. Przede mną nie musisz udawać.

Machnął ręką, bo dawno minął czas na przekomarzania. Pociągnął ją ku drzwiom, które otworzył kopniakiem.

W twarz buchnęło mu gorące powietrze. Oczy zapiekły od dymu i zaczęły łzawić. Schody były jeszcze całe, ale rzeźbiona poręcz już płonęła. Objął Zoe za szyję, zmusił ją, by się schyliła. Zeszli na dół, zgarbieni jak staruszkowie. Tutaj sytuacja wyglądała o wiele gorzej. Ogień zajął już wszystkie meble i docierał do belek podtrzymujących sufit. Całe były tylko ściany i posadzka, zrobiono je bowiem z kamienia.

– Gdzie ona może być?! – krzyknął Ainar i zakaszał. Widział coraz mniej, a teraz jeszcze zaczynał się dusić. Podciągnął koszulę i zakrył nią usta.

- Tam! – Chwyliła go za rękę i ruszyła w lewo.

Pamiętał, że przy kuchni znajdowała się mała izba, gdzie najczęściej przesiadywała starucha. Pewnie tam i spała, choć nigdy nie zaprzętał sobie głowy myślami, co w nocy porabiała matka Kallirroe.

Pozwolił się prowadzić. Pociemniało mu przed oczyma, a potem ujrzał światłość, jakby gwiazdy spadały z nieba wprost do jego źrenic. Gorący podmuch osmalił mu brwi.

- Stój! – Usłyszał głos ukochanej.

Tuż przed nim spadło coś ciężkiego, rozpalonego do czerwoności i podłużnego jak konar drzewa. Zrozumiał, że czas na dobroczynność się już skończył.

– Idź do drzwi! – krzyknął i chciał ją ku nim pociągnąć, ale nie wiedział, w którą stronę.

Poczuł się strasznie słaby. Kucnął i rozkaszał się. Pomyślał, że dom mógłby się stać ich kopcem pogrzebowym. Jego i Kallirroe Wszechstronnej. Nie byłby to zły koniec życia.

– Zaczekaj tu!

Wyrwała mu się. Przeklął swoją nieuwagę.

Stracił ją z oczu. Wszędzie były płomienie. Wściekłe, nienawistne i wygrażające śmiercią jęzory lizały mu czoło. Lubił ciepło, ale bez przesady. Padł na kolana i zaczął raczkować jak małe dziecko. Nie wiedział, w którą kierować się stronę. Usłyszał płacz i poszedł za tym dźwiękiem.

Izba przy kuchni zawsze była ciasna, lecz teraz nie zmieściłby się w niej nawet kot. Sufit zwalił się do środka i w pomieszczeniu znajdowało się rumowisko płonących desek. Zdało mu się, że pod stertą widzi poczerniałą rękę. Zasmucił się, albowiem dzielić stos pogrzebowy z teściową to nic przyjemnego.

Dostrzegł stópkę, a była to piękna podstawa zgrabnej, schowanej w sukience nóżki. Zoe podeszła, podniosła go z kolan i łamiącym się głosem oznajmiła:

– Nic tu po nas. Chodź.

Była to pierwsza rozsądna rzecz, jaką wypowiedziała tej nocy, więc po raz kolejny oddał jej rolę przewodnika. Nie miał zresztą innego wyjścia, bo znów widział tylko płomienie.

Ominęli jedną czerwień, przeszli pod jarzącą się purpurą, przekroczyli szkarłat, który przypiekl im pięty.

– Kopnij! – rozkazała.

Kopnął więc, choć nie widział celu. Jego naga stopa uderzyła w gorące deski. Zaboląło, ale nie przejął się tym, bo na twarzy poczuł zimny podmuch nocy. Zrozumiał, że wyważył drzwi i uratował ich oboje.

Wyszli na zewnątrz. Kaszląc, oddalili się od domu i dotarli do małej grupki gapiów. Jakiś człowiek chciał go podtrzymać, ale Skald go odepchnął.

Usiadł na ulicy i zaczerpnął świeżego powietrza. Wzrok mu się wyostrzył, dlatego w świetle księżyca ujrzał dom, który niegdyś był wspaniały, a teraz zmieniał się w popiół. Gdzieś tam w oddali, za

sąsiednim budynkiem, dostrzegł cień uciekającego mężczyzny. A może tylko mu się przywidziało?

Obok spoczęła Zoe, która zdążyła odnaleźć ikony i teraz trzymała je na kolanach.

Cichuteńko szlochała.

– Zostały mi tylko one. Moje święte obrazki.

Objął ją ramieniem, bo czuł, że tak trzeba.

– Nie martw się. Zajmę się tobą, a póki co, chodźmy do „Słodkich Winogron”. Nic tak dobrze nie wypłukuje z ust dymu, jak porządne wino.

29

Prześladowało ją wspomnienie. Córka rybaka przywiązana do słupa, brudna, pokaleczona, zgwałcona. Teraz Sela znalazła się w podobnej sytuacji. Ręce miała wykrzywione do tyłu i związane za masztem. Pęta były mocne, choć więc próbowała się z nich wyrwać lub tak wygiąć dłonie, by wysliznęły się z więzów, zdołała tylko zedrzeć sobie skórę na nadgarstkach. Rany piekły, bo wszystko na pokładzie było wilgotne od słonej wody. Miała nadzieję, że norny okażą sprawiedliwość i ześlą jej łaskawca, który pchnięciem wybawi ją od zniesławienia.

Pozostawiono brankę w spokoju, dopóki nie ustawiono żagli na wiatr i nie odpłynięto z zatoki. Załoga dorkonu widziała wcześniej vaeriński statek i musiała się obawiać, że najemnicy mogą jeszcze wrócić. Skaldmaer czuła ten lęk w nerwowym oglądaniu się za rufę, w pospiesznych pociągnięciach za liny i w rzetelnych staraniach, by statek płynął jak najszybciej. Grikkmadowie uspokoili się dopiero wtedy, gdy wyspa za ich plecami znacząco zmalała.

– Kim jesteście? – Pytający był niewielkim mężczyzną z krótkimi, czarnymi włosami. Z jego oczu bił spryt, jak u typowego kupca. Sela wystarczająco długo obserwowała Grikkmadów przy pracy, by domyślić

się, że był to kapitan. *Kentarchos* – przypomniała sobie właściwe słowo. Milczała jednak, bo pytanie było skierowane nie do niej, ale do uwięzionego obok Gaupahedina.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Kapitan kopnął hamramira, a ten uniósł głowę i prychnął na niego jak kocur, któremu właśnie nadepnięto na ogon.

– Dlaczego nas zaatakowaliście?

Tańczący wojownik poruszył wąsem i ziewnął. Dostał za to kolejnego kopniaka w udo.

– Nie bij go, panie – odezwała się po grikklandzku Sela i zrobiła smutną minę, jaką może mieć tylko kobieta w opałach. – Ten człowiek jest słaby na umyśle i nie pojmuje ani słowa z pięknej mowy Romejów, która stworzona została dla poetów i mędrców.

Kapitan uraczył ją spojrzeniem pełnym wyższości, ale i zaciekawienia.

– Ale ty, jak widzę, radzisz sobie świetnie. Mimo iż urodę masz gocką.

– Pochodzę z Północy, ale wychowałam się w naszym wspaniałym Byzantionie. Jestem aktorką i rapsodką o imieniu Eirene, a znalazłam się tu przez straszliwe, straszliwe nieporozumienie. – Uroniła dwie łzy i zatrzepotała rękami, jakby wstydziała się płaczu.

– Nie kłam. Widzieliśmy, że wraz z tamtymi bestiami wtargnęłaś na okręt naszych pobratymców.

– Wcale temu nie przeczę. A nawet więcej. Przyznaję, że zabiłam jednego z waszych. Takie dostaliśmy bowiem polecenie. Służymy pod Magnolfem Krwawą Siekierą i Gyrgirem, którzy dowiedzieli się o kupcach sprzedających ogień grecki Sarakenom z Krety. Kazano nam się przyczaić na tamtej wysepce i przechwycić dwa dorkony z niebieskimi żaglami, takie jak wasze.

– Przed chwilą mówiłaś, że jesteś poetką z Basilis Polis.

– Tak jest, ale mój pan przegrał mnie w kości podczas gry z vaerińskimi najemnikami, musiałam więc do nich przystać. Jestem tylko niewolnicą skazaną na bezwolne wykonywanie poleceń tych okrutnych, strasznych

wojaków.

– Ale my dostarczamy ładunek właśnie na There!

– Dlatego mówiłam, że to nieporozumienie. Zapewne Gyrgir wszystko wam wytłumaczy i zapłaci za wszelkie szkody.

– Nie słuchaj tej nierządnic! – Do kapitana podszedł żołnierz z blizną na policzku. – Poznałem statek z czerwonym żaglem. Należy do Diarfa Nawlekacza, tego zdrajcy, o którym mówią, że przystał do Sarakenów.

– Nigdy o nim nie słyszałam. Ale mnie, niewolnicy, nie wszystko mówią.

– Zamknij się, diablico! – Wojak uśmiechnął się paskudnie, oblizał wargi i zaczął rozplątywać sznurki przy pasie. – Zaraz ci pokażę, jak prawowitny żołnierz traktuje kłamliwe poganki. Wy dwaj – wskazał na przyglądających się zbrojnych – rozwiążcie ją, oprzyjcie o maszt i przytrzymajcie. Należy nam się jakaś nagroda za wierną służbę we flocie autokratora.

– Stać! – krzyknął kapitan, powstrzymując żołnierza z nożem, który klęczał już za plecami Ainarsdottir. – To mój statek i moje zasady. Nie będziecie nikogo gwałcić.

– Odsuń się, kupczyku, bo jesteśmy w prawie. Łupy wojenne należą do żołnierzy, którzy ochraniają twój dorkon. A to jest moja branka, bo sam ją wyłowilem z morza.

– A co, jeśli mówi prawdę i Gyrgir uknuł przeciwko nam spisek? Będzie musiała to powtórzyć na There.

– Spiłeś się morską wodą? Zresztą będziesz sobie mógł z nią i z eunuchem gadać do woli, bo ja ci jej nie uszkodzę, o ile okaże się dobrze ułożoną klaczą. Nawet ci pomogę, bo złamię jej upór, który daje jej odwagę do kłamstw i pyskowania.

– Szacowny wojowniku Kristosa – wtrąciła się Sela, a mówiła najłagodniej, jak potrafiła, choć wściekłość tak ją rozsadzała, że miała ochotę zrobić sobie potrawkę z ich uszu. – Już dawno moja dusza została wyrwana z mroków bałwochwalstwa i jestem gorliwą wyznawczynią naszego Zbawiciela. Przyjmę każdą mękę w nadziei, że Bóg wynagrodzi

mnie w Królestwie Niebieskim.

– Jesteś prawa w wierze? – Kapitan nie ukrywał radości. Przechylił się i pocałował drewniany krzyż, który wisiał mu na piersi.

– Od chwili gdy tylko usłyszałam o naukach Kristosa.

W zasadzie była to prawda, choć nie cała. Wujek Finlog ochrzcił ją, nadał jej nowe imię, którego nigdy nie używała, i nauczył wszystkiego, co powinna wiedzieć o Bogu. Inna sprawa, że była bardzo, bardzo złą kristką, która wyrzekła się Królestwa Niebieskiego i powróciła do wiary swoich przodków.

– Na pewno kłamie! – Żołnierz z blizną wymierzył w dziewczynę zaciśniętą pięść. – Inaczej nie zadawałaby się z tymi vaerińskimi ścierwami, co mają bałwany w sercach i składają ofiary diabłu.

– Jeśli jesteś służebnicą naszego Pana, dowiedz tego. Czarnowłosa kentarcha przemawiał zdecydowanie, choć w jego głosie dało się wyczuć zadowolenie, że łaska Bożej wiary objawiła się w ciele tak marnej istoty, jaką była ta kobieta. Sela dobrze знаła owo pobożne spojrzenie, bo w dzieciństwie dużo czasu spędziła z mnichami z Wyspy Irów. – Znasz modlitwę Naszego Pana?

Uśmiechnęła się bezczelnie, ale zaraz się za to zgaśniła i udała, że właśnie spłynęło na nią religijne uniesienie. Dzięki Finlogowi znała chyba wszystkie modlitwy kristiańskiego świata, choć *Pater Noster* miało dla niej szczególne znaczenie. *Ojczy Nasz*. Kiedy wypowiadała te słowa, zawsze przypominała sobie o Ainarze i o najwcześniejszym wspomnieniu z dzieciństwa, kiedy w pewnym klasztorze szukała ojca. Już dawno obiecała sobie, że z czystej córki złośliwości wymówi tę modlitwę przy zwłokach tatusia.

– *Pater noster, qui es in caelis: sanctificetur Nomen Tuum; adveniat Regnum Tuum; fiat voluntas Tua, sicut in caelo, et in terra. Panem nostrum cotidianum da nobis hodie; et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris; et ne nos inducas in tentationem; sed libera nos a Malo.*

– Pięknie, choć modlisz się jak Frankowie. Nie znasz słów *Pater hemon*

w naszej mowie?

– Porozumiewać możemy się wieloma językami, ale modlić należy się słowami, jakich nauczyliśmy się w domu. Mnich, który przekazał naszej rodzinie naukę o Bogu Ojcu, nauczył mnie pacierza w *lingua latina*.

„A także kilku lorik w języku Irów” – dodała w myślach. Znała dobrze grikklandzki, ale w Byzantionie nie chodziła do kościoła i nie była osłuchana w tutejszych wersjach kristiańskich modlitw. A znając zamiłowanie Grikkmadów do religijnych sporów, wołała nie ryzykować własnym przekładem.

– Sprawę uważam za zamkniętą – orzekł kapitan. – Eirene jest chrześcijanką i zostanie naszym więźniem, aż dotrzemy na Therę. Tam o jej losie zadecyduje Gyrgir.

Żołnierz z blizną na policzku był wściekły, ale w tej sprawie dał za wygraną. Splunął na pokład i spojrział na Gaupahedina, mając chyba nadzieję wyładować na nim złość.

– A co z nim?

– Z tego, co wiem, on w Kristosa nie wierzy. – Do pobożnej niewolnicy bardziej pasowałoby milczenie, lecz nie mogła się powstrzymać od małej kpiny. – Z gwałtem bym jednak uważała, bo wierzga i drapie jak prawdziwy kocur.

Wojak kopnął ją w kolano i zamierzył się ponownie. Podciągnęła nogi, by chronić krocze, po czym sprowokowała go mrugnięciem oka. Kolejny cios jednak nie padł.

– Precz! – krzyknął obrócony do niej plecami kentarcha.

Bliznowaty odszedł na dziób, mamrocząc pod nosem przekleństwa i zawiązując w połowie rozwiązane portki.

Jeden problem miała z głowy. Pobożność kapitana ochroniła ją przed zbrukaniem, a własny język utrzymał przy życiu, przynajmniej do czasu, aż zjawią się na Therze. Na wyspie będzie jednak musiała wyznać, że jest córką Ainara, bo tylko w ten sposób miała szansę zjednać sobie opiekę Vaeringów. Na razie nie zaprzętała sobie tym głowy, tym bardziej że miała

inny problem.

Chciało jej się sikać.

Czynność ta zawsze wydaje się mężczyznom błahostką, bo napełniony wodą żeglarz po prostu wystawia gejzer za burtę i strumieniem moczu sprawdza szybkość statku. Gdy podróżowała z Diarfem, starała się wytrzymać do nocy i dopiero wtedy kuciała nad wiadrem, albo sikała do dzbana z winem co bardziej denerwującego ją najemnika. Na dorkonie było znacznie gorzej. Robić pod siebie nie zamierzała, bo nie była słabą dziewczką, tylko skjaldmaer – panną tarczy, która w boju nie cofała się przed nikim. Prosić o cebrzyk też nie mogła, bo jej piękny bielutki tyłek byłby za dużą pokusą dla żeglarzy, nie wyłączając pobożnego kapitana. Pozostała jej więc siła woli oraz nadzieja, że Diarf zdoła ją szybko odbić.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że Nawlekacz ruszy jej z pomocą, nie miała jednak pewności, czy jego łysy łeb poradzi sobie z planowaniem. Niepokoiło ją to, że „Czerwonej Ziemi” nie było nigdzie widać. Co prawda z jej miejsca trudno było cokolwiek dostrzec, bo burty i żagle zasłaniały prawie wszystko, ale zachowanie żeglarzy wskazywało, że w pobliżu nie widzieli nieprzyjaciela. Mogła się też lękać, czy snekkja będzie w stanie dogonić grikklandzką gazelę, która biegła po falach nadzwyczajnie szybko.

Mocny południowy wiatr napinał oba trójboczne żagle, które miały kolor błękitu, a ozdobione były wielkimi czerwonymi krzyżami o równych ramionach, jakby Grikkmadowie chcieli obwieścić panowanie Kristosa nad tymi wodami. Nie dałoby się tak dobrze nastawić żagli na wiatr, gdyby nie ruchome reje. Zostały tak mocno przekrzywione, że ich prawe końce niemal dotykały głów stojących na pokładzie żeglarzy. W odpowiedniej pozycji utrzymywały je liny przywiązane do dziesiątków bloczków i zaczepów.

Wczesnym popołudniem zmieniła się pogoda. Mleczna zawiesina pojawiła się nad morzem i zaczęła tworzyć okrągłe skupiska puchu, które żeglarze starali się omijać. Przebąkiwali coś o seireinach, lubiących pojawiać się w takich miejscach, płynęli więc wolniej, za to ostrożniej. Z nudów Sela wpatrzyła się w chmury i próbowała znaleźć wśród nich

taką, która najbardziej przypominała ludzkie ucho.

– Marna płatanina szmat i sznurków, która nijak ma się do gęstego listowia puszczy – odezwał się Gaupahedin, myśląc zapewne, że pieśniarka ogląda takielunek.

Była przekonana, że hamramir śpi albo jest nieprzytomny, ale ten najwyraźniej jedynie przymykał oczy, by zmylić przeciwnika. Tylko jego pokręcony koci umysł wiedział, jaki jest cel tego udawania.

– Kiciuś zranioną ma dziś łapkę.

Z tego, co mogła dostrzec, tańczący wojownik miał zakrzepniętą krew na całej ręce oraz poparzony kark i plecy. W łachmanach, z rozczochranymi włosami i zaniedbanym rudym zarostem wyglądał jak skazaniec przeznaczony na ofiarę ku czci Hangaguda. Na szczęście uszy miał nietknięte, a były to ładne uszy, lekko spiczaste i włochate w środku.

– Ryś w naszej głowie mruczy, że niepotrzebnie na ciebie fukaliśmy, choć Hedin przestrzega, że nie należy ci dawać naszego noża do oprawienia sarny.

Zrozumiała, że chciał jej powiedzieć coś miłego, nie miała jednak pojęcia, co należało odpowiedzieć. W końcu uznała, że koci wojownik nie może aż tak bardzo różnić się od innych mężczyzn, którzy ponad wszystko pragną być chwaleni.

– Świetnie spisaliście się w porannej walce. Pogłaskałabym was po gardziółku, ale nie sięgnę.

Odpowiedział jej cichy pomruk, stłumiony przez krzyk mewy, która przysiadła na szczycie masztu. Ptactwa było tu bez liku, bo ciągle mijali skaliste wysepki, świetnie nadające się na schronienia dla morskich kruków.

– Nasza meykong wprawnie robi mieczem i dba o hamramirów. Ze Skaldem ani razu nie mieliśmy tak dobrej zabawy jak dzisiejszego poranka. Rodzic, który wymruczał cię z twoją matką, to zaprzędaniec bogów. Marzy o tchórzliwym życiu na gospodarstwie.

Mogła uwierzyć, że Ainar nie dbał o potrzeby swoich ludzi, ale nie w to,

że pragnie zostać bondem.

– U mego boku spokojny żywot was nie czeka. Całkiem możliwe, że jutro dacie gardło, a tylko mnie zawdzięczacie, że nie ścięto was już dzisiaj.

– Zginiemy, ale tylko w walce. Pora czmychnąć na drzewo, a Ryś w naszej głowie mruczy, byśmy zabrali cię ze sobą.

Za bardzo chciało jej się sikać, by mogła wysilić się na rozważania, o co może chodzić kociemu pomyłkowi.

– Gdy tylko zobaczę drzewo, natychmiast na nie wejść. Ale ciebie puszczyć przodem.

– Jak chcesz – odpowiedział hamramir i czmychnął na drzewo.

Jeszcze długo Sela zastanawiała się, w jaki sposób szaleniec zdołał się uwolnić. Czy miał na tyle sprawne dłonie, że rozluźnił więzy, a potem je rozsypał? A może mówił dosłownie o nożyku do oprawiania sarny i miał go schowanego w rękawie? Na razie musiało to pozostać tajemnicą.

Gaupahedin wstał, podskoczył, chwycił się jednej z lin takielunku i zaczął wspinać się na maszt, zwany w pieśniach morskim drzewem.

– Stój! – krzyknął ktoś po grikklandzku, ale uciekinier nie posłuchał, a najpewniej w ogóle nie zrozumiał polecenia.

Po kilku uderzeniach serca był już na szczycie mniejszego masztu i usiadł na rei, mając słup między nogami.

– Sprowadzić go na dół! Żywego! – polecił żołnierz z blizną, który czując walkę, objął dowodzenie.

Dwóch Grikkmadów z nożami w zębach chwyciło za wanty i zaczęło się wspinać. Szło im znacznie wolniej niż hamramirowi, także dlatego, że bestialski wojownik prychał na nich i szaleńczo chichotał, odbierając im ochotę do pośpiechu. W końcu pierwszy dotarł na górę, oparł nogi o maszt i trzymając się jedną ręką liny, drugą zamachnął się nożem w nogi Gaupahedina. Ryś poderwał stopy, stanął na rei, po czym skoczył. W locie chwycił stąg z drugiego, wyższego masztu i wspiął się po nim. Żołnierz z nożem spróbował tej samej sztuczki, ale wtedy fale zakołysały statkiem, przez co stracił równowagę. Zdołał tylko musnąć palcami sznur. Spadł,

a kość ze złamanej nogi przebiła mu spodnie.

Drugi żołnierz był mądrzejszy. Zszedł i dopiero wtedy, za pomocą odpowiedniego stagu, wspiął się do hamramira. Vaering był już jednak przygotowany. Skoczył, tym razem wybierając sobie za cel reję. Chwycił ją rękoma i nogami, a ta, pod jego ciężarem, zaczęła się przechylać. Żagiel zatrzepotał, zgubił wiatr i oklapł. Statkiem szarpnęło na bakburkę.

– Do szotów! – krzyknął kapitan, a żeglarze pociągnęli za odpowiednie liny, przywracając żagiel do poprzedniego położenia.

Gaupahedin, nadal uczepony rei, poszybował wraz z jej lewym końcem do góry. Jeśli jednak ścigający go żołnierz ucieszył się, że oto Ryś sam do niego przybędzie, srodze się zawiódł. Wojownik chwycił za kolejną grubą linę takielunku, która łączyła reję z burtą, zsunął się po niej do połowy, a potem uczepił się innego sznura i ponownie wszedł na niższy maszt.

– Dostyc tego! – ryknął dowódca żołnierzy. – Zestrzelcie tego szczura!

Z ładowni przyniesiono dwa łuki. Grikkmadowie napięli cięciwy i niemal równocześnie wypuścili strzały.

Gaupahedin musiał widzieć zagrożenie, bo usadowił się tuż przy żaglu, a kiedy żołnierze wzięli go na cel, ześlizgnął się po linie i schował za materiałem. Obie strzały przebiły błękitną płachtę.

– Przestańcie, głupcy! – wtrącił się kapitan. – Podziurawicie cały żagiel, zanim go traficie. Niech sobie tam siedzi, przecież i tak nigdzie nie ucieknie. Niebawem będziemy w zatoce. Tam na niego zapolujecie.

Na znak dowódcy strzelcy niechętnie opuścili łuki.

Sela, która do tej pory siedziała przodem do rufy, podkurczyła nogi i podskakując na tyłku, przesunęła się tak, by widzieć dziób. Ujrzała zalesione brzegi całkiem sporej wysepki. Domyśliła się, że właśnie tam Grikkmadowie zamierzali przenocować. Ulga dla pęcherza była blisko.

Ryś uznał zawieszenie broni i grzecznie przysiadł na rei, cicho pomrukując. Ucieszyło to meykong. Wcześniej martwiła się, że żeglarze wpadną na jakiś głupi pomysł w rodzaju „zejdź albo ją zabijemy”, a nie była pewna, czy kocia wierność obejmowała samobójstwo w obronie

swojej pani.

Dorkon zmienił kurs. Grikkmadowie pociągnęli za sznury, reje się przekrzyły, a trójboczne żagle znów wyduły się od wiatru. Gazela pogalopowała ku wschodniemu krańcowi wyspy. Na dziób udał się obserwator, by ostrzegać załogę przed przybrzeżnymi skałami i płyciznami.

Kolejny zwrot był na prawo, czyli na sterburtę, choć określenie to było w zasadzie błędne, bo w przeciwieństwie do vaerińskich statków na tej jednostce wiosła sterowe były po obu burtach. Statek pochylił się, maszty zatrzeszczały, a kadłub o wyglądzie łupiny orzecha łagodnie przemknął po falach. Skarpy wschodniego brzegu zniknęły za rufą, przed dziobem zaś poczęło się wyłaniać łagodniejsze południowe wybrzeże. A także nowe niebezpieczeństwo.

Uwięziona poetka najpierw usłyszała zdenerwowane głosy i przekleństwa. Kapitan pobiegł na dziób wraz z garstką swoich doradców. Kłócili się o coś, ale Skaldmaer nie słyszała ich wyraźnie. Mówili coś o uciekaniu i o walce. Po chwili sama dostrzegła przyczynę zamieszania. Zza dziobu dorkonu wyłoniły się dwa wysokie maszty, a po nich ukazał się pękaty kadłub ogromnej galeidy o wysokich burtach i z podwójnym rzędem wiosel. Nie miała wątpliwości, że to serklandzki musattah. Okręt był wielki jak troll, miał zwinięte żagle, ale opuszczone wiosła. Z pewnością nie cumował tutaj na noc, tylko szykował się na łowy. Nie był też sam. Za nim znajdowały się dwie inne jednostki, mniejsze, z jednym masztem i pojedynczym rzędem wiosel. Shinie – przypomniała sobie ich nazwę Sela.

Dorkon próbował zawrócić. Jego właścicielami byli kupcy, a nie żołnierze, więc tchórzostwo było zrozumiałe. Wtedy przypomniał o sobie Gaupahedin, który zaczął skakać po rejach i linach, utrudniając skręcanie żagli. Grikkmadowie nacisnęli na stery, ale pozbawiony wiosel statek nie był w stanie dokonywać szybkich zwrotów. Kapitan pojął, że ich łupina nie zdoła w porę zawrócić, więc krzyknął:

– Cała naprzód!

Załoga posłuchała i o dziwo usłuchał także hamramir. Przestał przeszkadzać i z powrotem usiadł na rei. Dorkon ruszył wprost na musattah

nieprzyjaciela, który zwrócony był do nich dziobem i wiosłował w ich stronę.

– Ładować siphony! – rozkazał dowódca żołnierzy. – Wejdziemy burta w burzę!

Kilku mężczyzn pobiegło do ładowni i przyniosło miedziane rury, których straszliwe działanie Skaldmaer poznała rankiem. Mimo posiadania tak potężnej broni wojowie byli przerażeni i trzęsły im się ręce, gdy ładowali do siphonów śmierdzącą, kleistą substancją oraz obsługiwali niewielkie maszyny połączone z rurami. Dwóch żeglarzy dopadło burty i skoczyło do wody, zamierzając zapewne dopłynąć do znajdującej się nieopodal wyspy.

Żołnierz z blizną zaklął, sięgnął po łuk, stanął przy sterburcie i strzelił. Jeden z uciekinierów został trafiony w plecy. Szybko zapadł się pod wodę. Drugi sam zanurkował, kryjąc się przed pociskami. Strzelec ponownie sarknął, ale poniechał tchórza i przeszedł na dziób, bo nie było już czasu na zabawę.

Pobożny kentarcha zniknął pod pokładem, ale zaraz wrócił, trzymając przed sobą obraz. Początkowo córka Ainara myślała, że to tarcza, ale gdy kapitan przeszedł obok niej, dokładnie przyjrzała się drewnianej ikonie przedstawiającej jakiegoś mężczyznę błogosławiącego ludzi.

– Nasza nadzieja w hagiosie Nikolaosie! Módlmy się, a on uchroni nas przed zgubą!

Widząc to, Grikkmadowie jęli się żegnać i przyklękać. Kapitan skierował się na dziób, zajął miejsce na przedzie stojących tam żołnierzy i znieruchomiał, trzymając obraz nad głową.

Skaldmaer roześmiałyby się, gdyby nie chciało jej się tak sikać. Skrycie marzyła, by czary kristmadów choć raz okazały się skuteczne, ale nie wiązała z tym wielkich nadziei. Słyszała o Göllnirze, który potrafił zawracać w locie, lecz z nauk wujka Finloga wynikało, że Krist prędzej sam dałby się przebić strzałami, niż oszczędził męki swoim wyznawcom. Może taki właśnie był plan kapitana, który pragnął poświęcić się dla załogi?

– Kici, kici! – zawołała, nie dbając o to, że Grikkmadowie ją usłyszą, bo mieli ważniejsze rzeczy na głowie niż jej zabawy z kotkiem.

Gaupahedin ryknął, ale się nie domyślił.

– Więzy, głupcze!

Był jej jedyną szansą. Zatoniecie statku było pewne, tak jak i to, że z masztem na plecach także ona pójdzie na dno.

– Mues! – krzyknął ktoś z przodu i wszyscy padli na pokład.

„Jakie znowu myszy?” – zdziwiła się Sela, przypominając sobie znaczenie grikklandzkiego słowa. „Te latające” – sama sobie odpowiedziała, zadzierając głowę. Ujrzała dwa żelazne pociski przypominające ogromne strzały. Gdy mknęły od strony słońca, ich szare grotty rzeczywiście wyglądały jak mysie pyszczki, za którymi ciągnęły się metaliczne ogony. Jeden z pocisków przedziurawił żagiel i wpadł do wody kilka kroków za rufą, ale drugi trafił w olinowanie przedniego masztu, poprzecinał wanty, przeszył jednego żeglarza na wylot i wbił się w środkowy pokład. Trzy kroki przed poetką.

Nie zdążyła nawet przekląć, gdy nadleciały głązy. Dwa pierwsze rozbryzgały wodę przy burtach statku, trzeci uderzył w główny maszt, do którego była przywiązana. Usłyszała trzask, a jakaś lina trzasnęła ją w twarz. Spojrzała w górę. Kamień złamał słup na pół, po czym strzaskał rufę i wpadł do wody. Żagiel wraz reją i połową masztu runął do morza, wyrzucając do góry strumienie wody. Zamknęła oczy i wstrzymała oddech, a kiedy znów nabrała powietrza, była cała mokra. Nigdzie nie widziała hamramira, któremu przed chwilą popsuto siedzisko.

Statek przechylił się, ciągnięty przez połowę wciąż przywiązanego do burt masztu. Część żeglarzy rzuciła się z toporami, by rąbać liny, ale wielu skoczyło do morza, by się ratować. Statek mocno skręcił w prawo i kierował się na przybrzeżne skały. Większe pociski przestały ich nękać, bo kussarowie chcieli tylko uszkodzić statek, by potem go obrabować. Zatopienie go razem z ładunkiem byłoby strasznym marnotrawstwem, ale załogę można było jeszcze podręczyć muchami.

Wystrzelone z mniejszych balist *muiai* zabrzęczały i spadły z nieba. Były

niewiele większe od strzał z łuku, za to całe z żelaza. Większość nieszkodliwie wbiła się w burty i pokład, ale przynajmniej dwie muchy, z tego co widziała Ainarsdottir, ugryzły Grikkmadów.

Dorkon wciąż płynął na skały.

Pękaty musattah zatrzymał się, nie chcąc ryzykować wpłynięcia na płyciznę, lecz w pościg ruszyły mniejsze galeidy. Shinie osaczyły uszkodzony statek, jak sępy gotując się do uczy na rannej gazeli. Obie strony zaczęły ostrzeliwać się z łuków.

Gdy kilku Grikkmadów zostało śmiertelnie ugodzonych, nawet żołnierze zaczęli skakać do wody i płynąć wpław do brzegu. Na dziobie dorkonu zostało tylko pięciu obrońców: trzech łuczników, jeden wojak z siphonem i kapitan, który nadal trzymał nad głową święty obrazek. W desce tkwiły dwie strzały, więc jak na razie kristiańskie czary chroniły czarnowłosego kupca przed śmiercią.

Najpierw coś zaszurało o kadłub, a potem zaczęło drapać. Sela zrozumiała, że pazury podwodnych głązów właśnie rozrywają brzuch gazeli. Przez chwilę miała nadzieję, że statek osiadzie na płyciźnie, ale minął przeszkodę, znów trafił na głębsze wody i ciągnięty przez jedyny ocalały żagiel dryfował w kierunku dwóch wystających z morza skał. Naszła ją myśl, że dorkon przemknie między przeszkodami, ale było tam za wąsko. Gazela wpłynęła między iglice i wreszcie się zatrzymała. A potem zaczęła się łamać.

Pieśniarka usłyszała trzask. Obejrzała się przez ramię i ujrzała, że trzy kroki za nią pękł cały pokład i obie burty. Zaklinowana rufa tkwiła nieruchomo, za to przednia część okrętu pochyliła się do przodu. Po chwili dziób zanurzył się w wodzie, a meykong zawisła dziesięć łokci nad morzem, uczepiona masztu jak przynęta na wędce. W końcu pękły także zakleszczone w skałach wręgi i połowa statku wraz z poetką runęła do wody.

Dziewczyna zobaczyła nad sobą słońce zniekształcone przez tafłę morza. W końcu mogła się spokojnie wysikać.

Ali nie pamiętał, kiedy ostatni raz aż tak zatracił się w gniewie. Pewnie jeszcze w Wagadou, gdy w ogóle nie umiał nad sobą panować. Teraz czuł, że lata nauk i ćwiczeń w Serklandach, w Indialandzie i w Glaesirze poszły na marne.

Obudził się w poszarpanym ubraniu, z bólem, który zamieszkiwał każdy kawałek jego ciała. Najgorzej łupało go w głowie, bo siedziała na niej biała sowa i dziobała go między oczy. Jak przez mgłę przypomniał sobie dzban taniego wina, a potem kolejny i jeszcze jeden, pity aż do zatracenia.

Leżał pod wierzbą, między dwoma krowami, czy raczej ich resztkami. Zwierzęta zostały poćwiartowane, a krwawe ochłapy wały się po całej łączce. Po prawicy Blamada spoczywał ucięty rogaty łeb, który obsiadły muchy. Berserk zdał sobie sprawę, że śpiąc, tulił go do siebie. W ustach poczuł smak krwi i surowej wątroby.

Nie było wątpliwości, że to on posiekał krowy na kawałki. Nie pamiętał tego, ale był cały umazany krwią, podobnie jak jego leżący na trawie miecz. W pierwszym odruchu pomyślał, że musi wyczyścić broń. Był wojownikiem, zatem dbanie o oręż należało do jego podstawowych obowiązków. Uchwycił się tej myśli, jedynej stałej w otaczającym go nieładzie. Usiadł, oparł się plecami o pień, zdjął z siebie resztki białej koszuli, położył na kolanach zakrzywiony saif i zaczął wycierać ostrze. Posuwistymi, starannymi pociągnięciami ścierał lepiącą się maź. Równocześnie starał się przypomnieć sobie wydarzenia zeszłej nocy.

I gdzie w ogóle się znajdował? To pytanie przyszło pierwsze, a odpowiedzi poszukał wzrokiem. Siedział na niewielkim wzniesieniu, w dole zaś, kilkadziesiąt kroków od niego, płynęła rzeczka, zapewne Lycus, bo innej rzeki nie było w Miklagardzie. Musiał być więc poza centrum, gdyż tam nurt płynął podziemnym kanałem. W oddali po lewej stronie widać było lądowe mury miasta, a kilkaset kroków po prawej znajdowały się o wiele niższe mury Konstantyna. Przed sobą miał trzy wzgórza. Na szczycie tego najbardziej wysuniętego na prawo stał okazały zespół

kamiennych budynków, w którym rozpoznał klasztor Świętych Apostołów. Miedziane kopuły innych kościołów też wyłaniały się spomiędzy wzniesień, podobnie jak czerwone dachy bogatych posiadłości. Spędził zatem noc w dzielnicy pałacowej, w gospodarstwie jakiegoś klasztoru lub bogatego dworzanina. Tylko skąd się tu wziął? Ostatnie, co pamiętał, to płonący dom Kallirroe, a ten znajdował się po drugiej stronie miasta. Co tam robił?

„Lew nie zaczyna jeść zebry od kopyt” – brzmiało stare powiedzenie z Wagadou, postanowił więc zaczerpnąć z niego mądrość. By oddzielić w swojej głowie słowa boczne i tylne od tych przednich, czyli prawdziwych, musiał wrócić do początku. A początkiem była Zoe.

Trzy tygodnie temu Nikefor Fokas dał mu proste zadanie. Miał dopilnować, by Ainar Skald posłuchał rozkazów i wypłynął szukać skarbu kussarów. Blamad próbował przekonać pieśniarza, ale choć mówił mądrze, prosił grzecznie i groził dobitnie, konung kłopotliwy pozostawał niewzruszony. Odmawiał wszelkiej współpracy i zapowiadał, że całe lato spędzi w Byzantionie, choćby miał stracić swoje przywileje. Mimo że Skald nigdy by tego nie przyznał, wszyscy z jego otoczenia domyślali się, co było przyczyną jego nagłego umiłowania pokoju. Został usidlony przez kobietę.

Zoe wydawała się Alemu podejrzana od chwili, kiedy ją poznał. Od razu zaczął o nią rozpytywać, a w ostatnich dniach nawet ją śledził. Nadal jednak nie mógł jej rozgryźć, oczywiście nie dosłownie, bo jego zęby łatwo poradziłyby sobie z delikatnym kobiecym ciałem, język zaś bez trudu zlizałby krew ze świeżo rozdziobanej piersi. Łupnął się nasadą dłoni w łeb, bo wiedział, że ta ostatnia myśl pochodzi od białej sowy. Pomogło. Nie było tajemnicą, że Zoe mieszkała sama z matką w świetnie położonym domu nieopodal wzgórza pałacowego. Niektórzy sąsiedzi zapewniali, że kobiety utrzymuje ojciec dziewczyny, jakiś bogacz, może z samego otoczenia autokratora. Inni mówili raczej o kochanku Zoe, którym mógł być nawet słynący z rozlicznych romansów basileus Roman. Blamad zaczął też wypytywać o Kallirroe Wszechstronną, bo takim imieniem Skald nieraz

nazywał Zoe, i po kilku wizytach w mastropeionach dowiedział się, że była to nieuchwytna kobieta, jakaś zjawia męskiego pożądania, o której marzyli najwytrwalsi bywalcy domów uciech cielesnych. Początkowo Ali doszedł więc do wniosku, że ukochana Ainara była sprytną pornaską, która przybrała imię Kallirroe, by powiększyć zyski z kupczenia swoim ciałem. Bogowie nie bez powodu ukryli jednak słowa prawdy w jajach i by do nich dotrzeć, trzeba było rozbić skorupę kłamstw, jaka otaczała Zoe.

Dziewczyna pełna była sprzeczności. Raz biła od niej pobożność i skromność, innym razem lubieżność i wyuzdanie. Wojownik z Wagadou wiedział na pewno, że oprócz pieśniarza miała przynajmniej dwóch kochanków, których regularnie odwiedzała. Dobrze pamiętał, jak przed kilkoma dniami, gdy wieczerzał wspólnie ze Skaldem i Kallirroe, gospodyni chwyciła pod stołem berserka za przyrodzenie i ścisnęła je tak długo, tak mocno i tak przyjemnie, aż stwardniało. Wtedy cofnęła dłoń, pocałowała Ainara w czoło i jak gdyby nigdy nic poszła się modlić do swoich świętych obrazków. Ali nie miał serca powiedzieć o tym przyjacielowi, choć próbował mu uświadomić, że Zoe nie jest mu wierna, ale konung tylko w kółko powtarzał „pornaski mają wielu mężów”, po czym złościł się i nakazywał Czarnemu Achillesowi iść precz.

Niewierność i rozwiązłość można było jeszcze wytłumaczyć wyuzdaną naturą białych kobiet. Nikt ich przecież nie obrzezywał w dzieciństwie, tak jak robiono to w jego ojczystych stronach, gdzie wierzono, że pozbawioną dolnych warg kobietę nic nie kusi do zdrady. Ali na własne oczy przekonał się, jak błędne było to mniemanie, gdy obserwował żonę w objęciach swojego brata. „Gwałconą żonę” – powtarzał sobie w kółko, ale biała sowa podsuwała mu obraz uśmiechniętej z rozkoszy niewiasty, która wiała się pod czarnym cielskiem jego brata.

– Dość! – krzyknął na hamę i rąbnął pięścią w ziemię.

Odrzucił myśli o zdradzie i o rozkoszy. Wcale nie chuć tworzyła wokół Zoe aurę tajemniczości, ale to, co ludzie gadali o dziewczynie.

Sąsiedzi dziwowali się, że choć była widywana z różnymi mężczyznami, nigdy nie spacerowała z dzieckiem na ramieniu. Wprawdzie Grikkländki,

a zwłaszcza pornaski, znały różne sposoby, by ich brzuchy pozostawały płaskie, a i niektóre kobiety z natury były jałowe jak piaski pustyni, mówiono jednak, że tak pełna życia, tak rumiana i tak w biodrach zaokrąglona dziewczka jak Kallirroë jest stworzona do rodzenia dzieci. A tych nie rodziła, mimo że piersi miała wielkie, jakby wypełniało je mleko. Co więcej zarzekano się, że gdy tylko przechodziła obok jakiegoś niemowlaka, ten zaczynał płakać i nie dawał się uspokoić, póki matka nie oddaliła się z nim na sto kroków od dziewczyny. Zeszłej zimy kilka domów od miejsca zamieszkania Kallirroë pomarł osesek, który wydawał się zdrowy i pełen życia, lecz pewnego ranka matka znalazła go zimnego, wychudzonego i martwego. To samo stało się jesienią z dziewczynką mieszkającą na ulicy Zoe. Część sąsiadów zaczęła więc napomykać, że pornaska jest gello, ale pytani, czym jest gello, milkli, żegnali się i zaczęli mamrotać pod nosem modlitwy. Dopiero Finlog ze Slavomirusem powiedzieli berserkowi, że gello to miejscowy demon. Choć duchowni zabraniali ludziom w niego wierzyć, prostaczkowie bardzo się lękali tego diabelstwa. Życzliwym uśmiechem oraz monetami Ali skłonił w końcu kilku sąsiadów do zwierzeń i ze strzępów wiedzy poskładał sobie obraz Zoe widzianej oczami Romejów. Nierządnica miała rodzić często, ale ze swojej dziatwy wysysała krew, obie żółcie, a nawet flegmę, z dziecięcych ciałek zaś gotowała potrawkę dla kochanków. Gdy natomiast nie nosiła w łonie potomstwa, przenikała przez ściany, skradała się do kołysek stojących w domach sąsiadów i wypijała z niemowlaków wszystkie płyny, niczym pajak osuszający tłustą muchę. Wysysana z dzieci energia miała dodawać jej urody i czynić ją ponętą dla wszystkich mężczyzn w okolicy.

– To ty ubiłeś krowy?

Zamyślił się tak mocno, że nie zauważył nadchodzących ludzi. Trzech zbrojnych mierzyło w niego włóczniami. Po solidnych kolczugach i wojskowych sandałach, a przede wszystkim po białych płaszczach poznał, że byli to Numerowie, strażnicy odpowiedzialni za porządek w mieście. Za ich plecami ukrywał się niewysoki człowiek w bogatym błękitnym chitonie

i ze złotą różgą za pasem.

– Ubiłem.

– Wstawaj – rozkazał przywódca zbrojnych. – Pójdiesz z nami.

Posłuchał. Nadal trzymając w ręku zakrzywiony miecz, wstał i spojrzał z góry na żołnierzy. Najwyższego z nich przewyższał o półtorej głowy.

– Ubiłem, co moje – skłamał, brzydząc się sobą. – Ledwo wczoraj kupiłem od tego człowieka te dwie krowy. – Wskazał mieczem stojącego z tyłu mężczyznę, a ten mimo obrońców cofnął się dwa kroki. – Kosztowały mnie majątek. Dwie nomismy.

Berserk sięgnął wolną ręką do zawieszanej na szyi sakiewki, wyjął z niej dwie złote monety i rzucił je przestraszonemu Grikkmadowi. Ten od razu odzyskał odwagę i pewnie chwycił zapłatę.

– Umawialiśmy się na dwie nomismy za jedną krowę. A ty wzięłeś dwie dorodne młódki z gospodarstwa mojego pana.

Czarnoskóry wojownik już przepłacił, ale skinął głową i sięgnął po kolejne monety. Dzięki Fokasowi miał ich teraz więcej, niż potrzebował, a za kłamstwo należała mu się kara.

– I jeszcze jedna moneta za opóźnienie w zapłacie.

– Nie naciągaj zbytnio łuku, bo cięciwa pęknie. – Ali może i był bogaty, lecz chciwość mężczyzny zaczynała go drażnić. Schylił głowę, pokazując wytatuowany na niej łeb węża, a następnie pokręcił szyją, strzelając kręgami.

– Tyle wystarczy – odpowiedział Grikkmad, chowając pospiesznie pieniądze. – Dziękuję wam, dostojni Numerowie, za sprawiedliwy osąd. Straty mojego pana pokryję z własnych dochodów.

Blamad był raczej przekonany, że zarządca – bo nim musiał być niski człowiek – odda swojemu panu dwie monety, a pozostałe zostawi dla siebie. Nie odezwał się jednak, tylko spojrzał uważnie na zbrojnych i zakręcił młynka mieczem.

Wiedział, co chodziło im po głowie. Trzech żołnierzy z włóczniami naprzeciwko jednego półnagiego czarnego z sakiewką pełną złota. I nikogo

w pobliżu.

Przywódca Numerów rzucił szybkie spojrzenie na łeb krowy. Równo ucięte kości, ścięgni i żyły wskazywały, że został odjęty jednym uderzeniem miecza. Teraz to ostrze znajdowało się w potężnie umięśnionej łapie wojownika z Wągadou.

– Następnym razem nie zwracajcie nam głowy swoimi handlami! – burknął dowódca, unosząc grot do nieba.

Zbrojni odeszli, a wraz z nimi zarządca, wołąc zapewne nie zostawać bez ochrony w towarzystwie szaleńca. Czarny Achilles zastanowił się, dlaczego nie wspomniał o Nikeforze Fokasie, którego imię z pewnością odeгнаłoby od żołnierzy wszelkie myśli o rabunku. Uznał, że to przez hamę, która liczyła na zwadę. Im dłużej opierał się zabiciu Skalda, tym mocniej nakłaniała Alego do przemocy.

Było już prawie południe. Schował miecz i ruszył w drogę. Dziś miał po raz kolejny spotkać się z domestykiem Scholi, nie wypadało więc się spóźnić. Przeszedł przez kamienny mostek na drugą stronę rzeki i skierował się ku bramie Charisiusa w dzielnicy klasztornej. Wiedział, że zastanie Nikefora nie w pałacu, tylko w obozie pod miastem, gdzie stacjonowała Schola i inne oddziały tagmaty.

Minął pola, mały cmentarzyk, oliwne gaje, ogrody pełne kwitnących drzew, marmurowych kolumnienek i wielkich kamiennych kielichów. Z każdym jego krokiem okolica stawała się coraz gęściej zabudowana. Najpierw szedł między drewnianymi spichlerzami, magazynami, ale z czasem znalazł się w otoczeniu kamiennych domów i kapliczek. W końcu dotarł do Mese, głównej ulicy miasta, która w tym miejscu była okazałym kamiennym traktem mogącym pomieścić trzy jadące obok siebie wozy. Dalej znajdowały się majestatyczne świątynie, ale skręcił w lewo, nim do nich dotarł. Przeszedł obok odkrytej, wielkiej jak jezioro cysterny Aecjusza i po raz kolejny zdumiał się przezornością Grikkmadów. Zebrana w niej deszczówka mogłaby przez miesiąc poić mieszkańców Miklagardu, a podobno była to tylko jedna ze stu istniejących w mieście cystern.

Mese pięła się łagodnie w górę. Zszedł na bok, ustępując miejsca

rozpędzonemu wozowi zaprzęgniętemu w parę wołów. Za nim jechały cztery takie same pojazdy, a każdy wyładowany kamieniami. Nieopodal przebudowywano kościół, więc pewnie tam wieziono materiały. Woźnice ciągnęli za lejce, starając się zjeżdżać z góry jak najwolniej, lecz jeden z nich pociągnął za mocno i urwał skórzany pas przy pysku wołu. Spłoszone zwierzę przyspieszyło i szarpnęło w bok. Drewniany pojazd przekrzywił się, a lewe koło najechało na głaz, który wcześniej wypadł z jadącego przodem wozu. Tylne osie pękły i skrzynia pojazdu uderzyła o bruk, wysypując piątą część ładunku. Wybuchło zamieszanie. Woźnice skoczyli sobie do oczu, przechodnie zaczęli się skarżyć na podniesiony kurz, a pewna staruszka padła na kolana i zaczęła się modlić w podziękowaniu za cud, gdyż jeden z ogromnych głazów nie zmiażdżył jej nogi, tylko spadł obok. Ruch stanął, bo kamienie rozsypały się po całej szerokości ulicy. W kierunku zamieszania zaczęli biec strażnicy.

Ali zszedł z drogi i obszedł bokiem kłębiący się tłum. Zatrzymał się przy niewielkim ergasterionie i kupił długi płaszcz, by nie musieć stawać przed domykiem w łachmanach.

Brama Charisiusa znajdowała się na szczycie szóstego i najwyższego wzgórza w mieście, więc rozciągał się stąd wspaniały widok na setki kopuł, które w świetle południowego słońca wydawały się zrobione ze szczerego złota. Uwagę berserka przyciągnęła jednak sama brama, będąca właściwie systemem wieży, łuków, tuneli, murów oraz wież.

Główny mur, czyli *mega teichos*, był olbrzymią ścianą ułożonych naprzemiennie czerwonych i białych bloków. Wysoki na czterdzieści stóp, szeroki na szesnaście, został zwieńczony blankami, które na końcu spiłowano, prawie jak zęby Alego. Między czworobocznymi basztami znajdowało się pierwsze przejście bramy Chariusa. Jego zarys wyznaczały dwie płaskie kolumny i ostro zakończony łuk. Grube skrzydła z brązu otwarte były na oścież, a wyjścia strzegło kilku strażników z włóczniami. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na *spathariosa*.

Pokonał tunel pod murem, przepychając się w tłumie ludzi podążających do miasta. Było to drugie najważniejsze wejście do Miklagardu, ale

właśnie je najbardziej oblegano, bo wyższa rangą Złota Brama służyła możliwym, posłom i bogatym gościom. Bramy Charisiusa używali natomiast wszyscy, roiło się więc tutaj od rzemieślników, drobnych kupców, hodowców prowadzących zwierzęta do rzeźników, rolników uginających plecy pod ciężarem worków z mąką, wędrownych mnichów oraz pornasek, które zachęcały przybyszów do odwiedzenia mastropeionów lub zaspokojenia lubieżności w cieniu miejskiego zaułku. Wiosna, choć jeszcze wczesna, ożywiła całe miasto, a do portów zaczęły wpływać pierwsze statki.

Po wyjściu z tunelu znalazł się na otwartej przestrzeni. Naliczył siedemnaście kroków, nim dotarł do *mikron teichos*, czyli małego muru, który niewielki był tylko z nazwy, gdyż sięgał trzydziestu stóp, szeroki zaś był na siedem. Jego również wieńczyły blanki, a przejścia w nim strzegły dwie wieże. Stojący tutaj strażnicy mieli ręce pełne roboty, gdyż dokładnie sprawdzali każdego, kto zmierzał do miasta.

Ali przepuścił wóz wypełniony glinianymi dzbanami, po czym przeszedł dwadzieścia kroków i dotarł do trzeciego, zarazem ostatniego teichosu, który dorównywał wysokością wzrostowi dorosłego mężczyzny. Do muru przylegała fosa szeroka na dwadzieścia pięć kroków. Wisiał nad nią kamienny most, teraz zablokowany przez wozy. Berserk przecisnął się między kamieniarzami czekającymi na pozwolenie wjazdu i zostawił za sobą umocnienia o łącznej szerokości około osiemdziesięciu kroków. Nie zazdrościł żołnierzom, którzy chcieliby zdobyć Basilis Polis.

Tuż za miastem znajdował się rozległy cmentarz z lasem kamiennych krzyży, co wyjaśniało, dlaczego niektórzy nazywali pobliskie wierzeje Bramą Cmentarną. Groby były zadbane i solidne, a między nimi przechadzały się bezpańskie koty. Trupom musiało być tutaj ciepłutko i przytulnie, czerwie i robaki zaś miałyby używanie, mieszkając w rozkładających się zwłokach Ainara Skalda, uduszonego, poćwiartowanego i rozdziobanego.

Blamad potrząsnął czerepem, sprawiając, że wyleciała z niego biała sowa o ludzkiej twarzy i zniknęła za okolicznymi drzewami. Na jakiś czas

powinien mieć ją z głowy. By dodatkowo odseparować się od natrętnych myśli o zabiciu poety i pochowaniu go gdzieś tutaj, powrócił do przyjemniejszych rozważań. Wspomnił piękną Zoe.

Grikkmadowie wierzyli, że była gello. Postanowił to sprawdzić, choć z rezerwą podchodził do takich bajdurzeń. Kiedy mieszkał w kalifacie, nasłuchiwał się opowieści o silach, kobiecych dżinach, które choć z natury swej szkaradne, potrafiły ukryć się pod powabnymi kształtami, by uwodzić mężczyzn. Z kochankami żyły w miastach, niczym zwykłe niewiasty, ale stopniowo wysysały z partnerów radość życia i ostatecznie doprowadzały ich do śmierci ze zgryzoty. Kilka dni temu Ali pokusił się o próbę sprawdzenia, czy Kallirroe nie jest jedną z demonic. Przed przyjściem do jej domu zjadł siedem daktyli, ich pestki wrzucił do rzeki i odmówił traktujący o opętaniu przez dżiny fragment koranicznej sury *Al-Muminun*. Sarakeni zapewniali, że tyle wystarczyło, by siła odkryła swoje prawdziwe oblicze. Jednak gdy chwilę później zaszedł do Zoe, nie zauważył u niej ani rybiego ogona, ani zielonych włosów, ani wymion wielbłądzicy, ani nawet czerwonej od ognia twarzy. Mimo to nadal podejrzewał, że kobieta mogła być opętana przez jakiegoś złośliwego ducha.

Przestał rozmyślać o dziewczynie, gdy dotarł do obozu. Wprawdzie miał on charakter tymczasowy, gdyż nie wzniesiono na jego obszarze żadnych trwałych budynków, ale i tak był popisem grikklandzkiej sztuki konstruktorskiej. Czworoboczny obóz otoczono rowem i ziemnym nasypem, po którym przechadzali się strażnicy. Namioty rozstawiono równo i wedle ustalonego porządku. Scholowie strzegący wejścia rozpoznali Czarnego Achillea, został więc zaprowadzony prosto do serca obozu, gdzie znajdował się namiot Nikefora Fokasa.

Domestyk od razu przyjął zausznika. Ubrany był jak zwykły żołnierz w wełniany, błękitny chiton, na który nałożył prostą kolczugę. Różne odcienie żelaznych kółeczek wskazywały, że zbroja nieraz była używana w boju i często ją naprawiano. Krótki miecz w skórzanej pochwie leżał na stole, tuż obok zapisanych papierów i pergaminów, nad którymi garbił się wojskowy.

– Dobrze cię widzieć – powiedział dowódca Scholi, nie unosząc wzroku znad jakiegoś dokumentu. Dopiero gdy skończył czytać, spojrzął na stojącego przed stołem Blamada. – Jestem ci winien podziękowania.

– Podziękowania?

– Nie udawaj. Wiem, że to ty przekonałeś Skalda. Dziś z samego rana przysłał do mnie posłańca z listą rzeczy, jakich potrzebuje do odpłynięcia.

– Bezcelności nigdy mu nie zabraknie.

– Jak z nim wytrzymujesz? Potrafi denerwować ludzi nawet za pośrednictwem mandatora. Czy on sobie myśli, że jestem jakimś eunuchem od zaopatrzenia? Tylko na to popatrz. – Wojskowy wręczył berserkowi pergamin. – Kazałem spisać te żądania niewolnikowi. Kapryśny basileus Vaeringów zażyczył sobie zwojów liny ze skóry wieloryba, trzydziestu stalowych, połączanych kolczug i tyluż hełmów, dziesięciu bel jedwabiu, dwudziestu korców zboża, dziesięciu kamieni suszonej wołowiny oraz czterdziestu dzbanów najlepszego wina z piwnic autokratora. Co on chce ucztować na statku z jedwabnymi żaglami? A na końcu najlepsze. Chce trzy najświętsze ikony znajdujące się w posiadaniu tutejszych kościołów i jeszcze, cytuję: „tę chustę, przed którą klękają wierni w kaplicy Theotokos z Faros”! Chustę! Przecież ma na myśli sam mandylion, na którym nasz Zbawiciel odcisnął swoją twarz! Największą świętość Basilis Polis!

– Jestem pewien, że zadowolę się samym zaopatrzeniem.

– I tylko je dostanie. Chociaż... Jeśli powiesz, że jego nawrócenie jest szczere i rzeczywiście chce dbać o duchowy rozwój swoich ludzi, wystaram się dla niego o jakieś cudowne obrazy. Mamy ich wiele w obozie, bo ja też dbam, by każdy bandon stawał do boju wraz ze swoją ikoną.

– Trudno jest wejrzeć w serce Ainara.

– Mniejsza z tym. Lepiej mi powiedz, jak udało ci się przekonać tego łotra. Wiesz, że wczoraj minęły trzy tygodnie, które dałem mu do zastanowienia? Rozwazałem już, czy nie zakuć go w łańcuchy.

– Ja... po prostu...

Biała sowa z ludzką twarzą wleciała do namiotu. Płonęły jej skrzydła. Musnęła ścianę namiotu, a ten stanął w ogniu. Przysiadła na głowie Nikefora, zmieniając ją w pochodnię. Ali przypomniał sobie płonący dom Kallirroe i siebie samego, stojącego w cieniu sąsiedniego domu, czekającego w ukryciu, jak podpalacz. Chciał się wtedy ruszyć, pobiec na ratunek, ale nie mógł. Hama, która urosła do wielkości wołu, stała przed nim, opierała głowę o jego pierś i zaparłszy się szponami o ziemię, pchała go do tyłu, gdy on robił krok w przód. Jak do tego doszło?

„Ogień oczyszcza” – pomyślał i spalił w nim wszystkie niepotrzebne wspomnienia, które przysłaniały prawdę. Zoe oskarżano o bycie gello, ale przez długie miesiące nikt z tym niczego nie robił, bo przecież były to tylko plotki. Wszystko się zmieniło, gdy umarł syn bogatego archonta, a jego żona dowiedziała się, że Kallirroe była kochanicą męża. Zrozpaczona niewiasta uznała, że Zoe wyssała życie z dziecka, chcąc zdobyć archonta tylko dla siebie. Matka poszła nawet z martwym maluchem na rękach pod dom Kallirroe i oskarżyła ją o bycie gello. Mąż chciał wszystko załagodzić, bo był nie tylko wysoko postawionym na dworze urzędnikiem, ale i kuzynem autokratora, nie potrzebował więc zamieszania wokół swojej osoby ani tym bardziej łączenia go z gello, w której istnienie nie powinien wierzyć człek bogobojny. Nie potrafił jednak zapanować nad rozszalałą z bólu żoną. Rozповідаła historię swojego nieszczęścia, a za sprawą bogatych matron wieści rozniosły się po pałacach, skąd – za pośrednictwem służ – dotarły do oberż. Wszyscy dowiedzieli się, gdzie mieszka Zoe i o co się ją oskarża. Potrzebna była tylko iskra. Kilka dni temu Ali siedział samotnie przy dzbanie taniego wina w lichym pandokeionie. Przysłuchiwał się grupce coraz bardziej pijanych mężczyzn, którzy głośno rozprawiali o mieszkającej nieopodal gello. „Ogień oczyszcza” – powiedział wtedy, choć wiedział, że to sowa podsunęła mu tę myśl. Wypowiedziane cicho słowa zabrzmiały głośniejszym, niżby chciał. Usłyszeli je portowi tragarze, mocno już pijani. Spodobały im się. Wzięli wino, kupili oliwę do lamp i wyszli. Blamad poszedł za nimi, kryjąc się w cieniu. Stał i obserwował, jak włamują się do

środku, wyobrażał sobie, jak oblewają oliwą i winem drewnianą podłogę oraz meble, przyglądał się, jak wybiegają na zewnątrz, zostawiając w środku płonące pochodnie. Czekał, aż cały dom stanie w ogniu. Nie pobiegł za uciekającymi osiłkami, tylko tkwił w miejscu, siłując się z pohukującą z radości hamą. Poczł ulgę, wstyd oraz pochodzącą od sowy wściekłość, gdy z domu wybiegł Skald z kochanką. Berserk uciekł jak tchórz i wrócił do gospody. W środku zastał tragarzy, którzy pili za zwycięstwo, siebie zaś ogłaszali świętymi pogromcami demonów. Opowiadali o gello skwierczącej nad ogniskiem, jak kiełbaska nabita na patyk swojego kochanka i wraz z nim spalona. Zarzekali się, że na własne oczy widzieli płonące włosy matki demonicy i żalowali, że wcześniej nie zgwałcili obu kobiet, bo teraz tylko diabły będą miały z nimi używanie. „Marnotrawstwem jest wytapianie tłuszczu z piersi” – mówili i rechotali. Wcześniej Ali nie mógł nic zrobić, ale teraz łaknąca krwi hama nie zamierzała mu przeszkadzać, a nawet zachęcała do przemocy. Szkoda mu było miecza do rzeźnickiej roboty. Opróżnił dzban z winem i zacisnął pięści. Tragarzy było czterech, wszyscy prawie w trupa pijani. Trzech nawet nie zauważyło, gdy chwycił czwartego za szyję, przydusił, odciągnął na bok i tak długo uderzał pięściami w łeb, aż zmiażdżył mu czaszkę. Uniósł podniecająco bolące dłonie, zakrwawione, pokaleczone, z włosami i resztkami mózgu między knykciami, po czym ryknął, wzywając berserksgang. Pozostali tragarze otrzeźwieli na tyle, by stanąć do bójki. Nie trwała długo, ale czarny wojownik nie mógł sobie przypomnieć jej szczegółów. Pamiętał tylko czerwień.

– Co z tobą? Pytałem, jak przekonałeś Skalda do wyprawy?

Szalony wojownik zacisnął powieki, a gdy je otworzył, nie było już ognia, Fokas zaś wpatrywał się w niego ze zmarszczonym czołem.

– Ja... Po prostu mu uświadomiłem, że pobyt w mieście nie jest taki beztroski, jak sądził.

– Sam wyglądam dnia, kiedy stąd wyjadę. Muszę z tobą pomówić jeszcze o jednej sprawie. O auguście Teofano.

Czarny Achilles beznamiętnie wygłosił grzecznościowe zawołanie

przysługujące rodzinie autokratora:

– Wiele lat.

– Tak. Niech panuje wiele lat, gdyż zapowiada się na świetną władczynię.

– Tak słyszałem.

– Nie musisz udawać. Od dawna wiem, że co jakiś czas pojawiaasz się w jej oikosie. Co tam robisz?

Wejścia do namiotu strzegło dwóch ludzi, przy bramie obozu stało kolejnych czterech, ale po drodze Ali z pewnością natknąłby się na kilkudziesięciu żołnierzy. Miał nawyk zapamiętywania takich rzeczy. Ucieczka z tego miejsca byłaby bardzo trudna, przestał więc brać ją pod uwagę. Skoro Nikefor wiedział o jego wizytach, pewnie domyślał się, po co tam chodził. Ali nie wiedział jednak, czy dowódca poddaje go próbie, czy tylko przedłuża ogłoszenie egzekucji.

– Rozmawiam ze sługą dostojnej augusty, rządziej z nią samą.

– Donosisz jej?

– Nie. Mówię, jak zapatruję się na wydarzenia w mieście, i opowiadam o swoich podróżach. Pobożna Teofano jest bardzo ciekawą świata władczynią.

– Jak każdy w jej wieku. Jak każdy. Nie mam do ciebie żalu, że nie tylko moje ucho słucha twoich opowieści. To dobrze, że augustę zajmują sprawy Romanii, bo już niebawem będzie miała na nie wielki wpływ. Młodszy basileus został przez ojca świetnie przygotowany do rządzenia, ale będzie potrzebował mądrych doradców. Czy o mnie też pytała?

Dowódca rzucił pytanie jakby od niechcienia, lecz rozmówca zauważył jego zdenerwowanie. Wojskowemu zależało na opinii tej młodziutkiej dziewczki, która jeszcze nie tak dawno była zwykłą córką karczmarza, przynajmniej jeśli wierzyć plotkom.

– Tak. Pytała, jakim jesteś człowiekiem przy żołnierzach, bo widuje cię tylko w pałacu.

– I co powiedziałaś?

– Że jesteś mężem honoru i wielkiej pobożności.

– To dobrze. – Grikkmad prawie niezauważalnie się uśmiechnął. – A co sądzisz o niej?

„Jest sprytną tkaczką spisków, która nie cofnie się przed niczym, a do tego jest świetną pornaską” – pomyślał, ale czuł, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał domestyk.

– Jest mądra i świetnie prowadzi rozmowę. – Były to słowa przednie, prawdziwe, no może troszeczkę skręcające w bok, bo czarny wojownik czuł się przy niej zbyt skrępowany, by cieszyć się pogawędką.

– A do tego słynie z wielkiej pobożności. Często spotykam ją w kaplicy autokratora, jak modli się za jego zdrowie.

Jej pobożność bardziej pasowała do kultu starych grikklandzkich bogów miłości niż do nauk Kristosa, lecz i tę uwagę Blamad zatrzymał dla siebie.

– Z pewnością nie boi się ubrudzić kolan. – I tym razem nie skłamał, wyobrażając ją sobie na czworakach przed jakimś kochankiem.

– Prawda. Od śmierci mojej żony nie znałem tak oddanej Kościołowi i Romanii kobiety. – Nikefor uniósł wzrok, jakby wspominał małżonkę albo rozmyślał o nowej. – Chcę, byś nadal ją odwiedzał. Za tydzień wyruszę na wojnę, ale ty zostaniesz w mieście. Bezpieczeństwa rodziny autokratora strzeże co prawda Hetairia, zaproponowałem jednak Teofano, by wzięła cię na osobistego strażnika. Oczywiście jeśli się zgodzisz, bo wiem, że masz też zobowiązania wobec swojego konunga.

Hama huczała Alemu w głowie, by nie opuszczał Ainara. I być może chęć przeciwstawienia się sobie o twarzy Tirusa Wielkiego przeważyła, choć wcale nie uśmiechała mu się rola pałacowego strażnika. Czuł też, że kolejny tak silny jak minionej nocy atak mściwej zjawy zmusi go do zabicia Skalda. Powinien trzymać się od niego z daleka, jeszcze przynajmniej te kilka miesięcy, dopóki nie minie rok od chwili, w której głupio zgodził się na nawiedzenia przez ducha swojego byłego kagana.

– Nie lubię żeglować. Zostanę.

– Wspaniale. A kiedy będziesz już strzegł jej bezpieczeństwa, miej oczy

i uszy otwarte, jakbyś z łukiem polował na Sarakena. Po powrocie będę chciał wiedzieć o wszystkim, co działo się w otoczeniu rodziny autokratora, by móc lepiej służyć władcom imperium.

Blamad skinął głową, zdając sobie sprawę, że po raz kolejny dał się wciągnąć w sieć dworskich spisków.

31

Lubił patrzeć, jak śpi. Płatki jej małego noska lekko drgały przy każdym oddechu, a smoliste włosy nie były rozczochrana, tylko jakimś czarodziejskim sposobem równo układały się na poduszce. Skald dopiero teraz zauważył, że miała długie, ciemne rzęsy i spodobało mu się to, tak jak od dawna urzekał go jej pieprzyk na lewym policzku, skaza, która podkreślała urodę. Spała nago, tak jak lubił. Ostrożnie zsunął z niej koc, chłonąc widok doskonałego ciała. Smukłej szyi, ułożonych pod policzkiem dłoni o długich palcach, piersi z czarnymi oliwkami, niecki między ramieniem a biodrem, chudego brzuszka z malutkim dołeczkiem, krągłych niczym kule śniegu pośladków, długich, zgrabnych nóg.

– Już wcale nie śpię, Konstancjuszku.

Po raz kolejny chciał ją napomnieć, że nienawidził tego imienia, ale zapomniał o złości, gdy otworzyła oczęta o źrenicach odrobinę za bardzo przesuniętych w kierunku nosa. Na szczęście obudziła się jako Zoe, więc była szansa na spokojną rozmowę.

– Coś ci przyniosłem. – Wskazał oparte o ścianę malowidła, które przed chwilą dostarczyli mu ludzie Fokasa.

– Są wspaniałe! – pisnęła, po czym zerwała się z łóżka i podbiegła do ikon. Uklękła przy nich i chciała się chyba pomodlić, lecz zaraz się zmieszała i zakryła piersi rękoma. – Nie godzi się być nago przy świętych.

Ainar dostrzegł rumieńce na jej twarzy, choć przecież o wiele lubieźniejsze rzeczy zdarzało im się robić przy podobnych obrazkach.

Dziewczyna była jednak w pobożnym nastroju, więc podeszła do skrzyni, wyjęła sukienkę i ubrała się.

Poeta patrzył, jak piękne ciało skrywa się pod szarą tkaniną i miał ochotę odwrócić tę czynność, bo jego męskość odzyskiwała siły po nocnych bojach. Siedział jednak spokojnie, gdyż czekała go trudna rozmowa, którą wolał odbyć ze skromną i uduchowioną Zoe niż z namiętną i łatwo popadającą w złość Kallirroe.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, skąd wzięłeś te ikony? Mam nadzieję, że nie złamałeś przy tym żadnego z przykazań.

– Oczywiście, że nie – skłamał, albo i nie, bo nigdy nie zadał sobie trudu, by nauczyć się kristiańskich zasad dobrego zachowania. – Przecież wiesz, że jestem konungiem Vaeringów, więc nawet autokrator ma baczenie na moje prośby.

– Miłuję cię, Konstancjuszku – powiedziała i cmoknęła go w policzek.

Pierwszy raz poczyniła mu takie wyznanie. Od innych kobiet słyszał je często, a i sam mówił nierzadko, że kocha, zwłaszcza opornym mężatkom, które bez miłosnych zapewnień nie chciały rozwierać nóg. Kallirroe też niejednokrotnie szeptał to słowo do uszka, kropiąc ją swoją różdżką, ale wtedy tylko się uśmiechała, jakby wiedziała, że to jedynie męskie zakłęcie zmiękczejące kobiecą wolę. Teraz nie silił się więc na puste słowa, lecz okazał swoje przywiązanie szczerze i po męsku, klepiąc dziewczynę w tyłek.

– Tamte stare uszkodziły się podczas pożaru. Teraz możesz je zostawić, a w podróż wybrać się z nowymi.

– Zostawić? Nie wygłupiaj się, mój ty sopolku z Północy. To byłoby świętokradztwo. Od tej pory nigdzie nie ruszę się bez wszystkich sześciu ikon! Ale właściwie... dokąd wyruszamy?

Mógł lepiej przemyśleć podarunek. Święte deski wcale nie były wygodne w noszeniu, a wnosząc je na pokład, narazi się na drwiny załogi. Na szczęście morskie podróże bywają niebezpieczne i niejeden tobołek może wypaść za burtę.

– Zabieram cię na Thereę, gdzie kupimy nowy dom.

– Gdzie? Przecież obiecywałeś, że zostaniemy tutaj, w najwspanialszym polis, jakie zna świat! Tu się urodziłam i nigdy nie byłam dalej niż dzień drogi od miasta. Nie chcę wyjeżdżać.

– Przecież twój dom spłonął, a nie możemy cały czas mieszkać w pandokeionie.

– To kupmy posiadłość tutaj, w stolicy. W ogródku przy starym domu zakopałam trochę kosztowności. Ty też dostajesz dużą rogę od basileusa. Stać nas.

Nie mógł powiedzieć jej prawdy. Była zbyt niezrównoważona, a nie chciał utrudniać rozmowy kolejnym wybuchem namiętności Kallirroe. Lepiej, by dalej sądziła, że to jej nieostrożność pozbawiła ją dachu na głowę. Po co ma się denerwować, że ktoś celowo chciał spalić ją żywcem? Sam nie był tego pewny, ale po cichu rozpytał po okolicy, czym jest gello i o co chodziło zrozpaczonej kobiecie z martwym dzieckiem. Nie dbał co prawda o przesady Grikkmadów, lecz wiedział, że Zoe nie będzie w mieście bezpieczna, zwłaszcza bez jego opieki.

– Jeśli nie wypłynę, stracę pozycję i nie będę już konungiem. Ale to nieważne. Chcę z tobą zamieszkać w odludnym miejscu, gdzie nikt nie będzie nas znał. Wybudujemy domek na wzgórzu, nieopodal gaju oliwnego i jakiegoś małego kościółka, gdzie będziesz się mogła modlić.

– Naprawdę?

W dużych oczach pornaski pojawiły się łzy szczęścia. Wykuwanie kłamstwa na kowadle języka zwykle przychodziło mu łatwiej, teraz jednak czuł, że słowa stawiają opór jego woli. Przecież on, słynny skald, który żyje dla chwały i dla pieśni, nie mógł spędzić reszty życia w jakiejś chałupie na odludziu. „A może?” – przemknęła mu słaba, niegodna drenga myśl, ale do porządku przywołał go krzyk Göllnira – wrzask, który zawsze sprowadzał na niego kłopoty i ciągnął w nieznanne.

– Naprawdę – zdołał wykuć tylko jeden marny wers.

Uwiesiła mu się na szyi.

– Mój dom jest tam, gdzie i twój.

Wystarczyłaby chwila, by przemienić ją w ponętą Kallirroë, lecz nie miał na to czasu. Jutro mieli wypłynąć, a do załatwienia pozostało wiele spraw.

Zszedł do sali głównej „Słodkich Winogron”, oberży, w której urządził swoją tymczasową konungowską hallę, okazalszą od dworzyszczy z Północy, bo wzniesioną z kamienia i ozdobioną marmurami.

Oczekiwano go. Usiadł przy stole i kazał przynieść dzban wina, by umilić sobie nudę konungowania. Poranek zapowiadał się na ciężki, bo pierwszy przybył Tharbrand, styrir „Niegrzecznego Niedźwiadka” i jął go zanudzać szczegółami. Łysy sternik z długą rudą brodą, w której widać już było pasemka siwizny, ponarzął, że dostał za mało zwojów liny, na dodatek ze składu grikklandzkiej floty wydano mu tylko sznury konopne, a nie ze skóry wieloryba, tak jak prosił. Pochwalił się jednak, że udało mu się kupić dwa porządne szoty wyplecione z końskiego włosia. Dodał, że przywieziono za dużo zboża, a za mało wędzonych ryb. Poprosił o lniany materiał na zapasowy żagiel. Rozpromienił się, gdy Ainar spytał o naprawę okrętu.

– Nie było łatwo, nie było. Należało wymienić kilka wręg i niemal całe poszycie, nie mówiąc już o pokładzie. Na szczęście udało mi się kupić trochę dębowych i sosnowych desek od kupców z Gardariki, którzy przybyli tu przed dwoma tygodniami. No i spotkałem całkiem zmyślnego rzemieślnika, który buduje galeidy. Był zachwycony moją snekkją i podsunął mi zacny pomysł, aby wzmocnić kil skipu, dziób oraz rufę żelaznymi płytami. Nasz „Niedźwiadek” ma teraz żelazną brodę, którą może nie pobodzie tutejszych galeid, ale wiosła przeciwnika spokojnie połamie.

O żelazie Skald wiedział tyle, że jeśli rzucić miecz do morza, niechybnie zatonie. Obciążanie metalem okrętu nie wydawało mu się dobrym pomysłem, jednak w sprawach żeglugi ufał rudobrodemu. Nie wybrałby też do swojej podróży innego statku niż „Niegrzecznego Niedźwiadka”, choć od kilku dni miał wybór, do Miklagardu przybyli bowiem nie tylko kupcy

z Gardariki, ale i trzy snekkje, których kapitanowie zaciągnęli się na służbę w grikklandzkiej flocie. Poeta szybko odnalazł tych styrirów i przekonał, by zażądali od drungariusza floty służby pod konungiem Ainarem. Sam z kolei wysłał posłańca do Nikefora Fokasa i Alego, by pomogli mu w tej sprawie. Vaeringów zwabiła obietnica wysokich łupów, a Grikkmadów przekonała obawa, że bez pomocy władcy wersów nie zapanują nad kolejną hordą wojów, którzy już zdążyli wdać się w burdę. Tak zatem trzy nowe snekkje przeszły pod wodzę Ainara, i choć nie mógł zabrać ich ze sobą po złoto Krety, dołączył je do sił Magnolfa na Therze. Jeśli w zimie Krwawa Siekiera nie stracił żadnego okrętu, pieśniarz miał teraz pod swymi rozkazami czternaście skipów, co stanowiło pokazną siłę. Wystarczającą, by zdobyć ziemię pod jego konungowski tytuł.

– To jeden z nowych? – Kowal słów wskazał milczącego mężczyznę, który siedział obok styrira.

Załoga „Niegrzecznego Niedźwiadka” odniosła dotkliwe straty zeszłej jesieni oraz podczas zimowych bójek przy piwie, więc Skald rozkazał wzmocnić liczebność drotu. Wśród nowo przybyłych Vaeringów nie brakowało chętnych, by dołączyć do sławnej drużyny. Niedźwiadki cieszyły się sławą na całej Północy, a ludzi przyciągała jeszcze osoba Ainara, który męstwem i rozumem wywalczył sobie tytuł konunga. Obietnica lepszego wynagrodzenia też robiła swoje.

– Tak. Nie uwierzysz, ale okazało się, że to mój daleki kuzyn ze strony matki, która pochodzi z kraju Vindmadów.

Wysoki mężczyzna o smukłej sylwetce nie miał tępej gęby, jaka często występowała u niemych głupków. Wszystkiemu uważnie i badawczo się przyglądał. Był młody, może nawet bardzo, choć z pewnością nie należał już do grona wyrostków, bo nosił gęstą, krótką brodę, a zwały mięśni na karku i ramionach wskazywały na drzemiacą w nim siłę dorosłego drenga. Milczek miał piwne oczy, brązowe włosy i wysokie czoło.

– Jak cię zwą?

– Gniewosz Trzy Niedźwiedzie.

– Gnievos Tri Nedvede – spróbował powtórzyć kowal słów. Skrzywił

się, słysząc potworność, jaka dobyła się z jego gardła. Te miękkie głoski były nie do powtórzenia.

– Co to oznacza po naszymu?

– W mowie Noregu brzmiałoby to Gang Tribjörn.

– Dziwaczne imię. Lubisz się gniewać?

– W słusznej sprawie.

– A co z tymi misiami?

– Na zaślubinach brata złożyłem ślub, że zabiję włócznie trzy niedźwiedzie. Ruszyłem więc w bory. Wróciłem do grodu po dziewięciu dniach, niosąc trzy łby miodożerów. Od tej pory tak na mnie wołają.

Skald pomyślał, że disy przynoszące szczęście postanowiły go nagrodzić odpowiednim człowiekiem. Vindmad wyglądał na mistrza włócznie, przyda się więc w nadchodzącym starciu z Diarfem Nawlekaczem. Kto wie, może i sam Ainar podpatrzy u młodzieńca jakąś drobnostkę przydatną w walce włócznie?

– A cóż to za gród szkoli tak mocarnych wojów?

– Krakgard.

– Pierwsze słyszę. Cenią tam skaldów?

– Zwłaszcza tych z obcych ziem.

– Zatem może kiedyś was odwiedzę. Ale wróćmy do chwili obecnej. Będiesz jednym z Niegrzecznych Niedźwiadków, którzy tworzą mój przyboczny drott, musisz więc dobrze wyglądać. Mam dla ciebie pierwsze zadanie. Weź swojego kuzyna i niech każdy z was kupi po sukience. Tylko nie mają to być pierwsze lepsze szmaty, ale piękne wdianka, jakie noszą tutaj dobrze urodzone Grikklandki.

Gnievos uniósł brew i spojrzał na Tharbranda, który tylko wzruszył ramionami, przyzwyczajony do dziwacznych poleceń wodza. Styrir próbował jeszcze wrócić do rozmowy o zaopatrzeniu, lecz pieśniarz zganił go surową miną i nakazał im już iść. Gdy obaj zniknęli za drzwiami, rozpromienił się w uśmiechu, bo jednym poleceniem wygrał po trzykroć. Raz – pozbył się zanudzającego go sternika. Dwa – wystawił nowego

drenga na próbę, bo milczek nie mógł ani zlekceważyć rozkazu, ani wziąć go dosłownie, gdyż wtedy musiałby się pojawić przed konungiem w kobiecych łachach. Powinien za to pojąć, że suknie nie są dla niego, ale dla kobiety ważnej dla konunga. W takim wypadku postara się wybrać jak najlepsze szaty, co prowadziło do trzeciego zwycięstwa Ainara. Pieśniarz chciał podarować Zoe coś ładnego, coś innego niż obrazki, babka zaś mawiała: „Jednemu krowy są szczęściem, innemu żelazna kolczuga, a żonom ich obu wystarcza nowa sukienka”.

Zadowolony ze swojej przebiegłości, kazał sobie przynieść kolejny dzban wina. Oberżystą nadal był Teofanes, który po wypuszczeniu z więzienia i po przesłuchaniu przez Alego pozbył się piętna truciciela, dzięki czemu mógł wrócić do pracy. Na poetę patrzył nieufnie i bez życzliwości, ale gorliwie mu nadskakiwał, bo tylko służebnością mógł odzyskać miano dobrego gospodarza. Tym bardziej że pieśniarz i jego świta byli ostatnimi czasy jedynymi stałymi bywalcami pandokeionu „Słodkie Winogrona”.

– Nie powinieneś tyle pić. Jeszcze nie ma południa. Autor *Physiologusa* pisał, że antylopa to dumne, silne zwierzę, pyszniące się za dnia swoim porożem, ale pragnienie wiedzie je ku zgubie, czyli do wodopoju, gdzie czeka straszliwy smok wodny. I ty właśnie jesteś jak ta antylopa, bo pijaństwo stanie się kiedyś przyczyną twego upadku.

Tym, który starał się zepsuć nastrój Skaldowi, był Finlog. Usiadł obok i pociągnął ku sobie dzban. Składacz strof pozwolił mu na to, bo miał jeszcze wino w cynowym kubku. Bard z samego rana przybył do oberży ze Slavomirusem i obaj nie opuszczali głównej sali na krok.

– Wam, mnichom, może i starczy kapka wina, by uczcić ukrzyżowanego boga, ale Göllnir żąda ode mnie większej ofiary. Nie przeszkadzaj mi więc w modlitwie. Co zaś do twego rogatego zwierza, bez wody i tak by padł, a śmierć z pragnienia jest gorsza od śmierci w paszczy smoka.

– Po stokroć już mówiłem, że od dawna nie jestem duchownym. A przeszkadzać ci będę, bo ledwo przed tygodniem uczyniłeś mnie swoim doradcą i prosiłeś... nie, żądałeś, bym szczerze mówił, co myślę. A myślę,

że w takim stanie rozbiłbyś o skały każdy statek, pijaku.

Irskmad za dużo sobie pozwalał. Jeszcze kilka tygodni temu był całkiem złamany, ale pokrzepiła go nadzieja odzyskania czarnowłosej Hvity. Wężowy język sam dziwił się swojemu pobłażaniu, ale tłumaczył je zażyłością, jaka łączyła go z Finlogiem. Niegdysiejszy mnich był w końcu kimś w rodzaju przyjaciela, a znał pieśniarza jeszcze z czasów, gdy ten karmił kruki na Wyspie Irów. Wydawało się, że od tamtej chwili tyle czasu minęło... Gorsza część poety, którą bez ustanku próbował utopić w winie, odczuwała coś na kształt współczucia, bo przecież i Ainar znał gwałtowność potrafiącą zalęgnąć się w lędźwiach mężczyzny rozmiłowanego w kobiecie. Lepsza część pieśniarza, którą chętnie pokazywał światu, czuła się po prostu rozbawiona na widok cherlawego Barda, myślącego, że ma tutaj, w halli konunga, jakąkolwiek władzę.

– W takim razie dziękujcie nornom, że wypływamy dopiero jutro. – Wódz drottu złapał za gliniane ucho i wyszarpnął Finlogowi naczynie, by dolać sobie wina. – A tym doradzaniem aż tak się nie przejmuj, bo uczyniłem cię swoim zausznikiem tylko po to, by wyrwać cię z pałacu. Gdyby nie ja, do końca życia sterczałbyś w bibliotece, spisując dla gardskonunga księgi jak jakiś niewolnik.

Finlog przez chwilę nie odpowiadał. Zamknął oczy, a jego wargi zaczęły się wyginać, jak pysk gadającej pod wodą ryby. Wyglądał dosyć pociesznie z tą swoją młodzieńczą twarzą, łysą z przodu głową i długimi, siwiejącymi włosami, które sięgały mu do ramion.

– Poprosiłem o cierpliwość świętego Columbana, który nauczał, jak ujarzmić namiętność. Dziękuję za wstawiennictwo, choć nikt mnie na siłę nie trzymał w pałacu. Jak już mówiłem, z utęsknieniem oczekuję wypłynięcia i będę ci służyć wiedzą, bo tylko tak mogę spłacić okazaną mi dobroć. Pragnę jednak przypomnieć, że od dawna obiecujesz, że odbędziemy rozmowę w sprawie Hvity. Podobno przekupiłeś czarownika Diarfa Nawlekacza i to dzięki niemu mamy odnaleźć moją żonę. Mogę go w końcu poznać?

Skald wbił oczy w posadzkę. Na środku niezmiennie znajdowała się

mozaika przedstawiająca wypełniony winogronami kielich, choć kilka gron zostało z nich wydłubanych nożem, a obok ktoś wyrył w kamieniu runiczny napis. Pieśniarz wyteżył wzrok i odczytał „Ulf tu był”. Pomyślał, że skoro ktoś nosi wilcze imię, nie dziwota, że jak basior oznacza teren. Myślowy skok w bok nie uchronił go jednak od rozmowy na kłopotliwy temat.

– Kiedy go poznam? – powtórzył Bard.

– Nigdy. Pal Gautrekson nie żyje.

– Nie ży... Ale przecież miał codziennie śnić się strażnikowi mojej żony, bo inaczej... – Finlog przerwał w pół zdania.

„...bo inaczej ją zabiją” – dokończył w myślach poeta. Tak groził mu Diarf, a potem Pal, choć obaj przekonywali, że chodziło o jego córkę. Dlatego Ainar ostrożnie planował swój bunt przeciwko Nawlekaczowi, nie chcąc narażać dziewczyny, która wtedy wydawała mu się jeszcze niewinna i bezbronna. Ale gdy wyszło na jaw, że za wszystkim stała właśnie Sela, nic go już nie powstrzymywało, by zemścić się na czarowniku. Cóż z tego, że naraził tym czynem życie Hvity? Przecież nie była jego żoną. Nie umiał tylko wytłumaczyć swojej niechęci do spojrzenia byłemu mnichowi w twarz.

– Kiedy umarł ten czarownik?

– Tuż po Lupercaliach.

– Dwa miesiące temu! I nic mi nie powiedziałaś? – Bard wstał, przewracając przy tym krzesło. Był wściekły niczym munk rozprawiający o ognjach piekielnych, ale po chwili złagodniał, a nawet lekko się uśmiechnął i westchnął.

Pieśniarz zrozumiał, czym była spowodowana ta ulga.

– Zatem żyje. Śniła ci się, prawda?

– Tak. Od kilku tygodni dosyć często mnie odwiedza.

– No widzisz. Wiedziałem, że Pal nie groził poważnie, gdy go zabijałem. Przecież Sela chciała wymóc na tobie posłuszeństwo tylko po to, byś pomógł w jej planach. Zrobiłaś wszystko, co zamierzała, więc nie miała powodu uśmiercać twojej żony. Zresztą gdyby chciała to zrobić, nikt by jej

w tym nie przeszkodził, bo przecież w każdej chwili może odnaleźć Hvitę. Duch czarownika nic tu więc nie zmieniał. – Skald nie musiał się usprawiedliwiać, ale po wypowiedzeniu tych słów poczuł się lepiej.

– Sam go zabiłeś?! – Finlog oparł się rękami o stół i zbliżył czerwoną ze złości twarz do oblicza Ainara. – Nie bacząc, że mogła przez ciebie zginąć?!

– Ale żyje, więc nie panikuj jak kogucik bez głowy.

– Ty faryzeuszu! Ty lewiatanie liżący własny ogon! Miałem cię za przyjaciela, a ty zabiłeś jedynego człowieka, który mógł nas doprowadzić do mojej żony!

Właśnie dlatego wódz ludzi Północy unikał tej rozmowy. Obiecał Irskmadowi ratunek dla Hvity, ale w rzeczywistości nie wiedział, gdzie jej szukać, choć miał pewne pojęcie, gdzie rozpocząć.

– Nie mogłem zrobić inaczej. Gdyby żył, mógłby o wszystkim donosić Diarfowi i Seli. Chciałbyś, by wieść o naszych poszukiwaniach dotarła do nich, gdy tylko wyruszymy?

– Ale podobno zapłaciłeś za jego wierność!

– Za monety możesz kupić czyny człowieka, nie sprawisz wszakże, by i we śnie był ci posłuszny. Ale nie zamartwiaj się tak bardzo. Przed śmiercią czarownik powiedział, w jakim rejonie znajduje się twoja żonka, choć nie umiał tego narysować na pergaminie. Nie znał się też na żeglowaniu ani na nazwach okolicznych wysepek, a w miejscu uwięzienia Hvity był tylko raz, choć później często odwiedzał je we śnie. Powiedział mi jednak, że jest na małej wysepce cztery dni drogi na północ od Krety.

– Tam jest tysiąc wysepek!

– Ta jest wyjątkowa. Ma tylko jedną zatoczkę, setki ptaków mają tam swoje gniazda lęgowe, a skały wystające z morza u jej wybrzeży tworzą wielki łuk skalny przypominający ucho.

– Poszukiwania zajmą tygodnie!

„A poza tym nie ma żadnej pewności, iż zakończą się powodzeniem” – pomyślał konung. Poeta nie mógł sobie pozwolić na takie marnotrawstwo

czasu, bo musiał płynąć na Krete, ale zamierzał oddać Finlogowi jeden ze statków, rzekł więc:

– Mógłbyś je trochę przyspieszyć. Kiedy następnym razem przyśni ci się Hvita, zapytaj o jakąś wskazówkę albo chociaż o kierunek, w jakim powinniśmy płynąć.

– Już próbowałem, ale wiesz przecież, że we śnie nie może mówić. Palcem na mące napisała tylko kilka run.

– Pamiętasz jakich?

Finlog poszukał wzrokiem czegoś do pisania, lecz niczego nie znalazł, chwycił więc kawałek chleba i z okruszków ułożył krzaczkowate znaki.

– Dobre wieści. Nawet dosłownie, bo ta runa znaczy *godr*, czyli dobrze. Nic jej więc nie dolega. Coś jeszcze próbowała ci przekazać?

– Nie. Wskazywała tylko palcem na zachód, ale to jasne, że w tamtą stronę mamy płynąć. Ile bym dał, by choć jeszcze raz usłyszeć łagodny i ciepły głos mojej Hvity.

– Milcząca żona, która nawiedza cię tylko w nocy, a w dzień nie papła, to skarb. Jesteś pewien, że nie wolisz zostać przy tym układzie?

Oczy byłego munka zapłonęły gniewem, zapewne słusznym, jak zwykli mawiać kristiańscy duchowni krzyczący na grzeszników, ale po chwili złagodniały. Przyjaciel Ainara nosił w sobie poczciwość, która nie pozwalała mu długo się złościć. Irsknad złożył ręce i zaczął się po cichu modlić.

Konung kłopotliwy zamierzał go jeszcze trochę podrażnić, oczywiście w dobrej wierze, bo niegdyś Finlog sam mu wyjawiał, że iryjscy mnisi winni odważnie kroczyć tam, gdzie kusi grzech, by tym większe u Kristosa mieli zasługi w opieraniu się występkom. Wężowy język pomagał mu więc swoją złośliwością w pielęgnowaniu wiary, ale czynienie dobra w ten sposób przerwał poecie Slavomirus. Stanął obok, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Eunuch od rana się nie odezwał, bo ledwie wczoraj pieśniarz obiecał, że wyrwie mu język za pierwsze słowo, które uzna za nieważne. Oczywiście

zartował po pijaku, ale później nie wyprowadził młodzieńca z błędu, chcąc odpocząć od jego gadulstwa. Przywyknął do pochodzącego z Gardariki rzezańca, tak jak gospodarz przywiązuje się do zaradnego thraella, dlatego wybrał go na swojego przewodnika po mieście, woląc go od wiecznie poważnego i zastraszonego Ouranosa, który towarzyszył mu wcześniej. Zmiana możliwa była przed kilkoma tygodniami, gdy Alemu, jako zaufanemu człowiekowi Fokasa, pozwolono poruszać się po Miklagardzie bez opieki, przez co Slavomirus został bez pracy.

– Ośmielam się przypomnieć waszej konungowości, że równo w południe szacowny spatharios Nikefora Fokasa, zwany Czarnym Achillesem, zwany Czarnym Berserkiem, zwany Alim z Wagadou, oczekuje was na Forum Konstantyna.

– Dwanaście.

Ainar sięgnął po zawieszony na szyi kozik do rzeźbienia i wyjął go z pochwy. Postukał paznokciami po ostrzu.

– Słucham?

– Naliczyłem dwanaście niepotrzebnych słów.

Slavomirus przeniósł wzrok ze Skalda na nożyk i z powrotem. Dolna warga zaczęła mu drżeć, gładkie, chłopięce oblicze wykrzywiło się, a oczy zwilgotniały i wypuściły na policzki łzy.

– Ten eunuch ma tego dość! – krzyknął piskliwym głosem, kładąc palec wskazujący na piersi. – Wszystko robię dla konunga Vaeringów, służę, radzę, nawet buty czyszczę, prowadzam go po ergasterionach z winami, po mastropeionach z nierządnicami i nie wyczekuję słowa wdzięczności. Ale żeby mi jeszcze grozić?! Za cóż muszę tak cierpieć, ja, skromny sługa domu autokratora? Dźgaj mnie, tnij mnie, niech zimne żelazo odbierze mi życie i uwolni mnie od obowiązków.

Poeta uśmiechnął się na przedstawienie godne najlepszych teatrów. Nie po raz pierwszy pachnący piżmem i olejkiem różanym mężczyzna bez brody pieklił się lub rozpaczał jak dorastająca dziewczeczka.

– Nie byłoby grzecznie brudzić krwią przybytek naszego gospodarza,

a i ubrań szkoda. – Pieśniarz schował nożyk, nie odrywając wzroku od eunucha. – Tym razem skończy się na ostrzeżeniu. Prowadź na spotkanie.

Slavomirus natychmiast się opanował, czym zdradził, że wybuch był udawany. Kował słów wcale się krzykami nie przejął, w duchu zaś nawet pochwalił swojego thraella, że potrafi go tak zabawić. Dopił wino, wstał i rozłożył ręce. Rzezaniec zarzucił mu na ramiona czerwony sagion, a następnie spiął ten krótki żołnierski płaszcz złotą klamrą na prawym ramieniu. Finlog też przejawiał ochotę, by z nimi pójść, ale konung łagodnie go napomniął, że to nie jego sprawa.

Łatwo było trafić na Forum Konstantyna, jedno z najważniejszych miejsc w Miklagardzie – wystarczyło cały czas iść prosto ulicą Mese, by tam dotrzeć. Szli od wschodu, kamiennym traktem, który w tym miejscu przypominał odkryty korytarz, po obu bowiem stronach ciągnęły się stoa – kolumnady utworzone przez dwa rzędy słupów połączonych daszkiem. Na forum weszli przez ogromną bramę przypominającą czworoboczny blok skalny z wyciętymi w środku trzema dziurami na gigantyczne klucze. W środkowej zmieściłoby się pięć wołów stojących jeden na drugim, a w tych bocznych tylko dwa, choć budowniczy obraziliby się na takie proste porównania, bo budowla była misternie zdobiona reliefami i wręcz wylewała się z niej dostojność.

Dla Skalda forum było po prostu okrągłym placem. Zamkniętym, otoczonym wysokim wałem, przy którym wybudowano piętrowe krużganki. Na forum można było wejść tylko przez dwie bramy – wschodnią i zachodnią. Od północnej strony przylegał do placu pękaty, kryty ołowianą kopułą budynek senatu z marmurowymi schodami i portykiem o dwuspadowym dachu wspartym na ośmiu kolumnach. Przybysz z Północy wiedział, że tutaj zbierał się miejscowy thing, by jak każdy wiec na świecie tracić czas na gadanie.

Wyłożone białym kamieniem forum zdobiły posągi, które Ainar, jako hag biegły w rzeźbieniu, umiał docenić. Największe wrażenie zrobiły na nim zwierzęta wyglądające jak prawdziwe. Z małą pomocą Slavomirusa rozpoznał w nich lwa, słonia, parę hipopotamów i delfina. Stał tam też

skąpo odziany rybak z widłami i inne postacie, które według zapewnień eunucha były wizerunkami bogów sprzed wielu stuleci. Skaldowi nie chciało się zapamiętywać ich imion, bo nic go nie obchodzili zapomniani grikklandzcy niebianie. Rzeźby otaczały najważniejszy i największy postument: wielki czerwony słup zwieńczony posągami umięśnionego nagusa z długą włócznią, malutkim przyrodzeniem i koroną w kształcie promieni słońca. Mężczyzna bez brody wyjaśnił, że był to basileus Konstantyn, ale nie ten, który rządził obecnie, ale pierwszy tego imienia. Żył kilkaset lat temu i wybudował miasto. Właśnie pod czerwonym słupem, na marmurowych schodach, siedział Ali Czarny Berserk. Na ich widok wstał i pomachał ręką.

– Mocniej się już nie opalisz, nawet z pomocą tego słonecznego golasa – zadrwił na powitanie pieśniarz.

– Słabe, jakbyś zamiast języka miał kołek w gębie.

– Kołki też potrafię ciosać na czarnym łbie. Słyszałem, że kolejny pan wzgardził twoimi usługami. Nikefuś Kochaś opuścił miasto, a ciebie zostawił.

Blamad wyszczerzył spiłowane zęby.

– Prawie będę tęsknił za tymi złośliwościami.

– Disy się do ciebie uśmiechają. Możesz płynąć z nami.

– Nie mogę.

Poeta wzruszył ramionami, choć szczerze żałował, że wojownik z Wagadou kolejny raz mu odmówił. Lubił podróżować z czarnym osiłkiem, który był najbystrzejszym człkiem, jakiego spotkał na swojej drodze. Choć przez większość czasu czynili sobie złośliwości, lżyli się nawzajem, spierali się i czasem nawet dawali sobie po pysku, to jednak wiele razem przeszli, wspólnie nakarmili całe stada kruków i wypili morze trunków. W tej ostatniej rozrywce udzielał się głównie sam hag, ale Blamad często umilał mu wtedy czas bitwami na słowa. Żaden z nich nigdy nie powiedział tego na głos, lecz obaj cenili się nawzajem i tak zwyczajnie, po męsku, przyjaźnili.

- Prowadź.
- To niedaleko.

Wyszli z forum przez zachodnią bramę, bliźniaczo podobną do wschodniej, i przez chwilę szli zatłoczoną Mese. Jakiś wędrowny handlarz, obwieszony talizmanami i małymi ikonami, zastąpił im drogę i próbował wcisnąć enkolpion, żelazny wisiołek, w którego środku miały się znajdować słowa z księgi przez Boga pomyślanej, a przez człowieka spisanej. Ainar odepchnął go, nie siląc się na delikatność.

Przy kościele Czterdziestu Męczenników zapłakało czterdziestu żebraków, wpatrując się w bogato odzianego konunga i jego świtę. Slavomirus oderwał się od towarzyszy i wrzucił do wyciągniętych miseczek garść miedzianych follisów. Pieśniarz nie zganił go za marnotrawstwo, bo rzezaniec dzielił się monetami basileusa. Eunuch wciąż oficjalnie pozostawał niewolnikiem zrodzonego w purpurze władcy i to jego obowiązek jałmużny spełniał.

Skęcili w prawo, a potem jeszcze kilka razy zmieniali kierunek, przemieszczając się w gąszczu małych uliczek, aż stanęli przed okazałym domem. Daleko mu było do oikosów bogaczy, ale i tak wyróżniał się spośród pobliskich dwu- i trzypiętrowych budynków, w których mieszkało wspólnie po wiele rodzin.

Posiadłość otaczał wysoki na dwanaście stóp mur. Podeszli do solidnych drewnianych wierzei i Ali uderzył w nie pięścią trzy razy. Otworzyło się małe okienko, w którym zobaczyli kędzierzawą głowę o twardo ciosanych rysach i płaskim, gdyż nigdy złamanym, nosie. Już na pierwszy rzut oka rozpoznali żołnierza, a gburowatość bijąca z jego słów tylko to potwierdziła.

- Czego?!
 - Największym spośród hagiosów jest Jan Baptista, herold, którzy poprzedził nadejście Kristosa – odezwał się Blamad.
 - Niech strzeże naszego domestyka Nikefora Fokasa.
- Okienko zamknęło się z trzaskiem, a po chwili uchyliły się wierzeje

i wpuszczono ich do środka.

Weszli na rozległy czworoboczny dziedziniec otoczony z trzech stron budynkami, które łączyły się ze sobą, tworząc coś na kształt podkowy. Pełno tu było ozdobnych krzewów, winorośli i drzewek oliwnych, kamiennych ławek i marmurowych kielichów, a do sielanki nie pasował tylko zwykły kamienny piec, na którym stały gliniane naczynia. Oprócz strażnika bramy kręciło się tu jeszcze dwóch mężczyzn. Choć cała trójka nosiła proste grikklandzkie tuniki, na nogach miała solidne skórzane sandały, jakie zwykli nosić żołnierze, a u pasów wisały im parameriony – jednosieczne, lekko zakrzywione miecze.

– Gdzie wasz gość?

– Na górze. – Płaskonosy żołnierz wskazał najwyższy budynek. – Za dnia nie opuszcza *triklinari*.

Weszli po kamiennych schodach na pierwsze piętro i przez mały korytarz oraz dwie mniejsze izby dotarli do głównego pomieszczenia, o którym wspomniał strażnik. Jedna ze ścian triklinarium była półkolista i w tej właśnie wnęce stał mały okrągły stół i dwie kanapy. Na jednej z nich leżał wsparty na poduszkach młody mężczyzna o śniadej skórze, krótkich kręconych włosach, małej koziej bródce i z fikuśnym, zakręcanym ku górze wąsikiem. Uśmiechnął się na ich widok i pozdrowił, unosząc kielich z winem.

Saraken nosił białe spodnie, wełnianą koszulę, błękitną tunikę i satynową czapkę zakrywającą jedynie czubek głowy. No stopach miał osobliwe skórzane buty – jeden złoty, drugi czarny. Z pewnością nie był to strój więźnia, a właśnie jeńcem miał być, według zapewnień Alego, wylegujący się na łóżku kussar. Miejsce jego przetrzymywania znał tylko Nikefor Fokas oraz garstka gwardzistów ze Scholi. Nawet Ainar nic do tej pory nie wiedział o człowieku, który miał go doprowadzić do skarbu Krety. Pieśniarz kilkakrotnie próbował wypytać Blamada o tajemniczego przewodnika, ale zawsze słyszał tę samą odpowiedź: „Spotkasz go przed samym wypłynięciem. Tak, masz rację, domestyk ci nie ufa”.

– *As-salam alajkum* – przywitał się Czarny Achilles.

– *Wa-alajkum as-salam* – odpowiedział kussar, po czym przeszedł na grikklandzki: – Ale nie musisz się trudzić, dobrze znam mowę imperium Ar-Rum, a przypuszczam, że nasz wysoki przyjaciel nie bywał na dworze kalifa, zatem nie czynmy mu niedogodności, używając języka Proroka. Pozwólcie, że się przedstawię. – Mężczyzna wstał, wygładził tunikę, zdjął satynową czapkę zwaną *qayah* i skłonił głowę. – Nazywam się Isa ibn Ishak i, jak mniemam, mam zostać waszym przewodnikiem.

– Ja nazywam się Ali ibn Ali ibn Ibrahim ibn Rahin, a to jest Ainar syn...

– Nie tak szybko. Najpierw kilka pytań. – Skald wskazał więźniowi kanapę, nakazując mu usiąść, a następnie sięgnął po stojący na stole dzban i napił się wina.

– Wybaczcie. – Więzień w ogóle nie zwrócił uwagi na lekceważące traktowanie, włożył czapkę i spokojnie usadowił się na akkubicie. – Nie jest to wino z Kutrubbul, a jedynie prosty trunek, jaki przynoszą mi błękitni strażnicy z dołu.

– Myślałem, że wy, Sarakeni, nie pijacie trunków?

– Wino to matka wszystkich grzechów, lecz nawet najmężniejsi niekiedy ulegają dzinowi rozpusty. Zresztą unikam picia w ogrodzie i ufam, że zajęty sprawami świata Allah nie zajrzy pod dach. Skłaniam się też ku przemyśleniom Ibn al-Hadżdżadza, który napisał...

Więzień zaczął mówić w swoim gardłowym, ale i melodyjnym języku. Czarny Achilles i Slavomirus uśmiechnęli się, gdy wybrzmiały słowa Sarakena. Ten, widząc poważną minę konunga, pospieszył z wyjaśnieniami:

– Mowa Grikkmadów nie odda formy, ale spróbuję przekazać chociaż treść tego pięknego wiersza:

Jesteś wiernym Bogu muslim? Tak – rzekłem – zewnątrz,
lecz wewnątrz, przy winie, jestem nestorianin.
Przynieś więc tutaj lutnię, nastrój ją, jak trzeba,
I rozpoczniemy modły przy dźwiękach tamburów.^[4]

Poeta, nie rozstając się z dzbanem, rozsiadł się na drugiej leżance. Spodobał mu się ten szybko myślący kussar, ale też wzbudził jego nieufność, bo jak mawiała mu babka: „Spryt jest częstszy u złodzieja niż u zanego gospodarza”.

– Zaczniemy od początku. Skąd się tu wzięłeś?

– To zabawna opowieść. Zmierzałem właśnie do Mekki, gdy...

– Do Świętego Miasta? – Wytatuowany czarny wojownik, który nadal stał u boku Slavomirusa, z naganą spoglądał na obu pijących. – Chyba się przesłyszałem, bo przecież leży ono daleko na południe stąd, a ciebie pojmano w temie Thrakesion, gdzie grabieś miasta ze swoimi sarakeńskimi towarzyszami.

– Miałem na myśli mekkę mych pragnień.

– Czyli mastropeion? – dopytał pieśniarz, przeczuwając już, że rozmawia z prawdziwym krętaczem, którego w zastępie swych wyznawców nie powstydziliby się mieć sam Lopt, bóg kłamstwa.

– Allah wszystkich nas uczynił braćmi, ale tylko niektórych ulepił z tej samej gliny. Mój niebieskooki przyjaciel pod innym urodził się niebem, myśli wszakże tak jak ja. Tym razem chciałem jednak ugasić pragnienie nie w wodopoju kobiecych ud, ale w winiarni. – Jeniec uśmiechnął się i uniósł kielich ku Ainarowi. – A czyż istnieje na świecie lepsze miejsce do zaspokajania pragnień niż Basilis Polis? Tam właśnie zmierzałem, ja prosty poeta, którego emirem jest dinar.

– Czyli nie jesteś kussarem?

– Kussa... Kim? – dopytał człowiek w satynowej czapce, szpecąc vaerińskie słowo sarakeńską wymową.

– Mój przyjaciel pragnie wiedzieć, czy jesteś jednym z *mutalassiat al-bahr*, bo przecież razem z rabusiami cię pojmano.

– Ja złodziejem morza? Na świętą Al-Kabę, cóż to za potwarz! Czy można okraść morze, którego fale same podsyłają ci wrogi statek? Czy można odrzucić podarunek wiatru, który przywiedzie twój okręt pod bogate i słabo bronione miasto?

– Słusznie. – Skald pociągnął łyk wina, uniósł prawą brew i wykrzywił lewy kącik ust. Był szczerze rozbawiony. – Zdobyczne – nie kradzione. Każdy Vaering to wie.

– Inne niebo, ta sama glina – Isa przypomniał swoją opowieść o stworzeniu. – Ale ja niezwykle rzadko bywam, jak wy to mówicie, kussa... kussarem, bo pieśnią potrafię zjednać sobie winiarzy i karczmarzy, a nawet władców. U emira Krety, sławnego Abdala al-Aziza ibn Shu'ayba et Qurtubiego, zwanego przez was Kouroupesem, bawiłem właśnie, gdy nadarzyła się sposobność popłynięcia statkiem do Thrakesionu, przypasałem więc saif, na głowę włożyłem qayah, pierś uzbroiłem w odwagę, a kark w błogosławieństwo imama i ruszyłem w podróż. Oto więc jestem, cały wasz.

– Trochę skróciłeś tę opowieść. Jak znalazłeś się w mieście autokratora?

– Pojmano mnie, oczywiście, po czym niesłusznie oskarżono o rozbój, podczas gdy ja tylko przyglądałem się owemu rozbojowi, by go później sprawiedliwie w poemacie opisać. Nieznanymi ścieżkami podąża jednak wola Allaha, który sprawił, że na spytki wziął mnie dowódca tamtejszego oddziału Scholi i kazał odesłać pod strażą do Basilis Polis. Tutaj zainteresował się mną pobożny Nikefor Fokas. Dał się przekonać, że loch i zapleśniały chleb nie są stosowne dla życzliwie usposobionego poety, który może mu przynieść bogactwo.

– I tak dochodzimy do sprawy najważniejszej. – Władca Vaeringów wstał i odstawił w połowie pełny dzban. Nie był pijakiem, potrafił zatem poznać, kiedy trunek podtapia rozum, a dziś miał zamiar używać głowy nie tylko do kiwania. – Masz nam pokazać drogę do skarbu Krety.

– Zgadza się. Nie uwierzycie, ile ciekawych rzeczy może na dworze usłyszeć uważny poeta.

– Wyobraź sobie, że...

– Ciii! – przerwał konungowi jego czarny towarzysz. – Słyszeliście?

Wprawdzie dźwięk tłuczonego dzbana dotarł do uszu wodza z Noregu, ale nie zwrócił na niego uwagi, bo ostatnio zbyt często go słyszał. Udzieliło mu się jednak zaniepokojenie Blamada i przypomniał sobie naczynia leżące

na piecu pośrodku dziedzińca. Podeszedł do okna i ostrożnie wyjrzał na ogród. Wszystko wydawało się w należyтым porządku. Drzewko oliwne ugięło się od wiatru, więc pewnie podmuch strącił garnek, który teraz pod postacią glinianych skorup leżał na kamieniach przy piecu. Dwaj strażnicy siedzieli na ławeczce wtuleni w siebie niczym bracia od kielicha, a nawet przyjaciele zbyt sobie bliscy, bo jeden właśnie osuwał się towarzyszowi na kolana. Skald wyteżył wzrok i dostrzegł czerwoną plamę na plecach leżącego strażnika.

– Ktoś za tobą szedł, czarna maso! – Ainar usłyszał w głowie krzyk Göllnira i poczuł narastającą wściekłość. Narzął kark dla gardskonunga, godził się na szaleńcze wyprawy, a Grikkmadowie nie pozwalali mu nawet nosić miecza w mieście.

– Raczej za tobą! – odgryzł się Ali, który stał już przy oknie i rozglądał się po dziedzińcu.

– Co się stało, misiaczki? – przypomniał o sobie Slavomirus, który po raz kolejny tego dnia przestępował z nogi na nogę.

– Sądząc po ich minach, właśnie zabito moich strażników – powiedział więzień i jednym haustem dopił wino z kielicha, jakby spodziewał się, że zaraz przyjdzie mu go porzucić.

– Tylko dwóch – uzupełnił pieśniarz z Północy. – Trzeciego nie widać.

– Schowali go gdzieś. – Isa wstał. – Pora chyba sprawdzić, jak szybko biegają nasi prześladowcy. W ucieczce nie ma wstydu, bo niegdyś nawet Prorok chronił się przed światem w jaskini.

– Zostań na miejscu. Mamy ze sobą Alego, który jeszcze nie jadł obiadu.

– Mniam, mniam. – Blamad wczuł się w rolę i pokazał ibn Ishakowi uśmiech pełen spiłowanych zębów. – Właśnie ktoś nadchodzi.

Nawet mąż pozbawiony czułego słuchu Skalda usłyszałby odgłos kroków dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia. Drzwi nie dało się zaryglować od środka – pech chciał, że właśnie w tym jednym wygodna izba przypominała więzienie. Ainar zastanowił się, czy nie zablokować wejścia akkubitą, ale odrzucił ten pomysł, nie chcąc odcinać sobie jedynej drogi

ucieczki.

Uciekinier z Wagadou dobył miecz i przytulił się plecami do ściany tuż obok drzwi. Tylko on z obecnych w pokoju miał porządną broń – zakrzywiony saif o imieniu Ludożerca. Na szyi Vaeringa dyndał jedynie nożyk do rzeźbienia. Pieśniarz wyjął go ze skórzanej pochewki i schował w rękawie.

Drzwi uchyliły się i do środka wszedł postawny, wygolony na łyso mężczyzna. Ali przyłożył mu miecz do szyi.

– Przyszliśmy po niego. – Grikkmad, który w ogóle nie przejął się stałą nacinającą mu skórę, wskazał na Sarakena. – Mamy rozkazy z Pałacu. Basileus Konstantyn chce z nim pomówić.

– Skoro gardskonung prosi, to kimże jesteście, by odmawiać? – powiedział Skald, dając ręką znak Czarnemu Achillesowi, by cofnął miecz. – Przyślij dowódcę strażników z dołu. Razem odprowadzimy więźnia do Wielkiego Pałacu.

Przybysz zastanawiał się przez jedno uderzenie serca.

– Nie ma takiej potrzeby. Wszystkim się zajmujemy.

– Jak miło z waszej strony. – Ainar uśmiechnął się najdworniej, jak umiał, ale przez złośliwość boga masek i tak wyszedł mu szyderczy grymas.

Krótką chwilę wszyscy trwali w wyczekiwaniu. Pierwszy ruch wykonał eunuch. Uniósł ręce do niebios i opuścił je w uspokajającym geście. Zapach piżma i olejku różanego wydobył się z pstrokatych szat trzebieńca, który zapytał:

– Kto jest waszym dowódcą, żołnierzu?

– Naszym bandonem dowodzi scribon Georgios z Orii.

– Zapewne moje to niedopatrzenie, misiaczku o twardym karku Heraklesa, ale nie przypominam sobie takiego gwardzisty. Bo jesteś z gwardii?

– Tak, jesteśmy Ekskubitami. Ale starczy już tego gadania. Oddajcie więźnia.

– Mamy jednak taki problem – Ali poklepał mieczem po ramieniu

oprycha mieniącego się gwardzistą – że dwaj strażnicy na zewnątrz wyglądają jakoś dziwacznie nieruchomo. Ktoś mógłby nawet rzec: martwo.

– Są martwi. Zastaliśmy ich śpiących na służbie, zginęli zatem tak, jak pełnili swoje obowiązki. Ale nikogo dziwić to nie może, bo czego innego można się spodziewać po Błękitnych? Trzeci z nich, przywódca straży, zostanie osądzony za te zaniechania.

Konung kłopotliwy wytrząsnął nożyk z rękawa i trzymając kozik samym tylko kciukiem, zakrył ostrze dłonią. Opowieść Grikkmada trzymała się kupy, bo każdy wiedział o nienawiści Zielonych do Błękitnych, a tutejsze dworskie koguciki wszystko musiały po wielokroć obgadać, możliwe więc, że i co do Isy zmieniły zdanie. Jednak strażnicy na dole wcale nie wyglądali na śpiących, gdy wpuszczali Skalda, zatem nawet gdyby rzeczywiście bogowie zesłali im nagłe znużenie, trudno byłoby im we śnie otworzyć bramę swoim przyszłym zabójcom. Znaczyło to, że napastnicy musieli przeleźć przez mur, a tak robią tylko złodzieje i skrytobójcy.

– Dobrze. Możesz go sobie wziąć.

Slavomirus i Blamad spojrzeli pytająco na przywódcę, ale on tylko wzruszył ramionami. Mogli zabić na miejscu kłamliwego gwardzistę, lecz słychać było, że za drzwiami czekają kolejni napastnicy, przez których trudno byłoby się przebić. Najpierw więc należało rozeznaczyć się w sytuacji.

Żołnierz podszedł do Sarakena, chwycił go za ramię i skierował się ku drzwiom. Ainar ruszył za nim, samymi tylko brwiami dając znać pozostałym, by zrobili podobnie. Przeszli do mniejszej izby, w której zgodnie z podejrzeniami pieśniarza czekało trzech ludzi z obnażonymi mieczami. Na widok prowadzonego więźnia opuścili broń, choć jej nie schowali, i jęli wychodzić z pomieszczenia. Nie byli jednak do cna głupi, bo jeden poczekał i zajął miejsce z tyłu pochodu, celując w plecy Alego sztychem zakrzywionego paramerionu.

Dotarli do kolejnej izby, przedsionka właściwie, gdzie składowano skrzynie, naczynia oraz kosze. Stała tam też drewniana prycza dla służby. Nie było tam nic, co zachwyciłoby morskiego konunga, mimo to poeta zwrócił uwagę na jeden niepozorny przedmiot. Drabinę, która stała oparta

o ścianę i prowadziła do kłapy w suficie.

Skald chwycił ukryty w dłoni nożyk za rękojeść, ostrzem ku dołowi, po czym przytulił go do piersi, by idący z tyłu gwardzista niczego nie zauważył. Serce Ainara poczuło chłód żelaza i zabiło mocniej. W dwóch nieco dłuższych niż poprzednio krokach znalazł się za plecami oprycha prowadzącego Isę. Żołnierz był już przy drzwiach do korytarza, w którym znikli dwaj idący na przedzie zbrojni. Hag znalazł się tak blisko gwardzisty, że słyszał jego oddech, czuł jego pot i dostrzegał czarne, zjeżone włoski na jego szyi.

„Nawet kościana igła zabić może, jeśli chwila ku temu sposobna” – mawiała często babka, a on miał w ręce coś więcej niż przyrząd do szycia i czuł, że lepszej okazji do ataku nie będzie. Uniósł kozik, mierząc w kark przeciwnika.

Podłoga zaskrzypiała pod nogą Vaeringa. Żołnierz szarpnął głową w bok, co nie uchroniło go przed ciosem, ale kozik, zamiast w szyję, zagłębił się w twardych mięśniach prawego ramienia, zachręścił o kości i utkwiał w ciele. Mężczyzna ryknął i obrócił się, machając mieczem na oślep. Ainar odskoczył, wpadł na Slavomirusa i przewrócił go na ziemię. Żołnierz wpadł we wściekłość niczym ranne zwierzę. Zapominając, jak niewygodnie walczy się mieczem w ciasnym pomieszczeniu, uniósł trzymane w obu dłoniach ostrze wysoko nad głowę, gotując się do rozcięcia konunga na pół. Sztych zahaczył o sufit.

Pieśniarz skoczył do przodu, chwycił przedramiona przeciwnika, kopnął go kolaniem w krocze i pchnął do tyłu. Zaciśnięte na mieczu łapy uderzyły w powałę i uwolniona z uścisku broń upadła z głuchym łoskotem na podłogę.

„Pozbawiony kłów wilk ma jeszcze pazury” – powtarzała babka Skalda i znowu miała rację, bo rozbrojony strażnik nie stracił ochoty do walki, tylko zacisnął pięści i wyrzwał pieśniarza w twarz. Kowal słów rozmyślnie się cofnął, lecz tylko o krok, gdyż żołnierz za wszelką cenę musiał pozostać w drzwiach, by uniemożliwić wejście pozostałym Grikkmadom. Na szczęście Isa przytomnie opuścił swoje miejsce na czole pochodu

i schował się w kącie izby.

Nieoczekiwanie, jak skromność u pornaski, męstwo zagościło w piersi eunucha, który cisnął w gwardzistę jednym z walających się przy ścianie dzbanów. Trafił go prosto w łeb. Zamroczony mężczyzna osunął się na kolana, a władca wersów dokończył karmienie kruków, kopiąc go w grdykę.

Ainar obejrzał się przez ramię, sprawdzając, co ze strażnikiem, który pilnował ich tyłów. Wiedział, że uzbrojony w saif Ali poradzi sobie z każdym wojakiem, i nie pomylił się. Grikmad wił się na podłodze we własnej krwi, łzach, a sądząc po zapachu, również odchodach, przyciskając do brzucha kikut uciętej prawej ręki. Blamad stał nad nim beznamietnie i jakoś tak dziwacznie, po ptasiemu przyglądał się Ainarowi, nie opuszczając zbrozonego krwią miecza.

– Do drzwi, czarna zarazo! – Skald z wrodzoną sobie życzliwością pomógł wyjść przyjacielowi z otępienia.

W wejściu pojawił się następny fałszywy gwardzista, ale nie zdążył wejść, bo Slavomirus rzucił w niego kolejnym dzbanem. Naczynie rozbiło się o pierś żołnierza, a wtedy Blamad doskoczył do niego i pchnięciem miecza zmusił do odwrotu.

– Ryglować! – rozkazał poeta i sam sięgnął po solidne drewniane drzwi, które na szczęście zamykały się od środka. – Ciało! – krzyknął, bo trup przeszkadzał mu w wykonaniu zadania.

Isa i Slavomirus odciągnęli martwego gwardzistę za nogi, malując mu krwią na podłodze długi i szeroki płaszcz. Poeta zamknął drzwi, a Ali podparł je plecami, by powstrzymać naciskających z drugiej strony żołnierzy. Hag rozejrzał się za rygłem, ale że tego nigdzie nie było, sięgnął po miecz zabitego i włożył go w odpowiednie wypustki drzwi. Trochę było mu żal w taki sposób marnować dobry paramerion, na szczęście w izbie był jeszcze jeden miecz, wcześniej należący do gwardzisty z uciętą ręką. Konung kłopotliwy przywłaszczył go sobie prawem łupieżcy, zabierając wraz z nim pochwę i zieloną szarfę, za której pomocą przewiązał sobie oręż przez ramię.

– Mekka mych pragnień już mi nieco zbrzydła. – Isa poprawił satynową czapeczkę i pogładził cieniutki, doskonale przycięty wąsik. – Pora opuścić miasto, bo te drzwi długo nie wytrzymają, gdy zastuka w nie topór. Tamtędy? – Saraken wskazał drabinę.

– Prosto drabiną do nieba, jak święty... Który to był, mój eunuchu? – Skald przypomniał sobie jedną z opowieści, jakimi Finlog zamęczał Zoe.

– Prorok Jakub, *Israel*, który zmagał się z Bogiem, łaskawy konungu.

– A nie przyszło ci do głowy, że to może być wyjście na stryszek? – Blamad wszedł już na drabinę i mocował się z klapą w suficie.

– Znowu to czarnowidztwo. Miej ufność w swojego konunga i włącz na górę!

Berserk zniknął w otworze, a Vaering pospieszył za nim. Rzeczywiście, znaleźli się na stryszku – rozległym i podłużnym, lecz bardzo niskim, a że dach był pochyły, tylko przy południowej stronie pomieszczenia można było stać prosto. Panował tu półmrok, ale nie ciemność, bo nieco światła wpadało przez otwory w ścianach. Tymi samymi szparami do środka dostawały się też gołębie. Skald zaklął, wchodząc w ptasią kupę, i chciał zakląć ponownie, bo dla jego oczu było tutaj za ciemno, ale brak szyderstw Blamada uświadomił mu, że przyjaciel musiał znaleźć drogę ucieczki.

– Kiedyś szczęście cię opuści – burknął wojownik z Wągadou, mocując się z kawałkiem dachu.

– Szczęście to zmienna pornaska, która jednak daje najchętniej temu, kto przyciągnie ją męstwem.

Po chwili kłapa ustąpiła, a kiedy Ali odstawił ją na bok, do pomieszczenia wpadły loczki bogini Sol i rozjaśniły mrok. Podziwiać je przyszli wszyscy uciekinierzy, przez co przy wyjściu na dach zrobił się tłok.

– Konung winien prowadzić swój lud. Pójdę pierwszy.

Nie czekając na pozwolenie, poeta wyrzwał przez otwór, którego brzegi sięgały mu po pachy, podskoczył, zawisł na wyprostowanych rękach, podkurczył nogi, przerzucił je na dachówki, przekręcił się i znalazł się na

jednospadowym dachu. Pochyłość była łagodna, nie miał więc problemów z utrzymaniem równowagi, szczególnie że posuwał się na czworakach, ani ze wspięciem się na południowy kraniec dachu. Spojrzał w dół. Na dziedzińcu kręciło się dziesięciu zbrojnych odzianych w robocze tuniki i znoszone płaszcze, przez co wyglądali na zwykłych mieszkańców miasta. Wężowy język pochwalił swoją przezorność, bo z pewnością nie udałoby im się wyjść z posiadłości przez bramę.

Coś uderzyło go w plecy. Padł na dach. Powietrze uciekło mu z piersi i przez chwilę nie mógł wziąć oddechu, a kiedy mu się to udało, poczuł potworny ból i zrozumiał, że dostał kamieniem. Nogą strącił dachówkę, która z trzaskiem rozbiła się na brukowanej ulicy. Obrócił się na plecy i dojrzał trzech mężczyzn przypatrujących mu się z cienia sąsiedniego domu. Jeden z nich miał skórzaną wojskową procę, którą ładował kolejnym kamieniem.

Dalsze ukrywanie się było bezcelowe.

– Wyłazić na dach, szybko!

Ainar wyprostował się i cisnął w obserwatorów dachówką. Trafił jednego w nogę. Procarz chciał pomścić zniewagę, ale pozostali dwaj chwycili go za ręce i odciągnęli za kolumnę podtrzymującą ganek. Powodem ich odwrotu nie było tchórzostwo, lecz widok Isy, który wraz z innymi uciekinierami wygramolił się na dach i zasłonił kowala słów przed napastnikami. Kimkolwiek byli rzekomi gwardziści, z pewnością chcieli dostać Sarakena żywego.

– Tamtędy! – Pieśniarz wskazał budynek niemal przylegający do więziennej posiadłości od wschodu. – Ty pierwszy, Ali! – rozkazał, gdy wszyscy znaleźli się przy krawędzi dachu.

– Wy chyba nie myślicie, misiaczki, że ja, uczony dworzanin z domu autokratora, będę skakał po dachach jak jakaś małpka? Moje obite jedwabiem pantofelki zupełnie się do tego nie nadają! – Slavomirus dyszał. Biegając tutaj, zdążył strącić kilka dachówek. Teraz niepewnie kucał, bojąc się stracić równowagę. – Po cóż mi były lata nauk i wyrzeczeń, jeśli mam skrócić kark na ulicy niczym zwykły rzezimieszek?

Vaering nie przejął się lamentem rzezańca, musiał jednak przyznać mu rację. Nie było z niego żadnego pożytku i tylko opóźniał ucieczkę.

– Zostaniesz tutaj.

– Sam? Na pewną śmierć!?

– Milcz i słuchaj. Wrócisz na stryszek i ukryjesz się tam. Obserwatorzy z ulicy na pewno powiadomią oprychów będących teraz w domu Isy o naszej wycieczce po dachach. Wszyscy ruszą w pościg. Poczekasz, aż znikną, wyjdiesz przez bramę i pobiegiesz prosto do „Słodkich Winogron”. Odszukasz Finloga oraz moich ludzi i powiesz im, że mają natychmiast udać się do dzielnicy świętego Mamasa, albowiem jeszcze dzisiaj odpływamy.

– A wy?

– My zgubimy pościg. Ruszaj, Ali!

Skald klepnął przyjaciela po ramieniu, a ten skoczył, nie biorąc rozpędu. Dach sąsiedniego budynku znajdował się jakieś trzy stopy niżej i również był jednospadowy. Blamad wylądował na lekko ugiętych nogach, z wdziękiem, o który nikt nie podejrzewałby mocno umięśnionego olbrzyma. Isa tak sprawny nie był, więc przed susem wziął kilka kroków rozbiegu. Ainar nie chciał być gorszy od przyjaciela, dlatego skoczył z miejsca. Przy lądowaniu upadł na lewe kolano, co zwałił na karb wypitego wina, które chlupotało mu pod czaszką i kołysało całym światem.

Budynek łączył się z kolejnym domem, nieco wyższym. By wpiąć się na jego dach, Czarny Achilles podsadził poetę oraz kussara, a później oni okazali z góry pomocną dłoń berserkowi. Tutaj biegło się gorzej, bo dach był dwuspadowy i musieli skakać po kalenicy jak kozice po grani. Obserwatorzy nadal podążali za nimi ulicą. Po chwili dołączyli do nich zbrojni, którzy wcześniej czekali na dziedzińcu.

Następny dach znów był jednospadowy i tylko lekko pochylony, lecz nie wolny od przeszkód, albowiem nim zdążyli dotrzeć do jego krańca, otworzyła się kłapa i z dziury wynurzyło się dwóch Grikkmadów. Obaj byli uzbrojeni w parameriony bliźniaczo podobne do zdobycznego miecza, który pieśniarz nosił na ramieniu.

– Bierz tego z prawej! – polecił konung i sam sięgnął po broń.

Skoczył, pochylony do przodu, celując lekko zakrzywionym sztychem w nogi. Grikkmad zbił cięcie i sam ciachnął, celując w brzuch Vaeringa, a następnie się cofnął. Tchorzliwie walczył też drugi żołnierz, który zwinnie unikał ataków Alego. Ainar pojął, że chcą ich tylko opóźnić, a nie zabić, gdyż czekają na posiłki. Skoczył ku otwartemu włazowi i zdążył w samą porę. Rozrąbał na pół kędzierzawy łeb wyłaniający się z otworu, ale nie zdążył zatrzasnąć klapy, gdyż zaatakował go żołnierz, z którym przed chwilą wymienił bitewne pozdrowienia. Skald zrobił unik i udał, że się potyka, lecz nie zdołał nabrać przeciwnika. Zbir zaatakował śmieiej, a Vaering z trudem sparował dwa szybkie cięcia, rewanżując się jedną próbą ukąszenia. Męczyła go już ta walka. Schylił się, podniósł kawałek dachówki i cisnął nim w oprycha, ale ten nie dał się zaskoczyć i osłonił głowę przedramieniem.

Konung zaryzykował szybkie spojrzenie w bok. Ali radził sobie lepiej, bo jego przeciwnik pełzał już po dachu, gubiąc po drodze wnętrzności, lecz berserk nie pospieszył przyjacielowi z pomocą, tylko zajął się obroną włazu, przez który próbowali wydostać się kolejni wrogowie.

Wężowy język pochylił się, unikając cięcia na głowę, ale poluzowana dachówka uciekła mu spod stopy. Stracił równowagę i uderzył tyłkiem o dach. Przypomniawszy sobie przepowiednię Blamada o odwracającym się szczęściu, jednak słowa te okazały się lichą wróżbą, bo disa zaraz powróciła do swego kochanka w opałach. Poeta zablokował cięcie wymierzone w swoje krocze, po czym kopnął przeciwnika w stopę. Oprych cofnął się, ale i uśmiechnął, czując nadchodzące zwycięstwo. Jednak i on nie miał daru widzenia przyszłości. Od tyłu zaszedł go Isa, sięgnął po sztylet zwisający Ekskubicie przy pasie i wraził macharion w prawy bok rzekomego gwardzisty. Grikklandczyk wypuścił miecz, upadł i stoczył się z hukiem na ulicę.

Ainar wstał i zmierzył Sarakena gniewnym spojrzeniem. Nie lubił zaciągać długów wdzięczności, choć jeśliby dobrze nad tym pomyśleć, kussar tylko zrewanżował się za wcześniejsze uratowanie go przed

pojmaniem. Ibn Ishak stanowił też przyczynę ich obecnych kłopotów, w sumie więc był winien Skaldowi o wiele więcej niż tylko drobną pomoc w walce.

– Nie stójcie, jak Blamad na widok śniegu! – krzyknął konung. – Idziemy dalej!

– Tam nie wejdziemy. – Ali wskazał sąsiedni budynek, który miał trzy piętra i był o wiele za wysoki, by dostać się na jego kalenicę.

– Oknem!

Był to rozkaz, nie zaproszenie na pogaduszki, nie czekając więc na odpowiedź, pieśniarz rozpędził się i skoczył. W powietrzu podkurczył nogi i schylił głowę, w tej pozycji pokonując szeroką na dwa kroki przepaść. Wleciał przez okno o szeroko otwartych okiennicach i wylądował w niewielkiej izbie, gdzie trzy kobiety gawędziły, pracując przy krosnach. Na jego widok zaczęły krzyczeć. Poeta objął najbliższą w pasie, a trochę też w biuście, i przycisnął palec do jej ust. Puścił niewiastę, gdy przestała wrzeszczeć, za co nagroził ją klapssem.

Po chwili w izbie wylądował Ali. Przetoczył się po podłodze i wpadł na drewniany warsztat tkacki, rozbijając go w drzazgi. Vaering podszedł do okna, przeczuwając, że Isa może gorzej poradzić sobie ze skokiem. Sarakenowi nie brakło odwagi, ale nie starczyło mu sił przy wybiciu, tak więc przepaść pokonał, ale uderzył podbrzuszem oraz kolanami o ścianę i zawisł na ramie okna.

– Nieprędko znów odwiedzisz mekkę swych pragnień – zakpił Skald, łapiąc go za ubranie i wciągając do środka.

– Droga do Mekki bywa wyboista – odpowiedział kussar, kładąc się na plecach i ciężko dysząc – ale imamowie nauczają, że nie wolno z niej zbaczać, choćby i ciało krwawiło od otarć.

Konung byłby się roześmiał, lecz nie miał na to czasu. Do dalszej drogi nakłaniał ich Blamad, który musiał uchodzić przed rozwścieczoną właścicielką krosna, lejącą go różgą po plecach. Wpadli do sąsiedniej izby, gdzie przywitał ich płacz niemowlaka, rozdziawiona gęba wyrostka i przekleństwa matki obojga dzieci. Kolejne pomieszczenie zajmowało

trzech mężczyzn grających w kości i pijących wino, a następne kilkusobowa rodzina, której głowa właśnie dbała o dalszy rozrost domowej wspólnoty, postępując na grubiućkiej matce rodzicielce. W końcu uciekinierzy znaleźli drewniane schody. Zeszli i pognali korytarzem, który – sądząc po rozłożonych przy ścianach siennikach – też był zamieszkały. Dotarli do otwartych drzwi wejściowych, po czym ostrożnie wyjrżeli na zewnątrz. Ulica wyglądała na bezpieczną.

Wyszli z budynku spokojnie, jakby byli jego mieszkańcami, i ruszyli ulicą na wschód. Skierowali się do dzielnicy handlowej, skąd łodzią mogli szybko dotrzeć poza mury miasta, do obozu Vaeringów przy kościele świętego Mamasa.

Skęcili w ruchliwą uliczkę, spodziewając się, że w tłumie będą bezpieczniejsi. Z cienia pobliskiej świątyni oderwał się mężczyzna, który ruszył ich śladem, ale po chwili skręcił w inną stronę. Spod portyku bogatego oikosu gapił się na nich jakiś mężczyzna, przypominał jednak znudzonego niewolnika, a nie żołnierza w przebraniu. Gdy Ainar zaczął już podejrzewać, że urwali się pościgowi, usłyszał za sobą pospieszne kroki. Obejrzał się i dostrzegł trzech zmierzających w ich stronę postawnych Grikmadów, którzy zapewne nie byli biedakami, za jakich chcieli uchodzić.

– Przyspieszcie, ale nie biegnijcie – polecił Skald towarzyszom.

– Chodźmy do nich. – Ali wskazał na pięciu żołnierzy w białych płaszczach, rozmawiających z grubawym kupcem w drzwiach jego ergasterionu.

– Żadnych gwardzistów. To sprzedajne psy.

– Inaczej się nie wyrwiemy. A jeśli wdamy się w otwartą bójkę na ulicy, Numerzy i tak nas zatrzymają. Wtedy z pewnością dziś nie wypłyniesz.

– Dobra – niechętnie zgodził się poeta. – Oby nie trzymali z Zielonymi.

– Biali podlegają domestykowi Scholi. Wszystko z nimi załatwię.

Podeszli do zbrojnych, którzy nosili wypolerowane kolczugi i śnieżnobiałe płaszcze.

– Mężny pentarcho – zaczął Blamad, kierując słowa do wojaka, którego hełm zdobiła biała kita.

Hag zdążył na tyle poznać organizację tutejszej armii, by wiedzieć, że pentarchą tytułowano dowódcę pięciu żołnierzy.

– Czego chcecie?

– Spatharios Nikefora Fokasa, zwany Czarnym Achillesem, doprasza się poszanowania nie dla siebie, ale dla swego towarzysza, konunga Vaeringów.

Żołnierze wyprężyli się i spojrzeli na nich z większą życzliwością.

– Jak możemy pomóc?

– Sprawa jest delikatna. Mój podopieczny, który nie zna tutejszej mowy, utrzymuje, że ktoś nastaje na jego życie. Może o nim słyszeliście, nazywają go amforą na wino basileusa? Od samego rana pracuje na ten przydomek i pewnikiem coś mu się przywidziało po pijaku, ale nie da sobie przetłumaczyć, że ze mną nic mu nie grozi. Cóż począć? Domestyk powierzył mi jego bezpieczeństwo, więc muszę ulec. Nie zgodzilibyście się potowarzyszyć nam do portu? Oczywiście nie minie was nagroda za tę drobną przysługę wyświadczoną domowi Nikefora Fokasa.

Dowódca kiwnął głową i cała piątka ustawiła się wokół nich w porządku marszowym. Ainar zatańczył brwiami, a potem je zmarszczył, wpatrując się w Alego, choć bezczelność przyjaciela raczej go rozbawiła, niż zdenerwowała. Mężczyźni, którzy ich śledzili, stali kilkadziesiąt kroków dalej i szeptali między sobą, jakby naradzali się, co począć. Po chwili jeden z nich odszedł, a dwaj pozostali ruszyli śladem Skalda i jego towarzyszy.

Numerzy z podopiecznymi szybko dotarli do portu. Blamad pożegnał żołnierzy, wciskając im na odchodne kilka złotych monet, a następnie wyszukał niewielką łódkę przewozową. Idący śladem uciekinierów mężczyźni zniknęli, choć pieśniarz był pewien, że obserwują ich z ukrycia.

– Masz ostatnią okazję, by się z nami zabrać – odezwał się kowal słów, gdy usadowił już Isę na łodzi.

– W dzielnicy świętego Mamasa nic już nie będzie wam grozić. Ja zostanę tutaj i zadbam, by drungariusz floty nie robił wam problemów z wcześniejszym wypłynięciem. No i sprawdzę, czy Slavomirus dotarł do „Słodkich Winogron”, by ostrzec twoją słodką Zoe. Nie chciałbyś chyba wyruszyć bez niej?

Poeta pokręcił głową.

– Skoro upierasz się przy węglarstwie w Miklagardzie, dowiedz się chociaż, kto stał za tym atakiem. Przydałoby się wiedzieć, kto jeszcze ma ochotę na złoto Krety.

Pieśniarz uśmiechnął się, przywołując na twarz całą swoją przebiegłość. Zbłąkana fylgja sprzedała mu przecucie, że prawdziwe kłopoty dopiero na niego czekają.

Opowieść o miłości 7

Do pokonania wciąż mieli jeszcze połowę drogi, a wino już się skończyło. Najbardziej rozdrażniony jego brakiem był Skald, choć właśnie on wypił aż za dużo i przez to ciągle się potykał. Finlog też nie pogardziłby łykiem zacnego trunku z Thery, bo zagłębianie się w przeszłości okazało się bolesne, a rozpamiętywanie własnych błędów nigdy nie było przyjemne, nawet jeśli potrzebne w sztuce samodoskonalenia się. Spędził z Hvitą wiele szczęśliwych lat, ale ich wspomnienie napawało go smutkiem, który brał się z poczucia straty. Przez jego błędy wychowawcze, ślepą miłość i wiarę w dobre serce Seli naraził ukochaną na cierpienie, może nawet śmierć. Ainar wlał w jego serce nadzieję na ocalenie żony, mimo wszystko były mnich nie potrafił wyzbyć się wyrzutów sumienia.

– Dwa lata, Skaldzie. Tyle czasu nie widzieliśmy Seli, odkąd uciekła. Powróciliśmy z Hvitą do naszego poprzedniego sposobu życia i wędrowaliśmy od miasta do miasta, najmując się do pracy i rozpytujac o twoją córkę. Niestety, docierały do nas tylko strzępy nowin, a i tak wszystkie tropy okazywały się fałszywe. Kiedy już straciliśmy nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczymy dziewczynę, dobry Bóg Ojciec sprawił, że to ona odnalazła nas. Byliśmy wtedy w Dyflinie, gdzie nająłem się do sporządzenia kilku umów handlowych. Zjawiła się w pewien niedzielny poranek i oznajmiła, że wróciła, a miała przy tym tak obojętną minę, jakby ledwo wczoraj odeszła. Wyściskaliśmy ją z całych sił i nie uczyniliśmy nawet jednego wyrzutu, że tak źle nas potraktowała. Szczerze mówiąc, ledwo żeśmy ją poznali, bo wyglądała na całkowicie odmienioną. I nie mówię tylko o tym, że gdy uciekała, była zaledwie podlotkiem, a teraz stała się dorosłą szesnastoletnią kobietą, która zdawała sobie sprawę z własnej urody i władzy, jaką dzięki temu miała nad mężczyznami. Prawdziwa

zmiana zaszła w jej wzroku i postawie. Biła od niej pewność siebie i zadziorność, na ludzi patrzyła z góry, ale potrafiła też udawać skromną dziewczkę i trzpiotkę.

– Takie umiejętności ma większość kobiet z Północy, a słynęła z nich jej matka. Lepiej powiedz, co robiła przez te dwa lata.

– Nie była chętna do zwierzeń, lecz zdołaliśmy z niej wydusić, że po ucieczce odnalazła Gestumblindiego, a wędrowiec wskazał Seli drogę do posiadłości jej dziadka. Dotarła tam z jakimiś kupcami z Noregu i podobno została powitana z otwartymi ramionami przez twojego ojca i babkę, choć nie przez matkę, bo ta ponoć od lat nie żyje.

– Żadna kobieta długo nie zdierży u boku tego zapijaczonego krzykacza. Pewnie ją zatłukł albo sprowadził na nią śmierć z rozpacz.

– Sela ma lepsze zdanie o swoim dziadku. Powiedziała, że to miły człowiek, cieszący się wielkim szacunkiem sąsiadów, a jedynym zmartwieniem w jego życiu był krnąbrny syn, czyli ty. Podobno wszystko jej o tobie opowiedział i chyba nie były to rzeczy miłe, bo od chwili powrotu dziewczyna zawsze chłodno o tobie mówiła, choć kryła się jeszcze z niechęcią.

– To podobne do tego grubego capa. Zawsze mnie nienawidził i robił wszystko, by inni źle myśleli o jego własnym synu. Teraz nastawił przeciwko mnie córkę.

– A jednak Sela dobitnie powiedziała, że ojciec jest gotów przebaczyć ci winy i zachęca, byś wrócił do domu. Jesteś ponoć jego jedynym synem i spadkobiercą.

– On mi przebacza? Niech lepiej składa bogom ofiary, bym nie wrócił, bo w tym dniu przeprowadzi się do kopca pogrzebowego.

– Grzechem jest tak mówić o... – zaczął Bard, ale gdy zobaczył wściekłą minę przyjaciela, zrezygnował z upominania go, bo byłoby to równie jałowe jak sadzenie ziaren w piasku. – W każdym razie Sela spędziła niemal całe dwa lata w twoim rodzinnym gospodarstwie, a dziadek nauczył ją tak sztuki skaldycznej, jak i wojowania.

– Ten niedowidzący włóczęga i marny pieśniarz mógł co najwyżej nauczyć ją krzyczenia, bo nic innego nie potrafi robić. Wciąż zbaczasz z tematu, a miałeś mówić o Seli i Diarfie. Jak ta dwójka się poznała?

– Właśnie do tego zmierzam. Gdy pojawiła się w Dyflinie, wcale nie zamierzała z nami zostać. Oznajmiła, że w Noregu poznała miejsce twojego pobytu, bo na całej Północy krążą sagi o twoich łotrostwach. Miałeś przebywać w Miklagardzie, a że bardzo jej zależało, by cię odnaleźć, zaproponowała, byśmy razem udali się w drogę. Co tu dużo mówić, trafiła w mój czuły punkt, bo słyszałem o wielkim mędrцу Konstantynie Porfirogenecie, który chętnie przyjmuje na dwór uczonych z całego świata. Poza tym przeczuwaliśmy, że jeśli się nie zgodzimy, ucieknie po raz wtóry i już nigdy jej nie zobaczymy. Mieliśmy też nadzieję, że spotkanie z tobą pomoże określić jej charakter. Zgodziliśmy się więc, a wtedy oznajmiła, że znalazła już statek, który zmierza do miasta basileusa, a dowodzi nim niejaki Diarf, pragnący wraz z załogą nająć się na służbę u gardskonunga. Ach, gdybym wówczas lepiej przysłuchiwał się opowieściom o zbrojnych napadach mających miejsce w kraju Englismadów, wcześniej poznałbym złą sławę tego poganina i zapobiegłbym późniejszym wydarzeniom. Niestety, jeszcze wtedy nic nie wiedziałem o Diarfie, kiedy zatem Sela nas do niego zaprowadziła, było już za późno, aby powstrzymać zakusy Złego.

Księga VI
ZŁOTO
KRETY

Kwiecień-czerwiec,
6467 rok po stworzeniu świata
wedle rachuby Grikkmadów

32

Bardzo dobrze spało się jej w morskim domku ra'isa. Znajdująca się na rufie nadbudówka była ciasna, ale przytulna i nie wolna od przepychu, głównie za sprawą wiszących na ścianach barwnych kobierców o kwiciastych wzorach. W kajucie znajdowały się dwie kanapy, skrzynia na ubrania i niski okrągły stolik, na którym stały teraz dzban soku z sumaka, miseczka z suszonymi daktylami i półmisek z lauzindzem – słodkim ciastem z orzechami, migdałami i skwarkami.

Ssało ją w żołądku. Sela przeciągnęła się po krótkiej drzemce i wzięła się do jedzenia, wołając kotka, by wraz z nią się posilił. Gaupahedin ułożył się pod stopami kobiety, co nagrodziła, drapiąc go za uchem i dając miseczkę z daktylami. Rysi hamramir służył jej lepiej, niż oczekiwała, a zawdzięczała to swojej urodzie i odwadze – pierwsza wabiła mężczyznę, druga kociego wojownika. Czowała, że Gaupahedin ją miłował i było w tym trochę zwykłego męskiego uwielbienia dla kobiecego piękna oraz nieco przywiązania, jakie zwierzę odczuwa do właściciela. Trudno było orzec, co przeważało, ale nie miało to większego znaczenia – grunt, że hamramir był jej oddany i skłonny narazić samego siebie, by ratować swą panią. Właśnie jemu zawdzięczała ocalenie, gdy trzy tygodnie temu tonęła przywiązana do masztu grikklandzkiego dorkonu. Tańczący wojownik mógł dopłynąć do lądu i zyskać wolność, zamiast tego wrócił po nią, zanurkował, przeciął nożem więzy, wypłynął z poetką na powierzchnię i wycisnął wodę z jej płuc. Wystawił się przy tym na łaskę kussarów, którzy pojмали obydwójce rozbitków.

Usłyszała pukanie, ale nim zdążyła odpowiedzieć, drzwi otwały się i wszedł pochylony ra'is, dowódca statku, z którego gościny korzystała. Śniady mężczyzna odziany był w białe szarawary i czarny wojskowy kaftan

zwany kabą, a na głowie nosił niewielki spiczasty hełm owinięty białym turbanem, którego koniec opadał na plecy mężczyzny. Samsam as-Sari skinął grzecznie głową dziewczynie i rzucił nieprzychylnie spojrzenie hamramirowi. Nie ukrywał niechęci do kociego wojownika i początkowo chciał go nawet wyrzucić za burtę, lecz pieśniarka wstawiła się za Gaupahedinem. Ogłosiła, że jest jej niewolnikiem i strażnikiem, który towarzyszy jej od dzieciństwa, po czym własnym życiem zaręczyła za jego dobre zachowanie. Nienawidziła mieć długów u mężczyzn, dlatego ulżyło jej, gdy w ten sposób odwdzięczyła się za wcześniejszy ratunek, choć mogła to przypłacić gardłem, gdyby hamramir zaprzeczył jej słowom. Na szczęście szalenciec milczał i nie psocił, a ona, jak dobra pani, czasem nagradzała go przysmakami albo prawem do łaskotania jej wąsem i harcowania z jej myszką. Dopuszczenie go do siebie nie było zbyt rozsądne, bo przed kussarami udawała niewinną dziewczę, nie mogła jednak oprzeć się pociągającym, lekko poparzoną uszom hamramira.

– Wypoczęłaś, moja pani?

Skaldmaer zadarła nose, obdarzyła gospodarza łaskawym spojrzeniem i skinęła głową. W dzieciństwie często musiała grać przed wujkiem Finlogiem rolę pobożnej i pilnej uczennicy, przed wyrostkami z okolicy udawać chłopaka, na wychowaniu u dziadka wcielać się w potulną wnuczkę, a wśród drengów przeklinać, chlać i bić się jak wojownik. Rola wyniosłej, dobrze urodzonej panny była dla niej nowa, ale podpatrzyła odpowiednie zachowanie podczas pobytu w Miklagardzie i była tak przekonująca, jak sam bóg Lopt, kiedy przybrał postać łososa.

– Znośnie tu być.

Serklandzki nadal sprawiał jej problemy, ale wszystkie popełniane błędy pasowały do jej opowieści o Eirene, księżniczce z dalekiej Północy, porwanej przez griklandzkich łotrów, gdy wraz ze swoim opiekunem Diarfem Nawlekaczem płynęła na dwór emira Abdala al-Aziza ibn Shu'ayba et Qurtubiego na Krecie. Nie powiedziała oczywiście, po co tam zmierzała, bo żadna kobieta na jej miejscu nie powinna tego wiedzieć, lecz pozwoliła, by kapitan się domyślił, że miała zostać najcenniejszym

kwiatem w ogrodzie rozkoszy emira, który słynął z zamiłowania do zamorskiej roślinności. Prawdy rzecz nie mogła, bo Sarakeni byli przekonani o ułomności wszystkich kobiet, stworzonych przez ich boga do poddaństwa mężczyznom, nigdy więc nie uwierzyliby, że to ona była dowódcą vaerińskich najemników.

– Zbliżamy się do zatoki Mutalassiat al-Bahr, a piękny niczym sznur pereł jest to widok dla kogoś, kto odwiedza ją po raz pierwszy. Zapraszam na pokład.

Ra'is wciąż pozostawał dla niej zagadką. Wydawał się obojętny na jej wdzięki, zawsze był poważny, stronił od uśmiechów, ale i od gniewu, jako jedyny na statku nie pił wina, modlił się kilka razy dziennie, a dla wrogów, także tych pojmanych, był bezlitosny. Okazywał jej chłodną życzliwość bez krzty požądania. Właśnie on uratował Selę przed gwałtem, uwierzył w jej opowieść i oddał dziewczynie własną – i jedyną na statku – kajutę. Sam nocował teraz na pokładzie, między zwykłymi kussarami. Nie dał się tylko przekonać, by od razu odwiedzić ją na Krete, dlatego dalej, wraz z podległymi mu pięcioma okrętami, polował na grikklandzkie statki kupieckie i łupił przybrzeżne osady nawet w okolicach Thrakesionu. Trwało to trzy tygodnie, aż w końcu Samsam as-Sari zarządził powrót do macierzystego portu, lecz wcale nie po zapasy, bo te często uzupełniano na okolicznych wysepkach, ale żeby zmagazynować łupy i dokonać niezbędnych napraw.

– Zaraz będę, tylko przywdzieję coś nadobnego.

Kapitan skinął jej głową i wyszedł. Właściwie nie potrzebowała czasu na strojenie, bo nie była głupią gąską, lecz jej rola wymagała takiej babskiej obyczajności. Strojów miała pod dostatkiem, bo ra'is podarował jej lub tylko użyczył – niegrzecznie było dopytywać – cały kufer fatałaszaków pochodzący niechybnie z rabunku. Dzisiaj nosiła błękitną suknię, a teraz wyciągnęła ze skrzyni skórzany, wysadzany zielonymi oraz niebieskimi kamykami pas wiszah, którym ścisnęła luźną szatę. Resztę czasu, jaki winna spędzić na strojenie, poświęciła rozczesywaniu włosów i wiązaniu ich w kuca na czubku głowy, bo choć nakazano jej przyodziewać

się jak skromnej Sarakence, przynajmniej uczesaniem i brakiem nakrycia głowy chciała podkreślić swoje pochodzenie z Północy.

Wyszła na pokład z Gaupahedinem przy boku, pozwalając, by hamramir rzucał na boki wyzywające spojrzenia i prychał na każdego, kto nie popadał w zachwyt na widok dziewczyny. Nie było takich wielu. Szybko dołączył do nich ra'is, który przeprowadził gości z rufówki na dziób.

Morze było spokojne i łagodnie kołysało galeidą. Musattah okazał się największym statkiem, na jakim kiedykolwiek pływała meykong, ale rozkochana w smukłych i zwinnych snekkjach z Północy, nie miała dobrego zdania o pękatej jednostce z wysokimi burtami, która przy silniejszym podmuchu wiatru wyglądała jak połówka jabłka poniewieranego w nurcie strumyka. Dwa ogromne trójboczne żagle rozwijano rzadko i tylko podczas wyśmienitej pogody, a zwijano je zawsze, gdy wdawano się w morską potyczkę. Głównym napędem statku były dwa rzędy wiosł obsługiwanych przez stu niewolników zachęcanych do pracy batem lub obietnicą wina.

Zatoka Mutalassiat al-Bahr, której nazwę wedle językowego rozeznania Seli można było przetłumaczyć jako Zatoka Złodziei Morza lub Zatoka Kussarów, znajdowała się na północno-zachodnim krańcu Krety. By się do niej dostać, minęli średniej wielkości skalistą wyspę i popłynęli wzdłuż wąskiego przylądka, gdzie cumowały dziesiątki galeid, stateczków i łodzi. Wody były tu urzekające, zwłaszcza dla wyczulonej na piękno pieśniarki, która dostrzegła w nich barwy szafiru i szmaragdu oraz lekkie zamglenie szpatu.

Stopniowo od floty Samsama odłączały się kolejne okręty, by zatrzymać się przy drewnianych trapach wyrastających z poszarpanego brzegu. W końcu również ich galeida zakotwiczyła, choć nie w przystani, ale na morzu, dwieście kroków od lądu, tuż przed płycizną, która sięgała człowiekowi najwyżej po szyję. Część kussarów zeskoczyła z okrętu i popłynęła wpław lub zaczęła brodzić ku brzegowi. Woda była tam tak przezroczysta, że Sela widziała kamieniste dno pokryte siecią podwodnej roślinności przypominającej zielone żyły rozchodzące się po żywym organizmie. Widok był tak kuszący, że córka Ainara miała ochotę rozebrać

się do naga i zacząć opalać tyłek oraz pluskać się w wodzie niczym córka prostego gospodarza. Stłumiła te niegodne tarczowniczkę myśli, wyobrażając sobie, że dno zatoczki wyścielone jest nie muszelkami, ale tysiącem ludzkich uszu, rozpadających się pod jej nagimi stopami.

Niemal natychmiast po zakotwiczeniu otoczyła musattah chmara małych łódek, na które opuszczono złupione dobra – bele materiału, przyprawy, amfory z winem i oliwą, worki z solą, rzeźbione meble, a nawet ikony, złodzieje morza grabili bowiem wszystko, co dało się sprzedać. Obładowane łodzie wracały na ląd, pchane lub ciągnięte po płyciźnie. Wyciągano je później na wielką łachę różowego i żółtego piachu, która wraz z wąskim pasem skał łączyła przylądek z niewielką wysepką. Na plaży stały namioty i liche drewniane szopy, gdzie składowano towar, choć zapewne jedynie tymczasowo, dopóki nie został przehandlowany lub przetransportowany w głąb lądu.

Sela szybko znudziła się obserwowaniem rozładunku, tym bardziej że ra'is zabronił jej opuszczać okręt, nie mogła więc z bliska przyglądać się pracy. Z dziobu miała jednak dobry widok, co wykorzystała, przypatrując się pobliskim statkom. Naliczyła ich trzydzieści, ale drugie tyle mogło być ukrytych w niedostępnych dla jej oczu zatoczkach. Jako przenikliwa meykong, która myślała już o nadchodzącej wojnie z Grikmadami, zaczęła oceniać przydatność bojową serklandzkich jednostek, bo wszystko wskazywało na to, że niebawem będzie walczyć u boku kussarów. Przyglądała się właśnie dwóm zacumowanym obok siebie shiniom, gdy za sprawą nagłego podmuchu wiatru zza skały wyjrzał smoczy łeb. Pieśniarka wszędzie rozpoznałaby dziobnicę „Czerwonej Żmii”, okrętu należącego do Diarfa Nawlekacza. Wiedziała, że Vaeringowie nigdy nie zostawiają swoich snekkji bez straży, nadarzała się więc świetna okazja, by mogła porozmawiać z własnymi ludźmi.

Dyskretnie wskazała snekkję Gaupahedinowi, a ten mruknął ze zrozumieniem i już chciał skoczyć przez burtę, gdy powstrzymała go delikatnym gestem dłoni.

– Jakże piękne muszelki ja widzieć na dnie tej zatoczki – mówiła głośno,

po serklandzku, by usłyszeli ją stojący nieopodal kussarowie. Pamiętała zarazem, aby nie krzyżeć, gdyż to nie przystało dobrze urodzonej dziewczce. – Będzie tak mój niewolny sługa miły i mi je nazbiera, bym mogła zrobić z nich naszyjnik?

Hamramir popatrzył na nią jak kot na mysz żonglującą serem, ale po chwili najwyraźniej zrozumiał, że był to podstęp, gdyż potarłszy swój rudy wąs, miauknął i wykrzywiając gębę z obrzydzenia, skoczył do wody. Jeden ze złodziei morza przez chwilę wahał się, czy nie zaprotestować, lecz w końcu machnął ręką i wrócił do zwijania liny. Gaupahedin w ciągu tych trzech tygodni dorobił się wśród załogi opinii szaleńca, który robi dziwaczne rzeczy i spełnia zachcianki swojej pani, a jego krwiożercze spojrzenie oraz groźne pomruki ostrzegały, że nie warto szukać z nim zwady.

Sela obserwowała wysłannika ukradkiem, by nie zdradzać zbyt dużego zaniepokojenia. Tymczasem Hamramir dotarł na płyciznę, zaczął wyławiać muszelki, a następnie wszedł pomiędzy pracujących przy rozładunku ludzi. Po chwili skręcił ku głębszej wodzie i popłynął wpław w kierunku otoczonej skałami zatoczki. Potem straciła go z oczu.

Ra'is nie dał jej dużo wolnego czasu i po zakończeniu rozładunku, którego osobiście doglądał, wrócił na dziób, rozkazując przy okazji załodze, że pora wypływać. Kotwica została podniesiona, a stu czarnoskórych wioślarzy ruszyło ciężką galerę z miejsca.

Nie płynęli długo. Ich celem była pobliska wyspa zwana Garbusem, skalisty ląd ze spaloną od słońca roślinnością. Wydawał się nieprzyjazny dla człowieka, mimo to z pewnością był zamieszkały. W przystaniach cumowały okręty, na brzegu stały drewniane chaty i kamienne domki, a na stromym wzniesieniu o zboczach wpadających prosto do morza stała twierdza.

Galeida dobiła do solidnego drewnianego trapu, po którym poetka wraz z kapitanem i dziesięcioma uzbrojonymi po zęby kussarami zeszła na ląd. Odziany w czerń i biel Samsam as-Sari próbował dociec, gdzie podział się hamramir, ale pieśniarka zbyła go wzruszeniem ramion i słowami: „Sam się

znajdzie”.

Poprowadzili ją wydrążonymi w skale schodami, które wiły się wokół wzgórza. Lekki wiaterek umiłał wspinaczkę w popołudniowej spiekocie, a im wyżej wchodzili, tym piękniejszy mieli widok na turkusową Zatokę Kussarów. Rychło dotarli do bramy czworobocznej twierdzy zbudowanej z cegieł o barwie błota i wzmocnionej na rogach okrągłymi wieżami. Już na pierwszy rzut oka widać było, że jest to siedziba rabusiów, nie zaś dobrze zorganizowane miasto, bo panował tu nieład, do jakiego nie dopuściłby żaden odpowiedzialny zarządca. Przy otwartych wierzejach nie stali strażnicy, a sama twierdza składała się w rzeczywistości z muru, kilku ustawionych bez widocznego planu kamiennych lub ceglanych budynków oraz dziesiątek namiotów. Było tu gwaro i kolorowo. Niektórzy mieszkańcy grali w nard, przesuwając pionki po kracastej tablicy, inni kłócili się przy winie lub prali po pyskach. Kilku dalekich od trzeźwości mężczyzn podskakiwało w rytm muzyki wygrywanej na bębnach i piszczałkach.

Ainarsdottir aż zakręciło się w głowie, gdy po przekroczeniu bramy uderzyły w jej nozdrza wonie koziej sierści, rozlanego wina i potu, które mieszały się z zapachami pieczonego mięsa, przypraw, kwaśnego mleka i gotowanych na wolnym ogniu potraw. Najwyraźniej trafiła z Samsamem na porę obiadową, bo do kamiennych palenisk ustawiały się kolejki mężczyzn z drewnianymi miskami w dłoniach. Jediną widoczną oznaką, że twierdza spełniała wojskowe zadania, był rząd machin do ciskania kamieni, których ogromne ramiona wymierzone były w zatokę, oraz stojące na murach konstrukcje w kształcie wielkich łuków służące do wystrzeliwania strzał długich jak włócznie.

Strażnik przy wejściu kazał im czekać, co nasunęło Seli myśl, że ra'is nie był tak ważny, za jakiego chciał uchodzić. Stanęli w cieniu, pod płóciennym dachem rozwieszonym na czterech tyczkach. W pobliżu wznosił się największy i najokazalszy budynek w twierdzy, który zbudowano z błotnistej cegły, choć jego dół i górę zdobiły pasy z białego kamienia. Dach czworobocznego domu był całkowicie płaski i chroniony przez rząd

kamiennych stożków przypominających zęby. Nieliczne zwieńczone łukami okna znajdowały się piętnaście stóp nad ziemią.

Po dłuższej chwili wyszedł z budynku czarnoskóry niewolnik, który zaprowadził ich do środka. Przeszli przez izbę gospodarczą i znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie znajdował się basen z małymi rybkami i mały gaj oliwny składający się z drzewek posadzonych w glinianych donicach. W cieniu konarów, na wyścielonym atłasem krzesła z rzeźbionymi nogami siedział mężczyzna wachlowany liśćmi palmowymi przez dwie półnagie dziewczyny. Mebel w żaden sposób nie pasował do surowego wystroju serklandzkiej twierdzy, za to jej właściciel wyglądał dokładnie tak, jak poetka wyobrażała sobie konunga kussarów. Złodziej morza nosił białe buty, zielone szarawary i jedwabną, rozsupłaną przy szyi koszulę, która odsłaniała męskie futro i kawałek tatuażu. Palce obu dłoni spoczywających na poręczach siedziska przyozdobione były złotymi pierścieniami, a w dorodnych uszach tkwiło po kilka złotych kolczyków. Pieśniarce zrobiło się przyjemnie na myśl o tarמושzeniu tak cudnych małżowin i odcinaniu ich nożykiem kawałek po kawałku.

Na widok gości ubrany niczym fanfara mężczyzna zerwał się z krzesła i pokłonił, odrzucając kielich w bok. Naczynie upadło na trawę, potoczyło się po ziemi i z pluskiem wpadło do basenu. Dopiero po chwili meykong pojęła, że to nie jej wdzięk zgiął plecy Serklandczyka, ale szacunek, jaki żywił do ra'isa. Kapitan statku, który na dziedzińiec wszedł ostatni, wyminął towarzyszy i stanął wprost przed kussarem.

– Jak się sprawy miały podczas mojej nieobecności? – zapytał żeglarz odziany w czerń i biel.

– Twój wierny zarządca służył, jak umiał. Wybacz, panie, że musiałeś czekać, lecz niewolnik rzekł mi, że pragnie się ze mną rozmówić jakiś zwykły ra'is, a nie almilland Samsam as-Sari, władca Zatoki Złodziei Morza i pan tej twierdzy.

– Nie wiń go za to. Nakazałem sługom nic ci nie mówić o moim powrocie, by sprawdzić, jak sobie radzisz na moim siedzisku. Słabo wypadłeś, bo ludzie się rozpili, a na wzgórzu panuje bałagan jak po

przejściu burzy piaskowej. Masz coś na swoją obronę?

– Zbudowaliśmy dwie nowe maszyny, a dzięki sprzedaży tego, czym obdarował nas Allah i morze, wzbogaciłem twój skarbiec o pięć tysięcy dinarów. A wino to tylko wino.

– Tylko wino? Jesteście jak zgraja psów marzących wyłącznie o misce i suce do pokrycia! Gdzie imam, którego tu sprowadziłem? Czemu nie słyszeć nawoływań do modlitwy?

– Ostatnio widziałem duchownego w południe. Siedział przy ścianie świątyni, tuląc dzban wina, pochrapując i mamrocząc o przedsiönku piekła, gdzie wysika całe podłe wino, które właśnie wychłał.

– Nawet Muhammad nie nauczyłby was praworzędności! Precz mi z oczu. – Zarządca ruszył ku wyjściu, ale almilland zmienił nagle zdanie i zatrzymał go gestem dłoni. – Na moim statku znajdziesz dwadzieścia dzbanów z winem. Zajmij się rozładunkiem, tylko nie waż się mnie okradać. To trunek z piwnic basileusa, więc będzie podarunkiem dla emira. Nie jedynym zresztą.

Sela uśmiechnęła się niewinnie, pojmując, że o nią chodzi. Wesoła mina sporo ją kosztowała, bo w środku burzyła się jak zupa postawiona na za dużym ogniu. Dała się zwieść kapitanowi galeidy jak głupia dziewczka. Powinna coś podejrzewać, bo przecież każdy, kogo na statku zapytała o ra'isa, spuszczał wzrok i wymawiał się obowiązkami. Wtedy mylnie brała to zachowanie za przejaw serklandzkiej niechęci do rozmawiania z kobietami.

– Co rozkażesz, almillandzie. Wolno mi jednak spytać, jak tve poszukiwania?

Konung kussarów usiadł na zwolnionym przed chwilą krześle. Niewolnik ściągnął mu z głowy hełm wraz z turbanem i otarł jedwabną chustą spocone czoło władcy. Inny służący przyniósł kielich z wodą, który Samsam opróżnił w połowie, po czym odpowiedział:

– Nie znaleźliśmy go, choć dotarłem do samego Thrakesionu, gdzie Anemas miał dotrzeć z załogą „Niebieskiego Sępa”.

Poetka nie miała pojęcia, o czym rozmawiają, zresztą była zajęta rozmyślaniami nad swoim kiepskim położeniem, nadstawiła jednak uszu, gdyż jakaś zbłąkana disa natchnęła ją przeczuciem, że chodzi o coś ważnego.

– Emir nie będzie rad. Mówi się, że nakazał ściąć wszystkich strażników swego syna i obiecał pięćset złotych monet za wieść o miejscu pobytu pierworodnego. Wie już, że Anemas, ukrywając swoją tożsamość, zapłacił ra'isowi „Niebieskiego Sępa” za przewiezienie go do temu Thrakesion. Tylko pogłoski o rychłej wojnie z Ar-Rumi powstrzymują emira przed atakiem na nas, niezależnych złodziei morza, i naszą zatokę.

– Osobiście wytrzebiłbym tego ra'isa i przykuł go do wiosła, gdyby nie to, że poległ albo uciekł. Pewne jest, że po nieudanym ataku „Niebieski Sęp” zatonął. Wrócimy do tego później. Na razie zajmij się rozładunkiem, a ja pomówię z moim pięknym gościem.

Zarządca wyszedł, nie skrywając dumy pod płaszczkiem pokory. Sela została sama z Samsamem i jego zbrojnymi. Nadal nie mogła uwierzyć, że powściągliwy, stroniący od uciech, schludnie odziany w czerń i biel wojownik jest panem rozwydrzonej i barwnej zgrai złodziei morza. Teraz spojrzała na niego trochę inaczej, jak na mężczyznę przy władzy, i dostrzegła, że Serklandczyk o śniadej skórze i półdługich, zaczesanych do tyłu „na skorpiona” włosach, ma nawet ładne uszy.

– Z pewnością zgłodniałaś. – Nie czekając na odpowiedź, klasnął w dłonie. Niemal natychmiast pojawił się nowy sługa, który wysłuchał poleceń dowódcy i zniknął.

– Ra'is być dla tej pani bardzo tajemniczy, nie wyjawiając jej swojego stanowiska. A ona, niemądra, zabrała mu pryczę na jego własnym statku.

– Mówią, że ten przeklęty Nikefor Fokas codziennie śpi na gołej posadzce, więc ja mogę zdzierzyć nagie deski. A jeśli chodzi o tę małą maskaradę... Rozbawiły mnie twoje kłamstwa i gotowość do zostania nałożnicą emira Abdala et Qurtubiego. Jako almilland wojowników morza, a więc rzeczywisty dowódca większej części floty Krety, mam najlepszy dostęp do towarów wysokiej jakości, zatem trzy na cztery kochanki

z haremu wszechwładnego Abdala pochodzą z mojego połowu. Warto było poobserwować zdobycz, nawet kosztem kilku drzazg w siedlisku nieczystości.

– Zupełnie ja nie pojmuję, o czym almilland mówi, i wypraszam sobie, by traktować mnie jako nierządny towar. Pragnę mówić z Diarfem, który zapewniał mnie, że jest w zмовie z kussarami, i obiecywał bezpieczeństwo.

– Nadal chcesz grać w nard? Tu nie ma tablicy, nikt nikogo nie przeskoczy ani nie zbije, a twoje pionki od dawna leżą w mojej sakiewce. Jesteś w sytuacji kota Muezza schowanego w rękawie Mahometa. Zacznijmy od nowa. Kim jesteś?

Milczała, przeliczając w głowie, co jej się opłaci. Udawanie głupiej niechybnie doprowadzi ją do haremu emira, skąd może łatwiej będzie uciec. Prawda mogła skutkować zarówno nożem w plecach, jak sposobnością do wzbogacenia się, a jak powtarzała jej prababka: „Siedzący w domu żre węgiel, na łososia stać podróżnika”.

– Jestem skromną pastereczką stadka strof, która wie, gdzie przebywa zaginiony Anemas.

Samsam postukał palcami o poręcz krzesła, ale nie rzekł ani słowa, bo niewolnicy wnieśli jadło. Pieśniarka usiadła na kamiennej ławeczce przy basenie, przyjmując biały chleb i miskę z kawałkami pieczonego mięsa przyrządzonego z cebulą, jajkiem i przyprawami, których nie potrafiła rozpoznać. Później dowiedziała się, że potrawę nazywano „siekanym Ibrahima” na cześć kalifa o tym imieniu, który ją uwielbiał. Almilland dostał to samo danie. Oboje zjedli w milczeniu, popijając posiłek wodą.

– Pochodzi z ostatniego śniegu z kreteńskich gór. – Kussar uniósł kielich, zatoczył nim krąg w powietrzu i skosztował zimnej wody z głośnym młaśnięciem. – Jest warta więcej niż dzban przedniego wina, a chłodzi jak stal. Oto właśnie napój godny miłującego Boga farisa.

Wiedziała, że faris to określenie honorowego wojownika, coś jak północne słowo „dreng”, ale pojąć nie mogła, jak ten zalatujący kozimi bobkami płyn można było porównywać z winem. Nie potrafiła się

powstrzymać od drobnej złośliwości.

– Podlegli ci ludzie zdają się nie podzielać twoich upodobań.

– Gdybym zabronił im pić wino, sam musiałbym stanąć naprzeciw floty Rumów.

Odpoczynek w ogrodzie miał swoje zalety i wady. Nie panowała tu zbyt duża duchota i drzewa dawały cień, ale trudno było się ustrzec niechcianego towarzystwa. Siedzące dotychczas na dachu mewy przesiadły się na drzewa, a trzy śmielsze ptaki wylądowały przy odłożonej przez Selę misce i poczęły walczyć o resztki jedzenia. Dwóm udało się najeść, trzeciemu nie dostało się nic i jakby w geście protestu zrobił na trawę kupę, po czym odleciał.

– Sprytnie! Usłyszałaś imię Anemas podczas mojej rozmowy z zarządcą i teraz udajesz, że go znasz, by wzbudzić we mnie zaciekawienie.

Widać było, że konung kussarów wiele czasu spędzał z kłamcami i oszustami. Świetnie ją przejrzał, mimo wszystko pieśniarka postanowiła szarżować śmiało jak berserk.

– Twoją uwagę i tak już przykułam, a gdybym kłamała, czy wiedziałabym, jak wygląda? To młody, przystojny wojownik ze starannie przystrzyżonym wąsem. Nigdy nie rozstaje się z satynową czapeczką i dzbanem wina.

– Widziałas go zatem? Gdzie jest? W Basilis Polis?

– Nie powiem nic, dopóki nie zjawi się tu Diarf Nawlekacz.

Wiele więcej nie wiedziała i nie była nawet pewna, że właśnie o tego Serklandczyka chodzi. Gdy zimowała w Miklagardzie, udało jej się rozkochać w sobie członka Hetairi, woja z blizną, dzięki któremu zbliżyła się do otoczenia augusty Teofano. Uważnie słuchała wtedy pałacowych doniesień i pamiętała, że mówiło się o tajemniczym zakładniku Nikefora Fokasa. Prawie nikt nie miał do niego dostępu, choć nieliczni, którzy go widzieli, lubili się tym po cichu chełpić i zawsze podkreślali zaczesany do góry wąsik i satynową czapeczkę więźnia.

– Coś mi mówi, że nie będziemy musieli na to długo czekać.

Za ścianą grupa mężczyzn głośno się kłóciła, a wśród krzyków dało się usłyszeć wypowiedziane po vaerińsku przekleństwa. Po chwili na dziedzińcu wkroczył lekko podenerwowany czarnoskóry strażnik.

– Pies z Północy nalega na widzenie z mężnym almillandem – oznajmił. – Mamy ich wybatożyć?

– Wpuścić.

– Wedle rozkazu.

Kussar pokłonił się, wyszedł i zaraz wszedł z powrotem, prowadząc wysokiego i chudego Vaeringa o łysej głowie, kociego hamramira i jeszcze dwóch najemników z Północy.

– Moja miłość!

Była wściekła na Diarfa, który pozwolił jej tak długo tkwić w serklandzkiej niewoli, ale wciąż go kochała, choć nie tak wylewnie, jak to miała zamiar właśnie okazać. Zerwała się z miejsca, ominęła strażnika chcącego zagrozić jej drogę i uwiesiła się szyi Nawlekacza, nie zapominając unieść przy tym nóżki, by almilland mógł podziwiać jej nagą łydkę. Potarosiła ucho kochanka.

Zaskoczeni byli wszyscy, nawet dowódca najemników, który delikatnie odepchnął Skaldmear.

– Mówiłaś – zaczął konung kussarów – że Diarf to twój opiekun, a nie mąż.

– Czyż może być troskliwszy opiekun niż małżonek? – Zatrzepotała rzęsami.

– Znamy się z Diarfem nie od dziś. – Złodziej morza przeszedł na grikklandzki, bo w tutejszej mowie ciężko byłoby mu się dogadać z najemnikiem. – Nająłem go na służbę, przymykając oko, że to niewierny, który na dodatek za dużo czasu spędził w służbie Rumów, by w pełni mu zawierzyć. Przystąpiłem też na jego plan, by zimował w Basilis Polis i dowiedział się jak najwięcej o tamtejszej flocie. Nigdy jednak nie wspominał, że ma żonę.

– To świeża sprawa. – Sama poczęła wyszywać swój los, bo Nawlekacz

stał, niezdecydowany, co powiedzieć. – Pobraliśmy się tej zimy.

– To prawda, Vaeringu?

Najemnik o łysej, spiczastej głowie przypominającej grot włóczni wzruszył ramionami i splunął do basenu.

– Może tak być... – zająknął się, szukając odpowiednich grikklandzkich słów – ...choć nie musieć ja tłumaczyć się Serklandczykowi, kto mi grzać łożę.

Almilland Samsam ze spokojem przyjął bezczelną odpowiedź i przeniósł wzrok na hamramira, który lizał sobie dłoń.

– Ten dziwaczny sługa ładne muszelki nzbierał, choć łatwiej nabić je na pał, niż zrobić z nich naszyjnik. Czy wiesz, niewierny olbrzymie, że w twoim zastępstwie to on grzał w nocy twoją małżonkę?

– To potwarz! – Sela udała oburzenie, choć z zaciekawieniem wpatrywała się w nagłą zmianę haftu na tkaninie jej życia.

– Cicho, pasteczeko, bo teraz ogary szczekają. Dobrze znam moją rufówkę i wiem, przez które szpary widać, co dzieje się w środku. Mówiłem, że lubię obejrzeć towar przed sprzedażą. I co ty na to, Nawlekaczu? Nadal twierdzisz, że to twoja żona? A może zechcesz się rozwieść?

– Dobra tarcza to taka, co napór wielu mieczy wytrzyma. Zostać ja pragnę przy mojej lubej.

Nawlekacz objął ją i ścisnął za piersi, aż zabolalo. Poetka wiedziała, że mimo tych słów Diarf był zazdrosny, bo uczucie to targało nim za każdym razem, gdy dowiadywał się o nowym kochanku Seli. Znała jednak Nawlekacza na tyle dobrze, by wiedzieć, że jej szermierka z innymi wojami wzbudzała w nim pożądanie, gdyż zawsze po wyjawieniu prawdy o zdradzie brał ją mocno, brutalnie, jakby chciał siłą wycisnąć z wybranki pozostałości innych mężczyzn i raz na zawsze oznaczyć ją jako swoją.

– Znałem żony, które za mniejsze przewinienia zostały przez swoich mężów ukamienowane.

– Bo Serklandczycy to miłujący wielbłądzice dzikusy. A przecie dobrze

jest chodzić do boju z tarczą sprawdzoną w walce.

– Waż słowa, niewierny, bo choć dobry z ciebie kussar i niemało monet dorzucasz do skarbca, to nie jesteś niezastąpiony.

Przez kilka uderzeń serca wszyscy milczeli. O dziwo, pierwszy odezwał się Diarf.

– Grikklandzki być trudny język. Może ty mnie źle zrozumieć, a ja niedobrych słów użyć. Ja brać moją żonę i odejść w pokoju.

Samsam przyjął to naciągane tłumaczenie i nie kazał ich ściąć, ale też nie pozwolił strażnikom odsunąć się od drzwi. Podczas rozmowy na dziedzińcu przyszło więcej Serklandczyków i teraz bezpieczeństwa almillanda strzegło dwunastu zbrojnych.

– Żona, nie żona, wyłowilem ją z morza i jest moją zdobyczą. Dziewicę sprzedałbym emirowi za sześćset dinarów, za niewiastę z poobijaną tarczą dostałbym czterysta. Płać, jeśli chcesz odzyskać żonę.

– Nie mam tyle.

– U nas mężczyzna może mieć tak dużo żon, na ile go stać. Skoro twój trzos jest za lekki, musisz zadowolić się nierządnicami.

Pieśniarka nie mogła uwierzyć, że targują się o nią jak o kłacz, a już zupełnie nie pojmowała, dlaczego Nawlekacz wzbrania się od zapłaty. Co prawda większość rogi, którą dostali od gardskonunga, ukryli w ziemi, bo tutejsi zarządcy nakazywali oddawać do wspólnego skarbca połowę każdego łupu, ale Vaeringowie musieli zostawić sobie przecież trochę bogactwa na bieżące potrzeby.

– Ostatnio nie miałem szczęścia w kości, lecz zapłacę ci z przyszłych łupów.

– Wtedy cena będzie wynosić osiemset dinarów.

– Pięćset i ani monety więcej.

– Stoi, ale dostaniesz żonę dopiero wtedy, gdy zobaczę zapłatę.

– Niech będzie.

„Niech będzie”? Meykong chciała zawyć z wściekłości, jednak tylko zazgrzytała zębami. Bez niej ta tępa tyczka mogłaby co najwyżej podpieścić

winorośl, a tymczasem Diarf godził się na jej niewolę! Miała ochotę naostrzyć jego głupi łeb mieczem.

– Zgadząmy się na sześćset, jeśli puścisz mnie już teraz! Inaczej pchnę się nożem i nie wyjawię ci tego, co wiem o Anemasie.

Po raz pierwszy, odkąd go poznała, ra'is się uśmiechnął.

– Nic o nim nie wiesz. Podany przez ciebie opis nie pasuje do syna emira, choć przyznam, że może dotyczyć pewnego łotra, który kręcił się na dworze władcy Krety. Chętnie poznałbym jego obecne położenie.

– Synek, nie synek, cenę znasz.

– Zatem miłość małżonki jest silniejsza niż uczucie męża. Dobrze. Powiedz, co wiesz, a zwolnię cię dzisiaj.

– Ten Serklandczyk rzeczywiście jest w Miklagardzie, jak przypuszczałeś. – Kłamstwo zaczęła od prawdy, by miało dłuższe nogi. Wyczuła, że Samsam nie jest przyjacielem tego więźnia, a nic tak ludzi nie złościło, jak powodzenie wroga. – Pozostaje w wielkiej zażyłości z Nikeforem Fokasem, który gości go w swoim pałacu i wspólnie z nim naradza się w sprawie wojny z Kretą. W pałacu mówi się, że Serklandczyk ma zostać ważnym dowódcą w grikklandzkiej flocie.

Ubrany w czerń i biel Saraken znów przybrał swoją powściągliwą pozę i kiwnął głową w podziękowaniu.

– Nie sędzę, byś mówiła prawdę, ale umowa to umowa. Możesz odejść. Tylko przypilnuj męża, aby zapłacił należność, bo inaczej się o ciebie upomnę.

33

Ciepło. Miło było leżeć nago na nagrzanym głazie, chłonać gorąco brzuchem, spalać plecy wiosennym żarem. Orm chciałby zostać dłużej na wschodniej stronie zbocza kreteńskiej góry, na skalnym występie, z którego roztaczał się widok na rozległy wąwóz i lasy, ale Hedinowie w ich

wspólnej głowie napomnieli leniwego gada, że nie można zapominać o obowiązkach. Zbliżało się południe i należało oddać cześć prawdziwemu bogu, którego imienia wciąż nie mogli sobie przypomnieć. Porzucili wpatrywanie się w dym unoszący się nad pobliskimi niewielkimi siołami, spełzli na ziemię i niechętnie stanęli na dwóch nogach. Przywdziali wąskie zielone spodnie, obcisłą żółtą koszulę oraz wysokie skórzane buty, a głowę obwiązali czerwoną płachtą. Cały ten przyodziewek zdobyli kilka dni temu na miejscowej ludności. Hedinowie wybrali rodzaj stroju, Orm dobrał kolory.

Ruszyli do swej tajemnej nory, której położenie nie było znane nawet ich braciom hamramirom. Berhedin pozwalał wszystkim bestialskim drengom włóczyć się po wyspie, bo odkąd tu przybyli, nie mieli co robić. Co prawda Diarf próbował ich przekonać, by zostali na statku i pomagali mu w łupieniu, ale tańczący wojownicy nie posłuchali. Niedźwiedzi przywódca orzekł, że tylko Sela Ainarsdottir ma prawo zapraszać ich do mordy, więc sami będą dbać o swoje rozrywki, dopóki na wyspie nie zjawi się ich pani. W jej przybycie wielu gorliwie wierzyło, bo choć trzy tygodnie temu Vaeringowie znaleźli wrak grikklandzkiej gazeli, na której płynęła pieśniarka, a na pobliskiej wysepce nie natknęli się na żaden ślad ocalałych, Nawlekacz zdołał przekonać swych ludzi, że córka Skalda żyje. Sądził tak, gdyż udało mu się porozmawiać z jednym z kapitanów serklandzkich galeid polujących nieopodal zatopionego statku. Śniady kussar przyznał, iż ich flota zniszczyła kilka statków, a choć nie chciał rozmawiać o łupach, wyjawiał, że złodzieje morza ukradli wodom wielu rozbitków, którzy za kilka tygodni mieli być sprzedani na Krecie. „Śledź, który uciekłby z kotła z zupą, miałby na imię Sela” – powiedział wtedy Diarf i uchwyciono się tej myśli. Załoga „Czerwonej Żmii” od dawna uważała swoją meykong za talizman, bo nie raz i nie dwa wyciągała swoich ludzi z tarapatów.

Nora Węza i dwóch Płaszczy była jaskinią w górach, do której wąskie, okrągłe wejście znajdowało się cztery stopy nad ziemią. Wpełzli w samą porę, bo promienie słońca wdarły się już do środka przez szczelinę,

zwiastując nastanie południa. Nadszedł czas na chwalenie boga, choć Hedinowie nadal nie potrafili wytłumaczyć Ormowi, dlaczego odpowiednia pora modłów jest tak ważna.

Zdjęli buty i zgromadzoną w misie wodą z górskiego strumyczka obmyli najpierw twarz, potem ręce, a na końcu stopy. Klęcząc przed bogiem, należało być czystym. Dotyczyło to wszystkich miłujących boga. Sięgnęli po białą szmatkę i zaczęli myć pozostałych wyznawców, tkwiących już w modlitewnych pozach, na kolanach i z czołem dotykającym skalistego podłoża. Orm i Hedinowie przetarli mokrą szmatką stopy młodzieńca, który zareagował na ich dotyk miłym bogu sykiem z pozbawionych języka ust. Zdziwili się, że chłopak jeszcze żył, bo sześć dni minęło, odkąd zaciągnęli go do tej świątyni, nauczyli odpowiedniej postawy i tak związali, by nie mógł jej zmienić. Przecierając jego dłonie i wychudzoną twarz, doszli wszakże do wniosku, że więzień nie dożyje wieczoru.

Następna była młoda dziewczyna, martwa od trzech dni, bo otruli ją jadem ze swoich nożyków, co ułatwiało sprawę, bo raz ułożona i spętana, modliła się cały czas. Dotykanie jej było nawet przyjemne, choć tylko przez pierwszy dzień, bo później wysuszona skóra zaczęła śmierdzieć.

Trzecią pobożną współtowarzyszką była staruszka, którą udusili we śnie i zaciągnęli do jamy ledwie dwa dni temu. Bogu miłe są pokłony starych ludzi, naturalnie zgarbionych, z każdym dniem chodzących coraz bliżej ziemi i wiedzących o pokorze więcej niż dumni młodzieńcy.

Na końcu obmyli łapki i pyszczek ostatniego wiernego w świątyni. Przynieśli go dziś rano w swoim rękawie. Był to czarny kotek w białe łatki, najpobożniejszy ze wszystkich wyznawców, bo po skręceniu karku jego ciało samo ułożyło się w pozie miłej bogu.

Cała czwórka śmierdziała zgnilizną śmierci albo wydzielinami życia i była brudna, ale Hedinowie upierali się, że bóg zwraca uwagę tylko na czystość stóp, rąk i twarzy, czyli tych części ciała, które podczas modlitwy dotykają posadzki świątyni. Wąż i bliźniacy z zadowoleniem spojrzeli na równy szereg obmytych wyznawców, klęczących na odpowiednio wielkich płachtach białego materiału. Hedinowie i Orm także wzięli dla siebie

dywanik i rozłożyli go przed wiernymi, „bo jesteśmy przecież... bo jesteśmy przecież waszym ima... imamem” – przypomnieli sobie właściwe słowo i ucieszyli się, słysząc jego brzmienie. Poprowadzili modlitwę, choć szukanie kolejnych odpowiednich słów nie przychodziło im już tak łatwo, a że nikt z bijących pokłony nie spieszył im z pomocą, syczeli tylko i składali nieporadne zdania, przeplatając vaerińskie i serklandzkie wyrazy, a czasem tworząc nowe, powstałe z połączenia tych dwóch jakże różnych od siebie języków. Myśli Węza i Płaszcy były jednak jasne, a są one ważniejsze od słów, bo dobry bóg wybacza nieporadność. Modlili się więc za swoich braci i dla swoich braci, prosząc o łaski i nieszczęścia, o boską opiekę i grom z jasnego nieba, o długie życie i nagłą śmierć. Nadal nienawidzili hamramirów, bo zabrali bliźniakom i wężowi ich stare życie. Nadal kochali bestialskich wojowników, bo dali im nowe wspaniałe życie. Prosilili boga o radę i kiedy tak klęczeli, chłonęli ból wygniecionych kolan i skupiali się na tęnym pulsowaniu w uderzającym o skałę czole, promienie padły na ich kark. Poczuli, jak ich skóra matowieje i wysusza się, a ich dotychczasowa wiedza zmienia się w błotnistą skorupę, po czym pęka. Oczy zaszyły im mgłą, ogień zapłonął w ciele i odnieśli wrażenie, jakby mięso przy ich kościach pokryło się kropelkami wrzącej wody. Poczuli się obco we własnej skórze, która zaczęła im się jawić jako stary, przeżarty przez robaki płaszcz uszyty przez braci hamramirów. W odzieniu tym pomieszkiwały pchły i wszy, kłamstwa tańczących wojowników. Czując ból i przyjemność, wytarzali się po kamienistym podłożu, a następnie zaczęli pełzać, kalecząc ciało, gdy zahaczali starą skórą o wystające głązy. Linieli. Zawyli z rozkoszy, gdy skóra pękła na czole. Wychylili ze szczeliny w starej skórze głowę, potem jeszcze mocniej napaarli, wydostając szyję, ramiona, ręce, w końcu zaś tułów i nogi. Dotknęli dłońmi twarzy i wyczuli nową wilgotną skórę. Spojrzeli na zrzucony obcy twór, który był teraz ledwie pyłem na skałach, i uświadomili sobie, że doświadczyli świętej wizji. Zaczęli rosnąć i przyodziewać się zrozumieniem.

Pojęli, jak pogodzić miłość i nienawiść. Dla hamramirów najważniejsze były wierność braciom, wierność konungowi i wierność bogu, ale grzeszyli, zrównując ze sobą te prawa. „Islam” znaczy poddanie się

Allahowi – nie ma więc świętszego przykazania. By swoich braci ukarać i umiłować, pokąsać i zbawić, rozbić i zjednoczyć, cała trzynastka musi pokłonić się Jedynemu i połączyć we wspólnej modlitwie.

Świątynia Orma i Hedinów była rozległa. Nie brakowało w niej miejsca dla nowych wyznawców.

34

Thera zmieniała się podczas nieobecności Ainara, co zgodne było z powiedzeniem jego babki: „Karlmadowie hulają, gdy gospodarza brak”. Pozostawieni na wyspie Vaeringowie nie byli co prawda domownikami Skalda, ale i tak traktował ich jako swoich wolnych służebników, którzy winni mu byli posłuszeństwo. Tymczasem nie przyjęto go winem ani nawet piwem, nie zaśpiewano pieśni ku jego czci, nie uprzątnięto jego namiotu, w którym panoszył się Magnolf Krwawa Siekiera.

Przystań w Dolnej Arkadii została rozbudowana i stało w niej teraz ponad dwadzieścia okrętów, w większości grikklandzkich, wśród których były także wielkie galeidy zwane dromonami. Wojskowy obóz nabrał swojego ostatecznego kształtu. Ziemne i kamienne wały utrzymywano w należytych stanie, namioty stały równo, a wolne przestrzenie były wzorowo uporządkowane. Niegdyś przeważali w obozie najemnicy z Północy, teraz grikklandzcy żołnierze z floty basileusa.

– Nieźle się urządziłeś w moim domu. – Poeta usiadł za stołem w swoim namiocie. Na blacie rozłożona była tablica do gry w hnefatafl, obok leżały rozrzucone kości pokryte runami, służące zapewne do wrózenia. Pośród nich poniewierały się okruszki chleba i kawałek pokrytego białym futerkiem sera.

– Dowodziłem, jak chciałeś – odpowiedział stojący przy stole Magnolf.

– Chciałem, byś utrzymał podwaliny mojego królestwa, a nie oddawał władzę Grikkmadom.

– Nie moja wina, że gardskonung Miklagardu przysyła wciąż nowe statki. Ale Vaeringami władam niepodzielnie, odkąd Gyrgir odpłynął na Samos, by objąć urząd strategosa. Zapytaj któregośkolwiek drenga, kto tu rządzi, a odpowiedź będzie jedna.

Pieśniarz łypnął spod spochmurniałego czoła. Minę miał groźną, choć w duchu cieszyła go bezczelność podwładnego, bo wolał tych, co grożą na głos, niż tych, co szepczą w cieniu ze spiskowcami. Gdy kował słów przyływał rankiem, nie wiedział do końca, czego się spodziewać. Już kiedy najmował Magnolfa, wojak ten cieszył się wielkim mirem wśród swoich ludzi, a później stał się głosem wojowników mniej zadowolonych z panowania Ainara. Mianowanie go zastępcą było jak chodzenie po lodzie wczesną wiosną, bo Krwawa Siekiera mógł pod nieobecność wodza zyskać poparcie wszystkich Vaeringów. Dlatego morski konung bez ziemi wolał nie pytać, kto tu włada, zresztą ostatnim głupcem byłby kagan, który w tym temacie zasięgałby języka u poddanych. Rzeczą władcy jest przypominać ludziom o swoim panowaniu, a nie zachęcać ich do rozważań nad zasadnością jego rządów.

– Niepodzielnie dowodzi wami Ainar Skald!

– Oczywiście.

– Na posiłki przysłane przez gardskonunga wpływu nie miałeś, to prawda, ale wyraźnie ci zaleciłem, byś zostawił hamramirów w spokoju. A ty mi mówisz, że wyjąłeś ich spod prawa, później zaś pozwoliłeś, by znikli bez śladu z wyspy, którą można przejść w jeden dzień?

– Nie bez śladu. Przez ostatnie miesiące zabili wielu moich, to znaczy naszych ludzi – przy pomyłce Magnolf nawet się nie zająknął, jakby ją zaplanował – a rankiem po ostatniej nocy, podczas której słyszano dzikie wrzaski hamramirów, znaleziono kilka straszliwie posiekanych, niemal rozerwanych zwłok, oraz to.

Dreng z wytatuowanymi na policzkach siekierami wyjął z rękawa drewniane ucho, położył je na stole, po czym pogładził się po czarnej bródce splecionej w krótki, związany rzemieniem warkoczyk.

Karmiciel kruków przypomniał sobie pewną spędzoną w irskim

klasztorze noc i trzyletnią dziewczynkę, która zjawiała się u jego drzwi, trzymając w rączce zakrwawione ludzkie ucho. Nie miał więc teraz wątpliwości, kto wyrzeźbił, całkiem zresztą udanie, ten przedmiot. „Czyżby Sela ukradła mi hamramirów?”. Myśl ta napełniła go dumą. Znał prawa trzymające w ryzach szaleństwo bestialskich wojowników i jeśli ktoś zdołałby ich przekonać do złamania przysięgi wierności, zaiste byłby godzien nazywania się potomkiem wężowego języka.

– A ci dwaj, co mają o tym do powiedzenia?

Wskazał na klęczących przy ścianie namiotu mężczyzn, którzy mieli związane z tyłu ręce i worki na głowach. Pieśniarz kazał ich przyprowadzić, gdy tylko usłyszał od Magnolfa o więzionych w jamie ludziach Diarfa Nawlekacza. Wszyscy brali ich za kupców z rozbitego statku, a Krwawa Siekiera rozpuścił pogłoskę, że nieszczęśnicy przegrali w kości sakiewki, które okazały się nie tak ciężkie, jak utrzymywali dwaj obcy, więc z powodu niewypłacalności zostali wrzuceni do jamy.

Magnolf był siłaczem lubiącym popisywać się swoją mocarnością. Podszedł do więźniów, chwycił ich za łachmany i zaciągnął do stołu, każdego trzymając w jednej ręce. Na miejscu ściągnął im worki z głów i wyjął kneble z ust.

Mężczyźni, jak każdy, kto wiele tygodni spędził w wykopanej w ziemi jamie, byli wychudzeni, bladzi i złamani. Nawet się nie rozejrzeli, by poszukać możliwej drogi ucieczki, tylko tępo wbili mętny wzrok w blat stołu, który mieli pod nosem. Klęczeli i nie próbowali wstać, mimo iż nikt im tego nie bronił.

– Co wiecie o rzeźbiarzu, który zrobił to ucho?

Jeńcy milczeli.

– Magnolf twierdzi, że nie wyrwano wam języków, ale jeśli teraz ich nie użyjecie, nie będą wam już więcej potrzebne.

Jeden ze związanych wzruszył ramionami i słabym głosem powiedział:

– To suka Diarfa. Często je rzeźbi.

Ainar pstryknął w więźnia kawałkiem pokrytego futrem sera. Trafiał

w oko. Parszywiec mówił o jego córce, prawda, że wyjątkowo zadziornej wicrzycielce, ale zadaniem ojca, a nie jakiegoś przybłędy, było ganieńie dzieci.

– Podobno jest znakomitą pieśniarką.

– Umie kłamać ładnymi słowami, więc pewnie tak. – Wojownik Nawlekacza zrozumiał ostrzeżenie i nie próbował już obrażać dziewczyny, choć nadal odpowiadał cicho i z wyczuwalną obojętnością w głosie. – Obiecała nam bogactwo i łatwe zadanie, a wylądowaliśmy w jamie.

– To zawdzięczacie już tylko sobie – włączył się do rozmowy Magnolf. – Mogliście do nas przystać, tak jak wam zaproponowałem, gdy przedstawiliście się jako kupcy, ale wy tylko czekaliście chwili, by spróbować mnie przekupić. Mnie, Krwawą Siekierę, który jest honorowym najemnikiem, a nie gwałcicielem umów, chcieliście skłonić do złamania przysięgi wierności i przejścia na stronę Diarfa!

Skald wstał, pokazując w pełni swoją konungowość. Już na morzu schował grikklandzkie stroje głęboko w sakwie i na ląd zszedł ubrany jak Vaering. Nosił niebieskie spodnie obwiązane na łydkach skórzanymi pasami i czerwony kyrtyll z najlepszej wełny, na który nałożył posrebrzaną kolczugę podarowaną mu przez Nikefora Fokasa. Na głowie miał hełm. Byłby oślepiął poddanych swoją dostojnością, ale niestety znajdował się w namiocie, gdzie panował półmrok.

„Dzieci lej w domu” – powtarzał zawsze ojciec, łojąc mu skórę, a choć poeta szczerze nienawidził tego zapijaczonego krzykacza, nauczył się od niego, że rodowych spraw lepiej nie omawiać w szerokim gronie, dlatego wcześniej odprawił wszystkich strażników.

– Nie bądź dla nich taki surowy – zwrócił się do swojego zastępcy. – Przez chwilę i ja miałem podejrzenia, że zechcesz zagarnąć dla siebie mój öndvegi. – Niedbale machnął w stronę wysokiego krzesła stojącego na drewnianym podeście w tyle namiotu.

– Niewiele bym zarobił, kiedy po świecie rozniosłaby się wieść, że zdradzam najmujących mnie konungów. Zresztą nieraz widziałem wpływowych drengów, którzy tak duże bogactwo i męstwo zdobyli na polu

bitwy, że ich plecy stawały się celem dla noży zazdrosnych władców. Ja swoje miejsce znam i dzięki temu dobiegam już czwartej dziesiątki życia. A ludzie mnie szanują i poważają, bo dbam o nasze wspólne sprawy.

– Boś głupi. Ci dwaj złożyli ci dobrą ofertę i powinieneś ją przyjąć. Ale jeszcze nic straconego.

Magnolf uniósł brwi, na jedno uderzenie serca tracąc pewność siebie. Nawet więźniowie wykazali pewne zaciekawienie, jakby odżyła w nich nadzieja na przeżycie. Nie trwała ona długo. Hag biegły w rzemiośle dobył zawieszony na szyi nożyk i wyrzeźbił w szyjach jeńców równiutkie bruzdy. Sztuka dłubania w ciele była trudniejsza niż w drewnie, bo materiał wiercił się i szarpał, przez co morski konung ubabrał się krwią aż po łokcie, a kilka kropel padło mu na twarz i kolczugę. Pomyślał, że Zoe będzie zła, gdy wróci brudny do domu.

– No i po co przez tygodnie ich karmiłem?

– Wiemy już wszystko, a wypuścić ich nie mogliśmy. Szkoda, by zdrowe chłopcygniły w jamie. Ale wróćmy do ciebie. Powiesz wszystkim, że osobiście osądziłem tych dwóch za oszustwo w grze w kości i wymierzyłem im karę. Zadbasz o ich pochówek, bo byli dobrymi i wiernymi wojami, tyle że nie naszymi. Gdy odpłynę, poczekasz siedem dni, a potem weźmiesz cztery okręty, udasz się na Kretę i przyłączysz się do Diarfa Nawlekacza.

– Nie pojmuję. Po co mam narażać na szwank swoje dobre imię? Dobrze mi tu, w służbie gardskonunga.

– Służysz mnie, a nie autokratorowi! A zdradę będziesz tylko udawał, by wciągnąć moją córkę w pułapkę. Chciała się bawić z tatusiem, no to teraz tatuś pobawi się z nią.

– Masz córkę?

– To już nie tajemnica. Sela Skaldmaer, która przysłała tu tych udawanych kupców, pływa z Diarfem Nawlekaczem i mu doradza, a być może nawet nim rządzi. Dotrzyj do nich i przekonaj oboje, że porzuciłeś służbę u mnie, bo jestem łotr, kłamca, pyszałek i skąpiec, który źle traktuje swoich ludzi.

– Kto w to uwierzy? – Magnolf uśmiechnął się kpiąco, po czym dodał: – Będą pytać o tych dwóch posłańców.

– Powiesz, zgodnie z prawdą, że to ja ich zabiłem, odkrywając spiszek i domyślając się twojego w nim udziału, przez co musiałeś uciec z Thery z zaledwie czterema statkami, a nie ze wszystkimi, jak wcześniej planowałeś. Zresztą nie będą zadawać dużo pytań, bo przyćmisz ich dociekliwość wizją olbrzymiego bogactwa.

– Trzeba było od tego zacząć.

– Powiesz im, że niebawem przybędę na Kreteę po łup, jakiego zazdrościć mi będzie smok Fafnir. Przyłynę po skarb kussarów, którego miejsce ukrycia i ty poznałeś, podsłuchując moją rozmowę z serklandzkim przewodnikiem.

– Gdzie jest zatem schowany?

– Najpierw przysięgnij na swój miecz i na Jednorękiego, że gdy zewrę się z siłami Nawlekacza, przyjdiesz mi z pomocą i okażesz mi wierność.

– *Ek sver!* Niech mój miecz i moje siekiery pękną w boju, jeśli złamię tę przysięgę.

Skald zatańczył brwiami, zmarszczył twarz tak, by wyglądać na nieufnego, a potem się rozchmurzył i ściszym głosem, tak by nikt stojący na zewnątrz nie mógł ich podsłuchać, wyjawiał najemnikowi, jak dopłynąć do niewielkiej zatoczki na południowym wybrzeżu Krety.

* * *

Spotkanie z Magnolfem i omówienie spraw związanych z obowiązkami konunga było trzecią z czterech rzeczy zaplanowanych przez Skalda do zrobienia na Therze. Pierwszą stanowiło sprzedanie tutejszym kupcom jedwabiu i innych dóbr, których dostarczenie udało mu się wymóc na Nikeforze Fokasie. W tym zadaniu pomogli mu Gniewos i Thabrand, a w zasadzie zajęli się tym sami. W tym czasie poeta skupił się na drugiej rzeczy, czyli na kupnie domu. Nie było to trudne, jeśli szło się na targi w towarzystwie brodatych olbrzymów z toporami w łapach. Wystarczyło

wybrać odpowiedni dom i wręczyć gospodarzowi dwie ciężkie sakiewki złota, nim wyrzuciło się go za próg. Konung mógłby co prawda nic nie płacić, ale wolał, by właściciel był w miarę zadowolony ze sprzedaży, gdyż w przeciwnym razie mógłby dochodzić swoich praw, kiedy Ainara nie będzie już na wyspie, albo mścić się na nowej gospodyni, czyli Zoe. Pieśniarz obiecał jej kupno ładnego oikosu jeszcze w Basilis Polis, a potem wielokrotnie odnawiał tę obietnicę podczas podróży.

Na wspomnienie dni spędzonych z Kallirroo na ciasnym statku robił się na zmianę twardy i wściekły. Nocne dokazywanie pod stertą futer na pokładzie sunącej po falach snekkji, szukanie jaskiń, zagajników, niedostępnych plaż czy zwykłych krzaków, by złożyć blot bogini miłości, było równie podniecające jak walka w bitwie. Z drugiej strony toczyła z nim przy całej załodze tak zażarte kłótnie, że prawie zniszczyły jego sławę surowego i nieugiętego konunga. By ratować swój mir, musiał zabić dwóch ludzi, którzy najszerzej się uśmiechali, kiedy Zoe strofowała go lub głośno śpiewała religijne pieśni i zachęcała innych do modlitwy. No i była jeszcze sprawa świętego obrazka. Nocą przytwierdziła go do masztu, by strzegł skipu. Gdy styrir zobaczył, że ośmieliła się wbić gwóźdź w jego snekkję, i do tego wywyższyła Krista nad Aegira, o mało nie wszczął buntu. Skald musiał związać pornaskę i schować ją w worku, a potem osobiście porąbać ikonę i wrzucić ją do morza wraz z okazałą liczbą monet, by załagodzić gniew władcy oceanu oraz swojego sternika. Za to, co zrobił, przez trzy dni się do niego nie odzywała, co wszystkim wyszło na dobre. „Babę trzymaj przy krośnie, do wiosła sadzaj mężczyznę” – mawiała mu babka i po tym zdarzeniu obiecał sobie, że już nigdy nie wsiądzie na jeden statek z kobietą.

Czwartą rzeczą, którą musiał zrobić na Therze, było urządzenie kochanki w zakupionym domu. Wyszedł z obozu i ruszył samotnie do Emporionu. Większość jego Niegrzecznych Niedźwiadków została na statku, bo nie chciał, by włóczyli się po Arkadii i opowiadali o skarbach Krety. Zresztą nakazał im odpłynąć z portu i przybić do brzegu kilka mil dalej na północ. Mieli wrócić po niego nazajutrz rano. Z załogą został też Isa ibn Ishak, bo

po tym, co stało się w Miklagardzie, Ainar wolał trzymać go pod strażą i nie wypuszczać na wyspę, gdzie różni wpływowi Grikkadowie z Basilis Polis mogli mieć swoich stronników. Na uboczu nie dało się niestety trzymać Finloga, który uparł się, że zwiedzi obie Arkadie i rozpyta, czy ktoś nie słyszał o jego czarnowłosej żonie. Nie licząc więc vaerińskich kupców jedwabiu, Skald zszedł na ląd z zaledwie trzema zbrojnymi, Zoe i Slavomirusem, z którego zamierzał zrobić opiekuna swojej kochanicy. Jako eunuch nadawał się do tego najlepiej, a jako wierny zauszni Nikefora Fokasa nie powinien być świadkiem wszystkich planowanych czynów poety. Poza tym Ainarowi przyda się na Therze człowiek, który będzie doglądał jego majątku.

Kamienistą, wydrążoną w zboczu drogą dotarł do Emporionu, największego miasta na wyspie, osiedla kupców, winiarzy i dostojników. Stały tu murowane domy, akwedukt, cysterny gromadzące spadającą z nieba wodę i dwa kościoły. W porównaniu z Miklagardem była to wioska na końcu świata, ale miała swój sielankowy urok i urzekająca spokojem, ciszą oraz widokiem na szafirowe morze.

Kupiony dom był średniej wielkości oikosem. Składał się z dwóch przytulonych do zbocza góry budynków przedzielonych wysokim murem z ceglanym daszkiem. Zoe sama wybrała tę posiadłość, gdyż sąsiadowała z głównym kościołem Emporionu pod wezwaniem hagiosa, którego kobieta miała wymalowanego na obrazku, a którego imienia pieśniarz nie pamiętał i pamiętać nie chciał.

Wierzeje nie były zaryglowane, wystarczyło, że pchnął jedno ze skrzydeł, a znalazł się w ogrodzie. Wyjątkowo zielonym, jak na okolicę pozbawioną strumyków i lasów. Rosły tam krzewy oraz posadzone w donicach kwiaty, na środku dziedzińca zaś stało olbrzymie drzewo oliwne. Pod nim leżała ona, jego... jego... Sam już nie wiedział, jak ją nazwać, a może wiedział, lecz nawet w myślach nie chciał wypowiadać tak ckliwych słów jak „luba”, „umiłowana” czy „żona”. Bez wątpienia jej naturą władała teraz Kallirroe Wszechstronna, bo była naga, uśmiechała się lubieżnie, trzymała w rękach dzban i polewała winem swoje pełne, jędrne

i zakończone ciemnymi sutkami piersi. „A gdyby wszedł ktoś inny?” – pomyślał, ale nie potrafił się gniewać, bo podniecała go równie mocno jak pierwszego dnia, kiedy ją spotkał. Najchętniej od razu zaspokoiłby swój entuzjazm, nie mógł jednak przecież tak z nią zlec, ubrany w ciężką, zakrwawioną kolczugę, która mogłaby pokaleczyć delikatne ciało bogini.

Na widok czerwonych plam na jego rękach zmrużyła szalone oczęta o źrenicach umieszczonych odrobinę za blisko marszczonego właśnie noska. Skald zląkł się, że zaraz powróci Zoe, by znów kazać o grzechu, ale tylko pogroziła mu palcem, wstała, podniosła z ziemi sukienkę, zamoczyła ją w małym oczku wodnym zbierającym deszczówkę, podbiegła do pieśniarza na samych paluszkach i otarła mu twarz. Pomogła zdjąć kolczugę, odrzuciła pas z mieczem, rozwiązała rzemienie przy spodniach, odwinęła spjory opasujące łydki, ściągnęła kyrtil. Pieściła kochanka, ale biła po łapach, gdy on chciał jej dotknąć. Nauczył się już, że lepiej poddać się jej gierkom i poczekać na przyzwolenie. Nadeszło, kiedy stał już całkiem nagi, jedynie z nożykiem do rzeźbienia wiszącym u szyi i z drugim kozikiem gotowym do pracy. Wzięła jego dłoń i położyła ją sobie na pupie. Podniósł ją, a wtedy opłotła go nogami. Zaniósł dziewczynę pod drzewo, oparł o pień i zaczął w niej świdrować, a ona szeptała mu do ucha nieprzyzwoitości i podżegała do szybszego rzeźbienia.

Gdy skończył, zaniósł ją do domu, położył na łóżku i z całych sił okazywał miłość przez resztę dnia oraz większość nocy, starając się, by nie wróciła Zoe, ponieważ nie chciał się kłócić przed odpłynięciem. W chwilach odpoczynku leżał w objęciach wybranki, a ona masowała mu skronie, śpiewała o Północy, choć nigdy tam nie była, i zdejmowała z niego brzemie konungowania. Na chwilę zapomniał o sławie, mordzie i krwawych strofach. Zasnął na krótko, nie lękając się ciemności ani swego niewidzenia. Śnił o fiordach i świerkowym lesie.

Wstał, zanim pierwsze łodzie wypłynęły na połów. Ucałował Kallirroe, ale jej nie obudził, bo nienawidził się żegnać. Wiedział, że będzie się wściekała o pozostawienie bez słowa wyjaśnienia. Na swoim wygnięcionym miejscu w łóżku zostawił ciężką sakiewkę, a kolejną położył

na stole w izbie przeznaczony dla Slavomirusa, który jutro powinien uprzątnąć dom i nająć służbę, tak by nowej pani niczego nie brakowało.

Ainara wzywały skarby i ojcowskie obowiązki, a „Niegrzeczny Niedźwiadek”, który po zmianach w konstrukcji kadłuba okrzyknięty został „Żelaznym Niedźwiadkiem”, już na niego czekał wraz ze swoją niegrzeczną załogą.

35

Wielkanoc obchodzono w Byzantionie hucznie, a w roku 6467 wyjątkowo późno, bo już niemal każde drzewo zdążyło się zazielenić, a nawet zakwitnąć. Niemal we wszystkich kościołach wystawiano misterium *Wskrzeszenie Łazarza* i odprawiano kristiańskie rytuały z udziałem duchownych oraz wiernych. Procesje z ikonami i relikwiami płynęły ulicami, chóry eunuchów śpiewały piękniej niż zazwyczaj, a możni przywdziewali swe najwspanialsze szaty, podobnie zresztą jak i biedni, choć świąteczny przyodziewek tych drugich nie różnił się wiele od stroju dnia codziennego. Pałac dawał hojniejsze jałmużny, xenodocheiony przyjmowały na noc wszystkich bezdomnych i karmiły biednych do syta, panowie odrobinę lżej bili swoich niewolników. W tej nabożnej szczęśliwości była jednak i zadra. „Jeszcze tylko kilka dni” – słyszało się na ulicach, bo jak dla pobożnych Wielki Post był czasem oczekiwania na Paschę, tak dla niecnot i wszelkich niespokojnych duchów święta były okresem wyczekiwania na późniejsze hulanki.

Kiedy mnisi wraz z obrazami i wszystkimi świętościami wrócili w końcu do kościołów, ulice wzięli we władanie muzykanci przygrywający na obojach, cytrach i piszczałkach, mimowie oraz kupcy wpychający przechodniom towary. „Służące w piechocie” pornaski przestały udawać pobożne matrony i wróciły do bram oraz zaułków, by obsługiwać żołnierzy. Oberże i domy uciech ponownie zatętniły życiem. W końcu można było – i było gdzie – się upić, pograć w kości, zanurzyć w rozpuście. Jednak dla

wyposzczonych mieszkańców Miklagardu to wciąż było mało. Wszyscy, nawet ci najpobożniejsi, czekali na przywrócenie najważniejszej rozrywki w mieście, co miało nastąpić w drugi poniedziałek po święcie Paschy. W dzień ten hucznie rozpoczęto nowy sezon wyścigów kwadryg. Hipodrom po brzegi wypełnił się kibicami, a wszyscy mieszkańcy Byzantionu znów podzielili się na Błękitnych, Zielonych, Czerwonych i Białych.

Ali Czarny Berserk z obojętnością przyglądał się miejskiemu życiu. Sam nie uczestniczył w żadnych rozrywkach, czy to religijnych, czy cielesnych, bo miał ważniejsze rzeczy na głowie. I to dosłownie, gdyż siedziała tam biała sowa, która dziobała go w czoło i przypominała o niedokończonych sprawach.

Właściciel ergasterionu, gdzie wojownik wybrał się na zakupy, naprawdę nie powinien go tak denerwować, zwłaszcza w dniu, w którym wszyscy krzyczeli i ekscytowali się pierwszymi wyścigami nowego sezonu.

– Nie. Nie chcę kupić ikony żadnego świętego.

– To może jakiś medalion? Gdzieś tu miałem... – Sprzedawca włożył dłoń do małej skrzynki, przebrał palcami stertę ozdób i wydobyl jedną. – A, jest. Ten kamień to krwawnik, znany ze swoich leczniczych właściwości, a znajduje się na nim wizerunek hagiosa Georgiosa z włócznią, największego wojownika wśród świętych. Noszenie go przynosi wielki pożytek żołnierzowi, bo hagios strzeże właściciela medalionu podczas bitew, a kamień pomaga uleczyć wszelkie rany.

– Medalionu też nie potrzebuję.

– Zatem enkolpion? Dobry wybór. Mam droższe, które zawierają relikwie różnych świętych, i odrobinę tańsze, choć również wspaniałe, skrywające pergaminy ze słowami z *Pisma Świętego*. Wystarczy, że zdradzisz mi swoją dolegliwość, skryte pragnienie lub żal po miłosnym zawodzie, a wspólnie znajdziemy odpowiedniego hagiosa, który noszony na sercu pomoże pozbyć się wszelkich trosk i chorób.

– Żadnych wisiorków.

– Daruj panie, ale czemu zatem do mnie zaszedłeś?

Mały, gruby przedstawiciel ludu Armenoi miał zakola, świdrujące oczka i zrośnięte nad nosem brwi. Zamaszyście wskazał swoje towary, po czym rozłożył ręce i westchnął. Jego położony przy Mese ergasterion wypełniały święte przedmioty. Na wystawowym oknie, przez które rozmawiali, stały drewniane i kamienne krzyże, dzbany ze świętymi olejami, naczynia z wodą święconą, relikwiarze, malowane lampki, świece, gwoździe, jedwabne chusty z zakrzepniętą krwią, a nawet kawałek drabiny i ludzka czaszka oprawiona w żelazną ramę. Na ścianach wisały ikony.

- Mówiłem już. Chcę czegoś na uśmierzenie bólu.
- No przecież nic nie jest skuteczniejsze od modlitwy!
- Mówiono mi jednak, że dla wybranych masz coś mocniejszego, co może nieść pomoc doraźną, a nie tylko zaświatową.
- To jest porządny sklepik! Jeśli szukasz jakichś magicznych szatańskich guseł, idź do Andrzeja po drugiej stronie ulicy.

Ali zacisnął pięść. Coraz trudniej było mu odegnąć hamę, która uwiła sobie gniazdko na jego łbie. W chwili słabości chciał zapytać handlarza, czy nie ma czegoś na zwidy, ale powstrzymał się, bo nie powinien zdradzać przed kristmadem, że nawiedza go duch. Poza tym przeczytał najważniejsze księgi grikklandzkich i serklandzkich medyków, mógł więc spróbować samemu się leczyć. Upuszczanie krwi i schładzanie ciała, by opary rozgrzanych płynów ustrojowych nie dostawały się do głowy, nie na wiele jednak się zdały, a w zbawienną moc świętych obrazków jakoś nie wierzył. Zresztą jeśli dobrze wyliczył, za niecałe trzy tygodnie minie dokładnie rok, odkąd zgodził się na nawiedzanie go przez ducha Tirusa Wielkiego, miał więc nadzieję, że niebawem nikt nie będzie mu już mącił w głowie.

- Nie przysyła mnie patriarcha!

Byłoby prościej, gdyby Teofano dała mu pierścień albo inny znak poświadczający, że zakupy są dla niej, ale młodsza augusta dbała o dyskrecję i nie życzyła sobie, by po mieście krążyły wieści o jej magicznych zainteresowaniach.

- A czemuż to patriarchę miałyby ciekawić towary takiego skromnego kupca?

Blamad z łatwością wychwycił niepewność w głosie grubaska. Miał zdenerwowanego handlarza na talerzu, wystarczyło go przypiec, pociąć, pogryźć i przełknąć. Nigdy jeszcze nie jadł Ormianina, a ten tłuściutki okaz wydawał się całkiem smaczkowity. Trzepnął głową, wyrzucając z niej sówią myśl, widząc zaś zdumienie rozmówcy, dodał:

– No nie wiem. Niedawno pewien mnich chodził ulicami miasta i przestrzegał przed czarami sprzedawanymi w świętych opakowaniach. Wspominał coś o lochu i ogniach piekielnych. Wyglądało na to, że szuka kozła ofiarnego. Ale mnie nie musisz się obawiać. – Uśmiech odsłaniający dwa rzędy śnieżnobiałych, spiłowanych zębów świadczył o czymś zgoła odmiennym. – Ja na skargi nie chadzam, a za mną stoją potężni stronnicy, którzy nie wdają się w religijne dysputy.

Berserk wyjął z rękawa ciężki miasek i z brzękiem położył go przed handlarzem.

– Takim stronnikom nie mogę odmówić. Wejdz od tyłu.

Wojownik obszedł wąską fasadę sklepika i ledwo wcisnął się w przejście między dwoma sąsiadującymi ze sobą ergasterionami. Warsztat, będący zarazem domem mieszkalnym i kramem, okazał się podłużnym budynkiem, na którego tyłach znajdował się ogród otoczony wysokim drewnianym płotem. Czarny Achilles wszedł przez furtkę, minął kamienny piec, stertę przygotowanych do malowania desek, cebrzyk wypełniony pędzlami i drewnianą szopę, która zapewne była składzikiem, bo przez uchylone drzwi dojrzał las stojących przy ścianach krzyży. W drzwiach domu czekał już właściciel.

– Zapraszam, zapraszam – powiedział, rozglądając się, czy nikt nie idzie za gościem.

Korytarzem poprowadził Alego do izby z wystawowym oknem, gdzie w zastępstwie kupca stała już otyła kobieta, będąca niechybnie jego żoną, bo była za stara na córkę i za bogato odziana na służkę, a nawoływała przechodniów z takim przejęciem, jakby cały towar stanowił jej własność. Krzyki na nic się jednak zdały, bo większość Miklagardczyków oglądała właśnie wyścigi kwadryg w Hipodromie, więc ulica była niemal pusta.

Handlarz przyzwał Blamada w kąć izby, gdzie nie było ich widać z ulicy, i otworzył wielki kufer pełen dzbanuszków, wisiorków i zawiniątek.

– Na początek proponuję *menicon*. – Ormianin pokazał małą buteleczkę z jasnoczerwonym płynem. – Dostałem go od kupca z Kalabrii, który twierdził, że jest to wywar z nasion i liści maku parzony z sokiem z róży. Działa znakomicie, zapewniam, bo gdy wypiję go na łupanie w krzyżu, śpi mi się wspaniale, a rano wstaję zdrów jak ten koziołek, co po wierchach hasa.

Berserk był przekonany, że medycy w Wielkim Pałacu znają ten medykament, a pewnie umieją wytwarzać coś jeszcze lepszego, ale co będzie wybrzydzał, skoro nie swoimi monetami płacił. Skinął głową.

– Biorę, potrzebuję jednak czegoś mocniejszego, choćby i zakazanego, byle skutecznego.

Kupiec westchnął, lecz musiał się spodziewać takiej odpowiedzi, gdyż trzymał już w dłoni kolejny przedmiot.

– Powiadają, że sam Aleksander z Tralles, nadworny lekarz augusta Justyniana, zalecał jego noszenie.

Wcisnął w dłoń Czarnego Achillesa woreczek, a ten rozwiązał rzemienie niewielkiej sakwy i ujrzał w środku brązowe kulki pachnące leśną ściółką.

– Grudki ziemi?

– Wilcze odchody.

– I jak to niby ma pomóc?

– Powiadają, że wilk to wściekłe i dzielne zwierzę, które zje wszystko i każdą dolegliwość żołądka pokona, a odchody są znakiem jego zwycięstwa nad bólem.

Zdaniem wojownika z Wągadou był to środek mogący co najwyżej pomóc w płukaniu żołądka, ale postanowił kupić gówniany medykament, bo rozbawiła go myśl, że Teofano lub ktoś z jej otoczenia będzie to paskudztwo nosić u szyi.

– Wciąż czekam na coś naprawdę mocnego, bo nie o ból zęba chodzi.

– Tutaj z kolei – handlarz podstawił Alemu pod nos dłoń z przedmiotem,

który wcześniej wyjął z kolejnego ukrytego w skrzyni zawiniątka – mamy pierścień z osadzonym w środku kamieniem medycznym. Przyjrzyj się dokładnie jego powierzchni. Jest tam wyryta postać Heraklesa mocującego się z lwem. Właściciel tego skarbu zdusi w sobie każdy ból, tak jak nasz wielki praprzodek udusił bestię własnymi rękoma. Tylko pamiętaj, by nosić go na serdecznym palcu lewej dłoni, bo od niego biegnie żyła prosto do serca.

– Masz coś więcej?

– A to mało? Te trzy środki z pewnością pomogą, ale jeśli chciałbyś coś naprawdę wyjątkowego, tak rzadkiego, że wartego prowadzącego ogiera z zaprzęgu błękitnej kwadrygi, może coś znaleźć. Tylko obiecaj, że nikomu nie zdradzisz, skąd pochodzi ten towar.

Blamad przytaknął, bo Teofano i tak już o wszystkim wiedziała, a innym nie zamierzał opowiadać, że daje się wykorzystywać auguście jako chłopiec na posyłki.

Grubasek wyjął z kufra małą skrzynkę zrobioną z kości słoniowej. Dobył z niej misternie zdobione kwiecistym wzorem srebrne puzderko nie większe niż liść dębu i płaskie niczym kromka chleba.

– W środku jest pępowina, nie byle jaka, ale należąca do synka dwunastoletniej zakonnicy, która nigdy nie chorowała. Pępowina została namoczona najpierw w matczynym, potem zaś krowim i owczym mleku, a następnie wysuszona, owinięta złotą nicią i zamknięta w srebrnej oprawie, którą tu widzisz. Dla dodatkowego uświęcenia, bo jak wiadomo, Bóg jest najlepszym medykiem, sam patriarcha Polyeuktos pokropił talizman wodą święconą, myśląc oczywiście, że to relikwiarz gotowy na przyjęcie szczątków hagiosa. Kto będzie nosił przy sobie to puzderko, ten czuć się będzie jak nowo narodzony, jakby mu własna matka cyca do ust wkładała i swoją miłością każdy ból odejmowała.

Handlarz mówił tak pięknie, że na chwilę berserk przeniósł się myślami w rodzinne strony, ale sowa zaraz mu przypomniała, jak został wygnany z wioski za popełnione zabójstwa, których nawet nie pamiętał.

– Biorę wszystko – rzucił o wiele głośniej, niż zamierzał.

– To są drogie rzeczy.

Włożył w dłoń kupca sakiewkę, a ten zajrzał do środka, uniósł głowę, po czym znów ją opuścił, blask monet zaś rozpałił w jego oczach płomień chciwości. Ali przepłacał co najmniej dwukrotnie, lecz nie dbał o to, a nawet miał słabą nadzieję, że rozrzutnością przekona mocodawczynię, by w przyszłości nie dawała mu podobnych zadań.

Handlarz zapakował towary do sakwy, którą spatharios przerzucił przez ramię i wyszedł. Z Hipodromu dobiegł jęk zachwytu, a po chwili żywiołowe okrzyki i oklaski, więc albo jeden z wyścigów się zakończył, albo został właśnie urozmaicony widowiskowym wypadkiem.

Czarnoskóry wojownik ruszył ku leżącemu przy północnych murach miasta kościołowi Świętej Ireny, gdzie miał się spotkać z Teofano. Młodsza augusta wykorzystała okazję, by pospacerować po Miklagardzie, gdy na ulicach będzie mniej „motłochu żłopiącego tanie wino i opychającego się czerstwym chlebem” – jak sama raczyła się wyrazić. Wyprawiła się na miasto w odzieniu córki kupca i w towarzystwie trzech dwórek. Jej bezpieczeństwa strzegło dwóch przebranych za rzemieślników członków Hetairii oraz Blamad, wysłany przy okazji po zakupy. Choć Nikefor Fokas przydzielił go do osobistej straży augusty, a ona z radością przyjęła usługi berserka, to jego rola sprowadzała się w ostatnich tygodniach do właśnie tak małych zadań uwłaczających pozycji spathariosa. Nikt nie chciał mu powierzyć żadnej zaszczytnej funkcji typu otwierania drzwi do pałacu skoro świt lub sterczenia przy komnatach augusty, bo wszystkie były sprawowane przez członków Hetairii lub pałacowych gwardzistów. Zostało mu tylko poniewieranie się w najmniejszym oikosie należącym do Teofano i basileusa Romana, gdzie bardziej był noszącym miecz służącym niż strażnikiem.

Z wyludnionej Mese skręcił w sieć mniejszych uliczek i wybrał skrót obok ptocheionu, obskurnego trzypiętrowego przytułku dla biednych, gdzie bywało niebezpiecznie, ale przecież nie dla berserka, choćby i wyglądającego na niewolnika bogatego kupca, bo za takiego przebrali go ludzie Teofano.

Warknął na żebraków, którzy próbowali go otoczyć, lecz chwilę później zrobiło mu się żal siedzącego przy ścianie starca bez nóg, dał mu więc srebrną monetę ze swojej własnej sakiewki. Nie rzucił mu jej jednak do miski, tylko zamachnął się, jakby chciał żebraka zdzielić w pysk, a następnie ukradkiem cisnął mu miliaresion wprost do rękawa. Starzec udał brak wdzięczności, plując Alemu pod nogi. Obaj rozumieli, że gdyby inni żebracy dowiedzieli się o tak hojnej jałmużnie, kaleka jeszcze dziś odszedłby do Pana z nożem w plecach.

Po dwustu krokach znalazł się w ładniejszej okolicy, zabudowanej domami mieszczan i oikosami zamożnych kupców. Brukowana ulica była szeroka, a wzdłuż niej ciągnęły się murki kolejnych posiadłości. Miejscowi ludzie okazali się nad wyraz gościnni, gdyż ku Blamadowi wyszedł uśmiechnięty mężczyzna z bukietem wiosennych kwiatów w dłoni.

– Taki przystojny mężczyzna na pewno zechce kupić kwiaty swojej żonie.

Ali próbował go wyminąć, ale handlarz był zadziwiająco natarczywy i nie dał się zniechęcić posępnej minie Czarnego Achillesa, tylko przycisnął mu bukiet wprost do piersi. Berserk już miał go zdzielić pięścią, gdy poczuł na brzuchu ukłucie. Spojrzał w dół i zobaczył otrze noża wystające spod łodyg. Wprost nie mógł uwierzyć, że pada właśnie ofiarą rabunku, a niecodzienność tej sytuacji sprawiła, że zamiast się wściec, wybuchł śmiechem.

Złodziej na chwilę stracił pewność siebie i też się uśmiechnął, ale zaraz naparł mocniej nożem, przecinając skórę napadniętego.

– To nie żarty, tylko uczciwa wymiana. Za kwiaty wezmę wszystko, co masz przy sobie, lecz jestem pewien, że twoja czarna ukochana będzie bardzo rada, gdy cały i zdrowy wręczysz jej ten bukiet.

– Nie mam żony. Odejdz, synku, zanim wetknę ci te chwasty do gardła i połamię ręce.

– O! Pan odważny się nam trafił. Słyszycie, chłopcy?

Chłopcy w liczbie dwóch nie mieli nic wspólnego z wiekiem dziecięcym. Właśnie przełazili przez pobliski mur. W przeciwieństwie do kwiecistego rabusia wyglądali na zwyczajnych oprychów, z którymi lepiej

nie wchodzić w ciasny zaułek. Dobyli noży i stanęli za plecami berserka.

– To jak będzie z tą wymianą? – zapytał nożownik. – Zgadzasz się, że jest sprawiedliwa?

– Jak Sąd Ostateczny.

Występna trójca nie spodziewała się, że taka góra czarnego mięsa potrafi się tak szybko poruszać. Czarny Achilles skoczył w bok, lekceważąc noże. Ten pierwszy, który był już zakotwiczony w brzuchu uciekiniera z Wągadou, rozciął mu ciało, ale płytko. Pozostałe dwa ostrza minęły plecy spathariosa. Ali dopadł muru i stanął do niego plecami. Odłożył sakwę, zbyt lekką, by zdzielić nią kogoś w łeb. Zresztą i tak miał lepszą broń. Nie był to jego zakrzywiony saif, bo taki miecz nie pasowałby do przebrania, jednak jako ochroniarzowi Teofano pozwolono mu nosić broń rzezimieszków, odpowiednią do walki w ciasnych uliczkach i bramach – długi na dwie stopy sztylet o nazwie macharion.

Jakże miło twarz Alego wachlowały skrzydła. Biała sowa z twarzą kagana Tirusa wyleciała zza pleców Czarnego Achillesa, przemknęła nad jego głową, wylądowała między zbójami, rosła i szkaradniała, aż stała się wielka jak wół oraz brzydka jak hiena, i poczęła spożywać padlinę, która jeszcze padliną nie była, ale stać się nią miała. Bestia zachichotała i zaszczekała, po czym wzięła się do przegryzania nóg, ssania jelit, chłęptania krwi i wysysania szpiku.

Wizja trwała może dwa uderzenia serca, lecz nie wybiła Blamada z równowagi, tylko natchnęła go gniewem i apetytem. Ciało zareagowało odruchowo i nie poddało się zwodniczej myśli, by pochwycić uniesioną do ciosu rękę pierwszego napastnika i się z nią mocować, bo to niechybnie odsłoniłoby go na ciosy pozostałej dwójki. Zamiast tego zrobił unik, a nóż zaskrobał o mur tuż koło jego ramienia, wyginając się i wznecając iskry. Ali kopnął napastnika w goleń, otworzył mu macharionem brzuch i wypatroszył jak rybę.

Kiedy walczy się z trzema nożownikami, nie wolno być gazelą złęknioną ugryzień lwa. Należy liczyć się z ranami i przyjmować je po męsku. Wojownik pochylił się i szarpnął w bok, przez co zadany od tyłu cios

prześlizgnął się po jego żebrach – niegroźnie, choć podniecająco boleśnie orając plecy. Spatharios przeskoczył nad wybebeszoną padliną, odwrócił się w locie i machnął sztyletem niby na oślepa, ale w rzeczywistości mając pełnię władzy nad bronią. W ostatniej chwili zmienił trasę macharionu i samym tylko sztychem przeciął przedramię kolejnego napastnika. Krew siknęła na kamienny mur, a ranny wypuścił broń i przyciskając skaleczoną rękę do brzucha, próbował uciec. Ali ciął ponownie, tym razem w tył nogi, tuż pod samym pośladkiem, gdzie według medyków znajdował się najważniejszy kanał dostarczający do organizmu krew, pożywienie i *spiritus*, czyli tchnienie życia. Trysnęła czerwień, brudząc wykrzywioną w gniewie twarz Czarnego Berserka.

Został ostatni przeciwnik, ten wygadany, któremu zebrało się dziś na kupczenie i z którym należało dobić targu. Zbir nie okazał się tchórzem. Zaatakował śmiało, z namiętnością, zadając pchnięcia ku górze, tak by godząc w brzuch, szpic noża dźgnął i serce. Blamad uniknął trzech takich ataków, a przy czwartym prześlizgnął się wzdłuż wyciągniętej ręki, chwycił ją, wykręcił, i uderzył rękojeścią sztyletu w łokieć, łamiąc tę rękę napastnika, która przed chwilą wręczała kwiaty. Grikklandczyk pisnął, ale krzyknąć już nie zdołał, bo Ali wraził mu sztych macharionu w podbródek i pchał dalej, aż ostrze zatrzymało się na kości.

Wyjął broń, a wówczas najświeższa padlina zwała się na bruk. Widok zachlapanej juchą szyi i przebitej głowy wzmógł głód i pragnienie berserka. Padł na czworaka, zbliżył język do sączącej się krwi i spróbował miodu ludożerców. Zasmakował w nim, co jeszcze zwiększyło apetyt, wbił więc spiłowane zęby w policzek zbira i spróbował surowego mięsa, którego dawno temu obiecał sobie nie jeść. Smakowało życiem i śmiercią, solą i słodyczą, całą wspaniałością ludzkiego istnienia. Hama dołączyła do uczyty i razem spożywali to, co wspólnie upolowali.

Zjawił się też Żelazny Odyniec, wcielenie boga Wertragny, który żelaznymi racicami, żelaznymi szablami i żelaznymi kłami roznosił padlinę na strzepy, ale odganiał sowę i kwiczał pieśń hańby dla Alego. Berserk potrząsnął głową, a wytatuowany na niej wąż Bida zasyczał mu do ucha, że

tak nie postępują wojownicy z Wagadou, którzy nawet jeśli zjadają wrogów, to wcześniej okazują im szacunek, piekąc na ogniu. Serklandzka bogini Manat przestrzegła z góry szalonego drenga, że szykuje mu inne przeznaczenie. Nadleciał archanioł Dżibril, nazywał Manat nierządnicą i zaczął ją gonić po niebie, grząc o sprawiedliwej wojnie przeciwko niewiernym oraz o poważaniu wrogów. Nawet Kristus raczył zejść ze swojego krzyża i pokazać rany, które pozwolił sobie uczynić, a za które się nie mścił. Tylko lis Jurugu prześlizgiwał się między trupami, uradowany zamętem, i połykał jaja ze słowami prawdy, nie pozwalając, by dostały się w ręce Blamada.

Czarny Berserk ryknął jak zwierzę, wziął zamach i rąbnął głową o bruk, a potem jeszcze raz i jeszcze raz, prosząc, rozkazując, modląc się i zaklinając, by demony i bogi wszelakie dały mu w końcu spokój.

Podziałało. Ali spojrzął na nadgryzione ciało, na swoje lepiące się od krwi dłonie i pojął rozmiar własnego upodlenia. Tego właśnie chciała hama, duch kagana Tirusa, który w zemście za niedotrzymanie przysięgi wierności pragnął go złamać, doprowadzić do stanu, by jak oszalała bestia zabijał i rozkoszował się ludziną.

Wojownik obtarł rękawem umazane krwią usta, strącił z nich kawałki skóry i włosów, wypluł chrząstkę i wstał, stając się na powrót człowiekiem, choć mocno sponiewieranym.

Musiał odsunąć gniew, który wciąż się w nim tlił. Zamknął oczy i przypomniał sobie morze falujących traw oraz stada pasących się wołów na sawannach Wagadou. Serce zaczęło mu bić wolniej. Otworzył oczy. Daleki był od spokoju, ale wspomnienie domu i napływające zmęczenie – znak wypalania się berserksgrangu – przywróciły mu zdolność oceny sytuacji.

Na szczęście zawody w Hipodromie jeszcze się nie skończyły, więc ulice nadal pozostawały wyludnione. Nie było sensu ukrywać ciał trzech oprychów, choć warto było im się lepiej przyjrzeć. Blamad zatrzymał wzrok na jednym z napastników. Był przekonany, że gdzieś już widział jego twarz, choć przelotnie, dlatego zaślepiiony gniewem nie rozpoznał jej

podczas walki. Spotkał tego mężczyznę niedawno, z pewnością w tym mieście, z pewnością... „Tak!” – krzyknął w myślach, gdy odnalazł we wspomnieniach właściwą osobę. Gęba należała do jednego z łotrów, którzy udawali zielonych Ekskubitów i próbowali uprowadzić Isę ibn Ishaka. Spatharios od tygodni bezskutecznie szukał śladu tych ludzi, a teraz zyskał pewność, że dzisiejsze spotkanie nie było przypadkowe.

Nie miał czasu tego roztrząsać, ani tym bardziej sprawdzać okolicy, bo usłyszał głosy zbliżających się mężczyzn. Treść ich okrzyków wskazywała, że byli to zawiedzeni kibice, którzy opuścili Hipodrom jeszcze przed zakończeniem zawodów. Schował sztylet do pochwy i chwycił sakwę z medykamentami. Przed odejściem podniósł jeszcze porzucony bukiet, uczciwie przecież opłacony śmiercią jego poprzedniego właściciela. Kwiaty, choć lekko zakrwawione, były piękne, nie powinny więc marnować się na ulicy.

Pospieszył na spotkanie z Augustą Teofano.

Żona basileusa Michała wychodziła właśnie z kościoła pod wezwaniem Świętej Ireny. Był to majestatyczny budynek urzekający krągłościami, kopułą z brązu i rzeźbami świętych, sterczącymi w zaślepionych okienkach na fasadzie świątyni. Przed kościołem znajdowała się mała sadzawka, a przy niej posągi dwóch odzianych w tuniki panien, które trzymały pochylone dzbany, jakby napełniały basenik wodą. Nieopodal stała ławka z białego marmuru, zdobiona na oparciu i poręczach płaskorzeźbami liści oraz kwiatów. Siedziały na niej damy dworu, oczekujące na swoją panią w towarzystwie żołnierzy.

Na widok Alego strażnicy z Hetairii zastąpili mu drogę, trzymając dłonie na rękojeściach macharionów. Stanęli bark w bark w równej linii, tak że nawet berserkowi trudno byłoby się przez nich przebić. Nie dziwił się ich reakcji, bo choć wcześniej starł krew z twarzy, nadal miał juchę na rękach i ubraniu, a zwłaszcza na przyklejonej do brzucha koszuli, gdzie widniała duża czerwona plama.

– Stój, spathariosie! – rozkazał dowódca straży.

Czarny Achilles ani myślał słuchać.

– Ty wy się ruszcie, głupcy. Napadnięto mnie i próbowano ukraść własność dostojnej augusty. Na ulicach nie jest bezpieczne.

– Nikt za tobą nie szedł?

– Nikt z tych, których spotkałem. – Ciemnoskóry wojownik wskazał na plamy krwi, wyjaśniając naturę rozmów ze zbirami.

Żołnierze wlepili wzrok w ulicę, którą nadszedł Ali, jednak niczego nie zauważyli.

Dwórki, zawsze ciekawe nowin, zdążyły już wstać z ławki i przydreptały do gwardzistów. Podeszła do nich także Teofano. Nawet w skromnym odzieniu córki kupca jaśniała urodą jak najcenniejszy klejnot Byzantionu, nie pozostawiając żadnego mężczyzny obojętnym na swoje wdzięki. Choć jej twarz wyglądała w tej chwili na rozmodloną, mężczyźni z Wagadou trudno było sobie wyobrazić, że ta piękna istota przed chwilą klęczała na posadzce i korzyła się przed Bogiem. Podejrzewał raczej, że spiskowała z jakimś mnichem.

– Krew nie jest straszna dla kobiet, więc chyba i moi strażnicy się jej nie zląkną. Zrobiłeś zakupy, przyjacielu mojego ulubionego domestyka?

– Jest wszystko. Z tym zapasem żaden ból nie będzie już doskwierał przyjaciółce Bogurodzicy.

– Zapomniałam już, jak dwornie potrafisz się wysławiać. Dlaczego nie służysz bliżej mnie?

Oczywiście dlatego, że Teofano mu nie ufała. Niegdyś, gdy był blisko domestyka, władczyni sama posyłała po berserka, by go o wszystko wypytywać, jednak kiedy Nikefor odpłynął poszerzać granicę Romanii, jego sługa przestał ją obchodzić.

– Trzymam się na uboczu, ponieważ onieśmiela mnie uroda i świętość dostojnej siostry apostołów. – Słowa zabrzmiałyby lepiej, gdyby udało mu się utrzymać wyniosły, a zarazem grzeczny ton, ale ustępujący szął oraz wyciekająca krew osłabiły wojownika i przytłumiły jego wrażliwość, więc pochwały brzmiały jak wyuczone zdania pozbawione znaczenia.

– Kwiaty też są dla mnie? Dziwny zwyczaj z tym wręczaniem bukietów,

lecz dzięki tobie poczułam się jak szczęśliwa prostaczka bez trosk na duszy. Dziękuję. Mylisz się jednak co do medykamentów, głuptasie. To podarunki dla mojego kochanego teścia, który cierpi na straszliwe bóle brzucha.

Na znak pani dwórki odebrały od Alego zarówno kwiaty, jak i sakwę. Zdziwiła go wieść o przeznaczeniu lekarstw, bo autokrator słynął z pobożności i lekceważenia zabobonów, choć prawdą jest również, że bliskość śmierci potrafi wstrząsnąć nawet świętym. Basileus Konstantyn miał na usługach najlepszych lekarzy, ale żaden nie umiał powstrzymać pogłębiających się dolegliwości władcy, o czym wiele mówiło się w Wielkim Pałacu, choć bezpośrednio otoczenie Porfirogenety zapewniało o jego świetnym samopoczuciu. Nieobecność władcy na religijnych uroczystościach, zwłaszcza tych w okresie Wielkiej Nocy, mówiła jednak więcej o jego zdrowiu niż zapewnienia pałacowych eunuchów.

Wrzawa, która dochodziła od strony Hipodromu, stała się głośniejsza. Można już było zrozumieć pojedyncze słowa pieśni kibiców, którzy grupkami wracali do domów. Wszystko wskazywało na to, że niebawem także ulica przy kościele Świętej Ireny zapełni się ludźmi.

– Chyba rzeczywiście powinniśmy już iść – odezwała się Teofano z wyczuwalnym zawodem w głosie. – Możesz chodzić, spathariosie?

„Co za głupie pytanie”, pomyślał Ali, który wyszedł przecież cało ze stu i jednej bitew, jednak w tej chwili rzeczywiście poczuł się słabo. Zachwiał się i oparł ręką o pierś żołnierza. Wcześniej gniew sprawiał, że ból był przyjemny, a rany wydawały się błahe, ale teraz, gdy szal minął, słowa kobiety stały się prawdą, zamieszkały w nim i odebrały wolę do biegania, kroczenia czy nawet stania. Rozorane plecy zapiekły, a przez palce dłoni, którą przycisnął do brzucha, sączyła się świeża krew. Wsparł się mocniej na wojownika z Hetairii, który niechętnie schował sztylet i przełożył sobie ramię berserka przez kark.

– Nie będziecie go przecież nieśli! Strażnik, który nie potrafi bronić swojej pani, nie jest jej do niczego potrzebny. Posadźcie go na tej ławce. Później kogoś po niego przyślemy.

Wojownik z Wagadou, zwany Czarnym Berserkiem i Czarnym

Achillesem, pozwolił się posadzić na kamiennym siedzisku, jakby był pijanym Skaldem. Widział przez mgłę młodszą augustę odchodzącą wraz ze swoją świtą. Potem utkwiał wzrok w dwóch kamiennych pannach, które napełniały sadzawkę wodą, choć przecież z trzymanyh przez nie amfor nie tryskała żadna kaskada ani strumień, ani nawet kropla. Biała sowa z twarzą kagana usiadła rannemu mężczyźnie na kolanach i zaczęła zlizywać krew z jego brzucha, chichocząc przy tym, ale i płacząc. Chciała zabić Alego czy zasklepić rany, by przedłużyć jego męki?

Odpowiedź nie nadchodziła, czego nie można było powiedzieć o ciemnościach.

36

W górę i w dół, w górę i w dół, i tak w kółko, aż do znudzenia w tym samym rytmie, bo morze było spokojne, a Niegrzeczne Niedźwiadki wprawne w sztuce powożenia snekkją, która płynnie wspinała się i zjeżdżała z morskich pagórków. Podróż, choć nudna, była przyjemna. Słońce grzało, ale jeszcze nie tak mocno, jak w pełni lata, a wiaterek i tryskające spod kila krople orzeźwiały jak pocałunek młodej dziewczyny.

– Żaden ze mnie żeglarz, lecz wydaje mi się, że ta wasza łupina płynie w złym kierunku. Kreta jest tam.

Isa ibn Ishak, niezmiennie w swojej satynowej czapeczce i starannie zaczesanym ku górze wąsik, wskazał za rufę. Na szczęście dla niego większość Vaeringów nie rozumiała grikklandzkiego, bo inaczej wybuchłaby kłótnia o nazwanie „Żelaznego Niedźwiadka” mianem „łupiny”. Najemnicy z Północy traktowali swój statek z równą troską jak mnich *Sagę o Kristosie*, więc drażnienie ich było co najmniej nierozsądne, tym bardziej że ostatnio zrobili się nerwowi. Towarzystwo pięćdziesięciu zabójców, grabieżców i podpalaczy, którzy oczywiście co do jednego byli honorowymi drengami, choć w nocy spali na pokładzie przytuleni do siebie jak śledzie w beczce, nie sprzyjało pokojowej wymianie myśli. Nawet

Ainar, ich konung, mógłby nie załagodzić zwady.

Słowa wypowiedziano jednak po grikklandzku, więc Skald, mało dbający o takie błahostki, jak niegodne określenia skipu czy samopoczucie załogi, wzruszył ramionami. Nie podnosząc oczu znad drewnianka, w którym rzeźbił nagą walkirię z dużymi piersiami, powiedział:

– Wcześniej muszę coś załatwić.

Właściwie to nie musiał, bo był przecież morskim konungiem, więc w swoim działaniu kierował się zachcianką, a nie powinnością. Pierwotnie wcale nie planował udać się na poszukiwanie żony Finloga, chcąc obarczyć tym zadaniem jednego z vaerińskich kapitanów, ale zmienił zdanie, gdy wynikła sprawa z Magnolfem i jego udawaną zdradą. By zamiar wciągnięcia Seli w pułapkę się powiódł, poeta musiał dać Krwawej Siekierze kilka dni, by ten dopłynął na Kretę, odnalazł dziewczynę i przekonał ją do siebie. Dzięki temu pieśniarz zyskał przynajmniej tydzień, szukanie śniącej zaś było ciekawsze niż łowienie ryb. Na dodatek czuł się, jakby był winien irskiemu mnichowi przysługę, a szczęśliwe zakończenie rozłąki tych dwojga dawało nadzieję, że także dla niego i Kallirroe norny wyszły wspólny los. Przeczucie to kłuło go od początku podróży, choć nie wykluczał, że winne owej niedogodności były drzazgi, obecne przecież wszędzie na drewnianym okręcie.

Poszukiwania nie były łatwe. Wyspa miała znajdować się cztery dni drogi na północ od Krety, miała stanowić miejsce lęgowe dla tysięcy ptaków, a skały u jej wybrzeży miały tworzyć łuk przypominający ludzkie ucho. Trudność leżała jednak w tym, że formacje skalne lubiły przypominać to, co człek chciał zobaczyć, liczne ptaki zaś wiły gniazda na prawie każdej grikklandzkiej wysepce. Hvita w snach Finloga też nie okazała się zbyt pomocna i czasem myliła się nawet co do właściwego kursu, bo trans *seiðr* miał to do siebie, że czarownica często widziała w nim wszystko na opak. To, co powinno znajdować się na górze, dostrzegała na dole, to, co leżało na wschodzie, w jej wizji ukazywało się na zachodzie, a to, co w świecie ludzi było zepsute, w transie wydawało się całe. Lub odwrotnie. Podobno niektórzy mistrzowie magii *seið* potrafili wydobyć ze swoich widmowych

krtani jakieś słowa, ale Hvita tego nie umiała, w przeciwieństwie do nieżyjącego już śniącego czarownika Diarfa, który mógł we śnie zadziwiająco dużo przekazać swojemu panu. Pomoc Czarnowłosej sprowadzała się więc tylko do wskazywaniu im palcem kierunku żeglugi.

W pięć dni zdążyli przeszukać dziesięć wysepek. Pomagał im młody, dobrze znający te wody rybak, którego zabrali z jednej z tutejszych osad, darując jego rodzinie życie i jeszcze obiecując godziwą zapłatę. Tak łagodne postępowanie było zasługą Finloga, który nie godził się na grabieże ani mordy, a ponieważ przyobiecał wysupłać zapłatę z własnej kiesy, Skald zgodził się na tę zachciankę. Najwyraźniej dobrze zrobił, bo chłopak w końcu pozbył się strachu, jaki obezwładniał go przez pierwszy dzień wspólnej podróży z Niegrzecznymi Niedźwiadkami, i gorliwie wypełniał swoje obowiązki.

– Tam, panie, nie wolno! – ostrzegł ich szóstego dnia wyprawy, tuż po tym, jak Isa ibn Ishak po raz nie wiadomo który przypomniał poecie, że nie płyną na Kretę. – Tam morze jest robaczywe.

– Tym lepiej. Może dzięki temu tamci za nami nie popłyną.

„Tamci” byli kussarami, którzy jeszcze wczoraj wypatrzyli ich snekkję i ruszyli w pościg, a po przymusowej przerwie dla obu stron na nocleg w okolicznych zatoczkach wznowili z powodzeniem pogoń i od rana tkwili uczepteni ich rufy jak kundel niedźwiedziego ogona. Wprawdzie za Vaeringami płynęła tylko jedna galeida, za to niemal dwukrotnie większa, choć niewiele dłuższa, od „Żelaznego Niedźwiadka”. Nie był to pierwszy serklandzki okręt, na który natknęli się w ostatnich dniach, ale dotychczas maumentsańscy łupieżcy szybko porzucali morskie gonitwy, gdy po wywieszonych na burty czerwonych tarczach orientowali się, że długa łódź z Północy jest statkiem wojennym. Okręty Vaeringów nie przewoziły bogactw, za to były jednostkami szybkimi i zwrotnymi, co przy korzystnym wietrze czyniło je niemal niedoścignionymi dla ociężałych shalandii.

– Robaczywe wody? – Styrrir, łysol z długą rudą brodą, sposepniał, gdy Skald przetłumaczył mu słowa przewodnika. Tharbrand zawsze brał sprawy morza na poważnie. – Nienawidzę skorupiaków, ale na szczęście

zakupiłem od kupców w Miklagardzie beczkę z foczym łojem, którym uszczelniłem kadłub. Na robaki z Północy to wystarcza, więc i na ich kuzynów z Południa powinno podzielać. Możemy płynąć.

Konung kiwnął głową, zezwalając na kurs północno-wschodnim attem. Ten kierunek wskazała Hvita, śniąca się zeszłej nocy Finlogowi, a przewodnik uprzedził ich, że w tamtej okolicy jest tylko jedna większa wyspa i całe mnóstwo małych, bezludnych lub prawie niezamieszkaných łądów, bo wszyscy rybacy i kupcy o zdrowych zmysłach unikają tych niebezpiecznych wód. Okolica była więc świetna na ukrycie śniącej, problem tkwił w tym, że jej dokładne przeszukanie zajęłoby kilka tygodni. Tyle czasu nie mieli, więc Ainar wygładził nożem sutki dopiero co wyrzeźbionej walkirii i rzucił ją do morza.

Pierwsi osadnicy zmierzający na Lodową Wyspę, dopływając do jej wybrzeży, wyrzucali za burtę belki ze swoich starych domów, tudzież słupki wspierające öndvegi, czyli tron naczelnika grupy, i zakładali gospodarstwa tam, gdzie fale wyrzuciły te przedmioty na brzeg. Zdarzało się, że co gorliwsi oddawali wodzie zwłoki przywódcy rodu, ale o tym pieśniarz wolał już swoim ludziom nie opowiadać, bo byliby jeszcze gotowi uznać, że wobec braku rodowego naczelnika nada się i konung. Na szczęście żaden z nich nie miał zamiaru się tu osiedlać, więc figurka gołej, piersiastej walkirii wydawała się odpowiednim talizmanem, by odnaleźć czarownicę, która w transie seid wędruje nago po świecie i nawiedza sienniki mężczyzn. Skald w bogów wierzył, tylko nie za bardzo im dowierzał, więc nie robił sobie większej nadziei na powodzenie wróżby. Nie zdziwił się zatem, gdy okazało się, że niewielka rzeźba tkwi w miejscu, nie mając najwyraźniej ochoty poddać się prądom i wskazać żeglarzom kierunku podróży. Szybko stracili ją z oczu i poecie przemknęło przez myśl, że większą korzyść przyniosłoby wrzucenie do wody byłego munka, dzięki czemu przestałby nawracać jego ludzi i biadolić o swojej ukochanej.

Pod wieczór dnia szóstego dopłynęli do pewnej wysepki, by przenocować. Nie zatrzymali się jednak w żadnej zatoczce, jak to zwykli

robić, tylko wyciągnęli snekkję na plażę. Kosztowało to wszystkich sporo wysiłku, nawet pieśniarza, który siedząc na kamienistym brzegu, musiał wysłuchiwać postękiwań i przekleństw swoich ludzi, ale nie mieli innego wyjścia ze względu na statek. Foczy tłuszczyć może i truć robaki, ale całkowicie od nich nie chronił. Do poszycia przywarło przynajmniej kilkadziesiąt tych stworzeń. Usuwanie ich trwało ćwierć nocy, a po dokładniejszych oględzinach konung przekonał się, że są to ślimakopodobne robale z białą, cienką muszlą, która przypominała mały świder.

Poranek przywitał ich deszczem, co wszystkich ucieszyło, bo na pobliskich wysepkach nie znajdowali wody pitnej, a beczka na ich okręcie robiła się już pusta. Wypłynęli i do południa zdążyli opłynąć trzy wyspy, szukając wskazówek, które mogłyby ich naprowadzić na Hvitę. Finlog chciał dokładnie przeszukiwać każdy skrawek lądu, ale na to nie mieli czasu.

Po południu dnia siódmego natknęli się na serklandzką galeidę, która wczoraj płynęła ich śladem. Przechylony na bok statek osiadł na przybrzeżnych skałach, a jego załoga machała, wzywając Vaeringów do walki lub prosząc o pomoc – trudno było orzec, bo styrir nakazał ominąć shalandię szerokim łukiem z obawy o podwodne skały. Nie omieszkał też po raz kolejny przekląć morskie robaki i pochwalić smar z foczego łoju, który tak przezornie zakupił, płacąc za niego górę złota.

– Niech zlitują się nad nimi bogi morza lub ten ich Mauments, co zad ma jak u kłaczy – rzucił jeden z Niegrzeczných Niedźwiadków. Choć miał bardzo blade pojęcie o wierzeniach kussarów, rozpoczął spór najgorszy z możliwych, bo dotyczący religii.

Skald wspomniał rozmowy, jakimi zanudzali go Kallirro z Finlogiem, i doszedł do przekonania, że tylko jego niezwykła wyrozumiałość dla poglądów innych ludzi sprawiła, iż pogawędki te nie zakończyły się przelewem krwi. Obawiał się jednak, że jego ludziom brakuje równie wielkiej cierpliwości i spór zakończy się bijatyką, ale nie powstrzymał ich, bo sam też się nudził i nie chciał pozbawiać ani siebie, ani ich tej odrobiny

rozrywki. Rozsiadł się wygodnie, oparł plecami o beczkę z wodą, która na stałe była przymocowana do desek okrętu, i zaczął słuchać oraz obserwować. Jak każdy kowal słów miał dar pozostawiania w cieniu, z czego nieraz korzystał, by później oddawać w pieśni wydarzenia, właściwie je kształtując wedle woli swojej lub tego, kto zamawiał u niego drapę albo wisę.

– Oni wierzą w Allaha, którego imię znaczy Jedyny Bóg, i mają rację, bo bóg jest tylko jeden – wyjaśnił Finlog, wskazując na Isę ibn Ishaka, który milczał, bo rozmowa prowadzona była w mowie Północy, czasem tylko zniekształcanej przez język Vindmadów z Gardariki, a znacznie częściej urozmaicanej różnymi sposobami wysławiania się drengów z Noregu, Gautlandu i Danmörku, gdyż nie pochodzenie, ale dzielność decydowała o przynależności do Niegrzecznych Niedźwiadków.

Słowa byłego munka przyjęto buczeniem i ostrzeżeniami, by nie obrażał Aegira, zwłaszcza na morzu, bo to pan mściwy i gotów się sztormem zemścić za uwłaczanie jego boskości. W obronie Barda stanął jednak Gniewos Trzy Niedźwiedzie, który dobitnie stwierdził:

– Jest jeden *goð*, i jest nim Krist.

Drenga z dalekiego Krakgardu nikt nie upomniał, bo wszyscy pamiętali wydarzenie sprzed dwóch tygodni, kiedy mocarz stanął w obronie swojej wiary. Finlog opowiadał im wtedy krótką *thatt* o nadstawianiu drugiego policzka i wszyscy Vaeringowie uznali, że z pewnością nie znajdzie się człek tak głupi, by tę zasadę wyznawać, gdy bić będzie Ulf, najtęższy spośród Niedźwiadków. Zgłosił się Gniewos. Wstał i po męsku przyjął najpierw jeden policzek, a potem drugi, po czym z obitą głową, rozbitym nosem i krwawiącą wargą siadł z powrotem przy wiośle. Jednak gdy rozochocony osiłek uderzyć chciał po raz trzeci, tym razem z zaciśniętej pięści, Gniewos uchylił się, pochwycił łapę przeciwnika, obalił go na pokład i tak długo tłukł go po twarzy jego własną ręką, aż Ulf stracił przytomność. „Bóg nie dał mi trzeciego policzka do nadstawiania” – powiedział i milczał od tej pory, przerywając swoje niemówienie tylko okazjonalnie, by bronić Finloga i kristiańskiej religii. Tamtego dnia Skald

jeszcze bardziej polubił młodego woja, który ponad miesiąc temu zdał w Miklagardzie próbę sukienki i przyniósł Ainarowi dwa ładne kobiece wdzianka. Podarunki bardzo spodobały się Kallirroe, a poecie spodobała się nagroda, którą od niej otrzymał.

– A ja tam w bogów nie wierzę – włączył się do rozmowy jeden z drengów, którego imienia pieśniarz nie pamiętał.

Snekkjamadowie przysiedli właśnie do wiosła, bo wiatr ucichł i kwadratowy żagiel oklapł, jak wieloryb przebity harpunem.

– Jak to nie wierzysz? Ślepy jesteś, że Słońca i Księżycy na niebie nie widzisz? A może i Oceanu, po którego skórze pływamy, też nie dostrzegasz? – Pytania zadał najstarszy z załogi, którego długą brodę pokrywała siwizna, a łysina nie była wynikiem golenia, tylko kaprysu starości.

– No, w tych, co wymieniłeś, wierzę, ale to jakby nie bogowie, tylko rzeczy, których możemy dotknąć lub które oglądamy. Ja nie wierzę w tych wszystkich Asów i Wanów, których nie widać, bo ich nie ma.

– Nie widzisz ich teraz, ale kiedy umrzesz, to się pokażą – powiedział siwy miś z taką pewnością, jakby wyjaśniał synowi działanie cepa.

– Kiedy zemrę, niczego nie zobaczę, bo będzie ze mnie zimny trup. Podobny los czeka nas wszystkich.

– To nie przyjdzie walkiria, by mnie odprowadzić do Valhalli, gdzie będę pił, rznął, gadał z bogami i rozbijał łby sługom Fenrira? – Siwiejący najemnik wyglądał na równie zawiedzionego jak zdziwionego głupotą towarzysza.

– Nie. Będzie tylko nicość.

– I nie powitają mnie chóry niebieskie? Nie spotkam moich dziadów i dziadów moich dziadów, nie będę się z nimi przechadzał po zielonych łąkach, oblicze Krista nie napełni mnie szczęściem, a moja wieczna dusza nie zjednoczy się z Jedynym? – wtrącił Bard, uśmiechając się dobrotliwie. Były mnich jako jeden z nielicznych nie wiosłował, tylko przechadzał się po pokładzie, a teraz zatrzymał się przy siedzących obok siebie

rozmówcach, trzymając się obiema rękami środkowej höfudbendy, która łączyła maszt z bakburtą.

– Nic z tych rzeczy, munku. – Niedowiarek szybko otarł rękawem spocone czoło, bacząc, by jego wiosło nie wypadło z rytmu.

– Czyli co? – Siwy miś nie ustawał w próbie przejednięcia druzynnika, choć wydawał się podenerwowany jego uporem.

– Ano nic.

– Zupełnie nic nie czeka cię po śmierci?

– Nic.

– I w nic innego nie wierzysz?

– W nic.

– To najnudniejsza religia, o jakiej słyszałem.

– Przynajmniej się nie oszukuję i nie słucham staruch, które mają nas głupotami o...

Nie zdążył dokończyć, bo zerwał się nagły podmuch wiatru i na głowę mówiącego spadł ciesielski młotek. Później długo zastanawiano się, skąd wzięło się to narzędzie i czemu trafiło akurat młodzieńca. Niektórzy zarzekali się, że widzieli wyłaniającą się zza chmur rękę boga Magniego, który cisnął ciesielską bronią w łeb człeka, co skąpił mu ofiar. Większość uznała jednak, że ktoś zostawił narzędzie przywiązane do jednego z fałów na szczycie masztu i wisiało tam od samego rana, bo wtedy naprawiano *húnn*, zwany też gniazdem żeglarzy. Nikt nie przyznał się do zaniedbania, a sam styrir potwierdził, że niedowiarek był jednym z naprawiających, więc najpewniej sam dopuścił się niechlujstwa i został za nie ukarany słusznie, choć surowo.

Niegrzeczny wobec bogów Niedźwiadek padł na pokład jak rażony piorunem, a z jego rozbitej czaszki popłynęła cienka strużka krwi. Statek zatańczył na falach, bo część wioślarzy od razu wypuściła z rąk drągi, podczas gdy pozostali zdążyli jeszcze raz lub dwa zanurzyć pióra w wodzie, zanim dotarła do nich wieść o zdarzeniu. Skald był jednym z pierwszych, który znalazł się przy uderzonym drengu i zbadał go, trącając

nogą w brzuch. Wojownik się nie poruszył, a pieśniarz widział już w życiu wystarczająco dużo trupów, by bez schyłania się rozpoznać jednego z nich.

– Był człek, nie ma człeka. – Ainar mówił głośno, tak by słyszano go nawet na dziobie. – Bogowie spełnili jego życzenie, a my oddamy go morskim odnętom.

– Jakże to? Może i był głupcem, ale też jednym z nas. Należy mu się pochówek w kopcu. – W obronę wziął umarłego nie kto inny jak wiosłarz z siwą brodą.

„I marnować na to cały dzień?” – zakpił w myślach konung, ale ludziom musiał sprawę łagodniej wytłumaczyć, bo wojowie lepiej walczą, gdy wierzą, że nagroda czeka ich nie tylko za życia, ale i po śmierci.

– Kto w bogów wierzy i w boju padnie, dostanie godny pochówek, by przyjęto go zimnym piwem i ciepłą dupcią w Halli Zarzniętych Drengów. Ale na tego tu szkoda czasu, bo żaden bóg nie weźmie do siebie kogoś, kto nie oddaje mu ofiar. Wyszło więc na jego, bo nie czeka go żadna przyszłość w zaświatach.

Nikt nie oparł się sile przekonywania Skalda, więc trupa pospiesznie wrzucono do morza. Od razu zniknął pod wodą, żegnany wypowiedzianą przez Irskmada mądrością:

– I powiedział głupiec, że Boga nie ma, a umierając, dowiódł maluczkiem istnienie sprawiedliwości Najwyższego.

Siedmiopalczasty Mnich, który munkiem już wcale nie był, bo chuć wywiodła go z monasteru, miał przemożną ochotę rozwinąć tę myśl w jakieś dłuższe kazanie, ale wódz Vaeringów zmarszczył czoło, złączył ze sobą brwi i zgromił go wzrokiem, dając jasno do zrozumienia, że czas na swobodną wymianę religijnych myśli dobiegł końca. Podobnego zdania był Tharbrand, który zagnał ludzi do pracy, bo wiatr znowu się wzmógł, choć nadal trzeba go było wspomagać wiosłami.

Tego dnia zdążyli sprawdzić jeszcze trzy wyspy, a późnym popołudniem, gdy chcieli dobić do trzeciej, by na niej przenocować, na niebie pojawił się kolejny dziw, o wiele większy niż spadający młotek.

Pierwszy zobaczył go Finlog, który na jego widok padł na kolana i zaczął się żegnać. Zachowanie Barda zwróciło uwagę pozostałych i po chwili wszyscy wpatrzyli się w niebo, które płakało ognistymi łzami.

– To płonące strzały? – zapytał jeden z najemników.

Skald pokręcił głową, ale nie raczył odpowiedzieć, tylko pognął na przód statku i wspiał się na dziobnicę zakończoną rzeźbą łba niedźwiedzia. Z pewnością mieli do czynienia z jakimiś płonącymi obiektami, lecz nie leciały one po łuku, jak pociski, za to kręciły się i wirowały w powietrzu, niczym iskry strzelające z ogniska. Wyteżył wzrok i zrozumiał, zanim jeszcze to dostrzegł.

– To ptaki. Ktoś podpalił ptaki!

„Najpewniej mewy” – dodał w myślach. Było ich z tuzin, choć nie wszystkie płonęły, bo część tylko ciągnęła za sobą smużkę dymu. Po jakimś czasie jedno ze stworzeń przeleciało nieopodal ich statku i wpadło do morza tuż koło sterburty, ale nim przepadło w wodzie, Ainar dostrzegł, że do nogi mewy ktoś przywiązał płonącą szmatę.

– To moja Hvita! – krzyknął Finlog, który zrezygnował z modłów i zaczął płasnąć na pokładzie. – Daje nam znaki!

Poeta też tak podejrzewał. Wkrótce dostrzeżono dwa kolejne płonące ptaki wzbijające się w powietrze z jednej z pobliskich wysepek. Styrir bez czekania na rozkaz napał na wiosło sterowe i obrał nowy kurs.

Ląd okazał się skalisty, niemal pozbawiony roślinności, za to obfitujący w ptaki, które siedziały niemal na każdym wolnym głazie. Opłynięcie wyspy zajęło ledwie tyle czasu, ile kristmadowie spędzali w kościele na niedzielnych modłach. Przepłynęli pod wystającym z morza skalnym łukiem, który przy dużej dawce dobrej woli lub po dzbanie mocnego piwa można było uznać za podobiznę ludzkiego ucha. Sprawdziły się też zapewnienia czarownika co do zatoczki – była tylko jedna, niewielka, za to z plażą, na którą dało się wciągnąć okręt.

Jeszcze nim kil zaszurał o dno, Bard wskoczył do morza i zaczął brodzić ku brzegowi. Hag ruszył za nim, biorąc ze sobą Gniewosa i jeszcze jednego drenga, bo przecież Hvity miał pilnować przynajmniej jeden strażnik,

a Irskmad nie wyglądał na takiego, który potrafiłby obronić swoją kobietę. Nie żeby Skald jakoś szczególnie martwił się o jego bezpieczeństwo, ale głupio byłoby patrzeć, jak na końcu poszukiwań były mnich zostaje zabity u stóp żony. Jako mistrz sztuki skaldycznej wiedział, że byłoby to marne zakończenie pieśni.

Poszukiwania nie trwały długo, czym pieśniarz był lekko zawiedziony, bo po całym dniu siedzenia z podkurczonymi nogami chętnie wyteżyłby kulsy i poćwiczył rąbanie mieczem. Gdy tylko dotarli do plaży i zaczęli wspinać się na najbliższe wzgórze z zamiarem rozejrzenia się po okolicy, zza skał wyszła kobieta. Zachodzące słońce oślepiało ich, więc Ainar wziął ją początkowo za zjawę, ale gdy zmrużył oczy, przekonał się, że była to Hvita w swojej prawdziwej i całkiem pięknej cielesności. Miała na sobie podartą, pozbawioną rękawów sukienkę sięgającą ledwie połowy ud, a w rękach trzymała płonącą gałąź oraz mewę, a raczej koniec szmaty, która uwiązana była do nogi próbującego się wyrwać ptaka. Pasterz pieśni nie widział śniącej od piętnastu lat, nie licząc sennych nawiedzeń, ze zdziwieniem więc zauważył, że czas obszedł się z nią łaskawie. Niegdyś kruczoczarne włosy tylko gdzieniegdzie poprzeplatane były siwymi pasemkami, a niewielkie zmarszczki przy oczach, nosie i czole dodawały twarzy wiedźmy powagi i mówiły, że w jej lędźwiach kryją się niedostępne dla byle młódki umiejętności. Konung mógł ocenić, a w tych sprawach wzrok nigdy go nie zawodził, jej piersi nie opadły, jak u kobiet w wieku Hvity, a jej zwawy krok i zgrabne nogi wskazywały, że i świątynia bogini Gefny pozostawała kształtna i jędrna. Uroda seidkony była więc niezaprzeczalna, nawet jeśli nie tak doskonała jak u jej widma, które zawsze przybierało postać dwudziestoletniej dziewczyny.

Finlog pobiegł ku żonie, a ona wypuściła z rąk mewę i pochodnię, po czym również puściła się pędem. Padli sobie w ramiona i przez jedno uderzenie serca Ainar pozazdrościł przyjacielowi tej chwili, wspominając objęcia Kallirroe i jej gorące powitania. Potem jednak zobaczył łzy na twarzy jednego z małżonków i uświadomił sobie, jak niegodne drenga są takie myśli, które upodobniają mężczyznę do płaczącej baby. Ryczał

bowiem Bard, podczas gdy ukochana czule poklepywała go po plecach i pocieszała jak małe dziecko.

– Dobry pomysł z tymi ptakami. – Skald przerwał im powitanie, po czym zadrwił: – Bardzo widowiskowy, jak uczyty w pałacu gardskonunga.

– Rozpaliłabym ognisko, ale na tej opuszczonej przez trolle ziemi nie ma wystarczająco dużo drewna. Na szczęście ptaków jest tu zatrzesienie, na dodatek dają się łatwo złapać, bo nie chcą opuszczać gniazd.

– A ubrań do robienia im ogonów nie brakowało? – Poeta wskazał na podartą sukienkę. – Szkoda że nie przyplłynęliśmy później, bo twój przyodziewek byłby jeszcze skromniejszy.

– Nie wiesz, że jestem mężatką?

– Nie wiesz, że nigdy mi to nie przeszkadzało? We śnie taka skromna nie byłaś.

Finlog zachnął się na haga i przesunął tak, by zasłonić żonę, po czym zdjął płaszcz i zarzucił go na ramiona Hvity. Gdy zapinał odzienie złotą szpilą, jego palce natrafiły na świeżą bliznę, która zaczynała się na szyi i znikwała za sukienką.

– To dzieło mojego strażnika.

– Gdzie teraz jest?!

Pieśniarz po raz pierwszy tego dnia był dumny z przyjaciela, Bard zachował się bowiem prawie niczym mężczyzna gotowy mścić krzywdy, a nie wybaczać, jak nakazał Krist.

– Nie żyje. Jakoś tak wczesną wiosną, gdy na morzu wciąż szalały sztormy, obudził się pewnego dnia o brzasku i ze łzami w oczach zaczął bredzić o zamordowanym ukochanym i o zemście, jaką na mnie wyrze. Potem rzucił się na mnie z nożem i niemal zabił.

Poeta przypomniał sobie czarownika Pala, któremu przed poderżnięciem gardła wyłupił oczy, by seidmad nie mógł na niego rzucić zaklęcia złego oka, wiadomo wszak, że spojrzenie umarlaka, co za życia znał trollowe czary, zawsze przynosiło pecha. Potem spętał nidingowi ręce, ułożył trupa w grobie, uciął mu głowę i włożył między jego nogi, pierś przygniótł

głazem, a całość przykrył trzema stopami ziemi. Wszystko po to, by nikkzemnik nie zechciał powstać jako draug. I jeszcze trochę dlatego, by szybka śmierć i staranny pochówek uwiązały jego ducha w ciele, a dzięki temu gnił aż do Ragnaröku w ziemi i nie mógł nawiedzać innych ludzi. Najwyraźniej jednak czarownik znalazł sposób, by porozumieć się z kochankiem.

– No widzisz. Niepotrzebnie martwiłeś się o żonę, bo śmierć Pala nic nie zmieniła w jej położeniu.

– *In nomine Patris!* – krzyknął były munk, po czym rzucił się na Ainara z zaciśniętymi pięściami.

Wężowy język jeszcze nigdy nie widział tak wściekłego Irsknada. Finlog nie był jednak berserkim potrafiącym z gniewu czerpać siłę, złościł się więc raczej jak dziecko, które na oślep i bez wprawy tłucze rodziców piąstkami. Gniewos zastąpił mu drogę, co Ainar przyjął z zadowoleniem, jednak gestem nakazał najemnikowi, by się nie wtrącał. Bard minął drenga z Krakgardu i zamachnął się na pieśniarza.

Konung odchylił głowę i pięść tylko musnęła czubek jego nosa. Z łatwością mógł teraz zablokować rękę przeciwnika i wykorzystując jego zachwianie, ubić mu piąchą trzewia, przerobić twarz na połec mięsa lub chociaż kopnąć przyjaciela w tyłek. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy i pozwolił, by ten wyprowadził cios drugą ręką. Przyjął uderzenie na brzuch, po czym objął Siedmiopalczastego Mnicha i ścisnął go tak, że Finlogowi aż strześliło w plecach. A potem uspokoił go jednym słowem, które wyszeptał wprost do jego ucha:

– Wybacz.

„Naprawdę to powiedziałem?” – zapytał się w myślach, bo nie zwykł nikogo przeproszać ani tym bardziej prosić o odpuszczenie win. Był przecież kowalem słów i takie nieprzemyślane słowo nie powinno opuścić jego ust, była to więc pewnie robota jego krnąbrnego wężowego języka, który czasem za dużo syczał, wciągając jego posiadacza w kłopoty. Mimo wszystko w głowie kołatała mu myśl, że źle traktował przyjaciela, od którego otrzymywał tylko życzliwość i dobroć. No i jeszcze trochę trucizny,

ale tę ostatnią zawdzięczał bardziej Seli niż Bardowi.

Prawdziwie zszokowany był jednak Finlog. Przestał się miotać, a kiedy pieśniarz go puścił, stanął jak słup. Odezwał się dopiero po chwili:

– Co powiedziałaś? Mam ci wy...

– Coś ci się przesłyszało – Skald wszedł mu w słowo – albo ten twój Bóg do ciebie przemówił.

– No tak. Dla Skalda przedstawienie nigdy się nie kończy, bo jego słuchacze są wszędzie. Ale nie musisz się bać. Nie zdradzę twojej tajemnicy.

– Niby jakiej?

– Że tam – Irskmad wskazał palcem jego pierś – w tej bezczelnej, dumnej skorupie kryje się człowiek.

– A niby kto inny? Pies? Przestań bredzić i pozwól żonie dokończyć opowieść, jak wyrwała się ze szponów Hel. Zdaje się, że ona radzi sobie w walce lepiej niż ty.

Konung kłopotliwy przymierzył swoją ulubioną ostatnio maskę. Przymknął jedno oko, a drugim łypnął na byłego mnicha, unosząc przy tym powiekę na szczyt czoła. Mina podziałała na Barda, który podszedł do żony i uśmiechem zachęcił ją do mówienia.

– Jak już wcześniej pisałam, pilnujący mnie vardkarl zamachnął się na mnie nożem i nornom niech będą dzięki, że ostrze dziabnęło mnie tylko w bok szyi, a nie w gardło. Uciekłam. Ścigał mnie i był tuż-tuż, ale wpadłam do skalnego wyłomu, gdzie na chwilę stałam się niewidoczna dla jego oczu. Wtedy umyślnie zemdlałam i z jamy wylazłam nie ja, tylko moje nagie widmo, które... – zawahała się i rzuciła mężowi przeproszające spojrzenie – które zdołało skusić łotra, co wolał mężczyzn, ale i kobietą nie wzgardził. Zaczął gonić zjawę. Zwabiłam go na klif, a że wciąż było szaro i do tego mglisto, wodziłam go za nos, skacząc między rozpadlinami i kłucząc między skałami. Pozwoliłam się doścignąć dopiero nad przepaścią, w którą spadł. Gdy wróciłam do niego, już w cielesnej postaci, jeszcze oddychał, choć miał połamane nogi i przetrącony kręgosłup.

Dobiłam go kamieniem, a los tak sprawił, że jego śmierć po części uratowała mi życie. Skorzystałam bowiem z koszuli vardkarla, by zrobić płachtę do łapania ptaków, a portki podarłam na szmatki, którymi wiązałam mewom nóżki i doczepiałam do nich płonące ogony. Już od trzech dni wysyłam wam sygnały, bo zauważyłam we śnie, że jesteście blisko.

– Całą wieczność spędziłbym na szukaniu królowej mego serca – powiedział Finlog, po czym objął ją mocno ramieniem.

– Wszyscy wiemy, że bardowie to kiepscy pieśniarze śpiewający tylko o miłości, zdradzie i nieszczęściu, więc oszczędź nam tego popisu. – Skald głos miał surowy, choć młodzieńcze zachowanie Irskmada raczej go śmieszyło, niż denerwowało. – Dziś przenocujemy na wyspie, a jutro wypłyniemy. Najpierw jednak powiedz, Hvito, czy śniłaś ostatnio o mojej córce.

– A ty myślisz, że moje widmo to gołąb pocztowy? Jeśli ktoś nie chce, bym do niego przyszła, i sam mnie nie nawołuje, bardzo trudno go odnaleźć, zwłaszcza na dużą odległość. Nawet Finloga nie każdej nocy potrafię odszukać. Kiedyś śniłam dużo o Seli i byłam blisko niej, ale teraz ona się ode mnie odcięła.

– Czyli nic o niej nie wiesz, a moje trudy były daremne?

Siedmiopalczasty Mnich rzucił mu spojrzenie, które nie miało nic wspólnego z kristiańskim miłosierdziem.

– Tak, tak. – Pieśniarz zafalował brwiami i uśmiechnął się blado. – Wasze szczęście było dla mnie najważniejsze, co nie znaczy, że nie wypatrywałem szansy, by zyskać przewagę nad Selą.

– Mówiłam ci, drogi mężu, że nic już nie uratuje tego zakochanego w sobie pijaka. W pełni zasłużył na los, jaki zaplanowała mu córka.

– Czyli jednak coś wiesz.

– Wiem, że planuje cię zabić, a wcześniej ośmieszyć i zabrać wszystko, co masz, łącznie ze sławą.

– To tylko gadanie rozpuszczonej córki. Zresztą, co ty wiesz o dzieciach, przecież własnych nie masz.

– Nie mam? – Twarz Czarnowłosej zrobiła się purpurowa jak izba, w której na świat przychodzili Porfirogeneci. – Jak śmiesz. Chowałam twoje dziecko niczym własne przez pięć lat i kochałam je jak swoje!

– Pamiętaj, że kiedyś wyrwałem cię z łap opata, a teraz po raz drugi przybywam ci na ratunek. Okaż trochę wdzięczności!

– Wdzięczności? Ty... – Hvita wzięła głęboki oddech, a potem jeszcze trzy. – Dziękuję za ratunek. Przez wzgląd na stare czasy powiem ci wszystko, co wiem o Seli. Zdołałam ją odszukać przed dwoma dniami i zobaczyłam, że stoi na czele floty vaerińskich statków. Podśluhałem też jej rozmowę z wielkim najemnikiem z siekierami wytatuowanymi na twarzy. Mówili o twojej śmierci, jakimś skarbie i pułapce, jaką na ciebie szykują.

– Zatem wszystko idzie po mojej myśli.

Kobieta o skąym przydzwiewku popatrzyła na niego, jak na tańczącego z bogami odrmada. Pieśniarz lubił zaskakiwać kobiety, choć wolał to robić w pościeli.

– Okażę wam też łaskę godną konunga i odpłacę za wychowanie mojej córki. Wysadzę was na jakiejś ładnej niewielkiej wysepce, gdzie w spokoju spędzicie resztę swoich dni. Od dziś Sela nie jest już waszym zmartwieniem.

– Nie, Skaldzie. – Bard porzucił złość na rzecz zatroskania i jego twarz znów przybrała pocieszny wygląd. – Pokochałem ją jak własne dziecko i nigdy z niej nie zrezygnuję. Weź nas ze sobą i pozwól rozmówić się ze Skaldmaer. Jeszcze wciąż można przemówić jej do rozumu i doprowadzić do waszej zgody.

– Zostało ci trochę tych mew? – hag zwrócił się do Czarnowłosej, a kiedy skinęła, udał rozradowanie, choć martwiły go zapadające ciemności, a co się z tym wiązało, jego pogarszający się wzrok. – Świetnie. Zrobiłem się głodny.

Były mnich chciał protestować i jeszcze chwilę dopraszał się rozmowy, ale nic nie wskórał, gdyż konung oznajmił już swoją wolę, a nie był przecież podlotkiem, by co chwila zmieniać zdanie. Słów łysiejącego

uczonego nie dało się jednak tak łatwo wyrzucić z głowy, bo zawierały sporo racji, choć Irskmad zapewne przeceniał swój wpływ na Selę. Nie zdołał jej powstrzymać do tej pory i nawet nie potrafił zapobiec porwaniu własnej żony. Jediną korzyścią z zabrania tej dwójki byłby dar widzenia Hvity, ale seidkona sama się przyznała, że marny z niej pożytek w śledzeniu poczyną krnąbrnej córeczki Ainara. Czas spędzony z Kallirroie na statku uzmysłowił mu ponadto, jak złym pomysłem jest żeglowanie z babą na pokładzie, a zwłaszcza z kobietą o wybuchowej naturze. To dziwaczne, choć urokliwe małżeństwo byłego munka z praktykującą czarownicą pewnie nie okaże mu wdzięczności za pozostawienie ich na wyspie, lecz będzie to dla wszystkich najlepsze rozwiązanie. Czuł, że Finlog i Hvita zasługują na szczęśliwy koniec, a przy jego boku spotkać ich mogły tylko kłopoty i śmierć. Jemu, konungowi kłopotliwemu, mogli towarzyszyć tylko straceńcy, wilki ciągnące na żer i stada kruków.

37

Kamienie były ciężkie, do tego w upale trzeba było je taszczyć z rzeki lub wąwozu na polankę w samym środku kreteńskiego lasu. Orm i Hedinowie nosili głazy pod pachami, na plecach lub w worku, zależnie od ich wielkości, ale jako jedyni z bestialskich wojowników nie narzekali, tylko radośnie posykiwali i ocierali spocone ciało o zimne odpady gór. Praca zlecona hamramirom przez brata Berhedina trwała cały dzień, bez przerw na jedzenie i picie czegoś solidniejszego niż woda. W końcu pod wieczór stos kamieni był wystarczająco wysoki, by Niedźwiedź ziewnął, mruknął i zezwolił na kolejną pracę. Kopanie dołu.

Wąż i Płaszcz też chcieli pomóc, ale odepchnięto ich z lekceważeniem, bo ich wąskie ramiona nie wzbudzały szacunku starszych i o wiele bardziej postawnych braci. Większą część zadania wziął na siebie Svinhedin, bo mieszkający w jego głowie dzik był mistrzem rycia w ziemi. Orm i Hedinowie wykorzystali chwilę spokoju i usiedli na korzeniu starego

drzewa, by odpocząć, porozmawiać i pobawić się ze swoimi gadami. Zdjęli zawieszony na szyi woreczek ze skóry węża, który w ich ludzkich łapach wiercił się i syczał, rozsypali rzemień, po czym wytrząsnęli jego zawartość na otwartą dłoń. Z sakwy wypadły malutkie żmije. Znaleźli je przed tygodniem. Początkowo wszystkie były podobne do siebie jak krople krwi, choć jedna teraz się wyróżniała, bo leżała nieruchomo. Orm i Hedinowie dmuchnęli na jej wątłe ciało, ale nie dała znaku życia. Pewnie dlatego, że od dwóch dni nie karmili swoich pupilków. Wojownicy odrzucili martwą żmijkę w krzaki, a pozostałym znaleźli po dorodnej dżdżownicy, których pełno wypełzło z grudek przewracanej przez Svinhedina ziemi. Wężyki jadły z zachłannością godną smoków, a kiedy skończyły, rzuciły się na siebie i jęły się przytulać, choć może i dusić, bo tak to zwykle bywa z rodzeństwem, że w jednej chwili potrafi się kochać, w drugiej zaś nienawidzić. Także Orm i Hedinowie potrafili robić obie te rzeczy jednocześnie, dlatego doszło do pochówku ich brata Urrhedina.

Gdy dół został wykopany, zapadła już ciemność, trzeba więc było rozpaść ognisko. Szybko się z tym uporano i zaczęto przygotowywać ciało do pogrzebu. Odziano je w najlepszy strój, jaki posiadał turzy hamramir, czyli w spodnie, kaftan bez rękawów i buty, a wszystkie te części przyodziewku uszyte były z barwionej na czarno skóry. Założeniem butów zajęli się Orm i Hedinowie. Wcześniej starannie obmyli stopy zmarłego i obtarli je do sucha szmatką. To samo zrobili też z dłońmi i twarzą bestialskiego wojownika. Hamramirzy spoglądali z niechęcią na rytuał, ale nie zaprotestowali, bo Berhedin pozwolił każdemu okazywać smutek na swój sposób. Mycie nie w pełni zadowoliło Hedinów w ich wspólnej głowie, lecz musiało wystarczyć, bo przecież nie mogli sprowadzić pod mogiłę serklandzkiego imama, który poprowadziłby modły. Nie sposób też było w tajemnicy przed braćmi zawlec ciężkie ciało do jaskini w górach, gdzie mieli własną świątynię. Las musiał się stać masdzidem, przybytkiem ku czci Jedynego, a oni sami kapłanem. Prosili więc Boga, by spojrzął łaskawie na grzesznika, który stanie przed jego obliczem gotowy do modlitwy.

Gdy Urrhedin był już przysposobiony do ostatniej podróży, dwóch braci podniosło go i ułożyło w komorze grobowej, tak by głowa poległego skierowana była na Północ, ku domowi. Przy jego dłoniach umieszczono Rogi, czyli dwie żelazne kule przywiązane rzemieniami do nadgarstków. Bestialski wojownik prezentował się dostojnie, mimo że pierś miał zapadniętą. Wyglądał też bogato, bo w każdym uchu miał po sześć złotych i srebrnych kolczyków. Niegdyś hamramir nosił takie ozdoby w nosie, ale ten od dawna był nienadającym się do roli wieszaka strzępem kosteczek i skóry.

– Społem, bracia! – krzyknął Berhedin tak głośno, że ptaki z okolicznych drzew zerwały się do lotu. Zostały tylko kruki i wrony, najodważniejsze z ptaszysk, które ze śmiercią zwykły wieczerzać.

Hamramirzy zebrali się wokół grobu, bo czas już nastał, by ostatecznie pożegnać Tura. Rozległo się wilcze wycie, koci pomruk, świński kwik, niedźwiedzi ryk i wężowy syk, a wszystkie te odgłosy połączyły się w jeden.

Do pieśni dołączył się też byk, który zamuczał żałośnie. Trzymany na postronku przez Ulfhedina, kręcił z niepokojem głową i wiercił kopytem dziurę w ziemi, jakby przeczuwał, że nie spotka go tu nic dobrego. Mądre stworzenie. Berhedin i Svinhedin, którzy uważali się za najsilniejszych w bractwie, chwycili zwierzę za rogi i pociągnęli jego łeb ku ziemi. Opierało się, próbowało bóść i biło kopytami, ale w końcu uległo i uklękło tuż nad wykopanym dołem. Czarna skóra błysnęła od potu, z nozdrzy buchnęła para. Oczy zaszklily się, a źrenice zaokrągliły jak u cielaka. Bestialscy wojownicy pozwolili bykowi trochę się uspokoić, po czym Ulfhedin sięgnął po swój żelazny, przez kowala uczyniony Pazur, i poderżnął zwierzęciu gardło. Krew trysnęła na boki, ale główny strumień popłynął wprost na ciało Urrhedina. Byk szarpnął się w ostatnim zrywie męstwa, uderzył tylnymi kopytami o ziemię, lecz nie zdołał ani wstać, ani wyrwać łba z uchwytu. Po trwającej dziewięć uderzeń serca walce zamuczał i zdechł.

Niedźwiedź i Dzik nadal trzymali zwierzęcy łeb, nie dając mu opaść na

ziemię, a każdy z braci podchodził, wystawiał rękę po kapiącą z szyi juchę i pił ją, a potem smarował nią sobie twarz, by nigdy nie zapomnieć o hamramirze, w którego głowie mieszkał Tur. Później przysła kolei na skórowanie. Zadanie przypadło Ormowi i Hedinom, bo nikt nie podważał, że byli mistrzami noża.

Nim wzięli się do pracy, odnaleźli swoje źmije i schowali je do woreczka zawieszzonego u szyi. Mimo wprawy skórowanie zajęło im trochę czasu, który bracia wykorzystali na otwarcie dzbanów z kreteńskim winem. Popijali je ze smakiem. Podarowała im je meykong, wiedząc, że wojownik potrzebuje trunku jak drzewo wody. Sela była dobrą władczynią, która zabrała ich już na dwie wyprawy i pozwoliła złupić kilka wiossek, choć według jej obietnicy prawdziwa rzeźnicka zabawa miała się zacząć niebawem, gdy na wyspę przyplynie Ainar Skald.

Wąż i wojownicy o imieniu Płaszcz syknęli, gdy uporali się z robotą. Berhedin zabrał z ich rąk lepiącą się od krwi skórę i delikatnie nakrył nią Tura aż po szyję, jak matka otulająca dziecko w kołysce. Nagiego byka oddali we władnie Ulfhedinowi, który siekierą odciął zwierzęciu łeb i umieścił go w dole, tuż przy ludzkim czerepie wojownika, tak by wydawało się, że z ciała wyrastają dwie głowy.

– Społem, bracia! – ponownie wezwał ich Niedźwiedź, a kiedy wszyscy stanęli wokół grobu, rzekł: – Był wierny braciom, Göllnirowi i konungom. Po nas był najstarszy i pamiętamy, gdy jako młode turzątko przystał do naszego tańczącego drottu, kiedy w was nie mieszkały jeszcze bestie. Nie uchybił męstwu, był dobrym ofiarnikiem i oddanym towarzyszem pożogi. Padł w boju od odniesionych ran. *Heilsan*^[5] Urrhedin!

Berhedin łyknął solidnie z trzymanego w rękach dzbana, po czym oddał go stojącemu po jego prawej stronie Ulfhedinowi. Nastął czas picia i przemów.

– Był z nas najsilniejszy i nigdy nie sikał tam, gdzie my. *Heilsan* Urrhedin!

Orm i Hedinowie nie byli długo w bractwie, ale wiedzieli, że to prawda. Tylko Gaupahedin z czystej złości oddawał mocz pod tym samym

drzewem co Wilk, podczas gdy dla innych sikanie nie było tak ważką sprawą i szczali, gdzie popadnie.

Następnie dzban trafił do Svinhedina.

– Czasem oddawał nam znalezione żołądźcie, pokazywał pniaczki, pod którymi znajdowały się mięsiste larwy, a bywało i tak, że braliśmy wspólne kąpiele w bajorku. My odganialiśmy mu muchy z pleców. *Heilsan Urrhedin!*

– Był ociężały, nie umiał się skradać i wyżerał połowę z zapasów bractwa. – Gaupahedin, jak to kot, lubił się przekomarzać, ale zgromiony wzrokiem dowódcy dodał pospiesznie: – Muczał najgłośniej z turów, a gdy walnął nas kiedyś kiścieniem, to grzbiet przez pół roku mieliśmy siny. *Heilsan Urrhedin!*

Dzban w końcu trafił do rąk Orma i Hedinów, którzy przyjęli go z pewną niechęcią, bo bliźniacy w ich głowach nie przepadali za trunkiem.

– Zналиśmy go najkrócej z was, ale kochaliśmy go, bo był naszym opiekunem, dla naszego dobra zadawał nam męki i pomógł nam narodzić się na nowo w dole z węzami. *Heilsan Urrhedin!*

Była to prawda, zwłaszcza w odczuciu Orma, który miłował Tura jak ojca, ale wąż musiał ustąpić Hedinom, którzy byli w przewadze i nienawidzili rogatego hamramira. Nie syknęli więc towarzyszym, że to oni go uśmiercili. Zabicie go nie było łatwe, bo nie sposób było zadźgać go we śnie czy choćby udusić, aby pozostali bracia nie zorientowali się w ich winie. Przez wiele dni Wąż i Płaszcz musieli więc łapać żmije i wyciskać z nich jad, a potem dodawać go Urrhedinowi do posiłku, przecierać nim rany Tura, które bez liści Göllnira nie mogły się dobrze goić, a także małymi ukłuciami kościanej igły wprowadzać truciznę do krwi ofiary. I tak ledwo im się udało, bo kilka tygodni temu hamramir zaczął trochę zdrowieć, a rany coraz rzadziej mu się otwierały.

Po przemowach przyszła pora na ucztowanie. Każdy z hamramirów podchodził do stygnącego, ale wciąż jeszcze ciepłego byka i wykrawał taki kawałek mięsa, jaki lubił, a następnie zjadał go na surowo. Orm i Hedinowie wybrali wątróbkę, którą popili kwaśnym winem. Stojąc

i obserwując uczujących braci, poczuli się szczęśliwi. W tej chwili wszyscy wydawali się prawdziwą jednością, bo nic tak nie zacieśnia więzów w rodzinie, jak śmierć jednego z jej członków. Wąż i bracia żalowali tylko, że nie mogli wyjawić towarzyszom, komu zawdzięczają te chwile radości. Z miłości do nich zamierzali podarować im więcej takich uroczystości, choć planowali zabijać już inaczej. Orm w ich głowie nie miał nic przeciwko mordowi z użyciem jadu, ale Hedinowie twierdzili, że winni są drengom bardziej mężną śmierć w walce. Musieli tylko znaleźć odpowiednią okazję i pilnować się, by bracia zbyt wcześnie nie poznali pełzających w węzowej głowie myśli. Pomóc miała im Sela, która na dzień jutrzejszy kazała wszystkim stawić się na długiej łodzi. Obiecała hamramirom wojnę, o której będzie się układać sagi.

– Społem, bracia!

Okrzyk Berhedina oderwał hamramirów od ucztowania i chlania. Niedźwiedź podszedł do grobu i wylał na przykryte skórą ciało cały dzban wina, po czym podniósł głaz i położył go na Urrhedinie. Bestialscy wojownicy wzięli się do pracy i bardzo szybko wypełnili jamę kamieniami, a potem zbudowali z nich sięgający pasa kopczyk. W końcu z wykopanej wcześniej ziemi usypali solidną mogiłę. Niebawem miała porosnąć trawą i stać się niewielkim wybrzuszeniem na leśnej polance, prawie niewidocznym dla oczu osób niewtajemniczonych. Taki był los hamramirów, którzy rodzili się w lesie i po śmierci do puszczy wracali, by dać się ukołysać ziemi.

38

Spokój, cisza, opanowanie. Ali dawno nie zaznał tych trzech rzeczy jednocześnie, ale tego ranka, gdy obudził się w nieznannej sobie izbie, nie czuł żadnej złości, a zza okna dobiegały go tylko miłe dla ucha odgłosy dnia codziennego, takie jak stukot drewnianych sandałów o bruk, ćwierkanie wróbli czy skrzypienie kół przejeżdżającego wozu. Spokój, który

odczuwał, nie był jednak zasługą świata zewnętrznego, łaskawie dziś mniej głośniejszego niż zazwyczaj, ale świata, który nosił w swojej głowie, ekumeny powołanej do życia przez jego własne słowa i myśli. Od razu po przebudzeniu poczuł różnicę. W jego czaszce nie pohukiwała już sowa i nie nękał go głos kagana Tirusa. Czyżby w końcu był wolny? Policzył szybko w myślach. Piezonego konunga spożył dwa tygodnie przed vaerińskim świętem *miðsumar*, zatem jeśli od walki z kwiecistym złodziejem minęło przynajmniej siedemnaście dni, to skończył się już rok, w którym za przyzwoleniem Blamada nawiedzać mógł go dawny pan. Hama nie zjawiła się, by wyprowadzić spathariosa z błędu.

Rozejrzał się po skromnej izbie z siennikiem, na którym właśnie leżał, jedną skrzynią, starym siodłem i kilkoma uzdami leżącymi przy ścianie. Posadzka była kamienna, musiał więc znajdować się w sali dla służby albo w magazynie jakiegoś oikosu. Nie pamiętał, jak tu trafił, a jedynie, że został naznaczony nożem. Pod grubą końską derką, którą był przykryty, wymacał brzuch. Poczuł ból, ale nie natrafił na krew, tylko na pasy materiału, którymi był obwiązany.

Na dźwięk kroków odruchowo chciał sięgnąć po miecz, ale nigdzie w izbie go nie zauważył. Nie zmartwiło go to jednak, bo ten, kto opatrywał Blamada, raczej nie chciał jego śmierci. Gdy drzwi się otworzyły, izba wypełniła się zapachami piżma i olejku różanego, które zawsze towarzyszyły eunuchom.

Do środka wszedł trzebieniec. Niósł misę, sądząc po zapachu – wypełnioną wodą z octem. Początkowo nie zauważył, że berserk odzyskał przytomność.

– Gdzie jestem?

Na dźwięk władczego, choć nieco słabowitego głosu rzezaniec wzdrygnął się, wylewając z misy kilka kropel płynu, ale rychło się uspokoił i postawił naczynie na posadzce, nieopodal siennika.

Ali zorientował się, że przemówił w mowie Wagadou, której tutaj nikt nie znał, powtórzył więc pytanie po grikklandzku.

– Jesteście, panie, w oikosie swojego wybawiciela, dostojnego

Sofroniusza, *hoi faktionárioi* błękitnego demu, mistrza noszącego złoty hełm.

Czarny Berserk kochał prawdę, więc przed samym sobą musiał przyznać, że wieści go zaskoczyły, ale i zaniepokoiły. Sofroniusz był woźnicą, którego przed kilkoma miesiącami bardzo źle potraktował, grożąc śmiercią jego koniowi i jemu samemu. Grikkmad musiał też podejrzewać, że Ali maczał palce w zniknięciu pomocnika woźnicy, a potem w jego uśmierceniu. Ciało, zatopione przez Ainara w podziemnej cysternie, zostało odkryte i rozpoznane, co wywołało małe zamieszanie w błękitnym demie. Na szczęście za morderstwo powszechnie obwiniano zieloną faksję, przez co zginął jeden z jej młodszych woźniców.

– Jak się miewa ten znakomity powożący, w którego kwadrydze biegną konie rączy niczym sam Bucefał? Jego wypadek na Lupercaliach wyglądał bardzo źle.

– I było z nim źle. Do tej pory jeszcze nie powoził, choć w następnym wyścigu pragnie już wystąpić. Wypadek zmienił jednak mojego pana, bo choć zawsze był łaskawy dla przyjaciół, teraz stał się ich prawdziwą opoką, na której wspiera się cała nasza faksja.

– I to on znalazł mnie na ulicy?

– Oczywiście, że nie. Dostojny Sofroniusz jest zbyt mądry, by przechadzać się po dzielnicy opanowanej przez tych przeklętych Zielonych, a i ty głupio zrobiłeś, że na miejsce odpoczynku wybrałeś jedną z tamtejszych ławeczek, na dodatek tuż po tym, jak ich faksja przegrała zawody w Hipodromie. No przecież nietrudno było się domyślić, że natkniesz się na oprychów Zielonych!

– Rzeczywiście, głupio zrobiłem. – Rzezaniec najwyraźniej nie wiedział, że Czarny Achilles został ranny, zanim jeszcze natknął się na wielbicieli wyścigów, ale nie było potrzeby wyprowadzać go z błędu. – Co zdarzyło się potem?

– Nie pamiętasz? Widocznie bili cię też po głowie, dokładnie nie wiem, bo znam tylko to, co opowiadają pałkarze Błękitnych. Miałeś szczęście, że przewidzieli nieczne postęпки zielonego demu i strzegli ulic. To ludzie

z naszego patrolu zauważyli grupkę Zielonych, która tłukła czarnego olbrzyma, a że w naszej falcji każdy cię zna, łatwo zostałeś rozpoznany, potem zaś, już z większym trudem, odbity. Mówią, że stoczyła się tam prawdziwa uliczna bitwa, padło kilka trupów i nawet gwardziści musieli sprowadzić posiłki, by rozdzielić walczących. Ale zwyciężyliśmy, jak zresztą zawsze, a ciebie zaniecono do xenonu zarządzanego przez nasz dem, bo w lecznicy Zielonych już dawno trafiłbyś do ziemi. Miałeś poprzecinane mięśnie, lecz rany nie były tak groźne jak zgnilizna, która zaczęła cię trawić już w lecznicy.

Wspomnienia nagle wróciły, choć tylko niektóre. Pamiętał, jak kilkakrotnie wybudzał się z gorączki. Widział długi drewniany hol o pobielanych ścianach, w którym śmierdziało moczem, octem winnym, świeżym wapnem i zaschniętą krwią. Wiercił się na sienniku. Wokół leżało dwadzieścia, a może trzydzieści innych osób, mężczyzn i kobiet, niektórych gorączkujących i kaszlących, innych chorych i połamanych, a jeszcze innych całkiem zdrowych, choć tylko pozornie, bo cierpiących na najcięższą chorobę miasta – biedę. Pamiętał muchy, które bezskutecznie próbował odgonić od swojego brzucha. I szczura wyjadającego zeschnięty chleb z jego miski. I jeszcze zapach gnicia samego siebie. Dotarło do niego wspomnienie złości, gdy sąsiad z prawej zwymiotował na jego nogę tanim winem, a on zacisnął pięść, jednak nie miał siły, by ją unieść. Tylko patrzył, jak wyręcza go sowa, rozdrapując szponami twarz chorego. Blamad był niemal pewien, że właśnie wtedy po raz ostatni widział hamę.

– Obydwe rany – eunuch wyrwał Alego z rozmyślań – jedna na plecach, a druga na brzuchu, były brzydkie i niebezpieczne z powodu upływu krwi, ale twe prawdziwe problemy zaczęły się, gdy medyk z lecznicy zanieczyścił je błotem. Przez takich partaczy jak on Galen przewraca się w grobie.

– Ale ty mnie później naprawiłeś?

– Niewiele mogłem począć. Oczyszcziłem tylko rany, porządnie je zszyłem i założyłem czysty opatrunek. Potem przyłożyłem pijawki i powierzyłem twe życie Bogu. Wykazałeś się wielkim hartem ducha i zwyciężyłeś

chorobę. Jeśli jednak chcesz dziękować żyjącym, zacznij od mojego pana, który kazał cię tutaj umieścić. Gdy tylko usłyszał, że Czarny Achilles poniewiera się w xenonie, natychmiast po ciebie posłał. Nawet mnie to trochę zdziwiło, bo wcześniej słyszałem, jak źle o tobie mówił, ale później mi wyjaśnił, że fakcjonariusz musi przede wszystkim dbać o dem, któremu przewodzi, a nie o własne porachunki. Gdybyś szczeł w lecznicy, w mieście mogłoby podnieść się larum, że nie dbamy należycie o swoich ludzi.

Sługa przestał w końcu mówić, uklęknął przy wojowniku, pomógł mu ściągnąć koszulę i odwiązał opatrunek. Berserk zauważył, że rana dobrze się zablżyła, a czerwony placek wokół szramy nie był tak duży, jak się spodziewał. Eunuch przemył to miejsce wodą z octem, sięgnął po schowane w skrzyni pasy materiału i zrobił nowy opatrunek. Tak samo postąpił z plecami leżącego.

– Czy ktoś o mnie pytał?

– Był tu taki jeden oprych, ale posłaliśmy go do diabła po węgiel, bo nie chciał wyjawic, komu służy.

Wojownik podejrzewał, że mocodawczynią posłańca musiała być Teofano, która co prawda kazała zostawić ranego spathariosa na ulicy, ale nigdy nie zwolniła go ze służby.

– Przynieś mi coś do jedzenia.

– Apetyt to znak dochodzenia do zdrowia.

Mężczyzna bez brody wstał z kolan, wziął misę i wyszedł. Ali wrócił do radowania się pustką w głowie.

* * *

Jeszcze przez cztery dni dochodził do zdrowia. Był dobrze, choć lekko, karmiony i częstowany przednim winem. Świetnie wypoczął, bo po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna nic go nie złościło. Pragnął pomówic ze swoim wybawcą, by mu podziękować, ale i wybadać jego zamiary, życie bowiem nauczyło Blamada, że mężczyzna nie tak łatwo wyzbywa się

zemsty. Jednak Sofroniusz się nie pojawił i tylko przez eunucha przysłał wieść, że spatharios może gościć w jego domu do czasu wyzdrowienia, ale nie dłużej, gdyż nigdy nie będzie między nimi przyjaźni. Pięć dni od ustąpienia gorączki czarnoskóry wojownik przeniósł się więc do swojej dawnej izby, która mieściła się na poddaszu domu nieopodal Wielkiego Pałacu.

Powinien zgłosić się na służbę do Teofano, ale nie miał na to ochoty. Powątpiewał też, czy w pałacu augusty będzie się mógł czegokolwiek dowiedzieć, bo zawsze był tam dobrze pilnowany i nie dopuszczano go do obowiązków godnych jego umiejętności. A chciał dowiedzieć się wiele, zwłaszcza teraz, gdy w końcu miał jasny umysł. Obiecał Skaldowi rozwikłać sprawę próby porwania Isy ibn Ishaka, a miłość Alego do zbierania słów przednich, tych jedynie prawdziwych, podpowiadała mu, że napad miał coś wspólnego z zamachem, którym żył cały dwór. Z nieudanym otruciem basileusa Konstantyna, choć oficjalnie mówiono, że coś takiego w ogóle nie miało miejsca.

Zlecniodawca napadu na dom Isy ibn Ishaka pozostawał nieuchwytny, choć jego zamiar wydawał się, przynajmniej z pozoru, jasny. Nie chciał dopuścić, by Nikefor Fokas zdobył złoto Krety. Tylko komu mogłoby zależeć na ochranianiu kussarów i utrudnianiu Romanii zdobycia środków do dalszych wojen? Berserk nie mógł rozwikłać tej zagadki, ale miał pewien trop: jeden z ludzi kwiatowego rabusia brał udział w napaści na Isę ibn Ishaka. Złodziej nie mógł już niczego powiedzieć, bo był martwy, lecz Ali miał nadzieję, że w miejscu jego zgonu pozostały jakieś wskazówki.

Lwy najchętniej polują w nocy, więc i Blamad wybrał się na łowy po zmroku. Włożył jedynie stare, wysłużone szarawary o szarej barwie, a do pasa przypiął dawno nieużywany katar. Wiedział, że z nagim czarnym torsem trudniej będzie go dostrzec niż w koszuli, a tatuaż węża na plecach, karku i łysej głowie oraz zwały mięśni i ogólnie wygląd olbrzyma z opowieści dla niegrzecznych dzieci sprawia, że strach oślepi przypadkowych świadków.

Zwłoki kwiatowego złodzieja i jego towarzyszy zostały uprzątnięte już

dawno temu. W ciągu ostatnich dwóch dni woj z Wagadou próbował się dowiedzieć w biurze eparchy, czy ktoś się zgłosił po ciała zabitych, ale oczywiście nikt nie był na tyle głupi, by przyznać się do znajomości z zasztyletowanymi na ulicy rabusiami, dlatego pochowano ich w bezimiennej mogile na koszt polis. Spathariosowi pozostało więc tylko przeszukać okolicę i zacząć się w pobliżu miejsca zbrodni. Miejskie drapieżniki były istotami stadnymi i terytorialnymi, istniała zatem spora szansa, że oprychy, które rządzą okolicą, znały zabitych albo nawet należały do tej samej złodziejskiej watahy.

Pierwszą noc Ali poświęcił na przeszukanie pobliskich domów. Dzielnica piąta była pełna okazałych kamiennych budynków należących do ludzi zamożnych, przez co było to miejsce dobre do rabunków, ale kiepskie do zakładania złodziejskiej siedziby. I rzeczywiście, w większości oikosów Blamad znalazł tylko śpiące rodziny, właściciele miłujących żony lub służące, smakoszy dobrego wina i miłośników gry w kości. By zaobserwować nocne obyczaje Grikklandczyków, włamywał się przez okna na piętrze lub przez heliakony, czyli wsparte na kolumnach lub doczepione do ścian balkony. Zwykle udawało mu się pozostać niedostrzeżonym i tylko czasem musiał ogłuszyć jakiegoś strażnika.

Najciekawszy okazał się dom otoczony wysokim murem, zza którego kilkadziesiąt dni temu wyłonili się złodzieje, by napaść spathariosa. Najpierw zbadał podwórze. Znalazł marmurowe posągi nagich młodzieńców, niewielką cysterną na deszczówkę, kamienny piec, a przede wszystkim dziesiątki klombów z różami, narcyzami i innymi nieznanymi mu z nazwy kwiatami, grządki z werbeną, szafranem i mirtem, kilka pochodzących z Indialandu sandałowców oraz mały staw z liliami wodnymi. Zapach ziół i kwiatów był miły, ale tak mocny, że drażnił nos. Wśród roślin ozdobnych rozpoznał takie, które znajdowały się w bukiecie podarowanym mu przez złodzieja, dlatego wojownik z Wagadou mógłby się z lisem Jurugą założyć o trzy jaja ze słowami prawdy, że rabuś właśnie tutaj je zerwał.

Przez ogród dotarł do największego budynku oikosu, lecz minął go,

wybierając na cel mniejszy domek, który przylegał do głównej rezydencji. Zanim napadnie się szanowanego mieszkańca polis, należało się bliżej zaznajomić z jego niewolnikami, bo często lepiej znali właściciela niż jego rodzona matka.

Noc była parna, wczesnoletnia, przeto nietrudno było znaleźć okno z uchyloną okiennicą. Wszedł do środka i szczęśliwie od razu trafił do przykuchennej izby, w której spali dwaj słudzy zmożeni trudami usługiwania, ale i winem, co znać było po kwaśnym zapachu dominującym w pomieszczeniu. W poświacie księżycy Blamad znalazł lampkę oliwną i zapalił ją od żarzącego się w kuchni paleniska, a następnie podszedł do śpiących i stanął pomiędzy nimi.

– Dzień sądu nadszedł – powiedział głębokim głosem, po czym przybliżył lampę do twarzy i uśmiechnął się na całą szerokość ust, odsłaniając dwa rzędy śnieżnobiałych spiłowanych zębów.

Obaj słudzy najpierw leniwie unieśli powieki i ziewnęli, ale kiedy dostrzegli twarz mówiącego, zapiszczeili, krzyknęli i usiedli na siennikach.

– *Diabolos! Satanas!* – wrzasnął jeden z niewolników i przeżegnał się, a drugi rozdziawił gębę, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

Po takim zagajeniu rozmowa poszła gładko. Bojąc się ogni piekielnych, słudzy wyśpiewali wszystko, mówiąc pospiesznie i bezbłędnie niczym imam przytaczający sury w świątyni. Dom okazał się własnością Jana, wytwórcy pachnideł i darczyńcy zielonego demu, zagorzałego kibica męskich zapasów i opiekuna chóru eunuchów zielonej faksji, który śpiewał podczas zwodów w Hipodromie. Słudzy przyznali, że od czasu do czasu jacyś podejrzani nożownicy wystrzyżeni niczym Hunowie zasadzają się w ich ogrodzie i piją tam wino. Handlarz pachnidłami wielokrotnie próbował ich przegonić przy pomocy swoich sług, ale nigdy nie wzywał straży, bo młodzieńcy wiernie kibicowali zielonemu demowi – tak słowem, jak i pałką. Jan przymykał oko na drobne zniszczenia grządek, byle tylko nie narazić ukochanego demu na utratę kilku gorliwych młodzieńców. Obaj słudzy przysięgli na dusze swoich dziadów, że mistrz pachnideł nigdy nie wchodził w konszachty z oprychami, nawet jeśli ich tolerował. Czarny

Berserk znał się na wzbudzaniu strachu i umiał rozpoznać, czy z człeka o zajęczym sercu wydobywają się słowa odważne i przednie, czy kłamliwe. Uwierzył niewolnikom i nagroził ich dzbanem wina, który zresztą znalazł w ich własnej izbie kuchennej. Grożąc nożem, kazał sługom osuszyć naczynie, czego dokonali w dwadzieścia uderzeń serca. Ali miał nadzieję, że nawet jeśli rano będą go pamiętać, wezmą raczej za dzina pijaństwa lub diabła, który przybył z piekieł męczyć ich za nieumiarkowanie w raczeniu się trunkami ich pana.

Blamad miał przez chwilę ochotę pogawędzić z perfumiarzem, ale po zastanowieniu przestał widzieć w tym sens. Nie był przecież bezczelnym Skaldem, który wypytywanie ludzi sprowadzał do lania ich po mordach, tudzież do nacinania rozmówców nożykiem do rzeźbienia. Tu trzeba było postępować sprytnie jak hiena, która gryzie zwierzynę tylko wtedy, gdy pewna jest zwycięstwa. Najlepszym wyjściem było znalezienie wystrzyżonych łotrów zielonego demu, którzy miłowali róże.

Przez dwie noce spatharios czaił się w mroku nieopodal posiadłości handlarza Jana, wyczekując rabusiów niczym smok wodny czyhający u wodopoju na zebry. Gdy w końcu się zjawili, siedział na heliakonie domu handlarza suknem, skryty za rzędem kolumnienek tworzących balustradę. Z wysokości piętnastu stóp widział prawie całą ulicę i mógł zaglądać za mury otaczające pobliskie posiadłości.

Niewolnicy perfumiarza mieli rację – w wyglądzie czterech młodzieńców rzeczywiście było coś brutalnego i pierwotnego, choć może niekoniecznie huńskiego, lecz raczej chorezmijskiego. Nosili długie brody i wąsy, które jednak były rzadkie, bo jeszcze młodzieńcze. Włosy sięgały im ramion, ale przód głowy mieli całkowicie wygolony, jak w uczesaniu Finloga, choć ten zawdzięczał je wczesnemu łysieniu, a nie fikuśnemu strzyżeniu. Stroje też mieli dziwaczne, bo nosili zielone koszule z długimi rękawami, które na przedramionach były ściśnięte szarfami, ale od łokci rozszerzały się, osiągając przy pachach niebotyczne rozmiary. Gdy draby unosiły ręce, wydawało się, że mają skrzydła, dzięki czemu ich zagrzewanie do boju rzeczywiście uskrzydlało, przynajmniej samych

kibiców.

Berserk przełożył nogi przez kamienną poręcz i zawisł, trzymając się baz dwóch kolumnienek. Puścił się i lekko zeskoczył na bruk. Skórzane żołnierskie sandały wytłumiły odgłos lądowania. Wyprostował się i przytulił do ściany, kryjąc się przed światłem księżyca oraz gwiazd. Poszedł wzdłuż muru łączącego dwa budynki i dotarł do trawnika, gdzie na środku rósł rozłożysty jawor. Schował się za grubym pniem, skąd mógł z bliska obserwować młodych „Hunów”.

Mężczyźni zachowywali się głośno, choć początkowo nader przyzwoicie. Rozmawiali o wyścigach, śmiali się i pili – oczywiście wino, bo czymże innym mogli raczyć się kibice nocną porą? Trunek żłopali wprost z wielkiej amfory, którą przekazywali z rąk do rąk. Niewielu ludzi hasało po mieście o tej porze, ale ci, którzy zapuścili się w uliczkę okupowaną przez Zielonych, przyspieszali kroku i omijali kibiców szerokim łukiem. Większości przechodniów udawało się uniknąć spotkania, bo młodzieńcy nie zaczepiali ich inaczej niż tylko szyderstwami i wyzwiskami. Gdy jednak w uliczce pojawiła się młoda kobieta pachnąca wodą różaną i nosząca suknię z głębokim dekoltem, „Hunowie” otoczyli ją, zaczęli skakać i machać rękami jak małpy nazywane przez uczonych callitrixami. Ali wyczytał u Izydora z Sewilli, że stworzenia te mają ostro zakończone twarze i długie brody, a ich głównym zajęciem jest pokraczne naśladowanie ludzi.

Kobieta bez wątpienia była pornaską, sądząc zaś po urodzie, niezbyt drogą, nie miała jednak zamiaru sprzedawać się agresywnym kibicom. Uśmiechami i drobnymi złośliwościami dawała do zrozumienia, że spieszo jej do domu, i zgrabnie próbowała wyminąć napastników. Nie dawali jednak za wygraną i ustąpili dopiero wtedy, gdy obłapiana za cycki kobieta uderzyła jednego z nich kolanem w krocze, a ten cofnął się, piszcząc i złorzecząc pod nosem. Pozostali stracili zainteresowanie pornaską, woląc się naśmiewać z cierpiącego towarzysza.

Ćwierć nocy brodacze z zielonej faksji zmitrężyli na przesiadywaniu w pobliskich ogrodach, pijąc, niszcząc kwiaty i zaczepiając przechodniów,

aż w końcu znudzili się i ruszyli na zachód, w stronę dzielnicy szóstej i siódmej. Tu zachowywali się odrobinę spokojniej, jak psy, które głośno szczekają na swojej posesji, ale milkną, opuszczając podwórko. Dzielnica szósta należała do błękitnego demu, a kolejna do białego. Nieopodal świątyni Marii Diakonisy schowali się na małym cmentarzyku, dostrzegając błysk pochodni i słysząc stukot ciężkich żołnierskich butów i brzęczenie kolczug. Postąpili rozważnie, bo po chwili ukazał się patrol Numerów w białych płaszczach. Ali, cały czas śledzący młodzieńców, ledwo zdążył się schować za odlanym z brązu posągiem augusta Konstantyna.

Przy Wielkim Nimfeum, który był ogromnym sztucznym wodospadem, a zarazem głównym węzłem rozprowadzania wody pitnej do domów, pojawił się jeszcze jeden patrol, tym razem Vigłów. Do ich obowiązków należała nocna straż przy Wielkim Pałacu, ale czasem pilnowali też dróg prowadzących do innych posiadłości rodziny autokratora. „Hunowie”, tak jak i podążający za nimi pies gończy z Wagadou, schowali się między dolnymi łukami akweduktu Walensa. Nawet w nocy dwupoziomowa budowla robiła ogromne wrażenie, niczym wzniesiony przez dżiny kamienny most, który łączył trzecie i czwarte wzgórze miasta.

Dalej czwórka brodaczy poszła wzdłuż akweduktu. O dziwo zachowywała się tak cicho, że Ali mógł wsłuchać się w szum strumienia płynącego w kamiennym korycie czterdzieści stóp nad ich głowami. Po jakimś czasie kibice odbili w prawo, pokręcili się po mniejszych uliczkach, aż dotarli do kamiennego, ale obskurnego, bo od dawna nieremontowanego, budynku, który przy wejściu miał tabliczkę z napisem „Rączy Koń”. Mężczyźni zniknęli w środku pandokeionu, a Blamad schował się za sąsiednim budynkiem, nie chcąc wchodzić zaraz za młodzieńcami, bo ktoś mógłby zauważyć, że ich śledził.

Poza tym oberży nie wypadało odwiedzać półnago, wypatrzył więc wychodzącego z niej pijaka, zaszedł go od tyłu i zdzielił pięścią w łeb, pozbawiając przytomności. Zdjął z mężczyzny płaszcz z kapturem, po czym zaciągnął ofiarę na bok i przerzucił przez niezbyt wysoki mur otaczający sąsiednią posesję. Ubrany w zdobyczną paenulę, z kapturem mocno

zaciągniętym na czoło, wszedł do „Rączego Konia”.

Od razu zrozumiał, skąd wzięła się nazwa przybytku – na środku posadzki znajdowała się mozaika przedstawiająca zamkniętego w obręczy rumaka, który stał na zadnich nogach i bił kopytami w powietrze. Była to jedyna oznaka niegdysiejszej świetności tego miejsca, może nawet niegdyś pałacu. Teraz ściany pozbawione były zdobień, za to widniały na nich obraźliwe napisy, obsceniczne rysunki i zielone plamy, co dobitnie pokazywało, przez jaką fakcję opanowana została oberża. Na obdrapanych kolumnach wisały lampy i pochodnie, a na jednym ze słupów Czarny Achilles dostrzegł powieszoną, jak na szubienicy, prostą szmacianą lalkę w błękitnym kolorze. Wszędzie stały ławy, stoły, ale i akkubity, na których, w półleżących pozycjach i wsparci na poduszkach, odpoczywali podejrzanie wyglądający mężczyźni. Niektórzy trzymali w objęciach rozneglizowane pornaski i bez żadnego wstydu się z nimi zabawiali.

Czarny Achilles wybrał miejsce z dala od świateł, w rogu sali, gdzie siedzieli pijani starcy śpiewający pod nosem: „Błękitni jak baby są bitni” i „Wiosenne chłopaki dzielne są jak szpaki”. Przywołał niewolnika i kazał sobie przynieść dzban wina, by nie rzucać się w oczy zbytnią trzeźwością.

Brodacze, których śledził, dosiedli się do innych podobnie wystrzyżonych mężczyzn, ale nie zostali przez nich dobrze przyjęci. Kibice o coś się kłócili, choć w pijackiej wrzawie, jaka panowała w izbie, berserk nie słyszał ich dobrze. Pojął jednak, że czwórka „Hunów” była po prostu młodzikami, niezbyt chętnie przyjmowanymi do towarzystwa starszych pałkarzy, którzy ustawiali uliczne bitki i pilnowali rabusiów na swoich terenach. Ci starsi byli ubrani i wystrzyżeni bardziej po żołniersku, nosili krótkie brody, proste wojskowe płaszcze, a niektórzy mieli łyse, naznaczone bliznami głowy. Wśród nich czarnoskóry wojownik zobaczył osobę, która wydała mu się znajoma, choć nie miał co do tego pewności, dopóki mężczyzna nie obrócił się w jego stronę, a na twarz nie padł blask pochodni. Rozpoznał jednego z oprychów, którzy brali udział w napaści na dom Isy ibn Ishaka, ale co gorsza, mężczyzna dojrzał i jego. Kibic dał znać swoim towarzyszom i siedmiu z nich podniosło się w ślad za przywódcą,

po czym ruszyło ku Alemu.

Blamad włożył rękę pod płaszcz i zacisnął pięść na katarze. Mógł spróbować uciec, a w tłumie pijaków mogło mu się to nawet udać, ale nie po to zmitrężył kilka dni i nocy na poszukiwaniach, by teraz odejść bez żadnych odpowiedzi. Spokojnie przyglądał się, jak otacza go ośmiu nożowników.

– No, no. Dobrze dojrzałem, że to wielki Czarny Achilles. Patrzcie chłopcy, zawitał do nas pierwszy miecz błękitnej faksji! – Dowódca mówił głośno, ale tak, by słyszeli go tylko towarzysze, a nie wszyscy na sali. Berserk wziął to za dobry omen, bo najwyraźniej oprych nie chciał, by cała gospoda poznała jego tożsamość, co dawało nadzieję na rozmowy pokojowe. Do takich z pewnością by nie doszło, gdyby pijany motłoch dowiedział się, że zamiast niebieskiej lalki można by powiesić na słupie prawdziwego członka błękitnego demu.

– Do usług. Z kim mam przyjemność?

– Trza przyznać, że jaja masz jak u słonia. Żeby mieć czelność zjawić się w naszym zielonym gnieździe? – Łysy drab pokręcił głową z niedowierzeniem. Z pewnością miał za sobą wojskowe przeszkolenia, a pewnie i długą służbę, bo jego ruchy były pewne, ręce nie drżały, a oczy uważnie się wszystkiemu przyglądały, jakby chciał ocenić ryzyko, prześledzić drogi ucieczki i przewidzieć możliwe działania przeciwnika.

– Są ogromne. Mam pokazać?

– Tak, o ile wyjmiesz rękę spod tego płaszczu.

– A ty schowasz nóż do pochwy?

– Nigdy.

– To i mojej jaja pozostaną zakryte.

Oprych zaśmiał się głośno. Miał na sobie krótką zieloną tunikę bez rękawów, przez co dobrze widoczne były wytatuowane na obu jego ramionach kwadrygi.

– Domyślam się, że dotarłeś tu za tymi czterema głupkami.

Ali skinął głową, bo nie miał powodu, by kryć młodzików.

– Powinienem ci pewnie podziękować, że nie wzięłaś ich na męki i nie zasztyletowałaś w ciemnej uliczce, ale nie zrobię tego. Przez ciebie sam będę musiał wymyślić karę dla moich niewydarzonych siostrzeńców. Choć po części to i mój błąd. Doniesiono mi przecież, że ktoś podobny do ciebie włóczy się nocami w okolicach domu perfumiarza Jana.

Rozmówca był zbyt pewny siebie, więc Czarny Berserk zbił go z tropu uśmiechem, kryjąc tym własne zdziwienie, bo naprawdę sądził, że w ostatnie noce nikt go nie spostrzegł.

– Nie tak łatwo ukryć przed światem to cielsko. – Wolną ręką klepnął się w pierś, będąc pewny, że nikt z obecnych nie ma szerszej.

– Radziłaś sobie bardzo dobrze, ale ja wszędzie mam swoich mandatorów, którzy przychodzą do mnie z wieściami, zanim jeszcze zwierzą się żonie. Dość jednak o mnie. Pora wypytać naszego gościa, z czym przychodzi.

– Z okazją na zarobienie stu sztuk złota.

– Spory kopczyk. Pewnie obraziłbym twoją przebiegłość, gdybym powiedział, że najpierw możemy cię zabić, a potem zabrać sakiewkę.

– Obraziłbyś. Nie mam jej przy sobie.

Przywódca zbirów westchnął i podrapał się nożem po przedramieniu. Na posadzkę posypały się grube czarne włosy, które zarastały każdy widoczny skrawek jego ciała.

– Jaka to robota? Mamy kogoś zabić?

– Nic z tych rzeczy, to łatwa i przyjemna praca. Wystarczy, że odpowiesz na jedno moje pytanie.

– Zadaj je, a zdecyduję, czy masz wystarczająco dużo złota, by poznać odpowiedź.

– Kto zlecił ci napad na dom, w którym przetrzymywano Isę ibn Ishaka?

– I to ma być łatwa robota? Prostsze byłoby zabójstwo.

– Tych masz zapewne pod dostatkiem. Przyda ci się odmiana.

– Prawda. Odpowiem, jeśli do monet dorzucisz coś jeszcze. Zostaniesz zawodnikiem zielonego demu i wystąpisz dla nas w zapasach albo w innej

walce, która odbędzie się podczas następnych igrzysk w Hipodromie.

– Mógłbym to obiecać, ale nie chcę cię oszukiwać. Skończyłem z demami. Mogę jednak zapewnić, że nie stanę też po stronie Błękitnych. Pomóż mi, a wasi rywale stracą cennego sojusznika.

Oprych zastanawiał się chwilę, goląc sobie w tym czasie drugą rękę.

– Za te sto monet tylko przytaknę, jeśli sam zgadniesz.

– Augusta Teofano?

Ali sam nie wiedział, co go podkusiło, by podjąć takie ryzyko, choć podejrzania co do władczyni już dawno go nachodziły. W końcu napaść rabusiów z kwiatami też wyglądała na nieprzypadkową. Czyżby Teofano ich wynajęła, by pozbyć się berserka, bądź co bądź świadka próby porwania, który na dodatek zadawał niewygodne pytania?

– Ta aktoreczka? Niechby tylko do mnie przysła, a już żaden dworski wypachniony kutas by jej nie dogodził, bo myślałaby tylko o moim. Błędnie się domyślasz i straciłeś właśnie mały majątek. Teraz grzecznie wstaniesz i zaprowadzisz nas do moich monet.

Pojawiła się nagle jak wschód słońca na pustyni. Biała sowa z twarzą kagana, a niosła na skrzydłach gniew i nienawiść. Blamad wyszarpnął spod płaszcza katar i wraził go w brzuch zdziwionego wytatuowanego draba. Zacisnął pięść i usłyszał zwalniany mechanizm, gdy dwa ukryte ostrza wystrzeliły z boków głównej klingi, tnąc i rozrywając wnętrze kibica. Wyszarpał broń, która wyglądała teraz jak metalowa kurza łapka o trzech pazurach. Zwisły z niej jelita. Zbliżył wygięte w dzióbek usta do zimnego żelaza i wciągnął do buzi długie smakowite jelito, jakby był sową jedzącą robaki. Poczuł noże, dziesiątki noży, które wbijały się w jego plecy, ale nie przejmował się tym, tylko jadł i rzygał krwią. Spożywał i umierał. „Tęskniłeś”? – usłyszał w swojej głowie, a potem rozległ się pohukujący rechot. Coś nadal kłuło go w plecy.

– Odleciał. Pewnie za dużo wina wychlał i doznał pijackiego otępienia.

Głos jednego z oprychów przywrócił go do życia. Ktoś rzeczywiście szturchał go nożem w plecy, ale wszystko inne było widzeniem,

proroctwem, a może zwykłym kłamstwem. Sowa znów z niego drwiła.

– Wybaczcie. Tak głupio straciłem tyle monet, że zaniemówiłem. Ale pozwól, że dam ci ich więcej – zwrócił się wprost do przywódcy kibiców.

– Proponuję kolejnych sto nomism, jeśli powiesz, tym razem bez żadnych zgadywanek, kto zlecił ci napaść.

– Dwieście monet? Czy aby czasem nie chcesz mnie oszukać? Może i jesteś spathariosem Nikefora Fokasa, ale skąd u ciebie tyle złota?

– Nadal jestem prawą ręką konunga Ainara i otrzymuję należną mi roge. A i do Basilis Polis nie przybyłem z pustymi rękoma. Zresztą nie twoja to sprawa. Wiedz, że zawsze dotrzymuję słowa, bo nie kocham niczego bardziej niż prawdy.

– Słyszałem, że słowny z ciebie dzikus, choć czarny, a jako taki z urodzenia skłonny do kłamstw. Ale niech ci będzie. Powiem ci, kto to był, bo wiedza i tak na niewiele ci się przyda, za to sprowadzi na ciebie rychłą śmierć.

– Zaryzykuję.

– Zlecił mi to pewien wysoko postawiony Ekskubita.

– Jak miał na imię?

– Przedstawił się w najlepszy możliwy sposób: wcisnął mi ciężką sakiewkę w dłoń.

„Chce cię oszukać. Zabij go, zabij go, zabij go” – sowa huczała do ucha berserkowi, a on miał coraz większą ochotę, by jej posłuchać. Stłumił jednak złość, bo oznaczała pewną śmierć.

– Ale taki zmyślny nożownik jak ty, który wszędzie ma swoich mandatorów, z pewnością dowiedział się czegoś więcej o gwardziście.

– Dowiedział się, ale jego imienia ci nie zdradzę, bo dobrze mi się z nim pracowało, a w dodatku to wierny kibic naszego demu.

– W takim razie nie będzie zapłaty.

– Będzie, bo powiem ci coś lepszego niż jego imię. Wiem, kto stoi za tym Ekskubitą, a na jego losie już mi nie zależy.

– Nie trzymaj mnie w niepewności.

– To eunuch, sam słynny Bazyli Nothos.

– Parakoimomen? Nie może być. Rzucasz mi byle nazwisko, jak psu kość, by mnie zwieść i wyciągnąć monety!

– Więcej wiary w człowieka. Ja też znany jestem z prawdomówności. No, przynajmniej wtedy, gdy ktoś mi za nią płaci. Możesz o to spytać każdego na tej sali.

Ali wyszczerzył zęby i zdjął kaptur paenuli, odsłaniając wytatuowany na swojej głowie węzowy łeb.

– Nie trzeba. Wierzę ci na słowo.

– I słusznie. Wstawaj zatem i zaprowadź nas do moich dwustu monet. Módl się do swoich czarnych bogów, by w skarbczyku nie brakowało żadnej nomismy.

Blamad wyjął rękę spod płaszcza, po raz pierwszy od początku rozmowy wypuszczając z dłoni katar. Na razie był względnie bezpieczny, przynajmniej dopóki nie wypłaci zbirom nagrody. Kibice też schowali noże do pochew, ale wojownik z Wagadou nie dał się zwieść temu gestowi dobrej woli.

Dał się wyprowadzić na zewnątrz, ciesząc się, że poszło z nim tylko czterech zbirów oraz ich wytatuowany przywódca. Czarny Achilles obrał kierunek na wschód, a oni poszli za nim, zachowując się jak podpici przyjaciele odprowadzający towarzysza do domu. Dbali też o pozory uczciwej wymiany – nowiny za złoto – więc nikt nie poprosił go o oddanie broni.

„Co tu robisz? Minął już przecież rok” – spatharios zapytał w myślach sowę, która leciała przed małym pochodem.

„Myślałeś, że tak łatwo się mnie pozbędziesz? Głupi mały Ali”.

„Pozwoliłem ci przebywać w mojej głowie przez dwanaście miesięcy, by dobiegł końca okres służby, który poprzysiągłem ci jeszcze za twojego życia”.

„I dobiegł. Poznałem wierzenia Wagadou i wiem, że moje *gozu nama*, a także *nyama*, czyli ciało i energia życiowa, zostały już w tobie

przetrawione, zatem także mój duch, czyli po waszemu *kikinu say*, powinien odlecieć w przestworza i przestać cię nawiedzać. Rzeczywiście początkowo tak się stało. Mój psotliwy *kikinu say* opuścił cię na trochę, przyznaję, wbrew mojej woli, ale ja nie jestem tylko duchem z waszych prostackich wierzeń, lecz także hamą, demonem zemsty, a ponadto łaknącą krwi strzygą, wijem, gadem, zmorą i każdym zaświatowym stworem z ludzkich wierzeń, który chce tylko jednego. Zabić Ainara Skalda. Dlatego odnalazłem drogę powrotną do ciebie. Mogłem nawet pojawić się wcześniej, ale miło tak było patrzeć z góry, jak chwytasz się nadziei, że zdołałeś się mnie pozbyć. A czas naszej rozłąki wykorzystałem dobrze, odwiedzając twoje rodzinne strony i przysłuchując się, jak krewni przeklinają cię nawet po tych wszystkich latach i jak po dziś dzień cierpią za sprawą twych niegdysiejszych zbrodni”.

– Nie! – krzyknął Ali w noc, a idące obok rzezimieszki sięgnęły do noży.

– Cicho, bo zwabisz straż, a bądź pewny, że wcześniej dosięgną cię nasze noże niż ich miecze – rzekł przywódca kibiców, o dziwo bardzo spokojnie.

– Wdepnąłem w końskie gówno – skłamał, co nappełniło go większym obrzydzeniem, niżby rzeczywiście wdepnął w kupę. – Gwałtowny ze mnie człek, ale złość szybko mi mija. Idźcie dalej.

Nożownicy schowali broń i poszli, jak zostało im nakazane, zerkając jednak nieufnie na Blamada. Wojownik przypomniał sobie wszystkie wyuczone techniki uspokajania się. Wziął kilka głębokich wdechów, odmówił jaszczę na cześć Wertragny i poprawił krótką modlitwą do Allaha, którą powtórzył dziesięć razy. Dobrze wiedział, że białej sowie nie można wierzyć, bo ona chce tylko namieszać mu w głowie i doprowadzić go do szaleństwa.

„Wierz sobie, w co tam chcesz, ale masz tylko jedną szansę, by się mnie pozbyć. Zabij Ainara”. – Sowa już nie leciała. Stała się duża i szła tyłem na czele pochodu.

„Czemu jego nie opętałaś?”.

„Bo ty pierwszy mnie zaprosiłeś i spodobało mi się u ciebie. Zresztą on

ma w głowie własne demony, które go dręczą”.

Nie odpowiedział i postanowił nie zwracać uwagi na hameę, mimo że ciągle huczała „zabij, zabij, zabij” i podszyłała mu do głowy coraz to wymyślniejsze pomysły na uśmiercenie Skalda.

W końcu dotarli do domu starej wdowy, u której pomieszkiwał czarny olbrzym.

– Rozczarowałeś mnie. Trzymasz taki skarb w swojej izbie, gdzie mogłem go sam znaleźć?

– No poddaszu, w kufrze, znajdziecie sakwę z pięćdziesięcioma nomismami. Resztę ukryłem w ogrodzie.

– To rozumiem. Ziemia jest najpewniejszą skrytką. Maksymie, leć na górę po sakiewkę, a reszta za mną!

Podwórko mieściło się za domem. Ali poprowadził czterech mężczyzn na tyły budynku i pchnął furtkę w drewnianym płocie. Wskazał im miejsce pod jabłonią, a potem szopę, gdzie można było znaleźć drewniany szpadel.

– Praca miała być łatwa, a kopanie do takich nie należy. Sam musisz się pobrudzić.

Blamad wzruszył ramionami, choć nawet się ucieszył. Solidna łopata w rękach to zawsze dodatkowa broń. Poszedł po narzędzie, które stało obok dziurawej beczki i sterty starych szmat.

Nie musiał pracować długo, bo nieszczęśliwie dbał o bogactwa, więc nie zakopał skarbu głęboko. Szpadel uderzył o coś brzęczącego, a gdy usłyszeli to kibice, dwóch z nich rzuciło się na kolana i rękami pogłębiło dół, by po chwili wyciągnąć ciężki wór z monetami.

– Jest tego ze trzysta nomism. – Berserk mocniej uchwycił łopatę. – Połowę będziecie musieli mi oddać.

Oprychy zaśmiały się, jakby powiedział coś śmiesznego.

– Mówiłem ci, błękitny psie, że ta wiedza przyniesie ci śmierć – odezwał się stojący za plecami Alego przywódca kibiców.

Blamad skoczył do przodu, kryjąc się za pniem jabłoni. Usłyszał przekleństwo i domyślił się, że o włos uniknął noża, którym w plecy chciał

go dźgnąć były żołnierz. Wyskoczył po drugiej stronie drzewa, zamachnął się i tak mocno łupnął szpadlem w łeb przeliczającego monety łotra, że narzędzie się złamało, a ofiara padła na ziemię bez przytomności. Zostało mu trzech przeciwników tutaj i ten czwarty, którego wysłał na górę, mówiąc prawdę o złocie ukrytym w kufrze, ale nie wspominając, że skrzynia schowana jest pod podłogą, co powinno zapewnić kibicowi długotrwałą zabawę w szukanie. Od początku podejrzewał, jak skończy się handel i choć wcześniej miał ze dwie dobre okazje, by samemu rozpocząć zwadę, wolał poczekać, aż Zieloni pierwsi sięgną po broń. Obiecał im przecież uczciwą zapłatę, a nie lubił łamać danego słowa.

Wrócił za pień, bo był jeszcze jeden powód, dla którego wybrał to miejsce na potyczkę. Już dawno się nauczył, że przy skarbie zawsze należało trzymać broń na wypadek pojawienia się złodziei, dlatego w rozwidleniu jabłoni miał schowany macharion. Był to długi grikklandzki sztylet, który o wiele lepiej nadawał się do walki niż jego katar. Odrzucił złamany szpadel i zacisnął prawą dłoń na solidnej żelaznej rękojeści owiniętej pasami skóry. Nie zapomniał też o swojej cudacznej broni z Indialandu. Sięgnął lewą ręką pod płaszcz, włożył palce w uchwyt, zacisnął pięść i szarpnął, zrywając zawieszony na rzemieniu katar. Następnie pokazał go nieprzyjaciołom i ścisnął mocniej uchwyt broni, uwalniając boczne ostrza. Broń może i nie była poręczna, ale wzbudzała trwogę i świetnie nadawała się do blokowania uderzeń.

Przeciwnicy uzbrojeni byli tak, jak na ulicznych zbirów przystało – każdy dzierżył krótką pałkę i nóż. Byli dobrze wyszkoleni, po żołniersku, ale po ich ruchach widać też było doświadczenie nabyte podczas kibicowskich potyczek w ciasnych uliczkach. Działali razem, jak oddział, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Atakowali z dwóch stron, a jedyną pomocą dla Alego była jabłoń, której pień był wprawdzie zbyt cienki, by zapewnić dobrą ochronę, ale nisko zawieszony gałęzie skutecznie utrudniały ataki napastnikom.

Blamad zrobił unik przed cięciem noża, po czym schylił się, biorąc na kark uderzenie pałki. Zadzwońiło mu w uszach. Zdał się na wyuczone

odruchy, bo myśli nie były w stanie nadażyć za trzema kijami i trzema ostrzami, które kreśliły dziwaczne wzory w powietrzu. Jedyłą jego szansą był atak i zniwelowanie przewagi liczebnej przeciwnika. Machnął sztyletem na odlew, nisko, mierząc w nogi. Ostrze zaświstało, przecinając powietrze. Odskoczył, wpadając w gałązki i łamiąc kilka. Na ziemię posypały się listki i karłowate zielone jabłuszka. Jeden z kibiców nie dostosował się do otoczenia i poślizgnął na niedojrzałym owocu. Blamad przejechał macharionem po twarzy oprycha, od czoła po lewy policzek. Rana może i nie była śmiertelna, ale nie znalazł się jeszcze taki śmiałek, który walczyłby dalej z jednym okiem przeciętym, a drugim zalany krwią.

Do pokonania zostało jeszcze dwóch. Dał nura pod konarem i uciekł na drugą stronę drzewa, oddalając się od pnia, bo z tej strony gałęzie rosły jeszcze niżej. Napastnicy nawet nie spojrzeli na jęczącego drużynnika swego łotrowskiego bandonu, tylko ruszyli za Alim. Tym razem nie zdołał zasłonić się przed atakiem wytatuowanego przywódcy, którego nóż przeciął płaszcz i rozorał bok spathariosa, na szczęście płytko. Drugi oprych zamachnął się pałąką. Berserk uniósł katar, by zablokować broń, ale w ostatniej chwili wypchnął rękę do przodu, łapiąc między ostrza przedramię przeciwnika. Szarpnął, zdzierając skórę i mięso, a potem przekręcił katar, łamiąc przeciwnikowi nadgarstek. Okaleczony złodziej wciąż miał sprawną drugą łapę, więc Blamad zapobiegliwie wbił mu sztylet w brzuch. Natychmiast odpokutował zabójstwo, bo przywódca watahy dziabnął go nożem w plecy. Akurat tam, gdzie wcześniej Ali miał już ranę.

Spatharios odskoczył, brocząc z dwóch ran, podczas gdy najgroźniejszy z wrogów pozostawał nienadgryziony.

– Twardyś – zagadał drab, ciężko oddychając.

– Trzeba było zabrać więcej ludzi, ale wtedy byłoby tłoczno przy podziale skarbu. Czyż nie?

– Myślisz jak jeden z nas. Może się jeszcze dogadamy?

Blamad pochylił głowę i pokręcił nią, przez co wytatuowany na niej łeb węża Bidy również dał odpowiedź odmowną. Za przemocą opowiedziała

się również biała sowa, która od początku walki siedziała na drzewie i zajadała niedojrzałe jabłka, a teraz przerzuciła się na ludzinę i grzebała szponami w trzewiach konającego kibica.

Berserk przeniósł ciężar ciała na prawą nogę, jakby chciał skoczyć do przodu, ale to była tylko zmyłka. Odbił się w bok, wylądował na lewej stopie, zrobił krok w tył, potem wypad i znów sus w bok. Kluczył i trzymał przeciwnika na dystans, by wykorzystać większy zasięg ramion i sztylet o połowę dłuższy od noża wroga.

Wytatuowany kibic stał ciężko, ale jego ręce zdawały się wypoczęte, gdyż zadawały ciosy szybkie jak wiatr na pustyni. Stopniowo zaczął się jednak cofać ku płotowi, jakby chciał uciec albo przedłużyć walkę, aż włączy się do niej oprych przeszukujący dom. Czarny Achilles nie mógł pozwolić ani na jedno, ani na drugie.

Dojrzał, że przeciwnik lekko odsłania prawy bok, gdy uskakuje przed ciosami. Pchnął więc katar, ale lekko, zmuszając wroga do uniku, a następnie zawinął macharionem w powietrzu i dźgnął nim w kierunku odsłoniętego boku. Napotkał tam jednak pałkę, która uderzyła go w dłoń i wytrąciła ostrze z ręki. Zbir krzyknął triumfalnie, pyszniąc się podstępem i machnął maczugą od dołu. Blamad nadstawił katar, ale nie zdążył. Pałka dzieliła go w twarz, miażdżąc nos i haratając policzek. Zamroczony, zrobił trzy kroki w tył i przyklęknął na jedno kolano.

– Ubiłeś mi dwóch dobrych ludzi, błękitny pornaski synu. I za to...

Wojownik z Wągadou nie czekał, aż były żołnierz dokończy i wyprowadzi śmiertelny cios. Zamiast tego posłuchał, co podpowiadała hama. Wysunął pięść z kataru, chwycił go jak brzeg talerza i cisnął nim w oprycha. Broń z Indialandu zawirowała w powietrzu. Kibic stał zbyt blisko, by zejść ostrzom z drogi, więc zablokował je pałką, którą skrzyżował z nożem. Rzut nie był na wagę zwycięstwa i katar tylko pokaleczył palce wroga, ale to wystarczyło, by odwrócić jego uwagę i dać Alemu czas na ostatni rozpaczliwy atak. Skoczył do przodu niczym lew na gazelę i obalił wroga na ziemię samym swym ciężarem. Podczas upadku nóż wypadł z ręki Zielonego, jednak ten zdołał utrzymać pałkę i teraz, leżąc

na plecach przygnieciony czarnym cielskiem, uderzył spathariosa w kark, choć niezbyt mocno, bo w tej pozycji nie dało się wziąć porządnego zamachu. Czarny Achilles chwycił uzbrojoną, porośniętą czarnymi włosami łapę, przybliżył ją do ust i ugryzł. Spiłowane zęby z łatwością przebiły skórę i rozerwały żyły na przedramieniu. Zielony uderzył też drugą pięścią, więc ludożerca i tę rękę chwycił, odgiął do tyłu, a potem przyłożył własny łokieć do grdyki zbira i dusił tak długo, aż leżącemu przeszła ochota na wierzganie.

Wstał, odszukał na ziemi katar, schował jego boczne ostrza i znów uklęknął przy dowódcy kibiców, który krztusił się i kaszlał, próbując rozmasować szyję. W jego oczach Ali wyczytał prośbę o łaskę i chciał jej nawet udzielić, bo od lat próbował pozbyć się gniewu, ale przegrał z wolą białej sowy, która wbijała szpony w oczy Grikkmada, unieruchamiając mu głowę. Blamad uniósł pięść zaciśniętą na uchwycie kataru i uderzył, celując w szyję. Leżący mężczyzna nie cofnął dłoni, więc trójboczne ostrze przecięło mu palce, a potem dosięgło szyi. Cios zabił go na miejscu, ale berserkowi i prześladowającej go hamie to nie wystarczyło. Uniósł broń i ją opuścił, a potem znowu i znowu, przecinając kości, upajając się tryskającą krwią, chrzęstem i głuchymi plaśnięciami, aż głowa odpadła od ciała i ostrze wbiło się w ziemię. Ale nawet wtedy berserk nie przestał się złościć. Rzucił się na znieawidzoną sowę, pochwyił i odgryzł jej łebek, a łebek ten śmiał się, miażdżony zębami, i nie przestawał pohukiwać, nawet przeżuty i połknięty. Bezgłowe ciało ptaka biegało przez chwilę po trawie, bijąc skrzydłami, aż z przegryzionego gardziółka wyrosła nowa głowa, taka sama jak poprzednia. Ona też się śmiała.

Ali oprzytomniał na tyle, by zauważyć ostatniego oprycha, który uchylił furtkę do ogrodu, po czym od razu rzucił się do ucieczki. Czarnoskóremu wojownikowi nie chciało się za nim gonić. Pozbierał monety do wora, zarzucił go na plecy i wyszedł za płot. Skierował się ku domowi wdowy, którą zastał śpiącą w pokoju na dole. Starowinka była niemal głucha, więc odgłosy walki jej nie obudziły. Rzucił garść nomism na siennik, co dla niej było majątkiem, ale zasłużyła na nagrodę życzliwością, jaką zawsze mu

okazywała. Ze swojej izby na poddaszu zabrał tylko miecz, zostawiając bogate dworskie stroje porozrzucane po pokoju. Podłoga była zerwana, a kufer opróżniony, co niezbyt zmartwiło wojownika, istniała bowiem spora szansa, że rabuś, nie chcąc dzielić się łupem z towarzyszami, ucieknie z miasta i nie doniesie o całej sprawie zielonym pałkarzom. Lepiej było jednak zmienić miejsce zamieszkania – na wypadek gdyby tchórz okazał się gadułą. Ali wolał uniknąć kolejnej porcji ulicznego kibicowania.

39

Dotarcie na Krete zajęło Skaldowi więcej czasu, niż planował. Wcześniej musiał siłą skłonić Finloga i Hvitę, by zostali na wyspie Ios, która była uroczym skrawkiem lądu z jedną większą osadą i niewielkim portem. Dał im trochę złota, gdyby chcieli wrócić do Miklagardu lub na Północ. Później wraz z załogą „Żelaznego Niedźwiadka” wziął kurs na południe. Niedługo potem natknęli się na dwie galeidy i stracili kilka dni, by zgubić statki między wysepkami. Nie sprzyjały im też miejscowe trolle, które sprowadziły sztorm, może niezbyt mocny, za to niespodziewany i gwałtowny. Stracili żagiel i trochę olinowania. Uzupełnienie zapasów na wyspie Milos i dokonanie koniecznych napraw zajęło im pięć dni. Potem natrafili jeszcze na safinę serklandzkich kupców, która wręcz zapraszała ich na pokład swoją powolnością i pękatym kadłubem zdradzającym ogromną ładownię. Byłoby zbrodnią zmarnować taki zesłany przez Aegira dar. Nawet Skald, uchodzący przecież za twardego konunga, nie miał serca odmówić Niegrzecznym Niedźwiadkom odrobiny zabawy i łatwego łupu. Uczepili się kupieckiego statku jak wilk rannego jelenia i tak długo za nim płynęli, nękając załogę strzałami, włóczniami i kamieniami z proc, aż kapitan safiny zdecydował się poddać, nie chcąc narażać statku na nocną żeglugę z nieprzyjacielem przy rufie. Poeta okazał pojmanym zarówno konungowską łaskę, pozwalając im wziąć małą łódkę i odpłynąć na pobliską wyspę, jak i vaerińską sprawiedliwość, przywłaszczając sobie

cały majątek zwyciężonych. Na snekkję przeniesiono złoto, klejnoty i dzbany z winem do bieżącego użytku, ale pieśniarz nakazał wyrzucić za burtę bele materiału i worki z przyprawami, bo choć były sporo warte, nie można było obciążać statku zmierzającego po o wiele większe skarby. Snekkjamadowie trochę się burzyli na takie marnotrawstwo, ale dali się przekonać, że dary zjedną im przychylność Aegira, Ran i tutejszych morskich trolli. Z tej samej udawanej pobożności rzeźbiarz nakazał rozrąbać toporami dno zdobyczego statku i zostawić go na powolne zanurzanie się w kipieli.

Kolejnym problem było opłynięcie Krety, by dotrzeć do jej południowo-zachodniego wybrzeża. W tym regionie wręcz roiło się od galeid kussarów, trzeba więc było zatoczyć wystarczająco wielki łuk na pełnym morzu, by nie było ich widać z lądu. Nigdy nie trafiliby we właściwe miejsce, gdyby nie pomoc Isy ibn Ishaka w nawigacji. I tak, po blisko miesiącu od odnalezienia Hvity, wpłynęli do niewielkiej zatoczki, która miała być odludna, a tłoczyły się w niej cztery okręty i trzy wraki. Te ocalałe były snekkjami, Ainar zaś znał je prawie wszystkie. Dwie były jego własnością i należały do jednostek, które z Thery zabrał Magnolf Krwawa Siekiera. Trzecia nosiła imię „Czerwona Żmija” i była tą samą długą łodzią, na której Diarf i Sela uciekli z Miklagardu. Czwartej nie znał, więc skip musiał należeć do Nawlekacza. Przy skałach na bakburcie zobaczył pękaty, odwrócony dnem do góry i mocno uszkodzony kadłub wielkiego serklandzkiego musattahu. Kolejne dwa wraki były skipami z Północy. Jeden, przełamany w pół, leżał na boku w płytkiej wodzie, a drugi opadł na dno środka zatoki, choć jego zarys był dobrze widoczny w niemal przezroczystym morzu. Na powierzchnię wystawał wysoki maszt z resztkami postrzępionego żagla. Na spokojnych falach unosiły się deski, fragmenty ubrań i beczki, a także kilku topielców. Nie trzeba było być przyjacielem mądrego olbrzyma Mimira, by domyślić się, że zaledwie wczoraj lub przed dwoma dniami stoczono tu bitwę.

Przypłynięcie „Żelaznego Niedźwiadka” zostało od razu dostrzeżone, bo też trudno było nie zauważyć tak wspaniałego morskiego drapieżnika

z dumnie zadartą dziobnicą, prężącym się na wietrze żaglem, dostojnym kadłubem oraz blachami chroniącymi przód statku, które niczym w zwierciadle odbijały błękit morza i osłepiały wrogów.

Ku łodzi poety zwróciły się dzioby wszystkich snekkji i już po chwili dwie z nich zaczęły płynąć na wiosłach wprost na „Niedźwiadka”, a dwie pozostałe wzięły boczny kurs.

– Wywiesić białe tarcze! – krzyknął Ainar do styrira. Tharbrand stał obok masztu i niepewnie spoglądał na znajome okręty, które zachowywały się wrogo, mimo że połowa z nich jeszcze niedawno pływała we flocie Skalda.

– Konungu, możemy im jeszcze uciec... – zawahał się – ...to znaczy wycofać się na bezpieczniejsze wody, by w dogodniejszym dla nas dniu stoczyć bitwę. Tamte dwie snekkje zaraz zamkną nam zatokę, a załogi tych, które na nas płyną, wywiesiły czerwone tarcze. Nie wygramy starcia.

– Miej więcej wiary w swojego władcę. Tamtym statkiem dowodzi moja córka, która nie da zrobić krzywdy tatusiowi.

Styrir wstrzymał się z działaniem na dwa długie uderzenia serca, więc pieśniarz ponaglił go niecierpliwym uniesieniem jednej brwi. Wiedział, że miałyby duże trudności z zapanowaniem nad załogą, gdyby łysy dreng sprzeciwił się poleceniu. Na szczęście Tharbrand skinął w końcu głową.

Na skipie nie znaleziono wiele białych tarcz. Ostatnio, jak to na wojnie, Niedźwiadki wywieszały skjaldy czerwone lub nie wywieszały żadnych, bo drewniane osłony były uciążliwe przy wiosłowaniu i zbędne przy żeglowaniu. Jednak ze składu na rufie wygrzebano dwie pobielone tarcze, które szybko zamocowano przy dziobie, na przeznaczonym do tego wieszaku z sosnowej listwy, przytwierdzonym po zewnętrznej stronie okrężnicy. Na ten znak pokoju „Czerwona Żmija” zwolniła, a po chwili wyjęła z wody wiosła przy sterburcie, zapraszając przeciwników do wejścia burta w burtę. Drengskap nie pozwalał Skaldowi odmówić, więc również nakazał swoim ludziom schować drewniane odnoża oraz ściągnąć żagiel. Po chwili snekkje otarły się o siebie niczym dwa morskie węże.

Żadna z załóg nie wyglądała na usposobioną do rozmów, chyba że

prowadzonych za pomocą żelaza. Wojowie chwycili za noże, miecze, toporki i łuki, niektórzy schowali się za tarczami, a wszyscy ustawili się w dwóch rzędach wzdłuż niemal stykających się burt. Statki, pozbawione napędu wiosł i pomocy wiatru, zaczęły dryfować, to oddalając się od siebie, to stukając się kadłubami niczym przyjaciele trącający się rogami z piwem.

Pieśniarz nie miał problemu, by wśród drengów z pierwszego szeregu rozpoznać Diarfa Nawlekacza. Łotr był najwyższy ze wszystkich, na swojej łysej głowie nie miał ani kaptura, ani hełmu i jako jedyny dzierżył włócznię, broń wyjątkowo niewygodną na pokładzie ciasnego statku. Ainarowi trudniej przyszło dostrzeżenie Seli, która siedziała przy maszcie z obnażonym mieczem na kolanach i bawiła się krótką puszczką.

– Cóż za nieoczekiwana wizyta! – krzyknął Diarf. – Mój były konung jak zwykle chce rozmawiać, by ukryć swoją opieszałość w stawaniu do boju?

Skald przełknął zniewagę, wcale nie zamierzając jej przetrwać, ale zachować w spizarni swego umysłu i pomścić przy najbliższej okazji.

– Chcę pomówić z córką!

– Rozmówisz się ze mną! Tylko szybko, bo nasza broń zaczyna już rdzewieć od beczynności.

Hag poszukał wzrokiem Seli, ale ta siedziała nieruchomo, przysłonięta szeregiem wysokich wojowników, jakby w ogóle nie była zaintrygowana rozmową.

– Pragnę okazać wam mój grid, wybaczyć stare przewiny i zaproponować pokój.

– Ty chcesz okazać nam łaskę? To już nawet nie jest bezczelność, to zesłane przez bogów szaleństwo!

– Zapomnijmy o zwadach i połączmy siły. Odłóżcie broń.

– Stawiasz warunki, gdy osaczają cię cztery snekkje? – Nawlekacz zaśmiał się, w czym zawtórowali mu jego ludzie. Bardziej niepokojące było zachowanie Niegrzecznych Niedźwiadków, których duma została urażona. Mężczyźni tkwili w grobowej ciszy, jakby szykowali się na

śmierć. – Chcesz pokoju? To oddaj mi statek i wszystkich swoich ludzi, a sam wskocz do morza i pływaj do Noregu.

– Ustalmy na dziś rozejm i zasiądźmy do rozmów. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, jutro o świcie stoczmy bitwę.

– Mówią, że pieśniarze mają dobry słuch, a ty jesteś głuchy jak pień.

– Tak bardzo pragniesz zostać ścierwem dla wron? Chętnie pomogę i bądź pewny, że nim moje Niedźwiadki padną, większość twoich ludzi polegnie. A jeśli i mnie przyjdzie dziś stanąć przed bramą Gmaszyska Zarzniętych, spojrzę na Valfuda jak na równego sobie i to jemu, nie wam, zdradzę, gdzie spoczywa złoto Krety.

– Wiemy, że jest gdzieś tutaj. Sami znaj...

Nagły podmuch wiatru sprawił, że statki mocniej zderzyły się burtami, zagłuszając Nawlekacza.

– Co mówisz?

– Sami znajdziemy!

– Sami co?! – Tym razem Ainar dobrze usłyszał, a i za pierwszym razem domyślił się znaczenia słów przeciwnika, ale celowo go drażnił. Chciał, by załoga „Czerwonej Zmii” odrobinę głębiej pomyślała o bogactwach Krety i daremnych próbach ich zdobycia.

– Sami znajdziemy! – huknął łysy najemnik, pięknie wchodząc w zastawione na niego słowne sidła.

– Mieliście dzień czy dwa na poszukiwania. Jakież postępy?

Kilku wojów Diarfa burknęło, a niektórzy jakby odrobinę niżej opuścili broń i niecierpliwie przestąpili z nogi na nogę. „Wiatr nawet lekkim podmucha strąca kasztan z drzewa. Także i mąż postępować musi, gdy miecza jest pozbawiony, a ma język w gębie” – mawiała babka Skaldowi, a choć za młodu nie rozumiał tych słów, z czasem poznał się na ich mądrości. Na razie nie mógł zgładzić ludzi wroga, sprawił więc, że zawahali się od lekkiego podmucha z jego ust, jak te kasztany na wietrze.

– To tylko kwestia czasu.

– Z pewnością. A ta zatoczka zostanie wiecznie ukryta i kussarowie

wcale nie sprawdzą, co stało się z zatopioną galeidą. Wysłuchajcie mnie, a złoto jeszcze dziś będzie nasze.

– Przymierze z węzowym językiem? Wolał...

Tym razem to nie wiatr i fale urwały mu „bym” ze słowa, ale skoczna, wygrywana na flecie melodyjka, która wpasowywała się w szum morza. Poeta uśmiechnął się całkiem szczerze, bo to krew z jego krwi tak sprawnie przebierała palcami na piszczałce. Sela wstała z zajmowanego przy maszcie miejsca, schowała miecz do pochwy i dmuchając we flecik, wskoczyła na burtę, a następnie przespacerowała się po niej, od dziobu do rufy, nie przestając grać. Gdy ostatnie dźwięki melodii porwał wiatr, krzyknęła:

– Wiecie, moi bracia krwi, że nikt nie pała większą nienawiścią do tego gridnidinga i pijaka niż ja! Ale ten pokraczny konung słusznie dziś prawi i godzien jest tak naszego wysłuchania, jak i wypatroszenia, do którego dojdzie, jeśli nasze rozmowy nie przebiegną pomyślnie. Co wy na to?

Niemal wszyscy krzyknęli na zgodę, tylko Diarf wściekle uderzył włócznią o ławkę wioślarską, łamiąc drzewiec na pół. W końcu musiał jednak dać za wygraną.

– Właź do nas.

Kowal słów z największym wysiłkiem powstrzymał się, by nie puścić do Nawlekacza szyderczego oczka.

– Jakże to tak? Konung ma do was chadzać, a nie wy do konunga?

– Nie przeciągaj cięciwy, bo strzeli ci prosto w pysk! – Łysy wódz wskazał go ułamaną włócznią. – Przeskakuj do nas albo nie będzie żadnych układów!

Pieśniarz wstrzymał się z odpowiedzią na trzy uderzenia serca, choć już podjął decyzję i tylko się droczył.

– Zgodzę się, ale nie ze względu na czcze groźby, tylko dlatego, że na pokładzie macie meykong, więc nie będzie hańbą, jeśli udam się do równej sobie z przyjacielską wizytą.

Ainar celowo podniósł znaczenie swej ślicznej i zdolnej córki, bo choć

wcale nie sądził, że jakakolwiek kobieta mogła być równa konungowi Vaeringów, chciał jeszcze mocniej rozszerzyć Diarfa, umniejszając jego rolę w przewodzeniu najemnikom. Z kolei Sela wyglądała na zadowoloną, nawet jeśli starała się to ukryć, marszcząc nosek i prychając jak wściekła kotka.

Na znak dany przez Skaldmaer ludzie ze „Żmii” rozstąpili się, zapraszając haga do wejścia na okręt. Ten zaś dał przykład swoim snekkjamadom, chowając miecz do pochwy, a następnie kiwnął na Isę, Tharbranda, Gnievosa i jeszcze dwóch Niedźwiadków, bo nie wypadało, by konung chadzał w gości bez świty. Zdjął z wieszaka białą tarczę, po czym cała szóstka sprawnie przeskoczyła na sąsiedni statek. Zaprowadzono ich na rufę, obok beczki na wodę, gdzie ustawiono dla nich skrzynie. Pieśniarz usiadł pierwszy, miejsca po jego bokach zajęli Isa i Tharbrand, a za każdym z nich stanął jeden Niegrzeczny Niedźwiadek. Naprzeciwno spoczęli Sela, Diarf i Berhedin. Ten ostatni na widok Ainara spuścił wzrok i mruknął jak miś pstryknięty w ucho. Biała tarcza, niedbale rzucona między zwaśnione strony, zakręciła się na żelaznej obręczy i opadła na deski półpokładu, zwrócona skjaldarbuklem, metalowym guzem, do góry.

Grzeczność nakazywała, by to gospodarz powitał gości i zaczął układy, jednak nikt nie chciał odezwać się pierwszy. Skald całą uwagę skupił na córce, którą ostatnio widział w Hipodromie, i to ze znacznej odległości. Prawie nie można było w niej rozpoznać trzyletniej dziewczynki, którą porzucił tak dawno temu. Pulchne rączki zmieniły się w zgrabne, choć umięśnione ręce, drobne nóżki w długie i silne nogi, a dziecięca niewinność w kobiecy upór oraz wdzięk. Tylko błękitne oczy pozostały te same i nadal biła z nich ciekawość świata, a nawet chęć do czynienia psot.

Nie mógł nie zauważyć, że Sela przytyła tam, gdzie zaokrąglona powinna być kobieta, choć poczuł przemożną chęć skrzywdzenia każdego, kto śmiałby patrzeć na nią w pożądlivy sposób. Kobiecości przydawało jej również zadziorne uczesanie – jasne włosy, zagarnięte na czubku głowy i związane grubym rzemieniem, tworzyły kitę, która rozchodziła się na wszystkie strony. Z dziewczęcym wdziękiem wadził się jednak męski strój.

Nosiła porządne skórzane buty, barwione na niebiesko spodnie splecione na łydkach spjörami oraz błękitną koszulę zakończoną przy szyi spiczastym wcięciem. Do przyodziewku nie pasował szeroki skórzany pas wysadzany drogimi kamieniami, który z pewnością został zrobiony serklandzkimi rękoma. Całości stroju dopełniał vaeriński miecz schowany w pochwie wiszącej na przewieszanej przez ramię turkusowej szarfie. Poeta z zadowoleniem pomyślał, że córka wyrosła na wspaniałą tarczowniczkę. A w dodatku była bezczelna, bo to ona rozpoczęła rozmowę w męskim towarzystwie.

– Jak się czujesz, stary opilcu, po tym, jak odebrałam ci wszystko, co masz najdroższego?

Zatańczył brwiami, wyraźnie zaciekawiony, dlaczego córka czuła się tak zwycięsko.

– Nie straciłem niczego, co byłoby dla mnie ważne.

– Doprawdy? Najpierw zabrałam ci dobre imię i uczyniłam zdrajcą w oczach gardskonunga, potem przeciągnęłam na swoją stronę hamramirów, a na koniec ogromna część twoich ludzi sama do mnie przyszła, błagając, bym uwolniła ich od podłego, kłamliwego konunga, jakim jesteś.

– By przygasić moją sławę, trzeba czegoś więcej niż jedna prosta visa, którą należałoby jeszcze dopieścić kenningami i mocniej ścisnąć poetycką miarą. – Prawdę rzekł tylko w pierwszej części zdania, bo wygłoszona w Hipodromie pieśń była wspaniałą drapą. On sam niewiele mógłby w niej poprawić, jednak dzieci należało chować twardo, tak jak uprawia się młode drzewka, które bez przycinania dziczejają i wydają marny owoc. – Natomiast jeśli chodzi o moich ludzi, odeszli ode mnie sami tchórze i zdrajcy. Bardziej mi więc pomogłaś, niż zaszkodziłaś, bo dzięki tobie pozbyłem się najgorszych wojowników. O hamramirach nic nie rzeknę. Sama się przekonasz, że nie można ich mieć, bo za nic sobie mają złożoną konungowi przysięgę.

– Nie złamaliśmy jej! – huknął Berhedin. – Nadal służymy twojej krwi, jak brzmiały słowa przysięgi, i choć wykonujemy polecenia Skaldmaer, nie

będziemy przeciwko tobie stawać do boju.

– Widzisz? Nie tak łatwo nadawać rytm tańczącym wojownikom.

Sela była zdolna w sztuce przybierania masek, ale nie aż tak, by za śmiejącą się buzią schować rodzący się gniew. Wyglądała ładnie, gdy marszczyła nos, zupełnie jak jej matka.

– Jesteś niczym ten stary, wściekły basior, który nawet złapany we wnyki szczeka i gryzie.

Wężowy język nigdy nie mógł przepuścić okazji do popisów. Uniósł wargi, odsłaniając kły, po czym kłapnął zębami. Pierwszy opanowanie stracił Nawlekacz. Zerwał się na równe nogi, a na ten znak jego ludzie pochwycili za broń. Dłużne nie pozostały im Niegrzeczne Niedźwiadki, których łapy również zacisnęły się na rękojeściach mieczy. Natomiast konung spokojnie wyciągnął nogi i postukał piętami o białe lico tarczy.

– Wszyscy tu tacy niespokojni, jakby zaraz rzezać mieli. Pora ułagodzić was złotem, bo ja, jak na dobrego ojca przystało, nie przybyłem niczego córce zabierać, ale wręcz przeciwnie, chcę jej ofiarować największy skarb tych mórz. A przynajmniej jego część.

Wzmianka o złocie podziałała na Vaeringów jak cycek na noworodka. Uspokoili się, a co poniektórzy nawet wykrzywili gębę w błogim uśmiechu. Na znak Diarfa pochowano broń.

– Dużo o tym złocie naopowiadał nam Magnolf, ale nie znaleźliśmy tu nawet śladu skarbcza – meykong zwróciła się do ojca z wyczuwalną rezerwą w głosie. – Jest tu tylko jedna mała plaża, lecz za nią znajduje się pionowa skała, po której nie sposób się wspiąć. Gdzie indziej jest jeszcze gorzej, bo brzeg tworzą postrzępione klify!

– Próżne wasze szukanie, bo tu rzeczywiście nie ma żadnego złota.

– Skaldzie! – wrzasnął łysy wódz.

– Ale jest wejście do skarbcza, choć dobrze ukryte. Zanim wam jednak o nim opowiem, poznajcie mojego wiernego przyjaciela Isę ibn Ishaka.

Na dźwięk swojego imienia Serklandczyk wstał, zdjął satynową czapeczkę i ukłonił się. Nie wyglądał już tak dwornie jak w Miklagardzie,

bo w podróży zamienił cudaczne pantofelki na skórzane sandały, a kolorowe szaty na proste spodnie i koszulę, ale i tak w otoczeniu najemników jawił się niczym postać z innego świata, pełnego muzyki, śpiewów i pałacowych uczt, a nie krwi, potu i przekleństw. Nikt też nie wiedział, jakim sposobem udawało mu się utrzymać w podróży nienaganny, zakręcany ku górze wąsik i krótką spiczastą bródkę. Do tej pory kussar niczego nie rozumiał, bo rozmowa prowadzona była w mowie Noregu, lecz gdy przemówił po grikklandzku, role się odwróciły, bo niewielu najemników znało ten język.

– To zaszczyt gościć wśród tak mężnych wojów, którzy...

– Zaszczyt, nie zaszczyt, chcemy posłuchać o skarbie – przerwał mu Ainar, wiedząc, że w dwornym przemawianiu kussar ustępował chyba tylko Slavomirusowi. – Zaczynaj od początku, od tego, skąd pochodzi złoto.

– Jak zapewne wiecie – zaczął wyniośle Isa, podkreślając węża – Krią rządzi emir Abdal et Qurtubi, a choć to wspałały i sprawiedliwy władca, słuchający rad kadich oraz imamów, jednak jego panowanie nie rozciąga się na wszystkie zakamarki wyspy. Udęką emira są mieszkańcy Zatoki Złodziei Morza, którą jak udzielny kagan zarządza Samsam as-Sari. Dowodzi on, jak wy to mówicie, kussarami i ma na swoje zawołanie największą flotę wyspy.

– Święty Samsam, co wina nie tyka, a dni spędza na modłach, walce i zarządzaniu? – zapytała Sela, nie próbując ukryć niechęci do wodza kussarów.

– Mniemam, że miałaś, pani, przyjemność?

– Cała była po jego stronie.

– Rozmowa z tak piękną istotą musi radować mężczyznę. – Isa obdarzył Skaldmaer zalotnym uśmiechem, a ona uszczęśliwiła go powłóczystym spojrzeniem.

Poeta trzepnął kussara z łokcia, wściekły na jego zaloty. Przecież jego dziecię musiało być jeszcze dziewicą, bo siła i odwaga każdej tarczowniczkii brała się ze skjaldu między jej nogami, którego nie przebiła jeszcze żadna włócznia. Córka z pewnością zasługiwała na kogoś lepszego,

więc właśnie w tej chwili postanowił znaleźć jej odpowiedniego męża. Oczywiście dopiero wtedy, jak już zawlecze ją na Północ, bo nie przystało, by rodziła bachory jakiemuś konusowi z Południa. Jeszcze bardziej zdenerwowało go to, że jego złość podzielał Diarf, jakby żywił jakieś głębsze uczucia do Seli. Nawlekacz słabo radził sobie z grikklandzkim, ale uśmiechy i spojrzenia pieśniarki i Isy mówiły w tym wypadku więcej niż słowa. Co nie znaczy, że te nie były ważne.

– Co mówi ten niding? – zainteresowanie ogółu przedstawił jeden z najbliższych siedzących wioślarzy.

Skaldmaer uśmiechnęła się przepaszająco do ibn Ishaka, czym jeszcze mocniej zdenerwowała Ainara i Diarfa, a następnie w mowie Noregu opowiedziała wszystkim słuchającym, czego się dowiedziała, po czym zachęciła Sarakena do dalszych zwierzeń.

– Okręty Samsama przynoszą mu ogromny dochód, bo zręcznie przyjmują od morza podarunki zesłane przez Allaha. Oczywiście i emir na tym zyskuje, bo do jego skarbcza trafia trzecia część wszystkich łupów. Reszta pozostaje jednak w rękach złodziei morza, i w tym właśnie rękawie jest schowany kot Muhammada.

Skald nie pojął wszystkich językowych ozdobników, ale rozumiał liczby. W łapach kussarów pozostawał ogromny majątek, na który nawet sam emir patrzył zazdrosnym okiem. Przez całą wspólną podróż rozważał z Isą, co mógłby zbudować za taką górę dinarów i na nowo odżył w nim pomysł zbudowania na wyspach Midjardarhafu silnego vaerińskiego władztwa.

– I cały ten skarb znajduje się gdzieś tutaj? – dopytała Sela.

– Nie. Trzecia część wszystkich bogactw zostaje do użytku tych, którzy zdobyli łupy. Resztę Samsam wysyła do wspólnego skarbcza. Wejście do niego znajduje się właśnie w tej zatoczce.

– A klucz do jego bram znajduje się pod tą satynową czapeczką. – Meykong po raz kolejny obdarzyła rozmówcę uśmiechem, z którego można było wyczytać namiętność i odrobinę łatwowierności, jakże lubianej przez mężczyzn. – Nie trzymaj mnie w niepewności, dzielny wojaku.

– Trudno odmówić tak onieśmielająco urodziwej pani, z oczami jak

szafiry i włosami jasnymi niczym światło gwiazd. Gdybyś, o piękna, popłynęła tą waszą łupinką odrobinę na zachód, ujrzałabyś pieczarę mieszczącą się dokładnie pośrodku skalnej ściany, której korzenie tkwią głęboko w morzu, podstawa jest obmywana przez fale niczym stopy grzesznika przed świątynią, a wierzchołek sięga błękitnego nieba.

– Ojej. To brzmi przepięknie, ale jak można dostać się do tak niezdobytej groty?

– Ludzie Samsama opracowali zmyślny system lin i drabinek, po których można zejść do pieczary. Ale dla nas to niedostępna droga, gdyż wystarczy, by w grocie znajdowała się garstka strażników z włócznie i łukami, a odeprze każdy atak z góry. Szczęśliwie poznałem jednak inne wejście.

– Dosyć! – poeta sprzeciwił się trochę głośniejszy, niż planował. Nie dał się oszukać córce, bo wiedział, że za jej dziewczęcymi umizgami kryje się wężowa natura ich rodu. – Najpierw dobijemy targu.

– A może zatrzymamy Sarakena dla siebie, bo jak słyszymy, jest wszystkim, czego potrzebujemy. – Pieśniarka przeszła na mowę Vaeringów, zastępując uśmiech wściekłym grymasem. – Dostarczenie mi go to iście konungowski podarunek, tatusiu.

– To rozmowy nad białą tarczą. Ośmielicie się je zakłócić?! – Ainar z ulgą wrócił do mowy ojczystej, w której potrafił być kowalem słów, a nie tylko zwykłym mówcą. Prawił głośno, by usłyszało go jak najwięcej najemników. – Jeśli na ten skjald spadnie choć kropla krwi, cała Północ dowie się o waszej niesławie, a wtedy nawet ojcowie wzniosą dla was słupy hańby! Jeżeli nie chcecie zawrzeć ugody, odejdziemy na własny okręt i stoczmy honorową bitwę. Bądźcie jednak pewni, że nim ona się zacznie, osobiście poderżnę gardło Serklandczykowi, by wejście do skarbcza na zawsze pozostało tajemnicą.

Vaeringowie zaczęli się wiercić i dopytywać, o czym dokładnie mówił kussar. Skaldmaer opanowała się i spokojnie zaczęła wszystko tłumaczyć, kierując swoje słowa głównie do Nawlekacza. Isa ibn Ishak, który znów nie rozumiał, co się dzieje wokół niego, zadarł nos do góry i wyniośle siedział na skrzyni, jakby przyjmował hołdy w pałacu, a nie tkwił na

kołyszącym się okręcie.

– Nim zawrzemy ugode, ustalmy podział łupów – oznajmił Diarf, który był wyraźnie zdenerwowany, że pomijano go w rozmowach.

Hag skinął głową, chwając w duchu swoją mądrość. Jeszcze się taki Vaering nie urodził, by po roztoczeniu przed nim wizji łupów zechciał zrezygnować z rabunku. Ugoda była przesądzona, a wszystko szło po myśli konunga.

Od samego początku nie wierzył zapewnieniom Isy, że zatoka będzie niestrzeżona, a jeden okręt wystarczy, by zagrabić skarb Krety. Dlatego właśnie polecił Magnolfowi dołączyć do Seli. Dzięki przebiegłości Ainara pieśniarka i Diarf oczyścili dostęp do zatoki, przygotowując ją na przybycie konunga kłopotliwego. Teraz wystarczyło wykraść złoto, a po powrocie Krwawej Siekiery na stronę prawowitego władcy upokorzyć łysego wodza i go zabić. Co do córki, zamierzał być bardziej wyrozumiały. Przyjmie ją pod swą opiekę, różgą wybije ochotę na zabawy w męczyznę i wywiezie na Północ.

Pogoda była piękna, przedpołudniowy wiaterek chłodny, a morze spokojne. Zapowiadał się udany krwisty dzionek.

* * *

Powietrze wypełniało jej płuca, ale pragnęła, by było go choć odrobinę więcej. Przy każdym wydechu wypuszczała ustami po dwa, trzy pęcherzyki powietrza, a jej ciało już zaczynało się domagać, by na ich miejsce sprowadziła nowe. Chwilowo było jednak niedostępne, bo Sela znajdowała się w skalnej gardzieli, płynąc w nieznaną za znienawidzonym ojcem.

Tylko Isa znał wejście do podwodnej jaskini. Bez niego z pewnością by jej nie znaleźli, a i on sam musiał nurkować kilkadziesiąt razy, zanim przypomniał sobie, gdzie dokładnie leży wylot pieczary. Znalazł wejście w ostatniej chwili, gdyż meykong już chciała go zabić, wietrząc podstęp ojca. Na swoje szczęście Saraken udowodnił własną przydatność i jeszcze zaoferował, że zostanie ich przewodnikiem. Kazał przygotować linę długą

na trzysta stóp, przywiązał jeden jej koniec do swej nogi, a drugi do beczki, po czym dał nura. Wcześniej polecił, by płynęli tuż za nim lub wzdłuż sznura.

Ostrzeżenie okazało się zbawienne, choć początkowo woda była niemal przezroczysta, tak że z łatwością dało się dostrzec kolczaste, napuszone ryby przemykające między rzadką podwodną roślinnością, oraz przechadzające się po dnie skorupiaki. Trudności zaczęły się, gdy dotarli do podwodnego korytarza, którego wąski wylot był przysłonięty znajdującymi się wyżej skałami. Wejście pozostawało prawie niewidoczne, a wyzierająca z niego ciemność nie zachęcała do odwiedzin. Pierwszy w otworze zniknął Isa, potem Ainar, a za nimi Sela, trzymając się tak blisko ojca, by mogła go złapać za stopę, ale nie zostać kopniętą w twarz. Za nią podążyli kolejni wojownicy.

Początkowo podwodny korytarz był bardzo ciasny i musieli płynąć w niemal zupełnych ciemnościach. Potem gardziel się rozszerzyła, a woda stała się jaśniejsza. Skaldmaer czuła, że powietrze w jej płucach jest na wyczerpaniu. Słumiła chęć zawrócenia, bo nie byłaby w stanie pokonać tej samej trasy w drugą stronę. Jediną szansą na przeżycie było płynięcie dalej i chwytanie się nadziei, że Isa nie wiedzie ich na samobójczą śmierć. Słyszało się przecież opowieści o serklandzkich wojownikach, którzy byli gotowi poświęcić własne życie, byle tylko zabrać ze sobą jak najwięcej wrogów.

Zaczęła słabnąć. Ainar oddalał się od niej coraz bardziej, choć rozpaczliwie rozgarniała ramionami wodę, postępując wbrew rozumowi, który nakazywał wykonywanie spokojnych ruchów. Korytarz ostro zakręcił ku górze i pojawiło się więcej światła, jakby powierzchnia była tuż-tuż. Było to jednak o jedno „tuż” za daleko. Nie wytrzymała bólu w piersi, otworzyła usta i zaczęła pić słoną wodę, co przyniosło ulgę tylko na mgnienie oka, bo zaraz zachłysnęła się i zaczęła tonąć. Rozpaczliwie machała nogami i rękami, mając wrażenie, że nie posuwa się nawet o stopę do góry. Po chwili przestała walczyć i zawisła bezwładnie w podwodnej toni niczym koszula na sznurku. Ostatnim przebłyskiem świadomości

dojrzała rękę ciągnącą ją ku górze.

Ocknął ją ucisk pod cyckami i ból tyłka, w który wgniatał się spory kamień. Rozkaszała się, wypluła wodę, a potem rzygnęła solą oraz zjedzoną na śniadanie rybą. Usiadła i rozejrzała się. Była w rozległej pieczarze i leżała na skalistej wysepce pośrodku podziemnego jeziora, z którego wynurzali się pozostali nurkowie. Światło wpadało tutaj przez trzy szczeliny – dwie znajdowały się na sklepieniu komnaty, a jedna na ścianie. Gdzieniegdzie zwisały ogromne skalne sople, które przybierały barwę od śnieżnobiałej po czerwoną. W niektórych miejscach niemal stykały się z kamiennymi kolcami wyrastającymi z wody i podłoża wyspy. Część skał przybierała dziwną formę – jedna przypominała męskie przyrodzenie w stanie bojowym, inna ucho górskiego trolla.

Zachwycanie się dziwami zmąciła jej świadomość, że to własny ojciec wyciągnął ją z wody, a teraz stał tuż obok, robił te swoje głupie miny i promieniał wyższością, jakby chciał powiedzieć: „Mówiłem, że to nie miejsce dla bab”. Domysł był słuszny, bo jej rodzic nie należał do osób gryzących się w język i dokładnie tymi słowami ją napomniał, gdy wstawiała. Nienawidziła być dłużnikiem jakiegokolwiek mężczyzny, tym bardziej więc nie mogła znieść, że zawdzięczała życie ojcu. Natychmiast się też zemściła, wypinając dumnie cycki.

Zdawała sobie sprawę, że była urodziwa. W przeciwieństwie do drengów, którzy zanurkowali w samych spodniach i z zawieszoną u szyi bronią, ona włożyła też koszulę, teraz ciasno przylegającą do ciała. Mokry materiał podkreślał zarys pełnych piersi, stwardniałych od zimna sutków i zgrabnego, umięśnionego brzuszka. Tatulek poczerwieniał i wygiął górną wargę niczym wilk, gdy zobaczył, z jaką uwagą przyglądają się córce wojowie i z jak wielką troską skacze wokół niej Isa, dopytując, czy naprawdę wszystko z nią w porządku. Podziękowała Sarakenowi, z udawaną skromnością zasłaniając piersi ręką, jakby dopiero zdała sobie sprawę, że przez białą koszulę może być coś widać. Kussar szczerze podobał się poetce, choć był ledwie jej wzrostu. Miał za to ponętne uszy z dorodnymi, mięciutkimi małżowinami, które aż chciałoby się ugryźć.

Ibn Ishak odwiązał od swojej nogi linę i zamocował ją na jednym z wystających z wody kolców, by inni Vaeringowie mogli sami trafić do jaskini, gdyby zaszła potrzeba sprowadzenia posiłków. Póki co grupa uderzeniowa liczyła dwa tuziny ludzi, po dwunastu od Ainara i od Seli. Z pieśniarzem poszedł przystojny Gnievos i jeszcze dziewięciu Niegrzecznym Niedźwiadków. Meykong wzięła jedenastu najlepszych najemników Diarfa. Nie było wśród nich hamramirów, bo bestialscy wojownicy z niechęcią odnosili się do pomysłu nurkowania, twierdząc, że w ich głowach mieszkają drapieżniki lądowe, a nie ryby.

Zabrakło też Nawlekacza. Sela zaproponowała jego udział, by zdenerwować ojca, ale zgodnie z jej przewidywaniami Ainar stanowczo się temu sprzeciwił, przekonując, że przypominający kłodę najemnik tak nadaje się do nurkowania, jak krowa do latania. Skaldmaer było to na rękę. Nie ufała rodzicowi, który zbyt łatwo przystał na warunek, by cały łup rozdzielić równo między pięć statków. Podejrzewała, że węzowy język ukrył w pobliskich zatoczkach inne okręty, bo nie był przecież tak głupi, by wpływać w zasadzkę z jedną snekkją. Pewnie zamierzał później odbić cały łup. Postanowili go przechytrzyć. Podczas gdy ona ze swoim kłamliwym ojcem będzie grabić skarbiec, Diarf i Magnolf uderzą na ludzi Skalda i ich wybiją. Dzięki temu to Sela i Nawlekacz będą stawiać warunki przy późniejszym podziale, co z grubsza oznaczało, że wezmą wszystko, a samozwańczego konunga wydadzą temu, kto więcej zapłaci za jego głowę.

– Wszyscy? – zapytała.

– Brakuje dwóch. – Hag uśmiechnął się szyderczo, Sela nie musiała więc liczyć, by się przekonać, że to jej ludzie utonęli. – Niech Aegir przyjmie ich do swojego królestwa, a jego córki wezmą ich za swoich oblubieńców. Ruszamy dalej.

Kiwnęła głową na zgodę, choć wcale nie czekał na jej przyzwolenie, tylko poganiał swoich ludzi, aby weszli do korytarza, którego wylot widniał w zachodniej ścianie groty. Skaldmaer pospieszyła własnych najemników, gdyż nie godziło się, by na przedzie szły same Niegrzeczne

Niedźwiadki.

Korytarz okazał się wąski na dwóch chłopa, więc dało się do niego swobodnie wejść. Biegł ku górze, a panowały w nim kompletne ciemności, tak że musieli iść po omacku, bo przecież nikt z nich nie kąpał się z krzesiwem. Po kilkudziesięciu krokach zrobiło się ciasniej, a przede wszystkim znacznie zmniejszyła się wysokość tunelu, dlatego przez chwilę musieli posuwać się na kolanach. Potem było jeszcze gorzej, bo korytarz zwęził się do szczeliny, przez którą trzeba było przeciskać się bokiem. Pierwszy przeszedł Isa, gdyż jak większość Sarakenów nie miał okazałej budowy ciała. Za nim podążał Ainar, który ku uciesze córki zdarł sobie do krwi skórę na plecach. Pieśniarka przedostała się na drugą stronę zgrabnie niczym nitka przez ucho igielne. Większość wojów nie miała jej zwinności i okupiła przeprawę większymi lub mniejszymi zadrapaniami. Dwóch, których przezornie zostawiono na koniec, okazało się za szerokich w barach. Właściwie pewność co do tego uzyskali tylko w kwestii jednego z nich, bo gdy utkwiał w szczelinie, nie mogąc się ruszyć ani w przód, ani w tył, zarazem pozbawił ostatniego towarzysza szansy przejścia. Tym razem małe zwycięstwo odniosła meykong, bo grubasami byli towarzysze jej ojca. Skald wcale się nie przejął, tylko nakazał zostawić wojowników, obiecując po nich wrócić z liną i masełkiem, gdy już rozprawi się z kussarami.

Dalej korytarz zrobił się szerszy i jaśniejszy za sprawą światła wpadającego kominem. Po chwili natknęli się na pierwsze skrzynie, które po otwarciu okazały się pełne złotych i srebrnych krzyży, kielichów, relikwiarzy, saifów ze złożonymi rękojeściami i sztyletów z drogimi kamieniami wprawionymi w główce. Pod ścianami stały też dzbany z winem i worki ze zbożem, przeznaczone zapewne dla strażników skarbcza. Vaeringowie chciwie zerkali na skarby, a niektórzy próbowali nawet coś przywłaszczyć, ale tak Sela, jak i Ainar zabronili cokolwiek ruszać, bo przecież nie wycina się dzikowi szabli, gdy ten żyje i może jeszcze wypruć flaki.

Po kilkudziesięciu krokach zobaczyli wylot korytarza, który prowadził do olbrzymiej sali. Ostrożnie dobyli broni i jęli się skradać prowadzeni

przez Isę, konunga i meykong, która zajęła miejsce pośrodku. Właśnie ona pierwsza dostrzegła strażników i wskazała ich palcem. Sarakenów częściowo przysłaniała niewielka skała, ale było widać, że siedzieli na kobiercu i grali w nard. Naliczyła ich pięciu. Po kilku krokach zauważyła kolejnych sześciu, którzy krzatali się przy płaskim gładzie służącym za stół oraz przy niewielkim palenisku. Zapewne przygotowywali posiłek, co można było poznać po zapachu przypalonych placków z mąki. Razem jedenastu, co zgadzało się z zapewnieniami Isy, że jednorazowo nie znajduje się tu więcej niż tuzin strażników. Potyczka nie powinna być trudna.

Przytulili się do ścian, by trudniej było ich zauważyć, i dotarli do końca korytarza. Poeta musnął córkę w ramię i pokazał na wschód, po czym uderzył się w pierś i wskazał na zachód. Pojęła, że chce zaatakować z dwóch stron, skinęła więc głową.

Wpadli do głównej groty i pobiegli, aby jak najszybciej przebyć otwartą przestrzeń i dopaść przeciwników. Wszyscy byli boso i poruszali się bezszelestnie, więc niezauważeni pokonali ćwierć dzielącej ich odległości. Wtedy za ich plecami rozległ się potworny hałas.

Sela odwróciła się i przez tumany pyłu zobaczyła masywną kratę, która zamknęła wejście do korytarza, blokując im możliwość odwrotu. Wcześniej musiała wisieć nad wylotem tunelu, bo nie widzieli jej, gdy się skradali, podobnie jak żelaznego pierścienia przytwierdzonego do ściany, z którego teraz zwisał postrzępiony kawałek liny. Tylko jeden człowiek mógł przeciąć ten sznur i opuścić kratę. Isa ibn Ishak, który teraz biegł ku głównemu wyjściu z groty, prowadzącemu wprost w przestworza. Skaldmaer ruszyła w pościg za zdrajcą. Strzała świsnęła jej koło nosa, a za sobą usłyszała odgłosy walki, ale nie zwróciła na to uwagi, myśląc tylko o zemście i o ucięciu pięknych uszu kussara.

Była już blisko, sześć, może siedem kroków za nim, więc Saraken lada chwila miał znaleźć się w pułapce między przepaścią a mściwą pieśniarką. Tylko że mężczyzna wcale się nie zatrzymał, ale rzucił w przepaść, chwycił zwisającą z góry linę i zaczął się po niej wspinać. Sela doskoczyła na skraj

groty i cięła saksem, chcąc dosięgnąć łydek tchórza, lecz ten podkurczył nogi, więc ostrze tylko przecięło sandał i drasnęło piętę mężczyzny. Miała ochotę ruszyć za nim, ale powstrzymała się, bo mogłoby to zostać uznane za przejaw trwogi, a w odróżnieniu od ojca była dobrą władczynią, która nie zostawia swoich ludzi w potrzebie. Odwróciła się i pobiegła ku walczącym, myśląc jednocześnie, że rzeź w wypełnionej skarbami grocie, z której roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na spokojne morze, będzie wspaniałym tematem pieśni. Piękno i zniszczenie to połączenie doskonałe.

Uchyliła się przed lecącą włócznią, przeskoczyła nad planszą do gry w nard. W trakcie jej krótkiego pościgu Sarakeni rozmnożyli się jak łososie podczas tarła i teraz było ich ponad trzydziestu. Pojęła, że część z nich musiała wybiec z małej salki przylegającej do głównej groty. Wciąż była to liczba, z którą Vaeringowie powinni sobie poradzić, bo przecież każdy z nich był wart dwóch kussarów. Wpadła między walczących i wsparła swojego człowieka broniącego się przed dwoma wojownikami o brązowej skórze. Sieknęła tego z prawej, a gdy uchylił się przed saksem, ponowiła atak i pchnęła długim na łokieć ostrzem w kierunku jego brzucha. Mężczyzna zbił uderzenie lekko zakrzywionym mieczem i przeszedł do natarcia. Cofnęła się, szybko oceniając, że przeciwnik będzie próbował wykorzystać przewagę w zasięgu ramion i dłuższą broń. Ona była jednak sprytniejsza i szybsza, a mokry przyodziewek wciąż przylegał do jej ciała, rozpraszając kussara. Wolną ręką rozdarła koszulę i uderzyła płazem nagie piersi, zapraszając je do tańca. Te podskoczyły i podziały na mężczyznę jak kość na psa. Zauroczony Serklandczyk zbyt późno zobaczył ostrze saksa zbliżające się do jego krocza i choć zdążył zrobić pół kroku do tyłu, nie zdołał uciec przed nożem kastratorki. Żelazo weszło w ciało i zachręściło o kość, a Sela pociągnęła broń i dokończyła rzezania. Wróg rzucił miecz i chwycił się za przyrodzenie, ale nie mógł powstrzymać przeciekającej przez palce krwi. Zwycięzcy ominęła go i znalazła się tuż obok poety.

Tatuś też nie próżnował, co widać było po jego zakrwawionym saksie. Szybko policzyła, że na skalistym podłożu leżało dziewięciu martwych lub

rannych kussarów oraz pięciu najemników. Niestety Sarakeni okazali się dobrze wyszkoleni, kiedy więc otrząsnęli się z zaskoczenia, zdołali zbić się w kupę i ustawić przy ścianie, mając za plecami kufry i worki ze skarbami. Co gorsza, osłonili się tarczami i nastroszyli włócznie, sprawiając, że trudno było na nich nacierać z samymi tylko nożami, saksami i mieczami. Wychowani na mroźnej Północy drengowie mieli jednak we krwi pokonywanie trudności. Rozdzielili się na dwie grupy, by zaatakować oddział ze skrzydeł.

– Poddajcie się! – krzyknął po grikklandzku Skald. – Wkrótce będzie tu więcej naszych ludzi.

W odpowiedzi strzała przebiła udo Niegrzecznego Niedźwiadka stojącego po prawej stronie meykong, ale ten tylko się schylił, ułamał drzewiec przy ranie i znów się wyprostował. Na szczęście Sarakeni nie mieli wiele łuków.

Skaldmaer podniosła małą serklandzką tarczę obciążoną różową skórą, założyła ją na lewą rękę i cofnęła się dwa kroki. Nigdy nie unikała walki, lecz знаła własne słabości i z większymi od siebie mężczyznami wołała nie toczyć boju w ścisku. Kobieta niczym żmija powinna doskakiwać, kąsać i cofać się na bezpieczną odległość, dając wrogom czas na osłabnięcie.

Vaeringowie runęli na przeciwnika z dwóch stron. Echo w grocie wyolbrzymiało każdy szcęk żelaza, przekleństwo i krzyk. Miecze i saksy wyszczerbiały się na skałach, hełmach i obręczach tarcz. Najemnicy wyciągnęli z szeregu czterech kussarów i dorznęli ich po krótkiej walce, ale szyk Serklandczyków nie został przełamany, dlatego wojownicy z Północy musieli się wycofać. Sami odnieśli poważne straty i już tylko dziesięciu drengów, licząc z Selą, stało na własnych nogach, tworząc zwartą linię na środku jaskini.

Poetka została podczas walki draśnięta w łydkę i utykała. Pomyślała, że mogą się jeszcze uratować, skacząc do morza, ale ledwo zdążyła się zganić za ten niegodny drenga pomysł, towarzysz po jej lewej stronie padł na twarz ze strzałą w plecach. Obejrzała się i dostrzegła sześciu Sarakenów mierzących do nich z łuków oraz siedmiu kolejnych, którzy schodzili do

jaskini po linach. Vaeringowie natychmiast odnaleźli się w sytuacji i pięciu z nich odwróciło się, stając tyłem do towarzyszy. Tylko atak na łuczników dawał im cień szansy przeżycia, bo stojąc na otwartej przestrzeni, byli niczym wiklinowa tarcza na zawodach strzeleckich. Nikt nie wydał jednak rozkazu do ataku, gdyż kussarowie nie strzelali, a jedynie trzymali łuki w gotowości.

– Poddajcie się, psy niewierne! – powiedział po sarakeńsku rosły mężczyzna, który właśnie zjechał po linie.

– Miłośnik klaczy prosi, by chętni nadstawili mu tyłek do zerżnięcia – wyjaśniła pieśniarka towarzyszom w mowie Północy.

Odpowiedział jej rechot, trochę wesoły, ale bardziej szalony, jaki zdarza się człowiekowi pogodzonemu ze śmiercią. Przywódca strażników nie dał tak łatwo za wygraną i odezwał się ponownie, tym razem w mowie Grikkmadów:

– Rzućcie broń i proście Boga o zmiłowanie!

Zrozumiało go już więcej najemników, w tym Ainar, który zrobił jedną ze swoich denerwujących min, unosząc brew prawie pod linię włosów. Sela była pewna swoich ludzi i wiedziała, że żaden z nich nie złoży broni, dopóki nie zrobi tego ich meykong. A ona planowała walczyć do ostatniej kropli krwi, swojej lub przeciwników. Już miała zelżyć Serklandczyków, gdy jej tchórzliwy ojciec odrzucił saks, a po chwili to samo uczyniły Niegrzeczne Niedźwiadki. Zazgrzytała zębami, wściekła, zdziwiona, ale też odrobinę zawiedziona, bo spodziewała się, że jej rodzicowi nie brakowało przynajmniej odwagi, tymczasem okazał się nie lepszy od pijaka, który o męstwie umie rozprawiać tylko przy piwie. Teraz na nią i jej trzech ludzi spadł obowiązek bronięcia honoru Północy.

Dała się podejść jak smarkuła. Ojciec zaszedł ją od tyłu, wykręcił rękę, wyrwał saks z dłoni i go odrzucił. Przynajmniej jej najemnicy nie dali się zaskoczyć i jeden z nich przyłożył Skaldowi nóż do pleców, a pozostali wymierzyli broń w Niegrzecznych Niedźwiadków. Szarpnęła się, próbując wyrwać z uścisku.

– Głupota nigdy nie była cechą naszego rodu – szepnęła jej do ucha tatuś.

– Czasem mądrze jest się poddać.

– Nie tego mnie dziad uczył.

– Zapomnij o tym krzykaczu i zapamiętaj ojcowską radę. Ten nigdy nie zwycięży, kto wcześniej głupio zginie. Moje Niegrzeczne Niedźwiadki o mnie nie zapomną i może już teraz idą nam z odsieczą. Musimy tylko przeżyć.

Pomyślała, że w tej chwili jego misie leżą już na dnie morza, ale wtedy zdała sobie sprawę, że przecież i Diarf jej nie porzuci. Na dole zostawili linę przywiązaną do beczki, która wskazywała drogę do jaskini. Należało jeszcze znaleźć sposób, by podnieść przekłętą kratę. Przestała się miotać i skinęła głową na swoich ludzi, by rzucili broń.

Serklandczycy zbliżyli się powoli, nie opuszczając oręża. Każdego najemnika wyciągali pojedynczo z szeregu, pętali mu ręce i nogi, po czym sadzali przy jednej ze ścian. W końcu przysłała pora na Ainara i Selę, a ojciec wspaniałomyślnie oddał jej pierwszeństwo. Gdy poczuła na przegubach rzemień, przywódca kussarów uśmiechnął się do niej, a miała wrażenie, że nie chodziło mu tylko o jej nagie piersi wystające spod rozdartej koszuli. Mężczyzna wskazał na morze, a Skaldmaer podążyła wzrokiem za jego palcem. Dostrzegła cztery oddalające się na południe snekkje, wśród których dostrzegła czerwony żagiel okrętu Diarfa. Nie mogła pojąć, dlaczego skipy odpływały. Przecież najemników trzymała nie tylko lojalność wobec ich władczyni, ale i skarby kussarów. Jedynym pocieszeniem było to, że nigdzie nie widziała „Żelaznego Niedźwiadka”, więc ukochana łupina ojca musiała pójść na dno.

Po chwili zobaczyła cztery kolejne statki, co nieco rozjaśniło sytuację. Były to wielkie serklandzkie galeidy, które przyplłynęły od zachodu i ruszyły w pościg za długimi łodziami ludzi Północy.

Opowieść o miłości 8

Na słupie spędził wiele tygodni, poszcząc i modląc się, dlatego nogi, niegdyś wprawiane w pieszych wędrówkach, teraz szybko się zmęczyły. Stopy spuchły, mięśnie zwiotczały, a biodra i kolana zaczęły pulsować bólem. Znosił te niedogodności z pokorą, dziękując Bogu za przypomnienie, że czas jego ziemskich mozołów jeszcze nie dobiegł końca. Miał tylko nadzieję, iż podobną łaskę Stwórcy okaże jego żonie, bo choć wszyscy ludzie kiedyś staną się jednością z Panem, on wolał wraz z ukochaną jeszcze trochę nacieszyć się różnorodnością świata doczesnego.

– Kiedy zaokrętowaliśmy się na snekkję Diarfa, szybko okazało się, jacy ludzie tworzą jej załogę. Jeszcze gorsze było jednak to, że Sela świetnie się z nimi czuła i bardzo szybko stała się ich ulubienicą. Zawdzięczała to nie tylko urodzie, ale też umiejętnościom skaldycznym, bo dla każdego z tych oprawców potrafiła ułożyć zgrabną pieśń. Często tłukła się z wioślarzami i zawsze z nimi wygrywała, a że zaczęła nosić męski strój i udowodniła swoją wartość w walce mieczem i tarczą, zaczęli ją traktować jako jedną ze swoich. Z Nawlekaczem byliśmy umówieni tak, że za określoną liczbę monet da nam miejsce na statku, ale on oszukał nas już drugiego dnia od wypłynięcia i zabrał wszystko, co mieliśmy.

– Niebawale. – Skald pokręcił głową, po czym zagwizdał „fiu, fiu”. Nawet w drwinie potrafił być twórczy.

– Masz rację. Okazałem się głupcem, zawierając Vaeringowi. Zmyliły mnie jednak twoje opowieści, że drengowie z Północy przestrzegają umów.

– Język ci się wyostrzył. Może rzeczywiście jest z ciebie przywoity pieśniarz? Ale powiedz mi, mnichu, czy taka złośliwość nie jest przejawem pychy, czyli, jak wy to mówicie, grzechu?

Finlog skłonił głowę. Rzeczywiście, człowiekowi miłującemu Kristosa nie przystało takie zachowanie.

– Po raz kolejny Bóg przemówił najmniej oczekiwanymi ustami. Wybacz.

– Nie przeszłoby mi to przez gardło, ale możemy uznać, że wiatr porwał twoje słowa, nim dotarły do moich uszu. Mów dalej, byle szybko, bo zbliżamy się do końca podróży. Widać już pochodnie na murach miasta.

– Zostaliśmy więc okradzeni, ale najmocniej bolało nas to, że Sela nie tylko nie przejęła się naszym losem, ale jeszcze dołączyła do szyderstw i przyjmowała od tych łotrów słowa uznania za łatwy zarobek, jaki im dostarczyła. Myślałem wtedy, że lada dzień wbiją nam noże w plecy i wyrzucą nas za burtę, bo przecież byliśmy im tylko zawadą. Nie zrobili tego jednak z nieznaney mi przyczyny, a twoja córka przestała się do nas odzywać. Uznałem więc, że trzymają mnie z powodu umiejętności językowych i oczekują, że pomogę im wytargować godziwą zapłatę za służbę u gardskonunga. Późnym latem dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku po narodzinach Krista wypłynęliśmy z Dyflinu trzema skipami. Hvitę i mnie cały czas trzymano na różnych snekkjach. Podróż okazała się trudna, bo tym grzesznikom zupełnie się nie spieszyło i po drodze łupili, co popadnie. Najpierw pozęglowaliśmy więc wzdłuż wyspy Englismadów, a potem, trzymając się blisko wybrzeża, ruszyliśmy na południowy zachód, mijając... – Bard przez chwilę szukał odpowiedniego słowa, by w mowie Noregu dobrze oddać przebieg podróży. – Minęliśmy Valland i cały Frakkland. Potem dotarliśmy do Spanlandu, gdzie spotkaliśmy pierwszych Serklandczyków, a załoga Diarfa pokazała pełnię swojego bestialstwa, siejąc spustoszenie tak na ziemiach innowierców, jak i w regionach zamieszkałych przez kristmadów. Twoja córka bynajmniej nie grzała wtedy nóg przy ognisku, bo nieraz widziałem, jak wracała z wypadu z zakrwawionym mieczem i mordem w oczach. Następnie pokonaliśmy Nörvasund, która to cieśnina nazywana jest tutaj Słupami Heraklesa, i wpłynęliśmy na gościnne wody Midjardarhafu. Była już jesień, a dodatkowo dali nam się we znaki kussarowie, którzy zatopili jeden z naszych okrętów, dlatego Sela z Diarfem postanowili przezimować

w wielkim mieście Romaborg. Wtedy próbowałem uciec wraz z żoną, ale o tym nie będę ci już opowiadał. Wiedz tylko, że potem twoja córka darzyła nas jeszcze większą niechęcią. Wiosną ruszyliśmy dalej. Po drodze druga snekkja się odłączyła, a kiedy wróciła, na jej pokładzie nie było już Hvity. Dopiero wtedy poznałem plan Seli. Jak już wiesz, zagroziła, że zabije moją żonę, jeśli nie wypełnię dokładnie tego, co rozkaże. Tłumaczyłem jej, że źle postępuje, ale była głucha na błagania, a nawet płacz, bo łez też się nie wstydziałem, widząc, jak to dziecko upada i pozbawia się łaski przyjaźni z Bogiem. Resztę już znasz. Najęli się na służbę u autokratora i zastawili na ciebie pułapkę.

Przez długą chwilę szli w milczeniu. Nie było już wiele do powiedzenia, więc Bard cieszył się brzaskiem. Niebo zrobiło się szare, potem różowe i pomarańczowe. Powoli nadchodził błękit. W świetle jutrzeńki były munk dostrzegł krople rosy, którą znacznie wcześniej poczuł na palcach wystających ze znoszonych sandałów. W sercu czuł, że niebawem słońce wszędzie i dla niego, a stanie się to, gdy odnajdą Hvitę. Miał też nadzieję, że dobry Bóg zmiłuje się nad tym pysznym Vaeringiem i jego córką, bo choć byli to ludzie występni, wciąż tkwiło w nich dobro. Finlog miał dar jego wyczuwania. Mógłby już zamilknąć, bo Ainar nie domagał się dalszych odpowiedzi, ale chciał jeszcze dać przyjacielowi radę.

– Gdy Sela była jeszcze małą dziewczynką, opowiedziała mi, że przez pierwsze pięć lat pobytu u kupca co rano wybiegała z domu, wspinała się na drzewo i wypatrywała, czy po nią jedziesz. W dniu, kiedy ją porzucałeś, obiecałeś podobno, że wrócisz niebawem. Potem wciąż o ciebie wypytywała, także wtedy, kiedy była już pod moją opieką. Nawet później, gdy udawała obojętność, wciąż o tobie myślała i wszystko, co do tej pory zrobiła, czyniła z twojego powodu. Najpierw chciała po prostu być ze swoim ojcem, później zapragnęła mu pokazać, że jest lepsza od niego, a teraz robi wszystko, by stać się taka jak ty. Ona bardzo cię kocha, Skaldzie, i właśnie z tej podeptanej przez ciebie miłości wzięła się jej wielka złość. Tylko ty możesz uratować córkę i wyciągnąć mrok z jej duszy. Ty i łaska naszego Boga.

Pieśniarz nie odpowiedział, choć nieznacznie się uśmiechnął, a jedno z oczu jakby się zaszklilo. „Czyżby łza?” – przyszło do głowy Bardowi, ale szybko uznał, że to jutrzienka musi mu płatać figla.

Księga VII
DÓTTUR-
TORREK

Czerwiec-lipiec,
6467 rok po stworzeniu świata
wedle rachuby Grikkmadów

40

Nawet ktoś o rozmiarach ciała, sile i gniewie Czarnego Berserka nie powinien włóczyć się w nocy po mieście z workiem złota na plecach, dlatego Ali zaraz po opuszczeniu domu starej wdowy udał się na malutki cmentarz. Mieścił się on w dzielnicy klasztornej, w otoczeniu drzew, krzewów i fontann, ale samo miejsce pochówków było skromne, ogrodzone niskim kamiennym murkiem, a większość grobów ozdobiono prostymi drewnianymi krzyżami. Wybrał świeżą mogiłę z kamiennym nagrobkiem pokrytym płaskorzeźbą delfina przewożącego na grzbiecie krzyż. Do świtu było już niedaleko, więc musiał się spieszyć. W szopie grabarza znalazł szpadel i rozkopał ziemię, odsłaniając ciało młodego mnicha, które o dziwo nie zaczęło jeszcze gnić i nawet nie śmierdziało. Z worka wybrał garść złotych monet, które schował do sakiewki, a resztę położył na piersi duchownego. „Za życia nie miał nic, po śmierci odnalazło go prawdziwe bogactwo – pomyślał, po czym dodał: – Tylko na przechowanie”. Zasypał grób, ubił ziemię szpadlem i odniósł narzędzie na miejsce.

Tym razem rany od noża nie okazały się groźne. Wystarczyło je przemyć i przewiązać; nie było potrzeby zwracać się o pomoc do woźnicy Sofroniusza i nadużywać jego gościnności. Przez kilka kolejnych dni przemierzał miasto, nocami śpiąc pod gołym niebem. Nie łąził bez celu, bo głowy nie opuszczała mu myśl o Bazylim Nothosie, który według nożowników zielonego demu zlecił napaść na Ainara i Isę ibn Ishaka. Obserwował eunucha i badał jegoienne zwyczaje. Poruszanie po Wielkim Pałacu i odwiedzanie innych posiadłości rodziny autokratora ułatwiał mu fakt, że wciąż był spathariosem Nikefora Fokasa i członkiem straży augusty Teofano. Dostanie się do rzeźnia było jednak trudniejsze, niż początkowo sądził, bo choć Bazyl był tylko dworskim urzędnikiem, to

jednak posiadał ogromny majątek i liczną prywatną straż. Ali próbował nawet drogi oficjalnej i wystąpił do kancelarii trzebieńca z prośbą o rozmowę, jednak spotkanie wyznaczono mu za pół roku, a tyle czekać nie zamierzał. Pozostawała mu więc droga występku.

Strasząc i przekupując, zwiedził się od sług parakoimomena, że eunuch trzy razy w tygodniu przychodzi skoro świt do już wybudowanego, ale nadal wykańczanego oikosu, który miał stać się jego główną rezydencją. Była to olbrzymia posiadłość, nieustępująca majestatem pałacom najbogatszych archontów – ludzi mających honor i władzę, jak zwano przyjaciół basileusa. Otoczona była murem, w którego obrębie znajdowały się trzy budynki przylegające do siebie i tworzące kształt podkowy. Najokazalszy znajdował się w środku i był ozdobiony portykiem. Wsparty na trzech kolumnach daszek rzucał cień na długie schody z białego marmuru, które prowadziły do solidnych drzwi z brązu. Porozkładane rusztowania, stosy kamieni, sterty desek i szopy z narzędziami podpowiadały, że budynki wciąż miały być dopieszczane przez murarzy, rzeźbiarzy oraz innych rzemieślników. I całe szczęście, bo gotowy pałac byłby dobrze strzeżony, a tak Ali bez większych problemów dostał się w nocy do środka. Doczekał brzasku, leżąc na drewnianej platformie dostawionej do jednej ze ścian.

Parakoimomen zjawił się z zaledwie pięcioma rzemieślnikami, dwoma niewolnikami i dwunastoma strażnikami. Połowa żołnierzy została na zewnątrz, by pilnować wejścia, reszta zaś rozlazła się po całym domu. Czarny Berserk wiedział o tym wszystkim, bo miał świetny słuch wyszkolony w polowaniach na lwy, a poza tym leżał przy oknie z dobrym widokiem na podwórze.

Z sąsiedniej sali dobiegł cieniutki głos Bazylego, który przydzielał ludziom zadania. Po chwili jeden z rzemieślników wszedł z dłutem i młotkiem do zajmowanej przez Alego izby i zaczął wykańczać posąg młodej dziewczyny niosącej na ramieniu dzban. Głosy z sąsiednich pomieszczeń zostały zagłuszone przez rytmiczne stukanie żelaza o kamień.

Opętany wojownik opuścił się na rękach z krawędzi zawieszanej

dziesięć stóp nad ziemią platformy i skoczył. Miał na stopach miękkie skórzane sandały, dzięki czemu wylądował bezszelestnie, choć nie zdołał uniknąć hałasu, bo uwolnione od jego ciężaru deski zadrżały niczym struny gitary w rękach grajka. Rzeźbiarz odwrócił się w kierunku Blamada, jednak nie zdążył pisnąć, bo twarda niczym kopyto zębry pięść pocałowała go w skroń na dobranoc, a mocarne łapy ułożyły do snu.

Wojownik z Wagadou podszedł do drzwi i zerknął do sąsiedniej sali. Pracowało w niej dwóch rzemieślników. Nigdzie nie było widać Nothosa. Ali ostrożnie przemknął wzdłuż ściany, nie niepokojąc zajętych pracą robotników, i wszedł do kolejnego pomieszczenia. Okazało się puste. Sprawdził jeszcze dwie inne izby, ale nie znalazł tam poszukiwanego. Pozostało mu przeszukanie pierwszego piętra, więc ruszył w kierunku schodów.

Zatrzymał się w ostatniej chwili, ostrzeżony przez podniecenie wlewające się do jego głowy, które z pewnością pochodziło od białej sowy. Hama zwykle była tak pobudzona przed walką, nie zdziwił się zatem, gdy wychyliwszy głowę zza ściany, zobaczył dwóch strażników. Stali przy schodach z białego kamienia ozdobionych poręczami z czerwonego marmuru i kości słoniowej. Byli to postawni żołnierze w kolczugach i hełmach. Mógłby ich pokonać, ale na pewno nie po cichu, hałas zaś ostrzegłby pozostałych zbrojnych. Stłumił chęć zabijania i zdał się na pomyślunek, jaki potrzebny jest każdemu wojownikowi, który z samą dzidą rusza na lwa. Cofnął się do sąsiedniego pustego pomieszczenia, zaparł o niewielkie rusztowanie i pchnął belkę, zwalając konstrukcję na posadzkę. Podbiegł do drzwi, oparł się o ścianę i poczekał sześć uderzeń serca. Do izby wbiegli obaj strażnicy, a berserk niepostrzeżenie wymknął się z sali i pomknął na schody. Pokonał je w kilku susach, skręcił w korytarz i stanął jak pustynny lis zauroczony przez kobrę.

– Stój! Co tu robisz?!

Na górze stał trzeci strażnik. Mierzył w intruza mieczem.

– Panie żołnierzu, ja nowy kamieniarz – odpowiedział pospiesznie spatharios, nienawidząc się za kłamstwo, do którego został zmuszony, oraz

za koślawy język, mający uwiarygodnić jego oszustwo. – Przywieźliśmy ociosany marmur i mistrz przykazał się dowiedzieć, czy trza go rozładować na podwórzu, czy wnieść do posiadłości, bo z niego ma być rzeźbiony jakiś posąg.

– Znajdź rzemieślników na dole. Nie wolno przeszkadzać dostojnemu Bazylemu Lekapenowi.

Eunuch nie miał prawa do nazwiska ojca, lecz Ali nie mógł ani nie był w nastroju do poprawiania zbrojnego. Zbliżył się do niego o krok, sięgając za plecy, gdzie u pasa zwisał mu macharion.

– To zajmie tylko chwilę.

– Precz! – rozkazał żołnierz i machnął mieczem, jakby chciał odgonić muchy.

Blamad skoczył do przodu, jedną ręką chwycił uzbrojone ramię przeciwnika i odgiął je w bok, a drugą wyjął zza pasa sztylet, po czym wraził go strażnikowi w gardło. Zdążył chwycić miecz przeciwnika, by żelazo nie zabrzączało na posadzce, a następnie podniósł konającego i ruszył w głąb korytarza. Wszedł do małego pomieszczenia i ostrożnie posadził ciało przy ścianie, mając nadzieję, że przez jakiś czas nie zostanie odnalezione. Rozejrzał się jeszcze za jakąś szmatą, bo cały lepił się od krwi, ale żadnej nie znalazł, więc wytarł ręce w tunikę żołnierza i ruszył dalej.

Na piętrze panowała całkowita cisza, jednak przecucie podpowiadało Czarnemu Achillesowi, że spotka eunucha w największej sali. Nie pomylił się. Znalazł go w jasnym pomieszczeniu z pięcioma oknami, którego sklepienie bardziej dla ozdoby niż z konieczności podparto przylegającymi do ścian kolumnami. Parakoimomenowi towarzyszyło dwóch rzezanych niewolników w bardzo niecodziennych pozach. Jeden stał nieruchomo, trzymając włócznię i jabłko. Ubrany był w białe szaty obszyte złotem i podbite jedwabiem – takie, jakie na dworskich uroczystościach nosił Bazyli Nothos. Drugi miał na sobie znacznie skromniejszą szatę: krótki biały chiton, który odsłaniał smukłe i nieproporcjonalnie długie nogi. Sługa trzymał w rękach deskę z wydrążonymi w środku dziurami wypełnionymi

różnokolorowymi barwnikami. Z usług obu niewolnych korzystał strażnik sypialni autokratora, Bazyli Lekapen, który stał przy ścianie i malował. Nie chodziło bynajmniej o to, że pokrywał tynk farbą. Tworzył malowidło, już prawie dokończone, a przedstawiające odzianego na białą mężczyznę ze skrzydłami i słońcem widniejącym za jego głową. Ali na tyle znał wierzenia tutejszych kristmadów, by domyślić się, że to anioł, a dworskie obycie pozwalało mu dostrzec, iż postać została ukazana jako eunuch. Twarz skrzydlatego mężczyzny bez brody miała w sobie coś z oblicza Bazylego, choć ciało było wzorowane na młodym i szczupłym niewolniku pozującym z włócznią.

– Jest takie sarakeńskie powiedzenie: nawet jeśli zrzucisz Murzyna w przepaść, będzie spadał w rytm muzyki – oznajmił malarz, który na widok Blamada przerwał pracę tylko na chwilę, by zamoczyć pędzel w białym barwniku, po czym wrócił do poprawiania fałd na szacie anioła.

– Słyszałem je niejedyn raz.

– Ale nie wyciągnąłeś z niego mądrości, bo nadal tańczysz w rytm muzyki, którą wygrywają ci inni.

– Zwinność to wrodzona cecha mojego plemienia, ale dawno już nie słucham żadnych bębnow.

– Doprawdy? Zatem w jakim celu tu przybyłeś? Czy nie szukasz odpowiedzi dla tego pijanego najemnika z Północy, któremu się wydaje, że jest basileusem? Czy nie jesteś również chłopcem na posyłki Nikefora Fokasa?

Wiedza eunucha najpierw zdumiała, a potem rozgniewała nieproszonego gościa. Biała sowa wleciała przez okno, zanurzyła skrzydła w czerwonym barwniku i zaczęła bryzgać po ścianach krwiste smugi, jakie tryskają podczas świniobicia. Niski grubasek ze szczupłymi, niemal pozbawionymi mięśni ramionami nie powinien denerwować Czarnego Berserka.

– To ja tu jestem od zadawania pytań.

– Pytaj więc.

– Dlaczego chciałeś zabić Ainara i Isę ibn Ishaka?

– Twój najemnik nic mnie nie obchodzi. To Isę chciałem usunąć, gdyż nie leży w interesie Romanii, że dostał się w łapy Fokasów.

– Chodzi więc o złoto Kreta?

– Sprawa dotyczy czegoś o wiele większego i cię przerasta.

– A mnie się wydaje, że jest bardzo prosta. Chcesz skarbu dla siebie i dla swoich popleczników.

– Głupcze. Niczego nie rozumiesz, choć masz rację co do jednego. Złoto nie może wpaść w ręce Nikefora Fokasa, bo i bez niego jest zbyt potężny.

– Wiele żmij spotkałem w Wielkim Pałacu, ale akurat ta wydała mi się gryźć najbardziej honorowo. Jestem przekonany, że Nikefor wykorzystałby skarb, by rozbudować armię i toczyć nowe wojny dla chwały waszej Romanii.

– Masz rację. Problem leży jednak w tym, że to byłaby jego armia, jego wojny i jego zdobycze, a z poparciem wojska już niejedyn dowódca przywdział purpurę autokratora. Nasz kochany Konstantyn jest umierający, a jego syn i spadkobierca to słaby głupiec. Wielu jest na dworze takich, którzy myślą o zmianie panującego rodu.

Eunuch skończył malować szatę anioła i odłożył pędzel do małego cebrzyka. Zaraz wziął jednak inny, cieńszy, umoczył w złotej farbie i wziął się do poprawiania zdobień na białej tunice anioła.

– Nie brzmiało to zbyt zawile. Ja czarny wojownik zrozumieć. – Ali wyszczerzył się w uśmiechu, lecz nadaremnie, bo parakoimomen i tak na niego nie patrzył.

– Czyżby? Rozczuła mnie twoja łatwowierność. Słusznie nazwali cię Czarnym Achillesem, bo jesteś jak ten posąg przebrzmiałego bohatera, co ładnie wygląda w pałacu i wzbudza zachwyt doskonałym ciałem, ale jednak jest tylko ozdobą, kamieniem, który niczego nie słyszy ani nie widzi i którego można swobodnie przestawiać z kąta w kąt. Bądź więc łaskaw stanąć trochę z boku, bo zasłaniasz mi światło.

Berserk odruchowo sięgnął po wiszący mu u pasa katar i zrobił krok w przód. W odpowiedzi niewolnicy porzucili dotychczasowe zajęcia

i zagrodzili mu drogę do parakoimomena.

– Myślisz, że ci dwaj rzezańcy mnie powstrzymają?

– Wyglądają niepozornie, ale to wyszkoleni zabójcy. Z pewnością zatrzymają cię wystarczająco długo, by do walki dołączyło trzech strażników, którzy znajdują się w sąsiedniej sali i wszystkiemu się przysłuchują. Lecz to tylko środki ostrożności, których nakazuje mi przestrzegać sam autokrator. Wiem, że nie będą potrzebna, bo ty chcesz przecież tylko porozmawiać. Staraleś się o to tak długo i wytrwale, że w końcu postanowiłem obdarzyć cię tą łaską.

Blamad cofnął się, nie ze strachu przed walką, ale w nadziei, że rozmowa bardziej niż przemoc przybliży go do prawdy. Na znak dany przez Bazylego niewolnicy wrócili do pozowania i podawania farb.

– Widzę, że nic się przed tobą nie ukryje, dostojny panie. Rozumiem, że sam mnie tu zaprosiłeś? Mogłeś ostrzec strażników, by mnie wpuścili. Nie musiałbym robić im krzywdy.

– Wiedziałem, że sobie z nimi poradzisz, a nauczka dobrze im robi. Nie było też trudno odgadnąć, że wybierzesz miejsce, gdzie celowo zostawiłem najslabszą ochronę.

– Mogłeś po prostu łaskawie spojrzeć na moją prośbę o spotkanie.

– I pozbawić się całej zabawy? Nie. Zresztą wygodniej mi rozmawiać z tobą ukradkiem, bez dworskich ceremoniałów. Nie będziemy jednak mitrzyć czasu na wyjaśnienia, że zadaniem strażnika sypialni autokratora jest wiedzieć o wszystkim, co szepcze się w Wielkim Pałacu i w jego okolicy.

– Kimże jestem, by zabierać czas tak wielkiemu malarzowi.

– Kpina spływa po nas, eunuchach, jak deszczówka, bo nóż kastratora pozbawia dumy i myśli o własnych korzyściach. Zadawaj więc właściwe pytania albo idź precz.

„Wyniosły jak dworski eunuch” – mówiło się w karczmach Byzantionu i wyczulony na kłamstwa Ali ostatkiem sił powstrzymał się, by nie zaśmiać się Bazylemu w twarz. Ten bękart był najlepszym przykładem na to, jak

wielkie łaknienie władzy trawiło niektórych trzebieńców.

– Wybacz. Powróćmy do naszego tematu. Skoro nie dla złota chciałeś przejąć Isę ibn Ishaka, to dlaczego?

– A ty wciąż o Isie? To mało ważny pionek, w przeciwieństwie do tego drugiego Sarakena.

– Drugiego?

– Myślałem, żeś lepiej zorientowany, ale widocznie Fokas nie ufał ci tak mocno, by wyjawić całą prawdę. Isa przybył do Basilis Polis z bardzo wpływowym towarzyszem, bo z samym Anemasem, najdroższym synem emira Krety. I choć na dworze puściłem wieść, że obaj zostali ujęci w Thrakesionie, w rzeczywistości umyślnie się tam pojawili i zażądali spotkania z autokratozem. I to życzenie zostało spełnione. Nasz Konstantyn z moim skromnym udziałem spotkał się w tajemnicy z Anemasem, który złożył mi bardzo ciekawą propozycję.

Parakoimomen skończył złote zdobienia i odłożył pędzel. Potem cofnął się dwa kroki, spojrział na anioła i z niezadowoleniem pokręcił głową. Ponownie sięgnął po kijek z włosiem tkwiący w białej farbie i zaczął poprawiać rękaw skrzydlatej postaci.

– Zaproponował mi złoto Krety?

– Oczywiście, że nie. Po cóż miałby okradać własną wyspę? Zaoferował coś o wiele cenniejszego niż złoto. Obiecał, że jeśli pomożemy mu zostać emirem, uzna się za poddanego autokratora, a Kreta znów zostanie prowincją Romanii.

Waga tych nowin przytłoczyła Blamada. Wszyscy wiedzieli, że zdobycie Krety było największym marzeniem Konstantyna, a nieudaną próbę Gongyliosia sprzed dziesięciu laty Porfirogeneta traktował jako największą skazę w swym chlubnym i długim panowaniu.

– Zgodził się – wybełkotał spatharios, próbując równocześnie poukładać w głowie następstwa takiej decyzji.

– W końcu trafny domysł. Jeszcze rok temu pewnie by odmówił, woląc podbić wyspę zbrojnie, ale teraz, gdy podupadł na zdrowiu i lęka się

zamachowców, zrozumiał, że to może być jego ostatnia szansa, by potomni jemu przypisali powrót Krety do macierzy. Zaczął też uważać, że bezkrwawe przejście wyspy przyniesie mu więcej chwały.

– Zatem na naradzie właśnie to było przyczyną zaniechania zbrojnej wyprawy na wyspę.

– Tak, choć nie do końca. Romanii rzeczywiście nie stać w tej chwili na prowadzenie wojny na tyłu frontach. A o ustaleniach Anemasa z naszym umiłowanym Trzynastym Apostołem nie wie prawie nikt, bo sprawa nadal jest niepewna. Władzę na Krecie wciąż sprawuje przeklęty Kouroupes.

– Ale jego syn zwrócił się do prawdziwych mistrzów przewrotów pałacowych.

– To nie takie proste. Anemas nie chce zabić ojca, lecz go osłabić i zmusić do rezygnacji z władzy. Żeby to osiągnąć, musi zniszczyć podporę jego rządów, czyli kussarów z Krety, a dokładnie ich przywódcę, almillanda Samsama as-Sariego. Ten Saraken dowodzi najpotężniejszą armią wyspy i w pełni popiera emira Kouroupesa, a nasi mandatorzy donoszą, że sprzyja też emirowi Aleppo i chciałby mocniej związać Kretę z innymi sarakeńskimi krajami. A do tego nie możemy dopuścić. Na szczęście są na wyspie tacy ludzie jak Anemas, którzy pamiętają o związku Krety z Romanią i rozumieją, że w naszej kristiańskiej ekumenie będzie im się o wiele lepiej żyło i handlowało. Dlatego przystaliśmy na propozycję Anemasa i już za kilka tygodni flota autokratora uderzy na Zatokę Złodziei Morza. Kiedy już zniszczymy ich okręty, Anemas ze swoimi stronnikami zmusi ojca do ustąpienia, po czym ogłosi się poddanym wielkiego Konstantyna Porfirogenety.

– A skąd pewność, że dotrzyma słowa?

– Ten młodzieniec jest rozmiłowany w naszej kulturze i pragnie przyczynić się do przywrócenia świetności Romanii z czasów Cezara i Augusta. Nawet jeśli przewrót się nie powiedzie, całość wydarzeń zadziała na naszą korzyść. Po złamaniu potęgi złodziei morza łatwiej nam będzie w przyszłym roku podbić wyspę. Sam więc widzisz, że nie możemy być stratni na tym sojuszu.

– Wciąż nie rozumiem, jak ma się to wszystko do Isy i złota Kreta.

– Isa to taka zgniła kiść winogron, która może zepsuć całe wino. Przybył do nas razem z Anemasem, a kiedy odesłaliśmy syna emira do domu, Isa został w mieście jako nasz gość i zakładnik. Od razu zaczął opowiadać te swoje wymysły o ukrytym skarbie i o tym, że Anemas chce tylko wykorzystać naszą flotę do zniszczenia Samsama, by samemu przejąć złoto i opłacić nim armię, dzięki której obejmie władzę i obroni wyspę przed wojskami Romanii. Niestety, Isa zyskał posłuch u Nikefora Fokasa. Wielkiemu wodzowi zaś nie w smak układy z Sarakenami. Ponieważ zakładnik był pod jego pieczęcią, ukrył go przed wszystkimi i postanowił wykorzystać wiedzę kussara. Nie mógł oczywiście jawnie sprzeciwić się woli autokratora, dlatego ukradkiem powierzył to zadanie twojemu basileusowi z Północy, pozwalając mu zabrać ze sobą tylko jeden statek. Pewnie sam nie wierzy, że najemnikom uda się obrabować skarbiec, ale strata jednego statku to dla niego tylko lekki uszczerbek jego zasobów. Bardziej mu pewnie zależało, by o próbie kradzieży dowiedział się Anemas i uznał, że Konstantyn próbuje go oszukać. Usiłowałem więc pojmać Isę, by nic nie zakłóciło układu autokratora z Anemasem. Nie udało mi się... również przez ciebie.

– I dlatego nasłałeś na mnie zabójców z kwiatami.

– Ja? W tym mieście niestety dość łatwo natknąć się na rabusiów.

Ali był przekonany, że złodziej z kwiatami działał na zlecenie Bazylego, ale nie miał ochoty drażnić sprawy, bo bardziej od zemsty cenił prawdę, a tę już w swoim mniemaniu poznał. Wciąż nie rozumiał tylko jednego.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko? – powiedział na głos, a w myślach dodał: „skoro wcześniej planowałeś mnie zabić”.

– Sprawy przybrały zły obrót i musiałem się dostosować. Doniesiono mi, że spora grupa Vaeringów z Thery zdradziła autokratora i odpłynęła na Kretę. Coś mi mówi, że ten sos mieszał swoim mieczem Ainar Skald i że ma to związek z ukrytym skarbem. Wykorzystamy więc jego dar do siania zamętu i uderzymy na Zatokę Złodziei Morza wcześniej, gdy Sarakeni będą zajęci wadzeniem się z Rhosami.

– Sprytnie, tylko co wspólnego ma z tym głupi, czarny posąg, który służy twoim wrogom?

– Gdy nie podoba mi się pieśń śpiewana przez eunuchów, nie skazuję na śmierć całego chóru, tylko gram inną melodię. Jesteś doskonałym wojownikiem, więc dobrze nakierowany zrobisz to, co należy. Pragnę, byś odnalazł Orfeusza z Północy. Gdyby jakimś cudem udało mu się zrabować złoto, powiesz mu wszystko, co ode mnie usłyszałeś. Gdy dowie się, że Nikefor wysłał go na pewną śmierć, z pewnością łaskawie spojrzy na moją propozycję. Niech zawiezie złoto na Thereę i powierzy je Georgiosowi, zwanemu Gyrgirem, a w zamian dostanie czwartą część skarbu oraz obietnicę bezpiecznego powrotu na Północ.

– Nie przepadam za morską żeglugą.

Była to prawda, ale przed pospieszeniem Ainarowi na pomoc wstrzymywało go coś innego: biała sowa, która wciąż huczała mu do ucha pieśń o mordzie. Obawiał się, że przy kolejnym spotkaniu ulegnie podszeptom hamy i rozerwie przyjaciela na strzępy.

– Zrobisz, jak uważasz za słuszne. Jutro będziesz jednak poszukiwany w całym mieście za napaść na parakoimomena, a to karane jest ścięciem.

– Przecież tylko sprawdzałem szczelność twojej ochrony.

– I za to jestem ci wdzięczny. Mogłeś jednak wyjść grzeczniej. Straże!

Nim Ali zdążył się zorientować, że wpadł w pułapkę, skoczyli na niego obaj niewolnicy, a z bocznej komnaty wypadło trzech odzianych w kolczugi strażników. Bazyli rzucił się do ucieczki i biegł zdecydowanie szybciej, niż mogłyby na to wskazywały jego chude nogi i duży brzuch.

Blamad ryknął, wprawiając sowę w krwiożerczy amok. Walnął pięścią w łeb jednego z trzebieńców, drugiego kopnął w pierś, powalając na ziemię. Nie miał jednak zamiaru wdawać się w walkę z trzema doświadczonymi żołnierzami i choć jego zew wojownika buntował się przeciwko czmychaniu, obrócił się i pobiegł w kierunku schodów. Dopadł do nich w kilka uderzeń serca. Dobył macharion, bo pamiętał o dwóch strażnikach czekających na dole. Zbrojni byli na swoich miejscach i zaniepokojeni hałasami czekali już z dobytą bronią. Starcie z nimi

oznaczało pewną śmierć, bo Ali wciąż miał na plecach pościg. Z pięcioma przeciwnikami nie dałby sobie rady. Schody były wszakże jedyną drogą ucieczki, więc ryknął, by wzbudzić we wrogach strach, i pobiegł w dół z wyciągniętym sztyletem, pokonując po cztery stopnie na raz. Gdy już prawie był na dole, wskoczył na poręcz. O mały włos od razu z niej nie spadł, bo wypolerowany marmur był śliski, ale uratowały berserka dobre żołnierskie sandały. Zrobił jeszcze trzy kroki, po czym skoczył, ale już nie na stopnie, tylko na drugą stronę poręczy. Spadł z wysokości sześciu stóp, lekko uginając nogi przy lądowaniu i od razu dał susa w bok, robiąc przewrót przez ramię, bo jeden z żołnierzy zorientował się w podstępnie i czyhał w miejscu jego lądowania. Wstając, Blamad machnął na odlew maharionem, celując powyżej osłaniających gołenie podopselli, a poniżej kolczugi. Trafił sztychem w kolano, wyłączając Grikmada z walki. Drugi z żołnierzy niemal dopadł uciekiniera, a trzech kolejni byli już w połowie schodów, więc spatharios podniósł się i pobiegł niczym gazela ścigana przez hieny. Coś go trafiło w plecy, lecz nie poczuł ukłucia, za to usłyszał brzdęk stali upadającej na posadzkę. Domyślił się, że ktoś rzucił w niego nożem, ale trafił rękojeścią.

Wpadł do sąsiedniej sali i zderzył się z rzeźbiarzem. Rzemieślnik upadł, Ali nawet się nie zatrzymał. Dopadł drzwi, wybiegł na zewnątrz i ujrzał pięciu strażników pilnujących wyjścia z posiadłości. Skręcił, pobiegł po trawniku, podeptał kwiaty, minął fontannę i napotkał mur okalający oikos. Skoczył z rozbiegu, chwycił palcami krawędź muru, podciągnął się do brody, a potem jeszcze wyżej, zaparł łokciami, uniósł resztę ciała, przerzucił nogi przez ogrodzenie i zeskoczył na trawnik.

Pobiegł ciasną uliczką, kierując się do portu.

41

Gaupa i Hedin siedzieli na drzewie i jedli gołębia na surowo. Nie był to mięsisty ptak, którym mogliby się najeść, ale nie z głodu go spożywali,

tylko dla zabicia czasu podczas narady, w której z polecenia Berhedina musieli uczestniczyć. Pod drzewem spierali się Magnolf, Diarf i jeszcze kilku innych drengów. Znajdowali się na małej wysepce, gdzie Vaeringowie zatrzymali się, by uzupełnić zapasy jedła i wody.

– Powinniśmy robić to, co dotychczas. – Nawlekacz był w kolczudze i wspierał się na długiej włóczni z zadziorami. Nawet Ryś i Płaszcz musieli przyznać, że wyglądał groźnie, a gdy mówił, nie sposób było lekceważyć jego słów. – Łupimy obie strony jeszcze przez miesiąc, a potem ruszamy za zachód, opływamy Spanland i kierujemy się na północ, by jeszcze przed zimowymi sztormami pić miód w naszych domach.

– Rabowaliśmy przez dwa ostatnie tygodnie, a przez większość tego czasu musieliśmy uciekać. I jeszcze straciliśmy jedną snekkję... Twoją, że ci przypomnę. – Magnolf też był olbrzymem, ale na rozmowy zjawił się bez broni i w zwykłym żeglarskim stroju. Mimo tego przemawiał z pozycji siły, jakby on tutaj rządził. – Zarówno Serklandczycy, jak i Grikkmadowie znają już twoją zdradliwą naturę i ich okręty zaczęły na nas polować.

– Dobrze nam się żyło z kussarami, dopóki nie zjawiłeś się ty i nie namieszałeś Seli w głowie opowieściami o ukrytym złocie Krety.

– Nikt cię nie zmuszał, byś z nami płynął. Trzeba było siedzieć jak pies przy nodze Samsama i cieszyć się drobniakami, które nie mieszczą mu się w sakwie.

– Uważaj, siekierko, bo za mniejsze obrazy nabijałem na włócznie.

– Przypomnij mi, kto ma więcej okrętów?

Nawlekacz ściągnął usta i zmrużył oczy, przez co w słońcu łyśa głowa wodza jeszcze bardziej przypominała grot włóczni. Jego ludzie wyczuli nastrój dowódcy i stanęli bliżej niego, wodząc rękoma przy rękojeściach broni. Krwawa Siekiera miał jednak niepodważalną przewagę w ludziach, także w tych, którzy zjawili się na rozmowy. Różnica w skipach kotwiczących w niewielkiej zatoczce też przemawiała na korzyść Magnolfa, i to dwa do jednego. Gaupę i Hedina bawiła ta kłótnia, ale nie mieli wielkich nadziei, że przerodzi się w coś ciekawszego i bardziej krwawego. Niestety, mieli rację, bo po chwili powrócono do rozmów.

– Widzę, że te twoje wytatuowane siekierki przedstawiają jeno narzędzia drwala, a nie bitewne topory. Skoro się tak lękasz, możesz odpłynąć. Poradzę sobie sam, bo nikt na tym morzu nie ma lepszego okrętu niż moja „Czerwona Żmija”.

– Nie o lęk tu chodzi. Chcę czegoś więcej niżli tylko marnych łupów, jakie nam proponujesz. Pragnę zdobyć tyle złota, by wrócić na Północ jako prawdziwy konung. Musimy popłynąć po Selę i nasz skarb.

– Z tym hamramirem na drzewie na łby się pozamieniałeś? Mamy ją odbić trzema okrętami?

– Cóż znaczy przewaga liczebna wobec potęgi miłości? Nie chcesz odzyskać swojej kobiety?

Gaupa zamruczał, a Hedin westchnął czule. Rozmowa stawała się coraz ciekawsza, bo i oni nie mogli zapomnieć o Seli, wcieleniu bogini Gefny, tak bardzo miłującej koty. Czuli do meykong nieznane dotąd uczucie, którego nie cierpieli, ale którego nie potrafili się wyzbyć. Czasem, kiedy myśleli o Skaldmaer, robiło im się miło na sercu i czuli, jakby wiotczeli, stawali się mięciutcy niczym futerko małego rysia. To była słabość, ale przyjemna. Nigdy wcześniej nie byli z kobietą inaczej niż przez gwałt, a poetka im pokazała, że kotek może pokrywać kocicę bez zakradania się do niej od tyłu. Nawet Hedin, tak lubiący krzywdzić innych, nie chciał jej zrobić nic złego, choć obaj nadal czuli w niej krew Ainara, która pachniała zdradą. Pragnęli znów być z pieśniarką, drzemać z głową na jej kolanach, albo chociaż ocierać się o smukłe nogi i dawać się drapać za uszkami. Inni hamramirzy też chcieli odzyskać panią, bo była dobrą władczynią, rozumiała tańczących wojowników i nie zadawała pytań, gdy znikali na całe dni w lesie. Co mogli jednak zrobić? Sela osobiście nakazała, że mają się trzymać Diarfa.

– Sama wybrała swój los. – Nawlekacz splunął i uśmiechnął się szyderczo. – Ostrzegałem, że współpraca ze Skaldem źle się dla niej skończy. To pewnie za jego sprawą tak szybko zjawily się serklandzkie galeidy. Zresztą Niegrzeczne Niedźwiadki też pokazały, że nie chcą walczyć u naszego boku, tylko odpłynęły w przeciwną stronę.

- Bredzisz. Ainar trzyma z Grikkmadami.
- Kto go tam wie. Nigdy nie dawaj wiary węzowemu językowi.
- Rzadziej zmieniał strony niż ty.
- A ty co? Chcesz wrócić do lizania jego butów?

Magnolf podrapał się po tatuażach, nieco zasłoniętych przez dwudniowy zarost. Gaupa i Hedin poznali, że ten dreng ma w sobie coś z kota i umie być przebiegły.

– Po co nam ta próba sił. Bez ciebie nie dam rady, ale możemy mieć więcej statków. Wystarczy, że popłyniemy na Thereę, gdzie zostało jeszcze kilka moich okrętów.

– Nie są to skipy twojego konunga?

– Mogło mu się co najwyżej wydawać, że są jego. Ainar był tylko zapatrzonym w siebie władcą. To ja prawdziwie rządziłem flotą. Wystarczy mi chwila rozmowy ze sternikami, a przekonam ich, by pospieszyli nam z pomocą. A jeśli będą nieufni, powiem, że to sam Skald ich wzywa, bo pojмали go Serklandczycy.

– Ja nie mogę się tam pojawić, a i o twojej zdradzie muszą już wiedzieć na wyspie.

– Grikkmadów będę unikać, a Vaeringowie nie zaatakują swojego. Udam się do nich na jednym okręcie i spotkam tylko z dowódcami. Razem będziemy mieć przynajmniej dziewięć jednostek, a tyle wystarczy, by zatopić galeidy strzegące skarbu, dostać się do jaskini i załadować złoto.

Diarf prężył jeszcze muskuły i gadał po próżnicy, ale Gaupa i Hedin nie mieli ochoty dłużej słuchać wodzów, bo przecież jasne było, że decyzja została podjęta. Cisnęli niedojedzone resztki gołębia na głowę Nawlekacza i zesli z drzewa, skupiając na sobie nieprzyjazne spojrzenia drengów. Ruszyli na północ, bo chcieli porozmawiać z Ormhedinem.

Martwił ich węzowy hamramir. Był za bardzo skryty, za greczny i nieznośnie posłuszny. Zbyt ludzki, jak na ich mniemanie. Niepokoił ich też los Urrhedina, który może i był ociężałym głupcem, ale jednak ich bratem i nie zasłużył sobie na śmierć w posłaniu. Wszyscy hamramirzy się z tym

zgadziali i odczuwali coś na kształt żalu po stracie, choć nie był on głęboki, bo Tur śmierdział i drażnił innych ślamazarnością. Był drengiem, którego można było kochać, ale nie lubić. Tymczasem Ormhedin nazbyt gorliwie rozpaczał za krowim węgłożercą, co przeplatał nagłymi zrywami wesołości, podczas których głupkowato się uśmiechał i gapił w niebo. Ta sprawa śmierdziała jadem.

Minęli przybrzeżną osadę, gdzie Vaeringowie kończyli uzupełnianie zapasów. Płaszcz chciał się przyłączyć, bo dobijano właśnie jeńców, niszczone spichlerze i palono gaj oliwny, ale Ryś w ich wspólnej głowie marudził, że nie mają na to czasu.

* * *

Zza skał nie było ich widać, choć sami bez kłopotu przypatrywali się okolicy przez szpary między kamieniami. Leżeli nieruchomo, nie zwracając uwagi nawet na muchy, które obsiadły im plecy. Orm mógł to robić całymi dniami, Hedinom bezczynność trochę się nudziła, ale poświęcali ten czas na modlitwy i rozmyślenia. Od wielu dni szukali okazji, by wyznać miłość kolejnemu bratu i wysłać go przed oblicze Boga, lecz hamramirzy dobrze się pilnowali. Nie udało się też dziabnąć nożem żadnego brata podczas obiecannej przez Selę bitwy, bo ta się nie odbyła. Czuli jednak swymi węzowymi zmysłami, że dziś Allah, przy wstawiennictwie Proroka, obdarzy ich szansą, by stali się ghazim, wojownikami za wiarę, który na stałe zamieszkuje w Dar al-Harb, czyli w Domu Wojny.

Zaczaili się nieopodal miejsca, gdzie ukryła się zbiegła ze złupionej wioski dziewczyna. Była młoda, miała długie, kręcone włosy i pachniała morzem, choć oni wyczuwali też woń potu i oddanego niedawno moczu. Stanowiła łakomy kąsek dla mężczyzn, a zwłaszcza dla kogoś takiego jak Svinhedin, który po walce zawsze miał ochotę na gwałt.

Wąż i Płaszcz mieli rację. Zapach strachu zwabił Dzika. Hamramir nadszedł od południa, węsząc i kwicząc radośnie. Był nagi, niósł dwa krótkie oszczepy, a spomiędzy nóg sterczała mu pobudzona męskość, szkaradna, bo niegdyś obcięta w połowie. Bezbłędnie trafił w krzaki,

w których ukrywała się dziewczka. Próbowwała uciekać, gdy pojęła, że została dostrzeżona, ale było za późno. Svinhedin dogonił ją w kilku susach, złapał za włosy i pociągnął w kierunku wielkiego płaskiego głazu. Piszcziała, drapała, a nawet się zsikała, lecz to tylko bardziej pobudziło tańczącego wojownika. Zmusił ją, by oparła się rękoma o głaz, a kiedy była już zgięta wpół, zadarł jej sukienkę i wszedł w brankę od tyłu, jak knur w lochę. Trzymając ją za owinięte wokół nadgarstka włosy i odchylając dziewczynie głowę, zaczął rytmicznie pracować zadem. Kwicząc i stękając, chłonał jej płacz, wrzaski i piski.

Orm i Hedinowie mogliby łatwo zakraść się do gwałciciela i dziabnąć go nożykami w plecy, albo ciąć żelazem po udach, by wykrwawił się na śmierć. Tylko jak wytłumaczyliby braciom ten czyn? Wciąż nie była to dobra okazja do walki, więc mogli tylko przyglądać się zabawie bestialskiego wojownika. Dla Węza była ona obojętna, dla Płaszczy obrzydliwa, choć w pewien sposób podniecająca.

Ktoś nadbiegał. Przytulając ucho do podłoża, usłyszeli pospieszne kroki, a po chwili ujrzeli młodego Grikkmada z harpunem w rękach. Musiał zostać przywołany przez wrzaski gwałconej, bo od razu rzucił się dziewczynie na ratunek. W jej załzawionych oczach dostrzegli, że znała wybawiciela.

Na widok młodzieńca Svinhedin tylko się roześmiał. Nie wychodząc z kobiety, sięgnął po leżący obok oszczep, wyprostował się i szarpnął dziewczynę za włosy, ustawiając ją tak, by zasłaniała go przed napastnikiem. Rybak zatrzymał się, mierząc ząbkowanym ostrzem w spółkującą parę. Krzyknął coś po grikklandzku, a choć Dzik nie znał tutejszego języka, musiał pojąć, że chłopak domaga się wypuszczenia branki. Goły hamramir uśmiechnął się złośliwie i wrócił do zapładniania maciory. Pchał coraz szybciej i szybciej, aż skończył przeciągłym, głośnym kwikiem. Puścił dziewczynę, a ta osunęła się z kamienia na ziemię i odczołgała w bok.

Rybak zaatakował.

Orm syknął, że nadeszła ich szansa, a Hedinowie przyznali mu rację.

Zerwali się z ziemi i w biegu sięgnęli po dwa umocowane przy pasie nożyki. Mknęli bezszelestnie, zbliżając się do pleców hamramira, który ze śmiechem szykował się do odparcia ataku młodzieńca. Cisnęli krótkimi ostrzami i trafili brata tuż poniżej łopatek.

Dzik kwiknął i odwrócił się. Odruchy go nie zwiodły, bo równocześnie odskoczył, schodząc z drogi harpunowi, po czym wolną ręką chwycił za długi drzewiec i podłożył nogę mijającemu go Grikkmadowi. Młodzieniec zwalił się na ziemię i przestał się liczyć w walce.

Wąż i Płaszczę sięgnęli po kolejne nożyki. Cisnęli nimi, celując w nogi Svinhedina. Ten zdołał się uchylić i trzymając krótką włócznię w jednej ręce, a zdobywczy harpun w drugiej, zaszarżował z pochyloną głową. Orm i Hedinowie dobyli ostatniej pary noży, ale nie rzucili nimi, tylko zaczęli uciekać. Zniknęli za najbliższą skałą, precyzyjnie się między iglicami i wpełzli w szczelinę. Dzik nie był w stanie ich dostrzec. Miotał się przy ścianie, krzycząc o zemście Göllnira. Słabł od utraty krwi.

Gad i bliźniacy mogliby poczekać w ukryciu, aż świński brat się wykrwawi, ale obawiali się, że kwiki zwabią pozostałych hamramirów. Obeszli więc teren, chowając się za skałami i wyskoczyli za plecami Svinhedina. Jakimś sposobem Dzik zdołał ich usłyszeć. Odwrócił się i pchnął włócznią. Ledwo zdążyli się uchylić i grot tylko musnął ich prawy bok, rozcinając skórę. Przemknęli wzdłuż drzewca, chcąc znów znaleźć się za plecami przeciwnika, ale ten umiejętnie się obrócił. W walce twarzą w twarz przewagę miał nagi gwałciciel, postanowili więc uściskać ukochanego brata. Zarzucili mu ręce za szyję i opletli go nogami w pasie. Dzik pojął niebezpieczeństwo, upuścił broń i odwzajemnił pieśczętę, próbując zmiażdżyć im kręgosłup, lecz mieli w dłoniach swoje zęby jadowe i ugryźli nimi wojownika w plecy, a potem jeszcze raz i kolejny, celując cały czas w to samo miejsce.

Poczuł się jak wąż miażdżony w szponach jastrzębia, ale gdy już zaczynało brakować im tchu, uścisk się rozluźnił, usłyszeli kaszel, a na ramiona pociekła im krew z ust Svinhedina. Nagi brat runął na kamieniste podłoże.

Zdążyli cofnąć ręce w samą porę, by upadające ciało ich nie połamało. Wstali i ruszyli w kierunku młodzieńca, który sterczał przy zgwałconej dziewczynie i próbował ją przekonać, że trzeba uciekać. Ta siedziała jednak na ziemi i tępym wzrokiem patrzyła na zdychającego Dzika. Wąż i Płaszcz podnieśli jeden z oszczepów hamramira i stanęli przy rybaku. Spojrzał na nich niepewnie, lecz burknął coś, co miało być chyba podziękowaniem za uratowanie życia. Orm nie rozumiał tej wylewności, choć Hedinowie uznali, że jest całkiem miła. Co ich jednak obchodził ten chłopak?

Przebili młodzieńcowi nogę na wysokości łydki, ale ostrożnie, tak by grot nie uszkodził najważniejszych żył. Kiedy ranny wrzasnął, chwycili go za język i szybkim cięciem nożyka ucięli mu go w połowie. Grikkmad zaczął się miotać po ziemi, jęczeć z bólu i pluć krwią. Nie dali mu jednak spokoju, tylko przygnietli do ziemi i trzy razy rąbnęli pięścią w jego twarz, łamiąc nos, wybijając zęby i miażdżąc wargi.

Nowe niebezpieczeństwo przywróciło dziewczynie zmysły. Zerwała się na nogi i próbowała pobiec w kierunku osady, ale Wąż i bliźniacy chwycili ją, syknęli do uszka „ciii”, po czym otoczyli opiekuńczym ramieniem, schowali jej głowę pod pachę i ścisnęli swoją zgiętą w łokciu rękę. Udusili ofiarę szybko, wolną dłonią głaszcząc jej długie kręcone włosy. Orm nie rozumiał, po co to okrucieństwo, ale Hedinowie wyjaśnili, że kobieta jest niewierna i nie przysługują jej prawa ani przywileje tych, którzy są posłuszni Bogu.

Wypuścili z rąk martwe ciało. Pozwolili, by broczący krwią Grikkmad doczołgał się do zabitej i spróbował ją ożywić swoimi łzami. Wrócili do Svinhedina, po drodze podnosząc z ziemi harpun. Obrócili trupa na brzuch, wyjęli z pleców Dzika swoje noże, a następnie wbili ząbkowaną broń we wszystkie rany, poszerzając je tak, by wyglądały na dzieło ostrza większego od sztylecika. Gdy się z tym uporali, przeciągnęli ciało tańczącego wojownika bliżej dziewczyny i oddali chłopakowi jego harpun.

Nim odpełzli z miejsca walki, schowali do rękawa kawałek uciętego języka i podnieśli dwa noże, którymi niecelnie rzucili w Svinhedina.

Sięgnęli też po czerwoną chustę dziewczyny i zawiązali ją sobie na szyi, bo Orm ubzdurał sobie, że to bardzo twarzowe. Zniknęli za skałami z poczuciem dobrze wykonanego zadania i wiarą, że przy ich wstawiennictwie Allah przyjmie ukochanego świńskiego brata do raju.

* * *

Gaup i Hedin z daleka słyszeli krzyki dziewczyny, ale nie zwrócili na nie uwagi, bo w ostatnim czasie zbyt wielu ludzi nie zatrzymywało swojego cierpienia dla siebie, tylko złośliwie raniło hałasem ich wrażliwe rysie zmysły. Lubieżne kwiki ich brata też nie były niczym niepokojącym, bo wszyscy hamramirzy znali jego pobitewną chcicę. Dopiero gdy usłyszeli bojowy kwik Dzika, przyspieszyli kroku i nawet zaczęli biec, choć bolące, gdyż niegdyś przetrącone w kolanach, nogi nie pozwalały im pędzić tak szybko, jak kiedyś. Czuli, że stało się coś strasznego i szalonego, co w końcu pozwoli im zabić nudę.

Pobiegli kamienistą drogą do góry, a potem w dół i trafili w osłonięte przez skalne ściany, głązy i krzaki miejsce, gdzie znaleźli martwego brata. Jedno spojrzenie na pobojuwisko wystarczyło, by odtworzyli przebieg wydarzeń. Svinhedin zgwałcił i udusił dziewczkę, ale dał się przy tym zaskoczyć rybakowi, który podstępnie przebił mu plecy harpunem. Tylko w ten sposób Grikkmad mógł pokonać tak wielkiego wojownika. Nawet jednak śmiertelnie ranny bestialski dreng zdołał się obrócić, rozbił napastnikowi twarz pięścią i przebił mu nogę oszczepem.

Schylili się nad żyjącym jeszcze mordercą, by spytać, czy tak właśnie było, ale ten nie przemówił, mimo że na zachętę podrapali go toporkiem po brzuchu. Zajrzeli do jego ust, które okazały się pozbawione języka. Cała twarz pokrywała tak gruba warstwa zasychającej krwi, że trudno było orzec, czy młodzieniec stracił język dawno temu, czy może sam go sobie odgryzł, gdy Dzik masakrował go pięścią. Wszystko wydawało się jasne niczym mięsko młodego zająca, ale kocie zmysły podpowiadały Gaupowi i Hedinowi, że coś tu jest nie tak. Zastrzygli uszami, poruszali nosem i uważnie obwąchali okolicę. Wyczuli woń, która zdała im się podobna do

fetoru wężowej krwi, lecz nie byli tego pewni, bo zmysły tępił słodki odór juchy pozostałych ofiar.

42

Drewniana klatka – długa, szeroka i wysoka na dwa kroki – była od dwóch tygodni schronieniem Ainara. Wciągnięto ją do groty specjalnie dla konunga kłopotliwego, ale sądząc po jej zapachu oraz widniejących na sosnowych prętach czarniawych plamach i zaschniętej krwi, wcześniej przechowywano w niej dzikie zwierzęta i niewolników, zapewne podczas transportu na targ. Jednak ciasnota, smród i upokorzenie nie były najgorszymi udrękami haga. O wiele bardziej doskwierało mu towarzystwo zamkniętej wraz z nim Seli.

Przez pierwszy tydzień w ogóle się do siebie nie odzywali. Skald nigdy wcześniej nie rozmawiał z dziewczką w jej wieku z innego powodu niżli chęć zaciągnięcia jej na siennik. Pierwszy raz w życiu zabrakło mu więc języka w gębie, co było nie do pomyślenia, bo przecież usta najlepszą bronią są poety, tymczasem przy niej czuł się jak niemota, która nie potrafi wymyślić tematu choćby na luźną pogawędkę. O czym wszakże miałyby gadać z tą ładną dziewczyną, której na dobrą sprawę w ogóle nie znał? Siedział więc spokojnie, robił miny, wymyślał nowe kenningi i grzecznie odwracał głowę, gdy wypróżniała się do podstawionej im w tym celu glinianej miski.

Drugi tydzień był przeciwieństwem pierwszego, bo zamiast milczenia były krzyki. Zaczęło się od tego, że pieśniarz w końcu znalazł sposób na rozpoczęcie rozmowy. Pomysłu dostarczyła mu mucha. Przysiadła na papce z gotowanego prosa, którą właśnie podano im na obiad. Skald złapał owada, urwał mu skrzydełka, po czym wrzucił do miski córki, mówiąc:

– Bez skrzydełek nie ucieknie. Pamiętasz, jak przed laty w klasztorze munkowie mieli nam podać muchy w cieście? No to teraz jedna jest w serklandzkiej potrawce. Tatuś spełnił swoją obietnicę po piętnastu

latach.

Niegdyś żart o muchach rozweselił trzyletnią dziewczynkę, ale teraz nie dość, że nie podziałał, to jeszcze uchylił worek ze wspomnieniami. Meykong poczerwieniała z wściekłości.

– Dotrzymałeś obietnicy?! Ty zapijaczony starcze! Poeto bez sławy i honoru, ty, ty... bardziej!

Ostatnie słowo ubodło go najbardziej. Był przecież sławnym skaldem układającym pieśni o wojnie, a nie jakimś irskim kochasiem, który potrafi sklecić jeno wiersze o cyckach i pięknej przyrodzie.

– Grzeczniej do ojca!

– Ojca?! Niegdyś w klasztorze nazwałam cię tym mianem, a ty mnie potem porzuciłeś jak niechciane szczenię! Szybko przejrzałam jednak na oczy i zrozumiałam, że jesteś przyczyną wszystkich moich nieszczęść. Porzuciłeś moją matkę i zabiłeś ją, bo przez ciebie uciekła z domu i umarła w biedzie, na kaszel, śmiercią tchórza!

Cóż miał odpowiedzieć? Że nie było dnia, by nie myślał o Halfridzie, nawet wtedy, gdy leżał pod kocem z Kallirroe? Że nie zastanawiał się, czy norny nie przedłyby inaczej jego losu, gdyby przed laty przystał na propozycję jarla Haralda i ożenił się z jego córką? Że męczył go żywot wygnańca i chciałby wrócić do Noregu, zbudować dom i osiąść tam na stałe? Że jej los byłby jeszcze gorszy, gdyby zabrał ją ze sobą, bo przy nim tylko kruki i wilki mogły być szczęśliwe? Że w całym swoim życiu nikogo nie pokochał równie mocno jak tej trzyletniej dziewczynki o imieniu Znajda? Nie był babą, by uzalać się nad sobą i okazywać swoje słabości. Był dumnym drengiem, który winien napominać. Na krzyk odpowiedział więc krzykiem i wyrzucił jej niewdzięczność, brak poszanowania dla ojca i przyjaźń z Diarfem. Wyśmiał jej zabawę w meykong i rzekł, że kobieta może władać co najwyżej kluczami do domu swojego męża. W dobrej wierze, choć z jadem ciekącym z pyska, zaproponował, że znajdzie jej odpowiedniego męża i wypłaci mu hojny posąg. Nie wspomniał, że radowało go, na jak piękną i zaradną kobietę wyrosła, że skrycie podziwiał jej poetycki talent oraz to, jak dobrze radziła sobie w męskim świecie,

będąc w nim graczem, a nie tylko pornaską do zaspokajania samczej chuci.

Początkowo Serklandczyków bawiło to przedstawienie. Ainar i Sela znajdowali się w tej samej pieczarze, którą niedawno próbowali obrabować. Ich klatka stała w małej grocie przylegającej do głównej sali, a otaczały ją skrzynie ze złotem i srebrem. Miała to być dla więźniów tortura, bo błyszcząca nagroda wojownika znajdowała się na wyciągnięcie ręki, choć całkiem dla nich niedostępna. Strażnicy często przychodzili, siadali na skrzyniach i przesypywali stosy monet, śmiejąc się z chciwych spojrzeń jeńców. Kłótnia toczona w nieznanym języku była dla maumentsan dodatkową rozrywką, zwłaszcza gdy Skaldmaer rzucała się na ojca, by wydrapać mu oczy paznokciami, a on próbował się bronić tak, by nie zrobić jej krzywdy. Słabo mu to wychodziło, zatem po kilku dniach oboje dorobili się okazałych sińców na ramionach, nogach i pod żebrami. Część stłuczeń była dziełem kussarów, którym w końcu znudziły się wrzaski, by więc uspokoić rozjuszonych przeciwników, dźgali ich drzewcami włóczni. Oprawcy próbowali też polewać więźniów morską wodą, ale to okazało się nieskuteczne, bo choć sól rzeczywiście paliła popękana skórę i zadrapania, oboje ukrywali cierpienie za maską wdzięczności i zgodnie dziękowali prześladowcom za orzeźwienie w gorące letnie dni. W końcu przywiązano ich do przeciwległych ścian klatki, a wtedy mogli już tylko kopać się po nogach. Wprawdzie także rękami zdołaliby sięgnąć wystarczająco daleko, by potrząsnąć sobie dłońmi na zgodę, jednak akurat tego zrobić nie chcieli.

Udręka przebywania z córką skończyła się, gdy pewnego przedpołudnia, dokładnie czternaście dni od chwili uwięzienia, obudził poetę szturchaniec pod żebra, wymierzony tępym końcem włóczni. W młodości, jako urodzony węgłożerca, nigdy nie miał problemów ze spaniem, nawet w tak lichych warunkach, w jakich właśnie się znajdował, ale od pewnego czasu miewał niespokojne sny. Tym razem nawiedziła go Kallirroe – w czerwonej sukni prowadziła na smyczy szczekającego psa. W pamięci wyrył mu się jeden obraz: zwierzę rzuca się jej do gardła, ona dźga psa nożem w brzuch, a potem tarza się z nim w błocie i krwi. Strażnik obudził Skalda, zanim ten

zdążył poznać zwycięzcę starcia. Konung wstał, posępny i wściekły, a nastroju nie poprawiło mu to, że córkę także wyciągnięto z klatki i potraktowaną w ten sam sposób co jego – związano im ręce i założono sznury na szyję.

Zaprowadzono ich do głównej sali. Ciągnięty na powrozie hag mógł w końcu zobaczyć, co stało się z pozostałymi Vaeringami – leżeli przywiązani do żelaznej kraty, wciąż opuszczonej, która blokowała dojście do podwodnej grotty. Część z nich się nie ruszała, możliwe więc, że nie żyli. Na ich widok Sela szarpnęła się, co pieśniarz zwałił na karb jej babskiej wrażliwości, która utrudnia patrzenie na okrucieństwa z obojętnością.

Zatrzymali się przy dwóch mężczyznach siedzących na drewnianej leżance, która była dostawiona do kamiennego stołu, czyli wielkiego płaskiego głazu. Strażnicy naparli na więźniów, próbując zmusić ich do ukłęknięcia, ale oboje oparli się tym zachętom, przynajmniej do czasu, gdy zaczęto bić drzewcami włóczni w tył ich kolan. Klęczenie okazało się nie takie złe, bo mokre i pachnące morzem skały chłodziły nogi w ten gorący dzionek.

Poeta przyjrzał się siedzącym Serklandczykom. Jednego z nich znał aż za dobrze, bo był to Isa ibn Ishak. Zdrajca ponownie odział się na kolorowo, przywdział satynową czapkę i buciki, jeden w kolorze czarnym, a drugi złotym. Popijał czerwone wino ze złotej, wysadzanej klejnotami czarki, będącej zapewne częścią tutejszego skarbu, i gładził swój nienagannie zaczesany do góry wąsik oraz spiczastą bródkę. Siedzący obok niego wysoki maumentsanin był jego przeciwieństwem. Nosił się skromnie, na czarno-biało. W barwie węgla były jego buty oraz kaba, czyli wojskowy kaftan, natomiast koszula, szerokie spodnie i turban przyczepiony do spiczastego hełmu miały kolor śniegu. Obok, na kamiennej płycie, leżał obnażony saif, podobny do tego, jaki posiadał Ali Czarny Berserk. Kussar nie pił wina, mówił za to do siebie niczym chodzący z bogami odrmad, przekładając przy tym pestki oliwek z małej drewnianej miseczki na stół. Za każdym razem, gdy brał pestkę, powtarzał *subhan Allah*, co – jak się

domyślił Ainar – miało być pochwałą jego Boga. Gdy w końcu skończył, starannie zebrał pestki do miski, odsunął ją na bok i odezwał się po grikklandzku:

– Wiesz, kim jestem?

Wódz ludzi Północy domyślił się już tego, pamiętając opowieści Isy i słowa Seli. Siedział przed nimi Samsam as-Sari, pyszniący się godnością almillanda przywódca kussarów z Krety.

– Konungiem, który chce kupić ode mnie pieśń? Pewnie po to pokazywałeś mi te wszystkie skarby.

Samsam kiwnął głową, na co jeden ze strażników dźgnął więźnia drzewcem włóczni w plecy.

– Zaczniemy od początku. Wiesz, kim jestem?

– Sroką, sądząc po odzieniu.

Tym razem almilland nie musiał dawać znaku do bicia, bo już z własnej woli żołnierz napomniał jeńca solidnym szturchańcem.

– Ty zdaje się jesteś samadzatem... – pan serklandzkich łupieżców zastanawiał się chwilę, szukając właściwego słowa w obcej dla siebie mowie – ...aktorem, ale ja nie szukam kuglarzy, bo śmiech jest dla głupców, którzy nie myślą o rzeczach poważnych. Zatem pytam raz jeszcze. Wiesz, kim jestem?

– Abidem, który wzorowo wypełnia swoje obowiązki wobec Boga Wszchemogącego i swoich podopiecznych – włączyła się do rozmowy Sela. – Jesteś przywódcą złodziei morza i prawdziwym władcą Krety.

Ainar przyjął z ulgą wtrącenie córki, bo bolały go już plecy, a wrodzona krnąbrność skłaniała ku kolejnej złośliwej odpowiedzi. Odkurzył w pamięci wspomnienie, że Czarny Berserk również często określał siebie mianem *abid*, co znaczyło „pobożny” lub „wierny Bogu”.

– Wiem, że mnie znasz, droga rapsodko, ale pytałem jego.

– Musisz mu wybaczyć. Gdy przed dwoma tygodniami nurkował, by ukraść twój skarb, za długo przebywał pod wodą. Od tej pory jest powolny w myśleniu i mylą mu się najprostsze rzeczy. Nie zdziwiłabym się, gdyby

rzeczywiście brał cię, panie, za srokę.

Bezczelność córki wobec niego, własnego ojca, rozbawiła poetę, bo wiedział, po kim ją odziedziczyła. Łatwo wczuł się w rolę. Wyciągnął związane ręce, jakby trzymał w nich ziarno i zaskrzeczał niczym wrona zapraszająca koleżankę na obiad.

Żart nie zyskał uznania. Tym razem pieśniarz dostał od strażnika płazem miecza, co miało przynajmniej tę zaletę, że żelazo na chwilę ochłodziło rozgrzane ciało.

– Widzę, że się nie rozumiemy. Jedno mnie obraża, drugie chwali, ale oboje nie potraficie pojąć, o co pytam. Odpowiem więc sam, bo nie chcę na długo odrywać was od ważnych zajęć. Jestem panem tego skarbcza, a wy próbowaliście mnie okraść.

– Okraść? – Wężowy język uniósł brwi, udając zaskoczenie. – To jakaś pomyłka. Twój towarzysz po lewej zaproponował, że pokaże nam podwodną jaskinię, jakiej na pewno nie mamy na Północy. Jako pieśniarz stale szukam tematów do nowych drap, więc nie mogłem przepuścić takiej okazji. I rzeczywiście cały ten system jaskiń przerósł nasze oczekiwania, dlatego gotów jestem za półdarmo ułożyć pieśń o właścicielu tego miejsca.

– Ten kłamca zasługuje na twój gniew, srogi almillandzie. – Hag musiał przyznać, że jego córka też jest wprawna w przywdziewaniu masek. Zrobiła niewinną minę, uroniła kilka łez i wróciła do kłamania z równą łatwością jak ptak do latania. – To on zorganizował wyprawę, a wcześniej porwał mnie od mojego męża Diarfa i przemocą zmusił do uczestnictwa w napadzie. Możesz mi jednak wierzyć, że cały czas pozostałam sercem przy Sarakenach i zamierzałam przeszkodzić vaerińskim łotrom w rabunku.

– Ciekawe jak? – Pieśniarz czuł, że jego ojcowska cierpliwość jest na wyczerpaniu. – Wypinając cycki przed moimi Niedźwiadkami?

– Cisza! – krzyknął przywódca kussarów. – Isa powiedział mi wszystko, więc kłamstwami tylko pogarszacie swoją sytuację. Odpowiedcie za tę zbrodnię.

– Na Północy mamy taki obyczaj, że i owszem, jeśli przyłapiesz złodzieja na gorącym uczynku, w złości możesz go ubić lub powiesić. Ale

jeśli minie już kilka dni, wyrok musi wydać rada na thingu, a karą może być co najwyżej wyjęcie spod prawa. Zgodzę się na wygnanie, o ile dasz mi łódkę, bym mógł odpłynąć z wyspy. Wezmę też ze sobą tę pyską dziewczkę, by dłużej cię nie drażniła.

– Boisz się śmierci, psie? I słusznie, bo Allah nie spojrzy łaskawie na niewiernego. Ale lękasz się przedwcześnie, bo dziś nie zginiecie ani ty, ani twoja towarzyszka, co zawdzięczacie wyłącznie Isie ibn Ishakowi, który się za wami wstawił.

– Wielce mu jestem zobowiązany i nie zapomnę podziękować temu zdrajcy przy najbliższej okazji.

– A czy ja ci, Rhosie, przysięgałem wierność? – Isa uśmiechnął się i pociągnął łyk wina, czym jeszcze mocniej rozwścieczył spragnionego Skalda. – Jak mawia mój przyjaciel i poeta, Abu al-Fath al-Iskandari:

Ludzie to tylko osły, prowadź ich przed sobą,
Ale bądź od nich wspanialszy i lepszy,
A kiedy już im zabierzesz wszystko, czego pragniesz,
Nie czekaj, aż któryś z osłów oszustwo wywęszy^[6].

– Czy możesz mnie winić, że opuściłem was, gdy już na waszych oslich grzbietach dotarłem do domu, spełniwszy swoje pragnienie? – Dla wzmocnienia wymowy słów Saraken wziął kolejny łyk czerwonego napoju i głośno go przełknął. – Czy winisz nasiono, że korzysta z podmuchu wiatru, by trafić na żyzną glebę?

– Jak możesz mu ufać? – Konung kłopotliwy zwrócił się do przywódcy kussarów. – Przecież jest jasne, że to on nas tu przyprowadził. Jak inaczej znaleźlibyśmy wejście do jaskini?

– Oczywiście, że ja. – Isa roześmiał się, ale zaraz wrócił do wyjaśnień. – W tym jest pełna zgoda i cała moja zasługa. Wy, najemnicy, jesteście tacy łatwi do prowadzenia, jak osły właśnie, bo myślicie o złocie tak uporczywie, jak one o paszy, gdy tymczasem tu chodzi o coś o wiele

większego. Bo widzisz, od lat jestem zaufanym ajnem Samsama, jego trzecim okiem. Także z jego polecenia zostałem przyjacielem Anemasa, syna emira Abdala et Qurtubiego. Nie było to wcale trudne, bo urodziłem się, by być nadinem władców.

– Nadin? – Pieśniarz udał zaciekawienie. – To jakaś nazwa męskiej pornaski?

– Nadin, czyli przyjaciel emira. Jego towarzysz i biesiadnik. – Ibn Ishak nie zwrócił uwagi na drwinę, wprost przeciwnie, podjął się wyjaśnienia z uśmiechem na ustach. – Człek światły, jakim jest emir lub jego syn, musi się przecież otaczać przyjaciółmi, z którymi może wychylić kielich z winem i podyskutować o sztuce. Czy może więc istnieć lepszy materiał na towarzysza niż poeta? Myślałem, że to pojmujesz, bo u siebie, na Północy, też jesteś chyba takim nadinem?

– Kimś o wiele więcej. Jestem mistrzem...

– Uszom nie wierzę. – Meykong spróbowała wstać, ale ręka strażnika skłoniła ją do pozostania na klęczkach. – Tatuś będzie się teraz przechwalał? Zawrzyj mordę i daj mówić temu miłemu Sarakenowi.

Zalotnie uśmiechnęła do mężczyzny w czapeczce. Czy robiła to na złość ojcu, czy tylko po to, by zmylić kussara, i tak sprawiła, że konung stracił panowanie i wykrzywił gębę na wilczą modłę, unosząc górną wargę i odsłaniając kły.

– Tatuś tak się nie sroży, bo mu żyłka pęknie – dodała córka, nie przestając się uśmiechać.

– Wykapany ojciec z tej dziewczuchy. – Samsam splótł dłonie i położył je na kolanach, co w połączeniu z wyprostowaną i nieruchomą sylwetką sprawiało, że wyglądał jak człowiek z marmuru. – Teraz już wierzę, że jesteście ze sobą spokrewnieni, jak zapewnił Isa.

– Niestety, to prawda – przyznała Sela, po czym wydała jęk zawodu. – Dlatego chciałabym jednak posłuchać, w jaki sposób dzielny Isa zrobił głupca z tego zapijaczzonego miłośnika pornasek, tego poety o wyblakłej sławie.

Ainar chciał zaprotestować, nie w odniesieniu do pijaństwa i umiłowania kobiet, bo tych słabości żaden wojownik wstydzić się nie powinien, ale w sprawie tiru, bo jak uczyła go babka, „drengskap jest niczym lód – wystarczy jedno pęknięcie, by się całkowicie załamał”. Zawsze należało więc bronić swojej sławy, ale tym razem ugryzł się w język, bo też chciał się dowiedzieć, co stało za zdradą wąsacza. Ibn Ishak, umiejętnie podpuszczony przez pieśniarkę, wydawał się skory do wyznań.

– Z nim rzecz była raczej prosta. O wiele trudniej było przekonać do siebie Nikefora Fokasa. Ale po kolei. Zaprzyjaźniłem się z Anemasem do tego stopnia, że kilka miesięcy temu zaproponował wspólną podróż do Basilis Polis, nie mówiąc mi od razu, o co chodzi. Popłynęliśmy więc razem i po przygodach, którymi nie będę was zanudzał, dotarliśmy do Wielkiego Pałacu, gdzie spotkaliśmy się z autokratozem Konstantynem. Wtedy okazało się, że Anemas zapragnął zdradzić swojego ojca, a także naszego wielkiego almillanda kussarów i wszystkich pobożnych wyznawców Allaha, sprzymierzając się z Romaną. Nie mogłem temu zapobiec, udałem zatem wielkie poparcie dla tego pomysłu, ale kiedy Anemas odpłynął, zostawiając mnie jako zakładnika, zrozumiałem, że muszę jak najszybciej powiadomić o zdradzie mego drogiego przyjaciela Samsama as-Sariego. O wypuszczeniu mnie nie mogło być mowy, tak samo jak o ucieczce, dlatego podzieliłem się z moimi opiekunami wiedzą o skarbie Krety. Dżina, jak wiadomo, najlepiej zwabić rubinami. Sztuka ta udała mi się dwukrotnie. Najpierw ze swojej kaplicy wyskoczył Nikefor Fokas, a potem, z dzbana na wino, Ainar rodem z Północy. Sami zaproponowali, że zabiorą mnie do domu, więc nie mogłem ich urazić odmową. Wiedziałem oczywiście, że skalna twierdza jest nie do zdobycia, a jeszcze dodatkowo przekonałem Nikefora, że najlepiej będzie wysłać tu tylko jeden statek, by cicho i niepostrzeżenie okraść Samsama. Mój przyjaciel As-Sari miał wszakże do mnie małe pretensje, że przy okazji zdradziłem wam prawdziwe położenie skarbcza, ale już mu wytłumaczyłem, że kłamstwo musiało zostać podszyte prawdą, by wyszło wiarygodnie. Na pocieszenie dałem mu okazję do wzbogacenia się, wyjaśniając, że gości

człeka sławnego, który drogi jest sercu autokratora, więc zamiast go zabijać, lepiej zamknąć w klatce i zażądać wykupu. No i dobrze też mieć przy sobie żywy dowód na to, że Anemas nas zdradził.

– Problem jest tylko z twoją córką – rzekł Samsam. – Tej kłamczuchy Romejowie nie zechcą, wygląda więc na to, że jednak sprzedam ją emirowi, jak zamierzałem przy naszym pierwszym spotkaniu. Nasz władca lubi takie zadziorne chłopczyce.

Hag pomyślał, że taki handel byłby dla jego córki dobrą nauką, ale mierzyła go myśl, że znalazłaby się w łapach jakiegoś zniewieściałego Sarakena.

– Ja ją wykupię. Jestem konungiem wszystkich Vaeringów i w Byzantionie zostawiłem sporo monet. Starczy na gjald za nas oboje, a i autokrator coś dorzuci, jeśli go o to poproszę. Wyślijcie tylko człeka z wiadomością.

– Wolę skończyć w łożu Serklandczyka, niż skorzystać z twojej łaski.

– Moje psy rzadziej na siebie warczą niż wy! – krzyknął Saraken w czerni i bieli. – Być może właśnie myśl, że nie dacie dziś głowy, tak was rozbawiła, ale mylicie się, sądząc, że minie was kara. Za kradzież przewidujemy śmierć, i choć jako rozsądny kupiec postanowiłem, że nie zostaniecie ścięci, za wasze przewiny zapłacą ludzie, których tu przyprowadziliście. Dawać ich tutaj!

Almilland wstał, wziął ze stołu obnażony saif i podszedł do rozległego wylotu pieczary. Na jego znak strażnicy pozwolili obrócić się dwójce więźniów, co Skald przyjął z zadowoleniem, gdyż widok z groty niezmiennie urzekał, nawet mimo bolących kolan i pleców piekących od razów. Wyjście z groty było szerokie na dwanaście kroków, wysokie przynajmniej na dziesięć stóp i prowadziło prosto w przestworza. Było z niego widać tylko spokojne błękitne morze, które w oddali łączyło się z bezchmurnym niebem, ale ta prostota i stałość barw działała na poetę uspokajająco i przypominała o domu. Do tego słaby wiaterek przyjemnie smagał twarz.

Nie czekali długo. Sarakeni przyprowadzili sześciu Vaeringów ze

spętanymi z tyłu rękami i tak związanymi nogami, że mogli stawiać kroki nie dłuższe niż na stopę. Bitwę przeżyło ośmiu drengów, Ainar domyślił się więc, że brakująca dwójka musiała umrzeć od ran lub z głodu, bo wszyscy najemnicy byli wychudzeni i bladzi. Ustawiono ich w rzędzie, przodem do klęczącego konunga i jego córki. Dwaj kussarowie przytaszczyli ogromny pień, który postawili dokładnie między Vaeringami a ich przywódcami. Nie trzeba było prosić łba Mimira o radę, by domyślić się, co zaraz nastąpi.

– Podobno jesteś rozsądnym handlarzem, a chcesz zmarnować tak dobry towar? – Skald sam się zdziwił, że jego język tak ochoczo próbuje ratować najemników. Przecież mieli otrzymać dobrą śmierć od miecza, a to winno być wystarczającą nagrodą za gorliwą służbę. Na starość robił się jednak miękki, co wcale mu się nie podobało. – Czy nie wiesz, że nie ma na tych morzach lepszych wioślarzy niż Vaeringowie? Po co ich zabijać? Obróć ich w niewolników i dołącz do obsady jednej ze swoich galeid.

– Nie proponujesz wykupu?

– Zaproponowałbym, ale wiem, że się nie zgodzisz. Też jestem konungiem i doceniam wagę sprawiedliwości. Winni zasługują na karę.

– Twoja bezczelność, choć drażniąca, jest nawet godna podziwu. Szkoda, że nie urodziłeś się z bardziej śniadą skórą, bo byłbyś wspaniałym złodziejem morza albo nawet i farisem walczącym mężnie i z honorem dla chwały Allaha.

Hag skinął głową, połykając słowa, że wolałby urodzić się bez broni między nogami.

– Dobrze – podjął temat Samsam po krótkim namyśle. – Trzech straci głowę, trzech zostanie wioślarzami na mojej galeidzie. I pewnie chcesz wybrać, których mam ocalić?

– Wybierz tych po lewej! – krzyknęła Skaldmaer. – Ręczę, że z tej szóstki to oni mają najsilniejsze łapy.

Ainar uśmiechnął się, bo Sela mówiła o własnych ludziach. Zapewne podejrzewała, że ojciec również spróbuje uratować swoich Niedźwiadków. Nie myliła się, choć jego plan był nieco bardziej złożony.

- Po co mamy wybierać? Oni sami to zrobią.
- Sami zgłoszą się na śmierć? – upewnił się As-Sari.
- Nie inaczej. Pozwól mi tylko do nich przemówić.

Almilland skinął głową, więc poeta zwrócił się do najemników w mowie Północy, albowiem, o ile wiedział, żaden z nich nie władał grikklandzkim.

– Stawać u waszego boku było dla mnie zaszczytem, bo wasz tir tak mocno świeci, że jego blask widziany jest w naszych domach na Północy! Allfadir wypina z dumą pierś, obserwując z nieba swoje mężne dzieci! Valfud przebiera nogami w Gmaszysku Zarżniętych, nie mogąc się doczekać, kiedy powita was przy swoim stole! Obiecałem wam skarby i je ujrzeliście. Obiecałem wam walkę i ją dostaliście. Obiecałem wam godną śmierć wojownika i oto stoi przed wami na wyciągnięcie ręki. Trzech z was straci dzisiaj głowę, ale pozostali będą musieli poczekać i odsłużyć swoje przy wiosłach naszego wroga, nim znajdą swój koniec. Teraz musimy zdecydować, komu pośmiertna sława dziś, a komu jutro. Kto pragnie splunąć śmierci w twarz i jeszcze tego wieczoru zabawić się z walkiriami w Valhalli?

Pierwszy głośnym *ek*, „ja”, zgłosił się Gniewos Trzy Niedźwiedzie, co wcale nie zdziwiło Ainara. Polubił młodego drenga z Krakgardu, który był mistrzem we władaniu włócznią, a wiara w Krista nie przeszkadzała mu szanować honoru i zwyczajów ludzi Północy. Dla niego to pewnie nie wzmianka o ucztowaniu z bogami była zachętą do okazania odwagi, ale chęć pokazania, że nikt nie jest mężniejszy od wyznawcy Jedynego Boga. Drugi był kolejny Niedźwiadek o imieniu Hrolf, a trzeci należał do ludzi Seli. Usta otwierał też jeszcze jeden człowiek Skalda, ale widząc, że jego decyzja była spóźniona, ze wstydem spuścił głowę, tak jak pozostała dwójka, która się nie zgłosiła.

– Ci, którzy się odezwali, chcą zostać ścięci? – zapytał po grikklandzku Samsam, który z zaciekawieniem obserwował wybory, choć nic nie zmąciło jego poważnego oblicza.

- Nie – skłamał pieśniarz. – Ci chcą ci służyć. Na śmierć idą drengowie,

którzy pospuszczali głowy, bo oni pogodzili się już ze swoim losem.

– Dobrze – odparł kussar i dał znać swoim ludziom, by odprowadzili niedoszłych ochotników.

Gnievos i spółka początkowo nie rozumieli, dlaczego są prowadzeni ku żelaznej kracie, zamiast kłaść głowy na pieńku. Pierwszy w oszustwie połapał się wojownik z Krakgardu. Szarpnął się, krzyknął i chciał zawrócić, ale jakiś gorliwy Saraken walnął go pałką w tył głowy, pozbawiając przytomności. Pozostali dali się potulnie poprowadzić, choć nie powstrzymali się od solidnych przekleństw wymierzonych w Skalda.

Trójka mimowolnych ochotników też szybko zorientowała się w sytuacji. Dwóch Vaeringów spojrzało z nienawiścią na Ainara, a tylko Niedźwiadek, który wcześniej chciał się zgłosić, z wdzięcznością spoglądał na konunga. On jeden zdawał się rozumieć, czym kierował się hag, zawiązując podstęp swoim węzowym językiem. „Odwaga domaga się nagrody” – mawiało się na Północy, dlatego pieśniarz postanowił obdarować życiem swoich najlepszych drengów. Gnievos i pozostała dwójka nie zlekli się śmierci, udowadniając, że w pełni zasługują na życie. Tacy wojownicy znajdują sposób, by nawet niewolę przeżyć z honorem, a później poszukają śmierci we własnych bitwach. Natomiast tych, którzy przestraszyli się miecza, Skald obdarzył łaską największą, bo gridem godnej śmierci. Oni szybko załamałoby się w niewoli i zmarli przy wiosłach, a dzięki niemu zyskali okazję, by pokazać Valfudowi, że jednak zasługują na miejsce w Halli Zarzniętych Drengów. Hag obiecał sobie, że najbliższe dni spędzi na układaniu pieśni o swojej łaskawości. Być może wspomni w niej o Seli, która nie sprzeciwiła się takiemu obrotowi spraw. Jego córka też potrafiła docenić odwagę i miała w pogardzie tchórzostwo.

Pierwszego wzięli Niedźwiadka o imieniu Gorm. Dwóch strażników popchnęło go w kierunku pniaka i zmusiło do ukłęknięcia. Następnie ułożyli mu głowę na drewnie w taki sposób, że spleciona w warkocz broda wystawała za krawędź pniaka i dotykała ziemi. Gorm był łysy, więc jego wytatuowana szyja pozostawała dobrze widoczna dla kata, a tym został Samsam. Zdjął kabę oraz hełm z turbanem i w samych tylko białych

spodniach oraz koszuli stanął obok skazańca z obnażonym saifem. Najemnik uniósł lekko czerep i mrugnął do Skalda, a ten w odpowiedzi skinął mu głową. W ten sposób bez użycia słów podziękowali sobie za wspólną służbę. Strażnicy naparli na plecy skazańca i na powrót przycisnęli jego łeb do pniaczka.

Kussar przyłożył długie stalowe ostrze do szyi więźnia i przeciął skórę, a następnie wznosił miecz.

– Nie łbem dogadzam dziewczkom, więc walkirie będą dzisiaj jęczeć – powiedział Gorm, po czym zaczął stękać, jakby już miał pod sobą boginkę.

Miecz opadł bezbłędnie na oznaczone wcześniej miejsce. Cięcie zabiło Niedźwiadka, ale dalekie było od doskonałości, bo głowa nie została odcięta. Samsam wyszarpnął zaklinowane w kości ostrze. Ciało zaczęło dygotać jak w gorączce, a krew sikała na boki, plamiąc biały strój oprawcy. Almilland znał się na swojej robocie, więc nie od razu poprawił cios, tylko poczekał, aż zwłoki znieruchomieją. Wtedy ponownie przyłożył stal do rozcięcia, wziął zamach i uderzył. Tym razem poszło mu lepiej. Kręgosłup został przecięty, choć głowa nadal wisiała na strzępkach mięśni i skóry. Miecz zwyciężył szyję dopiero przy trzecim podejściu. Brodaty łeb stuknął o skaliste podłoże.

Ucięcie głowy na trzy razy było dobrym osiągnięciem i świadczyło o znanstwie Samsama, lecz Ainar i tak postanowił z niego zadrwić.

– Nie tak łatwo ściąć drzewo z Północy.

Kussar nie dał się sprowokować i odpowiedział milczeniem. Na jego twarzy nie było znać ani podniecenia, ani gniewu. W przeciwieństwie do większości wojowników zabijał z powagą, jakby tylko wypełniał swoje obowiązki.

Drugi w kolejce czekał człowiek Seli. Hag nie znał jego imienia i nie sądził, by warto je zapamiętywać. Mężczyzna był wielki, zarośnięty i nosił długie, sięgające ramion włosy, co w tej sytuacji nie działało na jego korzyść, bo zawleczono go do pniaka, ciągnąc za czuprynę. Vaering nie szedł potulnie, ale szarpał się, tak że było potrzebnych czterech kussarów, aby w końcu ułożyć jego głowę na drewnianej poduszce skazańca. Ten

dreng nie zamierzał nikomu dziękować.

– Varg i jego suka! Obyście szczęśli z flakami owiniętymi wokół drzewa!

Poeta przyjął te słowa z wyrozumiałością, bo każdy ma przed śmiercią prawo do odrobiny gniewu i nawet Valfud nie miewał o to pretensji. Samsam przymierzył i wziął zamach. Wiedziony strachem lub odwagą najemnik szarpnął się do przodu, przez co opadający miecz trafił go w plecy. Cios zapewne był śmiertelny, ale nie zabił go na miejscu. Rozjuszony bólem wojownik rzucił się pod nogi strażnika, przewrócił go, a potem upadł na obalonego Sarakena. Ręce i nogi miał związane, kaleczyć więc mógł tylko ustami. Zacisnął zęby na nosie kussara. Pozostali strażnicy pospieszyli towarzyszowi na pomoc – chwycili najemnika za ramiona i próbowali go odciągnąć, ale ten nie otworzył ust, nawet gdy zaczęto go bić drzewcami po plecach. Zdołano go podnieść dopiero wtedy, gdy odgryzł i przełknął śniady nos Serklandczyka. Ponownie zaciągnięto go na pniak, ale tym razem dwaj strażnicy przytrzymali mu ramiona, a trzeci usiadł okrakiem na plecach skazańca. Almilland ponownie ustawił się do ciosu. Tym razem trafił w szyję, lecz niezbyt mocno. Najemnik nadal żył i zaczął się dusić, bo siła uderzenia zmiażdżyła jego krtań o drewno. Zakaszłał, rozpaczliwie biorąc oddech. Kolejny cios również był lekki, na dodatek wymierzony trzy palce powyżej wcześniejszego nacięcia. Vaering jęknął i bezskutecznie próbował się podnieść. Kolejne rąbnięcie trafiło dwa palce poniżej istniejącego już karbu i również nie uśmierciło, za to sprawiło, że ofiara zaczęła się trząść niczym ryba wyciągnięta na brzeg. Dopiero piąte dotknięcie stali zakończyło męczarnie najemnika, a kolejne cztery odjęły głowę od ciała.

Samsam wyczyścił miecz o koszulę zabitego, po czym otarł rękawem spocone czoło. Ciężko dyszał, albowiem ucinanie łbów nie należało do prac lekkich i przyjemnych.

– Powiedz temu ostatniemu – zwrócił się do Ainara – że ma leżeć spokojnie, jeśli nie chce skończyć jak jego poprzednik.

– Ten słabowity Serklandczyk śmie twierdzić, że twoja szyja podda się wcześniej niż po dziewięciu razach – przetłumaczył pieśniarz.

– Będzie się trzymać i po dwunastu! – krzyknął skazaniec i się roześmiał.

Nawet kowal słów nie wiedział, co tak mocno rozbawiło Vaeringa, ale ten nie przestawał się śmiać, nawet gdy strażnicy ułożyli mu głowę na wilgotnym od krwi pniaczku, do którego przykleiły się włosy, płatki skóry, kosteczki i fragmenty mięsa jego poprzedników. Najemnik rechotał, gdy stał naznaczyła mu szyję, a gdy pierwszy cios pozbawił go tchu, nawet stłumiony kaszel zabrzmiał jak chichot. Drugie uderzenie okazało się pocałunkiem walkirii, który zabrał wojownika do Valhalli. Kolejne cztery ciosy odrąbały głowę. Czerep potoczył się po skale i zatrzymał przy klęczącym Skaldzie. Twarz zgrywusa zastygła w uśmiechu.

– Możecie tu jeszcze trochę zostać i przemyśleć, co czeka ludzi ośmielających się mnie okradać. A reszta do roboty! Złoto samo się nie spakuje!

Wzmianka o kosztownościach rozjaśniła mroczne myśli poety.

– Przenosisz skarbiec, Serklandczyku? Może pomóc w noszeniu?

Samsam, którego biały strój zbryzgany był krwią, uraczył go odpowiedzią tylko na pierwsze pytanie.

– Przez mojego drogiego Isę zbyt wielu ludzi zna położenie tej jaskini, a nie mogę sobie pozwolić, by dla ochrony złota trzymać tu połowę swojej floty. Schowam swoją własność w bezpieczniejszym miejscu.

– Gdybyś mi zdradził jego położenie, mógłbym sprawdzić, czy tym razem dostatecznie je zabezpieczyłeś.

Almilland zbył słowa więźnia milczeniem i zaczął wydawać rozkazy. Wkrótce przywiązano pierwszą skrzynię do liny i ją opuszczono. Skald domyślił się, że czekała na nią łódź, bo przed dwoma tygodniami planował opróżnić skarbiec dokładnie w ten sam sposób. Wody były tu bardzo spokojne, pływy i prądy prawie niezauważalne, a latem córki Aegira rzadko się podniecały. Snekka mogłaby łatwo podpłynąć pod skalną ścianę. Choć Serklandczycy nie mieli tak dobrych statków jak Vaeringowie, łódkami powinni dać radę przewieźć skarby na okręty.

Konung kłopotliwy klęczał i rozmyślał, jak mu rozkazano. Natchnienie

wręcz wypętało z gapiących się na niego odciętych łbów i poskręcanych ciał, wymyślał więc kenningi do złota, srebra i drogich kamieni, które ładowano do worów i kufrów. Układał drapę o regularnej mierze wierszowej, pasującej do widoku galeid kołyszących się w oddali na spokojnych wodach Midjardarhafu. Robił sobie przerwy w skaldycznej pracy, podczas których planował, jak ukraść szykowany do przeprowadzki skarb.

43

Okrzyki, które rozległy się wczesnym przedpołudniem, zapowiadały coś niezwykłego. Do Seli dochodziły tylko pojedyncze słowa, ale zdołała pojąć, że zbliża się do nich nieprzyjacielski statek. Z czystej złośliwości nie powiedziała o tym ojcu, choć ten się dopytywał. Lubiła okazywać wyższość temu marnemu poecie, który przez psoty pijanych norn został jej rodzicem.

Nadal siedzieli zamknięci w jednej klatce, ale nie przybywali już w jaskini, tylko na okręcie, w ciasnym pomieszczeniu pod pokładem dziobowym. Panował tu półmrok, choć z nielicznych szpar w suficie i przy drzwiach wpadało odrobinę światła. W żaden sposób nie można było dojrzeć, co dzieje się na zewnątrz, choć wiele dało się usłyszeć.

Galeida płynęła na wiosłach, więźniom towarzyszył więc miarowy odgłos piór zanurzanych w wodzie, skrzypienie wyginanych drągów, stękanie wiosłarzy i trzask bicz. Dziewczyna wiedziała, że na okręcie było dokładnie sto wiosł ustawionych po obu burtach w dwóch rzędach – jeden znajdował się pod pokładem głównym, gdzie niewolnicy siedzieli przykuci łańcuchami do ławeczek, a drugi na pokładzie, gdzie wiosłarze pracowali na stojąco.

Pływanie po morzu należało do przyjemności każdego Vaeringa, a Ainar i Sela zażywali jej od wczesnego ranka. Po straceniu więźniów Sarakeni szybko uporali się z załadunkiem skarbu, potem zaś przenieśli swoich

nieproszonych gości. Spuszczono ich na linie i przewieziono łódką na wielki wojenny musattah. Skaldmaer naliczyła wtedy czternaście statków. Cztery były kupieckimi safinami przewożącymi kosztowności, a pozostałe tworzyły obstawę złotej floty. Norny musiały nieźle się śmiać przy tkaniu przeznaczenia Skalda i jego córki, bo wyszło na to, że stali się częścią skarbu, który wcześniej chcieli ukraść. Meykong nie dziwiła się, że strażnicy tak dosłownie ją docenili, bo miała świadomość swoich wdzięków i umiejętności. Nie mogła jednak pojąć, jakim sposobem Samsam uwierzył, że ktokolwiek zechciałby zapłacić choć jedną nomismę za samozwańczego konunga. Znając usposobienie węzowego języka, wszyscy w Miklagardzie mieli go dość i urządzili sobie ucztę, gdy tylko opuścił miasto basileusa.

Usłyszała odgłos naciąganych lin, a zaraz potem grzmot i świst. Szarpnęło całym okrętem, klatka z więźniami zaszurała o drewnianą podłogę i przesunęła się o dwie stopy. Poetka uderzyła barkiem w ojca, który niechętnie ją odepchnął. Deski w suficie zatrzeszczały, jakby zaraz miały pęknąć i zwalić im się na głowę.

– Strzelają z maszyny do miotania kamieni! – odkrył oczywistość jej wymądrzały rodzic.

Arradah – tak brzmiała nazwa serklandzkiej katapulty. Skaldmaer wiedziała, że aż dwie znajdują się wprost nad ich głowami, na platformie dziobowej. Machiny były na stałe połączone z kadłubem statku, a ich konstrukcję tak rozwiązano, aby na platformie pomieściło się kilkudziesięciu żołnierzy wraz z ciężkim sprzętem. Pomieszczenie, w którym Sela znajdowała się wraz z ojcem, było magazynem obsługi machin, dlatego obok więźniów leżały stosy gładów, gliniane dzbany z grikklandzkim ogniem i żelazne pociski do balist.

Między śmiertelnościami przechadzała się kura, która uprzykrzała więźniom życie ciągłym gdakaniem i sraniem gdzie popadnie. Skald od rana próbował je zwabić swoim głupim „cip, cip, cip”, lecz mądry ptak nie chciał zbliżyć się do klatki, a kiedy pojawiał się któryś z żołnierzy, chował się za skrzyniami i udawał, że go nie ma.

Przy kolejnym szarpnięciu klatka znów zaszurała o podłogę i przesunęła się o dwie stopy, ale w przeciwną stronę niż poprzednio. Większa zmiana położenia była niemożliwa, bo ich przenośna cela była przywiązana linami do żeber kadłuba. Tym razem huk tak przestraszył kurę, że zaczęła gdać i skakać z rozpostartymi skrzydłami, aż uderzyła w ścianę i zemdląła.

Drzwi uchyliły się, zalewając ich światłem. W wejściu pojawił się kolorowo odziany mężczyzna. Zamknął za sobą drzwi i zszedł po schodkach. Był to Isa ibn Ishak, nieodłącznie w swojej satynowej czapeczce. Saraken położył na podłodze przyniesione zawiniątko, po czym przysunął pod klatkę jedną ze skrzyń i na niej usiadł.

– Jeśli przyszedłeś napawać się swoim sprytem, to wiedz, że gdy stąd wyjdę, wsadzę ci tę czapeczkę w dupę, dopchnę kolorowymi bucikami, do gardła wleję dzban oleju skalnego i podpalę cię jak pochodnię, za lont używając twojego zakłamanego języka – mówiąc po grikklandzku, Ainar zbliżył głowę do prętów i zgrzytnął zębami, jakby chciał wykrzesać iskrę.

– Na świętą Al-Kabę, wierzę ci! Dlatego zanim was wypuszczę, muszę wyjaśnić parę spraw.

Oblicze Skalda nie złagodniało, ale jedna brew powędrowała do góry, chowając się pod zaniedbaną grzywką. Sela nie zadała cisnącego się na jej usta pytania, dlaczego chce ich wypuścić, choć nie mogła myśleć o niczym innym.

– Tatuś nie warczy, tylko sobie kłapnie. Córcia chce posłuchać, cóż ma nam do powiedzenia ten piękności kussar. – Tak naprawdę czuła do Sarakena równie dużą niechęć jak ojciec, ale wiedziała też, że gdy okazywała Isie względy, rodzic kipiał ze złości. A denerwowanie go było tutaj jej jedyną rozrywką.

Isa uśmiechnął się do niej czarująco i ukłonił. Pogładził wąsik, chrząknął, po czym odezwał się uprzejmie, jakby chciał udobruchać kochankę.

– W *Koranie* jest mniej słów, niż teraz ciśnie mi się na usta, ale nie mam czasu, by wypowiedzieć je wszystkie. Zacznę więc może od przyznania się do kłamstwa. Wcale nie jestem wiernym sługą kussarów z Krety. Nadal

trzymam z Nikeforem Fokasem i z wami, oczywiście.

Meykong zastukała palcami o pręty i zatrzepotała rzęsami. Była brudna, śmierdziała, włosy miała w straszliwym nieładzie, a niegdyś szykowne ubrania zmieniły się w łachmany, lecz jej urody nie dało się tak łatwo przygasić. Znając moc swojego oddziaływania na mężczyzn, wzięła na siebie rolę przepytującej. Nie miała zresztą wyboru, bo ojciec zajęty był straszeniem kussara swoimi minami.

– Czyli nie jesteś ajnem As-Sariego?

– Jestem, i to najlepszym! Mam też pod sobą cały zastęp oczu i patrzę nimi w najciemniejsze zakamarki świata. Prawdą jest też, że almilland osobiście polecił mi mieć baczenie na syna emira, który rozkochał się w kulturze Romejów, a ja tę prośbę spełniłem. Tyle tylko, że naprawdę polubiłem Anemasa, on z kolei przekonał mnie do swoich racji. Kreta jest zbyt słaba, by oprzeć się potędze armii basileusa, a urzędujący w Aleppo emir Saif ad-Daula sam jest zajęty w Syrii i nie wspomozę nas swoimi żołnierzami. Wcześniej czy później Kreta wpadnie w ręce autokratora, lepiej zaś płynąć z nurtem, niż z nim walczyć, tym bardziej że po drodze można złowić coś dla siebie. Plan Anemasa był jednak zbyt połowiczny jak na moje zamierzenia. Syn emira chciał tylko osłabić kussarów, obalić ojca oraz zdobyć tak skarb, jak i władzę. Ja poszedłem dalej, zatem wspólnie z moim przyjacielem Nikeforem Fokasem uznaliśmy, że najrozsądniej będzie samemu przejść złoto, by Anemasowi nie zamarzyło się wydanie go na nową armię. Widzicie więc, że stoimy po tej samej stronie.

– Nasze strony oddziela ściana tej klatki – rzekł hag, po czym uśmiechnął się i dodał: – Wypuść nas, to staniemy obok siebie.

– Nie tak szybko, bo widzę, że nadal macie mi za złe uwięzienie. A przecież nie mogłem postąpić inaczej! Sami przekonaliście się, że tej groty nie da...

– ...nie da się obrabować! – wszedł mu w słowo pieśniarz. – I dlatego użyłeś nas jako ogarów do płoszenia zwierzyny. Przez nas Samsam poczuł, że jego skarb nie jest bezpieczny i postanowił go przewieźć. A statki ze złotem można przechwycić.

– Szybko myślisz. Tak właśnie było i sam Nikefor zatwierdził ten plan. Sami więc rozumiecie, że nie miałem innego wyjścia, jak udać zdradę i sprowadzić posiłki dla kussarów. Samsam musiał uwierzyć, że wciągnąłem was w pułapkę. Zważcie jednak, że was uratowałem, bo tylko dzięki mnie nie zostaliście straceni.

– Mogłeś powiedzieć, co zamierzasz.

– A przystałbyś na to?

– Masz mnie za dziewczkę udającą mężczyznę niczym moja córka? Oczywiście, że nie, ale mogłem do tego znaleźć innych wykonawców. Taki Diarf Nawlekacz nadałby się świetnie, by położyć swój łeb pod topór.

Wzmianka o kochanku rozżłościła Selę, choć wiedziała, że ojciec celowo chciał ją zdenerwować. Nie pozostała mu dłużna.

– Diarf w ogóle do wszystkiego nadaje się lepiej niż ty, bo ma więcej krzepy i wie, jak dogodzić kobiecie.

– W Miklagardzie powiadają, że dogadza głównie eunuchom. A gdzie teraz jest twój luby? Czy aby nie uciekł niczym zwykły niding na widok pierwszego Sarakena?

Skaldmaer spojrzała na ojca jak niedźwiedź na pstrąga. Gdyby tylko miała wolne ręce i dobrą pałkę, rozwaliby ten przemądrzały łeb, który z racji wieku powinien być pobielający, a wciąż obdarzony był jasną i gęstą czupryną. Jakże wielką ochotę miała zmasakrować tę młodzieńczą twarz i zamknąć na wieki usta, które wciąż raniły i syczały o podstępach. Nawlekacz może i był nikczemnikiem, może też czasem jego völsi nie domagał, ale to był jej łotr. Oprych, którego kochała. Kim zaś był ten marny śpiewak, by ją pouczać?

– Nikefor osobiście mnie prosił, by zadanie wykonał Ainar Skald – przerwał ich kłótnię Isa. – Nie chciał w to wciągać innych Rhosów, bo ceni ich waleczność, choć zdaje sobie sprawę ze słabości ludzi Północy do złota. Wolał więc trzymać całą sprawę w tajemnicy, bo jak to mawiają, kradzież lubi ciszę.

Kolejny wstrząs zachwiał statkiem wojennym. Isa zleciał ze skrzyni

i zgubił czapkę. Okrętem zabujało, klatka zaszurała o pokład, a z góry dobiegł odgłos naciągania lin i skrzypienie obracanej maszyny. Po chwili galeida przestała się kołysać i wróciła do względnej równowagi wyznaczonej miarowymi szarpnięciami wiosł. Kussar podniósł nakrycie głowy, otrzepał je i nałożył z powrotem, po czym usiadł na skrzyni, jakby przed chwilą nic nie uchybiło jego męstwu.

– Strzelają do twojej floty, która ma odzyskać skarb? – zapytała Sela.

– A tu was zaskoczę, ale nie, chociaż moja flota powinna być już w pobliżu. Właściwie to nie moja, tylko Romejów. Zaraz po tym, gdy was złapano, wymknąłem się do posiadłości przyjaciela i wysłałem gołębia na Samos. Mam tam swoich ajnów, którzy na mój znak mieli powiadomić tamtejszego strategosa, że pora wyruszać. Według moich obliczeń i naszych wstępnych ustaleń okręty autokratora czają się teraz w pobliżu Zatoki Złodziei Morza.

– Czyżby zatem to moje Niedźwiadki znów były niegrzeczne? – Skald zatańczył brwiami, jakby właśnie wygrał z rozmówcą w kości.

– Nie tylko one. Osaczyło nas dziesięć długich statków z Północy. Rozpoznałem wśród nich zarówno „Żelaznego Niedźwiadka”, jak i „Czerwoną Żmiję”.

Meykong zagwizdała i puściła do ojca oczko. Diarf jej nie porzucił, co musiało mocno wnerwić tatusia.

– To dlatego chcesz nas uwolnić? – zapytał poeta. – Boisz się, co zrobią z tobą moi ludzie, kiedy już się tu wedrą.

– Wedrą tutaj? Nie bądź śmieszny, konungu. Póki co, Rhosowie boją się do nas podpłynąć. Zdaje się, że mają ochotę odciągnąć część galeid, by później dobrać się do safin ze złotem, ale Samsam jest na to zbyt mądry. Zabronił ścigać nieprzyjaciela i nakazał, by nasze maszyny tylko odganiały najemników. Wy dwoje jesteście mi potrzebni, by dostać się na jeden z waszych statków. Jeśli dobrze pokierujemy tymi łupinkami z Północy, zagonimy Samsama wprost na flotę Romejów i weźmiemy złodziei morza z dwóch stron jak dwa barany owcę.

– Zgoda – rzekła pieśniarka, bo przecież nie mieli innego wyjścia.

– A ty, władco Rhosów, co powiesz?

Ainar milczał, marszcząc czoło. Córka pomyślała, że wyglądał jak muł, który zapiera się kopytami i nie chce ulec sile ciągnącej go za wodze. Przez chwilę robił jeszcze te swoje miny, ale w końcu z wyczuwalną w głosie niechęcią powiedział krótkie:

– Zgoda.

Isa klasnął w dłonie, podkreślił do góry swój nienagannie przyszyty wąsik, po czym wyjął z rękawa klucz i włożył go do kłódki przy łańcuchu zamykającego klatkę. Usłyszeli zgrzyt przekręcane mechanizmu i kłódka opadła do wyciągniętej dłoni kussara. Ibn Ishak odwinął łańcuch, otworzył drzwiczki, ale to nie uwolniło jeszcze więźniów. Najpierw musiał przeciąć liny mocujące ich do drewnianych prętów, a żeby to zrobić, wpełzł na czworakach do klatki. W pierwszej kolejności przepiłował nożykiem węzły Seli, a gdy ta wyszła poza kraty, wziął się do pęt pieśniarza. Oswobodził jego nogi, potem ręce. Gdy tylko krępujące więźnia sznury opadły, siedzący na tyłku Skald podkurczył nogi i kopnął Isę w pierś. Saraken wyleciał przez drzwiczki, gubiąc po drodze broń i czapkę. Hag pospieszył za swoim wybawicielem. Pierwszy na nogi zerwał się poeta, po czym grzecznie pomógł wstać kussarowi, chwytając go za szyję i unosząc niczym szmaccianą lalkę. Ibn Ishak pomachał nogami w powietrzu i wycharczał:

– Mieliśmy umowę.

– Umowę z takim zdraдлиwym psem? Chciałeś może oszukać konunga kłopotliwego, co wykuwał podstępny, gdy ty jeszcze byłeś w brzuchu klaczy zgwałconej przez twego ojca? Myślisz, że jestem twoim pionkiem do gry w szatrandż?!

Dziewczyna obserwowała zwadę z uśmiechem. Też chętnie odpłaciłaby kussarowi za pogrywanie sobie ich życiem, choć ona zajęłaby się najpierw jego ładnymi krągłymi uszami. Umiała jednak powstrzymać swoje umiłowanie do nurzania się w przyjemnościach, a dodatkowo korciła ją myśl sprzeciwienia się ojcu. Sięgnęła po upuszczony przez maumentsanina nożyk i ukuła nim poetę w pachę.

– Co robisz? – zdziwił się tatuś, którego twarz była czystą wściekłością.

– Też miałam z nim umowę, więc bądź łaskaw go nie zabijać. Będzie nam potrzebny, by wydostać się ze statku.

– Chcesz mu zaufać?

– Nie, ale skoro nas uwolnił, u Samsama będzie spalony. Chcąc nie chcąc, musi trzymać z nami.

Skald wzmocnił uścisk na szyi Sarakena, kłapnął zębami przed jego twarzą i puścił ofiarę. Isa padł na kolana, z trudem łapiąc oddech. Zaraz się jednak uśmiechnął, wstał, odnalazł swój satynowy qayah, włożył go na głowę i odezwał się:

– Jak mawiał Abu Dulaf: „Niech myśli nasze będą jak noce, przewrotne i zwinne”. Nie różnimy się tak bardzo, bo wszyscy chcemy wycisnąć z życia odrobinę wina, radości i monet. Dobrze, że mamy już tę kłótnię za sobą i możemy ruszać dalej. Twoja córka ma zresztą rację. Beze mnie nie uszlibyście dwóch kroków po opuszczeniu tego składziku. Ale wszystko po kolei. W tym zawiniątku macie sztylety.

Wskazał przyniesiony tobołek, gdzie rzeczywiście znaleźli długie serklandzkie saksy z onyksowymi rękojeściami.

– Więc co? Mamy się po prostu przebić przez twoich pobratymców? Sam bym na to wpadł – zadrwił Ainar, nadal groźnie spoglądając na ibn Ishaka.

– Nie. Przy okazji zatopimy musattah Samsama. Mam tu swojego człowieka, który w ładowni przy rufie lada chwila powinien rozbić dzban z olejem skalnym i nieostrożnie użyć krzesiwa przy powstałej plamie. Musimy tylko poczekać.

Czekali więc. Sela skorzystała z chwili wytchnienia i przeszukała pomieszczenie. Nie znalazła nic ciekawego poza ogłuszoną kurą. Meykong była naprawdę spragniona i głodna, bo strażnicy kiepsko o nich dbali, urwała więc ptakowi łebek i napiła się jego krwi, a następnie rozerwała stworzenie na pół, oskubała z piór i zjadła trochę surowego mięsa. Ojciec patrzył na nią wilkiem, ale nie miała zamiaru się z nim dzielić. Mogła za to z niego zadrwić. Gdy zaspokoila pierwszy głód, rzuciła mu pod nogi, jak

psu, resztki kury. Ainar nie schylił się po jedzenie, tylko rzucił gniewnie do kussara:

- Długo mamy czekać?
- Jeszcze odrobinę.

Odrobinka zmieniła się w kruszynkę, a ta w spory kawałek czasu. Nawet słynąca z cierpliwości pieśniarka zaczynała się już denerwować, gdy w końcu usłyszeli skrzypienie drzwi. Pierwszy doskoczył do nich poeta. Wciągnął do środka wchodzącego kussara, poderżnął mu gardło i zamknął za nim wejście.

– Pewnie skończyły im się głązy. – Skaldmaer wskazała sztyłem w górę. – Zaraz będzie tu więcej żołnierzy. Musimy się stąd wyrwać, bo inaczej już po nas.

– Dajcie mojemu człowiekowi jeszcze chwilę. Jestem pewien, że niebaw...

Przerwał mu wybuch i trzask łamanych desek. Okręt zakołysał się, a oni stracili na chwilę równowagę. Sela wpadła na ojca, który uratował ją przed upadkiem, za co podziękowała słowami: „Weź te łapska!”, po czym odepchnęła go i wsparła się na klatce. Rozbujany musattah zaczął robić powolny zwrot na bakburte, co mogło znaczyć, że na sterburcie był jakiś problem z wioślarzami. Krzyki i wołania o pomoc mieszały się z odgłosem fal uderzających o burty oraz dźwiękiem dartych żagli i pękających lin. Potem wszystko zagłuszył łomot belki uderzającej najpierw o pokład, a później o wodę.

– Sprawił się lepiej, niż przypuszczałem – rzekł uśmiechnięty ibn Ishak.
– Musiał wysadzić cały składzik z olejem skalnym.

– Idziemy – nakazał Skald, lecz ajn powstrzymał go uniesionym palcem.

Usłyszeli nad sobą tupot nóg. Dziewczyna domyśliła się, że żołnierze zbiegali z platformy na dziobie okrętu, by gasić pożar i naprawiać szkody.

– Teraz! – rzucił Isa, gdy na górze zrobiło się ciszej.

Pierwszy na pokład wypadł pieśniarz, potem kussar, a na końcu meykong. Zmrużyła oczy, bo po długim zamknięciu w ciemnicy światło ją

drażniło. Dostrzegła, że ojciec wdał się już w walkę z jakimś Sarakenem. Ibn Ishak był bardziej rozsądny. Żwawym krokiem szedł w stronę burty, ale nie uciekał, bo jeszcze żaden z żołnierzy nie wiedział o jego zdradzie.

Skaldmaer pobiegła w kierunku ojca i minęła go, co było z jej strony aktem łaski, bo Göllnir krzyczał jej do ucha, by ciachnęła rodziciela ostrzem w plecy. Przeskoczyła beczkę i chwyciła się liny, bo okrętem znów mocno szarpnęło. Zerknęła w lewo i zobaczyła, że już niemal cała rufa stała w płomieniach, a kilku Sarakenów zmieniło się w świetliki. Spod pokładu dobiegały płaczliwe wołania i odgłos łańcuchów uderzających o deski, co niechybnie świadczyło o tym, że zamknięci na dole wiosłarze wyczuli nadchodzący Ragnarök i domagali się uwolnienia. Więcej szczęścia mieli niewolnicy na górnym pokładzie, bo nie byli przykuci do miejsca pracy. Część z nich próbowała jeszcze wykonywać swoje obowiązki, większość jednak skłaniała się już ku kąpielom. Sela uznała, że i dla niej najwyższa pora na znalezienie lepszego miejsca do walki niż tonący okręt. Przemknęła obok żołnierza, który próbował ją zatrzymać, odbiła się nogami od krawędzi burty i skoczyła, celując śliczną główką w morską toń. Woda była orzeźwiająco chłodna. Przez chwilę płynęła pod wodą, mijając unoszące się nad nią pióra wioseł. Początkowo próbowała utrzymać sztylet w dłoni, ale w końcu go wypuściła, bo w morzu i tak nie było z niego pożytku. Wynurzyła się jakieś trzydzieści kroków od musattahu i obejrzała za siebie. Dostrzegła stojącego na pokładzie Samsama as-Sariego, który batem próbował zmusić żołnierzy do gaszenia pożaru.

Po chwili tuż obok niej wynurzył się Ainar, trzymający w zębach rękojeść sztyletu. Trochę dalej dostrzegła Isę, który płynął już w stronę vaerińskich jednostek.

– Na „Niedźwiadka”! – rozkazał Skald, wyjmując na chwilę broń z ust.

Nie miała wcale ochoty kierować się na snekkję ojca, lecz akurat ten skip był najbliższy, więc wybór był oczywisty.

Musattah Samsama płynął jako jeden z ostatnich okrętów floty, dlatego teraz mieli w pobliżu tylko dwie wrogie jednostki. Sela obawiała się, że żołnierze mogą wpaść na pomysł, by urządzić sobie zawody strzeleckie do

uciekinierów, na szczęście w wodzie było wielu serklandzkich rozbitków i kussarowie skupili się na ich ratowaniu.

Oszczędzała oddech, płynąc jak żaba. Tak nakazywał rozsądek, bo do najbliższej snekkji miała dwieście kroków. Obok niej przepłynęło dwóch Sarakenów. Za jednym z nich ciągnęła się strużka krwi, która swój początek brała w nodze, zapewne poranionej podczas wybuchu.

Lopt, najbardziej tchórzliwy spośród bogów, wlał w jej ducha niepokój. Coś pod nią przepłynęło, coś naprawdę dużego. Wieloryb? Gdy odwiedziła dziadka w Noregu, zdarzyło jej się brać udział w polowaniu na to ogromne zwierzę, ale nie słyszała, by w tych wodach spotykano hvale. Snekkjamadowie straszili ją co prawda opowieściami o czającej się w południowych morzach hafgufie, ale kto by tam wierzył żeglarzom prawiącym przy winie. Zresztą cokolwiek pod nią przemknęło, z pewnością nie było wielkości wyspy, jak potwór z opowieści snekkjamadów. Hafgufa czy nie hafgufa, na wszelki wypadek dziewczyna zaczęła płynąć szybciej. Po pięciu zamachach dostrzegła po swojej prawej stronie półksiężycowy ogon i trójboczną płetwę. Tajemniczy kształt pomknął w stronę rannego Sarakena i go dopadł. Mężczyzna został wciągnięty pod wodę, a na powierzchni pojawiła się czerwona plama. Po chwili kussar zdołał się wynurzyć, krzycząc, dławiąc się i młócąc dookoła rękami, ale po pięciu uderzeniach serca wyłoniły się przed nim potężne rybie szczęki. Pochwyciły go i już na dobre wciągnęły do królestwa bogini Ran.

Sela oniemiała z zachwyty i podniecenia, choć rozsądek zmusił ją, by się nie zatrzymywała, a na rybie łowy tylko zerkała. Czymkolwiek był ten morski stwór, wydawało się pewne, że przyciągała go krew. Skurcz w brzuchu napełnił ją niepokojem, czy aby właśnie nie nadchodziła pora comiesięcznej wizyty cioteczki Gefny, która spóźniała się już kilka tygodni. Mówiąc zaś prawdę, opieszałość czerwonej bogini martwiła ją bardziej niż możliwe starcie z wodną bestią.

„Żelazny Niedźwiadek” był już niedaleko, co przyniosło nowe kłopoty. Załoga skipu była bardziej rozrywkowa od kussarów i zaczęła strzelać do

zbliżających się rozbitków, biorąc ich za nieprzyjaciół. Meykong dała nura, przeczuwając, że jeden z łuczników celuje właśnie w nią. Nie pomyliła się. Strzała przeszła wodę i drasnęła ją w bok, powodując lekkie krwawienie. Płynęła pod wodą tak długo, jak zdołała, a gdy wynurzyła się trzydzieści kroków od skipu, usłyszała wołanie ojca:

– To wasz konung, głupcy! Nie strzelać!

Vaeringowie posłuchali. Pierwszy do snekkji dopłynął Ainar, a jego ludzie pomogli wodzowi wejść na pokład. Drugi dotarł Isa. Skald drażnił się z nim przez chwilę, odpychając maumentsanina wiosłem, ale w końcu pozwolił, by wyciągnięto go z wody.

Gdy Sela była już dziesięć kroków od „Żelaznego Niedźwiadka”, jego załoga zaczęła do niej krzyczeć i wymachiwać rękoma. Wiedziała, co to oznacza, więc przyspieszyła. Serce zabiło mocniej, a ramiona zapiekły od wysiłku. Zdawało jej się, że słyszy, jak sunący za nią cień przecina powierzchnię morza trójboczną płetwą i księżycowym ogonem. Rzucona z pokładu włócznia zaświstała nad jej głową i z pluskiem uderzyła o fale, obwieszczając pudło. Poczowała ból w nodze. Potworna siła wciągnęła ją pod wodę. Kątem oka dostrzegła kolejny oszczep, który tym razem w czymś utkwiał. Kopnęła na oślep wolną nogą i, o dziwo, zdołała się wyswobodzić. Pojęła, że drapieznik zacisnął szczęki bardziej na jej nogawce niż na łydce, więc szerokie spodnie uratowały jej życie. Dopadła burty i przyjęła wyciągniętą ku niej dłoń. Niestety, była to łapa ojca, który pomógł córce wejść na pokład i powitał ją słowami:

– Już drugi raz wyławiam cię z morza. Co z ciebie za córa Północy, skoro tak słabo pływasz?

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

– Nie byłabym w potrzebie, gdybyś tak szybko nie umykał przed tym potworem.

– Ja umykałem? Ja go ubiłem!

Wskazał dłonią ku morzu. Jak zwykle przesadzał, bo choć rybę rzeczywiście trafił, stworzenie z pewnością żyło i teraz odpływało z włócznią wbitą w grzbiet. Skaldmaer nie wątpiła, że w drapie, którą

ułoży ojciec, będą dwa potwory zgładzone jednym rzutem, a uratowana kobieta okaże się piękną dziewczyną, która rozłoży nogi przed wybawicielem. Już teraz jej rodzic wypinał pierś, przyjmował poklepywania załogi i wsłuchiwał się w pochwały. Otrzymywał też zapewnienia, że Niedźwiadki szukały go od wielu dni, bo wiedziały, że byle kussarowie nie zdołają powstrzymać ich morskiego konunga. Skaldmaer uznała, że tatuś musiał ciężkimi monetami wzmacniać tęsknotę za swoją osobą, bo przecież takiego łotra nie dało się kochać.

Splunęła na pokład słoń woda i obejrzała łydkę. Była trochę poszarpana, ale wystarczyło ją obwiązać, by noga działała jak nowa. Rana w boku też nie wydawała się groźna, więc zważywszy na okoliczności, Sela wyszła z tej przygody prawie bez szwanku. Spojrzała na sterburkę, za którą widać było dziobnicę „Czerwonej Żmii”, płynącej nie dalej niż o sto kroków. Zastanawiała się, czy nie warto byłoby oddać się przyjemności ponownej kąpieli z potworami, by przepłynąć do Diarfa, ale słowa rodzica skłoniły ją do zaniechania pomysłu.

– Dmijcie w *luðr*! Musimy się naradzić.

Tharbrand, sternik snekkji i, jak poetka zdążyła się wywiedzieć, jeden z najbardziej zaufanych wojów jej ojca, zdjął zawieszony na szyi ludr. Taki wojenny instrument często miał kształt długiej żelaznej trąby, ale na morzu lepiej sprawdzał się bardziej poręczny róg. Ten w posiadaniu styrira był ozdobiony u szerokiego wylotu srebrną obręczą, a na wąskim końcu miał żelazny ustnik. Vaering wydał z ludru najpierw długi dźwięk, który przypominał pieśń wieloryba, a potem krótki urywany sygnał, jakby rozśpiewane stworzenie właśnie przeszył harpun rybaka. Tak brzmiał rozkaz zwarcia szyku. Wkrótce dzioby wszystkich snekkji zaczęły płynąć w stronę „Niedźwiadka”.

44

Hama była w swoim żywiole. Leciała przed dromonem, straszyla mewy,

szybowała tuż nad falami, a czasem zanurzała w wodzie szpony, by złowić rybę i zeżreć ją świeżutką, trzepoczącą. Sowa już prawie nie zniknęła z pola widzenia Alego Czarnego Berserka, czując nadchodzącą bitwę i przewidując, że tym razem Blamad nie zawaha się przed zabiciem Skalda.

Wojownik z Wagadou stał na szczycie xylokastronu – zbudowanego na śródokręciu drewnianego zamku, który składał się z dwóch blankowanych wież stojących przy przeciwległych burtach. Każda była podłużną konstrukcją osadzoną na potężnych i majestatycznych łukach. Budowniczym zależało, by zamek był solidny, ale i lekki, aby zbytnio nie obciążał pokładników i wręg. W efekcie pod wieżami można by się było przechadzać, gdyby nie sterty składowanych tam pocisków, tarcz i strzał.

Tuż za xylokastronem zazwyczaj sterczał maszt, ale teraz leżał na rozstawionych na pokładzie podpórkach, pieczołowicie zabezpieczony linami. Także maszt przedni i reje ułożone były na pokładzie, a żagle spoczywały w ładowni, albowiem tylko głupiec stawał do bitwy bez takich środków ostrożności, ryzykując, że byle pocisk z katapulty lub uderzenie wrogiej jednostki zwali na głowy żołnierzy ciężkie drewniane słupy i dziesiątki łokci materiału. Podobnie przygotowali swoje okręty kapitanowie pozostałych sześćdziesięciu jednostek, które mozolnie, na samych tylko wiosłach, ustawiały się w trzech rzędach, każdym krótszym od poprzedniego, tworząc półksiężycowy szyk. Z tyłu trzymało się dziesięć innych okrętów, stanowiących dodatkowe wsparcie. W obręb floty Romejów wchodziły również szybkie galeidy, które wcześniej zostały wysłane na zwiad. Łącznie flota składała się z ponad osiemdziesięciu jednostek, choć z Samos wypłynęło ich o dwadzieścia więcej. Część zgubiła się jednak na morzu lub na wskutek różnych uszkodzeń pozostała w portach pobliskich wysp. Tylko ostatniej nocy, kiedy podjęli szaloną przeprawę z Thery na Kretę, stracili dziesięć okrętów, ale nie była to wysoka cena za zaskoczenie Sarakenów o wschodzie słońca.

Początkowo Ali sądził, że Grikkmadowie postanowią zablokować Zatokę Kussarów, która mieściła się między Przylądkiem Czerwonego Piasku na zachodnim brzegu Krety a wyspą zwaną Garbusem. Właśnie

z powodu tej wyspy do zatoki można się było dostać albo od północy, albo od zachodu, gdzie swój sztyk rozkładała flota basileusa. Jej prawe skrzydło niemal sięgało płycizn przylądka, a lewe wychodziło na otwarte morze, przez co półksiężyc wyglądał jak uchylone drzwi do zatoki. Szybko okazało się, dlaczego Grikmadowie nie zdecydowali się na ich zamknięcie – z Garbusa zaczęto miotać ogromne głazy, które zdążyły uszkodzić dwa dromony, zanim lewe skrzydło jeszcze bardziej się cofnęło, ustawiając się poza zasięgiem rozstawionych na wyspie machin.

Sarakeni też przygotowywali się do bitwy. Gromadzili okręty w zatoce i ustawiali je w cztery szeregi o równej długości. Jednostek kussarów było mniej, ale za to były większe, bardziej pękate i wyposażone w wyższe burty niż dromony basileusa. Blamad naliczył pięćdziesiąt galeid kussarów, ale z osłoniętych skałami przystani wciąż wypływały nowe.

– W krabatosie oczekuje się męznego spathariosa Alego.

Berserk obejrzał się i zobaczył młodego posłańca, który stanął wyprostowany jak struna tuż obok niego, na szczycie prawej baszty xylokastronu. Uwagę czarnego wojownika przykuło jednak coś innego. W oddali zobaczył błysk, a potem kolejny i jeszcze dwa następne. Wytężył wzrok i zdało mu się, że słońce odbija się od ledwo widocznego masztu zwiadowczego statku Grikmadów.

– Zaraz będę – odrzekł i machnął na żołnierza, by sobie poszedł. Ten czekał jednak dalej, dając do zrozumienia, że pośpiech jest wskazany.

Blamad stał jeszcze chwilę z dłonią przystawioną do czoła, lecz dalszych błysków nie zaobserwował, wzruszył więc ramionami i ruszył za posłańcem.

Z zamku można było zejść tylko po którejś z trzech drabin, co przy kołowaniu okrętu nie należało do łatwych wyzwań. Jeszcze trudniejsze musiało być w warunkach bojowych, ale dzięki takiemu rozwiązaniu istniała możliwość bronienia się z wieżyczek nawet w momencie opanowania jednostki przez wroga. Gdy Czarny Achilles znalazł się na pokładzie, ruszył w kierunku rufy, bo właśnie tam znajdował się krabatos, czyli siedziba dowódcy okrętu. Podążała za nim biała sowa, która

wcześniej latała nad ławkami wiosłarskimi, czasem siadając na głowach stękających z wysiłku Grikmadów.

Podstawą krabatosu była platforma. Prowadziły na nią szerokie schody z poręczą, która u góry rozchodziła się na boki, tworząc okazałą barierkę. Nad podwyższeniem rozciągnięty był płócienny, osadzony na drewnianych żerdziach dach wyglądający jak połówka ogromnej beczki. Pod nim, dokładnie na środku platformy, spoczywał na stołku strategos.

Dowódca floty siedział w pozycji wyprostowanej, z rękami opartymi na kolanach i głową lekko zwróconą w bok, jakby pozował do obrazu. Miał na sobie zieloną tunikę, a na niej klivanion chryson – połączony napierśnik z żelaznych łusek, który łączył się z podobnie wykonanymi osłonami ramion. Strój uzupełniały białe spodnie, wysokie buty z czerwonej skóry i krwisty sagion, zawinięty wokół lewego ramienia płaszcz wojskowy. Po bokach Grikmada stało dwóch czarnoskórych żołnierzy w posrebrzanych kolczugach, którzy trzymali oręż strategosa. Strażnik z lewej opierał o pokład brzeg dużej okrągłej tarczy o czerwonym licu i obręczy z połączanego żelaza. Przyboczny z prawej nakłubał deski sztychem obnażonego miecza o rękojeści wysadzanej rubinami. Cała trójka była zapewne najlepiej opancerzonymi osobami we flocie, bo tego ranka niemal wszyscy żołnierze przywdziali strój lekki, mając na widoku stoczenie bitwy na morzu. Widać było, że dowódca bardzo się starał, by ludzie widzieli w nim mężnego wodza, a nie eunucha, który tylko dzięki znajomościom na dworze zdobył zaszczytne stanowisko. Słabo mu to wychodziło, bo nie potrafił ukryć pucułowatej twarzy, pulchnej sylwetki i przydługawych rąk, a nade wszystko piskliwego, cienkiego głosu. Zdradzały go też wyszukane pachnidła, jakże inne od woni potu, wina i soli, codziennie towarzyszącym żołnierzom floty.

Ali wszedł po schodach i przystanął, czekając na wezwanie. Kiedy eunuch zaprosił go gestem dłoni, podszedł do Georgiosa, zwanego przez żołnierzy Gyrgirem, który niegdyś był zwierzchnikiem Ainara Skalda na Therze, a teraz piastował urząd strategosa morskiego temu w Samos. Berserk skinął mu lekko głową.

– Jak podoba ci się nasz szyk? – zagadnął go mężczyzna bez brody.

– Jest wspaniały i budzi strach w sercach twoich wrogów. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Dlaczego jednak okręty tworzą półksiężyc?

Wojownik z Wagadou walczył w wielu bitwach, ale większość z nich stoczył na ubitej ziemi, tak jak przykazali bogowie. Umiał dobrze pływać, mimo to wszyscy żeglarze wydawali mu się szaleńcami.

– Tak radzi Syrianos Magitros w swojej *Neumachii*. Zgodnie z jego zaleceniami nasz półksiężyc ma mocne skrzydła dzięki największym dromonom, a środek nieco słabszy, bo ustawione są tam chelandiony i usiakony.

– Wybacz moją śmiałość, ale czy nie jest to ustawienie obronne?

– Oczywiście, że jest, mój drogi spathariosie. Jeśli Sarakeni uderzą w nasz środek, mocne skrzydła jeszcze bardziej się wygną i zamkną ich w całkowitym okrążeniu. A jeśli postąpią mądrzej i uderzą na nasze silnie obsadzone boki, wtedy lżejsze okręty ze środka wyjdą z szyku, ruszą do przodu i również otoczą nieprzyjaciół.

– Skąd jednak pewność, że Sarakeni nas zaatakują? Przecież łatwiej im będzie bronić się w zatoce.

Gyrgir uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął dłoń ku stojącemu nieopodal niewolnikowi. Ten natychmiast podszedł i podał na srebrnej tacy kielich z czerwonym winem. Strategos napił się, po czym oparł naczynie o kolano.

– Nasz wielki autokrator Leon VI pisał, że każdy dowódca powinien mądrze dobierać ludzi, jakich bierze na pokład swojego okrętu. Wiesz, dlaczego pozwolono ci płynąć na „Patrikosie”?

„Patrikos” był największym okrętem Georgiosa, a nazwę otrzymał podobno na cześć Niketasa Patrikosa, który był eunuchem i znakomitym dowódcą wojskowym, a po śmierci został świętym. Ta wiedza była łatwo dostępna i Ali ją zdobył, zanim jeszcze postawił nogę na pokładzie dromonu. O wiele trudniej było przeniknąć zamiary strategosa odnośnie do

jego osoby, choć miał swoje podejrzenia.

Ponad dwa tygodnie temu usłyszał od parakoimomena Bazylego Nothosa, że nadrzędnym celem autokratora jest rozbięcie floty Sarakenów, dzięki czemu łatwiej będzie dokonać na Krecie przewrotu pałacowego. Skarb miał ponoć drugorzędne znaczenie, jednak Bazyl zachęcił Blamada, by ten spróbował dotrzeć do Ainara Skalda. Berserk wykupił więc miejsce na statku kupieckim i w pośpiechu opuścił Miklagard. Skierował się na Samos, gdzie grikklandzka flota szykowała się już do wypłynięcia w kierunku Krety. Zdążył w samą porę. Zażądał spotkania ze strategosem. Początkowo odmówiono mu tego zaszczytu, ale o dziwo, gdy wspomniał o swojej znajomości z Ainarem, Gyrgir zgodził się go przyjąć. Nie rozmawiali wtedy długo, spatharios nie zdołał zatem wy badać, komu wierny jest wódz floty – Nikeforowi Fokasowi czy Bazylemu Nothosowi. Pewnym było natomiast to, że Georgiosa bardzo ciekawili Vaeringowie i rola, jaką mogli odegrać w nadchodzącej bitwie.

– Gdy Bóg zsyła na mnie zaszczyt, nie zwykłem pytać o przyczyny, bo wiem, że zawdzięczam go wyłącznie Jego dobroci, a nie swoim zasługom.
– Berserk uderzył w religijne tony, bo strategos wydawał się bardzo pobożny.

– Dobrze jest otaczać się mnichami, ale mam już ich pod dostatkiem. Przystąpiłem na twoje towarzystwo, ponieważ powiedziano mi, że nie ma lepszego od ciebie żołnierza, a do tego jesteś niegłupi i masz ciekawych przyjaciół. W jednej rzeczy mnie chyba okłamano, skoro sam nie wpadłeś na to, dlaczego Sarakeni niebawem nas zaatakują.

Ali skinął głową, udając zawstydzenie, choć tak naprawdę chciało mu się śmiać. Z powodu piskliwego głosu i młodo wyglądającej twarzy trzebieńca cały czas miał wrażenie, że rozmawia z dzieckiem, które bawi się w dorosłego.

– Mniemam, że ma to coś wspólnego ze skarbem, po który Nikefor Fokas wysłał konunga Ainara.

– A zatem naprawdę używasz głowy do czegoś więcej, niżli tylko oddawania jej jako powierzchni na tatuaże. Lubię zaradnych ludzi. Powiedz

mi wszystko, co wiesz!

Berserk się zawahał. Trzymanie języka za zębami nigdy nie było jego mocną stroną, bo prawda zawsze domagała się ujawnienia, ale w tym wypadku wskazana wydawała się ostrożność. Co wiedział o tym człowieku?

– Nimi się nie przejmuj. – Dowódca wskazał na czarnoskórych strażników. – Nie mówią w języku Romejów i to jest jedna z ich głównych zalet. Mów śmiało.

– Ainar wypłynął razem z pewnym Sarakenem, Isą ibn Ishakiem, po ukryty skarb Krety. Wyprawa nie jest jednak na rękę Bazylemu Nothosowi i samemu autokratorowi, który nie chce rozgniewać pewnych wpływowych ludzi na dworze emira Krety.

– Mówmy otwarcie. Ci wpływowi ludzie to Anemas i jego stronnicy, których popiera Bazyl. Dlatego Nothos wyraźnie rozkazał, że głównym zadaniem moich okrętów jest złamanie potęgi floty kussarów.

– A mimo to jej nie atakujemy. Czy nie działamy więc wbrew zaleceniom parakoimomena? – Wojownik z Wągadou pochwalił się w myślach za te słowne sidła, dzięki którym chciał wybadać, komu wierny jest strategos.

– Wręcz przeciwnie. Przypłynęliśmy tutaj zniszczyć Samsama as-Sariego, tyle tylko że kussarowie nie kwapią się do obrony ojczyzny. Jednak dzięki mojemu sprytowi właśnie oni uderzą na nas pierwsi, bo będą chcieli mieć pełny dostęp do zatoki. Skąd to wiem? Jeszcze na Samos dotarła do mnie wiadomość od Isy ibn Ishaka, że właśnie dziś rano niewielka flota kussarów przywiezie skarb do Zatoki Złodziei Morza. A nasze okręty stoją dokładnie na trasie, którą musi płynąć złota flota Samsama.

Ali długo układał mozaikę, która w jego umyśle przedstawiała obraz zmagających się ze sobą stronnictw dworskich, a eunuch, niczym młotkiem, rozbił ją na drobne kawałki. Na szczęście miał już teraz wszystkie fragmenty układanki i mógł z nich ułożyć prawdziwy obraz minionych wydarzeń. Wypadało zacząć od ibn Ishaka.

– Isa jest twoim zausznikiem?

– Nie moim, tylko Nikefora Fokasa. Wydajesz się zaskoczony, czyżby Bazyli Nothos nic ci o tym nie mówił? No cóż, wychodzi na to, że nawet wszechwładny parakoimomen nie wie wszystkiego.

– Bazyli wydawał się jednak pewny, że strategos z Samos jest jego zaufanym człowiekiem, choć wyraził pewne zaniepokojenie z powodu opóźniania się wyprawy.

– Ależ ma on we mnie przyjaciela. Zrobię wszystko, by wypełnić jego życzenie i zniszczyć Samsama as-Sariego.

– Jednak przed tym przyjacielem masz, panie, wiele tajemnic.

– Jako żołnierz muszę też być wierny domestykowi Nikeforowi Fokasowi, który jest zwierzchnikiem całej armii.

– Pojmuję. Pragniesz wyświadczyć przysługę im obu i zostać rozjemcą w ich sporze.

Eunuch westchnął jak zachwycony podlotek i zaklaskał dłonią o prawie już pusty kielich z winem.

– Powiedz mi jeszcze, dlaczego ci o tym wszystkim mówię, a udzielię ci łaski oglądania ze mną bitwy.

– Czyżby, jak zwykle, Vaeringowie okazali się kłopotliwi i zagrażają twoim planom? Mam do nich dotrzeć?

Gyrgir pozdrowił go uniesionym kielichem, wypił ostatni łyk wina, po czym przywołał gestem służącego i rozkazał mu przynieść drugi stołek. Niewolnik zniknął pod pokładem rufowym, a po chwili wrócił z niskim trójnożnym zydlem, który postawił na pokładzie po prawej stronie dowódcy.

Ali poczekał na przyzwolenie od strategosa, po czym usiadł, choć wcale nie uśmiechało mu się bezczynne oglądanie bitwy. Poza tym, siedząc z aż tak podkurczonymi nogami, że kolana sięgały mu piersi, musiał wyglądać naprawdę głupio. Pociuszające było tylko to, że nawet w tej uwłaczającej pozycji jego głowa i tak znajdowała się wyżej od pulchnej twarzyczki wodza floty. Ten stan rzeczy wyraźnie złościł wojskowego – nie potrafił

ukryć irytacji, mimo że bardzo starał się nadać twarzy surowy wyraz. Napięcie przerwał niewolnik, który podszedł z dzbanem wina. Gyrgir cofnął jednak pusty kielich i rzekł:

– Tak jak czyste niebo sprzyja żeglarzom w bitwie, tak jasny umysł niezbędny jest dowódcy, który przewodzi flocie. Przynieś mi i mojemu gościowi dzban fouski.

Czarny Achilles pochwalił w myślach eunucha, bo już obawiał się, że i ten dowódca okaże się pijakiem godnym Ainara Skalda. Nie mógł wykluczyć, że wstrzemięźliwość rzezańca jest tylko grą pozorów, ale jeśli Gyrgir potrafił okiełzać swoje przywiązanie do wina, tym lepiej świadczyło to o jego charakterze.

Sługa zjawił się z dzbanem napoju i dwoma kubkami, które napełnił w ich obecności i podał – najpierw strategosowi, a później Alemu. Potem odebrał od wodza puste naczynie po winie i zniknął im z oczu.

Z krabatosu mieli świetny widok, „Patrikos” znajdował się bowiem dokładnie w środku grikklandzkiego półksiężyca, i to w pierwszym szeregu. Szybko okazało się, że strategos miał rację. Cztery szeregi sarażeńskich galeid zaczęły zbliżać się na wiosłach do ich pozycji. Okręty poruszały się ciężko na płytkich, spokojnych wodach zatoki, co nie było dziwne, albowiem pośpiech nie szedł w parze z utrzymaniem szyku bojowego. W końcu flota dotarła jednak w pobliże wyspy Garbus, gdzie się zatrzymała.

Po schodach wbiegł *prōtokarabos*, czyli sternik, a więc druga najważniejsza po Gyrgirze osoba na okręcie. Łysy, niski mężczyzna noszący się prosto jak żołnierz, bez czekania na przyzwolenie podszedł do eunucha i oznajmił:

– Czcigodny strategosie. Wrogowie są już trzysta kroków od naszych skrzydeł. Jakie rozkazy?

– Wywiesić kamelaukion z kamieniem. Chcę też mieć przy sobie dwóch mandatorów, by w każdej chwili wysłać ci wiadomość.

– Wedle życzeń – powiedział sternik i odszedł. Po chwili pojawiło się dwóch posłańców, którzy zajęli miejsca w pobliżu schodów: na tyle blisko,

by usłyszeć głośny rozkaz, ale na tyle daleko, by nie docierały do nich odgłosy zwykłej rozmowy.

Blamad obejrzał się i dostrzegł, że na samym końcu rufy, tam gdzie nie sięgał już daszek krabatosu, jakiś żołnierz przyjmuje rozkazy od sternika, a następnie podnosi długą żerdź zakończoną flagą z czarną plamą na złotym polu. Do kamelaukionu przyłączone były też trzy ogony, które trzepotały na wietrze, gdy marynarz machał proporcem.

W odpowiedzi na rufach sąsiednich okrętów wywieszono takie same kamelaukiony. Po chwili czarne plamy na złotym tle unosiły się nad całą flotą niczym stado wygłodniałych mew. Był to znak, by do pracy wzięły się katapulty i balisty umieszczone na platformach dziobowych.

Szybko okazało się jednak, że galeidy ze środka półksiężyca są zbyt oddalone od wrogich jednostek, by prowadzić skuteczny ostrzał. Zaprzestano go więc i tylko maszyny okrętów znajdujących się na rogach półksiężyca nadal miotały pociski. Większość z nich początkowo wpadała do wody, ale po jakimś czasie, gdy obsługa dostroiła moc drewnianych ramion, pociski zaczynały trafiać. Okręty kussarów odpowiedziały tym samym i wkrótce pierwsze gązdy spadły na najbardziej wysunięte dromony.

– Zatem Vaeringowie jak zwykle namieszali? – zaczął rozmowę Ali, którego nudziło obserwowanie latających kamieni.

– Tak, choć wciąż nie wiadomo, co stało się z Ainarem Skaldem. Wczoraj przepływaliśmy obok Thery, a choć nie mieliśmy czasu, by zagościć tam na dłużej, zwiadowcy nie omieszkali donieść, co nowego słychać w mojej niegdysiejszej placówce. Wieści z Emporionu nasłuchuję zresztą od dawna i wiem, że konung Ainar niemal dwa miesiące temu odwiedził wyspę, a później stamtąd wypłynął z jednym statkiem i więcej go nie widziano.

Gyrgir przerwał wywód. Obaj pociągnęli po łyku fouski, po czym eunuch podjął temat:

– Zaraz po konungu obóz Vaeringów opuścił Magnolf Krwawa Siekiera, zabierając ze sobą cztery snekkje. Podobno widziano go nieopodal Krety, jak płynął dziób w dziób z sarakeńskimi okrętami. Pięć dni temu

niespodziewanie wrócił jednak na Thereę, choć tylko z jednym okrętem, i opowiedział mojemu zarządcy ciekawą historię. Twierdził, że zawsze był wierny autokratorowi, a jego nagłe zniknięcie to pomysł Ainara, który pragnął zastawić pułapkę na Sarakenów. Podobno sam Skald wysłał go do Emporionu, by sprowadził pozostałe vaerińskie jednostki, bo potrzebuje ich do zdobycia skarbu Krety. Mój zarządca nie dał mu wiary i chciał go zatrzymać w obozie, ale niestety Krwawa Siekiera zdołał przekonać do siebie lwią część najemników. W nocy większość przeklętych Rhosów wsiadła na swoje statki i odpłynęła, a mój zarządca pozwolił im na to, bo nie chciał ryzykować starcia, poza tym nie miał pewności, czy rzeczywiście nie lepiej pozwolić Vaeringom na samodzielne działania.

Dowódca floty zamilkł i spojrzał na Alego, jakby szukał potwierdzenia swoich domysłów.

– Bez wątpienia w żeglarstwie są tak sprawni, że mogliby zawstydzić niejednego grikklandzkiego kapitana – ostrożnie powiedział berserk.

– Idzie mi raczej o to, czy nadal są wierni basileusowi.

– Skoro w grę wchodzi skarb, z pewnością zmierzają właśnie po niego. A skoro pozostaje on w rękach Sarakenów, niewątpliwie włócznie ludzi Północy będą wymierzone właśnie w wyznawców Allaha, co czyni Vaeringów przyjaciółmi autokratora.

– Moi zwiadowcy na ousiakonach kilkakrotnie dostrzegli na wodzie smocze łby, ale nie powiodła się żadna próba nawiązania kontaktu z najemnikami. Oby było, jak mówisz, bo wydałem rozkaz, by nasze okręty nie atakowały łodzi z Północy, jeśli nie zostaną do tego sprowokowane.

– Wybacz, dostojny strategosie, ale czego ode mnie oczekujesz?

– Wszystko w swoim czasie. Patrz! Sarakeni podpływają bliżej.

Ali dostrzegł to już chwilę wcześniej, choć sądził, że chodzi tylko o małą zmianę pozycji, by utrudnić przeciwnikowi strzelanie. Teraz widział jednak, że cztery szeregi galeid przesunęły się jakieś sto kroków do przodu.

– Wywiesić płonący kamelaukion! – zwrócił się dowódca do jednego z mandatorów.

Posłaniec miał szybkie nogi, bo już po chwili na rufie zmieniono flagę i zatrzepotał czerwony płomień na złotym polu. Takie same kamelaukiony uniosły się nad pozostałymi okrętami.

Ostrzał z katapult i balist nadal prowadzono w tym samym rytmie, co poprzednio, jednak oprócz kamieni maszyny zaczęły miotać płonące pociski. Z tak dużej odległości spatharios dostrzegał tylko ogniste kule, które przecinały powietrze i lądowały na nieprzyjacielskich okrętach, choć częściej w ich pobliżu, bo zanim dostosowano maszyny do nowego ciężaru pocisków, ich celność była słaba. Dzięki wcześniejszym oględzinom wiedział, że strzelano kamieniami owiniętymi w nasączone olejem skalnym szmaty, a także glinianymi pociskami i beczkami z grikklandzkim ogniem, do których doczepiono zapalone knoty, jak u świecy.

Na swoją kolej niszczenia doczekały się też żelazne, ostro zakończone pręty, które wcześniej owinięto skórą i zanurzono w łatwopalnych substancjach, a teraz podpalono i wystrzelono z balist niczym wielkie płonące strzały. Miotano też dzbanami z gaszonym wapnem, które po zetknięciu z ciałem parzyło jak żywy ogień, oraz pociskami wypełnionymi pordzewiałymi gwoździami i żelaznymi gwiazdkami z ramionami jak szpikulce.

Kussarowie szybko odpowiedzieli płonącymi kulami, nie zaprzestając ostrzału kamiennego. „Patrikos” wciąż znajdował się za daleko, by przypiekl go ognisty deszcz, ale już nie był bezpieczny, jeśli chodzi o głazy. Jeden z nich spadł właśnie na śródkręcie, w pobliżu xylokastronu, zmiażdżył głowę jednemu wiosłarzowi, połamał nogi drugiemu, utracił kawałek ławeczki i potoczył się po pokładzie, nie czyniąc więcej szkody. Zadziałał więc zgodnie ze swoim przeznaczeniem, bo pociski miały przede wszystkim uszczuplić liczebność załogi przed planowaną walką wręcz.

Czarny Achilles zerknął na strategosa, by ocenić jego odwagę. Próba wypadła korzystnie dla eunucha.

– Niech wznowią pracę naszych machin! – krzyknął mężczyzna bez brody do mandatora, który natychmiast pobiegł z rozkazami na dziób. Następnie Gyrgir zwrócił się do Alego: – Nie lękaj się. Noszę na szyi enkolpion

z palcem hagiosa Niketasa Patrikosa, a pod nami, w mojej izdebce, trzymam kolekcję świętych ikon. Nawet jeśli Bóg nie zerknie łaskawie na dwóch śmiertelników, nie pozwoli zniszczyć tylu świętości.

Berserk miał ochotę powiedzieć: „Prawdziwa to ulga”, ale nie był tak dobry w drwinie jak Skald, więc postawił na mądre milczenie. Wyciągnął pusty kubek w stronę stojącego nieopodal niewolnika, a ten podszedł z dzbanem i nalał fouski. Blamad zaczynał dostrzegać zalety spokojnego uczestnictwa w bitwie, bo napój był orzeźwiający i kwaśny, a lekki wiaterek chłodził mu kark. Gdyby jeszcze tylko biała sowa przestała dziobać go po czole i huczeć do ucha pieśń o rzezi, mógłby uznać dowodzenie flotą za całkiem przyjemne zajęcie.

Ostrzał nasilał się, także w kierunku ich dromonu, albowiem flota kussarów powoli zbliżała się do ramion grikklandzkiego półksiężyca.

Obaj mandatorzy wrócili już do swoich stanowisk przy schodach. Zaraz po nich zjawił się trzeci posłaniec, ale ten nawet się nie zatrzymał, by prosić o posłuch, tylko podbiegł do strategosa, ukłonił się i rzekł:

– Umiłowany słuگو naszego autokratora! Odebraliśmy kolejne sygnały. Flota Samsama as-Sariego jest już niedaleko.

– A jakie dokładnie były to sygnały?

– Świetlne, tak jak poprzednio, choć różniły się w szczegółach. Teraz był to jeden długi błysk i trzy krótkie. Nasz protokarabos twierdzi, że nie na ten system umówił się ze zwiadowcami, czyli tę wiadomość nasi ludzie tylko przekazują, a polecił ją nadać ktoś inny.

Ali przypomniał sobie błyski, które widział, gdy bawił na okrętowym zamku. Wiedział, że strategos wysłał wcześniej zwiadowcze galeidy, które miały zachowywać od siebie taką odległość, by móc przekazywać sobie sygnały.

– Zatem to musi być Isa ibn Ishak, nasz człowiek w szeregach Samsama – odparł eunuch, choć wyglądało na to, że mówi bardziej do siebie niż do posłańca. – Długi błysk to jego położenie, jest zatem tuż poza obszarem, który można dostrzec z tej zatoki. Trzy krótkie oznaczają liczebność wroga, a że każdy błysk to maksymalnie pięć okrętów, złota flota składa się nie

więcej niż z piętnastu jednostek.

– To zgadza się, panie, z drugim sygnałem. Nad naszym zwiadowczym okrętem unosi się czarna smużka dymu. To znak, że dostrzeżono nieprzyjaciela.

Wojownik z Wagadou obejrzał się i rzeczywiście dostrzegł cienki, acz wysoki słup dymu, wyglądający jakby wypuszczano go przez rurę. Zupełnie nie przypominał smolistych kłębow unoszących się nad wyspą Garbus, które miały powiadomić kussarów o zaatakowaniu Zatoki Złodziei Morza.

– Znakomicie. Możesz odejść – rozkazał dowódca. Gdy mandator opuścił rurę, Gyrgir zwrócił się do spathariosa: – Wszystko przebiega zgodnie z planem. Zapewne już teraz okręty, które ukryłem w zatoczkach Krety na południu od nas, ruszają w pościg za Samsamem i zaganiają go na nasze pozycje.

– Czy nie zmieni kursu, gdy zobaczy dymny sygnał kussarów?

– Z pewnością dojdzie go wieść, że zatoka jest atakowana, ale nie zna liczebności naszej floty. W obawie przed zatonięciem skarbu nie będzie ryzykował odwrotu i walki ze ścigającymi go jednostkami. Najpierw podpłynie do nas, by ocenić sytuację, a kiedy go dostrzeżemy, część naszych okrętów wypłynie mu na spotkanie. Osaczymy go z dwóch stron.

– Może jeszcze odbić na pełne morze.

– To jego największa szansa, ale tam czekają nasze zwiadowcze galeidy, które w razie potrzeby połączą siły i odwiodą go od tego pomysłu. Postawiłbym swoją najświętszą ikonę, że zechce wpłynąć do zatoki przez pozostawioną przez nas lukę albo spróbuje okrążyć wyspę i wpłynąć do zatoki od północy.

Rozmowę przerwał straszliwy huk. Tuż przed krabatosem spadła beczka i wybuchła ogniem. Żołnierze przykucnęli i osłonili się tarczami, a ogień liznął deski i żelazo, buchając do góry. Nie obyło się jednak bez poparzeń, dwóch wojaków zaś zerwało się z miejsca, bo zapaliły się ich wystające spod hełmów włosy. Kilku przytomnych Grikmadów sięgnęło po wołowe skóry i nakryło nimi wrzeszczących, co sprawiło, że ich głowy przestały robić za pochodnie. W ratunku swój udział miał też Ali, bo dziś rano wraz

z pozostałymi żołnierzami nasikał na owe skóry. Żółty płyn lepiej niż woda nadawał się do tłumienia grikklandzkiego ognia.

O wiele trudniej było ugasić podpalony przez pocisk maszt, który leżał przytwierdzony do podkładu. W ruch poszły śmierdzące skóry, ale posłużono się też piaskiem wysypywanym z wielkich amfor ustawionych przy ławkach wioślarskich.

W końcu opanowano i ten pożar, w samą zresztą porę, bo płomienie zaczęły niebezpiecznie zbliżać się do płóciennego daszku rozciągniętego nad rufą. Okazało się, że pokład, choć poczerniał, nie został przeżarty przez żywioł.

– Nigdy nie wątp w moc świętych ikon – oznajmił Gyrgir z pewnością siebie, jakiej pozazdrościć mógłby mu sam konung Ainar, po czym krzyknął do mandatora: – Wywiesić kamelaukion łuczника!

Po chwili za ich plecami powiewała flaga przedstawiająca czerwoną strzałę na białym polu. Sygnał był wprawdzie nieco spóźniony, bo na najbardziej wysuniętych okrętach już od jakiegoś czasu brzdękano cięciwami, ale teraz mogli się wykazać także łucznicy stacjonujący na xylokastronie i platformie dziobowej „Patrikosa”. Wypuścili w powietrze chmurę strzał.

Pohukująca z radości sowa skłoniła Alego, by się odwrócił. Dostrzegł wówczas zbliżające się galeidy, które musiały należeć do Samsama. Co jednak ciekawsze, tuż za nimi płynęły długie łodzie Vaeringów.

– Zdaje się, że nadpływa ostatni uczestnik naszej biesiady. – Wojownik z Wagadou uśmiechnął się, odsłaniając kolekcję spiłowanych zębów.

Strategos zerknął do tyłu, mimo iż takie hołdowanie ciekawości wadziło jego dostojskości.

– Lud Rhos ściga galeidy, więc póki co jest po naszej stronie, tak jak podejrzewaliśmy. Popłyniesz łódką na jeden z moich ousiakonów. – Eunuch wskazał dłonią na okręty, które kierowały już dzioby ku nadpływającej flocie Samsama. – Będziesz służył radą moim kentarchom i dopilnujesz, by współdziałali z najemnikami z Północy. A kiedy już zdobędziecie sarakeńskie statki, pomożesz zadbać, by złoto nie zostało rozkradzione

i trafiło do mnie.

Berserk przyjął polecenie z wielką radością, bo nie chciał nadwyręzać ochronnej mocy świętych ikon, a i krew gotowała się w nim, by zasmakować bitwy. Wstrzymał się jednak z działaniem, bo nie znosił nieudomówień.

– Skąd pewność, że nie wezmę strony Vaeringów? Ainar to mój przyjaciel.

– Dlatego nie żądam od ciebie, byś go zdradził, tylko skłonił konunga... albo jego ludzi, jeśli ten już nie żyje, do rozsądnego wyboru. Przecież nie chcą być wrogami autokratora i zwierzyną łowną dla całej naszej floty. Przekażesz im, że ja, strategos Georgios, gwarantuję im sprawiedliwe wynagrodzenie. Nikefor proponował im dziesiątą część skarbu, a ode mnie dostaną ósmą część całego majątku, a także ofertę dalszej służby we flocie temowej i przebaczenie starych win.

Oferta była prawdziwie hojna, choć Ali nie miał wątpliwości, że jeśli miała dojść do skutku, najemnicy powinni pierwsi przejąć statki ze złotem i używać ich w dalszych targach.

– Prawdę zawsze mogę wyznać.

– Świetnie. Weź to. – Rzezaniec ściągnął z palca złoty pierścień i wręczył berserkowi. – Gdy go okażesz, każdy z moich ludzi będzie ci służył pomocą i wysłucha twojej rady. A teraz zejdz mi z oczu, bo i ja mam swoją bitwę do wygrania.

Czarny wojownik nie wątpił, że strategos będzie w najbliższym czasie bardzo zajęty, gdyż bitwa rozkręciła się na dobre. Zgodnie z przewidywaniami dowódcy Sarakeni podzielili swoją flotę i uderzyli na ramiona grikklandzkiego półksiężycy. Większe siły skupili jednak na lewym skrzydle, bliższym wyspie Garbus, chcąc zapewne powiększyć dla Samsama korytarz, którym można było dostać się do zatoki.

Blamad wstał, ukłonił się na pożegnanie i ruszył w dół schodów. Obszedł dookoła zadaszony krabatos, mijając po drodze sternika, i dotarł na tył rufy. Pochwalił się złotym pierścieniem żołnierzowi pilnującemu flag i za jego zgodą pomachał do załogi łódki, która unosiła się na falach tuż za

dromonem. Wioślarze zbliżyli szalupę do burty, a berserk zszedł do niej po linie.

Podpłynęli do grupy ośmiu okrętów, które szykowały się już do odpłynięcia. Spatharios wybrał najbardziej wysunięty ousiakon i wspiął się na jego pokład.

45

Ainar Skald stał na dziobie „Żelaznego Niedźwiadka” i spoglądał na pracujących wioślarzy. Dla zachowania rytmu śpiewali pieśń, którą dla nich ułożył.

Gdy Kari karmi żagiel
skipa konunga kłopotliwego,
za liny ciągniemy, ciągniemy, ciągniemy.

Gdy córki Aegira snekkję ciemieżą,
faliste ich cyce drągami pieścimy,
za wiosła ciągniemy, ciągniemy, ciągniemy.

Gdy Niedźwiadki w bój nadciągają,
niegrzeczne miecze walkiriom nadstawiamy,
niech za nie ciągną, ciągną, ciągną.

Zapowiadała się zacna rzeź, krwista i bohaterska, godna najznakomitszej drapy. Hag znów czuł się panem sytuacji. Odzyskał władzę nad swoimi ludźmi, pokazał córce miejsce w szeregu i miał przeciwnika na wyciągnięcie ręki.

Dopiero co zakończyli naradę, na której jednogłośnie postanowiono, że będą ścigać flotę Samsama i zagonią ją w pułapkę. O tym, że

Grikkmadowie rzeczywiście ją zastawili, świadczyły nie tylko słowa Isy ibn Ishaka, ale przede wszystkim ousiakony i chelandiony, które odrywały się od zatoczek i dołączały do pościgu. Niektóre galeidy odbijały bardziej w morze, by odciąć Samsama od otwartych wód, a wszystkie grikklandzkie jednostki starały się trzymać z daleka od snekkji najemników. Nieufność była obustronna.

Na rufie „Żelaznego Niedźwiadka” przesiadywał ibn Ishak. Ainar nadal miał ochotę go utopić, mimo iż kussar okazał się bardzo pomocny. Jeszcze przed naradą wspiał się na umieszczoną na szczycie masztu hunnę i sztyletem odbił kilka promieni słońca. Narzekał przy tym, że nie ma pod ręką zwierciadła, choć i chwalił Allaha, że słońce świeci mu w plecy. Potem jeszcze dwukrotnie powtarzał tę czynność, wyjaśniając wodzom Vaeringów, że w ten sposób przekazuje wiadomość grikklandzkim zwiadowcom. Wyjawiał też uzbrojenie i stan liczebny załogi każdego sarakeńskiego statku z floty Samsama.

Najważniejszymi jednostkami wroga były cztery safinie przewożące złoto, statki handlowe bardziej przystosowane do pływania pod żaglami niż do poruszania się na wiosłach. Teraz jednak, z obawy przed ostrzałem z grikklandzkich okrętów, safinie miały zwinięte żagle, choć nadal postawione maszty, by w razie konieczności natychmiast skorzystać z dobrodziejstw wiatru. Na wiosłach poruszały się bardzo wolno i opóźniały całą flotę almillanda, przez co ta nie miała żadnych szans na ucieczkę. Zapewne dlatego kussarzy wypuszczali w powietrze gęste kłęby czarnego dymu, które były wezwaniem o pomoc.

Obstawę pływającego skarbcza początkowo tworzyło dziesięć galeid, a teraz tylko dziewięć, bo musattah Samsama as-Sariego pozostał w tyle, uszkodzony przez wybuch grikklandzkiego ognia. Z pozostałej dziewiątki cztery były wielkim musattahami, dwie średniej wielkości shalandiami, a trzy jednorzędowymi shiniami o rozmiarach zbliżonych do vaerińskich snekkji. Skald początkowo sądził, że właśnie te pływające na przedzie najmniejsze i pomalowane na niebiesko jednostki będą najłatwiejsze do zdobycia, ale podczas narady Isa wyprowadził go z błędu. Owe shinie były

zarazem harraqami, czyli ogniowymi statkami, rozsądek nakazywał więc trzymanie się od nich z daleka.

Konung kłopotliwy miał ze sobą dziesięć snekkji. Zawdzięczał to sprytowi Magnolfa, który zdołał wyprowadzić z Thery sześć spośród dziewięciu przebywających tam skipów, a następnie połączył siły z Diarfem. Tharbrand zapewniał, że przez cały czas, gdy Ainar był w niewoli, Niedźwiadki krążyły w okolicy Krety, obserwując ruch statków. To właśnie one dostrzegły, jak nieopodal jaskini ze skarbem kussarowie ładują towary na kupieckie safinie. Drengowie odnaleźli więc vaerińską flotę i zaproponowali współpracę.

Dziesięć skipów to niemal pięć setek wojów, co stanowiło pokaźną siłę, choć na ściganych okrętach mogło być nawet trzy razy więcej żołnierzy. Sami najemnicy nie mieliby szans przejąć złota, ale z odpowiednim wsparciem Grikmadów powinno im się udać. Wiązało się to ze sporym ryzykiem, bo walcząc z okrętami chroniącymi statki ze złotem, Vaeringowie musieliby zaangażować większość swoich sił, a w tym czasie safinie z resztą serklandzkich jednostek mogłyby uciec. Tharbrand zaproponował jednak, by słabość snekkji przekuć w zaletę. Skipy ludzi Północy były znacznie mniejsze, ale za to bardziej zwrotne i szybsze od okrętów przeciwnika, można więc było spróbować przemknąć się między dwoma wielkimi musattahami, które tworzyły straż tylną, i uderzyć wprost na safinie ze złotem. W ten sposób unieruchomiliby całą flotę. Przedsięwzięcie zapowiadało się na iście szalone, ale właśnie przez to podniecające zarówno dla Göllnira, jak i dla jego leniwego ofiarnika, konunga kłopotliwego.

Płynęli w luźnym szyku, by uniknąć ostrzału wroga. Wedle ustaleń to „Żelazny Niedźwiadek”, jako najmocniejszy ze skipów, miał przewodzić. Wbrew woli poety do roli harcownika zgłosiła się również „Czerwona Żmija”, zatem teraz te dwie snekkje ścigały się o pierwszeństwo. Ainar dobrze wiedział, że za nieposłuszeństwem stała jego córka, która nie chciała płynąć na „Żelaznym Niedźwiadku”, bo jak się wyraziła, „marzyła, by jej ukochany Diarf nawlekł ją na pokładzie jej własnej snekkji”. Hag nie

miał wyjścia, jak zgodzić się na przesiadkę Seli, choć obiecał sobie, że gdy tylko bitwa się skończy, wyśle krnąbrną dziewczuchę na Północ, choćby zapakowaną w worku.

Vaerińskie skipy także płynęły bez żagli i masztów. Ich złożenie kosztowało najemników trochę czasu, ale że długie łodzie nie były obciążone, a ręce drengów same rwały się do wiosłowania po łupy i sławę, szybko dogonili Serklandczyków. Kowal słów dostrzegł, że to, co początkowo brał za małą wysepkę mającą w oddali, było w rzeczywistości mrowiem okrętów, które zwały się ze sobą i toczyły bitwę. Bardziej ciekawiło go jednak, że od tego skupiska oderwało się osiem grikklandzkich jednostek, które teraz płynęły wprost na złotą flotę. Po jej bokach zaczęły się też gromadzić zwiadowcze okręty basileusa i chelandiony, wcześniej ukrywające się przy brzegu. Łącznie było ich dziesięć. Flota Samsama wydawała się osaczona, nadeszła więc pora, by przystąpić do działania.

– Ciągnąć, ciągnąć, ciągnąć! – zagrział Skald. – Nasze żelazne pazury już prawie zaciskają się na gardłach maumentsan!

Załoga jeszcze głośniejszą zaśpiewała wioślarską pieśń, a kiedy przebrzmiała ostatnio zwrotka, Ainar krzyknął:

– Dmijcie w ludry! Atakujemy!

Najpierw na ich skipie, a potem na wszystkich snekkjach zabrzmiała pieśń rogów, w której długie, podniosłe dźwięki przeplatały się z krótkimi i urywanymi. Taki też był los wojownika, którego dostatnie życie kończy się szybko i niespodziewanie, przecięte mieczem lub toporem.

Rufy musattahów pozbawione były bitewnych platform, więc nie znajdowały się tam ciężkie maszyny do ciskania pocisków. Katapulty ustawione były tylko na dziobach i na śródokręciach wielkich jednostek, ale stamtąd ciężko strzelało się do tyłu, dlatego tylko sporadycznie w stronę snekkji leciały ciężkie gązdy. Kiedy zaś z przodu i po bokach złotej floty pojawiły się grikklandzkie okręty, właśnie na nich skupił się maumentsański ostrzał.

Nie oznaczało to, że Vaeringów zostawiono w spokoju. Gdy odległość

między snekkjami a musattahami stała się mniejsza niż sto kroków, w kierunku najemników poleciały pociski z mniejszych, przenośnych katapult, a także strzały.

– Skjaldborg! – krzyknął Ainar, podnosząc swoją tarczę z pokładu i dołączając do wojowników, którzy nie byli zajęci wiosłowaniem. Razem zbudowali w części dziobowej zamek tarcz. Wojownicy po bokach utworzyli ściany, a ci w środku szczelny dach, który nie przepuszczał żelaznego deszczu. Gorzej mieli wioślarze, bo ich osłaniały tylko tarcze przytwierdzone do burt oraz hełmy, które dzięki hojności Nikefora Fokasa nosiły wszystkie Niegrzeczne Niedźwiadki.

Pieśniarz stał z przodu i przez szparę w zamku podglądał, co się dzieje. Byli już tylko pięćdziesiąt kroków od musattahów, gdy obok ich snekkji wpadła do wody wielka ognista kula. Poeta przeklął, bo pocisk wyleciał z jednego z grikklandzkich okrętów. Zapewne strzelcy źle wymierzili przeznaczony dla Sarakenów pocisk.

Potem nadleciał wystrzelony z musattahu gliniany dzban, który rozbił się na dachu skjaldborga i zasypał tarcze białym proszkiem. Mimir szepnął konungowi do ucha, że lepiej nie sprawdzać, czy aby wróg nie strzela do nich prochami własnych matek, lecz jeden z drengów nie wykazał się taką roztropnością. Uchylił tarczę, wówczas nieco proszku spadło mu na twarz. Początkowo nic się nie stało, a wojownik zdobył się nawet na żart, że zawartość dzbana smakuje jak popiół ze spalonej wioski, ale po chwili oczy zaszyły mu łzami, choć wcale nie płakał. Musieli go wypuścić z szyku, by przemył sobie gębę wodą, jednak nawet to nie uratowało go od ślepoty. Jeszcze kilku innych drengów doznało poparzeń przedramion, ale nauczeni cierpieniem towarzysza uniknęli znaczniejszych obrażeń.

Później na ich tarcze spadały kamienie z proc, strzały, oszczepy i jeszcze więcej strzał. Obok Ainara rozbił się gliniany pocisk, rozrzucając dookoła kawałki pordzewiałego żelaza. Dwóch Niedźwiadków przebiło sobie na nich stopy. Prawdziwy Ragnarök nastąpił jednak wtedy, gdy wpłynęli między dwa musattahy. Przetrwali tylko dlatego, że ich sterburtę osłaniała „Czerwona Żmija”. Na Vaeringów spadły niewielkie, rzucane ręcznie

pociski, które po zderzeniu z celem wybuchały. Jedna z tych glinianych kul rozbiła się na skjaldzie trzymanym przez pieśniarza nad głową. Poczuł żar na ręce i płomień prześlizgujące się po licu drewnianej osłony, ale powstrzymał chęć odrzucenia tarczy, pamiętał bowiem, że za radą Isy nasączyli octem winnym skóry, które pokrywały ich skjaldy. Prawdziwym darem od norn było to, że na pokładzie mieli pod dostatkiem octu, co zawdzięczali głównie pijaństwu Niedźwiadków, którzy ładując zdobyczne dzbany, myśleli, że naczynia zawierają wino. Ocet rzeczywiście okazał się skuteczny, bo płomień tylko liznęły tarcze, ale ich nie podpaliły. Ogień był mniej łaskawy dla pokładu, który gdzieś zaczął się tlić. Na szczęście nigdzie nie powstał większy pożar, bo snekkja była mokra i również pokropiona octem.

Oba musattahy zaczęły się do siebie zbliżać, planując staranowanie dwóch znajdujących się między nimi snekkji lub przynajmniej zapewnienie sobie skuteczniejszego ostrzału. „Żelazny Niedźwiadek” płynął teraz już tak blisko „Czerwonej Żmii”, że pióra ich wiosł niemal się stykały. Stało się jasne, że statki Vaeringów nie zdołają równocześnie przepłynąć między galeidami. Załoga którejś ze snekkji musiała ustąpić.

„Zatrzymaj się, smarkulo!” – krzyknął w myślach Ainar, jednak wiedział, że krnąbrna córka nigdy nie da za wygraną, choć podążanie na przedzie nie przyniesie jej załodze zysku, a jedynie znaczne straty.

– Tyły! – zagrzmiął w końcu Skald i na jego rozkaz wiosłarze wyhamowali długą łódź, która została szybko wyprzedzona przez płynące po bokach musattahy.

Chwilowo byli bezpieczni. Tharbrand wykorzystał to, by ugasić ogień, co zrobił przy użyciu grubych skór nasmarowanych wcześniej foczym tłuszczem. Bez powietrza każdy płomień wcześniej czy później zgaśnie, tak jak dreng, gdy pozbawi się go piwa i miodu.

Wstrzymanie „Niedźwiadka” nie było ucieczką, ale zaplanowanym manewrem, który miał zasiać zamęt w szeregach nieprzyjaciół. Udało się. Gdy musattahy zaczęły płynąć bliżej siebie, rozluźniły szyk, zwiększając odległość od shalandii, które podążały po bokach statków ze złotem.

W powstałe w ten sposób luki wpłynęły pozostałe długie łodzie i zaczęły przedostawać się do środka floty.

– Do wiosła, bo powiedzą, że do bitwy przybywacie ostatni! – krzyknął konung. Nie musiał powtarzać rozkazu, albowiem opieszałość w walce godziła w dobre imię każdego drenga.

Szybko zrównali się z ostatnimi snekkjami, a trzy nawet wyprzedzili. Teraz ostrzał, choć nadal dokuczliwy, nie był tak mocny, gdyż wrogowie musieli się skupić na dziesięciu skipach. Gdy „Żelazny Niedźwiadek” znalazł się w środku floty, pięć snekkji osaczało już safinie. W tej chwili przewożące złoto statki były najbezpieczniejszymi miejscami pola bitwy, bo nikt nie odważył się do nich strzelać.

Skald wybrał statek, na którego pokład wspinała się już załoga „Czerwonej Żmii”. Safina miała kadłub przypominający skorupkę orzecha, przez co była krótsza od snekkji, za to szersza i obdarzona o wiele wyższymi burtami. Dostanie się na nią nie było więc sprawą łatwą. W ruch poszły liny z hakami i harpuny wielorybiczne, którymi drengowie przyciągali nieprzyjacielskie burty.

Ainar dobył Kvernbita, brzeszczot, który potrafił ugryźć kamień, a w czasie niewoli pieśniarza znajdował się pod opieką Tharbranda. Konung kłopotliwy miał na głowie hełm, na plecach tarczę, a kolczugi nie miał wcale, bo wiedział, że w bitwie morskiej łatwiej jest wpaść do wody, niż zginąć od miecza. Jego wężowa hamingja lubiła go tego dnia, bo szepnęła mu do ucha, by uskoczył w bok, co też uczynił, unikając włóczni, którą ktoś wypchnął z safiny przez otwór do wiosłowania. Konung wskoczył na burtę długiej łodzi i wraził miecz w otwór, tuż obok drzewca włóczni, i wyciągnął stal czerwoną od krwi. Ostrze niczym pijak nie chciało poprzestać na próbowaniu, lecz pragnęło się upić, machnął więc mieczem nad burtą wrogiego okrętu, by ciachnąć spryciarza, który mógłby się tam czaić. Nie pomylił się, bo jego broń napotkała opór. Usłyszał jęk bólu. Potraktował go jako zaproszenie na pokład. Trzymając miecz sztychem do dołu, skoczył, chwycił dłońmi krawędź sarakeńskiej burty, podciągnął się i znalazł się na statku.

Na safinie walka trwała już w najlepsze. Oprócz ładunku jednostka przewoziła nie więcej niż setkę żołnierzy, zatem zdobycie jej nie było wielkim wyzwaniem dla załóg dwóch snekkji. Trzeba się było jednak spieszyć, bo niektóre okręty strażnicze wzięły już kurs na drewnianą wysepkę, która utworzyła się w środku floty. Tylko trzy ogniowe harraqi wspomagane przez dwa musattahy szykowały się do odparcia uderzenia ośmiu grikklandzkich okrętów. Skald zdjął tarczę z pleców i ruszył ku rufie, gdzie rozgorzała najbardziej zacięta walka.

* * *

„W końcu nadszedł ten dzień” – pomyśleli Hedinowie, a Orm ucieszył się, bo dla niego każdy dzień był dobry, by zakradać się do ofiary i zniecka wstrzykiwać w nią jad. Wraz z pozostałymi braćmi służyli na „Czerwonej Żmii” i radowali się, że ponownie przewodzi im meykong zwana Skaldmaer, bo miała w sobie coś z węża, poza tym umiała rozmawiać w mowie, jaką dwaj Płaszczcy wyssali z piersi ich ludzkiej matki. Tego dnia ich przeciwnikami mieli być Sarakeni, a czyż może być lepszy wróg od żołnierza, który rozumie, czym jest miłość do bliźniego, oraz wie, co to jest *jihad*, bo sam jest ghazim, co nosi w sercu świętą wojnę?

Weszli na pokład sarakeńskiego statku tuż za braćmi. Orm i Hedinowie nie potrzebowali do tego liny, bo najpierw wspięli się na dziobnicę, potem odbili się od wyrzeźbionego na niej węzowego łba, przeskoczyli nad wodą, złapali się rękoma burty safiny i wpełzli na pokład. Mieli na sobie zielone spodnie, takiej barwy koszulę i czerwoną chustę zawiązaną na szyi. Dziesięć noży tkwiło za pasem albo było schowanych w rękawach, albo spoczywało w ich dłoniach, a wszystkie ociekały kwasem. Dźgali, cięli, nakłuwali, kaleczyli i zabijali, bo takie było ich zadanie, ale w myślach modlili się do Allaha, by przyjął do siebie poległych i przygotował zaszczytne miejsce dla Ulfhedina, po którego zmierzali. Ich brat walczył na śródokręciu i stawał dzielnie, jak zawsze, odziany tylko w spodnie i skórę z wilczym łbem, będącą jego nakryciem głowy i płaszczem. W łapach

dzierzył miecz i tarczę, którymi gromił nieprzyjaciół.

Cisnęli nożykiem w gardło jakiegoś kussara, drugiego skrobnęli po plecach, trzeciego przewrócili, rzucając mu się pod nogi i ucinając palce lewej stopy. Przetoczyli się obok wioślarskich ławek, gdzie stłoczeni w gromadę niewolnicy przyglądali się walce, choć mogliby do niej dołączyć, bo nie byli związani, a przy pasach mieli noże do obrony. Wąż i Płaszczę dziabnęli jednego w udo i uchylili się przed ciśniętym w nich młotkiem. Tym atakiem sprawili, że część czarnoskórych wioślarzy dołączyła do bitwy, choć większość nadal wołała tchórzliwie przyglądać się rozwojowi wypadków.

Orm i bracia Hedinowie zbliżyli się do Ulfhedina, który właśnie rozdrapał swoim żelaznym pazurem pierś jednego kussara. Gdy wilczy wojownik zamachnął się na następnego, niemal niezauważalnie ciachnęli go skąpanym w jadzie nożykiem w tył uda, przebijając się przez szare spodnie i nacinając skórę oraz mięśnie.

Rana nie była głęboka, ale groźna za sprawą trucizny. Sprawiała, że wilczy dreng wypadł z rytmu zadawania śmierci. Wstrzymał miecz, którym już miał rozplatać zawiniętą w turban głowę kussara i zmienił kierunek natarcia. Odwrócił się ku Ormhedinowi, a wtedy ocalały Saraken sieknął go mieczem w odsłonięty bok. Śmiertelnie poszarpany basior zasłonił się tarczą i cofnął, lecz nawet uchodząc, szukał okazji, by się odgryźć. Znalazł ją i urąbał nogę w kolanie mężczyźnie, który przeszył mu bok. Odbił jeszcze skjaldem cios kolejnego złodzieja morza i po raz kolejny zadał śmierć swoim żelaznym pazurem, potem zaś sam osunął się na pokład.

Orm płakał po stracie umiłowanego brata, a Hedinowie radowali się, że wyzwolili hamramira od grzechów i obdarzyli go łaską oglądania bożego oblicza oraz czytania świętej księgi wraz z Dżibrailem i innymi świetlistymi aniołami. Wąż syknął ostrzegawczo w ich wspólnej głowie, dzięki czemu uchylili się przed toporkiem, który miał rozrąbać im plecy.

* * *

Widzieli! Gaupa i Hedin mieli rację, że to węzowy hamramir stał za

śmiercią Svinhedina. Choć wtedy nie zdołali go przyłapać na gorącym uczynku, teraz ich rysie oczy, które bacznie przyglądały się Ormhedinowi od początku bitwy, dostrzegły, jak syczący niding zdradliwie rozcina nogę wilczego brata. Miauknęli, ale odgłosy walki zagłuszyły ich bitewne zawołanie. Ruszyli biegiem, lecz ich niegdyś przetrącone kolana znów zaboląły, więc zamiast biec i skakać jak ryś, truchtali i kuśtykali niczym kaleki starzec. Jednak i tak zdążyliby, gdyby jakiś wymachujący koślawym mieczem kussar nie zagroził im drogi. Musieli się zatrzymać, by urznąć zuchwalcowi nos razem z połową twarzy. Zobaczyli, jak Ulfhedin kąsa po raz ostatni i osuwa się na pokład. Koteczek nigdy nie przepadał za pieseczkami, nie poczuli więc głębokiego żalu, tylko żalność płytką, złagodzoną przez radość nadchodzącej słusznej zemsty. Przemknęli obok grubawego Vaeringa, odepchnęli niskiego Sarakena i znaleźli się za plecami Ormhedina, który krzywił głowę w uśmiechu i marszczył ją do płaczu. Zamachnęli się toporzastym pazurem, ale węzowy dreng zdołał uskoczyć i obrócić się do nich twarzą.

– Zrobimy sobie pasek z waszej węzowej skóry, bratobójco! – przekrzyczeli bitewną wrzawę.

– Miłuję was wszystkich, tak jak i wyście mnie umiłowali – wysyczał zmijowy hamramir, machając nożami w powietrzu, jakby chciał zauroczyć zwierzyne.

– Aż po grób zatem.

Ormhedin wystawił im język i cisnął nożem.

Gaupa i Hedin spodziewali się podstępu, byli zatem przygotowani, dlatego uchylili się, gdy tylko dostrzegli ruch dłoni węzowego łotra. Nóż otarł się o ich łaciatą koszulę i ją rozdarł. Zastrzygli uszami, pokręcili wąsem i ryknęli, po czym zaczęli drapać. Ich łapy były prędkie, a toporki ostre, ale niełatwe okazało się skaleczenie Ormhedina, który tylko pozornie wyglądał ospale, w rzeczywistości zaś kąsał z szybkością węża wodnego pochwytyjącego żabę. Ciachnęli z prawej, rąbnęli z lewej, uderzyli obuchem. Celowali w głowę, mierzyli w ręce, atakowali nogi, lecz wszystkie te mocarne próby nie zdały się na nic. Uniknęli pchnięcia

w brzuch, dziabnięcia w tyłek i skaleczenia w stopę, a potem ruszyli w pościg, bo tchórzliwa natura gada w końcu dała o sobie znać. Wiedzieli zarazem, że jest to podstęp i lada chwila ten robak pełzający odwróci się, by ukąsić zniecka, byli więc gotowi, gdy to się stało. Rąbnęli toporkiem w wyciągniętą do pchnięcia rękę i skaleczyli ją straszliwie, rozrywając mięso i gruchocząc kość. Serklandzki hamramir zasyczał, odskoczył do tyłu i schował się za belką, która podczas wichury robiła za maszt, a teraz leżała na pokładzie niczym ścięte drzewo.

Zakołysało statkiem. Rysia i Płaszcz rzuciło w bok, więc musieli się podeprzeć na ramieniu jakiegoś kussara. Zaraz potem go ubili, wypruwając parujące flaki. Poślizgnęli się na jelitach, co dało Ormhedinowi czas na ucieczkę, ale wnet go wypatrzyli swoimi rysimi ślepiami i ruszyli, wywączując zmijową krew, która ze skaleczonej ręki spadała na pokład, wsiąkała w deski i mieszała się z solą i tłuszczem. Mieli świetny koci słuch, więc mimo wrzawy słyszeli ciężki oddech węża. Dopadli go w końcu, bo raniony nie był już tak szybki. Zamachnęli się, by urąbać mu szyję, ale ktoś chwycił ich za łapę i uderzył pięścią w nerki. Poznali go po sapaniu, a gdy się odwrócili, ujrzeli wykrzywioną w gniewie twarz Berhedina.

– Zawsze stawałeś ku nam ogonem, ale to skończy się dzisiaj! Chciałeś zabić naszego najmłodszego brata!

Niedźwiedzi brat uniósł żelazem nabijaną maczugę i zamachnął się na Gaupa i Hedina, którzy nie zdążyli wyjaśnić, jak głupi okazał się stary miś, bo zajęci byli pierzchaniem.

* * *

Ali stał na platformie dziobowej zwanej pseudopadionem i patrzył, jak ousiakon zmienia kurs. Dowodzący okrętem kentarcha, który stał obok, wyjaśnił, że to z powodu wiatru wiejącego im w twarz, przez co nie mogli korzystać z grikklandzkiego ognia, określanego przez romejskich żołnierzy ogniem „piekielnym”, „mokrym” lub „morskim”. Blamad nie mógłby się dłużej nazywać miłośnikiem wiedzy, gdyby na własne oczy nie zobaczył

syfonu – osławionej broni Romejów. Tylko i wyłącznie dzięki pierścieniowi strategosa pozwolono mu zejść pod platformę dziobową i z bliska zobaczyć *siphōn*, którego konstrukcja była pilnie strzeżoną tajemnicą imperium. Machina była wykonana z brązu, a składała się z cysterny, pompy obsługiwanej przez dwóch żołnierzy i kilku rur, z których najdłuższa wystawała trzy łokcie poza dziób statku. Przy jej wylocie znajdowała się mała lampka do zapalania wyrzygiwanej mieszanki, a cała tuba tkwiła na ruchomych zawiasach, dzięki czemu obsługa mogła wygodnie celować. Cysternę podgrzewał piec umieszczony poniżej linii wody. Podobne maszyny, ale mniejsze i przenośne, znajdowały się na pokładzie, po jednej przy każdej burcie.

W skład grupy uderzeniowej wchodziło pięć jednorzędowych ousiakonów i trzy dwurzędowe chelandiony, które płynęły w kierunku lewego skrzydła złotej floty. Większość saraeńskich okrętów była już związana walką ze skipami ludzi Północy, ale Samsam zostawił dwa wielkie musattahy i trzy ogniowe harraqi, by odeprzeć Romejów. Okręty te dokonywały zwrotów na wiosłach, by lepiej ustawić się na wiatr i przybrać korzystniejszą pozycję do starcia z przeciwnikiem. Grikkmadowie podjęli grę i okręty raz się do siebie zbliżały, raz oddalały, czasem wchodziły na kurs zderzeniowy, a niekiedy nagle z niego schodziły. Oglądając te poczynania, berserk nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Wcześniej napatrzył się na zwrotne długie łodzie z Północy, które potrafiły skręcać niemal w miejscu, więc w porównaniu z nimi ociężałe musattahy i chelandiony wyglądały jak woły przepławiające się przez zamarznąłą rzekę.

Okręty zasypywały się strzałami, myszami, muchami, kamieniami i wybuchającymi kulami, ale większość pocisków nie wyrządzała poważnych szkód, zwłaszcza szczęśliwcom, którzy jak Ali znajdowali się na platformie dziobowej i mogli się ukryć za blankowanymi burtami wzmocnionymi od zewnątrz żelaznymi tarczami i moczonymi w occie skórami. W końcu jednak ousiakon spathariosa zdołał wymanewrować jeden z musattahów i zaczął się szybko zbliżać do niemal dwukrotnie

większej od siebie jednostki, płynąc kursem zderzeniowym. Gdy grikklandzki okręt był trzydzieści kroków od przeciwnika, nagle zaczął hamować wiosłami i zatrzymał się dziesięć kroków przed prawą burzą musattahu, na wysokości jego zamku. A potem bluzgnął ogniem.

Wojownik z Wagadou usłyszał straszliwy huk, jakby właśnie niebo spadło im na głowy, lecz hałas dobywał się nie z góry, tylko z samych trzewi ousiakonu. Z pyska morskiego potwora buchnęły kłęby czarnego dymu i długi płomień, który pognał przez wodę, sięgnął sarakeńskich wiosel i liznął nieprzyjacielskiej burty. Ognisty jezor przesunął się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, wijąc się po morzu niczym wąż.

Po dziesięciu uderzeniach serca siphon zamilkł, ale tak woda, jak i wiosła płonęły nadal. W stronę Grikkmadów poleciała kolejna porcja strzał i pocisków, także wybuchających, które poczyniły wielkie szkody nawet wśród dobrze osłoniętych żołnierzy na dziobie. Mężczyzna stojący obok Blamada dostał oszczepem prosto w czoło. Z burty musattahu buchnął płomień z przenośnej sarakeńskiej tuby, okazał się jednak zbyt krótki, by sięgnąć ousiakonu. Ali spojrzął na pohukującą sowę, która leciała nad falami i płonęła. Poczul, że zaraz pochłonie go szal bitewny, każąc przedostać się na wrogi okręt i siekać mięso w ofierze dla węża Bidy. Było to jednak niemożliwe, bo ousiakon zaczął płynąć do tyłu, oddalając się od niebezpieczeństwa. Kiedy znalazł się jakieś siedemdziesiąt kroków od uszkodzonej jednostki wroga, grikklandzcy żołnierze krzyknęli triumfalnie. Udało im się wyłączyć z bitwy wielki musattah, bo ten stracił niemal wszystkie wiosła z prawej burty, a pożary, które wybuchły na jego pokładzie, zmusiły nawet strzelców do udziału w gaszeniu ognia.

Spatharios odzyskiwał spokój. W końcu znów zaczął trzeźwo myśleć, wbrew woli hamy, która przysiadła na burcie i kręciła łbem dookoła, jakby nie miała szyi. Czarny Achilles dostrzegł, że z płomieniami walczyły dwa ousiakony, co zapewne było dziełem trzech harraqów, nadal ścigających się z pozostałymi grikklandzkimi jednostkami. Jeden z sarakeńskich okrętów ogniowych podpłynął właśnie do chelandionu, zapewne, by plunąć ogniem, ale romejska załoga dobrze się sprawiła i zdołała ustawić się burta w burte

z harraziem, co zniwelowało ogniową przewagę kussarów. Co prawda z maumentsańskiej jednostki buchnęły ku nieprzyjacielowi płomienie, ale chelandion zdołał skutecznie się odgryźć – i to nie siphonem, a żurawiem.

Geranion był przytuloną do zamku machiną mieszczącą się na środku okrętu. Morski ptak wyposażony był w wysokie ramię, które na oczach berserka opuszczono na pokład harraqi. Po tak utworzonej rampie stoczono na wrogi pokład dwie beczki wyposażone w płonące knoty. Gdy tylko baryłki się roztrzaskały, serklandzka jednostka zajęła się ogniem. Załoga chelandionu natychmiast zaczęła odpychać się od harraqi za pomocą długich żelaznych prętów, po czym nabrała prędkości dzięki podwójnemu rzędowi wiosel, mimo że część z nich zostało spalonych.

Do bitwy przyłączyło się również dziesięć grikklandzkich okrętów zwiadowczych. Większość uderzyła na jednostki, które walczyły już z Vaeringami, ale dwa średniej wielkości chelandiony obrały sobie za cel ostatni z wolno płynących musattahów. Ten zaś śmiało sobie poczynił na morzu, unikał mokrego ognia i samemu mocno odpowiadał ostrzałem z katapult, balist i łuków. Grikkmadowie uderzyli na niego z dwóch stron, lecz nie zaczepili go ogniem, tylko tradycyjnie i odważnie – mocnym uderzeniem tarana. Peronion w postaci żelaznej ostrogi znajdował się tuż nad linią wody i przecinał fale niczym róg jednoroźca. Długi szpikulec z łatwością mógłby się wbić w kadłub statku, jednak żeglarze obrali sobie za cel wiosła musattahu. Oba chelandiony rozpędziły się i uderzyły w przeciwnika pod ostrym kątem. Z łatwością połamały mu wiosła po obu burtach, jednak w wyniku uderzenia same też wyhamowały. Wtedy straciły znaczną część swoich morskich odnóg, gdyż Sarakeni spalili je ogniem. Trzy okręty zaczęły wokół siebie dryfować, aż w końcu grikklandzkie załogi przyciągnęły swoje jednostki do musattahu za pomocą lin i złączyły burty żelaznymi prętami zakończonymi po obu stronach hakami. Żołnierze basileusa rzucili się do gardeł maumentsan.

Blamad uznał, że najwyższa pora, by i on wziął udział w boju, zwłaszcza że główna bitwa rozgorzała na dobre, a Grikkmadowie w zatoce zaczęli zyskiwać sporą przewagę. Wskazał kentarchowi najbliższe skupisko

okrętów i nakazał się tam podrzucić. Kapitanowi wcale nie było to w smak, bo wolał krążyć wokół walczących i palić mokrym ogniem uciekające jednostki wroga, ale zgodził się, gdy zobaczył pod nosem pięść ozdobioną pierścieniem strategosa.

Ousiakon bez większego problemu przybił do burty shalandii, która z drugiej strony była już zespolona z długą łodzią z Północy. Załogę grikklandzkiego okrętu w większości stanowili wioślarze należący również do lekkiej piechoty, niechętnie jednak porzucali swoje stanowiska, bo bez nich galeida całkowicie traciła napęd. Dlatego wraz z Alim poszło w bój tylko dwudziestu Grikkmadów, a reszta została pilnować ousiakonu.

Czarny Berserk przeskoczył na okręt kussarów i po raz pierwszy tego dnia szczerze zadowolił sowę. Zaczął przedzierać się ku centrum drewnianej wyspy, gdzie mignęła mu dziobnica „Żelaznego Niedźwiadka”. Spodziewał się tam znaleźć Ainara, który prawdziwie był konungiem wszelkich kłopotów.

* * *

Niewiele stworzeń na świecie jest w stanie uciec przed rozwścieczonym niedźwiedziem, tym bardziej takim, w którego głowie pomieszkuje człowiek. Gaupa i Hedin wiedzieli, że ich jedyną szansą na przeżycie jest szybkość, tak w ruchach, jak i w mowie.

– To nie my! – krzyknęli, uchylając się przed ciosem maczugi, która zamiast w ich głowę trafiła w dzban, rozlewając przetrzymywaną w nim wodę i wyrzucając w powietrze kawałki gliny.

Berhedin nie słuchał, tylko bił jak ojciec, który przyłapał syna na psocie. Ryś i Płaszcz biegli w kierunku rannego albo już martwego Ulfhedina, bo tylko ślad po jądzie na wilczej łapie mógł zaświadczyć o ich niewinności. Po drodze musieli jednak kluczyć i przystawać, bo drogę zasłaniali im inni walczący.

Przewrócili jakiegoś kussara wprost pod nogi swego brata, ale to nie zatrzymało niedźwiedziego hamramira, który kopnięciem zmiażdżył leżącemu twarz i pognął dalej.

Wskoczyli na wioślarską ławeczkę, przepchnęli się między niewolnikami i uskoczyli w bok, słysząc za plecami świst opadającej maczugi. Niedźwiedzia czaszka nabijana żelaznymi ćwiekami musnęła ich bark i zadała ból, ale przyjemny, bo wzmacniający ich hamask, szął przemienienia. Fiknęli koziółka w powietrzu, by przeskoczyć nad przytulonymi do siebie trupami, które nęciły ich nos świeżutką juchą. Odbili się z prawej nogi, obrócili się w locie i wylądowali tyłem, czym zaskoczyli starszego brata. Kucnęli, unikając maczugi i uderzyli toporkiem w udo Niedźwiedzia. Mocno, bo inaczej nie wypadało, lecz obuchem, by zadać ból, nie raniąc. Dali nura w bok i zrobili przewrót przez ramię, tarzając się we krwi i morskiej wodzie, która zaległa na pokładzie.

Dostrzegli wilczego brata. Siedział oparty plecami o burtę. Jego pozbawiona duchów głowa bezwładnie opierała się o obręcz tarczy, a wyzbyta czerwieni łapa ścisnęła rękojeść miecza, choć nie potrafiła go już podnieść. Ulfhedin był martwy, ale pozostał wojownikiem aż do ostatniego tchnienia.

Berhedin zaryczał straszliwie, gniewnie i złowieszczo.

– To też twoje dzieło?!

– To wina węża, ty stary, tępy misiu!

Niedźwiedź był jednak głuchy na wyjaśnienia. Wziął zamach i uderzył, mierząc w Rysia, lecz chybił i maczuga uderzyła w pokład, łamiąc deski i niszcząc samą siebie, bo niedźwiedzi czerep pękł na pół. Berhedin porzucił broń i skoczył do przodu. Złapał Gaupa i Hedina w zapaśniczym chwycie, nie zważając, że ci wciąż ścisną w łapach pazurki i w każdej chwili mogą go śmiertelnie podrapać.

– Mnie też musisz zabić! – ryknął im w twarz, oszołamiając smrodem miodu i gnijącego mięsa. – Rąb, bij i tnij, bo nie ma już naszego bractwa.

Zmienił chwyt i jedną ręką ścisnął Rysia i Płaszczę w pół, drugą zacisnął na ich gardle. Tymczasem za plecami misia pojawił się wężowy zaprzaniec, który choć raniony śmiertelnie, zdołał się do nich doczołgać. Ścisnął w dłoniach nożyki i czał się, by pokąsać przywódcę. Gaupa i Hedin nadal dzierżyli toporki i mieli przed sobą wybór najlepszy

z możliwych – wybór ofiary na rzeź. Rzucili pazurkiem, a ten obrócił się w powietrzu i utkwiał w plecach Ormhedina, który syknął coś po sarakeńsku i szczeznął.

W wielkim łbie Berhedina wreszcie zagościła odrobina mądrości. Rozluźnił uścisk, a Ryś i Płaszcz padli przed nim na kolana, dławiąc się i kaszląc, bo ich grdyka prawie została zmiażdżona.

– Zatem to Orm? – Przywódca nadal wydawał się nieprzekonany, ale był wystarczająco niepewny, by zacząć się zastanawiać.

– Spójrz na nogę Ulfhedina, starszy bracie.

Niedźwiedź zrobił, co mu poradzono, a gdy znalazł ranę pasującą do cięcia, które zostawiał węzowy nożyk, ryknął po raz wtóry. Z oczu pociekła mu łza. Wziął na ręce Ormhedina i ruszył w kierunku ich snekkji. Wszyscy rozstępowali się przed nim i nikt nie odważył się choćby słowem przeszkodzić hamramirowi w jego żalu. Berhedin stanął przy burcie, przerzucił zwłoki na pokład długiej łodzi i sam zeskoczył z sarakeńskiego statku. Ponownie wziął martwego brata na ręce i skierował kroki na dziób. Nie spieszył się, a po drodze zbierał narzędzia kaźni ostatecznej. Na miejscu nadział Węza na włócznię od dupy strony i podniósł go wysoko, trzymając za drzewce wystające z zadu brata. Następnie stanął w rozkroku na stykających się przy stewie burtach i przywiązał liną swój krwawy porporzec do dziobnicy skipu, który nosił imię „Czerwonej Żmii”.

Niewielu wojów widziało to zajście, bo zajęci byli bojem, ale Gaupa i Hedin nawet na chwilę nie odwrócili wzroku od braterskiego bezczeszczenia. Odczuwali radość z losu Ormhedina, lecz także nieopisany smutek, bo wiedzieli, że nastąpił koniec ich bractwa. Oni nie mieli już ochoty na życie rodzinne, a sam Niedźwiedź nie będzie w stanie odtworzyć grupy. Przeczowali, że przywódca skończy jako stary gniewny miś, który w samotności włóczy się po niedostępnych lasach. I dla nich nie byłby to zły wybór, ale odrzucili go, bo przy ludziach trzymał ich ktoś inny.

Odwrócili się od Berhedina i ruszyli w poszukiwaniu Seli, która mogła potrzebować swojego kotka.

* * *

Jakiś głupiec ośmielił się podnieść na niego rękę dzierżącą miecz, więc Ainar uciął ją przy samym łokciu, wymyślając na nią kenning, który chciał wykorzystać w pieśni o swoim zwycięstwie: „gałąź z żelaznym pędem podmuchem Kvernbita złamana”.

Rozejrzał się za następnym bohaterem do swojej drapy, ale chwilowo brakowało chętnych. Mimo że na innych statkach wciąż trwał walka, pokład tej safiny został oczyszczony z sarakeńskich żołnierzy, choć brudny był jak rzadko kiedy. Plamy krwi, piasek, błoto, ucięte palce, a przede wszystkim trupy zalegały tak gęsto, że trudno było w coś nie wdepnąć.

Skald nakazał dobić rannych żołnierzy wroga, ale wahał się, co zrobić z sarakeńskimi wioślarzami. Większość nie wzięła udziału w walce, choć przy pasach nosili noże. Teraz klęczeli przed zwycięzcami, prosząc ich o przyjęcie na służbę. „Do wody z nimi!” – rozkazał w końcu, gdyż nie było mądrze trzymać na swoich tyłach uzbrojonych ludzi, choćby i bojaźliwych, bo jak mawiała jego babka: „Plecy wojownika ośmielają tchórza”. Pod groźbą broni wioślarze udali się na zawody pływackie. W tym czasie najemnicy wyrzucili do morza kilka trupów, lecz nie mieli czasu na długie sprzątanie, ponieważ w ich kierunku nadciągały nowe zastępy kussarów, które opuściły swój musattah i używając snekkji jako trapów, przedostawały się na statki ze złotem.

– Skjaldborg! – krzyknął poeta i wokół niego zaczęli się gromadzić najemnicy.

Ich sytuacja nie wyglądała źle. Zyskali przewagę na wszystkich statkach ze złotem i teraz musieli tylko utrzymać swoje pozycje do czasu, aż Grikkmadowie przyjdą im z odsieczą. Ci zdążyli już połączyć swoje okręty z jednostkami wroga, więc Sarakeni walczyli na dwie strony. Göllnir musiał w niebiosach wrzeszczeć z radości, widząc dziwną drewnianą wyspę, która składała się trzech kręgów: w środku najemnicy na snekkjach i safinach, potem krąg kussarskich jednostek, a na zewnątrz grikklandzkie galeidy. Wokół spokojne wody Midjararhafu, majestatycznie unoszące trupy, deski i plamy płonącego oleju skalnego, na postrzępionych brzegach

Krety mewy, na niebie zaś ani jednej chmurki. Sam Ainar nie wymyśliłby lepszego krajobrazu do drapy o swoim męstwie, a norny widać planowały go jeszcze rozpieścić, bo zmierzały ku nim kolejne okręty, tym razem sarakeńskie, które musiały zobaczyć dymne wezwanie o pomoc. Naliczył ich dziesięć. Wciąż były daleko, ale płynęły w półksiężycowym szyku, jakby chciały otoczyć walczących i utworzyć czwarty, największy pierścień drewnianej wyspy.

Wznieśli mur tarcz wzdłuż całej bakburty safiny. Był długi na trzydzieści kroków, a głęboki na trzech chłopa. Boków konunga pilnowały Niedźwiadki, ale dalej stali też drengowie z „Czerwonej Żmii”, w tym i Diarf Nawlekacz. Na pokładzie nie było Seli, bo z grupą wiernych sobie ludzi przedostała się na sąsiedni statek ze złotem i tam pracowała na własną sławę, by nikt jej później nie zarzucał, że swój tir zawdzięczała opiece ojca. Hag wolałby mieć ją na oku, lecz nie smucił się zbytnio jej młodzieńczym buntem, nadarzała się bowiem sposobność, by w tajemnicy przed córką rozprawić się z Diarfem.

Najpierw spadły na nich strzały i pociski z proc, ale oszczędzono im wszystkiego, co mogłoby podpalić statek. Potem uderzyła na nich horda Sarakenów w kolczugach lub lekkich skórzanych pancerzach. Maumentsanie byli uzbrojeni w krótkie włócznie, proste bądź lekko zakrzywione miecze i długie noże. Teraz to najemnicy mieli pozycyjną przewagę, więc zapamiętali rąbali wspinających się na pokład żołnierzy.

Skjald pieśniarza był w kiepskim stanie, bo miecze go nie oszczędzały. Opinająca drewno skóra zdążyła już odpaść, w deskach tkwiło kilka grotów, a metalowa obręcz była powyginana od uderzeń. Poeta nie miał jednak czasu, by udać się po zapasową tarczę, musiał więc radzić sobie z tą, którą miał. Zasłonił się przed pchnięciem włóczni, cofnął o pół kroku, schylił i pchnął mieczem pod dolną krawędzią skjaldu, ofiarując przeciwnikowi darmowe rzezanie.

Najemnicy odepchnęli pierwszą falę Serklandczyków, potem drugą, ale następni wciąż przybywali. Szeregi drengów, choć nie zostały rozbite, znacznie się skurczyły, dlatego konung nakazał zacieśnić szyk. W oddali

zobaczył, że ku Vaeringom przebija się jakiś czarny demon odziany w same szarawary, który tak szybko machał mieczem, że ostrze było niemal niezauważalne. Choć wśród kussarów było wielu czarnoskórych wojowników, po tatuażu węża na łysej głowie Skald rozpoznał Alego. Pozdrowił przyjaciela uniesionym mieczem.

Prawica konunga zmęczyła się rozdawaniem sprawiedliwych razów, więc Ainar cofnął się za ostatnią linię, by chwilę odsapnąć i pomyśleć nad dalszym planem bitwy. Słońce pokonało już niemal trzy ćwiartki swojej dziennej trasy, atakujący musieli się zatem spieszyć, by zmierzch nie pozbawił ich zwycięstwa. Na szczęście dla Vaeringów najbardziej zacięta walka toczyła się teraz na okrętach Grikkmadów, do których zdołały już dobić sarakeńskie posiłki. Hag uznał, że najwyższa pora zajrzeć do przewożonych na statku skrzyń. Dla dobra swoich ludzi postanowił zrobić to potajemnie, bo nieraz już widział armie, które przegrywały, gdyż zamiast walką zajmowały się łupieniem. Cichaczem wycofał się za rozstawiony na śródkręciu namiot, w którym stały beczki z wodą. Odnalazł właz i zszedł pod pokład po pniu z wydrążonymi stopniami.

W ładowni jedynym źródłem światła były promienie przedostające się przez szpary w pokładzie. To musiało mu wystarczyć, bo nie miał ochoty szukać pochodni i krzesiwa. Podeszedł do najbliższego worka, przewrócił go i przeciął wiążący go sznur. Zaklął, bo ze środka wysypały się kamienie. Serce zabiło mu mocniej i rzucił się do następnego worka. Tym razem znalazł piasek. Kopnął z wściekłości w jedną ze skrzyń i głowicą miecza rozbił żelazną kłódkę, która zamykała wieko. Uspokoił się, bo w kufrze było najszczerze złoto. Sprawdził jeszcze kilka kufków. Okazało się, że tylko w co trzecim znajdowały się skarby. Pomyślał, że Samsam nie był jednak głupi. Wiózł do Zatoki Kussarów tylko część bogactw, choć nawet przed własnymi ludźmi udawał, że statki przewożą całość kosztowności. Nie należało się dziwić temu brakowi zaufania, bo kussarowie byli przecież złodziejami. Póki co bez odpowiedzi musiało pozostać pytanie, co stało się z resztą złota.

Skald poprawił pasy przytrzymujące skjald do lewej ręki i ruszył do

wyjścia. Uniósł właz mieczem, wychylił głowę i zaczął wychodzić. Popełnił błąd, nie sprawdzając, czy ktoś nie czeka na niego z tyłu, ale na szczęście czuwała nad nim zmiłowa hamingja jego rodu. Grot wrogiej włóczni tylko prześlizgnął się po jego hełmie, choć skrzydełko broni rozorało mu policzek. Odbił się od stopnia i skoczył do przodu. Przetoczył się po pokładzie i leżąc na plecach, zastawił się tarczą. Kolejny cios nie nadszedł, choć sam wolałby ujrzeć zbliżającą się włócznię niż uśmiechniętą gębę Diarfa.

– Co tak leżysz? Rączki od wojaczki się zmęczyły? – Nawlekacz mierzył w niego długą bronią.

– Warczysz na swojego pana, psie?!

– Myślałem, że to jakiś sikający ze strachu kussar wyłazi spod pokładu. Co tam robiłeś? Chciałeś nas oszukać?

Ainar usiadł, bacząc, by cały czas osłaniać się tarczą.

– Pamiętasz tę dziewczynę, którą zabiłeś?

– Wiele ich było.

– Tę, którą przedstawiłeś mi jako moją córkę.

– A tak. Nawet było mi jej trochę szkoda, bo dobrze grzała łożę. No ale teraz mam na podorędziu twoją córkę.

Konung zacisnął zęby i podniósł się na jedno kolano. Skjald trzymał przed sobą, a miecz za sobą, dotykając sztychem pokładu.

– Coś obiecałem tej dziewczynie.

Ofiarnik Göllnira wstał, a podnosząc się, ciął mieczem na odlew, z dołu do góry, mierząc w biodro Nawlekacza. Łysy najemnik był szybszy, niż wskazywałaby na to jego postura, zdołał więc uchylić się przed ciosem.

– Już wcześniej wysłałeś swojego czarnego dzikusa, by mnie zamordował. Teraz przynajmniej sam się odważyłeś.

Skald język miał ostry niczym nożyk do rzeźbienia, ale tym razem nie chciało mu się tracić czasu na kłótnie. Musiał zabić Diarfa szybko, by nikt tego nie zauważył, gdyż pojedynek wodzów mógłby wywołać bratobójczą walkę w środku bitwy z Serklandczykami. Na szczęście zasłaniał ich

namiot, poza tym drengowie byli odwrócenii do nich tyłem, ponieważ nadal odpierali natarcie kussarów.

Hag wziął się do rzeźbienia mieczem. Ciął z lewej, poprawił z prawej, zastawił się tarczą. Długa włócznia z Północy dawała Nawlekaczowi przewagę zasięgu, ale była nieporęczna, tym bardziej że stworzono ją raczej do polowania na dziki, nie na ludzi. Pieśniarz skracał pole i starał się wykorzystać to, że przeciwnik nie miał tarczy. Doskakiwał i naciskał, lecz łysy najemnik zręcznie unikał ciosów i jeszcze zmienił sposób walki. Zamiast używać włóczni do rażenia wroga z bezpiecznej odległości, chwycił drzewce w połowie długości i wymachiwał bronią jak cepem, raz tnąc grotem, a raz próbując zdzielić wroga tępym końcem. Dwukrotnie mu się udało, więc prawa noga Skalda zaczęła pulsować bólem, utrudniając ruchy.

Konung był już jednak starym basiorem, choć o wyglądzie młodego wilczka, wiedział zatem, jak podchodzić zwierzynę. Udał, że noga doskwiera mu bardziej niż w rzeczywistości i zaczął umyślnie opuszczać tarczę, by lepiej chronić kulasy. Diarf przepuścił jeszcze dwa ataki na nogi, a wtedy szybko ciął grotem w kierunku szyi. Ainar uniósł skjald, podbił broń przeciwnika i potężnie pchnął mieczem w jego bok. Ostrze ugryzło, ale nie weszło głęboko, bo Nawlekacz miał na sobie solidną kolczugę. Diarf odskoczył i chwycił się lewą ręką za bok, wyciągając równocześnie włócznię do przodu, by nadzieć na nią rozradowanego celnym ciosem wroga. Poeta nie działał jednak pochopnie i pozwolił cofnąć się wysokiemu wojownikowi.

Hag zatańczył brwiami, by rozproszyć uwagę łotra, przeniósł ciężar ciała na prawą nogę, jakby chciał zaatakować w tym kierunku, ale zaraz skoczył w bok i zrobił wypad z lewej. Tym razem to on dał się nabrać, bo rana Nawlekacza nie była tak poważna, jakby na to wskazywała jego wykrzywiona z bólu twarz. Włócznia poszła prosto jak strzała i konung ledwo zdążył zasłonić się tarczą. Grot przebił deski na wylot, otarł się o rękę kowala słów i zakleszczył się w skjaldzie. Ainar spróbował sztuczki starszej niż jego babka – szarpnął, by wyrwać broń z ręki przeciwnika, ale

ten nie był słabowitym wyrostkiem. Utrzymał uchwyt, po czym sam pociągnął. Włócznia uwolniła się, rozłupując tarczę na pół.

Pieśniarz odrzucił resztki drewnianej osłony i chwycił miecz oburącz, przechodząc do obrony. Zbił płazem uderzenie, po czym zaczął się cofać. Potknął się o jakiegoś trupa i by odzyskać równowagę, chwycił się liny mocującej namiot do pokładu. Diarf spróbował to wykorzystać i znów uderzył go tępym końcem włóczni w nogę. Skald ruszył dalej krokiem raka, a po chwili ukłonił się padalcowi, dzięki czemu żeleźce tylko zaświszczało mu nad głową, nie ucinając jej. Poddańczy gest okazał się szczęśliwy, bo dojrzał ucho sporego dzbana, które aż prosiło się o tarmoszenie. Chwycił naczynie lewą dłonią i cisnął nim w łysego drenga. Nawlekacz zasłonił się przedramieniem, ale dzban rozbił się o żelazne kółka kolczugi, zalewając też twarz i oczy nieszczęśnika czerwonym płynem. Poeta pomyślał, że szkoda było wina na takiego nidinga. Kopnął oślepionego wojownika w brzuch, a ten, by się nie przewrócić, zrobił kilka kroków do tyłu, osłaniając się wyciągniętą przed siebie włócznią. Konung przemknął wzdłuż drzewca i wbił sztych miecza prosto w gardło Diarfa. Krew spłynęła po ostrzu i dotarła do dłoni węzowego języka, która zdążyła już wcześniej ubrudzić się przy pracy, ale z przyjemnością obmyła się świeżą posoką.

Ainarowi zdało się, że usłyszał chichot norn, spojrzał więc w lewo i napotkał wzrok Seli, która wpatrywała się w niego z sąsiedniego statku. Nie była jedynym obserwatorem, bo w ferworze walki rzeźbiarz zapomniał o ostrożności i zabił Nawlekacza w dobrze widocznym miejscu także dla jego własnych ludzi ustawionych przy bakburcie. Wielu z nich rozglądało się za nowym zajęciem, gdyż napór Serklandczyków znacznie zelżał. Pieśniarz warknął na drengów, by znali swoje miejsce, a potem uśmiechnął się jak dobry władca, który po ukaraniu niesforne go wichrzyciela okazuje łaskę pozostałym. Był pewny, że językiem zdoła utwierdzić zwycięstwo dokonane mieczem.

Ali pohukiwał. Im bliżej był Skalda, tym większa ogarniała go złość i tym mocniej szpony sowy wbijały się w jego czaszkę, orając mózg i biorąc rozum we władanie. Zdołał się wreszcie przebić na statek zajmowany przez ludzi poety, choć z dwudziestu żołnierzy, którzy towarzyszyli mu na początku, została tylko pięciu. Niektórzy Vaeringowie podnieśli na niego broń, ale rozpoznały go Niedźwiadki i sam Tharbrand pozwolił mu wejść na pokład safiny.

– Gdzie Ainar? – Berserk zagłuszył dudniące mu w głowie huczenie i wydał z siebie vaerińskie dźwięki. – Muszą z nim pomówić.

– To niemożliwe – odpowiedział sternik „Żelaznego Niedźwiadka”. – Jest pod strażą.

– Znów narozrabiał?

– Tym razem poważnie. Zabił Diarfa Nawlekacza.

– I co z tego? Przecież to był kutas wielki jak u słonia.

– Może i tak, ale zawarliśmy z nim przymierze na czas bitwy. Kto złamie taką przysięgę i zabije towarzysza, karany jest śmiercią.

„Śmiercią, śmiercią, śmiercią!” – ucieszyła się hama i zaczęła tańczyć w powietrzu, dając Blamadowi nieco więcej swobody w myśleniu.

– Niedźwiadki zawsze były mu wierne. Pozwolicie na to?

– Jest nas garstka, ale nic jeszcze nie jest przesądzone. Wszystko w rękach Magnolfa Krwawej Siekiery, który póki co kazał trzymać konunga pod strażą, by Vaeringowie nie rzucili się sobie do gardeł. Wciąż mamy bitwę do wygrania.

Właściwie to już ją wygrali. Szturm kussarów się załamał i teraz tylko niewielkie oddziały próbowały dostać się na safinę. Wojownik z Wagadou pomógł w ich odparciu. Po chwili ataki niemal zupełnie ustały, a Sarakeni zadowolili się ostrzałem z łuków, stojąc na własnych okrętach. Najemnicy radzili sobie ze strzałami, chowając się za burtę lub osłaniając się tarczami. Odgryzali się za pomocą długich cisowych łuków i oszczepów.

Walka wciąż trwała na najbardziej zewnętrznych jednostkach bitewnej platformy, gdzie Grikkmadowie starli się z maumentsańskimi posiłkami. Wydawało się, że górę biorą tam kussarowie, więc przyzwoitość nakazywała, by iść na pomoc flocie basileusa. Przyzwoitych jednak brakowało wśród Vaeringów, którzy woleli pilnować złota, a i hama nie pozwoliła Alemu, by oddalił się od Skalda. Czekali więc na końcowe rozstrzygnięcia, umilając sobie czas strzelaniem do celu. Wkrótce także ta zabawa dobiegła końca, gdyż złodzieje morza wycofali się na najmniej uszkodzone okręty, by podjąć próby wyrwania się z szyku bitewnego.

Późnym popołudniem wynik bitwy został przesądzony. Sarakeni wzięli górę nad żołnierzami z floty basileusa, ale ponieśli przy tym tak duże straty, że nie mieli szans na odbicie statków ze złotem. Gdziekolwiek walki wciąż trwały, lecz nie miały znaczenia dla wyniku całego starcia, tym bardziej że główna bitwa w Zatoce Kussarów zakończyła się druzgocącym zwycięstwem Gyrgira. Kilkadziesiąt zwycięskich galeid basileusa kierowało właśnie dzioby w kierunku złotej floty.

Zerwał się wiatr, a słońce ukryło się za chmurami, przez co morze nie wyglądało już tak sielankowo jak podczas bitwy. Wokół płonęły okręty, część uszkodzonych jednostek przechylała się pod naporem wody. Mewy pokazywały, dlaczego nazywają je morskimi krukami – obsiadły wraki i dziobały umarłych. Od strony lądu nadleciały sępy, które ogłosiły się władcami padliny i zaczęły przeganiać inne ptaki.

– Gdzie jest ten pies?! – Od obserwacji oderwał Alego kobiecy krzyk.

Odwrócił się i ujrzał młodą wojowniczkę w krótkiej, pomazanej krwią kolczudze, która ledwo się na niej trzymała. Kobieta wspięła się na pokład, trzęsąc się z wściekłości. Towarzyszył jej Gaupahedin i jeszcze kilku innych wojów. Czarny Achilles z trudem rozpoznał w niej pieśniarkę, którą spotkał w Miklagardzie. Hama mocno uradowała się na jej widok i uporczywym pohukiwaniem wlewała do jego czarnej głowy nową porcję gniewu.

Vaeringowie zebrali się na śródokręciu. Dwóch ludzi uniosło właz do ładowni, zniknęło w środku, a po chwili wyszło, prowadząc Ainara

Skalda. Pieśniarz, odziany w swój czerwony kyrtil i niebieskie spodnie, miał związane z przodu ręce, ale uśmiechał się, jakby prowadzono go na pokładziny z grikklandzką księżniczką. Sowa wzleciała, po czym zapikowała, chwyciła szponami głowę konunga i ją urwała. Z szyi wystrzelił gejzer krwi. Blamad trzepnął się w głowę ręką, przeganiając majaki.

– Tatusiowi jest wesoło? – zapytała Skaldmaer, podchodząc. – Ciekawe, czy będzie się uśmiechał, jak mu odetnę uszy.

Drengowie, którzy przyprowadzili więźnia, zmusili go do ukłęknięcia przy ustawionym na pokładzie maszcie.

– Nie popisuj się przed ojcem, gówniaro! Uwolnij mnie, zanim najesz się wstydu.

Uderzyła go w twarz otwartą dłonią, a w ciszy zaległej po rzuceniu przez haga obelgi plaśnięcie zabrzmiało niczym grzmot. Na policzku węzowego języka pojawiły się czerwone pręgi, a biała sowa wleciała mu do ucha i wyleciała drugim, trzymając w szponach zakrwawiony mózg. Wizje berserka stawały się coraz silniejsze, więc z coraz większym trudem przychodziło mu odróżnianie ich od rzeczywistości.

– Na ojca rękę podnosisz? Nim zapadną ciemności, przerzucę cię przez kolano i zleję jak dzieciaka.

Tym razem dostał pięścią. Z nosa pociekła mu krew.

– Ulżyj sobie, pieśniareczko, ale masz siano w głowie, jeśli nie dostrzegasz, że musisz mnie zaniechać. Widzicie przecież – Ainar zwrócił się do pozostałych – że bitwę wygrali Grikkmadowie. Zaraz przypłyną tu ich okręty i wezmę całe złoto. Tylko ja mogę zapewnić nam godziwy udział w łupach, bo zawarłem układ z samym Nikeforem Fokasem. W swojej łaskawości każdego z was zrobię bogaczem.

Ali zauważył, że wielu Vaeringów miało nietęgę miny, jakby nie podjęli jeszcze ostatecznej decyzji, kogo wesprzeć w tym rodzinnym sporze. Po słowach Skalda niektórzy głośno przyznali mu rację.

– Tatulek się przecenia. Mamy ze sobą Magnolfa Krwawą Siekierę, który

ma dobre układy z Gyrgirem, strategosem Samos. W naszym imieniu zawrze z nim porozumienie i załatwi nam godziwą rogę w kolejnych latach służby dla basileusa.

Większość drengów poparło to stanowisko głośnym *já*, ale nawet ten pokaz wrogości nie zmącił dobrego nastroju poety.

– Myślisz, że Magnolf jest z tobą? To ja kazałem mu się do ciebie przyłączyć i powiedzieć ci dokładnie to, co właśnie usłyszałem. Krwawa Siekiero! Dostyc już tych przebieranek. Nakaz swoim ludziom mnie uwolnić i zamknij to niesforne szczenię w ładowni.

Uszy Ainarsdottir zrobiły się czerwone, lecz wcale nie wydawała się zbита z tropu.

– Wydaje ci się, że jesteś taki przebiegły? Nie znasz opowieści o wężu, który myśląc, że ściga innego gada, własny ogon pożarł? Taki właśnie jesteś! Ale zapytajmy Magnolfa, co o tym sądzi.

Wywołany do odpowiedzi najemnik podrapał się po wytatuowanych policzkach, wyciągnął z krótkiej brody maleńki ochłap ludzkiego mięsa i pstryknął nim na pokład.

– Wybacz, konungu. Nie mam z tobą zwady i nie życzę ci źle, ale muszę przede wszystkim myśleć o swoich ludziach, a ty złamałeś nasze prawa, mordując Diarfa. Dlatego nie mogę wybrać twojej strony.

– To on zaatakował pierwszy!

– Ktoś może to poświadczyć? – zapytał Magnolf.

Nikt się nie odezwał. Milczenie w końcu wyгнаło wesołość z twarzy pieśniarza, który wykrzywił gębę niczym wilk i sprawdził ostrość kłów na swoim języku.

– Nie żałuję tej śmierci i zabiłbym go ponownie.

Sela uśmiechnęła się i wyjęła z pochwy miecz. Był to solidny maekir z Północy, z zaokrąglonym sztychem i trójgraniastą głowicą. Przyłożyła ostrze do gardła Ainara.

– Wiem, że to był łotr i brutal, ale był mój i go miłowałam. Ty jednak po raz kolejny postanowiłeś okazać światu swoje prawdziwe oblicze. Twarz

mordercy i kłamcy. Radość przynosi mi tylko to, że pokonałam cię w dniu, w którym myślałeś, że zdobyłeś wszystko. Pozbawiłam cię bogactwa, zjednałam sobie twoich ludzi i zniszczyłam twoją sławę. A na końcu wezmę i twoje życie.

Hama nie mogła być w większej ekstazie. Huczała, zmieniała kolor z białego na czerwony, a jej ludzka twarz uśmiechała się upiornie od ucha do ucha, co była nie lada wyczynem, bo jej ptasie narządy słuchu sterczały z głowy niczym rogi.

– Nie ośmielisz się, zmijo! Mam tu pełno wiernych ludzi, którzy obronią mnie za życia lub pomszczą po śmierci.

– Ludzi? Jakich ludzi? Czy miłość własna aż tak cię zaślepia? Traktujesz wszystkich gorzej niż psy i oczekujesz, że będą gryźć w twojej obronie? Może chodzi ci o Niedźwiadki? Jakoś nie widzę, by dobywały broni.

Tharbrand stał niepewnie i trzymał dłoń na rękojeści miecza, ale rzeczywiście go nie wyjmował. Pozostałe Niedźwiadki skupiły się wokół niego i wydawały się skore do psot, gdyby dostały na to zezwolenie od szalonego sternika. Tyle tylko że otoczyli ich wojownicy Seli i drengowie Magnolfa, było więc jasne, że gdyby ludzie Ainara zdecydowali się na bunt, zostaliby natychmiast zgładzeni.

– No i co? Czyżby nikt nie chciał ryzykować dla ciebie życia?

Ali zrobił krok w przód. Vaeringowie dziwnie na niego popatrzyli, ale to nie oni go zatrzymali. Sowa zapiszczała ze strachu i nienawiści, powiększyła się do rozmiarów byka i stanęła naprzeciw berserka. Czarny Achilles chciał krzyknąć, lecz słowa uwięzły mu w gardle i wydobył się z niego tylko ptasi gwizd.

– To wysoka cena – burknął Skald.

– Z pewnością zbyt wysoko za takiego nidinga. Ale znaj moją łaskę. Uwolnię cię i puszcę wolno, jeśli któryś z twoich ludzi odda za ciebie prawą rękę!

I tym razem nie było chętnych wśród Vaeringów. Nawet Niedźwiadki pospuszczały wzrok, bo dla wojownika łatwiej już chyba było podstawić

pod nożyce norn swoje życie, niż dobrowolnie pozbawiać się łapy, która miecz dzierżyła. Hama zaatakowała z jeszcze większą siłą i zaparła skrzydła na ramionach Blamada. Berserk podjął walkę, bo nie chciał być już dłużej niewolnikiem sowy, żelaznobokiego dzika, hieny ani żadnego innego ducha, który sprowadzał na niego szaleństwo. Przed laty zniszczył swoje życie, zabijając własną żonę, teraz więc nie mógł dopuścić, by odszedł jego jedyny przyjaciel. Jeśli nie pokona Tirusa, hama prześladować go będzie przez resztę jego dni i Ali na zawsze pozostanie dziką, nieujarzmioną bestią, kanibalem, który zjada samego siebie.

– Ktoś coś mówił? – zadrwiła Sela. – A nie, to tylko wiatr. W taki razie biorę się za swoją powinność.

– Jaaaaa! – krzyknął Ali.

Wszyscy obrócili się w jego stronę. Berserk szedł z trudem, przepychając przed sobą sowę.

– Co tam bełkoczesz? I co tak dreptasz, jakbyś sikał po nogach ze strachu?

Spatharios próbował powiedzieć, że oddałby dwie ręce, byle tylko pozbyć się sowy ze swojej głowy, ale z ust wychodziło mu tylko pohukiwanie. Zamiast gadać, zbliżył się więc do Seli i kłęczącego Ainara, potem zgiął kolana i położył rękę na leżącym na widełkach maszcie. Pieśniarz spojrział na niego z wyrazem twarzy, który przy dobrych chęciach można było wziąć za wdzięczność, ale zaraz nieznacznie pokręcił głową. Jeśli spodziewał się, że córka nie ośmieli się go zabić, był głupcem zaślepionym rodzicielską miłością. Berserk widział w spojrzeniu meykong ogień, który pali wszystko, nie bacząc, że wraz ze zniszczonym lasem i sam płomień zgaśnie.

– Czy dobrze rozumiem? Chcesz oddać rękę za życie tego łamacza ugód, gridnidinga, który w ustach ma rozdwojony język?

Skald jak nikt inny potrafił Alego zdenerwować, poza tym jedynie ślepiec nazwałby go przyzwoitym człowiekiem, ale pieśniarz był też bystry, dzięki czemu rozumiał Blamada bez słów. Obaj byli świadomi tkwiącej w każdym z nich siły, która pomagała im przetrwać, choć niszczyła

wszystkich dookoła.

– Tnnij – zdołał z siebie wydusić.

Skaldmaer zakłęła plugawymi słowami, jakich nawet berserk nie znał. Oparła ostrze o jego rękę i nazaczyła ją w połowie odległości między nadgarstkiem i łokciem.

– Dowiodłeś swojej odwagi. Dam ci trzysta sztuk złota i przyjmę na służbę.

Propozycja była szczodra. Hama darła z niego skórę, odchyłała mu zebra, żarła płuca i grzebała szponami we wnętrznościach. Obiecywała jeszcze większe męczarnie, jeśli ocali Ainara przed śmiercią.

– Tnnij, suko – wybełkotał i dodał obelgę, by zachęcić ją do działania, bo obawiał się, że nie oprze się dalszemu kuszeniu.

Meykong wzięła potężny zamach znad głowy i cięła. Sowa spróbowała wyszarpnąć rękę wojownika spod opadającego miecza, ale spatharios nawet nie drgnął. Brzeszczot gładko odjął rękę Czarnego Achillesa, przy okazji przecinając hamę, która osłaniała go własnym ciałem.

Ali zwany Czarnym Berserkiem poczuł ból i uśmiechnął się, bo w jego głowie zagościł spokój.

* * *

„Niech będzie przeklęty Mimir, który zsyła mi złe rady! I niech Gefnę wygrzmocą trolle za to, że porzuciła mnie, swoją wierną ofiarniczkę!” – krzyczała w myślach Sela. Już miała ojca w garści, ale powiedziała dwa słowa za dużo i dała mu szansę na ratunek. Być może Ainar celowo ją podpuścił, czy jednak mógł wiedzieć, że Blamad zdecyduje się na coś takiego. Nie pojmowała, jakim sposobem jej rodzic zdobył sobie tak oddanego człowieka. Gorączkowo myślała, co teraz zrobić. Skald uśmiechał się do niej z wyższością, ale nie mogła go zabić. Dała słowo. Z drugiej strony radowała się, że nie będzie miała krwi ojca na rękach, gdyż nie tak dawno sama rozważała darowanie mu życia i zadowolenie się upadkiem nidinga. Gdy byli razem uwięzieni, pokazał jej przecież

namiastkę ludzkiej twarzy. Tylko że później ją obrażał, nie dając jej wyjścia. Teraz nie mogła okazać słabości. Jeśli miała panować nad sforą wilków, musiała być trzy razy twardsza od mężczyzny, inaczej jej ludzie rozerwaliby ją na strzępy lub, co gorsza, uznali za pannę na wydaniu. Była niemal pewna, że nosiła w brzuchu nowe życie. Mogła to ukrywać jeszcze przez trzy, cztery miesiące. Przez ten czas planowała łupić i zdobywać sławę, a potem zamierzała się zaszyć w jakimś ustronnym miejscu i urodzić. Kolejnej wiosny mogłaby wrócić do żywota drenga. Nie będzie miała jednak takiej szansy, jeśli da się ośmieszyć Ainarowi.

– Starczy tych zabaw w mężczyznę. Rozwiąż tatusia, ale już! – Ojciec zwrócił się do niej głośno, by wszyscy słyszeli. Dostrzegła, że kilku najemników się uśmiechnęło.

– Słowo zostało powiedziane i zostaniesz uwolniony. Nie myśl jednak, że wybaczę ci śmierć Diarfa. Zabiłeś go, odbiorę ci zatem kogoś, kogo podobno miłujesz. Przynieście ją!

Z radością zobaczyła niepewność malującą się na jego twarzy. Miała dla niego niespodziankę, którą zapamięta na długo.

Dwaj jej zaufani ludzie pobiegli na „Czerwoną Żmiję” i po chwili przynieśli worek z więźniem. Gdy położyli go pod jej stopami, rozcięła sznur i pozwoliła, by ze środka wyczołgała się półnaga kobieta. Niezwykle piękna kobieta, choć brudna, wychudzona i zapłakana. Niewiasta wstała, zasłaniając się świętymi obrazkami, a raczej tym, co z nich zostało.

– Konstancjuszku? – zapytała nieśmiało, odgarniając z oczu potargane włosy i ocierając nadgarstkiem łzy. – To ty?

– Tak, Zoe. Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

– To obrazy, które od ciebie dostałam. Nigdy ich nie wypuściłam z rąk i cały czas modliłam się za ciebie.

Skaldmaer nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Jej ojciec rzeczywiście zdawał się żywić do tej kobiety jakieś głębsze uczucia, bo nigdy nie widziała go tak przejętego. Zakochał się w pornasce? Przecież kiedyś śmiał porzucić jej matkę, kobietę o dobrym urodzeniu i wielkim majątku, o której mówiło się, że jest najpiękniejszą dziewczyną na Północy. Jak można było

upaść tak nisko?

– Oszczędź ją. Proszę cię o to, córko.

Prosił ją? Naprawdę to usłyszała? Mówiono, że on nawet nie zna takiego słowa, a jednak się przed nią kajał. Znów miała go w garści.

– A ty miałaś wzgląd na mnie? Albo na moją matkę? Milcz, starcze, bo tylko się ośmieszasz.

– Zatem posunęłaś się do porwania niewinnej kobiety, by dopełnić zemsty i zadośćuczynić wydumanym krzywdom?

– Oj, posunę się do czegoś o wiele większego, ale wiedz, że to nie ja ją porwałam. Przyprowadził mi ją Magnolf, któremu, jak słyszałam, sam nakazałeś się u mnie zjawić. Obwiniaj więc samego siebie.

Ojciec odwrócił głowę w kierunku Krwawej Siekiery i splunął na pokład.

– Nie miej mi tego za złe, konungu. Właściwie nie porwałem jej... Gdy tylko opuściłeś Thereę, sama do mnie przyszła i ofiarowała swoje usługi. Tania nie była, więc rozumiem, skąd twoje przywiązanie. Ale w życiu bym nie pomyślał, że traktujesz ją jak kogoś więcej niż dzban na swoje nasienie. Wpadłem więc na pomysł, że warto ją ze sobą zabrać i dać w podarunku twojej córce, by uwierzyła w opowieść o mojej zdradzie.

– I to się udało – przyznała meykong. – Myślisz, że nie podejrzewałam Krwawej Siekiery? Jego przypląnięcie z daleka pachniało podstępem, ale gdy dał mi w podarunku tę kobietę, musiałam mu zaufać. Nawet ja słyszałam w Miklagardzie o twojej dziwnej obsesji względem tej nierządniczy, uznałam więc, że sam byś jej do mnie nie przysłał.

– To nie ja cię zdradziłam, Konstancjuszku! – zawołała więźniarka i łamiącym się głosem dodała: – To wina Kallirroo! Tylko ty potrafiłeś ją poskromić, a bez ciebie byłoby tak samotne.

„Nie dość, że pornaska, to jeszcze pomyłona” – zdziwiła się Sela. Sprytna Grikklandka musiała owinąć sobie podstarzałego varga wokół małego palca, bo Ainar wcale się na nią nie złościł, tylko spoglądał czule, jakby chciał wziąć Zoe w ramiona, pocałunkami osuszyć jej łzy

i przebaczyć zdradę.

– Poskromili ją wszyscy na „Czerwonej Żmii”. Sama zresztą prosiła o więcej, a za zapłatę wystarczyło jej jedzenie – kłamała, by go zranić, tak jak on ranił ją od dzieciństwa, zarówno kiedy z nią był, jak i kiedy go nie było. W rzeczywistości sama codziennie karmiła kobietę i pozwoliła jej zatrzymać obrazy, do których była tak przywiązana. Starła się też powstrzymać gwałty, ale nie mogła pilnować więźniarki dzień i noc, więc niektórzy najemnicy rzeczywiście mieli z nią używanie.

– Zabij mnie, ale ją oszczędź.

– Za późno. Miałeś swoją szansę na śmierć. Podziękuj przyjacielowi, że cię uratował, a zarazem przypieczętował jej los.

Nie chciała tego robić. Zoe niczym jej nie zawiniła, choć jej słabość napawała ją odrazą. Była jednak pewna, że gdyby darowała życie ojcu i jego kochanicy, Ainar znalazłby sposób, by wszystko odzyskać, a córkę doprowadzić do upadku. Już teraz słyszała w głowie jego pieśń o tym, jak przechytrył złą córkę, pokonał setki wrogów, a gdy znalazł się na skraju śmierci, wierni wojownicy sami sobie ręce pucinali, byle tylko ocalić umiłowanego konunga. Nie. Musiała go złamać tu i teraz. To musiało się skończyć w tej chwili.

Nie zwlekając dłużej, zrobiła to, do czego zmusiły ją norny, tak wyszywając tkaninę jej życia, że urodziła się drengiem w ciele kobiety. Szybkim ruchem poderznęła pornasce gardło.

* * *

Ból. Nigdy wcześniej nie poczuł go tak dotkliwie, chociaż wcześniej bywał raniony w niemal każdą część swojego ciała. Już jej nie było. Jedynej kobiety, która go pokochała mimo całego jego łotrostwa. Jakże pragnął, aby to jego pierś przeszła setka nagich mieczy.

Rozpacz przerodziła się we wściekłość. Wszystkiemu winna była Sela. Czemu nie dostrzegł wcześniej, że była wyrodnym wilczym szczenięciem, któremu należało skrócić kark jeszcze w kołysce? Jak mógł się tak pomylić,

myśląc, że jej złość to tylko zwykła przekora towarzysząca wszystkim członkom jego rodu od czasów ich przodka Göllnira? Przecież już na pierwsze spotkanie przed piętnastoma latami przyniosła mu ludzkie ucho.

W rękawie miał ukryty nożyk do rzeźbienia i gdy tylko założono mu więzy, starał się je przeciąć. Pracował wolno, by nikt nie dojrzał jego wysiłków. Dopiero teraz poczuł, że sznury puszczają. Za późno, by uratować Zoe, lecz w sam raz, by ukarać wyrodną córkę. Oswobodził dłonie i zerwał się z miejsca.

– Miecz! – krzyknął.

Początkowo nikt go nie posłuchał, ale w końcu podszedł Magnolf i oddał mu Kvernbita, którego wcześniej sam mu odebrał.

– Niech rozstrzygną to między sobą. Uznamy zwycięzcę za swojego konunga – orzekł Krwawa Siekiera. Nikt nie zaprotestował.

Tarczy nikt mu nie użyczył, zresztą po całodziennej bitwie trudno było znaleźć choćby jedną nieuszkodzoną. Także Sela nie miała skjaldu.

Drogę zagroził mu Gaupahedin, który wyszedł przed swoją panią z toporkami w dłoniach i prychnął na konunga jak kot podczas kąpieli. Pieśniarka podrapała hamramira za uchem i kazała mu odstąpić.

– Mówiłam, że na koniec wezmę twoje życie – powiedziała i skoczyła ku ojcu z obnażonym mieczem.

Uchylił się przed cięciem i sam przystąpił do ataku. Był wytrawnym drengiem, który zawsze starał się kasać z rozwagą i oszczędzać miecz w bitwie, ale tym razem nacierał z pełnią swojego gniewu, zamierzając zwyciężyć dzięki sile. Przeklął dzień, kiedy córka pojawiła się na progu jego izby. Uderzył z góry, mierząc w głowę. Wyminęła ostrze, nim jednak zdążyła odpowiedzieć, musiała uchodzić przed kolejnym rąbnięciem. Kvernbit uderzył w burtę, wyrzucając w powietrze drzazgi.

– Tatuś się oszczędza, bo wiek już nie ten i sił mu nie starczy.

Po wszystkim, co mu zrobiła, śmiała go jeszcze obrażać. Świat wokół Ainara stał się bladoczerwony. Skald poczuł, że całe jego ciało domaga się zadawania śmierci, a wściekłość wlewa w niego nowe siły, uszczuplone

porannym pływaniem i popołudniową walką. Naprzeciw siebie miał ledwie dziewczę, może i wprawne we władaniu mieczem, ale nie mogące się równać dorosłemu mężczyźnie.

– Walczysz jak baba. Uciekając i pyskując.

Nagana podziałała. Sela zaatakowała odważniej, zmyliła go wypadem w prawo i cięła nisko, muskając sztychem miecza udo poety. Poczł lekkie ukłucie, lecz nawet nie zwrócił uwagi na krew. Jego ręce walczyły teraz same, bez słuchania głowy.

– Jakim sposobem taki starzec mógł dogodzić pornasce?

Nie odciął się, bo czy niedźwiedź ma zwracać uwagę na obszczekujące go szczenię? Nie. Czas życzliwego rodzicielstwa minął. Nie chciała słuchać ostrego języka ojca, posłucha nauczki miecza.

Uderzyła zdradziecko, pod kolana. Ainar cofnął się i rąbnął mieczem, niczym toporem, z prawej do lewej. Mocarny cios przeciął linę mocującą namiot. Natarł ponownie, bo jego córka ledwo już stała na nogach i krwawiła z ran otrzymanych w bitwie. Walczył prosto, bez popisów, jak Magni zabijający trolle. Machał z góry, ciął od dołu, rąbał z prawej, uderzał z lewej. Choć jego duch miał już swoje lata, ciało wciąż było sprawne i wytrzymałe. Mała osa nie była dla niego wyzwaniem, nawet jeśli czasem ukąsiła.

– Lubieś patrzeć, jak rznąli ją inni, czy wystarczyła świadomość, że przed tobą z jej źródła piły całe tabuny koni?

Sam nie rozumiał uczucia, jakim obdarzył Kallirro. Może pociągało go jej szaleństwo, okazywana mu troska lub to, że tylko przy kochance mógł spokojnie zasnąć. Składając głowę na jej podołku, czuł się jak w domu. Wspomnienie Zoe działało na niego kojąco, nawet w tej chwili. Świat z czerwonego stał się szary.

Co robił, walcząc z własną córką? Porzucił ją przed laty, bo wiedział, że w żyłach członków jego rodu płynie krew zmieszana z wymiocinami szaleństwa. Drengowi towarzyszy płacz sierot, pożoga i stada kruków, a wywalczona sława to tylko łyżka miodu w gorzkim piwie, jakie codziennie wypija wojownik. Jakim byłby ojcem, umyślnie skazując ją na

życie pełne gniewu i bólu?

Co robił, walcząc z własną córką? Czy mógł ją winić, że chciała być doń podobna? Sam też nienawidził ojca, a ten żywił takie samo uczucie względem swojego rodzica. Taki był ich los i do tego skłaniała ich hamingja żmii, opiekunka ich rodu.

Co robił, walcząc z własną córką? Czy naprawdę chciał ją zabić? Może była jeszcze dla niej nadzieja? Nigdy nie wybaczy Seli zamordowania Kallirroe, ale gdyby znalazł dla niej odpowiedniego męża, może on wypełniłby dzikość z jej serca. Był ojcem, musiał chociaż spróbować.

Był też jednak drengiem, nie umiał przegrywać. Gdy miecz córki dziabnął go w nogę, na chwilę znów ogarnęła go wściekłość i uniósł Kvernbita, by ostatnim potężnym ciosem dać niewdzięcznicy nauczkę. Wziął zamach zza głowy i rąbnął, a ona, głupia, zamiast się uchylić i uciec jak baba, uniosła swój brzeszczot, by zablokować cios. Miecz pękł na pół. Jej miecz. Kvernbit, przeklęty Kąsacz Kamieni, ześlizgnął się po głowie pieśniarki, uciął ucho, przebił kolczugę i wbił się w kark Dziewczyna jęknęła i wypuściła z ręki ułamaną broń. Sela Ainarsdottir Skaldmer, która była prawdziwym drengiem, zrobiła krok w tył, oparła się o burtę i wpadła do wody.

Co właśnie uczynił? Był dzieciobójcą? Rozejrzał się po zebranych. Niektórzy kiwali z zadowoleniem głową, inni zaciskali zęby, a pozostali stali obojętni, bo przecież zobaczyli tylko śmierć kolejnej osoby. Naraz wszyscy ci wojowie wydali mu się obcy. Nie rozpoznawał ich zamazanych brodatych twarzy.

– Wyłowić ją! – krzyknął.

Nim jeszcze zabrzmiał jego rozkaz do wody wskoczył Gaupahedin, ale inni nie ruszyli się z miejsca. Wszyscy przecież widzieli, że rana była śmiertelna, na dodatek dziewczyna wpadła do morza w kolczudze.

– Sto nomism dla tego, kto przyniesie mi jej ciało.

Na to skusiło się trzech Vaeringów, a i Skald zbliżył się do burty, oceniając, gdzie najlepiej będzie zanurkować.

– Kryć się! – krzyknął ktoś z tyłu.

Poeta odwrócił głowę i ujrzał wielką płonącą kulę, która opadała wprost na ich statek. Pojął, że ocalałe saraakeńskie galeidy próbują zatopić złotą flotę, by nie wpadła w ręce Grikkmadów. Pocisk rozbił się na śródokręciu, wzniecając pożogę.

47

Georgios, strategos temu w Samos, do Konstantyna, autokratora Romejów, przez Kristosa ukoronowanego syna basileusa Leona – cześć jego pamięci – który jest najmężniejszym i najodważniejszym z władców świata.

Niech posłucha w Bogu rozmiłowany autokrator, co zdarzyło się na Krecie i niech Salomon służy mu radą.

W wyprawie wzięły udział sześćdziesiąt dwie jednostki temu w Samos, a pośród nich dwadzieścia dromonów, dwadzieścia dwa chelandiony i dwadzieścia ousiakonów.

W wyprawie wzięły udział dwadzieścia cztery jednostki temu Kibyrhāīōtai, a pośród nich sześć dromonów, sześć chelandionów i dwanaście ousiakonów.

W wyprawie wzięło udział osiemnaście jednostek temu Aigaion Pelagos, a pośród nich pięć dromonów, pięć chelandionów i osiem ousiakonów.

Łącznie z naszych portów wypłynęły sto cztery okręty: trzydzieści jeden dromonów, trzydzieści trzy chelandiony i czterdzieści ousiakonów. Później dołączyło do nas dziesięć statków ludu Rhos.

Każdy dromon miał załogę pełną, a więc dwustu trzydziestu wioślarzy i siedemdziesięciu ciężkozbrojnych żołnierzy. Dwadzieścia chelandionów miało po stu sześćdziesięciu wioślarzy, a trzynaście miało dodatkowo po dwudziestu żołnierzy piechoty. Wszystkie ousiakony miały po stu ośmiu

ludzi na pokładzie. Razem dla chwały Romanii walczyło dziewiętnaście tysięcy i stu sześćdziesięciu mężczyzn.

Zgodnie z przewidywaniami dostojnego basileusa Konstantyna udało nam się zaskoczyć flotę Sarakenów i wygrać bitwę na morzu. W jej wyniku zniszczyliśmy dwadzieścia trzy okręty wroga i przejęliśmy trzydzieści jeden. Dwanaście jednostek wroga zdołało zbiec. Wzięliśmy siedem tysięcy i czterystu pięciu jeńców. Zatoka Mutalassiat al-Bahr została opanowana, a znalezione tam dobra przywrócono Romanii, z której zostały zrabowane. Gdy lądem nadciągnęła armia emira Krabautosa, wycofaliśmy się zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami.

Doniesiono mi, że Samsam as-Sari zginął, choć jego ciała nie odnaleziono. Potęgą rabusiów została złamana i teraz na morzu roztacza się gościniec, po którym nasza armia może wiosną przybyć na Kretę.

Mandatorzy donieśli, że Anemas, syn emira Krety, nadal jest nam przychylny, ale jego stronnicy nie zdołali dokonać przewrotu w celu obalenia Krabautosa. Zachodzi obawa, że użycie armii będzie niezbędne, by przywrócić wyspę naszej Ekumenie.

Sporny ładunek, po który wyruszyłem, został przejęty, choć czwarta jego część zatonęła. Nie był on jednak tak wielki, jak przypuszczano i napętnia mnie trwoga, że znaczne dobra opuściły dom Samsama w nieznanym nam kierunku. Niestety, kierunek ten mógł być znany Isie ibn Ishakowi, który jakimś sposobem zdołał się wymknąć naszym ludziom i słuch o nim zaginął.

Lud Rhos okazał się wielce pomocny podczas wyprawy. Człowiek o imieniu Areltes, który przedstawił się nam jako basileus Tauroscytów z Północy, przepadł. Jego ludzie donieśli, że odpłynął na jednym ze statków, biorąc sobie w zapłacie pięć skrzyń z rzeczonymi dobrami. Władztwo nad najemnikami przejął Magnolfus Okrutny, który wcześniej dobrze się sprawiał na Therze, dlatego zaleca się przyjęcie go na dalszą służbę.

Powiedzieliśmy już wszystko o wyprawie na Kretę.

Pisał i radę służył Georgios, z łaski autokratora strategos Samos.

Epilog

Nigdy wcześniej Ali nie widział płaczącego Ainara. Mówiąc szczerze, nawet nie podejrzewał, że oczy poety potrafią wypuszczać łzy. A jednak, gdy „Żelazny Niedźwiadek” zatrzymał się w zatoczce niewielkiej wysepki, Skald płakał i nie wstydził się łez, gdy niósł ciało swojej kochanki na ląd. Płakał także później, gdy własnoręcznie wykopał jej grób i pochował Zoe wraz z dwoma jej świętymi obrazkami. Na mogile postawił wielki, zбитy z gałęzi krzyż. Nikt z załogi nie ośmielił się zaśmiać, bo każdy z żalem patrzył na złamanego drenga. Nie protestowano, gdy hag udał się w głąb wyspy i nie wracał przez dziewięć długich dni. Dopiero po południu dnia dziewiątego Niedźwiadki powiedziały na głos to, co wszyscy w myślach podejrzewali: że pieśniarz nie wróci, bo zabił się, by spotkać swoich bliskich w zaświatach. Berserk wyruszył wtedy w kierunku, w którym wcześniej udał się konung, i znalazł go pod wieczór, siedzącego pod ociosanym, sterczącym kamieniem. Na licu głazu kował słów wyrył dłutem wijącego się smoka z dwoma głowami, które spotykały się na środku przedstawienia i stykały językami. Ciało gada pokrywały runiczne napisy.

– Co tu jest napisane? – zapytał Blamad, bo choć znał mowę Noregu, nigdy nie nauczył się czytać tych dziwnych krzaczków.

– Ainar Skald wzniosł ten kamień dla swojej żony Zoe i dla córki, która była największą pieśniarką Północy. – Przy ostatnich słowach głos Ainara się załamał, a w oczach znów pojawiły się łzy.

Ciała Seli nie odnaleziono. Kiedy wpadła do wody, na safinę spadły płonące pociski i zapanował chaos. Vaeringowie kryli się, nieudolnie próbowali gasić pożary lub wycofywali się, by ocalić swoje snekkje. Niektórym udało się przenieść na skipy kilka skrzyń ze złotem. Ostrzał nie trwał długo, bo zaraz ku kussarskim okrętom pomknęły pociski

z nadpływających z odsieczą grikklandzkich galeid, które zmusiły Sarakenów do ucieczki. W wyniku pożaru zatonęła jedna safina ze złotem i dwie długie łodzie.

Skald wskoczył do morza, ale nie znalazł córki. Później nie chciał opuszczać płonącego okrętu i siedział na nim, tuląc do piersi zwłoki Zoe. Dał się przekonać do odpłynięcia dopiero wtedy, gdy Ali przypomniał mu o konieczności jej pochowania. Nie odnaleziono również Gaupahedina, który pierwszy rzucił się na pomoc Seli. Nie łudzono się jednak, że hamramir zdołał wyłowić i ocalić dziewczynę.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując zapadającą ciemność. Blamada, jak co wieczór, bolał kikut, jakby wciąż miał przy nim dłoń. Rozumiał przyjaciela, bo przecież i on zabił kiedyś własnego brata, który zgwałcił mu żonę, a potem w gniewie udusił niewierną ukochaną kobietę, choć nawet nie pamiętał, jak dokonał tej zbrodni. To było jednak lata temu i zapłacił za winy tułaczką oraz własną prawicą. Pogodził się ze swoim losem, uznał własne winy i pozbył się gniewu. Nie było już Alego Czarnego Berserka. Odrzucił przybrane imię i przypomniał sobie, jak nazwali go rodzice. Był Maadim, jednym z trzydziestu trzech synów ghana Wagadou. Wygnańcem, który zamierzał powrócić do domu.

Wspomnienia o morzach trawy przerwał mu kowal słów. Melodyjnym smutnym głosem wypowiedział pieśń, którą później nazwał *Dótturtorrek*,^[7] czyli *Żalem po śmierci córki*:

Żal pozbawił żądła,
stąpił oręż skalda,
w ustach była igła,
jest tam teraz kłoda.

Kvernbit pokąsał kolczugę,
ramię rębaczki urąbał,
spuścił czerwoną strugę

mej córki życie zabrał.

Norny o jej losie
nożem zdecydowały.
Maszty w morskim lesie
krucze boginki obsiadły.

Porwała mi ją Ran,
Aegir wyrwał Asom.
Mimo bitewnych ran
nie dla niej drengów dom.

Służył ci skald wiernie,
strofy wciąż składając,
drengów bijąc dzielnie,
za dar poezji płacąc.

Przeklęty jest Alfadir,
Pan Wszelkiego Stworzenia,
co dobrego ojca ma mir,
a nie zna bólu rodziciela.

Przyjaźń naszą przerwałś,
włóczniku, co władasz marnie.
Skoro Selę mi skradłeś,
pisk mam twój w pogardzie.

Miód nie jest mi miły,
piwo nie cieszy pijaka.
Bitwy mi już zbrzydły,

czekam więc na kruka.

Kowal bez kowadła,
Göllnir bez ofiarnika,
bondi bez radła,
pieśniarz bez języka.

Gdy ostatnie sylaby porwał wiatr, a księżyc skrył się za chmurami, Skald zamilkł i nie odezwał się przez trzy długie lata.

Słowo od historyka

„Spośród rzeczy, które przynoszą nam korzyści w życiu, historia nie jest jedną z najmniej ważnych, przeciwnie, należy do tych najważniejszych, gdyż z samej swej natury jest użyteczna i pomocna”.

Tymi słowami rozpoczął swoją kronikę bizantyjski uczyony Leon Diakon (urodzony około 950 roku) i trzeba przyznać, że miał rację. Bez historii społeczeństwo byłoby przecież jak człek chory na alzheimera, który nie pamięta własnej przeszłości, nie rozpoznaje bliskich i czuje się obcy w otaczającym go świecie. Zostawmy jednak na boku tę refleksję i przejdźmy do sedna sprawy – do powieści. Zaprawdę niezwykle użyteczna i pomocna była dla mnie historia w tworzeniu *Wężowego języka* (obu tomów), a z całego cyklu o Skaldzie właśnie ta powieść najobficiej czerpie z dziejów średniowiecznej Europy. Co nie znaczy, że czasem nie pozwoliłem sobie na swawolną twórczość i na mariaż fikcji z historyczną rzeczywistością. Dlatego czuję się zobowiązany naprowadzić czytelnika na tropy, czyje dalsze losy może prześledzić w kronikach.

Zacznijmy od samych Węregów. Gdy późnym latem 958 roku Ainar przybył do Konstantynopola, nie istniała jeszcze słynna gwardia wareska (utworzona w 988 roku przez cesarza Bazylego II, który w powieści jest ledwo niemowlakiem na rękach swojej matki, cesarzowej Teofano). Wojownicy z Północy przybywali jednak do Bizancjum już w wieku IX – czasem, by łupić, a częściej, by zaciągać się na służbę w tamtejszej armii. W połowie X stulecia szczególnie chętnie przyjmowano Węregów do służby we flocie, doceniając ich szybkie statki. Wykorzystywano ich do walk z piratami i do ochrony morskich szlaków handlowych. Tak naprawdę Bizantyjczycy nie mieli pewności, kogo zatrudniają, bo zamiennie nazywali tych najemników Węregami, Rusami, Tauroscytami czy Gotami i nie

widzieli większej różnicy między przybyszami z Europy Wschodniej i Północnej.

W 958 roku na tronie Salomona siedział Konstantyn VII Porfirogeneta (urodzony w 905 roku), wielki uczonec i miłośnik dworskich ceremoniałów (napisał nawet podręcznik *O ceremoniach*), za którego panowania Bizancjum zaczęło odzyskiwać dawny blask i odbijać swoje dawne ziemie z rąk arabskich. Cesarz zmarł w listopadzie 959 roku, czyli niedługo po wydarzeniach opisanych w finale książki. Przyczyna jego śmierci pozostaje niewyjaśniona, choć ówczesni kronikarze wiązali ją z nagłym zapadnięciem autokratora na zdrowiu, które miało miejsce kilka miesięcy wcześniej. Powodem choroby miała być trucizna. Jak pisze Jan Skylitzes: „Roman, syn Konstantyna, wszedł w wiek dorosłości i nie mógł znieść, iż sprawy państwa znajdują się w rękach jego ojca. Postanowił więc pozbyć się go dzięki truciznie, a odbyło się to przy pełnej wiedzy jego żony, córki oberżysty”. Według tej wersji za spiskiem stał więc Roman wraz ze swoją żoną Teofano, i taką możliwość zasugerowałem w powieści, choć historycy nie są do niej przekonani, Jan Skylitzes bowiem jawnie nienawidził Teofano i oskarżał ją o każde skrytobójstwo, jakie miało miejsce na dworze za czasów jej panowania. Nie jest więc wykluczone, że Konstantyn zmarł z przyczyn naturalnych.

Wspomniani już Roman i Teofano to również postacie historyczne. Roman został cesarzem po śmierci ojca, ale władał krótko (959–963), kończąc żywot śmiercią tragiczną, o którą również oskarżano Teofano. Piękna cesarzowa przetrwała ten przewrót pałacowy zaskakująco dobrze i po swojej krótkiej regencji (rządziła w imieniu synów) wyszła za mąż za nowego cesarza – Nikefora Fokasa. Opisana przez ze mnie w książce rodząca się atencja Nikefora do Teofano nie jest więc fikcją. Poważny i świętobliwy wódz rzeczywiście pokochał piękną augustę, choć ona raczej tylko go wykorzystwała do zapewniania sukcesji swoim synom. Nikefor spędził panowanie (963–969) na podbojach. Został zamordowany w wyniku kłótni, za którymi bez żadnych wątpliwości stała Teofano razem ze swoim kochankiem Janem Tzimiskesem (siostrzeńcem Nikefora

i znakomitym wodzem, również występującym w powieści) i Bazylim Lekapenem (Nothosem, którego czytelnik poznał, gdy u boku Konstantyna rozpoczął swoją polityczną karierę). Nowym autokratozem został Jan Tzimiskes (969–976), który jednak zdradził kochankę. Teofano została kozłem ofiarnym i wygnano ją z dworu. Powróciła tam po śmierci Tzimiskesa, ponieważ jego następcą został Bazyli II Bułgarobójca (976–1025) – syn Teofano, który okazał się jednym z najlepszych władców w historii Bizancjum.

Spośród bizantyjskich osobistości fikcyjnym bohaterem jest Gyrgir, choć i jego postać została stworzona na podstawie znanych ze źródeł biografii eunuchów, którzy dochodzili do wysokich pozycji tak w administracji, jak i w wojsku. Natomiast jego imię pochodzi ze skandynawskiej księgi zatytułowanej *Heimskringla* (jest to zbiór sag królewskich z XIII wieku), gdzie tym mianem Waregowie określali historyczną postać z XI wieku – bizantyjskiego wodza Jerzego (Gergiosa) Maniakesa.

Historycznych postaci nie brakuje również po stronie arabskiej. Emir Aleppo Saif ad-Daula (co znaczy Miecz Dynastii) był w połowie X wieku największym zagrożeniem Bizancjum i osobistym wrogiem rodu Fokasów. Saif potrafił skutecznie mobilizować cały świat arabski do wojny z cesarstwem, przywołując między innymi ideę świętej wojny. W tym pomysł wtórował mu zresztą Nikefor Fokas, który w czasie swojego panowania wymógł ustanowienie prawa (mimo mocnego sprzeciwu Kościoła), że każdy poległy w boju bizantyjski żołnierz staje się męczennikiem za wiarę.

W 959 roku Kretą rządził emir Abdal al-Aziz ibn Shu'ayb et Qurtubi, zwany przez Bizantyjczyków Kouroupesem. Historyczną postacią jest też jego syn Anemas. Sarakeński szpieg Isa ibn Ishak został przeze mnie stworzony w hołdzie dla bohaterów arabskich makam (opowieści łotrzykowskich) z X wieku, w których często pojawia się poeta, złodziej i obibok o imieniu Isa ibn Hiszam. Bohaterem zmyślonym jest też Samsam as-Sari – przywódca piratów kreteńskich. Nie zostało do końca wyjaśnione przez naukę, w jaki sposób był zorganizowany dziwaczny wyspiarski

emirat, który z jednej strony był klasycznym państwem arabskim, a z drugiej utrzymywał się głównie z piractwa, musiał więc mieć nieco luźniejszą strukturę władzy. I tak dochodzimy do wątku dla powieści kluczowego – do wojny o Kretę.

Choć Kreta była związana kulturowo i historycznie z greckim imperium, Arabowie dość szybko ją zdobyli, gdyż panowanie nad tą wyspą stanowiło klucz do kontroli handlu we wschodniej części Morza Śródziemnego. Arabskie rządy nad Kretą były prawdziwym utrapieniem dla Bizancjum także z innego powodu: ulokowani tam muzułmańscy piraci rabowali nie tylko greckie statki i wyspy, ale również wybrzeża Anatolii. Odbicie Krety stało się więc dla cesarstwa sprawą priorytetową. Niestety, wyprawy z pierwszej połowy X wieku nie przyniosły pożądanego efektu. Szczególnie dotkliwą klęskę poniosło Bizancjum w 949 roku. Podjęta wtedy z inicjatywy Konstantyna VII Porfirogenety militarna ekspedycja zakończyła się całkowitym niepowodzeniem, głównie za sprawą nieudolności eunucha Gongyliosa, który dowodził flotą. W kolejnych latach cesarz starał się zrehabilitować za tę największą porażkę swoich rządów i planował kolejną wojnę o Kretę. Decydujące przygotowania nastąpiły w latach 958–959, kiedy rozbudowano flotę i wzmocniono organizację morskich temów. Nagłe pogorszenie się zdrowia cesarza sprawiło jednak, że termin wyprawy odsunięto. Doszła do skutku dopiero w roku 960, już za panowania Romana II, który misję podboju wyspy powierzył Nikeforowi Fokasowi. Domestyk wyruszył na czele 250 okrętów i w lipcu wylądował na Krecie, gdzie przez kilka następujących miesięcy oblegał najważniejsze twierdze. Siódmego marca 961 bizantyjska armia zdobyła Chandax (Heraklion), wieńcząc tym zwycięstwem udaną kampanię. Wśród pojmanych znalazł się emir Krety i jego syn Anemas. Co ciekawe, Anemas bardzo szybko z zakładnika stał się lojalnym poddanym cesarza, służąc w jego gwardii i z czasem stając się wpływowym dowódcą w bizantyjskiej armii. Właśnie ten nagły polityczny zwrot Anemasa skłonił mnie do stworzenia wątku, jakoby syn emira, urzeczony bizantyjską kulturą, już przed 960 roku skłaniał się do zawarcia sojuszu z autokratozem. Przypuszczenie to nie jest jednak poświadczane źródłowo.

Fikcją stworzoną na potrzeby prozy awanturycznej jest także wyprawa po złoto Krety. Wprawdzie mogły istnieć ukryte w jaskiniach pirackie „dziuple”, choć zapewne najwięcej zrabowanych kosztowności było ukrytych w samym mieście Chandax, tuż pod nosem emira. Prawdziwy jest natomiast udział Waregów w walce z piratami z Krety. Kroniki donoszą, że Rusowie brali udział zarówno w wyprawie z lat 960–961, jak i we wcześniejszych ekspedycjach. Więcej niż prawdopodobne jest też to, że w roku 959 stoczono wiele bitew i potyczek z sarakeńskimi piratami, by osłabić ich flotę i ułatwić sobie przyszłoroczny „desant” na wyspę.

Owocem mojej wyobraźni są również główni bohaterowie opowieści, dlatego by poznać dalsze losy Ainara, Alego, Finloga i innych, nie trzeba sięgać po historyczne kodeksy, ale cierpliwie wyglądać kolejnej – i ostatniej – odsłony cyklu o Skaldzie pod tytułem *Pasterz pieśni*.

Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych wyrażeń

Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych wyrażeń

abid (arabskie) – człowiek pobożny. Gorliwy wyznawca islamu.

acheiropoietos (greckie) – wizerunek postaci „nie ludzką ręką stworzony” – zatem w domyśle „niebiańska”. Termin dotyczył zarówno cudownych odbić twarzy Chrystusa na płótnie (przykładem jest całun turyński), jak i ikon, które według tradycji miały zostać zesłane ludziom z nieba i wiernie odzwierciedlać wygląd Chrystusa, Matki Bożej czy świętych.

Aegir (staroskandynawskie *Ægir*) – dosłownie: Ocean. W nordyckiej mitologii naczelné bóstwo (lub olbrzym o boskich prerogatywach) sfery wód morskich. Jego żoną była bogini Ran (Morze), córkami fale (córki Aegira), a braćmi olbrzymi: Logi (władca ognia) i Kari (pan wiatrów).

ajn (arab.) – dosłownie: oko. Określenie na szpiega.

akkubita (grec. *akkoúbita*) – łoże. Leżanka, często półokrągła, na której ucztowali bizantyjscy arystokraci (zwyczaj jedzenia w pozycji półleżącej przejęto od starożytnych Rzymian). Na jednej wyścielonej poduszkami akkubicie mogło się pomieścić pięć osób, które odpoczywały wsparte na lewym boku. Zwykle trzy akkubity otaczające stół tworzyły pojedynczy „zestaw bawialniany”.

aktaumar (stskand.) – szoty, czyli przywiązane do dolnych rogów żagla liny, które umożliwiały manewrowanie żaglem. Zwykle mocowano je do burt, ale stojący żeglarz mógł je trzymać, by ręcznie nastawiać żagiel na wiatr. Mówiło się wtedy, że „powozi ręcznie”, co odnosiło się do popularnego określenia statku rumakiem, a szotów – cugłami w rękach jeźdźca/żeglarza.

almilland (arab.) – admirał, dowódca floty.

archonci (grec., l. mn. *archentes*) – zwani „przyjaciółmi cesarza” arystokraci, którzy posiadali honor

(*time*) i władzę (*arche*) oraz w przeciwieństwie do zwykłych ludzi mieli kontakt z autokratozem. Tytuł zarezerwowany przede wszystkim dla rządzących, namiestników, dowódców i samodzielnych książąt.

Armenoi (grec.) – Ormianie.

arradah (arab.) – katapulta, czyli machina wojenna do miotania kamieni.

autokrator (grec.) – tytuł cesarza bizantyjskiego, będący greckim tłumaczeniem łacińskiego słowa „imperator”. Od IX wieku zarezerwowany wyłącznie dla głównego rządcy kraju, by odróżnić go od współcesarzy. W czasach opisanych w powieści autokratozem był Konstantyn VII Porfirogeneta (Zrodzony w Purpurze), podczas gdy basileusów (cesarzy) było dwóch: tenże Konstantyn i jego syn Roman (basileus od 948 roku).

bandon (grec.) – oddział. Ogólny termin wojskowy używany w Bizancjum na oznaczenie jednostki liczącej zwykle około 200 ludzi, choć w różnych okresach historii i w różnych regimenciech jej wielkość mogła się znacząco różnić.

bard – celtyckie określenie pieśniarza.

basileus (grec.) – główny tytuł cesarza. Często praktyką w Bizancjum było powoływanie przez panującego współrządcy, zwykle syna i następcy, któremu także nadawano tytuł basileusa (cesarza).

Basilis Polis (grec.) – Miasto Basileusa, jedna z nazw Bizancjonu, od końca starożytności zwanego Konstantynopolem (czyli Miastem Konstantyna). Patrz też: Miklagard.

berserk (stskand. *berserkr*) – wojownik walczący w bitewnym szale, stąd w *Skaldzie* berserków czasem nazywa się szaleńcami.

berserksgangr (stskand.) – amok bitewny.

Bida – mityczny wąż rzeki Niger, czczony w państwie Wagadou jako bóg.

Blaland (stskand. *Bláland*) – Czarna Ziemia, skandynawska nazwa ogólna na Czarną Afrykę.

Blamad (stskand. *blámaðr*) – czarnoskóry człowiek, skandynawska nazwa na Murzyna, mieszkańca Blalandu.

blot (stskand. *blót*) – ofiara dla bóstwa.

borg (stskand.) – miejsce umocnione, gród.

Brisingamen (stskand. *Brisingamen*) – naszyjnik bogini Freji (w powieści należy do Gefny). Według popularnego mitu ozdoba została stworzona przez cztery karły; by ją zdobyć, bogini musiała spędzić noc z każdym z nich.

Byzantion – patrz: Basilis Polis.

Chandax – dziś znane jak Heraklion. W X wieku było to największe miasto na Krecie. Powstało już w starożytności, jednak dopiero Arabowie uczynili z niego najznaczniejszy ośrodek wyspy.

chelandon (grec.) – wojenny statek bizantyjski średniej wielkości, niekiedy traktowany jako odmiana dromonu. Stosowano na nim napęd wiosłowo-żaglowy. Używany również do transportu. Jego załogę stanowiło 130–160 ludzi.

chiton (grec.) – tunika.

Chorezm – nazwa historyczna, obejmująca w średniowieczu liczne krainy leżące na obszarze dzisiejszego Iranu, Turkmenistanu i Uzbekistanu. W X wieku było to państwo muzułmańskie.

córki Aegira – fale, zob. Aegir.

delmatikion (grec.) – rodzaj sukni noszonej przez bizantyjskie arystokratki.

demy (od grec. *démos*, czyli: lud) – faksje, stronnictwa kibicowskie, które organizowały zawody sportowe w Hipodromie. We wczesnym Bizancjum demy pełniły funkcję swoistego rodzaju partii politycznych, ale w X wieku ich rola sprowadzała się już tylko do organizowania zawodów sportowych i ceremonii w Hipodromie. Najpopularniejsze były cztery stronnictwa powiązane organizacyjnie z gwardiami imperialnymi: Błękitni (którym przewodził domestyk Scholi), Biali (którym przewodził domestyk Numerów), Zieloni (którym przewodził domestyk Ekskubitów) i Czerwoni (którym przewodził komes Teichistów, czyli Murów). W czasach opisywanych w powieści stronnictwa Błękitnych i Białych były w sojuszu przeciw Zielonym i Czerwonym.

dinar – złota moneta arabska, której nie należy mylić ze srebrnym rzymskim denarem.

disy (stskand., l. mn. *disir*) – duchy zmarłych kobiet, które mogły stać się boginiami albo istotami demonicznymi przynoszącymi szczęście lub pecha. Niekiedy disami nazywano też kobiety z potężnych rodów.

domestyk (łacińskie *domesticus*, a stąd grec. *domestikos*) – dowódca, generał. Najwyższy stopień oficerski w cesarskich gwardiach. Domestyk Scholi był też głównodowodzącym całej armii Bizancjum. We flocie i w gwardii Vigla oficer tej rangi nosił miano drungariusza.

dorkon (grec.) – dosłownie: gazela. Bizantyjski statek kupiecki.

draug (stskand. *draugr*) – żywy trup, upiór lub ogólnie: istota demoniczna.

dreng (stskand. *drengr*) – wojownik.

drengskap (stskand. *drengskapr*) – zbiór honorowych zasad, którymi kierował się dreng.

dromon (grec. *drómon*, a stąd stskand. *drómundr*) – największy typ statków używanych we flocie bizantyjskiej. Dromony posiadały napęd wiosłowy i żaglowy. W opisywanym okresie jego załogę stanowiło zwykle około 220 ludzi (w tym 50 żołnierzy).

drungariusz (grec. *droungarios*, od łac. *drungarius*) – wysoki oficer w armii Bizancjum mający rangę równą domestykowi. Tytuł noszony przez dowódcę gwardii Vigla i dowódcę floty imperialnej.

Dyflin (stskand.) – wikińska nazwa irlandzkiego Dublina. Odnosiła się też do całego Królestwa Dublina.

Dżibrail (arab. *Dżabra 'il, Dżibril*) – Wojownik Boży. Arabska wersja imienia archaniola Gabriela.

dżin (arab. *dżinn*) – w mitologii arabskiej (przed islamem) rozumny demon zrodzony z płomienia albo obłoku pary. Zwykle reprezentował siły natury.

Ekskubici (grec. *Exkoubitoi*, od łac. *Excubitors*) – jedna z gwardii pałacowych i część tagmaty. Jej przywódca był również zwierzchnikiem demu Zielonych.

Ekumena (grec. *Oikoumene*) – w starożytności pojęcie oznaczające cały świat. W Bizancjum zostało zawężone do świata poznanego i cywilizowanego – czyli do terenów dawnego Imperium Rzymskiego, do których dumni Bizantyjczycy rościli sobie prawa. Wraz ze wzrostem roli Kościoła termin ten zaczął również oznaczać wszystkie kraje chrześcijańskie.

emporion (grec.) – w świecie grekojęzycznym obszar przeznaczony do handlu, zwykle ulokowany na wybrzeżu lub szlaku handlowym. Często towarzyszył mu port. W *Skaldzie* Emporion jest bizantyjską osadą kupiecką położoną na Therze. Dzisiaj na Santorini (obecna nazwa Thery) można odwiedzić wioskę Emporio, znajdującą się w pobliżu fikcyjnej osady, która została opisana w powieści.

Englismad (stskand. *Englismaðr*) – mieszkaniec Anglii, Anglosas.

enkolpion (grec.) – amulet często zawierający relikwię świętego lub cytat z *Pisma Świętego*. Bizantyjczycy nosili enkolpiony, aby broniły ich przed złem i magią.

ergasterion (grec.) – sklep połączony z zakładem rzemieślniczym, w którym wytwarzano, magazynowano i sprzedawano określone towary.

ergi (stskand. *ergi*) – lubieżność lub homoseksualizm pasywny. Pojęcie powszechnie używane w przekleństwach i łączone z pogardą dla niemęskich zachowań.

esophorion (grec.) – spodnia tunika, bielizna. Termin używany w odniesieniu zarówno do garderoby męskiej, jak i damskiej.

fakcja (łac., l. mn. *factiones, partes*) – dawna nazwa stronnictwa lub koterii dworskiej. W książce znaczy tyle samo, co „dem”, czyli odnosi się do kibicowskiej organizacji cyrkowej. Zob. demy.

fakcjonariusz (grec. *hoi faktionárioi*) – przywódca woźniców, który miał prawo noszenia złotego kasku. Reprezentował innych zawodników i brał udział w organizacji wyścigów. Dem Błękitnych mógł mieć tylko jednego fakcjonariusza, a o tytuł ubiegali się najzdolniejsi z woźniców.

fanfara – średniowieczna nazwa papug. W Europie tego okresu znano kilka gatunków papug, ale wszystkie były określane tym jednym wspólnym mianem.

faris (arab.) – żołnierz, rycerz. Arabski wojownik postępujący zgodnie z zasadami *furusiya* – kodeksem honorowym. Pojęcie to zyskało na popularności w XII i XIII wieku i wpłynęło na tworzenie się europejskiego etosu rycerskiego.

filidowie (od irlandzkiego *fili*, l. mn. *filid*) – uczeni. W celtyckiej Irlandii określano tak bardów, druidów i mędrców. Po chrystianizacji kraju słowem „filid” najczęściej określano uczonego.

follis (łac.) – miedziana moneta bizantyjska wywodząca się z czasów starożytnego Rzymu.

fouska (grec. *foúska*) – woda z dodatkiem octu winnego. Popularny w ciepłym klimacie (gdyż jest kwaskowaty, a przez to orzeźwiający) napój, często aromatyzowany miętą, tymiankiem, anyżem, koprem włoskim lub innymi ziołami.

Frakkland (stskand.) – dosłownie: kraj Franków. Dla wikingów był to raczej zachodni teren dawnego państwa Franków – Francja. Bizantyjczycy mianem Franków określali natomiast wszystkich przybyszy z Europy Zachodniej.

fylgja (stskand. *fylgja*, l. mn. *fylgjur*) – dosłownie: towarzysząca. Duch o kobiecym kształcie, który opiekował się człowiekiem aż do jego śmierci.

galeida (stskand. *galeið*, od grec. *galea* – galera) – typ statku wiosłowego używanego przez Arabów i Bizantyjczyków.

Gardariki (stskand. *Garðariki*) – Królestwo Grodów, skandynawska nazwa Rusi. Stolicą Gardariki był Kaennugard – Kijów. Bizantyjczycy nazywali mieszkańców Gardariki (tak Słowian, jak Vaeringów) Rhosami.

gardskonung (stskand. *gardskonungr*) – król grodu (w domyśle: Miklagardu), jak wikingowie zwykli tytułować cesarza greckiego (bizantyjskiego).

Gefna (stskand. *Gefn*) – dosłownie: Dawczyni. W mitologii nordyckiej jedno z imion bogini Freji. W ujęciu tej książki (i niektórych badaczy) Gefna jest oddzielną boginią związaną z kultem płodności i seksem.

gello – grecka demonica lubieżności, która uwodzi mężczyzn i pożera dzieci. Mimo wysiłków Kościoła wiara w tego stwora była szeroko rozpowszechniona w Bizancjum. Gello opisywał między innymi historyk Michał Psellos (XI w.), który przyrównał ją do hebrajskiej Lilith.

geranion (grec.) – dosłownie: żuraw. Używana przez bizantyjską flotę machina do niszczenia okrętów.

Gestumblindi (stskand.) – dosłownie: Ślepy Nieznajomy. W mitologii skandynawskiej jedno z imion Odyna. Według Ainara to kolejny brat Göllnira, który jest boskim mistrzem zagadek i czasem zjawia się wśród ludzi, by mierzyć się z nimi w turniejach wiedzy.

ghan (z języka ludu Soninke: *ghana*) – władca, tytuł królów Wagadou. Później stał się nazwą całego państwa.

ghazi (arab.) – wojownik za wiarę.

gjald (stskand.) – okup lub odszkodowanie.

Gmaszysko Zarzniętych – niebiańska halla dla poległych w boju wojowników. W mitologii nordyckiej znana jako Walhalla (stskand. *Valhöll*).

Goci – znana od czasów starożytnych grupa ludów germańskich. W Bizancjum nazwy tej używano na określenie wszystkich Germanów, także Vaeringów.

Göllnir (stskand.) – dosłownie: Bitewny Krzyk. W mitologii nordyckiej jedno z imion Odyna. W świecie *Skalda* jest naczelnym bóstwem, stwórcą świata, patronem skaldów, berserków, szaleńców, władców i pijaków.

grid (stskand. *grīð*) – pokój, rozejm lub łaska okazywana pokonanemu wrogowi.

gridniding (stskand. *grīðníðingr*) – dosłownie: łamacz ugód, gwałciciel pokoju. Osoba, która łamie przysięgi i jest niegodna zaufania.

Grikkland (stskand.) – Grecja, a także ogólna nazwa na całość Cesarstwa Bizantyjskiego.

grikklandzki ogień – ogień grecki. Substancja zapalająca stworzona na bazie ropy, oleju i saletry, której sekret był najpilniej strzeżoną tajemnicą państwową. Jej dokładny skład nie jest dziś znany, choć Arabowie już w IX wieku umieli wytwarzać podobną substancję. Ogień grecki był wykorzystywany zarówno w ręcznych miotaczach, jak i w wyrzucanych katapultami pociskach, jednak najbardziej śmiertelnością bronią były umieszczane na specjalnych statkach rury, które „bluzgały” płomieniami na znaczną odległość. Zob. siphon.

Grikkmad (stskand. *Grikkmaðr*) – Grek, ale też ogólnie: poddany cesarza bizantyjskiego.

hafgufa (stskand.) – potwór z opowieści wikingów, najwcześniej opisany w norweskim źródle *Królewskie zwierciadło* i islandzkiej *Sadze o Oddzie Strzale*, które powstały w XIII wieku. Obraz powieściowej hafgufy bazuje na tej drugiej relacji. Według islandzkiego folkloru był to wielorybopodobny stwór żyjący w Morzu Grenlandzkim. Jego powstanie w wyobraźni Islandczyków jest – według jednej z teorii – związane z wpływem irlandzkich opowieści o wyprawie świętego Brendana, który miał dopłynąć do tego „wieloryba” (myśląc, że jest to wyspa) i na jego grzbiecie odprawić mszę świętą. Hafgufę utożsamiono później z krakenem.

hag (stskand. *hagr*) – biegły, zręczny. W ten sposób często określano rzemieślników i skaldów (rzemieślników słowa).

hagios (grec.) – święty.

halla (stskand. *höll*) – dwór konunga lub rozległa podłużna sala, w której władca ucztował ze swoimi wojami.

hama (arab.) – w wierzeniach arabskich (przed islamem) duch zabitego człowieka, przybierający zwierzęcą postać (zwykle sowy). Przylatuje na własny grób i nawołuje do zemsty za swoją śmierć.

hamask (stskand.) – szał przemienienia. Stan bitewnej furii, w którym walczyli hamramirzy.

hamingja (stskand.) – zwierzęcy duch opiekuńczy, który przystaje do człowieka i często jest „dziedziczony” w obrębie danego rodu. W mitologii świata *Skalda* duch ten wpływa na „kształt człowieka” i niektórzy czarownicy czerpią z niego moc, dzięki której potrafią zmieniać się w zwierzę.

hamramir (stskand. *hamramr*, l. mn. *hamramir*) – dosłownie: silny kształtem. Człowiek, o którym mówiono, że nie ma „jednego kształtu”, czyli jest zmiennokształtny. W świecie *Skalda* to

wojownik, który wierzy w silną więź łączącą go z wybranym zwierzęcym duchem, bestią, dlatego w powieści zwani są też bestialskimi wojownikami.

harraga (arab.) – dosłownie: ogniowy statek. Arabski okręt wyposażony w maszynę do wystrzeliwania ognia greckiego analogiczną do bizantyjskiego siphonu.

Hel (stskand.) – bogini śmierci i zaświatów w mitologii wikingów, która była personifikacją Hel – krainy zmarłych.

helviti (stskand. *helvíti*) – przekleństwo do dziś używane na Islandii. Dosłownie znaczy „idź do diabła” lub „idź do piekła”, także w rozumieniu Hel – staronordyckiej krainy zmarłych.

Hetairia lub **Hetaireia** (grec.) – osobista gwardia cesarza odpowiedzialna za pilnowanie jego rodziny. Żołnierze tej formacji często rekrutowali się spośród obcych – Germanów, Chazarów i Słowian. Hetairii nie należy mylić z gwardiami pałacowymi.

Hipodrom (grec. *hippodrom*) – cyrk w kształcie wydłużonej podkowy, w którym organizowano wyścigi konnych zaprzęgów (kwadryg).

hnefatafl (stskand.) – skandynawska gra planszowa. Tylko jeden z graczy miał króla, którym musiał uciec z planszy. Drugi gracz starał się otoczyć króla swoimi pionami, co kończyło grę.

höfudbenda (stskand. *höfuðbend*) – wanta, czyli lina stabilizująca maszt na okręcie. Wanty wiązały maszt do obu burt.

hunna (stskand. *húnn*) – szczyt masztu pełniący niekiedy funkcję bocianiego gniazda. Często wchodził tam obserwator, który wypatrywał lądu.

hval (stskand. *hvalr*) – wieloryb.

Indialand (stskand. *Indíaland*) – Ziemia Indów (czyli Hindusów). Choć pojęcie to w znaczeniu dosłownym odnosiło się do Indii, dotyczyło nie tylko krain Półwyspu Indyjskiego. Nazwą tą wikingowie określali wszystkie bardzo egzotyczne i nieco legendarne krainy Wschodu – zwłaszcza te, które leżały jeszcze za Ziemiami Arabów (Serklandami), czyli rozległe tereny ciągnące się od Iranu (ówcześnie będącego częścią składową imperium Chorezmu) aż po krańce Indii.

Irowie – mieszkańcy dawnej Irlandii.

Irskmadowie (stskand. *Írskmaðr*) – skandynawska nazwa Irów z Irlandii.

jaszty (awestyjskie) – pieśni pochwalne na cześć bogów.

Jednoręki (stskand. *Einhendr*) – przydomek boga Tyra. W świecie *Skalda* to bóg sprawiedliwości, rękojmia umów.

Jurugu – zwany Płowym Lisem, podstępny bóg z wierzeń afrykańskiego ludu Dogonów. Trickster, który ukradł bogom ziarna słów.

kaba (arab. *qaba*) – krótka kurtka (lub kaftan) w perskim stylu, chętnie noszona przez wojskowych i dworzan arabskich.

kadi (arab.) – sędzia.

kagan (języki turko-tatarskie) – władca. Określenie używane (wymiennie z tytułem chan) przez koczownicze ludy azjatyckie, głównie o pochodzeniu turskim (turko-tatarskim). Pod wpływem koczowników tytuł ten przejęli władcy słowiańscy i warescy z terenów Rusi.

kalendarz bizantyjski – w Bizancjum kontynuowano tradycję kalendarza juliańskiego. Lata liczono od stworzenia świata, natomiast początek roku przypadał na 1 września. Akcja pierwszego tomu *Wężowego języka* zaczyna się w roku 958 wedle rachuby gregoriańskiej, choć bizantyjscy kronikarze napisaliby o lecie 6466 roku i jesieni 6467 roku. Tom drugi rozpoczyna się wczesną wiosną 959 roku, a więc w 6467 roku od stworzenia świata.

kallikantzary (grec. *kallikantzaroi*) – stworzy z greckiego folkloru. Przybierały różną postać, zależnie od wierzeń danego regionu. Najczęściej były to czarne, złe, diabelskie potwory, które mieszkaly pod ziemią i podcinały korzenie drzewa świata. Na powierzchnię miały wychodzić zwłaszcza w okolicach Bożego Narodzenia.

kamelaukion (grec.) – flaga sygnałowa stosowana w bizantyjskiej flocie.

kapelos (grec.) – winiarz. Rzemieślnik, który prowadził ergasterion z winem, czyli tawernę.

Kari (stskand. *Kári*) – dosłownie: Podmuch Wiatru. Olbrzym, władca wiatru.

katar – rodzaj sztyletu pochodzenia indyjskiego. Przykład broni kastetowej, zakładanej na pięść.

kenning (stskand.) – rodzaj rzeczownikowej przenośni, będącej rozbudowanym określeniem zastępczym na często używany w wierszach skaldów wyraz, np. słowo „poeta” zastępowano kenningiem „kował słów”.

kentarcha (grec. *kentarchos*) – kapitan statku.

kilikon (grec.) – włosienica. Tunika lub koszula z szorstkiej tkaniny, którą asceci nosili w celach pokutnych.

klivanion (grec.) – najpopularniejszy pancerz gwardii cesarskiej. Zwykle była to zbroja lamelkowa lub krótki łuskowy napierśnik wykonany z zazębiających się płytek z brązu, żelaza, skóry lub rogu. Klivanion bywał połączony z oddzielnymi ochronami ramion i nóg.

konung (stskand. *konungr*) – skandynawskie określenie niezależnego władcy.

krabatos (grec.) – platforma na rufie dromonu, która była do dyspozycji kapitana statku. Pod nią mogły znajdować się kajuty dowódcy.

Krist, Kristos (stskand. *Kristr*, od grec. *Christós, Kristos*) – Chrystus.

kristmad/kristkona (stskand. *kristmaðr, kristkona*) – chrześcijanin/chrześcijanka.

kussar (stskand. *kussari*) – korsarz. W taki sposób Skandynawowie określali arabskich piratów działających w rejonie śródziemnomorskim.

Kutrubbul – wioska nieopodal Bagdadu słynąca z produkcji wyśmienitego wina.

kwadryga – rydwan zaprzężony w czwórkę koni. Wywodzi się od starożytnych rydwanów, ale w X wieku nie miał już zastosowania na polu bitwy. Używano go natomiast do organizowanych w cyrkach wyścigów.

kyrtill (stskand.) – tunika albo długa koszula nakładana na spodnią koszulę. Stać było na nią tylko bogatszych, dlatego często miała wycięcie na piersi i rękawy krótsze od rękawów spodniej koszuli, by pokazać, że właściciela stać na dwie warstwy ubioru.

lausavisy (stskand. *lausavísur*) – krótkie wiersze o różnej tematyce, improwizowane w zależności od okoliczności.

Lodowa Wyspa (stskand. *Island*) – Islandia.

logotheta (grec. *logothetes*) – ogólna nazwa wysokiego urzędnika dworskiego. Podczas przyjmowania posłów w Magnaurze logotheci prowadzili rozmowę w goście cesarza, wymieniając z nim grzecznościowe powitania.

Lopt (stskand. *Loptr*) – w świecie *Skalda* bóg kłamstwa i oszustw. W mitologii nordyckiej jedno z imion Lokiego.

lorika (łac. *lorica*) – modlitwa, zwłaszcza ochronna. Ten rodzaj pacierzy był bardzo popularny wśród irlandzkich mnichów wczesnego średniowiecza. Termin pochodzi od ogólnej nazwy rzymskiego pancerza (*lorica*), bo w rozumieniu duchownych modlitwa miała ich ochraniać przed złem i pokusami niczym pancerz.

ludr (stskand. *lúðr*) – trąba albo róg, instrument używany już przez Germanów od czasów starożytnych w celu przesyłania sygnałów bojowych.

Lupercalia (łac.) – wywodzące się z czasów starożytnego Rzymu święto na cześć nadchodzącej wiosny, które w czasach pogańskich obchodzono 15 lutego. W Bizancjum święto zostało schryścianizowane i wciągnięte w system uroczystości sakralnych oraz w kalendarz wyścigów kwadryg. W X wieku obchodzone je zwykle tuż przed Wielkim Postem, aby w formie „ostatków” można było hucznie ucztować. W Lupercalia organizowano w Hipodromie zawody, które kończyły cały „sezon” wyścigowy.

lyssa (grec.) – wilczy gniew. Stosowane w starożytnej Grecji określenie szału bitewnego.

łokieć – średniowieczna miara długości, zróżnicowana zależnie od czasów i regionu. W Bizancjum X wieku liczył około 45 cm.

macharion (grec.) – sztylet.

Magni (stskand.) – dosłownie: Mocny. W mitologii nordyckiej syn Thora lub jedno z wcieleń pana burzy. W świecie *Skalda* – bóg siły fizycznej, patron wojowników i władca burzy, który kamienną maczugą lub żelaznym młotem rozbija łby olbrzymów.

Manat (arab.) – w czasach przedmuzułmańskich naczelné bóstwo arabskie. Bogini przeznaczenia i sprawiedliwości. Jej kult, choć tępiony przez islam, był znany jeszcze długo po rewolucji religijnej Mahometa.

mandator (grec.) – posłaniec, ale też człowiek do zadań specjalnych.

mandylion z Edessy – odbicie twarzy Chrystusa na chuście, jedna z najważniejszych relikwii Kościoła bizantyjskiego. W 944 roku została odzyskana z rąk Arabów z Edessy i uroczyście przewieziona do Konstantynopola.

Mani (stskand.) – Księżyc czczony jako bóg. Brat Słońca i syn Mundilfarego. W świecie *Skalda* jeździ po nocnym niebie wozem ciągniętym przez dwa konie, Pełnię i Nów, uciekając przed wilkiem Hatim.

masdzid (arab.) – meczet. Świątynia arabska, miejsce odmawiania modlitw. Nazwy tej muzułmanie używali również na określenie świątyń innych religii.

mastropeion (grec.) – dom publiczny w średniowiecznym Bizancjum.

Mauments (stskand.) – wikińskie zniekształcenie imienia proroka Muhammada (Mahometa).

maumentsanie (stskand.) – muzułmanie, skandynawska nazwa utworzona od imienia Mauments.

menicon (grec.) – popularne w całej średniowiecznej Europie lekarstwo przeciwbólowe.

meykong (stskand. *meykongr*) – rzeczownik rodzaju męskiego, który znaczył dosłownie „panna król”. Rodzaj popularnej bohaterki islandzkich sag, w których przedstawiano ją jako Amazonkę dorównującą w walce mężczyznom.

Midjardarhaf (stskand. *Miðjarðarhaf*) – Morze Śródziemne.

miðsumar (stskand.) – dosłownie: środek lata. Święto obchodzone w dzień przesilenia letniego. Wikingowie dzielili rok na dwie pory roku: zimę (czas sztormów; nasze jesień i zima) i lato (czas żeglugi; nasze wiosna i lato), więc przesilenie z końca czerwca, które u nas rozpoczyna astronomiczne lato, u nich rzeczywiście wypadło w okolicach środka lata pojmowanego na sposób skandynawski.

Miklagard (stskand. *Miklagardr*) – Wielki Gród, skandynawska nazwa Konstantynopola, stolicy Bizancjum.

miliaresion (grec.) – srebrna moneta bizantyjska.

Mimir (stskand.) – olbrzym i najmądrzejsza istota w mitologii nordyckiej. Jego głowa zanurzona jest w źródle wytryskającym spomiędzy korzeni Laerada, drzewa świata.

mordvarg (stskand. *morðvargr*) – morderca, który zabija podstępnie: z ukrycia lub za pomocą trucizny albo czarów.

morski król, morski konung – zob. saekonung.

Morze Grikkländzkie (stskand. *Grikkländshaf*) – skandynawska nazwa Morza Czarnego.

mues (grec.) – dosłownie: myszy. Duże pociski w kształcie strzał wystrzeliwane z balist.

muiai (grec.) – dosłownie: muchy. Żelazne bełty wystrzeliwane z balist.

munk (stskand. *munkr*) – mnich.

musattah (arab.) – typ największego statku w arabskich flotach. Odpowiednik greckiego dromonu. Zwykle był długi na 35–40 metrów i szeroki na 4–5 metrów.

nadin (arab.) – dosłownie: przyjaciel władcy. Osoba towarzysząca władcy w ucztach i zabawach. Na arabskich dworach nadinami byli poeci, uczeni, szermierze czy lekarze.

nard – popularna w krajach arabskich gra planszowa przypominająca warcaby.

neireidy (grec. *nerēides*) – w greckim folklorze młode demonice, które mieszkają w górach, lasach i nad wodą. Znane z kuszenia młodzieńców.

niding (stskand. *níðingr*) – nikczemnik, a w kontekście seksualnym obelga oznaczająca homoseksualistę.

Njörd (stskand. *Njörðr*) – skandynawski bóg płodności i obfitości, łączony zwykle z darami morza. Patron rybaków.

nomisma (grec.) – złota moneta bizantyjska, w innych krajach Europy znana (i bita w niektórych państwach) jako solid.

Noreg (stskand. *Noregr*) – skandynawska nazwa Norwegii; forma skrócona pierwotnego terminu Norveg (*Norvegr*) – Północny Szlak, jak nazywano ziemie skandynawskie położone nad Morzem Północnym.

norny (stskand. *norn*, l. mn. *nornir*) – boskie szwaczki. Przędły tkaninę życia każdego człowieka, decydując o jego losie. Odpowiadały za przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie tylko ludzi, ale też bogów.

Nott (stskand. *Nótt*) – personifikacja nocy. Olbrzymka o czarnych włosach i ciemnej skórze, która w świecie Skalda jest kochanką Daga (czyli dnia), choć niektóre skandynawskie przekazy sugerują, że była raczej jego matką.

Numerowie (grec. *Noumeroi*, *Noumera*) – jedna z formacji gwardii imperialnej, zaliczana do tzw. młodszej tagmaty (piechoty). W Konstantynopolu Numerowie pełnili głównie funkcję policji, straży miejskiej i więziennej. Podlegali domestykowi Scholi. Dowódca Numerów przewodził demowi Białych.

Ocean – jako imię własne boga: zob. Aegir.

óðr (stskand.) – szaleństwo pochodzące od Odyna.

odrmad (stskand. *óðrmaðr*) – szaleniec.

oikos (grec.) – pałac arystokraty, bogaty dom.

öndvegi (stskand.) – dosłownie: wysokie siedzisko, czyli odpowiednik łacińskiego tronu. Umieszczone na podwyższeniu siedzisko, na którym zasiadał władca, przywódca rodu lub gospodarz domu.

ousiakon (grec.) – lekka jednostka bizantyjskiej floty. Obsadzona przez *ousia*, czyli załogę 108 ludzi (w tym około 50 żołnierzy).

paenula (grec.) – wełniany płaszcz wojskowy.

pandokeion (grec.) – gospoda, oberża. Przybytki takie odpłatnie oferowały nocleg i wyżywienie dla podróżnych. Zakładano je wzdłuż dróg Bizancjum, a także w samych miastach.

paparzy (stskand. *papi*, l. mn. *papar*) – wikingińska nazwa chrześcijańskich zakonników, szczególnie tych z Wysp Brytyjskich.

parakoimomen (grec. *parakoimomenos*) – dosłownie: śpiący przy boku (domyślnie: cesarza). Strażnik sypialni *basileusa*. Najwyższy urząd, jaki mógł sprawować eunuch, a zarazem najważniejszy urząd w państwie. Początkowo władza *parakoimomena* wynikała z dostępu do cesarskiego ucha i zwierzchnictwa nad pałacowymi eunuchami. Z czasem strażnik sypialni zyskał jeszcze na znaczeniu i otrzymał realny wpływ na politykę państwa, a niekiedy potrafił rządzić całym imperium z za pleców panującego *basileusa*. Zdarzali się również *parakoimomeni* dowodzący armiami.

paramerion (grec.) – jednosieczny miecz lub szabla noszona przy pasie.

pas wiszah (arab.) – damski pas skórzany, często zdobiony drogimi kamieniami.

pening (stskand. *peningr*) – pens, srebrna moneta anglosaska i skandynawska.

pentarcha (grec.) – dowódca pięcioosobowego oddziału w armii bizantyjskiej.

peronion (grec.) – ostroga, czyli nadwodny taran będący rozwinięciem starożytnego podwodnego tarana. Miał formę długiego żelaznego szpikulca, który wystawał nad linię wody i służył do niszczenia wiosł wrogich okrętów.

Płowy Lis – zob. Jurugu.

podopsella (grec.) – drewniane lub metalowe osłony nóg żołnierza.

pornaska (grec. *porne*) – najpopularniejsze bizantyjskie określenie prostytutki, używane już w starożytnej Grecji. Współczesny termin „pornografia” wywodzi się właśnie od tego pojęcia.

Północ – geograficzno-kulturowe określenie ojczystych krain Skandynawów. Z punktu widzenia Bizantyjczyków mogło określać też tereny Rusi, zwłaszcza te, które znajdowały się pod wpływem Waregów (Vaeringów).

praipositos (grec.) – początkowo najwyższy urzędnik na cesarskim dworze, odpowiednik europejskiego szambelana. W X wieku *praipositosami* określano eunuchów, którzy odpowiadali za ceremoniał dworski.

praitor (grec. *praitor*, od łac. *praetor*) – urzędnik bizantyjski o zmieniających się kompetencjach. W X wieku *praitorzy* byli cywilnymi zarządcami prowincji, a podlegali zwierzchnictwu strategów. Pełnili funkcje administracyjne i sądowe.

protokarabos (grec. *prōtokarabos*) – sternik okrętu.

pseudopadion (grec.) – platforma na dziobie bizantyjskiego okrętu, na której stacjonowali żołnierze.

ptocheion (grec.) – znany też jako *ptochotropheion*. Dom dla biednych. Jedna z licznych instytucji charytatywnych w średniowiecznym Konstantynopolu.

qayah (arab.) – satynowa czapka męska.

ra'is (arab.) – kapitan statku.

Ran (stskand. *Rán*) – skandynawska bogini, która była personifikacją morza. Żona Aegira (oceanu) i matka fal. Władczyni podwodnego królestwa, w którym przebywali topielcy.

Rhosowie – przedstawiciele ludu Rhos. Pod taką nazwą w źródłach wczesnośredniowiecznych znani byli Rusowie. Grecy tym mianem określali wszystkich przybyszy z Rusi, tak Słowian, jak i Vaeringów.

robaczywe morze – wzmianka o wodach zamieszkałych przez robaki zjadające okręty pojawia się w islandzkiej *Sadze o Grenlandczykach*, w której podano również, że najlepszą ochroną przed tymi stworzeniami jest foczy tłuszcz. Owymi „robakami” były małże świdraki okrętowce, które mają zdolność trawienia celulozy, a muszlą drążą w drewnie kanaliki, stąd od wieków były utrapieniem żeglarzy wielu mórz świata.

roga (grec.) – żołd dla najemników i żołnierzy, a także comiesięczna pensja wypłacana urzędnikom dworskim.

Romania – patrz: Romejowie.

Romejowie (grec. *Romai*, od łac. *Romani*) – Rzymianie. Tym mianem, nawiązującym do wspaniałej przeszłości imperium, Bizantyjczycy nazywali samych siebie (a swoje państwo Romania). Określenie to przejęły inne ludy: w źródłach arabskich Greków zwano *Rum*, a w skandynawskich *Rómverjar*. Ludzie Północy nazywali Romverjarami także mieszkańców Italii.

Rumowie, ar-Rum (arab. *ar-Rūm*) – arabska nazwa odnoszona zarówno do Bizantyjczyków (w spolszczeniu: Rumowie), jak i do ich imperium (ar-Rum).

saekonung (stskand. *sækonungr*) – morski król, czyli władca bez ziemi. Taki tytuł przyjmowali kapitanowie statków albo wodzowie całych wikińskich flot, którzy nie mieli własnych ziem, ale dysponowali znaczną siłą militarną.

safina (arab. *safīna*) – ogólna nazwa na arabskie statki transportowe lub kupieckie.

sagion (grec.) – ogólna nazwa na różne rodzaje płaszczy.

saif (arab.) – arabska nazwa miecza, zwykle odnoszona do zakrzywionej broni typu scimitar (sejmitar). Saify były znakomitym i kosztownym orężem wytwarzanym ze stali damasceńskiej.

saks (stskand. *sax*) – germański nóż bojowy, dłuższy od zwykłego noża, a krótszy od miecza. Czasem nazwę tę rozciąga się na każdy rodzaj noży bojowych i mieczy.

samadżat (arab.) – aktor, kuglarz na arabskim dworze.

Saraken (grec., l. mn. *Sarakenoi*) – Saracen. W Bizancjum w X wieku mianem tym określano nie tylko Arabów, ale wszystkich mahometan. Często nazywano tak też piratów grasujących po Morzu Śródziemnym.

Schola (grec. *Scholai*, od łac. *Scholae*) – najważniejsza spośród gwardii imperialnych. Jej dowódca,

domestyk, był głównodowodzącym całej armii Bizancjum i zwierzchnikiem demu Błękitnych.

scribon (grec.) – oficer w gwardii Ekskubitów, który dowodził bandonem (oddziałem) 200 ludzi.

seidkona (stskand. *seiðkona*) – czarownica, specjalistka od magii *seiðr*.

seidmad (stskand. *seiðmaðr*) – czarownik obeznany z magiczną sztuką *seið*, która ogólnie rzecz biorąc, wiązała się z właściwymi aspektom kobiecym czarami płodności, stąd w Skandynawii traktowano *seidmadów* dość niechętnie i kojarzono z homoseksualizmem. Niczym szamani posiadali umiejętność oddzielania swojego ducha od ciała.

seireina (grec. *seirēn*) – znana z mitologii greckiej syrena, która według różnych wyobrażeń była pół kobietą, pół rybą lub pół kobietą, pół ptakiem. Stworzenie popularne w opowieściach śródziemnomorskich żeglarzy przez cały okres średniowiecza.

Serklandy (stskand. *Serkland*) – Ziemie Saracenów. Skandynawska nazwa krain arabskich.

shalandia (arab. *shalandi*) – statek arabski wielkością odpowiadający greckiemu *chelandionowi*: jedno- lub dwurzędowa galera długości około 30 metrów. *Shalandie* stanowiły podstawę floty muzułmańskiej.

shinia (arab. *shini*) – arabska galera wojenna. Jeden z najmniejszych typów statków na wyposażeniu kreteńskiej floty. Odpowiednik bizantyjskiego *ousiakonu*.

sila – zaliczana do *dżinów* arabska *demonica*, która dnie spędzała na czesaniu włosów, a noce na ostrzeniu zębów. Pod postacią pięknej kobiety uwodziła mężczyzn. Czasem przybierała postać wielbłąda o twarzy i rękach człowieka.

siphon, syfon (grec. *siphōn*) – miotacz płomieni. Bizantyjska machina do wystrzeliwania „ognia greckiego”. Montowana na dziobach statków, choć znane były jej mniejsze przenośne wersje, których używano na stanowiskach przy burtach.

skald (stskand. *skáld*) – skandynawski poeta i pieśniarz, uważany też za człowieka mającego dzięki poezji i alkoholowi bliższy kontakt z bogami.

skaldmaer (stskand.) – dosłownie: panna pieśni, panna *skald*. Wikińska nazwa poetki. Równocześnie jest to przydomek *Seli*, stąd pisany jest czasem dużą literą.

skaramangion (grec.) – długa, przepasana tunika z rękawami. Wykonana z drogocennych materiałów i bogato zdobiona. Była strojem dworskim noszonym przez cesarza i jego otoczenie. *Skaramangiony* uznawano za jedne z najcenniejszych darów, jakimi autokrator mógł obdarzyć zagranicznych posłów i władców.

skjald (stskand.) – tarcza. Termin utworzony od staroskand. *skjöldr* (tarcza), używany w piśmiennictwie nordyckim do tworzenia takich terminów jak *tarczowniczk* (*skjaldmaer*) czy *mur tarcz* (*skjaldborg*).

skjaldarbukl (stskand.) – umbo tarczy.

skjaldborg (stskand.) – mur tarcz. Formacja bitewna wikingów, która polegała na utworzeniu szeregu

wojowników osłaniających się zachodzącymi na siebie tarczami. Kolejne rzędy wojowników mogły dokładać swoje tarcze do przodu lub układać z nich „dach”, tworząc tak zwaną twierdzę tarcz.

skjaldmaer (stskand.) – dosłownie: panna tarczy, tarczownicza.

snekkja (stskand. *snekkja*) – dosłownie: długi, cienki przedmiot wystający z wody. Była to popularna nazwa długiej łodzi wojennej wikingów. Największe statki tego typu zwano też czasem drekami (l. poj. *dreki*), czyli smokami, które w polskiej literaturze są znane pod mianem drakkarów.

snekkjamad (stskand.) – żeglarz, wiosłarz lub wojownik płynący na snekkji.

spatharios (grec.) – dosłownie: noszący miecz. Bizantyjska godność dworska nadawana zaufanym ludziom cesarza. Własnych spathariosów mogli mieć też niektórzy bogacze, a wtedy ich „noszący miecze” stawali się rodzajem elitarnych strażników.

spjöry (stskand. *spjörr*, l. mn., *spjarrar*) – pasy lub sznury, którymi mężczyźni owijali sobie spodnie na łydkach.

stag (stskand.) – sztag. Część olinowania stałego stabilizująca omasztowanie. Wyróżniano sztag przedni (ciągnący się od dziobu do masztu) i sztag tylny (ciągnący się od masztu do rufy).

strategos, strateg (grec. *strategos*) – oficer w armii lub zarządca/gubernator prowincji (temu).

stýri (stskand.) – ster. Na statkach wikińskich było to duże wiosło umieszczone przy rufie prawej burty, przez co burtę tę nazywano sterburtą. Żeglarz, który sterował tym wiosłem, stał tyłem do lewej burty, dlatego zaczęto ją nazywać bakburtą (tylną burtą).

styrir (stskand. *stýrir*) – sternik statku, który był często także jego kapitanem.

szatrandż (arab. *shatranj*) – wczesnośredniowieczna wersja gry w szachy.

tagmata (grec. *tagma*) – trzon armii Bizancjum, który dzisiaj nazwalibyśmy wojskiem zawodowym. W jego skład wchodziły cztery regimenty jazdy (tzw. tagmata starsza), które były zarazem gwardiami imperialnymi (*Scholai, Exkoubitoi, Vigla, Hikanatoi*) oraz regimenty piechoty (tzw. tagmata młodsza: *Noumeroi, Optimates, Teichistai*). W czasach pokoju oddziały tagmaty obozowały nieopodal Konstantynopola, pełniąc funkcje gwardzistów, strażników i policjantów.

taniec gocki – rytuał Waregów lub Rusów znany z relacji Konstantyna VII Porfirogenety. W powieści przedstawiono twórczą reinterpretację tego tańca.

Tauroscytowie – greckie określenie ludów zamieszkujących tereny na północ od Morza Czarnego i Morza Kaspijskiego; Taurowie i Scytowie mieszkali na północnych wybrzeżach Morza Czarnego w starożytności, ale ich połączone nazwy służyły potem Grekom przez wiele stuleci na określenie wszystkich przybyszów z tamtych rejonów. Dlatego dla Bizantyjczyka Tauroscytem mógł być zarówno Chazar znad Morza Kaspijskiego, jak i Vaering z dalekiej Północy.

teichos (grec.) – mur.

tem (grec. *theme*) – prowincja, region, jednostka organizacji terytorialnej w Bizancjum. Imperium było

podzielone na temy, co miało znaczenie zarówno w administracyjnym (cywilnym) zarządzaniu państwem, jak i w organizacji wojskowej. Temy wystawiały własne wojska, które dziś moglibyśmy nazwać „armią obrony terytorialnej”. Temy mające dostęp do morza wystawiały też flotę temową.

thatt (stskand. *þátt*) – krótka saga, opowieść.

thing (stskand. *þing*) – wiec, zgromadzenie.

thraell (stskand. *þræll*) – niewolnik.

tir (stskand. *tírr*) – sława, chwała. Wartość, do której dążył każdy szanujący się wojownik.

triklinari (grec.) – najokazalsze pomieszczenie bizantyjskiej willi, wokół którego zorganizowane były pozostałe izby. Zwykle mieściło się na pierwszym piętrze, nad kuchnią i pomieszczeniami gospodarczymi. W triklinari przyjmowano gości i organizowano przyjęcia.

troll (stskand.) – jedna ze skandynawskich nazw olbrzyma.

Trzynasty Apostoł – jeden z tytułów cesarza Bizancjum.

Ungroi (grec.) – jedna z wielu pojawiających się w źródłach bizantyjskich nazw Węgrów, którzy w przekazach łacińskich z tego okresu występują głównie pod nazwami: *Ungri*, *Ungari*, *Hungri*.

Vaering (stskand. *væringi*, l. mn. *væringjar*) – Wareg. Mianem Vaeringów/Waregów określano zbrojne grupy Skandynawów działających i osiedlających się na terenie Rusi. W Bizancjum nazwa ta odnosiła się do wszystkich ludzi Północy, także Rusów. Patrz też: *várar*.

Valfud (stskand. *Valfuðr*, *Valföðr*) – dosłownie: Ojciec Poległych. W mitologii nordyckiej jedno z wcieleń Odyna. W świecie *Skalda* – bóg, który jest gospodarzem Gmaszyska Zarzniętych i gości w nim poległych wojowników.

Valhalla – patrz: Gmaszysko Zarzniętych.

Valland (stskand.) – skandynawska nazwa Francji, a zwłaszcza Normandii.

várar (stskand.) – przysięga, ślub. To właśnie od tego słowa pochodzi pojęcie Waregowie (Vaeringowie), które oznacza „ludzi połączonych przysięgą”.

vardkarl (stskand. *varðkarl*) – strażnik.

varg (stskand. *vargr*) – wilk, banita, łotr, zwany niekiedy wilkiem w świętej ziemi.

Vindmad (stskand. *Vindmað*) – Słowianin.

visa (od stskand. *vísa* – strofa) – szereg strof o ujednoliconym metrum, który tworzą utwór o jednym temacie.

völsi (stskand.) – penis. W kulturze skandynawskiej pojęcie zwykle odnosiło się do końskiego penisa i rytuału pogańskiego związanego z bogiem Frejem.

Wagadou (z języka ludu Soninke: Kraj Ludzi) – państwo bardziej znane jako imperium Ghany, od VII lub VIII do XI wieku panujące nad dużymi obszarami zachodniej Afryki (zach. Mali i wsch.

Mauretania). Potęgę zawdzięczało m.in. transsaharyjskiemu handlowi, w którym było ważnym partnerem kupców arabskich. Ainar, jako Skandynaw, nie miał żadnej wiedzy o tym państwie i – podobnie jak wszystkie inne afrykańskie krainy – nazywał je Blandem.

Wertragna (wed., awest.) – bóg mitologii awestyjskiej (perskiej) i wedyjskiej (indyjskiej), uznawany za obrońcę niebian. Jednym z dziesięciu jego wcieleń był Szalony Odyniec, który w szale miażdżył wrogów kopytami. Bóg ten pojawia się w wielu mitologiach z kręgu indoirañskiego i we wszystkich jest pogromcą zła. W podaniach awestyjskich broni Mitry. W Iranie po reformie zaratusztriańskiej stał się pomocnikiem (jako Bahram) jednego z Amszaspandów o imieniu Ardibeheszt. Natomiast w *Skaldzie* Wertragna jest oddzielnym bogiem, Szalonym Odyńcem, znanym już tylko nielicznym kapłanom i kupcom z Indialandu.

węgłożerca (stskand. *kólbitr*) – osoba leniwa, próżniak, który nie uczestniczy w pracach na gospodarstwie, a wyleguje się przy palenisku.

Wyspa Irów, Wyspa Irskmadów – Irlandia, po celtycku Eriu.

xenodocheion (grec.) – hospicjum. Instytucja charytatywna, która opiekowała się biednymi.

xenon (grec.) – szpital, lecznica. Jedna z instytucji charytatywnych Bizancjum powołanych do opieki nad chorymi.

xylokastron (grec.) – umocnienia w środkowej części dromonu. Choć szumnie nazywane zamkiem, zwykle były złożone tylko z dwóch wież umieszczonych przy obu burtach i być może połączone pomostem.

zonarion (grec.) – ozdobny pas.

Zrodzony w Purpurze – zob. autokrator.

Przypisy

[1] „Chciałbym cię zapytać o pozycję berserków smakoszów potoku padliny [krwi]; jaka zapłata jest czyniona dla wybrańców bitwy, którzy rzucają się do walki?”. Fragment pieśni *Haraldskvæði*, skomponowanej około 900 roku przez wymienionego w tekście skalda (wszystkie przypisy pochodzą od autora powieści).

[2] „Zwani są wilczoskórymi, którzy dzierżą krwawe tarcze w bitwie. Czerwienieją ich włócznie, kiedy przybędą do walki i działają razem jako jedność”. Kolejny fragment wymienionej wcześniej pieśni.

[3] „W imię Ojca” – początek formuły trynitarnej w języku greckim.

[4] Ibn al-Hadżdżadż – poeta arabski z X w. Przekład wiersza: Aleksandra Witkowska, w: Adam Mez, *Renesans islamu*, Warszawa 1979.

[5] *Heilsan* (stskand.) – pozdrowienie, które można przetłumaczyć „niech żyje”.

[6] Fragment makamy dziesiątej – isfahańskiej, w tłumaczeniu Aleksandry Witkowskiej, w: Al-Hamadani, *Opowieści łotrzykowskie*, Wrocław 1983.

[7] Pieśń inspirowana utworem Egilla Skallagrimssona pod tytułem *Sonatorrek*, który ten islandzki bohater ułożył (około 960 roku) ku pamięci swoich zmarłych synów.